

PRZEGŁĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM
BÓG JEGO” Ps. 143.

ROK LVI

Tom 221

STYCZEŃ — LUTY — MARZEC

1 9 3 9

WARSZAWA
DRUKARNIA „WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW”

~~~~~  
S P I S R Z E C Z Y  
N A K O Ń C U T O M U  
~~~~~

Jagiellonowie wobec prawosławia i unii.

18 listopada 1938 r. został wydany przez p. Prezydenta Rzeczypospolitej dekret „o stosunku Państwa do Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego”. Dekret ten stał się okazją szeregu artykułów w prasie polskiej, omawiających jego znaczenie w wyznaniowej polityce Polski. Ocena aktu prawie ogólnie była dodatnia, w pismach zbliżonych do rządu można by powiedzieć — entuzjastyczna, w superlatywach wyrażona. *Gazeta Polska* (22. XI. 38) widzi w dekreście „nawiązanie do tych tradycji, które przyczyniły się do wielkości dawnej Rzeczypospolitej”. Podobnie wyraża się *Czas* (22. XI).

Oczywiście sam fakt prawnego unormowania stosunku Państwa do Cerkwi prawosławnej w Polsce nie powinien podlegać krytyce. Był on przewidziany i nakazany przez Konstytucję 1921 r. (art. 114) i chyba dziwić się trzeba, że przygotowywano się do niego aż przeszło siedemnaście lat. Zakres przyznanych obecnie Cerkwi uprawnień i w ogóle treść dekretu p. Prezydenta zasługuje na szczegółowe omówienie, zwłaszcza w zestawieniu z treścią konkordatu zawartego z Kościołem katolickim; nie to wszakże jest celem niniejszego artykułu. Niektórych punktów dotknął już Ks. E. Kosibowicz w „Sprawach Kościoła”, w grudniowym zeszycie naszego pisma. Tutaj zamierzam poświęcić nieco uwagi pewnym refleksjom, jakie w związku z ukazaniem się dekretu o Cerkwi prawosławnej lansowano na łamach naszych dzienników. Mianowicie z ich przedstawienia sprawy wynikałoby, że owymi „tradycjami”, które „przyczyniły się do wielkości dawnej Rzeczypospolitej” był stosunek Jagiellonów do

prawosławia, a więc akt Władysława IV, legalizujący nową hierarchię prawosławną, dalej umowa hadziacka, zapewniająca prawosławiu monopol wyznaniowy w księstwie ruskim, wreszcie tworzenie hierarchii prawosławnej w epoce Sejmu Czteroletniego. Przeciwnieństwo zaś tych tradycji, „przekreślenie, jak pisze *Czas*, polityki Jagiellonów w stosunku do prawosławia stanowi akcja unijna“, czyli dążność do połączenia Cerkwi prawosławnej z Kościołem katolickim. Z takiego stwierdzenia rzeczy wynika, że unia Brzeska była dla Polski szkodliwą (*Czas* to wyraźnie pisze) i że za szkodliwe i niezgodne z interesem Polski należy uznać starania o unię w teraźniejszości i przyszłości. Otóż te właśnie refleksje i twierdzenia naszych dzienników domagają się gruntowniejszego zbadania.

Z przytoczonych powyżej historycznych przykładów przypuszczalnie mądrej polityki Polski względem prawosławia opuścimy zupełnie ugodę hadziacką i akty Sejmu Czteroletniego, ani tamta bowiem, ani te nie weszły w życie i dlatego żadnego wpływu na wzmocnienie „wielkości“ Rzeczypospolitej wyrzucić nie mogły. Politykę Władysława IV odłożymy na później. W niniejszym artykule chcemy się zająć „polityką Jagiellonów“ wobec prawosławia i rzekomym przekreśleniem jej przez unię Brzeską.

W uproszczonym przedstawieniu publicysty z *Czasu* problem, jaki zaprzętał politykę polską w stosunku do prawosławia za Jagiellonów, redukowal się do problemu „niezależnienia Kościoła prawosławnego w Polsce od Moskwy“. I „dalekowzroczna polityka Jagiellonów umie ten problem szczęśliwie rozwiązać: na ziemiach polsko-litewskich powstaje samoistna metropolia halicko - kijowska, zależna tylko od patriarchy w Konstantynopolu, niezależna natomiast od Moskwy“. „Wskutek tej mądrej polityki w wieku XV i w pierwszej połowie wieku XVI na odcinku prawosławia panuje zupełny spokój“. Dopiero akcja unijna i unia Brzeska spokój ten zakłóciły. W układzie logicznym twierdzenia powyższe można by tak wyrazić: 1. Polityka Jagiellonów względem prawosławia była jednolita i konsekwentna. 2. Była obcą wszelkiej akcji unijnej, która się zjawiała dopiero w późniejszym okresie i była jej przekreśleniem. 3. Dążyła tylko do unie-

zależnienia Cerkwi ruskiej w Polsce od Moskwy i to szczęśliwie Jagiellonowie przeprowadzili. Przyjrzyjmy się w świetle historycznych faktów wartości tych twierdzeń, czy też, jeśli kto woli, założeń, na jakich opierają się twierdzenia, wysunięte w *Czasie*.

I

Najpierw co do jednolitości i konsekwencji w polityce jagiellońskiej, to mówiąc o owej polityce tak ogólnie, jak to czyni publicysta *Czasu*, chyba się ją odnosi do wszystkich albo do większej liczby królów z dynastii Jagiellonów; inaczej bowiem należało by mówić o polityce tego czy owego Jagiellona, np. Zygmunta I czy II, a nie o polityce jagiellońskiej w ogóle. Jaką była owa przypuszczalna jednolitość polityki Jagiellonów w stosunku do prawosławia i unii kościelnej? Czy do pierwszego zawsze pozytywna a negatywna do drugiej? Czy chodziło zawsze tylko o uniezależnienie Cerkwi od Moskwy, czy też o coś więcej? I komu owo uniezależnienie przypisać należy?

Panujących Jagiellonów było siedmiu: sam Jagiełło, jego synowie Władysław Warneńczyk i Kazimierz Jagiellończyk, wnukowie Jan Olbracht, Aleksander i Zygmunt Stary, wreszcie ostatni potomek, prawnuk Zygmunt August. Do tej liczby mamy prawo dodać tę, która właściwie „politykę jagiellońską” zapoczątkowała i ze swym małżonkiem współrządziła, królowę Jadwigę, tudzież dwóch wielkorządców Litwy za Jagiełły, w. książąt Witolda i Świdrygiełłę, czynnych jak najbardziej w polityce kościelnej swego kraju. Rozpatrzmy stanowisko każdego z tych dziesięciu rządców w zakresie stosunku do Cerkwi ruskiej.

Poczynając tedy od Jadwigi, stwierdzamy, że ta królowa udzielała sprawie kościelnej ruskiej wiele uwagi, ale nie ograniczała się do myśli uniezależnienia Cerkwi ruskiej w nowym zjednoczonym państwie polsko-litewskim od Moskwy, lecz marzyła o szeroko zakrojonej „akcji unijnej”. Przygotowaniem do tej akcji miało być założenie w Krakowie klasztoru św. Krzyża dla Benedyktynów z liturgią słowiańską, których królowa sprowadziła z opactwa Emmaus

w Pradze Czeskiej (1390 r.).¹⁾ Przedwczesny zgon świętobliwej królowej (1399 r.) nie pozwolił zrealizować jej zamiarów, klasztor św. Krzyża w r. 1419 upadł, ale wielka jej idea pozostała.

Spadkobiercą jej najbliższym był Władysław Jagiełło. Damy tu głos autorowi dzieła „Kościół prawosławny a Rzeczpospolita Polska”, prof. K. Chodynickiemu.

Nie mógł — tak pisze ów historyk — być wobec aktualności idei unii kościelnej obojętnym Władysław Jagiełło, w którego dzierżawach znajdowało się tylu wyznawców Kościoła wschodniego. Tym więcej musiał Jagiełło popierać dążenia do unii, że już w akcie krewskim przyrzekł, że przyjmie wiarę katolicką wraz ze wszystkimi swoimi braćmi, krewnymi i wszystkimi poddanymi. Można przeto jego słowa, wypowiedziane w r. 1420, iż sprawa unii kościelnej zawsze była jego największą troską, odnieść już do pierwszych jego lat po wstąpieniu na tron.²⁾

Rzeczywiście pierwszy dowód dążenia Jagiełły do zaprowadzenia unii — jeśli pominąć założenie wraz z Jadwigą klasztoru Benedyktynów słowiańskich — występuje już w r. 1396, kiedy to wraz z metropolitą prawosławnym Cyprjanem zwrócił się król do patriarchy carogrodzkiego Antoniusza z propozycją podjęcia starań o unię z Rzymem i ofertą zwołania w tym celu w swoim państwie soboru, która to propozycja i oferta pozostały bezskuteczne. Później, w r. 1409, na soborze w Pizie delegacja polska popiera myśl zjednoczenia Kościołów. Kwestia soboru i unii była między innymi przedmiotem narad między Jagiełłą a Zygmuntem Luksemburczykiem w r. 1412 na zamku w Lubowli. Lecz najważniejszym posunięciem w tym kierunku była inicjatywa króla, współ z w. księciem Witoldem, do utworzenia niezależnej od Moskwy metropolii dla prawosławnych w Polsce i na Litwie, co zostało przeprowadzone przez biskupów ruskich na soborze w Nowogródku w r. 1415 wyborem na metropolitę Grzegorza Cambliaka.

¹⁾ W. Szajnocha, *Jadwiga i Jagiełło*, Lwów t. III, str. 264—267 i M. Niwiński, „Benedyktyni słowiańscy w Krakowie”, *Oriens*, 1936, str. 67.

²⁾ Dz. cyt., Warszawa 1934, str. 42.

Ten akt zwykle mają na myśli ci z naszych pisarzy, którzy chwalą politykę Jagiełły względem prawosławia, i istotnie był to akt ze stanowiska państwowego mądry, ale trzeba pamiętać, że w intencjach Jagiełły i Witolda był on przygotowaniem do innego aktu — połączenia Cerkwi ruskiej z Rzymem. W tym celu metropolita Grzegorz, w towarzystwie pięciu podległych biskupów, wielu kniaziów i panów ruskich udał się w r. 1418 do Konstancji na obradujący tam jeszcze sobór powszechny. Delegacja prawosławna z Polski i Litwy wyraziła wobec Marcina V pragnienie połączenia się z Stolicą Apostolską i prosiła papieża, by w tym celu zwołał nowy sobór i dzieło jedności kościelnej doprowadził do skutku. Marcin V obiecał, ale do soboru nie doszło z powodu tlejących wciąż jeszcze resztek schizmy zachodniej, i unia Rusi z Rzymem formalnie zawartą nie została. Ale też, kiedy dążenia unijne Jagiełły i Witolda nie osiągnęły skutku, nie utrzymała się również niezależność metropolii od Moskwy i już od r. 1420 król i wielkorządca Litwy godzą się na rozciągnięcie na Litwę władzy metropolity moskiewskiego Focjusza. Dopiero w r. 1431 Świdrygiełło przeprowadza w Carogrodzie kandydaturę Herasyma na metropolitę Rusi, ale wspólnego z Rusią moskiewską, którego jednak Moskwa uznać nie chce, może dlatego także, że „Herasym był zwolennikiem unii i wspomagał Świdrygiełłę w jego planach zjednoczenia Kościołów”.¹⁾

Widzimy zatem, że polityka Jagiełły, a podobnie i litewskich wielkorządców Witolda i Świdrygiełły, zmierzała istotnie do uniezależnienia od Moskwy metropolii polskolitewskiej, lecz nie było to pojmowane jako przeciwieństwo do idei uni kościelnej z Rzymem, lecz jako wstęp do niej i kiedy tego celu nie dawało się z jakichś powodów osiągnąć, upadała i niezależność od Moskwy.

Przechodzimy do panowania Władysława Warneńczyka (1434—1444). Za jego czasów dochodzi do skutku unia Greków z Rzymem na soborze we Florencji 1439 r. Ruś całą, zarówno moskiewską jak i polsko-litewską, reprezentuje na soborze wspólny ówczesny metropolita, uczony Grek-huma-

¹⁾ K. Chodynicki, Dz. cyt. str. 49.

nista Izydor wraz z biskupem suzdalskim Abrahamem. Izydor jest jednym z głównych promotorów zjednoczenia kościelnego ze strony greckiej. Po zawarciu unii otrzymuje od Eugeniusza IV kapelusz kardynalski i zostaje wysłany przez tego papieża jako legat papieski do Polski, Litwy i Moskwy. Otóż temu wysłannikowi Rzymu Warneńczyk udziela gorącego poparcia w sprawie doprowadzenia do skutku unii na ziemiach polsko-litewskich. Przyjmuje go ze czcią w Krakowie i zatwierdza prawa i przywileje Cerkwi ruskiej, ale już jako z Rzymem zjednoczonej.

Dalsze losy Izydora są wiadome. Po ogłoszeniu unii w Moskwie zostaje on przez w. księcia Wasyla uwięziony, jako heretyk i odstępcą. Unia w Moskwie nie przyjmuje się wcale. W Polsce inaczej. Izydora uznają za swego zwierzchnika niektórzy biskupi ruscy, lecz nie znajduje on poparcia na dworze rządzącego już wtedy na Litwie Kazimierza Jagiellończyka i dlatego powraca do Rzymu. Po drodze spotkał się jeszcze raz na Węgrzech z królem Władysławem Warneńczykiem, który dokumentem, datowanym w Budzie 22 marca 1443 r., zrównał unitów pod względem prawnym z łacinnikami na obszarze swoich państw.

Niepowodzenia Izydora na Litwie tłumaczą się nie zasadniczą niechęcią Kazimierza do unii, lecz tą okolicznością, że zarówno Kazimierz, jak biskup wileński Maciej nie uznawali pontyfikatu Eugeniusza IV, lecz trzymali oficjalnie ze schizmatyckim soborem w Bazylei. Nie chcieli zatem uznać ani dokonanej pod auspicjami Eugeniusza IV unii, ani jego kardynała - legata. Kazimierz Jagiellończyk, od r. 1444 już król polski, nie poparłszy Izydora i unii, nie dąży też wtedy do wyodrębnienia Cerkwi ruskiej w swoich dzierżawach od Moskwy, owszem od r. 1449 już wręcz uznaje moskiewskiego metropolitę Jonasza, naznaczonego przez Wasyla, nawet wbrew woli patriarchatu carogrodzkiego, który wtedy pozostawał jeszcze w jedności z Rzymem i nie bacząc na to, że unia Florencka posiadała zwolenników na Litwie i niektórzy władcy opierali się władzy schizmatyckiego Jonasza.

Dochodzi wreszcie w r. 1458 do faktycznego i ostatecznego wyodrębnienia Cerkwi polsko - litewskiej z pod supremacji Moskwy. Lecz kto tego dzieła dokonywa? Zapewne

Kazimierzowi Jagiellończykowi ciążyło już także kościelne zwierzchnictwo Moskwy nad jego poddanymi i racja stanu doradzała powrócić do polityki Jagiełły i Witolda z r. 1415 i utworzyć odrębną metropolię dla Polski i Litwy. Lecz nie on, król, przeprowadził tę sprawę, ale papież Kalikst III. Mianowicie kardynał Izydor, rezydujący wciąż w Rzymie, zrzekł się metropolii ruskiej, a na jego miejsce przez ówczesnego patriarchę unickiego został mianowany mnich greckiego klasztoru Grzegorz. Wtedy to papież, rezygnując z prób wprowadzenia unii w Moskwie, dokonał podziału wspólnej metropolii, tworząc odrębną dla państwa polskoliteńskiego metropolię kijowską, oczywiście z Rzymem zjednoczoną i wysłał na nią Grzegorza.¹⁾ Dokumenty jednak dotyczące tej sprawy wystawił już następca Kaliksta, papież Pius II w tymże 1458 r.²⁾ Kazimierzowi, do którego Pius II wygotował także listy, pozostało jedynie uznać i przyjąć zarządzenie papieskie, co zapewne uczynił z zadowoleniem. Rzeczywiście od tej pory metropolia kijowska już nie zjednoczyła się nigdy z moskiewską, dopóki znajdowała się w granicach Rzeczypospolitej.

Metropolita Grzegorz zawiódł położone w nim przez Rzym zaufanie. Po jedenastu latach rządów, na schyłku swego żywota, nie zadawałając się zatwierdzeniem papieskim, udał się także do schizmatycznego już wówczas patriarchy carogrodzkiego po potwierdzenie. Historycy przypuszczają, że uczynił to, aby uspokoić także podległych sobie przeciwników unii, nie zrywając ostatecznie z Rzymem. Sam wszakże fakt szukania potwierdzenia przez patriarchę dyzunickiego był już domyślnym odrzuceniem unii. Nie wiemy dobrze, jak na ten krok zapatrywał się król Kazimierz, ale dalsze wypadki przemawiają raczej za tym, że chodziło mu o utrzymanie kościelnej jedności.

¹⁾ W jednodniówce *Głos Prawosławia*, wydanej niedawno w Grodnie, rzecz tak jest przedstawiona, jakoby w r. 1458 została utworzona odrębna od Moskwy metropolia prawosławna. Zamilcza się także kto ją stworzył. Nieuctwo historyczne, czy świadome fałszowanie historii?

²⁾ Bulla Piusa II, zaczynająca się od słów *Decens reputamus* znajduje się w *Połnom Sobranii Russkich Lefopisiej*, St. Petersburg 1853, tom VI, dodatek, str. 319.

Oto bowiem, po śmierci Grzegorza, dokonywa się w r. 1472 pod auspicjami króla obiór nowego metropolity. Zostaje nim biskup smoleński Mizaël Pstrucz, który nie stara się o uznanie Carogrodu, lecz wysyła do papieża Sykstusa IV pismo z wyznaniem wiary według uchwał soboru Florenckiego, z prośbą o potwierdzenie i udzielenie różnych łask duchownych i ze skargą na łacinników o to, że zjednoczenia Rusi z Rzymem nie respektują i różnych krzywd się dopuszczają. Niektórzy historycy podają w wątpliwość autentyczność owego pisma i fakt poselstwa do Rzymu. Rzeczywiście nie ma śladu, by Rzym na pismo Mizaëla odpowiedział. Ale większość historyków, nawet rosyjscy, pismo Mizaëla, które doszło do nas w kilku późniejszych odpisach, uznają za autentyczne, brak zaś odpowiedzi rzymskiej na nie można tłumaczyć przypuszczeniem, że nie doszło ono do rąk papieża, wysłane bowiem było okazyjnie przez arcybiskupa Antoniego Bonumbre, powracającego w r. 1476 z Moskwy z godów Iwana III z Zofią Paleolog. Niezależnie zaś od autentyczności pisma do papieża o unickich sympatiach Mizaëla zdaje się świadczyć nieuznawanie go przez Carogród, skąd nawet wysłano innego metropolitę Spiridona, nie przyjętego wszakże przez Kazimierza Jagiellończyka.¹⁾

Trzej następcy Mizaëla nie zwracali się już wcale do Rzymu po zatwierdzenie i dlatego w ostatnich dwóch dziesiątkach lat XV stulecia unię kościelną na Rusi można uważać za wygasłą, pozostała po niej tylko cenna dla Polski i Litwy pamiątka w postaci odrębności metropolii kijowskiej od Moskwy.

W tym czasie żegnamy długie panowanie Kazimierza Jagiellończyka. Syn jego i następca na tronie polskim Jan Olbracht, panujący niedługo i zajęty przeważnie innymi sprawami (Mołdawia), nie pozostawił po sobie śladów żywszego interesowania się prawosławiem i kwestią unijną. Ale na Litwie pod rządami w. księcia Aleksandra (od r. 1501 król polski) myśl o nawiązaniu unii z Rzymem kielkuje, bo w r. 1500 metropolita Józef Bułharynowicz, uznany już przez patriarchat carogrodzki, wysyła do Rzymu poselstwo ze swoją obediencją, a uczynił to chyba nie bez wiedzy lub

¹⁾ M. Niwiński, „Unia Florencka w Polsce“, *Oriens*, r. 1937, str. 99.

wbrew woli swego władcy. Być może, iż krok ten był wywołany rodzinnymi stosunkami Aleksandra. Ożeniony z Heleną, córką Iwana III moskiewskiego, Aleksander był zachęcany przez papieża, by swoją małżonkę przywiódł do prawdziwej wiary, z drugiej strony przyrzekł on był teściowi, że uszanuje religijne przekonania jego córki. Mógł więc w unii, która pozostawiała obrządek wschodni, widzieć wyjście z trudnego położenia. Ówczesny wszakże papież, Aleksander VI Borgia, nie przychylił się do starań Bułharynowicza, jako nielegalnie ustanowionego metropolitą przez patriarchę schizmatycznego i zażądał od niego uprzedniego zrzeczenia się tytułu i władzy metropolity, zanim o takowe poprosi Stolicę Apostolską. Tą formalistyczną odpowiedzią papieża przecięta została ostatnia próba unii za panowania Jagiellonów. Ruś na całe jeszcze 90 lat pozostanie odłączoną od Rzymu i dwaj ostatni królowie z tej dynastii, Zygmunt Stary i Zygmunt August, nie będą wykazywali żadnej aktywności w kierunku przywrócenia jedności kościelnej. Ale też pod ich rządami Cerkiew prawosławna rozprzęgła się coraz bardziej i staczała w przepaść i o unii bynajmniej nie myślała. Za ostatniego Jagiellona zresztą sprawy kościelne w Polsce, nawet sprawy Kościoła łacińskiego, przechodziły niebezpieczny kryzys z powodu szerzącej się herezji protestantyzmu. Nie ominęły te herezje także Cerkwi ruskiej.

Podsumujmy powyższe przypomnienia historyczne, dotyczące stosunku Jagiellonów do prawosławia i do unii. Po pierwsze przekonujemy się, że polityka ich w tej dziedzinie nie jest jednolita i nawet niekiedy za jednego panowania nie jest konsekwentna. Jagiełło, a z nim Jadwiga, Witold i Świdrygiełło, tudzież Władysław Warneńczyk okazują się szczerymi zwolennikami unii; Kazimierz Jagiellończyk w ciągu swego długiego panowania różnie się względem niej zachowuje, przeważnie jednak ją popiera; Olbracht nie wchodzi w rachubę; Aleksander jeszcze raz wznawia starania o nią; dwaj Zygmuntowie o nią nie dbają. Trudno więc mówić ogólnie o polityce Jagiellonów, jako opiekujących się prawosławiem do tego stopnia, że ta opieka wykluczała dążenia do unii. Po wtóre widzieliśmy, że dwukrotne wyodrębnienie Cerkwi od Moskwy, przejściowe w r. 1415 i trwałe w r. 1458,

nie miało wcale charakteru jakiegoś przeciwieństwa do idei unijnej, lecz przeciwnie stało w związku z nią. Pierwsze z nich było traktowane jako etap na drodze do unii kościelnej z Rzymem, a drugie było wprost darem unii, przeprowadzone właśnie dla Cerkwi unickiej przez papieża. Wreszcie, po trzecie, z powyższych przypomnień historycznych mogliśmy dowiedzieć się, że, po uniezależnieniu prawosławnych w Rzeczypospolitej od Moskwy, Jagiellonowie nie dbali bynajmniej o uniezależnienie ich także od Carogrodu, czyli o autokefalię Cerkwi prawosławnej w Polsce. Dla wybranych czy mianowanych przez siebie metropolitów wyrabiali ci królowie w Carogrodzie „błogosławieństwo” patriarchów, co upoważniało tych ostatnich do wtrącania się w sprawy cerkiewne w Rzeczypospolitej.

Taką w rzeczywistości była polityka Jagiellonów względem prawosławia. Była ona w różnych czasach różną, i jeżeli chce się mówić o rozumności tej polityki, to trzeba ściśle określić o jaki okres chodzi, bo identyfikować naprz. pod tym względem stulecia XV ze stuleciem XVI absolutnie nie można, tak one były różne, owszem sprzeczne. Jeżeli mądrą była polityka cerkiewna Jagiellonów starszych, to może być, że przyczyniła się ona w czymś do „wielkości Rzeczypospolitej”, ale w takim razie nie można późniejszej „akcji unijnej” uważać za jej przekreślenie i za nieszczęście, bo ta polityka pielęgnowała przecież ideę unii kościelnej i starała się ją w życie wprowadzić. Jeżeli zaś pod ową rozumną polityką Jagiellonów rozumieć się ma polityka obu Zygmunatów tylko, to trudno chyba upatrywać w niej źródło wielkości Polski, gdyż za ich panowania Polska, w porównaniu z państwem Kazimierza Jagiellończyka, terytorialnie już się kurczyła, a pod względem spójności wewnętrznej panujące wówczas rozbieżności religijne przyczyniało się do jej osłabienia i co najmniej wątpliwe jest, czy ówczesny stan prawosławia przyczyniał się do jej „wielkości”.

II.

Poświęćmy jeszcze chwilę uwagi „przekreśleniu” polityki Jagiellońskiej, jakim miała być akcja unijna, która doprowadziła do zawarcia unii kościelnej w Brześciu 1596 r.

Dzisiejsi sympatycy polscy prawosławia, a nieprzyjaciele „akcji unijnej” odpowiedzialnością za odstępstwo od „mądrej polityki jagiellońskiej” zwykli obarczać Zygmunta III, „narzędzie w tej sprawie jezuitów”. Warto zapytać atoli czy Zygmunt III mógł inaczej postąpić wobec zagadnienia unii, niż postąpił.

Najpierw nie potrzeba długo dowodzić, że nie pierwszy Waza był inicjatorem unii Brzeskiej. Potrzebę doprowadzenia Cerkwi ruskiej do jedności z Rzymem podnoszono już za Stefana Batorego a nawet Zygmunta Augusta. Poruszał tę sprawę ks. Sokołowski, kard. Hozjusz, snuł plany ks. Herbest, przede wszystkim zaś Piotr Skarga, który swoją książkę *O jedności Kościoła Bożego* ogłosił już w r. 1577. Ci kapłani-patrioci, nawołując do unii, wychodzili nie tylko z pobudek religijnych, ale i politycznych. Widzieli oni w unii kościelnej (podobnie jak w zahamowaniu postępów Reformacji) jeden z głównych środków ściślejszego zjednoczenia państwowego i wzmocnienia tym samym Rzeczypospolitej.¹⁾ Batory żadnych konkretnych w tym kierunku kroków nie robił, ale też nie ma podstawy do mniemania, że ideę unijną uważał za politycznie szkodliwą. Ten mądry król protegował przecież jezuitów w Wilnie, fundował im kolegium w Połocku, do ks. Skargi odnosił się z wielkim zaufaniem, a chyba znał jego i jego zakonu zapatrywania na sprawy ruskie i dobrze wiedział o dążeniach unijnych Rzymu. Mógł on bardziej sceptycznie, niż Possewin, odnosić się do nadziei pozyskania dla unii Moskwy, ale nie mógł wykluczać myśli o unii kościelnej w Rzeczypospolitej, on, który tyle się przyczynił do zatamowania postępów Reformacji. Że zaś nic konkretnego dla unii nie zrobił, to dlatego, że sprawa nie była dość dojrzała w samym Kościele prawosławnym.

Myśl o unii dojrzała w pierwszych latach panowania Zygmunta III. Wtedy to poczęto ją poważnie rozważać — już nie tylko w kołach katolickich, ale wśród samych prawosławnych. Przedtem świeżała ona już w głowie największego ruskiego możnowładcy, księcia Konstantyna Ostrogskiego, ale skomplikowana przez jego sympatie do nowo-

¹⁾ B. Waczyński, „Idea unijna w Polsce w XVI w.” *Oriens* 1938, str. 134.

wierstwa i nierealne wymagania zawarcia unii naraz przez Moskwę i Carogród. Począwszy od r. 1590 nad myślą tą zastanawiają się sami biskupi prawosławni, stając od razu na realnym gruncie unii według zasad soboru Florenckiego. Usiłują tym sposobem ratować Cerkiew bez oglądania się na unię w skali światowej. Jakie stanowisko wobec takich dążeń episkopatu miał zająć król i rząd Rzeczypospolitej? Czy jest do pomyślenia, by monarcha katolickiego państwa, ktokolwiek by nim wówczas był, mógł zahamować takie dążności, objawiane przez odpowiedzialnych kierowników Cerkwi i miał stanąć na stanowisku obrońcy schizmy wbrew biskupom, którzy z nią skończyć chcieli? Przypuśćmy, że Zygmunt III był „jezuickim wychowankiem” i „bigotem”, lecz ani jednym ani drugim nie był ówczesny faktyczny kierownik polityki polskiej, kanclerz Jan Zamojski, który jednak myśl unii gorąco poparł. Śnać widział jej pożyteczność dla polskiej racji stanu.

Istotnie polska racja stanu doradzała wyzwolić Cerkiew ruską z zależności od patriarchatu carogrodzkiego, który zamiast być w niej czynnikiem ładu, często wprowadzał większy rozstrój, a przy tym, całkowicie zależny od Wielkiej Porty (jak współczesny nam Sergiusz moskiewski od Sowietów), mógł stawać się narzędziem wrogiej Polsce polityki tureckiej. Dlatego już za Batorego rozważany był plan sprowadzenia patriarchy na stałe do Polski i osadzenia go w Kijowie, plan, który okazał się nierealny. A jeżeli ze stanowiska interesów Polski zależność Cerkwi ruskiej od Carogrodu była niepożądana, to tym samym szkodliwszą musiała się wydawać perspektywa inna — dostania się tej Cerkwi w orbitę wpływów Moskwy, w której świeżo (1588 r.) powstał patriarchat „wszech Rusi” z niedwuznaczną pretensją do opanowania także prawosławnych w Polsce. Pojęcia zaś „autokefalii” Cerkwi ruskiej w Polsce wtedy nie znano; nie było zresztą takich autokefalii nigdzie naokoło i takiego Kościoła, jak prawosławny w Polsce, nie umiano sobie inaczej wyobrazić, jak tylko zależnym albo od patriarchatu w Carogrodzie, albo od Moskwy. Jedna i druga ewentualność była dla Polski niepożądana. Pozostawała ewentualność trzecia — uzależnienia Cerkwi od Rzymu, od

tej stolicy, która nie stała w usługach żadnej wrogiej Polsce potencji. Kiedy się więc nadarzała sposobność poddania Cerkwi ruskiej papieżowi, czy mógł jakiś mądry polityk polski nie przyklasnąć temu planowi? Chodziłoby tylko o sposób przeprowadzenia planu.

Dzisiaj odzywają się głosy, ujemnie oceniający ówczesny sposób zawarcia unii, mianowicie dokonanie jej przez sam episkopat ruski bez uprzedniego przekonania się czy za nim pójdzie niższy kler i lud. Ale kto wówczas urządzał plebiscyty religijne? Czy szlachta, która narzucała ludowi, i prawosławnemu i katolickiemu, „nowinki religijne” i protestanckich „ministrów”? Właśnie wzmocnienie władzy biskupów mogło wyprowadzić Cerkiew z upokarzającej zależności od szlachty i z chaosu, a to obiecywała dać unia z Rzymem. To był jeden z decydujących momentów, które skłoniły biskupów ruskich do unii, ale to samo doradzała i polska racja stanu. Uprzedni jakiś plebiscyt? Lecz jeszcze dzisiaj, kiedy się mówi z prawosławnymi świeckimi czy duchownymi o potrzebie zjednoczenia Kościołów, najczęściej się słyszy odpowiedź: „Nie my robiliśmy schizmę, nie do nas należy ją usuwać. Powadzili się między sobą patriarchowie i papież, jest to spór przede wszystkim hierarchów, niechaj oni dojdą do wzajemnego porozumienia, to i my za nimi pójdziemy”. Tym bardziej musiano tak rozumować w XVI wieku, zwłaszcza przy ówczesnym niskim poziomie wykształcenia kleru i zupełnym niemal analfabetyzmie ludu w rzeczach wiary. I oto hierarchowie cerkwi, biskupi ruscy, po kilkakrotnych naradach, postanawiają nawiązać zerwaną dawną jedność z Rzymem i uznać w papieżu swego kościelnego zwierzchnika. Kogoż mieli pytać o zgodę? Tym bardziej, że obrządek wschodni, nabożeństwa i zwyczaje cerkiewne, słowem to wszystko, na czym ludowi zwykło zależeć, pozostawało w unii nietknięte.

Pozostawało raczej co innego do uczynienia: upewnić się, że Cerkiew po unii z Rzymem nie utraci nic ze swych uprawnień w państwie, że owszem jej powaga będzie wzmocniona przez zatwierdzenie starych i nadanie nowych przywilejów, że biskupi pozostaną na swych stolicach i używają krzesła w senacie. To właśnie zapewnił cerkwi Zyg-

munt III już w r. 1592, a w trzy lata później unia doszła do skutku. Trzeba tu dodać, że w r. 1595 zgodę na unię wyrażali, może nie wszyscy dość szczerze, ale formalnie wszyscy biskupi ruscy w Rzeczypospolitej. Dopiero po złożeniu przez Pocieja i Terleckiego obediencji w Rzymie dwóch biskupów cofnęło swoją zgodę na unię.

Wobec takiej historycznej prawdy nie wolno nam twierdzić, że unia Brzeska była szkodliwym odstępstwem od mądrej i pożytecznej polityki Jagiellonów. Raczej była ona, jak widzieliśmy wyżej, powrotem do polityki Jagiellońskiej z XV wieku po kilkudziesięciu latach przerwy za ostatnich dwóch Jagiellonów. Że równocześnie była ona podyktowana przez względy polityczne, mianowicie troską o dobro Rzeczypospolitej, to także nie może ulegać wątpliwości. Wybitny nasz historyk unii Jagiellońskiej, prof. O. Halecki, wymownie i przekonująco dowodził przed rokiem w referacie podczas tygodnia unijnego w Warszawie, że unia kościelna, ogłoszona w Brześciu 1596 r., była prostym postulatem historycznego rozwoju państwa polsko-litewskiego i naturalnym uwieńczeniem politycznej unii horodelskiej i lubelskiej.

Czy zaś spełniła unia Brzeska pokładane w niej nadzieje i jeżeli nie, to z jakich powodów? i czy w niej można upatrywać przyczynę późniejszej słabości Polski i jej rozbiorów? Pytania te wymagają dłuższej odpowiedzi, jaką postaramy się dać w najbliższej przyszłości.

Polityce Jagiellonów w stosunku do prawosławia i unii i rzekomemu tej polityki przekreśleniu przez unię Brzeską poświęciliśmy może więcej atramentu, niżby zasługiwały artykuły dziennikarskie, które dały okazję do niniejszego artykułu. Nie żałujemy jego ani wypisanego atramentu, ani zużytego czasu. Dla szerokich kół naszego społeczeństwa artykuły dziennikarskie bywają jedynym źródłem historycznych wiadomości i gdy one rzeczywistość historyczną fałszują, zwłaszcza na użytek bieżącej polityki, fałszują się pojęcia szerokich mas i tak sfałszowane odbijają się na stosunku opinii do zagadnień współczesnych. A to jest dla Polski i kompromitujące i szkodliwe.

Ks. Jan Urban T. J.

Upadłość teorii transformizmu.

Było to w pierwszych latach wieku XX. Schodziliśmy się pewnego dnia na jeden ze wstępnych wykładów zoologii na uniwersytecie warszawskim. Ogarnęło nas zdziwienie, czemu to wykład przeniesiono niespodziewanie do znacznie obszerniejszego audytorium i czemu sala wypełniła się po brzegi słuchaczami z innych jeszcze wydziałów, głównie z wydziału prawnego. Co się stało? A oto wyjaśnienie zagadki. Okazało się, że profesor miał mówić tym razem o ewolucji świata zwierzęcego, o teoriach Darwina i jego partnerów, o sporach, walkach i zwycięstwie idei. Na zakończenie sypią się huczne oklaski. Za co? Czy za wyprawę? Nie, za... teorię. Nie od nas jednak, przyrodników, lecz właśnie od owych gości-profanów. Profesor przetrzymał te wybuchy raz, drugi, ale wreszcie wyczerpała się jego cierpliwość, poprosił słuchaczy, żeby powściągnęli swój niedorzeczny entuzjazm. Na tym się skończyło.

Owi młodzi humaniści poszli jednak w życie z niezachwianą wiarą w ostateczne zwycięstwo wielkiej idei ewolucji.

Od tamtych dni minęło lat więcej niż trzy dziesiątki. Nie spuszczałem z oka tego zagadnienia, znam jego koleje i wiem, co o nim sądzić. Jednakże niedawno temu, dla upewnienia się i dla ciekawości, zwracam się znowu do tejże katedry zoologii, na tym samym uniwersytecie i pytam, jak dziś traktuje się to zagadnienie? Wykładowca, Polak obecnie, odpowiada mi uprzejmie, że w toku wykładów podaje się w zarysie dziejowym los darwinizmu;

w praktyce jednak nikt się obecnie zagadnieniem tym nie zajmuje. Odeszło na bok, przewartościowane.

Jakież zdziwienie — wyobrażam sobie — ogarnęłoby owych dawnych entuzjastów, gdyby, do dziś przetrwawszy w swym niewzruszonym przekonaniu, usłyszeli naraz taki wyrok nauki. Byłby to istny grom z nieba!

I w rzeczy samej, znaleźli się tacy, a pewno jest ich jeszcze niemało. Nawet zacny śp. Stanisław Szpotański parę lat temu, po przeczytaniu pracy angielskiego uczonego, sir Ambrose Fleming'a, pt. *Evolution or Creation*, w jednym ze swych artykułów w *Kurjerze Warszawskim* wyraził zdumienie, wobec tak nadzwyczajnych przewrotów w nauce, że się kwestionuje nawet teorię ewolucji! Jeśli ten prawy umysł nie mógł wyjść ze zdumienia, to jakże silnie przeświadczeni byli inni o niewzruszalności, prawie że naukowym pewniku darwinowskiej teorii.

Otóż czas wielki, żeby dowiedzieli się wszyscy, iż coraz twardsze wyroki nowej nauki godzą w te dawno stężale konstrukcje myślowe, zaś ze zburzeniem samowładnych dotychczas teorii idzie w gruzy zarozumiały, jednostronny pogląd na świat a kark materialisty musi się ugiąć przed duchem.

Tak, „pomimo 70 lat zażartej nieraz walki, transformizm (ewolucja gatunków) nie zdołał wywalczyć sobie prawa obywatelstwa w naukowym świecie”.¹⁾ Już wówczas wspomniany przeze mnie na wstępie profesor studził zapale słuchaczów, wołając: „więcej faktów! danych więcej na potwierdzenie teorii!” Otóż minęło odtąd lat niemało, nauka zdziałała i odkryła wiele, a faktów jak nie ma tak nie ma.

Podówczas młodym słuchaczom, o umysłach jak *tabula rasa*, mogły imponować pomysły i dowody dawnych przyrodników. Dziś nikt nie uwierzy z Lamarckiem, jakoby np. żyrafy wydłużyły sobie z biegiem czasu szyję, wspinając się ku wysokim akacjom. „Rozrost danego narządu wskutek ciągłego używania go i jego zanik wskutek nieużywania jest

¹⁾ Maurice Thomas: *Le transformisme contre la science*. Bruxelles, Lamertin, 1928.

czymś nazbyt tajemniczym a nie tłumaczy powstania całkiem nowych narządów organizmu", pisze dziś nawet taki ewolucjonista jak prof. Jan Rostand z Paryża.¹⁾ Bo „wysiłek nie stworzył nigdy najmniejszego narządu" woła ze swej strony Bergson. Śmieją się dziś z twierdzenia, jakoby — zgodnie z teorią Darwina — np. antenatom naszych sarn, miały wyrosnąć rogi przypadkiem i dopiero jako narządy pożyteczne utrwalić się i przejść drogą dziedzictwa na pokolenia następne. Czego jedynie dokonać może naturalny dobór, to usunąć z organizmu coś, co jest nieodpowiednie, nie zdoła natomiast wprowadzić najmniejszej pozytywnej nowości.²⁾ Dobór nie może kierować rozwojem jakiegokolwiek narządu w łańcuchu pokoleń, np. rozwojem rogów w szeregu jelenia, ponieważ nowotwór, dopóki jest nieznaczny, nie ma dla zwierzęcia praktycznej wartości, dopiero gdy wystąpi w stanie doskonałym, przynosi pożytek. Po cóż by więc w ciągu długiego okresu miało się utrwalac coś bezpożytecznego?³⁾

A co dotyczy darwinowskiej „walki o byt", stwierdzono, że nie zawsze bynajmniej rozstrzyga ona w kierunku pożądanym, bo często, przeciwnie, osobniki najokazalsze padają ofiarą, albo w bójce z sobą, albo jako lepszy kąsek dla drapieżcy.⁴⁾ Nie zaspokoiłby dziś przyrodnika, kto by chciał dowodzić mu z Darwinem, że zmiany kształtów muszą wówczas powstać, gdy zwierzę znajdzie się w nowych warunkach bytowania; że np. zwierzę lądowe zmuszone do częstego nurzania się w wodzie, przekształca z biegiem czasu nogi na pletwy. Wszak jak długonogie tak i krótkonogie jaszczurki jednako dobrze dają sobie radę w życiu. Zwierzęta wielopalczaste-kopytkowate (góralek), ssaki drapieżne, gryzonie, biegają na swych pięciu palcach nie gorzej niż koń na jedno-palcowym kopycie. Fokom upośledzenie nóg przednich i wykręcenie tylnych nie ułatwia bynajmniej życia w wodzie, tylko raczej życie w wo-

1) Jean Rostand: *Etat présent du transformisme*. Paris 1931, str. 72.

2) O. Hertwig: *Das Werden der Organismen* 1915.

3) L. Cuénot: *Vie et évolution?* 1928.

4) J. Rostand, op. cit. str. 110.

dzie umniejsza niedogodności takiego ustroju.¹⁾ Przeważna część rozwoju ssaków dokonała się niezależnie od zmian środowiska, a przyczyny dostosowywania się są dziś przeważnie całkiem nieznane.²⁾ W ostatnich 50 latach poznaliśmy wiele przystosowań, lecz słabe są nasze domysły na temat jak do nich doszło.³⁾ Starodawne jaszczury z okresu kredowego wyginęły zupełnie, choć były znakomicie przystosowane do warunków ówczesnych; podobny los spotkał wielkie mięczaki głowonogie: belemnity i amonity. Świat otaczający nie ma mocy, by zmienić kształty organizmu; może go tylko zmusić do wydobycia z siebie tych zaczątków, które już w danym organizmie istniały w ukryciu.⁴⁾ Darwin wyobrażał sobie, że z chwilą, gdy w dawnych epokach, morza zaludniły się nadmiernie istotami żyjącymi, niektóre z nich wypelzały z konieczności na brzegi i przekształcały się powoli w gatunki lądowe. Ale uczony angielski nie zastanowił się nad stwierdzonym dziś niewątpliwie zjawiskiem, wszystko mianowicie przemawia za tym, iż wychodziły one jedynie na brzegi stałych lądów, omijając wyspy,⁵⁾ bo tylko na stałych lądach odnaleziono ich kopalne szczątki. Dziwnym by to było i niewytłumaczalnym uprzywilejowaniem stałych lądów! I odwrotnie, taki np. wieloryb miałby się zdaniem Darwina przetworzyć z mieszkańca lądu, a dowodem jego lądowego pochodzenia miałyby być szczątki kości miednicowych, dziś już całkiem niepotrzebne. Ale twierdzenie takie jest nie do pojęcia, gdyż przez cały długi okres przemian takie przejściowe zwierzęta byłyby niezdolne do życia ani ziemnego ani wodnego i prędko musiałyby wyginać.⁶⁾

Darwin uczył, że zmiany w organizmach dokonywały się powoli, prawie że niedostrzegalnie, w ciągu bardzo długich okresów czasu, jakichś dziesiątków milionów lat. Dziś mówią uczeni z rozważą, iż hipoteza to wątpliwej bardzo

¹⁾ E. Rabaud: *Le transformisme*. Paris 1931, str. 59.

²⁾ J. Rostand, op. cit. str. 106.

³⁾ H. F. Osborn: *Origin and Evolution of Life*.

⁴⁾ Paczowski: *Podstawowe zagadnienia geografii roślin*. Warszawa 1933.

⁵⁾ D. Dewar: *Difficulties of the Evolution Theory*. London 1931, str. 19.

⁶⁾ D. Dewar, op. cit. str. 61.

wartości, bo drobna zmiana nie tylko nie przynosi korzyści, więc nie ma racji utrzymywać się, owszem przeciwnie często wychodzi dla organizmu na gorsze, jak np. redukcja tzw. przysadki mózgowej.¹⁾ Gdy zaś w grę wchodzi większa ilość narządów i ich funkcji, to niesłychanie trudno przypuścić możliwość stopniowego rozwoju przez nagromadzenie zmian drobnych, boć przecież nie wolno zapominać, iż narządy w organizmie tak są do siebie dostosowane, że najmniejsza zmiana w jednym wywołuje zakłócenia w innych.²⁾

Gdyby pomysły Darwina zgadzały się z rzeczywistością, to jakież mnóstwo istot przejściowych, a więc niezupełnie wykształconych i dostosowanych do życia, musiałyby wypełniać dziś ziemię. A jakie niesłychane masy szczątków wymarłych ogniw pośrednich musiałyby się znajdować w warstwach skorupy ziemskiej. Tych form pośrednich musiałyby być dziesiątki, setki razy więcej niż gatunków wykończonych. Tymczasem jest wprost przeciwnie. Te zaś formy rzekomo pośrednie, które istnieją, lub które odnaleziono stanowią w istocie odgraniczone od siebie, nie mieszające się gatunki, noszą niezmiennie oznaki rodzin, rzędów i klas systematycznych.³⁾ Chaosu form pośrednich nie ma.

Jakżeż jednak wyjaśnić słynne „prawo biogenetyczne” Ernesta Haeckla? Wszak ontogeneza powtarza filogenezę: zarodek zwierzęcia wyższego, np. ssaka, w rozwoju swym embrionalnym przebywa przecież po kolei stadia zwierząt niższych, z jakich w okresie wielowiekowej ewolucji miało się wykształtować. Taki np. zarodek człowieka ma najpierw kształt niby pęzaka czy wymoczka, potem robaka, potem ryby z łukami skrzelowymi, wreszcie zwierzęcia ssącego...

Rabaud wyrokuje krótko: „prawo biogenetyczne” Haeckla — to pomysł zuchwały, pośpieszny i kruchy.⁴⁾ Będzie ono zawsze dowodem i ilustracją, jak to w pierwszym zapale teoria transformizmu posunęła się zbyt daleko.⁵⁾ Organizm ludzki musi przecież zaczynać od jednej komórki,

¹⁾ Rabaud, op. cit. str. 97.

²⁾ H. Romanowski, op. cit. str. 38.

³⁾ D. Dewar, op. cit. str. 34.

⁴⁾ Op. cit. str. 22.

⁵⁾ J. Rostand, op. cit. str. 24.

bo to zasadnicza postać wszelkiej istoty żywej, ale poza tym zarodki zwierząt tak się między sobą różnią, że nie może być mowy o odtwarzaniu przez nie szeregu przodków. Zresztą ten dział biologii najslabiej jest postawiony.¹⁾ Do roślin zaś wcale się to „prawo” nie stosuje, a przecież, jeśli ma być prawem, winno być powszechne; wszak rośliny mogą również mieć pretensje do posiadania przodków wspólnych.²⁾ Zewnętrzna prostota „prawa biogenetycznego” maskuje tylko jego komplikacje i nadaje mu pozory, że coś niby wyjaśnia, gdy w rzeczywistości fałszuje tylko stosunki historyczne.³⁾ „Prawo” to przedstawia prosty szkic, zarysy przyszłych narządów zarodka, ich pączki, ośrodki — jako narządy organizmów niższych, rzekomych przodków.⁴⁾ Z podobieństwa kształtów w pewnych stadiach wnioskuje, że pozostają one z sobą w związku genetycznym. A przecież podobieństwo zarodków nie upoważnia do wniosku, iżby takie formy musiały kiedyś istnieć rzeczywiście. Zasadniczy typ kręgowca jest oderwanym pojęciem, abstraktem i dlatego właśnie jest wspólny wszystkim rzędom, rodzinom i odmianom.⁵⁾

Bywają jednak przykłady, że nawet poważni uczeni błędzą, chcąc dowieść „prawa biogenetycznego”. Osborn np. utrzymuje, że u zarodka konia pojawia się drugi i czwarty palec w ząbku, i trwają kilka miesięcy. Tymczasem nie palce, lecz przedręcze, palców zaś ani jeden zarodek nie wykazuje więcej, niż ma ich zwierzę dorosłe. A owe rozslawione szpary i luki skrzelowe i otwór w przegrodzie sercowej u ssaków w zarodku — to nie dowody pochodzenia ssaków od ryb i gadów, lecz urządzenia na własny użytek zarodka. Nie jest to więc żaden dowód, że zarodek ssaka przechodzi przez stadia robaka, ryby itd., ale że zarodki ryb, ziemnowodnych, gadów, ptaków rozwijają się po jednej i tejże samej linii, więc muszą być w pewnych stadiach do siebie podobne.⁶⁾

¹⁾ O. Hertwig, op. cit. str. 217.

²⁾ D. Dewar, op. cit. str. 37.

³⁾ Th. Morgan; *Embriologie et génétique*. 1936, s. 204.

⁴⁾ L. Vialleton; *L'origine des êtres vivants*. 1924, s. 179.

⁵⁾ Dr F. Andermann; *Irrtum und Wahrheit in der Biologie*. Wien, Leipzig, Bern. Verlag für Medizin. Weidmann. 1937, s. 211, 81.

⁶⁾ D. Dewar, op. cit. str. 49.

Jak bezwartościowym jest dowód zaczerpnięty przez transformizm z embriologii, tak również nie posiada naukowej wartości argument oparty na narządach szczątkowych. Narządy nazywane przez ewolucjonistów „szczątkowymi” nie wskazują bynajmniej na dalekich przodków gatunku, lecz mają swój sens doraźny. Zarodkowych nerek, tzw. nefrydiów, które mają świadczyć o przebytych niegdyś stadium robaka, pojawiają się dwie, trzy pary, potem więcej, w miarę wzrostu i potrzeb zarodka; ale te nerkowate twory nie wyrastają nigdy na nerki dorosłych, lecz przy rozwoju ustępują miejsca nerkom ostatecznym. Muszą być położone bliżej głowy, gdyż tego wymaga potrzeba zarodka, ale nie dla odtworzenia anatomii przodków. Ogonek zarodka ludzkiego trwa tylko 5 do 6 tygodni. Lecz jeśli „nadliczbowe palce” nie pojawiają się u zarodka konia i nie znikają potem — jakby tego pragnęli ewolucjoniści — jeśli ta stosunkowo świeża „utrata palców” nie „odtwarza się”, to czemużby znacznie dawniej „utracony” ogonek miał się w zarodku człowieka odtwarzać? Nie, wydłużenie ogonka ludzkiego wskazuje tylko, że ta struktura niezbędna jest w okresie organizowania się ciała zarodka. Wszystkie te tzw. „szczątki” pozostają w pełnej harmonii z mechanizmem rozwoju, mianowicie należą do rusztowania, zarysu, zadatków organizmu.¹⁾

Nie tak jak głosi teoria rekapitulacji: nie na „niewiele tygodni przed narodzinami”, ale przeciwnie, już zawczasu ujawnia się, do jakiego działu zwierząt zarodek należy. Profesor J. Tur z Warszawy już na wczesnych zarodkach ptasich odróżniał bezbłędnie np. gawrona od kury.

Było modnym, czas jakiś, powoływać się, dla poparcia teorii rozwoju, na reakcję krwi. Zaniechano już tego obecnie. Bo ten „dowód pokrewieństwa” roi się od niedorzecznych wyników. Z przeprowadzonych przez Nutalla prób wynika, że niektóre osobniki ludzkie byłyby zbliżone bardziej do małp człekokształtnych niż do ludzi. Tylko 71% badanych ludzi wykazało w pełni wymaganą na działanie osocza ludzkiego reakcję; trzech ujawniło większe zbliżenie do małp

¹⁾ Vialleton, op. cit. str. 179.

Starego i Nowego Świata niż [do ludzi, inni zaś byłiby nawet, według hipotezy, blisko spokrewnieni ze ssakami drapieżnymi, gryzoniami i kopytnymi. Zakrawa to na humoreskę. A znów niektóre walenie byłyby bliższe swą krwią człowiekowi niż nawet małpy. W stosunku do antyserum kopytnych — najbliżej nich znajdowałyby się wieloryby, a najbliżej znowu wielorybów... nietoperze. Ostatecznie, z prób krwi można wnioskować co najwyżej tyle, że u ssaków (nie u ptaków) nie będzie nigdy pełnej reakcji na krew inną, niż pochodzącą od zwierzęcia tegoż samego rzędu systematycznego co ono, a często z tejże samej rodziny. Także między wieloma rodzinami zachodzi pewna wspólność chemiczna krwi.¹⁾

Ściśle biorąc, do rozstrzygnięcia kwestii pochodzenia gatunków wystarczy głębiej rozważyć jedną okoliczność. Wymaga to wszelako dobrej znajomości świata organicznego dzisiejszej doby i dawnych okresów.

Gdyby gatunki zwierząt powstawały w ciągu dziejów drogą przekształcania się z jednej wspólnej pierwotnej postaci, przez stopniowe wszechstronne przemiany, to świat zwierzęcy przedstawiałby dziś chaos nierozpoznawalnych systematycznie osobników, bez możliwości wyodrębnienia i rozgraniczenia gatunków. Małpy naprz., że weźmiemy pod uwagę grupę najmłodszą — byłyby: jedne skaczące na czworakach, inne już wyprostowane, jedne nieme, obok zaś zaczynające mówić, inne jeszcze już z zaczątkami kultury... i tak dalej. A tego przecież nikt absolutnie nie stwierdził.

Mamy na świecie gatunki już gotowe, wykończone, a nie jakieś robiące się dopiero, zmierzające do jakichś form wyższych. Nie ma ryb bliskich wyjścia na ziemię (co innego dwudyszne i skaczące), jaszczurek dostających skrzydeł (co innego *Draco volitans*) itd.

Bronią się zwolennicy transformizmu twierdzeniem, że nasze historyczne dzieje ziemi stanowią zbyt krótki okres istnienia świata, ażeby w nim można uchwycić te zmiany. Ale odpowiedzieć można, że gdyby gatunki bliskie wspólnego pochodzenia, naprz. koń i osioł, przekształcały się je-

¹⁾ D. Dewar, op. cit., s. 31, 2.

den w drugi, to przecież ich stosunek do siebie, w ciągu tysięcy lat, odkąd je znamy, zdążyłby się jakoś, choćby w drobnym stopniu zaznaczyć; zmierzałby ku czemuś, czy to ku złaniu się w jedną postać, czy ku większemu różniczkowaniu się. Tymczasem nic z tego nie widać. Różnice, choć niewielkie, wciąż między nimi trwają, i to wciąż te same. Zawsze dzieli te dwa gatunki brak skłonności płciowej, a kojarzenie sztuczne przez hodowcę daje nieplodne potomstwo. I tak jest ze wszystkimi, choćby bliskimi sobie gatunkami i zwierząt i roślin.

Bo też chodzi tu o wielkie, naturalne, pierwotne gatunki, o nieznanych nauce początkach. W ich obrębie mogą zachodzić przemiany nawet widoczne na oko, i tak mamy liczne odmiany, rasy psów, koni, gołębi, ogrodowych roślin itd. Ale z nich nigdy nowy gatunek nie powstał! W całej swej różnorodności barw i zarysów składają się zawsze na jeden gatunek; a każda grupa wykazuje skłonność powrotu do pierwotnej, „dzikiej” formy.

Gdyby istniał w przyrodzie jakiś pęd ewolucyjny, to gdzież ukryłyby się jego momenty pośrednie, tak niedostrzegalne? „Niższe” organizmy wciąż jeszcze żyją obok „wyższych”.

W cóż się więc obraca zasada, że muszą one dążyć z natury do osiągnięcia form wyższych? Nie może tylko pewna jakaś uprzywilejowana część żyjących istot podlegać doskonaleniu, reszta zaś nie, bo na czym oprzemy taki przywilej? Co jest niecelowe, musiałoby wyginać w „walce o byt”. Tymczasem nawet najpierwotniejsze organizmy jak bakterie, jednokomórkowce... trwają; natomiast, wbrew oczekiwaniu, wyginęły jaszczury, mamut, olbrzymi leniwiec itd., a więc zwierzęta daleko posunięte na swej drodze rozwoju. Widzieli tę trudność i Lamarck i Darwin; stąd ten ostatni uciekł się do niefortunnego i na wskrós nienaukowego pomysłu samoródtwa.

Gdyby zatem ewolucja była prawem przyrody powinno by na ziemi wyglądać inaczej niż wygląda obecnie. A tymczasem stwierdzamy, że klasy owadów i ptaków są względnie ubogie w kształty, mało urozmaicone, a przecież bogate w gatunki; ssaki zaś wykazują obfitość względną kształtów,

a za to skąpość gatunków. Otóż jeśli ta dzisiejsza różnorodność typów u ssaków powstała drogą ewolucji, to form pośrednich, czyli bliskich sobie gatunków, powinno być u nich istnieć znacznie więcej niż wśród ptaków. A jest znowu wprost przeciwnie.¹⁾ W dodatku, podkreślmy znowu niesamowity szczegół, że te drobne, ledwie dla znawcy rozpoznawalne gatunki ptactwa (np. ze śpiewających, żyje u nas kilkanaście gatunków samych pokrzewek) są ostro pooddzielane od siebie, nie kojarzą się ze sobą pomimo tak bliskiego pokrewieństwa i tak wybitnego podobieństwa.

Lecz nie tak nie przemawia za teorią rozwoju — upewniamą nas transformiści — jak paleontologia. Skamieniałe szczątki pancerzów zwierzęcych i kości wygrzebywane często z ziemi, świadczą, że istniało niegdyś mnóstwo postaci przejściowych między zwierzętami niższymi a wyższymi. Paleontologia zatem rozstrzyga sprawę na korzyść ewolucji.

Czy prawdą jest to twierdzenie? Czy w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu nagromadzono istotnie szeregi upragnionych i obiecywanych od dawna „ogniw pośrednich”, *missing links*?

Otóż najpierw zwróćmy uwagę na fakt, że terminy „wyższy”, „niższy”, w stosunku do organizmów zupełnie są nie na miejscu. Nawet „prosta” komórka jest wielce złożonym ustrojem, żadną miarą nie podobnym do ulubionej abstrakcji biochemików: kropli żelatyny w półprzenikliwej błonie.²⁾ Po wtóre, w paleontologii mamy o jeden sprawdzian mniej niż w biologii: nie można bowiem przez obserwację stwierdzać odrębności gatunków, jak to się czyni przy hodowli. Brak zatem najpewniejszego środka do rozróżnienia gatunków i odmian, bo mamy do czynienia z materiałem nieżywym.

Istotnie pierwsze, powierzchowne wrażenie z widowni paleontologicznej pobudza żywo wyobraźnię. Roi się tam od tworów tak postulowanych usilnie przez transformizm, a więc: półskorupiaków - półryb, półryb - półpłazów, półgadów - półptaków, półgadów - półssaków... Ale to tylko pierwsze

¹⁾ F. Andermann op. cit., 39, 40.

²⁾ Dr Carrel Alexis: *L'homme cet inconnu*. Paris. Plon. 1936, s. 84.

wrażenie. Głębsze zaś badania mówią o czymś zupełnie odmiennym.

Wszak gdy nam przedstawia nowoodkrytą skamieniałą postać, jako nadającą się do wstawienia między dwa istniejące gatunki, nie znaczy to bynajmniej, iż tym samym stwierdzono, że to zwierzę było istotnie jakimś pośrednim członem łącznym. Przecież w podobnym położeniu znalazłby się paleontolog w bardzo odległej przyszłości, gdyby mu przedstawiono, po hipotetycznej zupełnej zagładzie naszej obecnej fauny, kości dwóch ras naszych psów, np. charta i jamnika. Niewątpliwie grubo by zbłądził, oceniając je według pozorów, a w myśl założeń teorii ewolucji. A przecież wśród gatunków naszych np. ptaków śpiewających bywają często daleko drobniejsze różnice niż między rasami psów, a mimo to dzieli je bezwzględna odrębność gatunków.

Stąd nawet najuporczywsi ewolucjoniści co krok przyznawać się muszą do wątpliwości i ignorancji. Dziwi ich, że życie, wbrew przewidywaniu teorii, występuje na ziemi od razu obficie, nie po trochu; tzw. np. trylobitów (skorupiaków, bezkręgowców) znaleziono w warstwach kambryjskich (najstarszy okres życia na ziemi) 800 rodzajów i 1700 gatunków.¹⁾ We wczesnym kambrium spotykamy wysoko już wyspecjalizowane formy, np. *Lonicella pedunculata*. Skorpiony morskie (*Eupteridae*) do najwyższego rozwoju doszły w dewonie, a potem naraz wygasły²⁾, a przecież powinny były rozwijając się w dalszym ciągu, wytworzyć pająki i owady.

Już w okresie *ordovicianum* znajdujemy wiele typów ryb np. płaskie i wrzecionowate, a nawet najniższe ryby posiadają te same gruczoły co najwyższe. Grupa ryb rozwinęła się więc wcześniej i wcale nie po linii przewidzianej przez teorię, lecz gdzieś jakby na uboczu.³⁾ O rzekomym przejściu od ryb do ziemnowodnych świadczy jedyny odcisk trójpalczastej stopy (*Tinopus antiquus*) w pensylwańskim dewonie.⁴⁾ Czemu nie pięciopalczastej, jak się tego domaga ewolucja?

¹⁾ Według wykazu Zittel'a, 1903.

²⁾ H. F. Osborn, op. cit. s. 140.

³⁾ J. Rostand, op. cit. s. 171, 2.

⁴⁾ J. Rostand, op. cit. s. 181.

Skrajny ewolucjonista Mac Cabe jest zmuszony do całego szeregu takich żenujących wyznań. Nie chce np. wchodzić w „bardzo sporną kwestię bliższego pokrewieństwa stawonogów”; jedni twierdzą, że krocionogi pochodzą od owadów, inni skądinąd je wyprowadzają; „ale to tylko rzecz spekulacji”. Niejasny jest również rozwój owadów. Czy ryby rozwinęły się z trylobitów, czy z morskich skorpionów (*Pterygota*, *Eupterus*) — to sprawa całkowicie ciemna. Kiedy w skałach dewońskich wykryto szkielety ryby *Neoceratodus*, zdawało się, że to właśnie oczekiwany rybi przodek kręgowców, bliższe jednak badania uczyniły tę rzecz wątpliwą. Co do pochodzenia ptaków — brak ogniów pośrednich; zoologowie dają tylko niepewne i bardzo ogólne wskazania. Brak wszelkich szczątków dla zaryzykowania genealogii form przejściowych. Wprawdzie wśród pterozaurów (jaszczurów latających), tuż przed ptakami, obserwujemy jakoby rozwój w kierunku ptasim: zjawia się już i sterzcza kość piersiowa i dziób zamiast zębów i kości wewnątrz puste, aż oto... cały ten szereg ginie nagle bez śladu, a ptaki „rozwijają się z całkiem innej gałęzi gadów”.¹⁾ Jakiej? Tego się już nie mówi. A cóż sławetny *Archaeopteryx*, kopalny ptak z pokładów jurajskich — o długim lecz pierzastym ogonie, zębatej wąskiej paszczy i pierzastych lecz z pazurami skrzydełach? To nie przodek ptaków, nie ogniwo łączne z gadami, gdyż brak innych członów obok niego, nie ma łańcucha, jest co najwyżej kilka odosobnionych członów, będących, zdaniem samych transformistów, ogniwami kilku różnych łańcuchów (jaszczury latające, jaszczury biegające na tylnych nogach, jaszczury dziobate, *Hesperornis*).²⁾ *Archaeopteryx* mógł być jedynie ptakiem osobliwego rzędu, wygasłym, podobnie jak w epoce naszej, przed dziesiątkami, czy setkami lat, ptaki *denta* i *moa*. A w następnym zaraz okresie kredowym ptaki były już bardzo obfite, rozrosłe w liczne rodzaje. Gdzież czas na ewolucyjne wytworzenie się tych nowych postaci?

Podobnie jest z wywodzeniem ssaków. „Nie możemy powiedzieć, żeby owe *Theriodonta* (płazy kopalne) były

¹⁾ Mac Cabe: *The new science and the Evolution Theory*. London 1930, s. 163.

²⁾ D. Dewar, op. cit. s. 139.

przodkami ssaków“, chyba tylko „bliskie punktu ich pochodzenia“. „Wystrzegać się należy przenoszenia wprost w epokę mezozoiczną (geologiczne średniowiecze) dzisiejszych rodzajów *Monotremata* i *Marsupialia* (dziobak i workowce)“. „Nie były one takie jak dzisiejszy dziobak, jak to je przedstawiają na rysunkach; to błąd“. Tak znowu wyznaje transformista Mac Cabe.

Z założeń teorii wynika, że ssaki workowate ukazały się wcześniej od innych, tymczasem niedawno właśnie w wierzchnich warstwach z okresu kredowego znaleziono pierwszego workowca (*Eudelphis*), a jednocześnie pierwsze ssaki owadożerne, rząd zoologicznie dalszy.

Za klasyczny przykład stopniowego rozwoju służył zwykle transformistom głośny „szereg konia“. Z małego pięciopalczastego zwierzątka *Eohippus* z eocenu, pierwszego okresu epoki trzeciorzędowej (bezpośredniej przed naszą), stopniowo, przez utratę palców, powstać miał z biegiem wieków nasz koń dzisiejszy, jednopalczasty. Człony tego szeregu: *Eohippus*, *Orohippus* i *Epihippus* — mają po 4 i 3 palce i niskie korony zębów trzonowych; późniejsze — *Mesohippus* i *Miohippus* z oligocenu — po 3 palce i niskie korony; siedem innych rodzajów: długie korony; po nich idą członowie mające coraz mniej palców, a więc: *Palaeotherium*, *Paloplotherium*, *Anchitherium*, *Hipparion* i całkiem jednopalczasty *Hippus*, koń. Otóż całe to stopniowanie szeregu koni jest jednym wielkim złudzeniem — orzeka Dépéret — i wcale nam nie wyświetla paleontologicznego pochodzenia konia. Na podstawie niektórych danych anatomicznych można te zwierzęta zestawić ze sobą, ale na podstawie innych uczynić tego nie można. Jest rzeczą zgoła niepewną, czy to jeden szereg, a jeszcze bardziej wątpliwą, czy między tymi członami istnieje związek genetyczny. Nie ma tu wcale wymaganej dla szeregu ciągłości. Każda z jego form stanowi odrębną grupę, ostro morfologicznie odciętą od reszty.¹⁾ Cały ten szereg jest wątpliwej natury, sądzą dziś Steinmann, Schlosser, Westhoffer. Zdaniem Dépéret'a muszą to być „odrębne, równoległe gałęzi, wymarłe bez potomstwa; ich

¹⁾ F. Andermann, op. cit. s. 47.

przodków trzeba by szukać gdzieś znacznie wcześniej". To pewna, że nie ma stopniowych przejść między tymi grupami, mówi F. Andermann. Podobnie ma się sprawa z innymi analogicznymi „szeregami”, a więc z „szeregiem” słoń, niedźwiedzi. Nie lepszy jest również znany z podręczników szereg ślimaków — jak świadczy Steinheimer. Gdyby odkryto choć po pięć form kopalnych, pośrednich między tymi „ogniwami”, znacznie by wzrosło prawdopodobieństwo ciągłości, lecz takich form dotąd nie ma.¹⁾

Od wielce niegdyś rozpowszechnionych jaszczurów do żółwia dzisiejszego wieść by powinien długi łańcuch form pośrednich, a jednak ani śladu takiego łańcucha. Z pierwotnych ssaków zostały ledwie ułamki szczęk; nie wykryto form, które by tłumaczyły powstanie trzech pierwszych grup ssaków (*Triconodonta*, *Pantodonta*, *Symmetrodonta*). Znamienne to przerwy: mamy już mnóstwo postaci wcześniejszych, mnóstwo następujących, a tych, tak właśnie upragnionych, brak. Potem zaś, naraz, w okresie eocenicznym, na początku trzeciorzędu, pojawia się cały szereg nowych ssaków. To też sami ewolucjoniści nie mogą wyjść z podziwu, „jak niezbadanymi drogami kroczyła ewolucja”. W ostatnich trzech dziesięcioleciach zdobyliśmy ogromną obfitość wszelkich szczątków dawnego życia zwierzęcego. Kopie się przecież nie tylko w Europie i w Stanach Zjednoczonych, lecz i w Ameryce Południowej i w Afryce i w Indiach i w Chinach nawet; okazów przybywa, napełniają się muzea... jedyne pożądanych ogniw łącznych, jak na złość nie ma i nie ma. I nie będzie ich nadal, z tej prostej racji, że nigdy nie istniały.²⁾

Z tym wszystkim nauka zyskuje coraz pewniejsze dane. Współczesny nam ornitolog z Indyj angielskich, Douglas Dewar, obliczył, ile rodzajów żyjących tam ssaków zna zoologia dzisiejsza, ile zaś wykryto w skamieniałościach. I dochodzi do wniosku, że nie podobna, aby jakiś rodzaj lądowy mógł się nie zachować skamieniały w pokładach

¹⁾ S. van Houwensvelt; *Darwinisme has deceived humanity*. London, 1931, s. 85.

²⁾ F. Andermann, op. cit. s. 48.

ziemi. Na 116 dziś istniejących tam rodzajów jest 61 rodzajów skamieniałych, a mianowicie: na 14—7 (50%) wodnych, na 41—8 (20%) drzewnych, na 61—46 (75%) ziemnych. 55 rodzajów brak w skamieniałościach, ale też z nich 24 mają po jednym zaledwie gatunku (widać nowe albo wygasające); z 33 dawnych — istnieją tylko drobne, więc łatwo je przeoczyć; 18 — to nietoperze, z których 13 drobnych, a 3 mają tylko po 1 gatunku; z 15 lądowych — 5 jest wątpliwych, czy stanowią rodzaje (np. *Cynailurus vivericula*), 10 — to myszy; dwa wreszcie gatunki są bardzo rzadkie. Oto bilans. Stąd zaś wniosek, że gdyby duża jaka grupa miała swego przodka w dawnych zwierzętach niższych, to setki jej szczątków i tysiące form pobocznych powinny dać się odnaleźć. Tych szczątków przejściowych powinno być, rzecz prosta, bez porównania więcej niż skończonych form żyjących. Gdzież się więc one podziały? Nie ma po nich śladu!

I mamy w paleontologii inne jeszcze dane, kłójące się z teorią rozwoju. Przytoczymy z nich choćby parę. W jaki to sposób łuska gada miała się przekształcić w ptasie pióro? Mamy kopalne łuski, mamy kopalne pióra, nie mamy natomiast przejścia między nimi. Czemu pierwsze zwierzę lądowe zostawiło po sobie skamieniały odcisk stopy trójpalczastej, skoro pierwotna stopa winna, według teorii, mieć palców pięć? Kłopotliwe pytania...

Zawrotne metamorfozy dawnej fauny drwią sobie z wszelkiego wyjaśnienia. Nie wytłumaczy transformizm, czemu część świata ustrojów z różnych epok zachowała się do dziś bez zmiany, a reszta przebywać miała tak szalone ewolucje. Reguły żadnej znaleźć na to nie można. Widzimy raczej uchylenie się od wszelkiej regularności.¹⁾ Dlaczego pewne formy zwierząt w danych okresach rozkwitają bujnie, a potem znikają na zawsze. Stąd w prekambrium i kambrium panują pewne grupy bezkręgowców (trylobity), w epoce paleozoicznej — ryby, w mezozoicznej płazy, w trzeciorzędzie ssaki. Zaspakajającego wyjaśnienia brak. Odmawiają go nawet Lamarck i Darwin. Diener oznajmia: nie da się wskazać przyczyny, bo ani przeinaczenia mórz

¹⁾ F. Andermann, op. cit. s. 59.

i lądów, ani zmiany klimatu, ani darwinowska walka o byt zjawisk tych nie tłumaczą.¹⁾

Wiele jest faktów, o których wyrokować nie podobna. Zwłaszcza, że nowe odkrycia przekreślają dawne próby wyjaśnienia. Okazuje się, iż wiele grup zwierząt powstało znacznie wcześniej niż uprzednio sądzono. Że pierwszą klasę kręgowców znaleziono dopiero w sylurze, to tylko z powodu braku wykopalisk (Dépéret), tymczasem dziś wiemy, że były one wcześniejsze. I płazy istniały dawniej niż sądzono (Koken). Tylko co do ptaków i ssaków brak nam jeszcze danych. Nieraz dlatego tylko jakieś formy wydają się późnymi, że danych osobników stosunkowo niewiele istniało, np. dziobaków, małą czelątkokształtnych. Nierzadko okazuje się, że jakieś bezkręgowce jawiły się po wyższej grupie, po kręgowcach. Nie zgadza się to znów z wymaganiami teorii rozwoju. Np. ślady ssaków widzimy już w tryjasie, podczas gdy *Archaeopteryx'a*, pierwszego ptaka, mamy dopiero później — w jurze. Obecnie można przypuszczać, że ptaki i ssaki sięgają aż w kambrium, tylko bardzo nieznaczne i rzadkie są ich ślady. Tym bardziej jeśli w istocie odstęp między sylurem, kredą i trzeciorzędem były o wiele krótsze, niż je wymierzili geologowie.

Orientujemy się dziś, że we wczesnych epokach wcale niemniej żyło gatunków, niż w późniejszych, lecz raczej większe mnóstwo i w większej różnorodności. Ssaki np. liczniejsze były na początku trzeciorzędu niż później. W jurze, czyli na początku geologicznego średniowiecza, Neumayr liczy 750.000 gatunków, z czego dziś znamy zaledwie 10.000, czyli mniej niż 2%. Czy taki ma być wynik stopniowego rozwoju?²⁾

Ustało też w nauce modne dawniej kreślenie „drzew genealogicznych” świata zwierzęcego. Znaczący doszli do przekonania, że nie odpowiadają one rzetelnym badaniom pochodzenia (O. Hertwig), dlatego też prawdziwi uczeni narażać się nie chcą na źle uzasadnione hipotezy.³⁾

¹⁾ F. Andermann, op. cit. s. 64.

²⁾ F. Andermann, op. cit. s. 65.

³⁾ E. Rabaud: *Le transformisme*. Paris 1931, s. 99.

Zaznaczyć należy, że ogromne cyfry przytaczane na oznaczenie trwania epok i okresów geologicznych wynikły w znacznej mierze tylko z potrzeby wytłumaczenia powolnych zmian ewolucyjnych. Najprawdopodobniej jednak długość dawnych epok mocno przeceniono. Bo zresztą ocena wieku skał w warstwach skorupy ziemskiej jest całkiem niepewna. Jedynie pewne jest następstwo w czasie czterech wielkich epok ziemi, czyli ich wiek względny: absolutny zaś czas ich trwania waha się w nadzwyczaj szerokich granicach. Jedni na sam eocen wyznaczają aż 31 milionów lat (Strutt, 1910), inni cały trzeciorząd (eocen + cztery dalsze okresy) zamykają w dwóch tylko milionach lat. Różnica chyba nie mała! Dawniej za miarę czasu brano domniemane trwanie tworzenia się osadów, tempo wypłukiwań itp.; obecnie zwrócono uwagę na przemiany radioaktywne, biorąc za podstawę obliczeń: czas potrzebny na rozpad uranu na pierwiastki hel i ołów. Ale i to nie daje żadnej pewności. Można bowiem, słusznie postawić pytanie czy zawsze z jednaką szybkością rozpadał się uran, a powstawał hel i ołów? Wszak fizyczny stan ziemskiej powłoki zmienia się z biegiem okresów, a zmiany wpływają na tempo rozpadu.¹⁾

Nie zyskała też nic na tym teoria rozwoju, gdy darwinowskie pojęcie stopniowych, drobnych przemian zastąpiono, dość już zresztą dawno — tzw. mutacjonizmem Hugona de Vries'a. Znane hodowcom i ogrodnikom zjawisko, że pojawiają się nieraz nowe kształty, i to nagle, skokami niejako, bynajmniej nie popiera ewolucji. Sam de Vries wyznał w ostatnim swym odczycie, że mimo wszystko nie jest wiadome nauce, iżby jaki nowy gatunek powstał z innego. A przecież od stu lat tysiące badaczy prowadzi w tej dziedzinie doświadczenia. Co może powstać skokami, to najwyżej nowa odmiana, rasa, nie wychodząca poza obręb gatunku. I wobec tego jakim prawem mógł tenże de Vries wypisać na swej książce tytuł: *Od ameby do człowieka?* Ubocznie sam przecież przyznaje się do przegranej: „mamyż wywnioskować, że mutacji nie obserwowano?” „To krzyk rozpacz

¹⁾ F. Andermann, op. cit. s. 61.

w biologii" — tak określa owo zdanie de Vries'a Ch. Darwinport.¹⁾ A przecież tak pięknie wywodził niegdyś Darwin, że „odmiany — to tylko powstające nowe gatunki”.²⁾ A cóż wobec tego warta jest cała *Ewolucja twórcza* Bergsona, oparta przede wszystkim na de Vries'ie?

To też obecnie — poza pewnym procentem wyjątków — w poważnym świecie nauki... milczy się o ewolucji.

Doświadczony polski badacz roślin, Józef Paczowski, w kapitalnej swej pracy: *Podstawy zagadnienia geografii roślin* (1933), zaznacza niejednokrotnie, iż pojęcie ewolucji wymazuje się po prostu z umysłu czytelnika. Zwrócił na to uwagę sprawozdawca w *Przyrodzie i technice* już przed paru laty.

Do dziś — pisze J. Paczowski — kwestia powstawania gatunku nie jest rozstrzygnięta, choćby w jednym miejscu ...Dzisiejsza koncepcja gatunku jest taka: pewna populacja nie tylko osobników jednakowych, ale i typów drobniejszych — to gatunek (str. 102) ...jest jednostką złożoną, nieraz bardzo, z ras i gatunków (str. 262)... Czynniki zewnętrzne wydobywa te tylko zmiany, które *in potentia* założone są w organizmie ...Roślina nie jest obiektem biernie poddającym się wpływowi środowiska, ale przeciwnie, reaguje nań celowo (str. 194) ...Jak powstały pierwsze organizmy — nie wiemy (str. 255). Sądzić należy, że już w zaraniu życia potworzyły się różne typy organizmów (str. 256) ...Zwierzęta musiały się pojawić od razu w takiej ilości, jaka jest właściwa każdemu.

Bruner też wyraża pogląd, że wszelkie życie organiczne powstało na ziemi mniej więcej jednocześnie. Nie z jednej postaci pierwotnej lecz z jednego życiowego pierwiastka pochodzą wszystkie gatunki. Co zresztą nie jest wcale nową hipotezą.³⁾

Na tym też zatrzymać się musi nasze pojęcie o gatunkach. Taka będzie nasza *docta ignorantia*.

Douglas Dewar obliczył w roku 1931, że koło 10.000 publikacji ukazuje się co rok z zakresu samej zoologii, a wśród nich mnóstwo trudnych do pogodzenia z ideą ewolucji.

¹⁾ Americ. Naturalist, 1916.

²⁾ V. Houwensvelt, op. cit. s. 53, 58.

³⁾ F. Andermann, op. cit. str. 64.

Rozdźwięk ten rośnie ciągle. Szkoda wobec tego, że pewni nieliczni zresztą uczeni katoliccy upierają się przy transformizmie. Prof. Jan Rostand z Paryża, na poparcie uporczywie bronionej teorii, przytacza jako zwolenników ewolucji ks. kan. Grégoire z Lowanium, o. Teilhard de Chardin T. J.; możemy dołączyć o. Sertillange'a O. P. i p. André Georges'a,¹⁾ autora artykułów przyrodniczych w *La vie intellectuelle*. Jeśli pisarze ci, swojego czasu, pod naciskiem strony przeciwnej porobili ustępstwa, jako że umiarkowaną ewolucję można pogodzić z chrześcijańską filozofią, to teraz powinni śmiało zerwać z tym ustępstwem.

Nie mamy prawa wiązać religii z teorią naukową, jakkolwiekby była prawdopodobna. Wiedza rozwija się, a więc zmienia, dogmat zaś religijny zostaje niewzruszony. ...Przy hipotezie transformistycznej obrona dogmatu staje się trudniejsza, ...działanie Boga mniej oczywistym dla umysłów powierzchownych. Religia katolicka nie wiąże się z żadną teorią, za żadną nie bierze na siebie odpowiedzialności.²⁾

Zatwardziałość zaś przyrodników, takich jak J. Rostand, Rabaud, Osborn, Mac Cabe, stąd zwykle pochodzi, że zatopieni w swej specjalności, zacieśniają myśl własną i odwykają od szerszego spojrzenia prawdziwie naukowego, żalując zaś czasu na zaczerpnięcie nowych myśli i na rewizję swych poglądów, trwają przy uogólnieniach dawnych myślicieli i pod nie usiłują podciągać swoje własne spostrzeżenia. Rostand np. jest przekonany, że pogląd transformistyczny przyjmują bezwzględnie wszyscy ludzie nauki.

¹⁾ W ostatnich miesiącach (*La vie intellectuelle*, 25. VI. 1938) p. André Georges wystąpił znowu ze zdziwieniem a nawet oburzeniem, iż w nowowydawanej *Encyclopédie Française*, pod nagłówkiem „Istoty żywe...”, w artykułach, w których przedstawia się dzisiejszy stan nauk biologicznych w duchu ewolucyjnym, kierownik najbardziej miarodajnego działu, bo paleontologii, prof. Paweł Lemoine, wybitny geolog, dyrektor Muzeum, wyraża „rozczarowanie” co do wielkiej teorii. „Ten tom Encyklopedii, który powinien był wyśpiewać tryumf ewolucji — pisze Georges — zdaje się, przeciwnie, brzmieć dla niej głosem dzwonu pogrzebowego”. Odnosi się wrażenie, że teoria ewolucji jest „w przededniu odrzucenia”. — Oczywiście, głos profesora Lemoine'a ma w tej sprawie wagę decydującą, a nie narzekania pana Georges'a.

²⁾ Pierre Humbert, prof.: *Le scientisme*, w *La vie intellectuelle*, 1935. II. 25.

Rozumie, że prawdziwość tej idei wykazać się nie da, jednakże przyjmuje ją za fakt i żąda uznania jej bez dowodów. Szczerzej by było z jego strony podpisać się pod zdaniem Haeckla: „Teorii pochodzenia gatunków dowieść nie można: potrzeba do niej filozoficznego uwarościowania niewystarczających danych” — czyli że trzeba w nią po prostu wierzyć!¹⁾ Nie brak więc uczonych, którzy dla niepewnej naukowej teorii, żądają tego, czego nie chcą przyznać religii. Czas skończyć z takimi wymaganiami. Widzimy, że postęp nauki doprowadził do upadku teorii transformizmu. „Teoria ewolucji święci tryumfy, lecz tylko w książkach, a wobec świata rzeczywistego okazuje się bez wartości” — pisał znany przyrodnik i myśliciel, J. H. Fabre.²⁾ „Ustala się dziś przekonanie, iż nic nie wiemy o ewolucji” — oto znowu myśl wybitnego dziś biologa amerykańskiego, Hunta Morgana, znanego z prac nad dziedziczeniem.³⁾

W ostatnich zaś latach (1937) dr Fryderyk Andermann wyraża się kategorycznie:

Tak niezgodna z doświadczeniem, wykazująca logiczne sprzeczności teoria nie może służyć nawet za hipotezę. Należy ją po prostu wykreślić z szeregu teorii naukowych.

¹⁾ Houwensvelt, op. cit. str. 22.

²⁾ H. Romanowski: *Teoria ewolucji wobec faktów i metafizyki*. Warszawa 1934, str. 9.

³⁾ *Critique of the Evolution Theory*, 1916.

Ks. Robert Wierzejski, Zgr. Marj.

Małżeństwo niemieckie.

Podług ustawy z 6 lipca 1938 r.

1. Uwagi wstępne.

Nawet w czasach obecnych, tak bardzo obfitujących w sensacje i nieoczekiwane wydarzenia, zasługuje na uwagę nowa niemiecka ustawa małżeńska z dnia 6 lipca 1938 r.¹⁾

Jest ona bowiem wyrazem nowego pojęcia małżeństwa, odbiegającego daleko w swojej istocie, zarówno od chrześcijańskiego, jak i liberalno-laickiego, które od czasów Rewolucji francuskiej przyjęło wiele ludów w formie mniej lub więcej skrajnej.

Bez wątpienia liberalistyczna laicyzacja osłabiła istotnie społeczną wartość małżeństwa w niejednym państwie, którą zawsze tak silnie i stale podkreślał Kościół. Ta ewolucja uwzględniająca przede wszystkim, a niekiedy nawet wyłącznie stronę indywidualną doprowadziła, jak słusznie zaznacza profesor Uniwersytetu w Strassburgu, Marcelli Nast²⁾ do stanu, przy którym można mówić o zmierzchu małżeństwa legalnego, na rzecz wolnych związków. Podkreślał to zresztą już w r. 1932 Jasserand.³⁾

W epoce coraz silniejszego uspołecznienia ustawodawstwa cywilnego, musi budzić poważne zdziwienie odwrotny rozwój właśnie w zakresie małżeństwa.

¹⁾ Gesetz zur Vereinheitlichung des Rechts der Eheschliessung und der Ehescheidung im Lande Oesterreich und im übrigen Reichsgebiet (RGBl. I. Str. 807).

²⁾ Vers l'union libre ou le crépuscule du mariage légal (Rec. Hebd. Dalloz z 19 maja 1938).

³⁾ L'avènement du concubinat (Rec. Hebd. Dalloz, 1932).

Trzeba zresztą wspomnieć, że nawet w sowieckiej Rosji, gdzie pod tym względem poszło się najdalej, zrodziły się w końcu także pewne refleksje, wywołane niemożliwością do utrzymania na dłuższą metę następstwami, które wywołało ignorowanie społecznej strony małżeństwa. Dowodem tego chociażby Kodeks ustaw o małżeństwie, rodzinie i opiece z 19 listopada 1927 r., obowiązujący od dnia 1 stycznia 1928 r.

Art. 1 świadczy, że ostatecznie i tam także się zorientowano, że małżeństwo nie jest wyłącznie rzeczą prywatną. Powiedziano bowiem:

Rejestrację małżeństwa ustanawia się zarówno w interesie państwowym, jak i społecznym, a także i w celu ułatwienia ochrony osobistych i majątkowych praw i interesów małżonków i dzieci.

Zapewne sowiecka ustawa małżeńska, żeby dopiąć celu, o którym w art. 1 mowa, będzie musiała jeszcze ulec dużym zmianom. W każdym razie jednak stanowi ona poważny postęp w porównaniu z pierwotną ustawą z dnia 16 września 1918 r.

Stanowczo przeciwko kierunkowi wyłącznie indywidualistycznemu i laickiemu, rozwiniętemu szczególnie silnie we Francji, w Niemczech do r. 1933 itd., wystąpiły Włochy ustalając w art. 34 Konkordatu z r. 1929:

Państwo Włoskie pragnąc przywrócić instytucji małżeństwa, które jest podstawą rodziny, godność odpowiadającą tradycjom katolickim narodu, przyznaje sakramentowi małżeństwa, normowanemu przez prawo kanoniczne, skutki prywatno-prawne.

Wobec zaś głośnych zarzutów ze strony kół skrajnie faszystowskich, że takie ujęcie narusza uprawnienia państwa totalnego, wyjaśniono w motywach przedłożenia rządowego do ratyfikacji Paktów Laterańskich:

Również i w tym wypadku nie ma niczego, co by naruszało suwerenność państwa, lecz tylko słuszne uznanie wartości religii katolickiej jako religii państwa i narodu włoskiego... Podług Konkordatu, małżeństwo zachowuje w zupełności znaczenie instytucji społecznej i politycznej, ponieważ rodzinę prawną, podstawową komórkę narodu, normują i nadal ustawy państwowe.

Państwo nie może jednak zapominać, że temu aktowi indywidualnemu i społecznemu, który tworzy rodzinę, religie przyznają charakter sakralny, wyniesiony przez Kościół katolicki do godności sakramentu. Państwo nie ma żadnego powodu, ani interesu sprzeciwiania się czemukolwiek, co w jakikolwiek sposób, podnosi w sumieniu ludu tę instytucję i wzmacnia jej wartość duchową. Dla małżeństwa, podobnie jak i dla innych instytucji społecznych, państwo musi ustalać gwarancje, które uważa za niezbędne, a to celem pełnego osiągnięcia swoich celów. Gdy te gwarancje raz istnieją, nie zachodzi żadna przeszkoda, by Kościół normował małżeństwo, zgodnie ze swoimi celami religijnymi.¹⁾

W przeciwieństwie do obu powyżej wspomnianych kierunków odrzuca ustawa niemiecka zarówno chrześcijańskie, jak i indywidualistyczno-liberalno-laickie pojęcie małżeństwa.

Postępując tak, co szczególnie radykalnie zmienia istniejący dotychczas stan prawny w Austrii, wyraźnie powiedziano w urzędowych motywach ustawy:

Okazało się rzeczą piekącą i to przed wszystkim innym nowe unormowanie obowiązującego w Austrii prawa zawierania małżeństw i rozwodów. Sztwyne więzy dogmatyczno-kościelne doprowadziły w Austrii do niewłaściwości w tej dla wspólnoty ludowej życiowo ważnej dziedzinie, które trzeba było jak najrychlej usunąć, ponieważ wychodząc poza granice poszczególnych rodzin, groziły zatruciem całego życia publicznego. Wobec znaczenia, jakie posiada małżeństwo w państwie narodowo-socjalistycznym, będąc podstawą całego życia ludowego, nie można by dłużej znośić, żeby w części wielkoniemieckiego narodowo-socjalistycznego państwa także i nadal mogła być zawierana większość małżeństw bez wszelkiego współudziału państwa, jako przedstawiciela woli ludowej, oraz żeby stosowano rozmaite przepisy o warunkach i formie zawarcia małżeństwa, zależnie od przynależności wyznaniowej lub religii narzeczonych. Tak samo nie może nadal rozstrzygać przynależność wyznaniowa jednego z małżonków, czy może lub nie może zostać rozwiązane małżeństwo, które jest bezwartościowe ze stanowiska wspólnoty ludowej.

Tym nieco zawiłym wyjaśnieniom można by wprawdzie przeciwstawić, że ujemne objawy w zakresie instytucji mał-

¹⁾ Por. także Wład. Abraham: *Reforma prawa małżeńskiego w Italii*, Adam Vetulani: *Nowelizacja małżeńskiego prawa osobowego w Italii* (Kraków 1929); *Włoska ustawa o ślubach kościelnych* (Warszawa 1930).

żeństwa stosunkowo mniej były i są jaskrawe na obszarach podlegających przepisom Kodeksu cywilnego austriackiego, aniżeli gdzie indziej. Świadczy o tym także i u nas stan istniejący w b. zaborze austriackim.

Pewne zaś zamieszanie, które po r. 1918 wprowadziła praktyka władz administracyjnych (tzw. *Dispensehen*) w rządzonym przez socjalistów Wiedniu, nie posiadało większego znaczenia dla reszty państwa. Szerokie masy ludowe i inteligencji nie odczuwały zgoła potrzeby zmiany istniejących w tym zakresie zasad prawnych. Odpowiadały one nie tylko ich przyzwyczajeniom, ale i głębokiemu przekonaniu. Wzmocniał je jeszcze w ostatnich latach także przykład Włoch, a więc państwa totalnego, które uznało za wysoce pożyteczną dla siebie religijną istotę małżeństwa.

Nie można się też oprzeć wrażeniu, że pośpiech z jakim przeprowadzono tę tak bardzo doniosłą zmianę, miał inne powody, których w motywach i ustawie nie przytoczono. Po przyłączeniu Austrii chodziło o wyparcie Kościoła i to w możliwie najkrótszym czasie, także i z tej pozycji. Przypuszczenie takie uzasadnia i fakt, że przecież natychmiast po *Änschlussie* przystąpiono do likwidacji jego stanu posiadania w prasie, stowarzyszeniach i szkolnictwie katolickim.¹⁾

Zresztą to wszystko potwierdza i sama ustawa, oraz motywy, które wyraźnie podkreślają jej charakter tymczasowy.

Jasno przecież we wstępie powiedziano:

*Die Reichsregierung hat vorbehaltlich einer abschliessenden Neuordnung des gesamten Eherechts zur Vereinheitlichung des Rechts der Eheschliessung und der Ehescheidung im Lande Oesterreich und im übrigen Reichsgebiet das folgende Gesetz beschlossen, das hiermit verkündet wird.*²⁾

¹⁾ M. i. zniesiono światowej sławy wydział teologiczny w Innsbrucku, który wychował także wielu duchownych polskich, szczególnie zasłużonych dla wiary i narodu. Ten sam los spotkał wydział teologiczny w Salzburgu, oraz szereg klasztornych szkół średnich o doskonałej i starej tradycji itd.

²⁾ Sam tekst ustawy celem uniknięcia nieporozumień muszę podawać w brzmieniu oryginalnym.

W motywach zaś pouczono, że:

Stanowi ona pierwszy krok w stworzeniu jednolitego, wielkoniemieckiego prawa małżeńskiego i rodzinnego.

2. Przepisy szczegółowe.

Przystępując do omówienia zasadniczych postanowień nowego prawa małżeńskiego, musimy zaznaczyć, że usiłuje się w nim ująć w formę prawną tak często głoszone teorie o rasie, krwi i ziemi, wspólnocie ludowej, która w zupełności wchłania jednostkę itd., co wszystko znalazło już od r. 1933 mniej lub więcej pełny wyraz i w innych instytucjach społecznych.

Bez wątpienia pojęcie małżeństwa, pozbawionego niemal w zupełności pierwiastków idealnych, służącego przede wszystkim celom populacyjnym i tworzeniu szczególnie wartościowej rasy, przez dobór małżonków odpowiadających w pierwszym rzędzie pragnieniom i marzeniom zwolenników nowego mitu germańskiego, musi razić chrześcijan w najwyższym stopniu. Trudno się nam zgodzić na traktowanie współżycia mężczyzny i kobiety, — na równi z hodowlą koni, lub baranów.

Ale oczywiście taki argument nie posiada zgoda znaczenia dla materialistycznego neopogaństwa. I zgoda nie narzą swojej sławy i popularności profesor Uniwersytetu Lipskiego, Ernest Bergmann, jeden z czołowych propagatorów nowej wiary, kiedy głosi: „Chrystus jest podobno dobrym pasterzem i pasie swoje baranki. Ale dobry pasterz jest dzisiaj przede wszystkim dobrym hodowcą”.¹⁾

Do uszlachetnienia i zbawienia wiedzie jedynie, podług Bergmanna i jemu podobnych, tak samo jak i gdy chodzi o rośliny i zwierzęta, rzeczywistość, pozytywna, inteligentna praca hodowlana. W związku z tym woła nasz autor z temperamentem: „Czyż nie chcemy wreszcie stać się Chrystusem, po tylu wiekach wiary w Chrystusa?”²⁾

¹⁾ *Die Deutsche Nationalkirche* (Wrocław 1933), str. 102.

²⁾ Tamże str. 103, por. także Rosenberg, *Der Mythos des XX Jahrhunderts* (13—16 wyd. Monachium 1933), str. 577.

Wspomnę tylko nawiasem, że tego rodzaju koncepcyj opartych o materialistyczny światopogląd nie można uważać za specjalnie nowe. Podobny pomysł zaświtał już swego czasu Fryderykowi Wielkiemu. Jednak jego usiłowania wychodowania szczególnie dla celów wojskowych wartościowych typów, przez dobieranie małżeństw podług specjalnych cech fizycznych, nie dały oczekiwanych wyników.

Niełatwo jest nam także zrozumieć, jak podobne pojmowanie małżeństwa można godzić z przypominanymi przy wszelkich możliwych okolicznościach: godnością, czcią itp. niemieckiego człowieka i niemieckiego ludu.

Nowa ustawa obejmuje 131 §§.

W stosunku nie tylko do Kodeksu austriackiego, ale i niemieckiego, wprowadza istotne zmiany już § 1, 1, ustalając zdolność do zawarcia małżeństwa dla mężczyzny z ukończeniem 21, dla kobiety zaś 16 roku życia.

Kodeks niemiecki (§ 1303) ujmował tę sprawę odmiennie przyznając mężczyźnie zdolność do zawarcia małżeństwa z osiągnięciem pełnoletności, a więc także w razie usamowolnienia go przed ukończeniem 21 roku życia. Kodeks zaś austriacki przyjmował dla obu stron wiek lat 14 (§§ 21 i 48).

Od przewidzianego w § 1, 1 wymogu (§ 1, 2) można uzyskać dyspensę, jednak, gdy chodzi o mężczyznę tylko wtedy:

...wenn er das 18 Lebensjahr vollendet hat und nicht mehr unter elterlichen Gewalt oder unter Vormundschaft steht.

W motywach do § 1 wyjaśniono nam przyczyny tej zmiany. Dowiadujemy się:

Nie można uzależnić zdolności do zawierania małżeństwa od zaistnienia prywatno - cywilnej zdolności do działań prawnych wskutek upełnoletnienia. A to tym bardziej, że na młodego człowieka pomiędzy 18 — 21 rokiem życia nakłada wspólnota ludowa szczególne obowiązki w służbie pracy i służbie wojskowej. Ich spełnianie mogłoby być tamowane przez zbyt wczesne małżeństwo. Nadto dotkliwie zostają naruszone wymogi wspólnoty ludowej, gdy małżeństwo zostaje zawarte lekkomyślnie przez młodych ludzi.

Może jednak w takim razie obawiając się lekkomyślności, należałoby podobnie ograniczyć i prawa kobiety. Tymczasem uzyskuje ona w tym wypadku daleko łatwiej dyspensę.

Zasadniczo, zachowując obowiązujące dotychczas zasady zarówno Kod. n. (§§ 1304 — 1308) jak i Kod. austr. (§§ 49 — 53), §§ 2 i 3 stanowią o małżeństwie osób niesamowolnych. Uproszczone tylko i to w sposób rzeczowo słuszny, dotychczasowe postępowanie.

a) Przeszkody zawarcia małżeństwa (*Eheverbote*).

Wielkie zmiany, szczególnie w stosunku do obowiązujących dotychczas w Austrii przepisów, zawierają postanowienia o przeszkodach małżeńskich (*Eheverbote*).

Nie mogą zatem zawrzeć małżeństwa (§ 4) osoby krwi niemieckiej, lub pokrewnej, o ile posiadają niemiecką przynależność państwową, z osobami krwi gatunkowo obcej. Przepis ten należy rozumieć zgodnie z postanowieniami ustawy z 15 września 1935 r.¹⁾ Ta ustawa, tak bardzo stanowczo potępiona ze stanowiska istoty światopoglądu katolickiego, którego zasady w swoim zakresie akceptuje również społeczna nauka antropologii, — jest dostatecznie znana i możemy jej tutaj nie omawiać. Trzeba tylko zaznaczyć, że jeżeli chodzi o uznanie tzw. krwi pokrewnej, posiadają kompetentne władze bardzo daleko idące prawo swobodnej oceny.

Niemniej szeroką ingerencję zapewnia im § 5 odmawiający zdolności do zawierania małżeństwa z powodów eugenetycznych, normowanych ustawą z 18 października 1935 r. (RGBl. I, str. 1246): *Zum Schutze der Erbgesundheit des deutschen Volkes*.

Zagraniczny świat przyrodniczy i lekarski uznał tylko częściowo słuszność tej ustawy. Zwracano niejednokrotnie uwagę, że tajniki dziedziczności, szczególnie jeżeli chodzi o wartości duchowe, są jak dotychczas bardzo

¹⁾ Gesetz zum Schutze des deutschen Blutes und der deutschen Ehre. (RGBl. I, str. 1146, rok 1935).

mało znane. W wypadku np. epilepsji przypominano, że cierpiał na nią Napoleon. Zastosowanie zatem do jego rodziców czy dziadków przepisów ustawy z 18 paźdz. 1935, byłoby pozbawiło świat tej wyjątkowej osobistości, która i podług pojęć dzisiaj panujących w Niemczech posiadała pewne wartości militarne.

Naturalnie, że dla entuzjastów niemieckiej teorii hodowania nadludzi, argumenty tego rodzaju, ani żadne inne nie posiadają znaczenia.

Łącznie z przyjętą przez ustawodawcę zasadą eugeniczną pewne zdziwienie wywołuje § 6 o przeszkodach małżeńskich, wynikających z pokrewieństwa. Postanowiono bowiem:

Eine Ehe darf nicht geschlossen werden zwischen Blutsverwandten gerader Linie und zwischen voll — und halbbürtigen Geschwistern, gleichgültig ob die Blutsverwandschaft auf ehelicher oder unehelicher Geburt beruht.

A zatem niedozwolone jest zawieranie małżeństwa między krewnymi linii prostej, oraz rodzeństwem rodzonym i przyrodnim. Zrozumiałym jest, że traktuje się na równi pokrewieństwo prawego i nieprawego rodu.

W ustawodawstwie niemieckim przepis ten nie stanowi niczego nowego, odpowiada ściśle § 1310 Kod. n. W stosunku natomiast do Kod. austr. (§ 65) różnica jest poważna.

Warto przypomnieć, że po ogłoszeniu kodeksu niemieckiego, który jak wiadomo obowiązuje od r. 1900, poddawano poważnej krytyce ograniczenie przeszkody pokrewieństwa do linii prostej i pierwszego stopnia linii bocznej. Małżeństwu pomiędzy krewnymi przypisywano degenerację licznych rodów monarszych i arystokratycznych.

W kołach naukowych i to zgoła niekatolickich, niejednokrotnie podnoszono wielką wartość i racjonalność rozszerzania przez Kościół w średniowieczu przeszkód małżeńskich, płynących z pokrewieństwa.

O ile mi wiadomo, ten pogląd nie uległ i dzisiaj zmianie.

Przeszkoda powinowactwa (§ 7) nie odbiega od dawnego (§ 1310) ujęcia. Istnieje tylko w linii prostej. Dyspensa jest możliwa. I w tym wypadku, o ile chodzi o Austrię,

zmiana jest istotna. Kodeks austr. bowiem (§ 66) uznaje tę przeszkołę nie tylko w linii prostej, ale i do drugiego stopnia linii bocznej.

Jasnym jest, że nie wolno zawrzeć małżeństwa przed rozwiązaniem poprzedniego (§ 8). Niczego nowego nie zawiera § 9 (dawny 1312) przeszkoda cudzołóstwa, § 10 (dawny 1314) przeszkoda z powodu adopcji, § 11 (dawny 1313) normujący czas wyczekiwania, a wreszcie § 12 (dawny 1314) o małżeństwie osób posiadających małoletnich potomków, pozostających pod ich opieką.

Chociaż stylistycznie podobnie ujęty jak dawny § 1315, zawiera § 13 ważne uzupełnienie:

Angehörige der Wehrmacht und des Reichsarbeitsdienstes sowie Beamte, die zur Eingehung einer Ehe einer besonderen Erlaubnis ihrer vorgesetzten Dienststelle bedürfen, sollen nicht ohne diese Erlaubnis eine Ehe eingehen.

Specjalne zezwolenia na małżeństwa wojskowych, oraz niektórych kategorii urzędników państwowych, istnieją od dawna w bardzo wielu krajach i są niewątpliwie uzasadnione. W państwie jednak totalnym i o takich tendencjach jak obecne Niemcy, w których i dawniejsze wolne zawody coraz bardziej nabierają charakteru urzędniczego, należy się obawiać, że tego rodzaju ograniczenia swobody wyboru małżonka mogą rychło przybrać zgoła nieoczekiwaną postać. Należy przy tym pamiętać, że przepis ten został rozszerzony i na należących do tzw. służby pracy (*Arbeitsdienst*). Możemy też i w tej nowej, jeszcze prowizorycznej ustawie małżeńskiej stwierdzić wzrastanie tendencji ograniczających stopniowo, a coraz bardziej dotkliwie wolność osobistą. Należy się obawiać powrotu do stosunków, które zgoła korzystne dla społeczeństwa nie były, kiedy pan pańszczyźniany udzielał swoim „poddanym” zezwolenia na zawieranie małżeństwa.

Jest dla nas rzeczą drugorzędną, że specjalne pozwolenie na małżeństwa osób należących do służby pracy, obowiązywało już poprzednio na podstawie § 18 ustawy o *Reichsarbeitsdienst*.

Możemy nie omawiać § 14. Odpowiada on § 1315 ust. 2 Kod. niem. o małżeństwach obcych obywateli, zawieranych na obszarze Niemiec.

Jak widzimy, zawarte w §§ 4 — 14 *Eheverbote* odbiegają istotnie w szeregu wypadków (§§ 4, 5 i 13) od Kod. niem. Jeszcze dotkliwiej zmieniają prawo małżeńskie austriackie, które jak wiadomo stało na gruncie wyznaniowym. Odpadły więc przeszkody z powodu uzyskania święceń, lub złożenia ślubów zakonnych (§ 63 Kod. austr.), różności religii (§ 64), a tak samo normowane dekretemi nadwornymi z r. 1814 i 1835 *impedimentum catholicismi*. Ważne zmiany zostały wprowadzone odnośnie do przeszkód pokrewieństwa i powinowactwa, nie mówiąc już o postanowieniach zawartych w §§ 4, 5 i 13.

b) Zawarcie małżeństwa.

W przeciwieństwie do Austrii, gdzie formą zasadniczą zawarcia małżeństwa, i to dla wszystkich uznanych wyznań, była forma wyznaniowa, a tylko w wyjątkowych wypadkach można było zawrzeć tzw. małżeństwo cywilne z konieczności, w Rzeszy od dawna obowiązywała forma cywilna. Śluby religijne nie miały dla państwa znaczenia prawnego. Zabroniono przy tym¹⁾ ich zawierania przed ślubem cywilnym, grożąc w przeciwnym razie duchownym (§ 67) grzywną do 300 marek, wzgl. więzieniem 6-miesięcznym.

Wyjątkowo tylko *in articulo mortis* (§ 67, ust. końcowy) mógł ślub wyznaniowy poprzedzać cywilny.

Duże też wrażenie wywołało w r. 1933, kiedy w Konkordacie (art. 26), zastrzegając na przyszłość bardziej szczegółowe unormowanie prawa małżeńskiego, rozszerzono wspomniane co dopiero postanowienie ustawy z r. 1875 w ten sposób, że:

*...ausser im Falle einer lebensgefährlichen, einen Aufschub nicht gestattenden Erkrankung eines Verlobten, auch in Falle schweren sittlichen Notstandes, dessen Vorhandensein durch die zuständige bischöfliche Behörde bestätigt sein muss, die kirchliche Einsegnung der Ehe vor der Ziviltrauung vorgenommen werden darf. Der Pfarrer ist in solchen Fällen verpflichtet, dem Standesamt unverzüglich Anzeige zu erstatten.*²⁾

¹⁾ Reichsgesetz über die Beurkundung des Personenstandes und der Eheschliessung z 6 lutego 1875 (RGBl. 23).

²⁾ A. A. S. Nr 14, r. 1933.

W protokóle końcowym do Konkordatu wyjaśniono co pod *schwerer sittlicher Notstand* należy rozumieć.

Optymiści przypuszczali, że przyjęta formuła, wraz z obietnicą, zawartą na początku art. 26, szczegółowego unormowania w przyszłości prawa małżeńskiego, jest zapowiedzią zerwania ze stanem istniejącym w Rzeszy od r. 1875. Sądzi, że należy oczekiwać unormowania tego ważnego problemu podobnie jak się to stało we Włoszech.

Niebawem przekonano się, że nie ma o tym mowy.

Obecna ustawa małżeńska (§ 15) kategorycznie oznajmia, że małżeństwo dochodzi do skutku, tylko wówczas jeżeli zostało zawarte przed urzędnikiem stanu cywilnego. O ślubie wyznaniowym w ogóle nie wspomniano. Zdaje się zatem, że nie posiada on dla państwa żadnego znaczenia nawet w tych wyjątkowych, w Konkordacie wspomnianych wypadkach.

Możemy tutaj pominąć resztę przepisów dotyczących formalności zawarcia małżeństwa i właściwości urzędnika stanu cywilnego (§§ 15 — 19). Trzeba tylko wspomnieć, że małżeństwo o ile nie zostanie zawarte w formie przewidzianej w § 17 jest nieważne (§ 21, 1).

Konwalidacja jest jednak możliwą i wyraźnie postanawia pod tym względem § 21:

Die Ehe ist jedoch als von Anfang an gültig anzusehen, wenn die Ehegatten nach der Eheschliessung 5 Jahre oder, falls einer von ihnen vorher verstorben ist, bis zu dessen Tode, jedoch mindestens 3 Jahre, als Ehegatten miteinander gelebt haben, es sei denn, dass bei Ablauf der 5 Jahre, oder zur Zeit des Todes des einen Ehegatten die Nichtigkeitsklage erhoben ist.

Podobny przepis był znany i dotychczasowemu Kodeksowi niemieckiemu (§ 1324), przewidywano jednak okres 10 i 3 lat, a nie jak teraz 5 i 3 lat. Zniesiono obecnie także wymóg, że tylko takie małżeństwa mogą korzystać z tego przywileju, które po zawarciu zostały wciągnięte do rejestru ślubów. Obecnie zatem o ile tylko związek doszedł do skutku przed urzędnikiem stanu cywilnego (§ 15, 1), chociażby niewłaściwym i chociażby nie nastąpiło wpisanie do rejestru ślubów, będą mogli zainteresowani korzystać z dobrodziejstwa § 21, 1.

c) Powody nieważności małżeństwa (*Nichtigkeitsgründe*).

Pod wieloma względami bardzo odmiennie w porównaniu do Kod. niem., nie mówiąc już oczywiście o austriackim, ustala ustawa z 6 lipca 1938 r., powody nieważności małżeństwa.

Rozpoczęto od stwierdzenia (§ 20), że związki zawarte wbrew przepisom §§ 4 i 5 są nieważne, przy czym wniesienie skargi następuje wyłącznie z urzędu (§ 28, 1). Również tylko prokurator jest uprawniony do żądania unieważnienia, gdy chodzi o małżeństwa zawarte wyłącznie, lub przede wszystkim (*vorwiegend*) celem zapewnienia żonie nazwiska, lub przynależności państwowej męża (§ 23, 1).

W ostatnim wypadku małżeństwo takie jest jednak ważne i to od początku (§ 23, 2), jeżeli małżonkowie po jego zawarciu żyli ze sobą przez lat 5, albo do śmierci jednego z nich, o ile od chwili ślubu upłynęły przynajmniej 3 lata. Warunkiem i to zasadniczym jest jednak, żeby przed upływem lat 5, lub w chwili śmierci jednego z małżonków nie została wniesiona skarga nieważności.

Trzeba przyznać, że zakończenie ust. 2 § 23 jest dosyć niejasne. Z brzmienia § 23, 1 wynikałoby, że chodzi tylko o związki pozorne: *ohne dass die eheliche Lebensgemeinschaft begründet werden soll*.

Natomiast w ust. 2 jest mowa o osobach, które żyją ze sobą *als Ehegatten*. Ponieważ chodzi tutaj o unieważnienie małżeństwa z urzędu, a nie na żądanie stron, uprawnienie prokuratora do wkroczenia na podstawie pierwotnej intencji małżonków, musi budzić poważne refleksje.

Nie uspokoją ich i zawarte w motywach do § 23 wyjaśnienia. Dowiadujemy się bowiem:

...wprowadzony do Kod. cyw. na podstawie art. 1, ustawy przeciw nadużyciom przy zawieraniu małżeństw, z 23 listopada 1933 r. (RGBI. I. Str. 979) § 1325a, który zajmuje się małżeństwem zawartym dla nazwiska, zostaje dzięki § 23 rozsze-

rzony na wypadek zawarcia małżeństwa wyłącznie lub przede wszystkim w tym celu, żeby zapewnić kobiecie przynależność państwową męża. Takiego wyraźnego rozszerzenia żądano szczególnie z różnych stron austriackich, ponieważ właśnie w Austrii często się zdarzało, że niepożądane cudzoziemki zawierały dla formy małżeństwo, żeby otrzymawszy austriacką przynależność państwową mogły uzyskać możliwość osiedlenia się we Wiedniu dla celów zawodowych.

Nadto oznacza to uzupełnienie jasne postawienie sprawy także i dla dawnego obszaru państwa, ponieważ powstały tam już wątpliwości, czy można stosować przepis § 1325a w razie zawarcia małżeństwa celem uzyskania przynależności państwowej.

Innymi słowy mamy tu do czynienia z dalszym ograniczeniem wolności swobodnej decyzji zainteresowanych, pragnących zawrzeć małżeństwo. Trudno to inaczej rozumieć, skoro nawet wspólne zamieszkanie, dopiero po 5 wzgl. 3 latach, wyklucza możliwość żądania ze strony prokuratora rozwiązania związku. Ostatecznie o istnieniu pierwotnej intencji stron, która pociąga za sobą tak kapitalne następstwa, rozstrzyga sąd na podstawie swego przekonania.

Jest rzeczą jasną, że w § 23 nie chodzi o związki zawarte wbrew postanowieniom §§ 4 i 5. Nadto jest wysoce znamienne, że w § 23 nie uwzględnia się ewentualności zrodzenia dzieci. Jak zobaczymy poniżej, także i ta okoliczność nie wpływa na zmianę prawnej oceny związku.

Zasługuje jeszcze na uwagę występująca jasno w § 23 niechęć do małżeństwa Niemców z obcokrajowcami, chociażby *artverwandten Blutes*, bo przecież tylko o takie tu może chodzić. Należy także dodać, że jeżeli chodzi o małżeństwa zawarte *vorwiegend*, celem uzyskania przez żonę obywatelstwa męża, to przepis ten działa wstecz. Na podstawie § 86, 2 może prokurator domagać się zastosowania § 23 i unieważnienia wszelkich związków zawartych po 8 listopada 1918 r., a to w ciągu 6 miesięcy od dnia wejścia w życie ustawy z 6 lipca 1938 r.

Bez wątpienia chodziło ustawodawcy także o powiększenie możliwości zamążpójścia Niemek, wobec istnienia pewnej nadwyżki liczebnej kobiet nad mężczyznami. Poza tym jednak sędzę, że podobnie jak gdy chodzi o kulturę, literaturę itd., również § 23 jest wyrazem pragnienia izolo-

wania ludzi niemieckich od wszelkich związków zagranicznych z obcymi narodami.

Dalsze §§ 24 — 26 mówią o nieważności małżeństwa z powodu bigamii (§ 24), pokrewieństwa i powinowactwa (§ 25) zgodnie z §§ 6 i 7, oraz cudzołóstwa (§ 26) zgodnie z § 9.

Zarówno w wypadku powinowactwa, jak i cudzołóstwa można uzyskać dyspensę, która uprawnia małżeństwo wstecz tzn. do chwili jego zawarcia.

Nie unieważniają natomiast związku zakazy ich zawierania przewidziane w §§ 10 — 14. Są to zatem przeszkody tamujące.

O ile, jak już wiemy, gdy chodzi o §§ 4, 5 i 23, prawo wniesienia skargi nieważności (§ 28, 1) przysługuje wyłącznie prokuratorowi, to we wszystkich innych wypadkach obok niego, mogą to uczynić także zainteresowani małżonkowie.

Oдноśny przepis (§ 28, 2) brzmi:

In allen übrigen Fällen der Nichtigkeit kann der Staatsanwalt und jeder der Ehegatten, im Falle des § 24¹⁾ auch der Ehegatte der früheren Ehe die Nichtigkeitsklage erheben. Ist die Ehe aufgelöst, so kann nur der Staatsanwalt die Nichtigkeitsklage erheben.

W razie śmierci obu małżonków gaśnie skarga o uznanie małżeństwa za nieważne (§ 28, 3).

Dodatką nowość zawiera § 27, który stwierdza, że tak długo nie można się powoływać na nieważność małżeństwa: *so lange nicht die Ehe durch gerichtliches Urteil für nichtig erklärt worden ist.*

Uległ więc istotnej zmianie § 1329 Kod. niem., zezwalający powoływanie się na nieważność małżeństwa, chociaż nie było takiego orzeczenia sądu, o ile tylko zostało ono rozwiązane np. przez rozwód. Dla praktyki posiada ta reforma poważne znaczenie.

d) Skutki nieważności.

Zgodnie z całą tendencją, która przyświecała autorom nowej ustawy, uległy nowelizacji przepisy dotyczące dzieci

¹⁾ Bigamia.

z nieważnego małżeństwa. Dla uznania ich jako ślubne, lub nieślubne nie ma obecnie żadnego znaczenia dobra wiara małżonków nieświadomych istnienia przeszkody (§ 1699 Kod. niem., § 160 Kod. austr. i can. 1015 § 4 C. I. C.).

O ile zachodzą powody nieważności przewidziane w §§ 4, 5, 20 i 23 dzieci uważa się za nieprawe (§ 29, 1).

Powodem takiego rygorystycznego stanowiska było, jak nam wyjaśniają motywy:

...że dzieci spłodzone w stosunku hańbiącym rasę, albo sprzecznym z ustawą o zdrowiu dziedzicznym (*Erbgesundheit*) nie zasługują na specjalną opiekę.¹⁾

Dlaczego do tej kategorii zaliczono i dzieci ze związku o którym mówi § 23, pouczają nas znowu motywy, w których czytamy:

...należy bezwzględnie traktować na równi z konkubinatem małżeństwo zawarte dla nazwiska, lub uzyskania przynależności państwowej, ponieważ małżonkowie z góry nie zamierzali stworzenia małżeńskiej wspólności życiowej, a użyli zawarcia związku tylko jako osłony nieuczciwych celów. O ile z takiego małżeństwa w ogóle będą dzieci, nie mogą one mieć pretensji do stanowiska dzieci ślubnych.

Pomijamy tutaj inne postanowienia § 29, ograniczając się jeszcze tylko do zaznaczenia, że dziecko uznane za nieślubne wskutek unieważnienia małżeństwa ma prawo do utrzymania na równi z dziećmi ślubnymi (§ 29, 4) ale tylko jak długo ojciec żyje.

¹⁾ Jak przy tym dziwnie Erbsgesundheitsgesetz ten problem pojmuje, widzimy z § 1: 1) Eine Ehe darf nicht geschlossen werden a) wenn einer der Verlobten an einer mit Ansteckungsgefahr verbundenen Krankheit leidet, die eine erhebliche Schädigung der Gesundheit des anderen Teiles oder der Nachkommen befürchten lässt, b) wenn einer der Verlobten entmündigt ist oder unter vorläufiger Vormundschaft steht (a więc np. w razie uniesamowolnienia z powodu marnotrawstwa), c) wenn einer der Verlobten, ohne entmündigt zu sein an einer geistigen Störung leidet, die die Ehe für die Volksgemeinschaft unerwünscht erscheinen lässt (należy pamiętać, że geistige Störung, o czym jeszcze będzie mowa, to nie obłąkanie), d) wenn einer der Verlobten an einer Erbkrankheit im Sinne des Gesetzes zur Verhütung erbkranken Nachwuchses leidet.

W przeciwieństwie do tych niezwykle rygorystycznie traktowanych wypadków, inaczej zgoła traktuje się inne powody nieważności.

W § 30, 1 ustalono:

...ein Kind aus einer Ehe, die auf Grund des §§ 21, 22, 24 bis 26 dieses Gesetzes nichtig ist, gilt als ehelich sofern es im Falle der Gültigkeit der Ehe ehelich wäre.

Brzmi to podobnie jak 1-sza część § 1699:

...dziecko pochodzące z małżeństwa nieważnego, które by w razie ważności małżeństwa było ślubne, uważa się za ślubne.¹⁾

Opuszczono jednak ustęp dalszy § 1699:

...o ile tylko oboje małżonkowie zawierając małżeństwo nie wiedzieli o nieważności małżeństwa.

Uprawnienia majątkowe dzieci (§ 30, 2) normuje się po orzeczeniu nieważności, podobnie jak w razie rozwodu.

Stronę, która w chwili zawarcia małżeństwa wiedziała o istniejącej przeszkodzie, traktuje się na równi ze stroną uznaną za winną w orzeczeniu rozwodowym (§ 30, 2 i 3). Podobna zasada obowiązuje także odnośnie stosunków majątkowych między byłymi małżonkami (§ 31).

Nieważność małżeństwa jest bez znaczenia wobec pozostających w dobrej wierze osób trzecich (§ 32).²⁾

¹⁾ Przytaczam według urzędowego przekładu polskiego, obowiązującego w b. zaborze pruskim.

²⁾ Por. § 1345 Kod. niem.

(D. c. n.)

Prof. dr Leon Halban.

Kemalizm.

Dyktatorzy naszej epoki posiadają pewien wspólny rys, ten mianowicie, że, nie znosząc żadnego sprzeciwu z zewnątrz, sami natomiast wyrównują — za pomocą jednego władczego słowa — najrozmaitsze przeciwieństwa we własnym światopoglądzie. Tyrania i demokracja, realizm i romantyzm, gorąca miłość do własnego narodu i twarda bezwzględność w stosunku do tychże samych współuczestników jednego losu, metafizyczna tęsknota obok silnie zaznaczającego się pierwiastka doczesności, apoteoza czynu przy równoczesnej nieposkromionej ochocie do filozofowania i do uczoności, pociąg do samotnictwa i jednoczesna potrzeba uznania i poklasku, na koniec najwyższy stopień zależności od doby współczesnej przy najsilniejszym związaniu się z historią — oto są czynniki, które odnajdujemy nie tylko w życiu wspomnianych politycznych mocarzy, ale także w ich dziełach oraz w teoretycznej podbudowie, którą wzniesli i słowem i piórem, ażeby tym swoim dziełom zapewnić trwałość.

Być może, że jedną z istotnych i rozpoznawczych cech, jakimi demokratyczne i autorytatywne rządy różnią się między sobą, stanowi fakt, że gdy pierwsze, narażone na ustawiczną krytykę, dążą do osiągnięcia w swoim postępowaniu logicznej prawidłowości wyników, a dążą do tego przynajmniej w tej mierze, ażeby w ten sposób całkowicie odpowiedzieć poglądom narodowej większości, — to drugie, wyniesione ponad poziom jakich bądź zarzutów, łączą ze sobą i w sobie to, co właściwie nie da się razem pogo-

dzić i jednym pociągnięciem pióra przekreślają prawa doświadczenia i prawa rozumu. Cezar stoi ponad językoznawcami, dyktator ponad każdym z uczonych, ponad znawcami państwowego prawa i geografami, ponad badaczami dziejów i antropologami. *Sic volo, sic jubeo, stat pro ratione voluntas.*

Takim wstępem należało poprzedzić niniejszy zarys kemalizmu. Równie dobrze wstęp ten mógłby znaleźć miejsce na czele wykładu o leninizmie, o faszyzmie, albo o narodowym socjalizmie. Wobec tak pełnego podobieństwa obejmującego wyjściowe punkty oraz wołanie o potęgę, o siłę, o władzę i o mające narodzić się stąd świętości, nie będzie dziwił nas tu fakt, że z historycznego oraz logicznego punktu widzenia system tureckiego dyktatora spoczywa również na założeniach dziejowego mitu, — o ile, oczywiście, wolno nam stosować w danym razie obowiązujące nas zazwyczaj prawa myślenia. Czym dla Adolfa Hitlera i jego ludzi mit o rasie, dla Stalina, a niegdyś dla Lenina — mit o robotczym ludzie, tym dla Kemala, stojący na czele nowego Koranu, mit o rolnikach - rycerzach, założycielach Nowej Turcji.

Wszyscy ci nowi prorocy czerpią coś i w jakiś sposób z Sorela i z jego nauki o przemocy, zarazem wszakże i z Jana Jakuba Rousseau i z jego kazań o przyrodzonej dobroci człowieka. Tylko, że, jeśli chodzi o pojęcie człowieczeństwa, powszechność ostatniego zdawała się nie podlegać w wieku Oświecenia żadnej wątpliwości, teraz natomiast podległa niemałemu ograniczeniu. Przyrodzona dobroć cechuje jedynie współtowarzyszy, pobratymców, ludzi jednej krwi, jednej klasy, splecionych jednym uściskiem losu. Od innych, nie-braci i nie-towarzyszy, należy odgrodzić się przemocą. To zaś w tym celu, ażeby stworzyć na ziemi raj, do którego już tutaj (i tylko tutaj — oto ich myśl niedopowiedziana) wejdą wszyscy dobrzy i szlachetni ludzie. Dziejowa przeszłość stanowi pierwowzór tego, jak ma ów ziemski raj wyglądać.

Aczkolwiek, jak już powiedzieliśmy, współcześni dyktatorzy są usposobieni ogromnie modernistycznie i zwracają swe oczy wyłącznie ku przyszłości, niemniej przeto miarą

ich sądów i oczu jest to, co było — co było niegdyś — w dobrych dawnych — w najlepszych najdawniejszych czasach. Na tym polega mianowicie jeden z dalszych charyzmatów totalizmu, że ponieważ ostatnie stulecie, naświetlone promieniami wiedzy, obfitują w niedostatki i strony ujemne, więc na to, żeby odkryć złotą epokę, należy sięgać coraz głębiej w półmroki, aż po prawieki, których mistycznej mgły nie zdoła rozproszyć żaden surowy sprawdzian ani probierz dziejowy. Zachodzi tu coś podobnego, jak w dziecięcych i prostaczych snach: tęsknoty muszą bujać w oddali, albowiem dobro nie leży nigdy w pobliżu człowieka, a to, co bliskie nigdy nie jest dobre. Ta dezercja, znana nam również z poezji, ta ucieczka poza granice czasu i przestrzeni, potwierdza się na przykładach autorytatywnych naczelników państw.

Jeżeli podług Adolfa Hitlera i Alfreda Rosenberga należy szukać doskonałości w krajobrazie wagnerowskim, a więc po brzegach niemieckiego Renu i w czasach, kiedy jeszcze nie zdążyła tam wtargnąć wiara Rzymskiego Kościoła; jeżeli Stalin wskazuje coraz wyraźniej na słowiańskich przodków rosyjskiego narodu, ich bowiem nie tknęło jeszcze zepsucie, ziejące klerykalno - kapitalistycznym jadem od bram zgniłego Zachodu, — to Kemal Atatürk odnalazł ziemię obiecaną i naród godny wszelkiej pochwały w praojczyźnie swojego ludu takiej, jaką była jeszcze wówczas, zanim obce wpływy pozbawiły ją podstępnie samodzielnego bytu oraz wolności.

Można by mniemać, że widzimy przed sobą transpozycję pana Rosenbergowego *Mitu*, wszak jest to owoc pewnego sposobu myślenia, które, na podstawie podobnych przesłanek, doprowadziło do podobnych wniosków. Rozpatrując dziejową filozofię kemalizmu, moglibyśmy sądzić, że otacza nas środowisko nowoniemieckie: słyszymy tam, mianowicie, że „nasza” rasa jest najszlachetniejszą, najstarszą i najlepszą z ras całego świata; że kiedy pozostała ludzkość trwała jeszcze na stopniu półzwierzęcości, „my” — na wyżynach Środkowej Azji oraz w granicach utworzonych przez Ural, przez łańcuchy górskie na wschód i zachód od Pamiru, przez Bajkał i przez dzisiejszą Mongolię, — byliśmy

twórcami i piastunami najdawniejszej z kultur; że my wymyśliliśmy rolnictwo, posialiśmy żyto i pszenicę, wynaleźliśmy pług i bronę; my uczyniliśmy z dzikich zwierząt użyteczne służki, poskromiliśmy wielbłąda i konia, wołu i kozę; my ukształtowaliśmy pierwszą mowę, zdolną do wyrażania wyższych myśli jak i do artystycznej twórczości; my przemyśliliśmy pierwszą podstawę rzeczy i pojęliśmy Tenri, bóstwo, a zarazem i niebo nad nami; my najwcześniej zaprowadziliśmy ład, zarówno czasu wojny jak czasu pokoju, my zatem jesteśmy najstarszymi przodkami, najdawniejszymi panami, od których początek swój biorą wszelka cywilizacja, wszelkie prawo, wszelka mądrość.

Wedle tej samej teorii Turcy zanieśli cywilizację do dolin Jang-Tse i Hoang-Ho i tam założyli podwaliny kultury chińskiej na 7 tysięcy lat przed erą chrześcijańską. Nie kto inny jak Turcy, jako plemiona sumeryjskie, zrodzili pierwszą kulturę na ziemiach Dwurzecza (Tygru i Eufratu); ich też dziedzicami stały się późniejsze państwa: Assyrii i Babilonu. Turcy wysłali przednie swe strażę do kraju Faraonów, Turkami były ludy hetyckie oraz inne narodowości, które na gruzach barbarzyństwa pozakładały w ziemiach Bliskiego Wschodu państwa i cywilizacje. Od Turków, należy wyprowadzać pochodzenie Efrusków, a co zatym idzie i Rzym z jego wiekopomnymi dziełami. Takie rzeczy czytamy w każdym podręczniku używanym w nowotureckich szkołach. Takie rzeczy czytamy i słyszymy wszędzie, gdziekolwiek na widnokręgu ukażą się tureccy uczeni. Do nich właśnie należy uzasadnienie tej teorii oraz przeprowadzenie jej dowodu. Że jest ona prawdziwą i jedynie prawdziwą, za to ręczy ON, *aufos epe*: on powiedział. Biada temu, kto by ośmielił się wątpić w jego słowa.

Uczestnicy pewnego kongresu, który Atatürk raczył zaszczyścić swą obecnością, przeszli kolejno przez stany ogromnego zdziwienia, potem wesołości, na koniec oburzenia i przerażenia na skutek twierdzeń, których — w swym charakterze gości z Zachodu — musieli wysłuchać. Słoneczny język, praturecki, jako macierz wszystkich ludzkich narzeczy, panturecczyzna, jako wyjaśnienie dziejów i kręgosłup wszelkiej wiedzy historycznej — wszystko to musiało brzmieć

wielce osobliwie w uszach europejskich uczonych. A przecież szaleńcze te urojenia stanowią jedyną dozwoloną metodę myślenia w obrębie rządów Ankary (obecnego Atatürku). Mniej więcej tak samo jak objawienia Brigham'a Young'a oznaczają najczystsza prawdę dla każdego mormona, mit uświęcony powagą Mustafy Kemali stanowi fakt nie podlegający nawet najmniejszej krytyce dla każdego dzisiejszego Turka.

Do treści tylko co wspomnianego mitu włączono nadto rzeczy bardzo dziwne, jako to teorię o powszechnym, tureckim pochodzeniu wszelkiej cywilizacji czy kultury. Turcy — tak dowiadujemy się stamtąd — stanowią rasę indoeuropejską, nie zaś mongolską, turańską czy jak tam jeszcze inaczej pisano o nich i mówiono. Owszem, słowo „ariowie” jest tureckiego pochodzenia i oznacza ludzi „czystych”. Turcy zatem są to owi „czyści z czystych” i nie zaliczają się bynajmniej do Azjatów, chociażby nawet wyszli z Azji. Są bardziej europejscy, aniżeli sami Europejczycy; nie należą wcale do żółtej rasy, tylko do białej. Świadczą o tym karty chińskich, perskich i indyjskich kronik, przez które przewijają się marzenia o blade-różowej i złotowłosej piękności chanów oraz księżniczek. Tak to *Mit XX stulecia* dźwięczy niezmiernie podobnie nad Sprewą i nad brzegami Dardanelli!

Z chwilą, gdy już zdołano dowieść, że Turcy są najlepszą, najstarszą i zarazem najbardziej europejską ze wszystkich ras świata, następny krok na drodze kemalizmu nie przedstawia już większych trudności: chodzi tu o odnalezienie najlepszego, najszlachetniejszego, najbardziej europejskiego, własnego, a istotnego pierwiastka narodowego. Czasy historyczne pod panowaniem Osmanów przedstawiają epokę złą, nieszlachetną i azjatycką. Czemu? Po pierwsze, ponieważ władców tych otaczali obcoplemienicy, którzy pracowali i bogacili się w pokoju, podczas gdy słabsi licznie Turcy walczyli i krwawili. Po drugie, ponieważ przyczyna tych faktów leżała w oszałamiającym a oszukańczym wpływie niedobrego duchowieństwa, które tamowało i hamowało przyrodzone skłonności tureckiego ludu przy pomocy oślepiającego czynnika, jaki przedstawiała obca pokrojem i du-

chem religia. Semicki Islam, rodem z pustyni, wraz ze swoją niewolniczą moralnością i ze swą nauką, głoszącą pokorne poddanie się Opatrzności, losowi oraz wyznaczonemu przez los monarsze, osłabiły naród walecznych, pozbawiły go wewnętrznej siły odpornej.

Z powrotem, zatem, ku źródłom pierwotnym, ku czysto-tureckiemu państwu narodowemu! Można by w zupełności mniemać, że znajdujemy się i poruszamy wśród narodowo-socjalistycznych horyzontów niemieckich, gdyby nie odmienny sposób wykładania pojęcia narodowości, tłumaczonego przez Kemala oraz jego wyznawców na przedwojenną modłę zachodnio-europejską. İsmet İnönü kiedyś powiedział, że Turkiem jest każdy, kto pragnie nim być z całego serca. Innymi słowy, przynależność do pewnej narodowości nie opiera się na przeznaczeniu, którego uniknąć ani też przymocą wymusić nie podobna, ale na dobrowolnym wyznaniu narodowej wiary, na wolnej a nieprzymuszonej woli. Z filozoficzno-politycznego punktu widzenia należy objaśnić takie ujęcie sprawy reakcją przeciwko deterministycznemu stanowisku Islamu, jednakże i względy bardzo realnej natury mają również doniosły udział w danym razie. Chodzi bowiem o stworzenie możliwości po temu, ażeby wcielić wszystkich obcoplemiennych mieszkańców w ramy nowej turecczyny. Nieliczne miliony Anatolczyków wykazują wprawdzie na kilka pokoleń wstecz pochodzenie czysto tureckie, pomimo tego wszakże nie mogą stanowić jedyne rdzenia ludu, który, wcieliwszy w siebie wszystkich potomków: Kurdów, Persów, Armeńczyków, Syryjczyków, Greków, Żydów i Arabów, w wyniku tego faktu urasta, już nawet urósł, do powagi dwudziestomilionowego narodu. W ten to sposób liberalna interpretacja pojęcia narodowości naprawia w pewnej mierze brak tolerancji, zwracający się przeciwko mniejszościom, jako całościom samym w sobie. Atatürkowska Turcja okazuje tolerancję jednostkom i jest z tego podobna do dawnych Węgier, z którymi łączy ją poza tym tyle innych jeszcze podobieństw.

Nad odrodzonym zatem państwem panuje idea turecczyny, podczas gdy z ideą Osmanów rozprawiło się ono ostatecznie i pogrzebało ją na wieki. Owo dawniejsze ujęcie

nosiło charakter teokratyczny i anarodowy, jeżeli nie antynarodowy. Ma się ono do kemalizmu w takim stosunku, w jakim dawna austriacka idea Habsburgów miała się do narodowych państw, powstałych na jej gruzach. Ugruntowany na podstawach mitu, i w tym germańskiemu pierwiastkowi podobny, kemalizm wykazuje jednakże w zewnętrznych swych wynikach rysy najzupełniej zachodnie: łańciskie i rozumowe. Wysuwa on na naczelne miejsce dobrobyt narodu w duchu Oświecenia XVIII-go stulecia, nie zaś w myśl kolektywistycznej interpretacji Trzeciej Rzeszy, albo Związków Radzieckich; nadto potwierdza dowodami swój humanitarny charakter, uważając dyktaturę oraz twardą dłoń autorytetu za środek do wyższego celu, nie zaś za cel sam w sobie ani za dokonanie dzieła.

Tymczasem przy głębszym rozpatrzeniu rzeczy odsłania się przed wzrokiem wnikliwego obserwatora trzeci jeszcze pierwiastek, tym razem ani łańciski, ani germański, ani w ogóle europejski. Czynnika tego bardzo chętnie zapierali się panowie z Ankary, co nie przeszkadzało mu raz po raz dobywać się na jaw z przepastnych głębin podświadomości. Był on środkowo-azjatyckiego pochodzenia, a najwyższy swój wyraz znalazł w mongoło-chińskim kręgu kulturalnym. Atatürk — to nie *Führer* i nie *Duce*, ani nawet nie prezydent na demoliberalną modłę Zachodu: to „ojciec Turków“, tak jak — wedle prastarej myśli chińskiej — cesarz jest ojcem wszystkich swoich poddanych. Wedle tej samej państwowej moralności na czoło wszelkich stosunków, jakie bądź istnieją w obrębie społeczeństwa, wysuwa się spomiędzy nich pięć najważniejszych, wiążących obustronnie władcę z jego poddanymi; podobnież najmocniejsze ze wszystkich społecznych więzi, łączy w Turcji Odnowiciela kraju z narodem, dlatego właśnie, że za swego życia był on w odniesieniu do tegoż narodu ojcem rodziny wszystkich ojców rodziny.

W dalszym ciągu odnajdujemy podobieństwo z Państwem Środka, gdy rozpatrujemy sześć charakterystycznych cech kemalistycznej rewolucji, cech tak bardzo przypominających pięć zasad Kuo-Min-Tangu. Wyrównanie pomiędzy mądrością Dalekiego Wschodu, a zachodnią umysłowością dokonywa się w Anatolii w taki sam sposób, w jaki nie-

gdyś dokonywało się w Kantonie. Tylko, że Chińczycy nie byli zdolni do czynu, nie posiadali żołnierskich cnót Turków, ani też ofiarnego ducha, jakiego potrafił obudzić w swoich ziomkach Kemal Atatürk.

Sześć podstawowych założeń kemalizmu przedstawia się następująco: republika, naród, laicyzm, etatyzm, demokracja, rewolucja. Każdy z wymienionych punktów wymaga pewnego wyjaśnienia oraz — oczyszczenia. Żaden z nich nie odpowiada w zupełności odnośnym pojęciom europejskim; żadnego z nich nie podobna zbyć jako czystej obłudzie albo frazesu, albowiem wszystkie doznały w pewien sposób urzeczywistnienia w autorytatywnym państwie Mustafy Kemala.

Republika ma oznaczać przede wszystkim zaprzeczenie monarchii: Turcy nie chcą — tak jak się to działo dawniej, za sułtanów — sprowadzać wszystkiego — aż po imię Osmanów włącznie — do osobistości monarchy, ani też być nadal niczym więcej jak niepodzielną jego własnością. Są natomiast gotowi słuchać prawdziwego władcy, chociażby ani jego tytuł ani imię nie uległy żadnej zmianie. Ale ten prawdziwy władca musi uwierzytelnić się czynami, tak jak to właśnie uczynił Kemal. Jego to wybór oraz jego urzędowa nominacja ochroniły republikańską zasadę, podczas gdy jego znaczenie obok władzy zachowały dlań faktyczną potęgę samowładcy. Tymczasem zaś tam, gdzie nie chodziło o nadzwyczajny precedens założenia nowego państwa, ani nowego społeczeństwa, republika stała się już rzeczywistością. W tym mianowicie znaczeniu, że ani urodzenie ani przynależność do pewnej kasty, nic tam nie znaczą, wszystkie zaś instytucje służą w ostatecznym sensie narodowi. Albo też — żeby zbliżyć się bardziej do turańsko-tureckich pojęć: że cały naród występuje tam w charakterze władcy. Tureckiej rzeczypospolitej, jako też i węgierskiego królestwa i dawniejszych państw obydwóch tych narodów, pokrewnych kulturą, a jednakich pochodzeniem, — nie należy stawiać w jednym rzędzie z zachodnimi demokracjami i republikami: tam istnieją wolne państwa obywateli, tutaj — wolne państwo panów. Rolnik, szlachcic czy chłop — bez różnicy — stanowi w Turcji oraz w podobnych jej republikach miarę, a także punkt wyjściowy, wszelakich pojęć politycznych. Tymi słowy opi-

saliśmy zarazem obowiązujące tu pojęcie demokracji. Demokracja ta, świadoma swoich tradycji i autorytatywna, jest w stosunku do władz wolna od nieufności przenikającej wszystkie instytucje na Zachodzie; natomiast nawiedzają ją ustawicznie prastare azjatyckie myśli, które niosą z sobą patriarchalne pierwiastki dotyczące ukształtowania stosunków pomiędzy tłumem a panującym, na wzór i podobieństwo stosunków rodzinnych, przy czym wszakże w żadnym razie nie dochodzi do jakiegokolwiek wyodrębniania się poszczególnych kast społecznych na podłożu wykonawczej władzy.

Wyżej wspominaliśmy już o tym, jak dzisiejsza Turcja ujmuje pojęcie i zagadnienie narodowości. Należy tu jedynie dodać, że jakkolwiek rozstrzygający udział dobrowolnego wyznania w sprawie narodowej przynależności wprowadza się do zachodnich wzorów, niemniej przeto Kemal Atatürk stosował się w tym do nakazu turańskiej tradycji, której wszystkie epoki dały potwierdzające świadectwo. Wszystkie bowiem koczownicze ludy środkowo-azjatyckich stepów, będąc same liczbowo słabe, zawsze chętnie przyjmowały dobrowolnie zgłaszających się do nich prozelitów.

Po bohaterskim okresie zbiegającym się co do czasu z rządami Kemala Atatürka: republikanizm, demokracja oraz nacjonalizm, uzyskają obecnie w Turcji ostateczne swe ukształtowanie o charakterze narodowym i w ramach ustroju, który przestał stanowić jakiś stan wyjątkowy, stał się natomiast zwykłą i pospolitą codziennością. Nikt już nie będzie tam poważnie myślał o jakimś kręfactwie ideowym albo o mędrkowaniu w stosunku do trzech wymienionych a podstawowych czynników. Obojętne, czy opierają się one na mitycznym założeniu, czy też na przemocą narzuconej koncepcji, w każdym bowiem razie stały się one niezniszczalnymi składnikami w budowie nowej Turcji.

Odmienne zgoła przedstawia się sprawa pozostałych trzech pojęć kemalizmu. Efatyzm nie wykazał się nigdzie trwałą płodnością na gospodarczej niwie. W Anatolii był nieodzowny dla nadania kierunku w pierwszej chwili naglącej potrzeby, w chwili kiedy wszczynano tam nową gospodarczą budowę i rozbudowę. Na tej drodze powstały pod egidą państwa kwitnący przemysł oraz doskonała organi-

zacja finansowa. W przyszłości wszakże prywatna inicjatywa będzie musiała występować tu coraz silniej; unieśmiertelniony Prezydent Turcji doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Co zaś dotyczy etatyzmu, nie wolno nam przeoczyć faktu, że stanowił on poza wszystkim jeszcze turecką formułę na to, co gdzie indziej nosi miano państwowego socjalizmu, wrogiego nastawienia wobec kapitalizmu i był nadto aktem walki, zwróconej przeciwko obcym wpływom ześrodkowanym w wielkich prywatnych zakładach przemysłowych. Etatyzm zatem będzie podlegał przyszłej i stopniowej „rozbiórce” w miarę tego, jak będą wchodzić w szranki czołowe a czysto tureckie siły gospodarcze, zdolne wykazać się niezbędnym wykształceniem i sprawnością w odnośnym zakresie. Nazwa pozostanie, ale zmieni się rzecz sama, gdyby bowiem podobny plan gospodarczy był założony na stałe, sprzeciwiałby się wręcz tureckiemu charakterowi narodowemu.

Odwrotnie do pojęcia etatyzmu pojęcie rewolucji jest niepodzielnie zrośnięte z tymże narodowym charakterem tureckim. Słowo: *inkilap* w żadnym razie nie oznacza rewolucji w sensie ślepego, a ideowo uzasadnionego zniszczenia, które powtarza się okresowo dlatego, że po upływie pewnego czasu chciałoby się znowu zdobyć coś nowego; słowo to należałoby raczej wyłożyć jako przemianę osiągniętą metodą skoków. Na podobieństwo przyrody (wiemy przecież, że robi ona wielkie skoki wszędzie, gdzie tylko posiada możliwość i środki po temu, bynajmniej zaś nie obraca się w kręgu powolnego i stopniowego rozwoju, w jaki wierzone dawniej) chce kemalizm jako zasadnicza przyrodzona siła przeorać gwałtownymi skokami pole turecczyzny wraz z narodem i tym sposobem stworzyć odpowiednie warunki dla nagłego wtargnięcia w jej bramy jakiejś wielkiej przyszłości. Tak więc, metodą kolejno wymierzanych razów, przeprowadzał Mustafa Kemal jedną po drugiej reformy w zakresie formalności, mających tak doniosłe znaczenie na Wschodzie. Wydał zakaz noszenia fezów, zniósł haremy, wprowadził łaciński alfabet. Równocześnie jednak wprowadził także zmiany podstawowe, jako to: usunięcie kalifatu oraz zlaicyzowanie państwa. Zasada szybkich, nagłych i niespodziewa-

nych przemian pozostanie zachowana i nadal, tylko, podobnie jak etatyzm, będzie znajdować zastosowanie coraz rzadziej i, być może, że tak jak on, zniknie wreszcie całkowicie z widowni życia po wypełnieniu swego dziejowego zadania, jakkolwiek nigdy nie doczeka się formalnego urzędowego zniesienia.

Kamień obrazy wszakże stanowi kemalistyczny laicyzm. Wprowadzie rozumowanie, wyprowadzające tę zasadę Ata-türkowych rządów od zachodnich wolnomularskich początków, stanowi jedynie zwodniczy pozór; w rzeczywistości bowiem również i ona uzyskała znaczenie przede wszystkim jako czynnik reakcji przeciwko epoce Osmanów. Tymczasem jednak dzisiejsza postać tureckiego laicyzmu nie może utrzymać się w mocy, przeczą jej bowiem geograficzne oraz historyczne położenie Turcji, wysuwającej się coraz bardziej na czoło muzułmańskiego świata jako jego mocarstwo produjące. Rozdział zaś tych dwóch społeczności, państwowej i religijnej, dał się wprowadzić urzeczywistnić w ustawodawczym zakresie, nie dokonał się za to wcale w dziedzinie ducha. I tak jak we Francji katolicyzm nie przestał przedstawiać życiowej potęgi nawet w czasach najgorszych zafargów kościelnych, podobnie dzisiaj duch i wpływ Koranu przepełniły najzupełniej cały byt tureckiego narodu. Z chwilą więc gdy zerwano dawne węzły łączące muzułmańskie duchowieństwo z sułtanatem, gdy złamano polityczne znaczenie i rolę zakonu derwiszów oraz staroosmańskiej „ulemy“, toruje sobie teraz drogę nowa harmonijna współpraca, której Ghazi sprzyjał w zupełności w ostatnich latach swego życia. Nie będąc wierzącym wyznawcą islamu w ścisłym znaczeniu słowa, był jednakże — wbrew utartym poglądom — naturą głęboko religijną. Był także i pod tym względem wyznawcą realizmu i dlatego sprzeciwiał się tworzeniu amalgamatu z muzułmańskiej wiary oraz obumarłych form politycznego bytu. W żadnym razie jednak nie był wrogiem pozytywnej treści, która zawiera się w księdze Koranu.

Być może, że najważniejsze zadanie kemalizmu będzie polegać po zgonie jego twórcy na wynalezieniu nowej formuły dla odrodzonego Islamu, równie nieodłącznego od tureckiej państwowości jak nieodłącznym jest chrześcijaństwo

od zachodniej cywilizacji. Ponowne zejście się tureckiego społeczeństwa z religią na pewno przyniesie pożytek także i chrześcijańskim wyznaniom, które chwilowo ucierpiały bardzo wiele pod panowaniem przekraczającego rozsądne granice laicyzmu Nowej Turcji.

Istnieniem tej ostatniej możliwości różni się nowy Koran od nowej ewangelii rasy. Mit o praprzodkach tureckiego narodu daje pogodzić się z duchem semickiego Islamu; *Mit XX stulecia* stoi w nierozwiązalnej sprzeczności z chrześcijaństwem. W Kemalowej Turcji zatargi pomiędzy wiarą a rzekomą wiedzą dają się pozytywnie załatwiać dlatego, że romantyczny sen i zew rzucony instynktom krwi podlegają bacznej straży oraz kierownictwu zachodniego, krytycznego rozsądku i przechowanej od prawieków azjatyckiej mądrości.

Dr F. Bifnicki.

Znamienny jubileusz w Czechach.

Z okazji 250-lecia zgonu ks. Bogusława Balbina, jezuity-patrioty czeskiego.
(1688—28. XI.—1938).

Druga połowa 1938 roku będzie należeć bez wątpienia do najbardziej pamiętnych i dramatycznych okresów w dziejach czeskich. Dlatego też tym mocniej należy podkreślić fakt, iż obecna tragedia Czech, to tragedia narodu, który odszedł od tradycyjnej swej świętowaćławskiej postawy ideowej a dał się uwieść złudzeniom marksizmu, masonerii oraz bezbożnictwa. Zdrada czeskich ideałów religijnych i narodowych zemściła się srogo na narodzie czeskim, który teraz po katastrofie państwowo-narodowej 1938 r. zaczyna zdawać sobie coraz jaśniej sprawę z duchowych krzywizn i z błędów ideowych i powraca na drogę religijnych przeobrażeń wewnętrznych.

Po burzy dziejowej rozpagadzają się horyzonty nad Czechami, a w życiu narodowym Czechów dostrzegamy dzisiaj tyle pocieszających zjawisk, że możemy je śmiało uważać za zapowiedź rozpoczynającego się okresu odrodzenia wewnętrznego, prawdziwego renesansu w duchu zasad św. Wacława i św. Ludmiły.

Tak się dziwnie jakoś zbiegło, że na schyłku jakże smutnego dla naszych pobratymców 1938 r. rozbłysł właśnie jasny promień pociechy a z okazji jubileuszu ks. Bogusława Balbina, najbardziej patriotycznego jezuity czeskiego w pobiałogórskim okresie XVII stulecia, w naród czeski wstąpiły nadzieje dzwignięcia potęgi czeskiej.

Nie tylko już odłam aktywistów katolickich, ale całe społeczeństwo czeskie święciło dwieście pięćdziesięciolecie

zgonu najwybitniejszego pisarza okresu barokowego w literaturze czeskiej O. Bogusława Balbina. Jubileusz ten za dawnego reżimu zostałby prawdopodobnie albo zupełnie przemilczany, albo też uczczonoby go skromnie kilkoma wzmiankami w prasie wyłącznie katolickiej, natomiast teraz został omówiony w całej prasie czeskiej. Pisarz, który przed trzydziestu laty, walczył o rehabilitację Czech w oczach Europy, stał się znów aktualnym a ideały jego stają się jakby nowym zaczynem dla odrodzonego patriotyzmu czeskiego.

Bogusław Balbin urodził się w rok po klęsce białogórskiej (4 grudnia 1621) w Königgrätz. Były to smutne czasy dla Czechów, kiedy to w reakcji przeciwhusyckiej największy udział wzięli Niemcy, starając się za wszelką cenę wynarodowić lud czeski. Ojciec chrzestny ks. Balbina, wywodzący się ze zubożałej szlachty czeskiej, znakomity wódz Albrecht z Waldsztajnu niewiele się nim opiekował. Ojciec zaś bardzo wcześniej go odumarł (Balbin miał wówczas ledwie dwa miesiące), a owdowiała matka przeżywała wielki niedostatek.

Zrozpaczona matka Balbina, szukając jedyne oparcia w swej żarliwej wierze, ofiarowała dziecię Najświętszej Maryi Pannie Starobolesławskiej i słabowity Bogusław szczęśliwie przeżył rodzeństwo. Ofiarowany już w kolebce Królowej Niebios — przyszły uczony i pisarz pozostał do końca życia czcicielem Matki Bożej a ze Staro-Bolesławia, gdzie się znajduje cudowny obraz Najświętszej Dziewicy, stworzył duchowy ośrodek Czech, jak o tym wymownie świadczy jego dzieło *Epifome rerum bohemicarum* (Wyciąg z dziejów czeskich), oraz szereg książek maryjnych.¹⁾

Drogę katolicką i zarazem czesko-narodową w przyszłej karierze życiowej wytknął Balbinowi Polak, jezuita, znany w literaturze ascetycznej ks. Łęczycki. Rodak nasz był przez pewien czas prefektem młodego Bogusława w szkołach, on go też później skłonił do wstąpienia do Towarzystwa Jezusowego i natchnął zapałem do pracy nad dźwiganiem literatury narodowej.

¹⁾ *De imagine B. Virginis S. Lucae (1646) — Sodalis Marianus (1653) — Diva Warfensis, seu Origines et miracula Magnae Dei hominumque Matris Mariae (1545).*

Bogusław Balbin po odbyciu nowicjatu w Bernie na Morawach, studiów humanistycznych w Kladsku a filozoficzno-teologicznych w Pradze otrzymał święcenia kapłańskie w 1650 roku i początkowo poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu, zapalając w uczniach gorącą miłość do narodu oraz budząc umiłowanie narodowej przeszłości. Za to wskrzeszanie świetnej przeszłości narodu czeskiego spotkała młodego pedagoga niejedna krzywda i niejedna przykrość. Wszak był to okres zaciętej walki z narodową tradycją czeską. Po klęsce białogórskiej i miasta i wieś czeskie przestały prawie mówić po czesku. Walka z husytyzmem w rękach urzędników habsburskich przerodziła się rychło w walkę z książką czeską. W Czechach zapanowała analogiczna sytuacja, jak w Polsce po przegranej w powstaniu listopadowym, kiedy to piśmiennictwo w kraju ledwie wegetowało, a w nieskrępowany sposób rozwijało się jedynie na wychodźstwie. Ks. Balbin jednak nie ugiął się ani nie załamał. Mając różne trudności w szkole a bardzo ograniczony zasięg działalności, za zgodą swych przełożonych, w dwunastym roku kapłaństwa zrezygnował z profesury (1662) i poświęcił się wyłącznie pracom literackim. Zamieszkiwał w Pradze i studiował w bogatej bibliotece kolegium Clementinum. Sparaliżowany w roku wyprawy wiedeńskiej nie ustawał jednak w swej działalności pisarskiej do ostatnich dni swoich. Pracowitego żywota dokonał 28. XI. 1688 r.

Zamiłowanie do dziejów ojczystych objawiło się w Balbinie od wczesnej młodości, bo jako chłopiec siedmioletni przeczytał cztery razy czeską kronikę Wacława Hajka. Całe życie swoje poświęcił zbieraniu materiałów historycznych, gromadzeniu starych ksiąg i pergaminów dokumentowych i wielu innych pamiątek oraz zabytków, aby móc tylko opowiadać swym rodakom sławne dzieje Czechii.

Po szeregu monografij, z których wyróżnia się *Vita Arnesti* (Żywot biskupa Ernesta z Pardubic, 1664), od 1670 r. zaczął Balbin wydawać *Epitome Historica rerum Bohemiarum*. Niestety naraził się na ostrą krytykę burgrabiego praskiego Bernarda Ignacego z Martinic, który oskarżył Balbina o tendencje nacjonalistyczne i przeciwdynastyczne. Z ciężkich

opresyj wybawił go dopiero generał zakonu w Rzymie, oraz bibliotekarz nadworny, o. Piotr Lambecio.

Najgłośniejszym jednak dziełem ks. Balbina jest *Disseratio apologetica pro lingua slavonica, praecipue bohémica* (Obrona języka słowiańskiego zwłaszcza czeskiego). Dzieło to zostało napisane w konwikcie klatowskim za podniecią przyjaciół i zostało poświęcone druhowi, Tomaszowi Pieszynie. Jest to pod pewnym względem niewątpliwie najcenniejszy skarb spuścizny literackiej Balbina, może być porównany z dziełami Komeńskiego i Husa z tego zakresu. *Obrona języka* tchnie zapalem patriotycznym, rzadką odwagą poglądów i śmiałością w smaganiu rodaków za popełnione błędy. O. Balbin uświadamia swemu narodowi sytuację niewoli, otwiera mu oczy na bolesny fakt, jak to Niemcy usiłują naród czeski wpruć do swego rydwanu imperialnego, jak to Niemcy podbili i ujarzmili zupełnie nieszczęsnych Słowian połabskich, jak to narody słowiańskie nie mogą Niemcom ufać i jak pierwszym przykazaniem narodu czeskiego winno się stać umiłowanie języka ojczystego. Nic więc dziwnego, że w późniejszym już okresie odrodzenia piśmiennictwa czeskiego *Obrona* Balbina wydana ponownie (1777) wznieciła nowy zapal narodowy wśród Czechów. Innym bardzo poczytnym dziełem ks. Balbina był życiorys św. Jana Nepomucena, który doczekał się kilka wydań po łacinie i po niemiecku. O ścisłości i gruntowności historycznych i hagiograficznych prac ks. Balbina świadczy najlepiej fakt, iż Bollandyści przejęli z dzieł tego historyka wiele szczegółów do znanych na całym świecie *Acta Sanctorum*.

Zamierzał też Balbin stworzyć narodowi czeskiemu wielkie monumentum historyczne, lecz śmierć nie pozwoliła doprowadzić dzieła do końca. Jego *Miscellanea historiae regni bohémii* (Różności historyczne królestwa czeskiego) wychodziły tylko od 1679 do 1687 r., dając spuściznę w formie 10 tomów.

Główną jednak zasługą Balbina jest nawiązanie do tradycji świętowacławskiej w dziejach czeskich. Podobnie jak Karol IV wiedziony szlachetną dumą wyprowadzał swój ród z przestawnej dynastii Przemyślidów, którym przewodzi

św. Wacław, tak i Balbin jako punkt wyjścia dla dziejów czeskich znajduje w Starym Bolesławiu, gdzie się połała męczeńska krew św. Wacława. Dowód szczerej przyjaźni i wdzięczności dla swego kierownika duchownego, Polaka O. Mikołaja Łęczyckiego zostawił O. Balbin w życiorysie tegoż wybitnego ascety, wydanym już po śmierci autora: *Vita Venerabilis Patris Nicolai Lancicii e Societate Jesu.* (1690).

Nic więc dziwnego, iż całokształt działalności tego wybitnego kapłana-patrioty i uczonego stawia go w gronie najbardziej zasłużonych pionierów narodowego życia Czechów. Dziś w czasie uroczystej akademii w Pradze nie zawahano się nazwać ks. Balbina *vůdce národa*, wielkim poprzednikiem Palackého. Przez długi jednak okres liberalnej krytyki literackiej XIX w. zapominano o ks. Balbinie.

Liberalni bowiem lub też wrogo dla Kościoła katolickiego usposobieni pisarze starali się szerzyć fałszywą opinię, jakoby okres baroku w piśmiennictwie czeskim był okresem zupełnego upadku lub też, że jezuici czescy po klęsce białogórskiej germanizowali naród. Z tym tendencyjnym przedstawianiem roli katolicyzmu w Czechach XVII w. należy raz na zawsze skończyć i stwierdzić, że tak, jak trzysta lat temu jezuici w piśmiennictwie czeskim pomimo nacisków rządów niemieckich budzili czeską świadomość narodową, podobnie i dziś katolicyzm czeski, nawiązując do tradycji świętowacławskich, wiedzie naród ku lepszym czasom poprzez religijną odnowę.

Dziwne nastawienie rządziło w Czechach do ostatnich czasów. Bezbożnicy i liberali wywierali tak przemożny wpływ i w nauce i w literaturze, że z tendencją antykatolicką pozbawioną jakiegokolwiek obiektywizmu naukowego spotykaliśmy się w każdym utworze i w każdym dziele, ba, nawet w podręczniku szkolnym. Wśród wielu głośłownych twierdzeń były i tak bezkrytyczne, że odkąd jezuici pojawili się na czeskiej arenie pisarskiej, odtąd literatura czeska zaczęła rodzić coraz bardziej puste kłosa (Lit. cz. J. Jakubca, 1910, s. 348). Pisanie zaś o tej epoce w historii i literaturze, a już szczególnie gloryfikowanie wybitnych pisarzy epoki barokowej należało do zjawisk tak niezwykle, że tematy te były w Czechach wyłącznym udziałem jezuitów i innych zakon-

ników katolickich. To też tym dziwniej, tym rewolucyjniej rozbrzmiewają dziś artykuły czesko-katolickiej i czesko-narodowej prasy, wspominające pamięć ks. Bogusława Balbina, który spośród pisarzy jezuickich był najgłośniejszym a zarazem najżarliwszym patriotą.

Jubileusz wybitnego jezuitę stał się doniosłym zdarzeniem, wezwaniem do rewizji poglądów na rolę katolicyzmu w dziejach czeskich, hasłem do nawłazania złotych a przez pozytywizm, antyreligijny liberalizm i masonerię brutalnie zerwanych nici narodowej i katolickiej tradycji.

Antoni Opęchowski.

Francis Jammes.

Na kilka tygodni przed ukończeniem siedemdziesiątego roku życia zasnął szczęśliwie w Panu w sam dzień uroczystości Wszystkich Świętych i w samą godzinę uroczystości obłóczyn najmłodszej swej córki, francuski liryk i zarazem powieściopisarz, Franciszek Jammes. Był to chrześcijański zgon chrześcijańskiego poety, niby godne zamknięcie i przypieczętowanie życia oraz twórczości jednakowo naznaczonych znamieniem krzyża. Jammes jako człowiek, pisarz oraz wyznawca, niewątpliwie i ze wszech miar zasługiwał na sympatię; jego postać łączyła w sobie dary talentu z moralnymi wartościami charakteru. A jednak pomimo wszystko uważny słuchacz musi wyłowić tu niejedno fałszywe brzmienie, ukryte w dźwiękach pozornej harmonii. I tego faktu nie podobna przemilczeć, pisząc pośmiertne wspomnienie o człowieku, który — jak to miało miejsce u Jammes'a — wyrósł tak bardzo ponad przeciętną ludzką miarę. Rzeczywiście, bowiem, wzniosł się on zbyt wysoko na to, ażeby można było wspominać go niby pierwszą lepszą z brzegu jednostkę, posiadającą ten jedyny tytuł do uznania, że przestąpiła już próg wieczności; albo żeby stosownym było wygłaszanie o nim samych dobrych rzeczy, konwencjonalnych komunałów, — obojętne czy przy tym zechcielibyśmy widzieć w nim przede wszystkim piewcę *Angélus de l'Aube* i *Georgiques chrétiennes*, czy też malarza rozsnuwającego przed czytelnikiem tęczę barw pastelowych w utworach tego rodzaju, co *Clare d'Ellébeuse*.

Jammes wywodził przypuszczalnie swój ród od przodków brytyjskich, z pewnością zaś był synem skromnego

urzędnika z Martyniki. Jego ojciec spędził znaczną część życia w otoczeniu drogiej francuskiej sercu tzw. *Iles*. Stamtąd powrócił do ojczyzny, do ziemi francuskich Basków i wiódł w niej odtąd podwójną egzystencję, dzieląc czas pomiędzy szarą teraźniejszość skarbowego urzędu, a świeżą jeszcze i tęsknie na pamięć przywoływaną przeszłość: uroczne dni spędzone pod równikiem.

Takie to dziedzictwo zaciężyło nad twórczością naszego poety. W dzieciństwie przysłuchiwał się chciwie opowieściom ojcowskim. Potem, pod twardym przymusem konieczności, chwycił się prozaicznego zajęcia „dla chleba”. Równocześnie wszakże wykazał zdumiewającą zdolność przebywania w krainie błogich snów, w królestwie słodkich marzeń. Wymienione okoliczności uczyniły Jammesa tym, czym był w istocie i czym na wieki pozostanie w obliczu dziejów piśmiennictwa oraz jego wyroków.

Piękne wyspy podzwrotnikowe: Antylle, Réuniony i Bourbonńskie, wywarły ogromny wpływ na macierzystą lirykę francuską. Mówiąc o Jammesie należy podkreślić potęgę tego wpływu. Jednocześnie należy wymienić tu nazwiska: Leconte de Lisle’a, Dierx’a i Heredii (kubańska ojczyzna ostatniego ma prawo do wzmianki na tym miejscu ze względu na swój klimat) obok Bernardina de St.-Pierre, nawróconego z liryki na narracyjną prozę, obok braci Leblond i obok wielu innych. Piśmiennictwo „równikowe” przyniosło z sobą do Francji duszną atmosferę, przepych barw, gnuśne nastroje obok momentów pełnych wdzięku i powabu, wspaniałość obok pierwotnych namietności. Pomiedzy ciężkim teatralnym efektem Leconte’a czy Heredii z jednej strony, a dziecięcą i naiwną nieśmiałością St.-Pierre’a i Jammesa z drugiej — nie istnieje żadna droga pośrednia.

Jammes nie miał w sobie nic ze zdobywcy — *conquistadora*, ani też z Cezara, wdzierającego się do Senatu, co prawda tylko na półki biblioteczne. Był natomiast typowym *clerc de notaire*, notarialnym skrybą z prowincjonalnego francuskiego gniazda. Takiego można było widzieć, gdy marzący i rozmarzony, a zarazem twórczą myślą pochłonięty, przechadzał się po bliskich mu i swojskich staroświeckich ulicz-

kach powiatowego miasteczka. Tylko, że w danym wypadku *le genre littéraire* osiągnął najwyższy poziom wydoskonalenia i wykończenia. Jammes okazał się mistrzem w granicach, które mu zakresłono. Skoro wszakże niektórzy ludzie (albo i on sam zresztą) usiłowali rozszerzyć zasięg jego mistrzostwa poza wyżej wzmiankowane granice, skoro nawet składano mu hołdy z tego tytułu, — była to omyłka równa tej, która popchnęła ubogiego daudetowego grajka (w słynnej powieści *Numa Roumestan*) ku bramom Paryża i w otchłań wielkomiejskiego zepsucia.

Także i nasz miły poeta zawędrował swojego czasu na wybrzeża Sekwany i do wrót współczesnej wieży Babel. Dał się tu przynęcić i zwabić, a potem, rozgoryczony, usunął się z powrotem do swego uroczego baskijskiego zakątka. Stamtąd dąsał się beznadziejnie na Akademię Francuską, która odmówiła mu przyjęcia. Dlaczego, istotnie, nie oddano głosów na tego uzdolnionego i dobrze myślącego literata, podczas gdy mniejszym od niego przyznawano zaszczytne prawo do zielonego akademickiego fraka? W odpowiedzi na to pytanie, zwrócone do króregośkolwiek z owych „Czterdziestu nieśmiertelnych z urzędu“, słyszało się bardzo wiele przyczyn, niby zmierzających ku rzeczywistości, ale naprawdę — bardzo nieszczerze pomyślanych. Na koniec dopiero jeden z nich, François de Curel, z tytułu przysługującego mu przywileju wielkopańskiej otwartości, wyznał autorowi niniejszych słów właściwy powód takiego postępowania: *Le voyez vous dans un salon? Or, l'Académie en est un.*

O ile bowiem zewnętrzny wygląd poety odpowiadał jego urodzeniu oraz zawodowi, o tyle nie zgadzał się z jego prawdziwym powołaniem. Na ramionach „nieprzemakalny“ z rozwianymi połamami, na głowie baskijka, w ręku — kij sękaty, oto z czego składał się jego zwyczajny strój wędrowny. Dobrotliwe i mądre oczy patrzyły z wielką pewnością siebie. Potężna patriarchalna twarz znamionowała oblicze w sposób wysoce charakterystyczny. Jammes, *une barbe et rien qu'une barbe*, dorzuca Curel, wygłaszając wspomniany swój wyrok sędziowski. Tej gry słów przetłumaczyć nie podobna: niech pojmie, kto może pojąć — ukrytą grę

słów. Tak więc, poczciwy, stary Jammes zasługiwał na powyższe miano już nawet w tych latach, kiedy nie mógł jeszcze znaleźć ani jednej nitki srebrzącej się w obfitym zaroście. Nie dziw przeto, że musi on wydać się nudnym i rozwlekłym w oczach współczesnego, normalnie uzdolnionego czytelnika. Ustawicznie bowiem obraca się dookoła kilku głównych motywów: romantycznych gąsek, podlotków zadumanych przy księżycu oraz innych sympatycznych mieszkańców urojonego „Boskiego Zwierzyńca”, — i wszystkim tym postaciom poświęca wzruszające strofy poezji albo niemniej uczuciowe karty prozy.

Jammes hołduje przy tym pewnemu antropomorfizmowi, który w jego utworach wrasta w treść chrześcijańskiej symboliki. Antropomorfizm ten znosi graniczne mury pomiędzy wyżej wspomnianymi metaforycznymi gąskami, podlotkami i „niebieskimi” kozami z jednej strony, a kochanym bydełkiem w dosłownym, swojskim i „czworonożnym” znaczeniu. I Jammes pragnie „iść do nieba w towarzystwie osłów”, obiecuje „biednemu przyjacielowi, wiernemu psu” spotkanie w zagrobowej krainie, która z opisu mogłaby przypominać nam aż zanedbto tereny jakichś wiekuistych łowów, gdyby nie ta okoliczność, że u naszego dobrośliwego poety wszystko wygląda niebojowo i niekrwawo. Zbyt często także zacierają się u niego granice między efektem wzniosłym i efektem śmiesznym, między słodyczą a cikliwością. To samo należy powiedzieć o przemienionej w poetyckim blasku powszedniości, przechodzącej częstokroć w zwykłą, pospolitą banalność.

Jeżeli franciszkański nastrój nie opanowuje poety właśnie w chwili tworzenia, Jammes opiewa wszelkie myśli, jakie tylko przekroczyły próg jego świadomości. Myśli te powstają pod wpływem zetknięcia się z życiem prowincjonalnego miasteczka: listonosz pozdrawia poetę życzeniem dobrego dnia — i powstaje stąd liryczny obrazek, jakiś pastuszek beztrasko sobie wyskakuje — idylliczna scena wnet układa się w rymy. Ale właśnie wtenczas iść się cud ujawniający u Jammes’a dary prawdziwego natchnienia. Niepostrzeżenie wznosimy się z nizin publicznego targowiska na górne poziomy poetyckiej myśli. Jeszcze wprowadzie i słowa i strofy

krążą dokoła „październikowych tchnień” i nawet dokoła „zapalanej fajki”... niebawem wszakże dokonywa się sublimacja uczuć, które dosięgają wtedy dziedzin najczystszej poezji, dając wyraz serdecznej pobożności w tonach wspańiałej prostoty. Takie utwory jak „Modlitwa o zachowanie dziecka przy życiu”, albo błaganie poety o „pobożną i szczęśliwą śmierć”, — stanowią potwierdzenie słów ks. Bremond, utrzymującego, że modlitwa oraz poezja są w istocie jednym i tym samym.

Podobne wiersze znajdujemy w przeważnej liczbie poetyckich zbiorów, które Jammes kolejno wypuszczał w świat w ciągu blisko półwiekowej (poczynając od roku 1888-go) swojej twórczości. Najczęściej można spotkać je w tomikach zatytułowanych: *De l'Angélus de l'Aube à l'Angélus du Soir*, *Deuil des Primevères*, w późno wydanym tomie, nazwanym *Quatrains*, wreszcie w *Ma France poétique*.

Najlepsza część tej liryki ma przed sobą długotrwałą przyszłość. Przeciwnie proza Jammes'a przeszła już dzisiaj do zakresu dziejów piśmiennictwa oraz kultury. Przy odtwarzaniu takich postaci jak: Klara d'Ellébeuse i Almaida d'Étremont poeta posługiwał się idealnymi wizerunkami dziewcząt, które ze swej strony z rozkoszą rozczytywały się w historii życia wspomnianych bohaterek i wzorowały się na nich. Dziewczęta takie jednak należą już do zabytków minionej epoki. Ich właściwe miejsce — to pawilon osobliwości na wszechświatowej wystawie z r. 1900-go, a raczej jeszcze wcześniejszego. Ładne zaś powiastki o „proboszczu z Ozeron”, albo o „dwudzwonie weselnym”, wydobędą na usta dzisiejszego czytelnika co najwyżej wymuszony i blade uśmiech, zarazem rzewny i smętny. Z tej dość jednostajnej, jakkolwiek bogatej tematycznym zasięgiem sztuki opowiadania wybija się jako plon o trwałej wartości książka pod tytułem: *Le Roman du Lièvre*. Utwór ten leży już w granicach naszej współczesności. Wprawdzie, grzesząc nadmiarem antropomorfizmu, błędnie on równocześnie w zestawieniu z pokrewnym treścią polskim dziełem Dygasińskiego, nieznanego na Zachodzie malarza zwierzęcego świata. Któż wszakże poza Polską, wie cośkolwiek o tym sarmackim autorze? Tak więc *Roman du Lièvre* zachowa swoją wartość wdzięcz-

nej fantazji na prastary temat, który w swoim czasie zajmował już myśl okrutnie prawdziwego La Fontaine'a. Ale gdy ten bez żadnego patosu wypowiadał na odległość bezlitosne twierdzenia, Jammes współczuje i współdrży z zajęczym bohaterem niemal w każdym wierszu swej książki.

I w tym to właśnie zawiera się rzecz zasadnicza: Jammes nie był ani klasykiem, ani zimnym wirtuozem słowa; nie był również i trzeźwym myślicielem z doby *Grand Siècle'u*. Był za to dobrodusznym mieszczaninem z *fin de siècle*. Wielkim stawał się jedynie w pewnych chwilach swojego żywota, mianowicie pod tchnieniem łaski. Wtenczas to na tle umyślnej prostoty zewnętrznej słownej szaty, pozbawionej jakiej bądź błyskotliwej ozdoby, tym piękniej uwypuklała się wspaniała i wzniosła treść myślowa. I wtedy także ów człowiek, który dopiero w dojrzałych męskich latach dał pozyskać się dla prawdy dziecięcej wiary, poświadczał i święcił jedyne wielkie przeżycie, jakie dokonało się w jego cichej i wolnej od wstrząsów egzystencji: spotkanie z Bogiem.

Dr Otto Forst Battaglia.

Przegląd piśmiennictwa.

Polityka gospodarcza III Rzeszy. Leopold Caro. Przewrót gospodarczy w III Rzeszy. Antoni Zabko Potopowicz. Rolnictwo w III Rzeszy. Lwów 1938 r. Nakł. Pol. Tow. Ekonomicznego we Lwowie. Str. 143.

Wydana pod powyższym tytułem książka w części pierwszej, napisanej przez prof. Leopolda Caro, w sposób bardzo zwięzły i rzeczowy wprowadza nas w istotę zagadnień gospodarczych III Rzeszy. Prof. Caro, który na ogół pozytywnie odnosi się do zarządzeń gospodarczych III Rzeszy, zastrzega się jednak na str. 78, iż „poglądów tu przedstawionych nie należy zestawiać z działaniem narodowego socjalizmu w innych dziedzinach. Polityczne i kulturalne czyny jego mogą być błędne, ale to nie pozbawia trafności jego rozumowania w sprawach gospodarczych. A o to rozumowanie i jego rezultaty praktyczne wyłącznie tu chodzi. I ono ma samoistną wartość, zasługującą na bezstronną i pełną uznania ocenę”.

Prof. Caro analizuje podstawy gospodarczego myślenia narodowego socjalizmu. Podaje on cały szereg cytat w których wyraża się światopogląd hitlerowski, stanowiący odrębny zupełnie świat myślenia. Narodowy-socjalizm, w przeciwstawieniu do marksizmu, w którym sprawy gospodarcze odgrywają zasadniczą doktrynalną rolę, nie uznaje ich za najważniejsze, nie czyni z nich bożka, któremu wszystko winno podlegać. Już 18 września 1922 r. powiedział Adolf Hitler: „Gospodarstwo jest czymś drugorzędnym...” a mimo to, w „drugorzędnej” tej dziedzinie narodowy socjalizm w ciągu pięciu lat dokonał rzeczy wielkich.

„Główną cechą naszej rewolucji — mówił 1 lipca 1933 r. Hitler — nie jest zagarnięcie władzy, ale wychowanie ludzi”, lecz ponieważ przy obejmowaniu władzy narodowy-socjalizm zastał 6,118,000 zarejestrowanych bezrobotnych i około 1½ miliona nie zarejestrowanych, czyli łącznie z rodzinami około 25 milionów ludności w biedzie, niekiedy nawet i w nędzy — zagadnienia gospodarcze musiały wysunąć się na plan pierwszy. Poprzedni re-

zym nie potrafił nie tylko uporać się z klęską bezrobocia, lecz i z rozkładem życia gospodarczego oraz z całym szeregiem innych plag, związanych z ustrojem liberalno-kapitałistycznym.

I stała się rzecz paradoksalna. Wojujący innymi aniżeli ekonomicznymi hasłami, narodowy-socjalizm właśnie na polu gospodarczym dokonał wielu pozytywnych przemian, w związku z tym zniósł niejako bezrobocie, a przynajmniej ograniczył je do *minimum*, pchnął życie gospodarcze na nowe tory, zwiększył o blisko 20 miliardów mk. rocznie dochód społeczny, pomnożył majątek narodowy, wzmógł wydatnie tempo oszczędności i poczynił ogromne inwestycje o znaczeniu publicznym.

Jakie są zasady narodowego-socjalizmu na polu gospodarczym? Własność prywatna jest utrzymana zarówno w dobrach przez obywateli posiadanych jak i w warsztatach pracy przez nich prowadzonych. Gospodarzy inicjatywa prywatna, rząd natomiast wykonuje kontrolę tej gospodarki i to o wiele większą aniżeli w krajach liberalno-kapitałistycznych. Oświadczając się za własnością prywatną narodowy-socjalizm nakłada na nią równocześnie obowiązki. Narodowy-socjalizm żąda, jak mówi prof. Caro, „by własność służyła dobru publicznemu, a nie uprawniała nikogo do postępowania z przedmiotem własności wedle swego widzi mi się. Własność może trwać tylko tak długo, jak długo trwa dobra gospodarka. Kto źle gospodaruje traci prawo do danej własności”. (Ta cecha jest zresztą wspólna z faszyzmem).

Do życia gospodarczego wprowadzona jest zasada szefostwa. „W każdym zakładzie przemysłowym — mówi prof. Caro — przywódca przedsiębiorstwa (*Führer*) i drużyna (*Gefolgschaft*) stanowią razem załogę. Rzeczą przywódcy jest ustalanie sprawiedliwej płacy... tam gdzie jest więcej niż 20 robotników, drużyna wybiera radę zaufania, stanowiącą organ doradczy przywódcy przedsiębiorstwa. W razie różnicy zdań, o płacach rozstrzyga powiernik pracy (*Treuhänder der Arbeit*)”. Wszelkie strajki i lokauty są oczywiście surowo zakazane.

Podstawą ekonomii narodowo-socjalistycznej jest praca, stąd też jest ona z jednej strony przez państwo chroniona, a z drugiej państwo przyznaje „prawo do pracy” wszystkim członkom narodu i zobowiązuje się pracy tej dostarczać. Pieniądz wciągnięty został w służbę społeczności. Pomimo znacznego powiększenia ilości znaków obiegowych, inflacja nie nastąpiła do tychczas, zresztą pieniądz III Rzeszy nie opiera się na złocie. Za istotne pokrycie waluty — stwierdza prof. Caro — poczytuje kanclerz nie złoto... ale produkcję, przysparzającą narodowi bogactwa, a jego członkom dochodów... nie wolno zatem dopuścić do zaprzepaszczania 12 miliardów godzin roboczych rocznie... lud bowiem nie żyje z fikcyjnej wartości pieniądza, ale z produkcji realnej, dzięki której dopiero pieniądz zyskuje swą wartość”.

Dodać należy, że jeżeli w Niemczech udało się na polu gospodarczym przeprowadzić szczęśliwie i w tak krótkim czasie tyle i tak doniosłych reform, to zawdzięczyć to należy zbieżności kilku specyficznych czynników. Doniosłą rolę odegrało mianowicie wielkie zdyscyplinowanie narodu niemieckiego, dalej jego umiejętność organizacyjna oraz jednolitość (ilość Żydów stosunkowo niewielka i wpływy ich oraz stan posiadania mimo wszystko nie tak znaczne nawet w czasach przedhitlerowskich) i wreszcie zdecydowana wola wydobycia się z międzynarodowej matni, wynikłej z przegranej wojny.

Ideologia gospodarcza narodowego - socjalizmu, oparta w zasadzie na zdrowych podstawach, wykazuje jednak również słabe strony. Brak jej przede wszystkim głębokich podstaw moralnych, a to właśnie z czasem musi się na niej zemścić. Posiada ona również i pewne strukturalne wady, między innymi zanadto żyje na kredytcie.

W drugiej części książki, Antoni Żabko - Potopowicz omawia posunięcia narodowego - socjalizmu w rolnictwie. Hitler przywiązuje ogromną wagę do warstwy rolniczej, jako do żywicieli narodu, stąd bardzo daleko idąca opieka nad tą warstwą i chęć stworzenia jak najlepszych warunków dla jej pracy, przy równoznacznym tępieniu wszelkiej spekulacji i lichwy. Zamierzenia te w znacznej części zostały już osiągnięte.

Ziemia - żywicielka przestaje być obiektem handlu, podziałów i giełdy. Z drugiej strony posiadający ją musi pracować na niej nie według swego widzi mi się, lecz stosownie do potrzeb ogólnej gospodarki narodowej. Musi dobrze gospodarować, być fachowcem i to fachowcem który umie pogodzić swój interes z interesami ogółu, jednym słowem musi być uczciwym i umiejętnym człowiekiem dyscypliny.

Nar. socjalizm wprowadza niejako kult chłopca - gospodarza. Ustawa z dn. 29 września 1933 r. o zagrodach dziedzicznych stwarza małe majoraty, nie mogące ulegać ani sprzedaży, ani też podziałowi i przechodzące jedynie z rąk do rąk w drodze dziedzictwa. Ustawa ta dotyczy jedynie obiektów w granicach od 7,5 ha do 125 ha, własność mniejsza od 7,5 i większa od 125 ha powyższą ustawą nie jest objęta, jednakże wszelkie transakcje ziemią powyżej 2 ha wymagają pozwolenia władzy. Zagrody dziedziczne stanowią główny trzon rolnictwa III Rzeszy. Na ogólną liczbę trzech milionów gospodarstw rolnych powstało 845.000 zagród dziedzicznych, obejmujących 54% całej użytkowej powierzchni rolniczej, podczas gdy 28% przypada na drobne gospodarstwa, a 18% na wielkie.

Parcelacji, a raczej bardzo starannej kolonizacji, podlegają majątki większe. Tempo parcelacyjne jest jednak powolne. W okresie od r. 1919 do r. 1933 rozparcelowano w Niemczech ogółem

1,05 miliona ha, przy ogólnej powierzchni rolniczo-użytkowej 40 mil. ha. Za rządów narodowo-socjalistycznych rozparcelowano w 1934 r. 148 tys. ha, w 1935 r. 123 tys. ha, w 1936 r. 82 tys. ha.

Ponieważ rząd narodowo-socjalistyczny dostarcza wielkim masom pracy i zarobków, przy parcelacji momenty socjalne przeszły na plan dalszy, wysunięte natomiast zostały gospodarcze, militarne i populacyjne. Przy parcelacji położono główny nacisk na przygotowanie fachowe osadników i ich zdolność stworzenia silnych ognisk rodzinnych.

H. J. Korybut - Woroniecki.

Henryk Lepucki: *Działalność kolonizacyjna Marii Teresy i Józefa II w Galicji 1772 — 1790. Z 9 tablicami i mapą. Badania z dziejów społecznych i gospodarczych pod redakcją Prof. Franciszka Bujaka. Lwów, 1938. Str. VI i 208.*

Zainteresowanie historią gospodarczą i dziejami ruchów społecznych rośnie coraz bardziej, a metoda badania tych problemów wydoskonala się coraz widoczniej i wszechstronniej. Badania te pozwalają na sprostowanie niejednego fałszu, czy niedopatrzenia w historiografię ubiegłych lat, kiedy to stosunki polityczne i warunki rozwoju społeczeństwa polskiego wypaczały nieraz zdrowy i bezstronny pogląd na zjawiska natury ekonomicznej i socjalnej.

Jednym z problemów, intrygujących polskich historyków porobiorowych była i jest kwestia rozmiarów osadnictwa obcego na ziemiach polskich w XVIII i XIX w., które zaznaczyło się osobliwie ostrą formą zaborze austriackim i pruskim. Praca H. Lepuckiego dotyczy wprawdzie tylko 18 lat dziejów zaboru austriackiego, ale sumienna i źródłowa analiza pozwoliła autorowi spojrzeć w głąb zagadnienia i wydobyć na wierzch jego nawet dzisiejsze, współczesne nam oblicze. Geneza kolonizacji w XVIII w. była wprawdzie związana z specyficznymi poglądami wieku oświecenia (w pierwszym rzędzie z fizjokratyzmem) i tendencjami politycznymi owej doby (szczególnie z józefinizmem i centralistyczną biurokracją), niemniej jednakże odzwierciedlała się w niej dusza niemieckiego rolnika i mieszczanina. Ekspansywność gospodarcza, niezwykle łatwe przystosowywanie się do nowych warunków, parcie do krajów gospodarczo niżej stojących, sprytnie wyzyskiwanie przywilejów fiskalnych pod pozorem wiernej służby idei germanizacyjnej — oto rysy osadników z dziedziny krajów habsburskich, którzy płynęli szeroką falą do „Królestwa Galicji i Lodomerii”. Napór był tak silny (po 1000 przybyszów miesięcznie), że akcja ta w ciągu kilku lat pochłonęła 3 miliony zł reńsk., choć najoptimistyczniej obliczany dochód fiskalny dla skarbu państwa mógł przynieść najwyżej 50% tej kwoty. Okazało się poza tym, że koloniści są stanowczo żywiołem zbyt zamkniętym w sobie, by ich działalność gospodarcza mogła promieniować

w szerszym zasięgu i być prawdziwie pionierczą; stąd też sam rząd począł się cofać w swej inicjatywie i inwestycjach kolonizacyjnych.

Autor dotyka bardzo wielu zagadnień, mieszczących się w ogólnym zakresie tematu jego studium. Naświetla ruch imigracyjny i osadniczy (rolny i rękodzielniczy) pod względem organizacyjnym, finansowym, prawnym, demograficznym, wyznaniowym itp., starając się w ostatniej swej konkluzji dać możliwie pełną jego charakterystykę. Stąd też sposób ujęcia zagadnienia jest bardzo interesujący i budzi pełne zaufanie co do obiektywności sądów. Te walory naukowe rekompensują w zupełności drobne usterki stylistyczne (np. na str. 20 „Niemców i Ormian przypuszcza, że jest najwyżej po 1000 rodzin...”), które nie psują całości i nie wskazują na to, by Autorowi była obojętna forma zewnętrzna. Przeciwnie książka napisana jest w ten sposób, że może stanowić pożyteczną lekturę nawet dla czytelnika - niefachowca, przystępującego do niej bez specjalnego przygotowania.

Dr M. Tyrowicz.

Erazm Kostołowski: *Studia nad kwestią włościańską w latach 1846 — 1864, ze szczególnym uwzględnieniem literatury politycznej.* Z przedmową prof. Franc. Bujaka. Badania z dziejów społecznych i gospodarczych, pod redakcją prof. F. Bujaka. Lwów, 1938. Str. XI i 407.

Disać o dziejach sprawy włościańskiej w Polsce, nawet pięćdziesiąt czy osiemdziesiąt lat wstecz, nie jest rzeczą ani łatwą, ani wdzięczną. Temat ten wymaga szczególnie dużo studiów i przebijania się przez stopy czasopism, broszur i różnego rodzaju publicystycznej literatury, by dojść nieraz do wniosków zgoła nierewelacyjnych, bądź też — jeśli nawet posiadają cechę nowości — trudnych do zsyntezowania. Jeszcze bardziej nużącą pracą są badania archiwalne problemu poddańczo-pańszczyźnianego, który jest najgłówniejszym ogniwem w kompleksie stosunków chłopskich w Polsce minionego wieku.

Autor zacieśnił temat swych rozważań chronologicznie i rzeczowo do niecałych dwudziestu lat od posępnej pamięci rabacji galicyjskiej do upadku bojów powstańczych przeciw Rosji w r. 1864. Autor uwypukla przede wszystkim aspekt polityczny problemu chłopskiego, konfrontując stanowiska różnych partij i odłamów, wydobywając na wierzch światła i cienie zaciętej walki o postępowy ustroj socjalny Polski ujarzmionej, który miał utorować drogę do niepodległości. Bardzo głębokie czyni spostrzeżenie prof. Bujak w przedmowie do książki, stwierdzając, że kiedy na przestrzeni stu lat od poł. XVIII do poł. XIX w. „główny nurt polityki narodu polskiego” ulegał pięciokrotnej zmianie, w stosunkach społecznych dominował jeden pogląd — „duch ziemiańsko-

rycerski", który nie umiał pogodzić się z „nowym stylem życia, z wolnością ekonomiczną i polityczną jednostki, z postępem techniki i systemu kapitalistycznego. Praca Kostołowskiego jest właśnie szerszym rozwinięciem powyższej tezy. Autor analizuje bardzo szeroko i sumiennie stanowisko demokracji, odrębnie konserwatystów, a osobną partię poświęca „dziełom specjalnym", odzwierciadlającym solidaryzm społeczny, realizm społeczny (J. Supełski), kierunek stanowo-szlachecki i ekonomiczny. Bardzo pokazną część książki obejmuje omówienie gminy wiejskiej jako koncepcji ideowej i jako formy organizacyjno-administracyjnej, szczególnie w Galicji. W dalszych rozdziałach przedmiotem rozważań są: polityczna literatura dla ludu, kwestia uwłaszczeniowa w czasie powstania styczniowego, wreszcie stanowisko społeczno-polityczne włościan.

Trudno na tym miejscu i w tych szczupłych ramach sprawozdania oceniać szczegółowo wszystkie twierdzenia Autora. Stwierdzić należy, że książka jego jest bodaj pierwszym, na naukowych zasadach opartym rozpatrzeniem tematu, tak jak go Autor sprecyzował; prac tematycznie zbliżonych i pomocniczych dla rozświetlenia mroków tej doniosłej dla nas sprawy — ukazało się dotąd niemało. Co do sposobu skonstruowania bibliografii, można postawić Autorowi zarzut zasadniczy, co do zbyt sumarycznego potraktowania tak różnorodnego i różnowartościowego materiału, jakim jest piśmiennictwo o problemie chłopskim. Opracowania krytyczne obok pamfletów i broszur propagandowo-publicystycznych, źródła obok takich „omnibusów" wiedzy, jak encyklopedia (i to Trzaski, Everta i Michalskiego) — to usterka metodyczna, która w tak sumiennym studium powinna być wyrugowana. Czy nie za mało selekcji w wyborze pozycji bibliograf., które przecież nie dla pełności spisu, ale dla istotnej wartości, wejść winny były na tę listę? Kilka błędów w nazwiskach i imionach (Teofil Wiśniewski, zam. Wiśniowski, Lubomir, zam. Ludomir Gadon itp.).

Dr M. Tyrowicz.

Karol Lewicki: Uniwersytet Lwowski a Powstanie Listopadowe. Prace historyczno-kulturalne pod redakcją Stanisława Łempickiego. T. III. Lwów, 1937. Str. 168.

Regionalne ambicje historyczne wydają nieraz owoce pożyteczne dla ogólniejszych zadań badań historycznych w danym kraju. Praca mgr. Lewickiego jest niewątpliwym potwierdzeniem tego; zaspakaja ona bowiem nie tylko szlachetne pragnienie wydobycia z niepamięci czasu roli ściślejzego środowiska ludzkiego, jakim jest miasto czy nawet jedna jego instytucja, jak w danym wypadku wszechnica, ale przy pomocy tego lokalnego studium historycznego uwydatnia i uwypukla oddziaływanie zjawisk histo-

rycznych na społeczeństwo w bliższych i dalszych jego kręgach. Młodzież uniwersytecka była bodaj zawsze i we wszystkich krajach elementem, najszybciej i najżywiej reagującym na współczesne sobie prądy i porywy. Była taką przede wszystkim w Polsce porobiorowej, zwłaszcza tam, gdzie uczelnie wyższe ściągały w swe mury liczniejsze rzesze. Lwów przed r. 1830 uchodził za miasto, uśpione pod względem ducha narodowego; cała dzielnica sprawiała na zewnątrz wrażenie gładkiej i cichej tafli wody, której nie mieli żaden podmuch wiatru, której nie zaburza żadne uderzenie zewnątrz. A jednak tak nie było. Praca mgr. Lewickiego przeczy temu, dając szereg przekonujących dowodów w postaci reakcji i odgłosów wydarzeń warszawskich na terenie „ce-sarsko-królewskiego uniwersytetu”, masowych ucieczek akademików za kordon, udziału w bojach, organizowania współpracy z walczącymi ziomkami, gloryfikacji ich czynów i rozniecania żaru niepodległościowego, który później przyczaił się w długoletniej konspiracji politycznej.

Co prawda obraz udziału samej wszechnicy przekracza często jej mury i sięga w teren od uniwersytetu niezależny; zawsze jednak jako łącznik czujny i ofiarny występuje młodzież i to nie tylko polska, ale i ruska i niemiecka. Posiew gorącego patriotyzmu wydawał owoc obfity i szlachetny. Był on świadectwem, że w Galicji i Krakowie chwast marazmu nie zapuścił korzeni tak głęboko, by je wichura powstańcza nie mogła wyrwać i zastąpić świeżymi pędami wolnościowymi.

Pędy te strzeliły ku górze w spiskach niepodległościowych, w nieudatym powstaniu 1846 r., w wiośnie ludów, w bojach styczniowych. W ten sposób sumienne studium mgr. Lewickiego dorzuca jeszcze jedno ogniwo do łańcucha wysiłków, które następowały po sobie dość szybko, a zmierzały wszystkie do odrodzenia politycznego narodu.

Dr M. Tyrowicz.

Rybicki Paweł: Problem uspołecznienia. Warszawa 1937. 80. Str. 31.

Niewielka broszura dra Rybickiego, który dał się już poznać szeregiem wnikliwych i subtelnych prac z zakresu zagadnień społecznych (*Demokratyzm i kultura*, 1934, *Z podstawowych zagadnień grupy społecznej*, 1935), zasługuje na uwagę ze względu na zasadniczą postawę Autora, jak i wyniki jego rozważań. Jako socjolog przedstawia Autor typ, który można by przeciwstawić autorowi książki *Publiczność literacka*. Tam postawa wyłącznie opisowa, z zaznaczoną tendencją wyjaśniania nagromadzonych przeobficie faktów; tu postawa czynna i operowanie schematami myślowymi, stawianie postulatów na pod-

stawie rozumowań teoretycznych, odciążonych z balastu materiału faktycznego; pozostaje on w cieniu; jest tą niewidzialną glebą, z której wyrosło dane nam w rękę ziarno wniosków ostatecznych. Tam socjologia graniczy o ścianę z historią kultury, tu z filozofią, tą filozofią dawnej dobrej daty, nie rezygnującą z aspiracji normatywnych.

Praca dra Rybickiego składa się właściwie z dwóch części: Pierwszą z nich jest nader bystra analiza warunków powstawania tzw. kwestii społecznej, przy czym uderza bardzo ciekawe powiązanie typów struktur społecznych z typami stosunków między poszczególnymi ludźmi: rzeczowych i personalnych. Analiza ta, rezultat wszechstronnego przygotowania teoretycznego i głębokich przemyśleń, obejmuje nie tylko historyczny rozwój zagadnienia i obowiązujące do dziś teorie i próby rozwiązań, ale także — co nas najbardziej interesuje — rozwijające się dziś w naszych oczach ustroje. Zapytując o możliwości uspołecznienia jednostki w tych ustrojach i przez nie, dochodzi autor do drugiej części swej pracy, która jest już próbą rozwiązań praktycznych. Zgodnie z katolicką doktryną społeczną, przyjmuje zarówno możliwość przemian ustrojów społecznych, jak też zależność tych przemian przede wszystkim od czynników psychicznych. Nie umniejszając znaczenia zagadnień strukturalno - ustrojowych dla kwestii uspołecznienia i dla wszelkich rozwiązań kwestii społecznej, uważa, że warunkiem zmian w tym zakresie będą przede wszystkim przesunięcia w wewnętrznym nastawieniu ludzi wobec życia społecznego. Uspołecznieniem w jego rozumieniu nie jest zwykłe podporządkowanie jednostek zbiorowości i jej celom (postulowane przez ustroje totalne czy koncepcje korporacjonistyczne), ale pełny wewnętrzny związek jednostki i społeczności. Zwracając się ku osobowości ludzkiej, Autor rozwiewa jedno złudzenie: że „jakkolwiek pojmowana, kwestia społeczna może być rozwiązana jakimś jednym aktem prawnym, jakimś jednym trafnym pomysłem reformy społecznej”. Uświadamiając sobie — pisze, że zagadnienie społeczne nie może być rozwiązane poza człowiekiem, zarysowuje się temu rozwiązaniu bardziej odległe perspektywy. Autor jest pesymistą w stosunku do dzisiejszego pokolenia; nie wierzy, by mogło ono przerobić swą postawę psychiczną, urobioną przez myślenie indywidualistyczne, przejawiające się — w myśl stwierdzeń ks. Szymańskiego — nie tylko w liberalizmie, ale i w kolektywizmie. Nowa postawa, to zagadnienie wchodzącego w życie pokolenia. Odnajdzie ono nowe drogi do realizacji nowych postulatów. Wśród czynników, które odegrają rolę, jednym z najpotężniejszych jest „narastające znaczenie wspólnoty narodowej, a zwłaszcza pogłębianie tej wspólnoty w kierunku podstaw obyczajowych, kulturalnych i religijnych”. Obok tej wspólnoty muszą jednak, zdaniem Autora, być zachowywane grupy mniejsze — rodzina, koło młodzieży, stowarzyszenie — w których

może istotnie rozwijać się i urzeczywistniać wychowawczy ideał społecznienia.

O ile pierwsza część pracy przypomina bystrość Simmlowskich analiz socjologicznych, o tyle w drugiej odnajdujemy analogię do wychowawczej postawy Suchodolskiego. Łączy z nim Autora, prócz wspólnych ideałów, także współpraca w *Kulturze i wychowaniu*. (Omawiana broszura jest właśnie odbitką z tego czasopisma). Łączy ich wysoki idealizm, łączy przede wszystkim przezwyciężenie postawy wyłącznie poznawczej. Ta postawa czynna, tak rzadka u naukowców, jak stwierdza słusznie Kołaczkowski, to niecofanie się przed stawianiem celów i programów, bez względu na ich większą lub mniejszą „życiowość”, jest przyczyną zwrócenia uwagi na pracę dra Rybickiego.

Ale i jej strona poznawcza, naukowa, nie jest czymś martwym. Pociąga i interesuje to szybkie ujmowanie w ramy dalekich perspektyw konkretnej, żywej, tak bliskiej nam rzeczywistości, ostrożne, a osfre chwytywanie problemów istotnych, dogłębna, niekiedy subiektywna, krytyka popularnych poglądów na sprawy społeczne i społecznych programów, a wreszcie radość, jaką sprawia śledzenie czystego rysunku rozumowań, rozwijających się, niezależnie od paru przeskoków, z niezachwianą pewnością i precyzją.

Dr Zofia K. Ciechanowska.

Miłość Chrystusowa przynagla nas. Zbiór kazań charytatywnych z dodatkiem listów pasterskich o miłosierdziu. Nakł. Kośc. Instytutu „Caritas”. Poznań 1938, str. 384.

Ks. Jan Patrzyk: Kazania świąteczne. Księgarnia Krakowska Kraków, (św. Krzyża 11) 1938, str. 292.

Ks. Feliks Bodzianowski: Ludzkość na rozdrożach. Księg. Katolicka, Poznań 1938, str. 344.

Ks. dr Szczepan Sobalkowski: Krew, która woła... 6 przemówień n. t. kanonizacji św. Andrzeja Boboli. Nakł. Autora — Kielce, Seminarium Duch. 1938, str. 143.

Na polu wydawnictw kaznodziejskich w ostatnich latach odczuwaliśmy posuchę. Dopiero zewnętrzne okoliczności zachęciły „mocnych w słowie i piórze” do podzielenia się z rzeszą braci kapłańskiej dorobkiem swych myśli i uczuć, przyobleczonych w słowo pisane.

Obchodzone niemal we wszystkich diecezjach ale w różnych porach roku tzw. „Tygodnie miłosierdzia” zostały niedawno określone i ujednoliconie przez wyższe czynniki kościelne oraz zatwierdzone na cały obszar Rzplitej przez władze państwowe. By dostarczyć materiału duszpasterzom do przemówień o niesieniu pomocy nędzarzom i ulżeniu ich ciężkiej doli przez uczynki miłosierdzia, zebrano w jeden obszerny tom 47 kazań charytatywnych. Jedne są osnute na tle ewangelij niedzielnych, inne

powiązane z życiem niektórych Świętych, odznaczających się czynami miłości i poświęcenia, 14 kazań rozwija tematy, nadające się do omówienia i zachęty podczas „Tygodnia Miłosierdzia”, 4 są przeznaczone na dzień chorych a wreszcie 2 okolicznościowe przemówienia przy poświęceniu ochronek, instytucyj wyłącznie charytatywnych. W formie dodatku, a właściwie dokumentu dołączono trzy listy pasterskie, zawierające głęboką treść, pełne ojcowskich wskazań i zachęt do praktycznego chrześcijaństwa w duchu miłości bliźniego. Służyć też mogą kapłanom jako pierwszorzędny materiał do samodzielnych opracowań.

Całość tomu, jako gotowy zbiór różnorodnych, przeważnie popularnych, o przejrzystej treści i jasnym ujęciu przemówień, opatrzonych na wstępie dyspozycją, odda kapłanom, zajętym dziś tylu innymi organizacjami, niewątpliwie praktyczne usługi oraz zachęci ich do częstszego zabierania głosu w tej tak palącej kwestii społecznej.

Zalety, jakie podkreśliliśmy w poprzednim zbiorze kazań, posiada w wysokim stopniu dzieło ks. J. Patrzyka, który jest znany polskiemu duchowieństwu z przystępnego, jasnego, prawdziwie popularnego przemawiania na ambonie. Te przymioty A. cechują i zalecają jego kazania świąteczne. Logiczne rozłożenie materiału według treściwej dyspozycji, aktualność przedmiotu, żywość i barwność stylu, a przy tym namaszczenie Słowa Bożego, płynące z umiejętnego posługiwania się Pismem św. oto dodatnie walory mówiące same za siebie i zalecające to dzieło.

Inny charakter nosi książka, w której ceniony Autor-społecznik ogłosił 37 przemówień, wyjaśniających polskiemu katolikom doniosłość papieskich encyklik społecznych: *Rerum Novarum*, *Quadragesimo Anno* i *Divini Redemptoris*. Pod urokiem i natężeniem tych wiekopomnych encyklik poświęca A. „ludzkości na rozdroczach” gorące wskazania, ujęte w formę przystępnych pogadanek. Służyć one mają w pierwszym rzędzie (ale nie jedynym) organizacjom Akcji Katolickiej jako materiał do referatów, pogadanek „w celach propagandy i popularyzacji katolickiego programu społecznego” wśród najszerzych warstw naszego społeczeństwa. Rzecz godna poparcia ze względu na aktualność poruszanego zagadnienia i jasny, przekonujący sposób argumentacji, ożywiony umiejętnie dobranymi przykładami z życia, czy krótkimi cytataми z encyklik.

Aktualność tematu łącznie z wspianymi uroczystościami ku czci św. Andrzeja Boboli zrodziły ten zbiór kazań, osnutych na życiu nowego Orędownika Polski, którego „krew woła” na swoich rodaków, by kroczyli jego szlakami, ku obronie i dla szerzenia wiary na wschodnim naszym pograniczu. Doniosłość tej

misji dziejowej, którą tak pięknie wskazuje opromieniony aureolą świętych przemożny u Boga, Patron ojczyzny naszej, przedstawił wymownie w 6 dłuższych przemówieniach A., zasłużony na niwie kaznodziejskiej i znany z wielu homiletycznych dzieł. Nie tylko w podniosłych dniach uroczystości i triduów, obchodzonych w tym roku ku czci naszego nowego Świętego ta niewielka i tania książka oddała dobrą przysługę, jako pierwszorzędnny materiał do przemówień, ale i w dorocznych świętach 16 maja stanie się dla kaznodziejów pomocą w przygotowaniu nastrojowych i praktycznych kazań. Dlatego obok podobnego zbioru ks. Piotra Turbaka T. J. „Ku czci św. Andrzeja Boboli Tow. Jez. — *Kazania i przemowy*”, Kraków, Kopernika 26 — książka ks. dr Szczepana Sobalkowskiego zawsze mile będzie przyjęta przez nasze duchowieństwo. Zwłaszcza księża prefekci znajdą w niej wiele dobrze przygotowanego i prawie już gotowego materiału do niedzielnych czy świątecznych przemówień do młodzieży szkolnej, słuchającej chętnie nauk związanych z naszą historią i umiejętnie zastosowanych do chwili obecnej.

Ks. Czesław Sejbuk T. J.

Estreicher Karol: *K r a k ó w*. Przewodnik dla zwiedzających miasto i jego okolice. Wyd. III, rozszerzone, z 73 ilustr. i planem. Nakładem Tow. Miłośników historii i zabytków Krakowa. Kraków, 1938, str. 363.

Estreichera Przewodnik po Krakowie miał w siedmiu latach trzy wydania, a że jest sporą książką i nie o groszowej cenie, więc to powodzenie świadczy najlepiej o jego wartości. *Cracovia, totius Poloniae urbs celeberrima* doczekała się godnego przewodnika. Książka Estreichera jest zwięzłą encyklopedią wiadomości o Krakowie, pisana najpierw przez człowieka, który miasto swoje rodzinne gorąco kocha, otacza je całe, wszystkie jego zabytki i skarby, jego dzieje i jego okolice żywym sentymentem, tymże sentymentem przepajając swoje opowiadanie. Po wtóre książka ta napisana jest przez uczonego — historyka, który miasto swoje i jego historię doskonale zna, zwiedzającemu daje informacje ścisłe, sprawdzone, źródłowe i w notach bardzo sumiennie dokumentowane. Liczne, pod względem technicznym całkiem poprawnie wykonane ilustracje, łatwe w orientowaniu się plany, duży, nowy plan miasta, podzielony na trzy części, a więc łatwy w użyciu, wreszcie liczne informacje potrzebne turyście, oto dalsze zalety tego doskonałego *Przewodnika*.

Ks. St. Bednarski T. J.

Sickenberger Joseph: *Erinnerungen an Otto Bardenhewer*. 8° str. VIII + 120. Freiburg im Breisgau 1937, Herder. (Cena 2,80 M. wpł. 3,80 M. (Dla zagranicy o 25% ceny niższe).

Pogląd, że Kościół jest wrogiem kultury i nauki, zanika coraz gruntowniej. Proste zresztą zestawienie szeregu wybitnych

nazwisk potrafi obalić ten bezpodstawny zarzut. Szczególnie na przestrzeni 19 wieku, kiedy wiedza najbardziej chciała się „usamodzielić” i odłączyć od religii, spotykamy ludzi, którzy wiarę i naukę złączyli we wspólnym czynie życia; udowodnili, że naukowe postępowanie w badaniach uczonego da się zupełnie pogodzić z wymaganiami katolicyzmu. Do takich wybitnych uczonych a gorliwych katolików, należał bezsprzecznie Otto Bardenhewer, prof. teologii na uniwersytecie w Monachium.

Pierwszy okres jego życia przypada na czas, gdy zimny wiatr *Kulturkampf* mroził, ale zarazem i hartował życie katolickie w Niemczech. *Erinnerungen* nie wchodzi w wewnętrzne życie autora *Patrologii*, dają nam jednak najważniejsze rysy uczonego kapłana na tle stosunków politycznych i religijnych.

Polityczne stosunki w państwie Bismarcka w odniesieniu do Kościoła były fatalne. Ze „Wspomnień” widzimy, jaki wpływ miała walka kulturalna na życie pojedynczego człowieka, konkretnie ks. Bardenhewera, ile musiał zwyciężyć trudności, zanim dostał się na katedrę w Monachium.

W tym samym okresie modernizm zyskał sobie pełne prawa obywatelstwa na wszechnicach niemieckich, a i starokatolicyzm nie zamarł jeszcze zupełnie.

W takich to warunkach wchodzi na widownię Bardenhewer. Uczony, o międzynarodowej sławie, który w niejednym punkcie pchnął wiedzę o duży krok naprzód, umiał zawsze pozostać najwierniejszym synem Kościoła i zachował przez całe życie to, co uważał za największy skarb, wyniesiony z rodzinnego domu — „katolicki sposób myślenia i katolicki sposób czucia”. Dzieło jego, szczególnie *Patrologia*, przetłumaczona na wszystkie najwięcej rozpowszechnione języki, a jeszcze więcej monumentalne pięciotomowe dzieło, które kończył jako osiemdziesięcioletni przeszło starzec — *Geschichte der altkirchlichen Literatur* — oraz wiele innych prac patrystycznych i egzegetycznych były przyjmowane z takim entuzjazmem, że w recenzjach jego książek stale spotykamy określenie: *Das herrliche Buch, ein feines Buch* itp. Pokazał nam bowiem w całej piękności świat Ojców Kościoła i na długie dziesiątki lat wytyczył punkty wyjścia dla badań patrystycznych.

Olbrzymia wiedza, gruntowność w badaniach naukowych, to pierwszy zasadniczy rys Bardenhewera. Drugi, niemniej ważny, to jego charakter prawdziwie kapłański. Corocznie odprawiał rekolekcje, uczęszczał na nabożeństwa majowe i różańcowe. Od młodych lat należał do 3 zakonu św. Franciszka, brał również żywy i czynny udział w Sodalitacji Mariańskiej księży. Bronił Kościoła przed atakami modernistycznymi całą potęgą swej wiedzy; sam złożył przysięgę antymodernistyczną, chociaż na mocy przywileju udzielonego Niemcom, nie był do niej zobowiązany, a postąpił tak właśnie tylko dlatego aby pokazać, jak się sam wyra-

ził, że przysięga wierności dla wiary nie jest przeciwna naukowości. Ozdobiony wielu odznaczeniami i godnościami, pozostał zawsze skromny, żyjąc jak zakonnik.

Z postacią tego wybitnego uczonego i wielkiej miary człowieka warto się bliżej zapoznać, tym bardziej, że jawi się ona na tle tak interesującej epoki modernizmu oraz *Kulturkampfu*.

Ks. Józef Majkowski T. J.

I. M. Bocheński O. P.: *Z historii logiki zdań modalnych*. Wydawnictwo OO. Dominikanów. Lwów, 1938, str. 145.

O. Bocheński przedstawia dziś wyjątkową klasę logików. Z zawodu teolog oddaje się od pewnego czasu — pod wpływem prof. Łukasiewicza — studiom logicznym. Łączy więc w sobie nader rzadkie, niedoceniane na ogół wykształcenie fachowe teologa i logika. Na razie synteza ta nie wydała właściwych sobie owoców. Ostatnio logika w twórczości O. Bocheńskiego wystąpiła na pierwszy plan. Zresztą inaczej być nie mogło. Zanim dokona się synteza logiki z teologią na poziomie współczesnych zainteresowań, należy przeorać mocno zaniedbany przez Odrodzenie i okres kantowski teren logiczny, przywrócić logice należne jej stanowisko, usunąć szereg kompromitujących uprzedzeń, zwłaszcza odnośnie do logiki średniowiecznej. Hasło, rzucone przez prof. Łukasiewicza, nawołujące do rewizji dotychczasowych poglądów na tzw. logikę tradycyjną, znajduje coraz podatniejszą glebę wśród polskich i zagranicznych uczonych. Inicjatywa prof. Łukasiewicza rozbudziła zainteresowania logiczne nawet tam, gdzie dotychczas studia nad logiką były pomijane, dość wspomnieć zasłużonego ks. Grabmanna Marcina, nieustrudzonego wydawcę średniowiecznych rękopisów. Tzw. szkoła warszawska zajmuje obecnie w Europie stanowisko przodujące w zakresie prac logicznych, które raz po raz zmuszają zagranicznych logików do uczenia się języka polskiego (prof. Scholz). W rewizjonistycznym tym ruchu O. Bocheński zapewnił sobie przez ostatnią swą pracę mocną pozycję. Wspomniany prof. Scholz, w rozprawce *Logik und Metaphysik*, nazywa pracę O. Bocheńskiego pierwszą prawdziwą historią zdań modalnych. Nie będziemy, oczywiście, się wdawać w samo *meritum* zagadnienia, gdyż przekraczałoby to ramy *Przeglądu Powszechnego* i zresztą byłby to trud daremny, skoro praca O. Bocheńskiego, dokonana niejako pod auspicjami prof. Łukasiewicza i przy współpracy kompetentnego szczególnie w tym zakresie logiki ks. dr Salamuchy, daje najzupełniejszą gwarancję swej wartości. Sponuje ona u czytelnika przynajmniej wstępne wiadomości z logiki zdań i teorii dedukcji, niemniej jednak przez streszczenia, podawane przy końcu każdego rozdziału, pozwala ocenić historyczne znaczenie omawianych logików nawet czytelnikom niefachowym. Czytelnik zaś fachowy raz jesz-

cze będzie miał okazję przekonać się, że hasło prof. Łukasiewicza oparte było na głębokiej intuicji, zmyśle historycznym, oraz fachowym wykształceniu logicznym, którego brakowało takiemu Prantlowi czy Maierowi. Należy się więc cieszyć, że ta *fabula rasa in qua nihil est scriptum*, jak się wyraża polski dominikanin: logika średniowieczna powoli się zapisuje. Wdzięczność też i uznanie należy się Wydawnictwu OO. Dominikanów za podjęcie się wydania z pewnością nierentownej u nas książki.

Ks. Aleksander Kisiel T. J.

Jan Harabaszwski; Jędrzej Śniadecki nauczyciel chemii i pisarz rzeczy chemicznych. Książnica Atlas, Lwów-Warszawa, 1938, str. 95.

Uroczystości jubileuszowe ku czci Jędrzeja Śniadeckiego przeszły w społeczeństwie naszym bez większego echa, nawet prasa nie poświęciła im należytego miejsca. A przecież nazwisko Śniadeckiego zapisało się złotymi literami w dziejach rozwoju chemii w Polsce. Dlatego pracę Harabaszwskiego trzeba powitać z wielkim uznaniem, gdyż wydobywa z pyłu zapomnienia postać gorącego patrioty, który pierwszy odważył się „pospolitować naukę” i wyklądać ją po polsku. Autor odniósł się z wielkim pietyzmem do świetnego wykładowcy na uniwersytecie wileńskim, który porywał umysły i serca wykładami w polskim języku, budząc entuzjazm wśród słuchaczy. Ale Śniadecki to również znakomity uczony o lotnym i twórczym umyśle badacza. Pracą swoją przyswoił polskiej nauce wszelkie ówczesne zdobycze i odkrycia w dziedzinie chemii. Wszak on pierwszy opowiedział się za teorią genialnego Lavoisiera, jakkolwiek wprowadzała ona niesłychany jak na owe czasy przewrót w świecie chemicznym. Bojownik o kulturę narodową, owiany gorącym umiłowaniem ojczyzny, zostawia bogatą i przepiękną spuściznę polskiej chemii i polskiemu słownictwu chemicznemu. Książka napisana przystępnie, gdyż celem autora, nauczyciela chemii, było „dać możność młodzieży wejrzenia w świat zasłużonych pracowników na polu chemii”. Książka zainteresuje również starsze polskie społeczeństwo, któremu nie powinna być obcą droga rozwoju kultury narodowej.

Ks. Karol Sawicki T. J.

Stefan Truchim: Święty Augustyn a nauki i szkolnictwo starożytne. Warszawa, 1938, str. 27.

Rozprawa, choć nieduża objętością, pochłonięła wiele czasu i żmudnej pracy, gdyż Autor sięga bezpośrednio do pism św. Augustyna, śledząc pilnie jego wypowiedzenia w sprawie nauk i organizacji szkolnictwa rzymskiego, które w pierwszych wiekach po Chrystusie obejmowało nie tylko Italię, ale sięgało

do Galii, Brytanii, Hiszpanii i północnej Afryki. Dzieliło się ono na trzy stopnie. Zasadniczymi przedmiotami udzielanymi w szkole elementarnej była nauka czytania, pisanie i rachunków, do czego często dodawano początki języka greckiego, rysunków i geografii, zależnie od życzeń rodziców i umiejętności nauczyciela, którym zwykle był niewolnik lub wyzwoleniec grecki. W szkołach gramatykalnych nauczyciel zaznajamiał uczniów z gramatyką łacińską i grecką, czytał z nimi i objaśniał im ważniejszych poetów i prozaików. Szkoły retoryczne przygotowywały młodzież teoretycznie i praktycznie do opracowania i wygłaszania mów. W drugiej części przedstawia nam Autor jak św. Augustyn przechodził kolejno te szkoły w Tagaście, Madaurze i Kartaginie a następnie przez szereg lat oddawał się zawodowi nauczycielskiemu. Dlatego to wypowiedzenia tego ojca Kościoła tak bardzo były cenione w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Zaraz po swym nawróceniu opowiedział się on zupełnie otwarcie za zachowaniem organizacji szkolnictwa rzymskiego, podkreślając wielkie znaczenie nauk wyzwolonych a zwłaszcza dialektyki, którą nazywa królową nauk, do poznania Pisma św. Po otrzymaniu święceń kapłańskich i wyniesieniu do godności biskupa zmienił Augustyn swe poglądy jedynie w stosunku do kolejności studiów. Młodzieniec najpierw winien zapoznać się z Pismem św., „albowiem wtedy inne rzeczy czytać będzie uzbrojony w rękomię prawdy”. Dowodami swymi Autor stara się obalić dotychczasowe przekonanie, że św. Augustyn zmieniał kilkakrotnie swój stosunek do nauk i organizacji szkolnictwa rzymskiego. Nie podaje nam jednak, ile lat według św. Augustyna winna poświęcić młodzież nauce na poszczególnych stopniach nauki i jakie winno być przygotowanie nauczycieli.

Ks. K. Drzymała T. J.

Ks. dr Antoni Pawłowski prof. uniw. S. B. w Wilnie i dr K. M. Morawski — Warszawa: Konferencje Misyjne, wygłoszone na X Ogólno-Polskim Akademickim Zjeździe Misjologicznym w Warszawie, w dniach 31. X. — 2. XI. 1937 r., wydane w Poznaniu 1938 r. nakładem Rady Krajowej Papieskiego Dzieła Rozkrzewienia Wiary. str. 61.

Cztery konferencje ks. dra A. Pawłowskiego, wygłoszone do akademików młodzieżczym, poetyczno-lapidarnym stylem, chcą hasłem św. Pawła największego misjonarza: „Chcielibyśmy wam dać nie tylko Ewangelię Bożą, ale też i dusze nasze”, porwać te młode dusze do czynu misyjnego, do „wypadu w stratosferę” ducha. Zaznajamiają słuchacza obrazowo i ciepło z kultem Matki Najśw. u egzotycznych ludów. Zalecają Eucharystię, a zwłaszcza ofiarę Mszy św. jako źródło energii w pracy misyjnej, wreszcie przypominają powszechny nakaz misyjny Zmartwychwstałego Miśtrza: „Idąc tedy nauczajcie narody”. Z tą ogólną ideą misyjną

usiłuje Autor zspolicć organicznie podstawowe prawdy „objawienia“, narzucając je tylko kilkoma słowami i mocno akcentując, że „nerw misyjny tkwi w każdej podstawowej prawdzie objawienia, jako refleks widniejącego na nim stygmatu powszechności“. Konferencje te mogą posłużyć doskonale jako materiał do przemówień misjologicznych zwłaszcza do inteligencji.

Dołączony zaś referat biograficzny dra K. M. Morawskiego: „Maria Paulina Jaricot“, zaznajamia krótko i barwnie czytelnika z życiem założycielki „Dzieła Rozkrzewienia Wiary“.

Ks. W. Wantuchowski T. J.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności. Kraków, 1938:

- Archiwum Komisji Historycznej. Tom XII. Cz. II. 430.
 Archiwum Komisji Prawniczej. Tom XI, str. 512.
 Monumenta Poloniae Vaticana. Tomus VI. Series Nuntiaturae Polonae, str. 850.
 Prace Komisji Historii Sztuki. Tom VII. Zeszyt II, str. 267.
 Gustavus Przychocki: De Menandri Comici codice in Patriarchali Bibliotheca Constantinopolitana olim asservato, str. 45.
 Zdzisław Stieber: Sposoby powstawania słowiańskich gwar przejściowych, str. 46.
 Ladislaus Strzelecki: De Senecae trimetro iambico questiones selectae, str. 109.
 I. M. Szeligowska: L'art décoratif étrusque. 92.
 Kwartalnik filozoficzny. Tom XV. Zeszyt II, III.

Nakładem Archidiec. inst. A. K. Warszawa, 1938:

- Andrzej Niesiołowski: Paweł Włodkowic na tle dyskusyj politycznych XV wieku. Bibl. Akcji Kat. Nr 11, str. 32.
 Ks. dr Władysław Lewandowicz M. I. C.: Instytut Wyższej Kultury Religijnej wobec potrzeb umysłowych współczesnej inteligencji polskiej. Wydawnictwo I. W. K. R. w Warszawie t. I, str. 256.

Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1938:

- Maria Kann: Jutro będzie słońce, str. 298.
 Zofia Kossak: Gród nad jeziorem, str. 251.
 Zygmunt Nowakowski: Pani służba, str. 210.
 Tadeusz Perkitny: Z setką złotych naokoło świata, str. 264.

Nakładem „Książnicy-Atlas“. Lwów, 1938:

- Emil Ludwig: Nil. — Życiorys rzeki. Tom I — Od źródeł do Egiptu. Tom II — Nil w Egipcie, str. 414, 388.
 Tadeusz Lehr Spławiński: Szkice z dziejów rozwoju i kultury języka polskiego, str. 210.

Nakładem księgarni św. Wojciecha. Poznań, 1938:

- Wanda Miłaszewska: *Bogactwo*, str. 354.
 Dr Andrzej Niesiołowski: *Koła oświatowo-wychowawcze. Zada-
 nia — teoria — wskazania praktyczne*, str. 476.
 Bł. Jan Ruysbroeck: *Myśli Błog. Jana Ruysbroecka. Wybrała
 Anna Szotowa*, str. 164.

Nakładem Wł. Michalaka i S-ka. Warszawa, 1934:

- Reginald Campbell: *Poo Lorn, Król sioni*, str. 312.
 Wanda Hoserowa: *Lat o życia*, str. 288.

Nakładem Libr. Téqui. Paris, 1938:

- Lucien Bézniller Rédemptoriste: Alfred Soussia. (Instituteur
 1863—1933) *Préface de S. Exc. Mgr. R. Leprêtre*, str. 176.
 Henri Pradel, chanoine: *Les Lectures des Jeunes. Préf. de
 M. H. Truchy*, str. 220.

Nakładem Tow. Naukowego Kat. U. L. Lublin, 1938:

- Petrus Kurczyński: *De natura et observantia poenarum
 latae sententiae*, str. 170.
 Czesław Martyniak: *Moc obowiązująca prawa a teoria Kel-
 sena*. Tow. Nauk. Kat. U. L. tom 25, str. 288.
 Ks. dr Józef Pastuszka: *Psychologia indywidualna*. Tow. Nauk
 U. L. Tom 26, str. 160.

Tow. Wiedzy Chrz. Lublin, 1938:

- A. S.: *Planowa organizacja kultury. Nauka — filozofia —
 religia*, tom 16, str. 30.
 Feliks Koneczny: *Rozwój moralności*, str. 388.
 Pius XI: *Unijna encyklika „Rerum Orientalium” oraz
 instrukcja „Pro incenso studio” z dn. 27 maja 1937 r.*
Pism. Stolicy Apost. tom 5, str. 70.

Nakładem różnych:

- Włodzimierz Bączkowski: *W obliczu wydarzeń. Nakładem „Myśli
 Polskiej”, Warszawa, 1938*, str. 112.
 O. dr Aureliusz Borkowski O. F. M.: *Przewodnik po Istanbule
 i Atenach. Nakładem Kustodii i Ziemi św., Jerozolima, 1938*,
 str. 72.
 Wacław Fabierkiewicz: *Problem stabilizacji koniunktury.*
Nakładem Wolnej Wszechn. Polskiej w Warszawie, Warszawa, 1938,
 str. 290.
 Op. Michał Godlewski: *Dante a Odrodzenie (Szkic historyczny).*
Warszawa, 1938, str. 16.
 N. Josephus S. J. Günechea: *Principia iuris politici*, vol. I.
Nakładem Pont. Univ. Greg. Roma, 1938, str. 326.
 Irena Puzynianka: *Życie i Praca. Nakładem S. A. „Ostoja”. Poz-
 nań, 1938*, str. 196.
*Kalendarz Komitetu Budowy Muzeum Narodowego
 w Krakowie na rok 1939. Nakładem Komitetu Bud. Muz.*
Narod. Kraków, 1938.

- Ks. prof. Władysław Kwiatkowski: Królewska katedra św. Jana w Warszawie. Nakładem Zarządu Miejsk. m. st. Warszawy. Warszawa, 1939, str. 42.
- Jan Łempicki: Historiozofia Hipolita Taine'a. Prace z Hist. Lit. Polskiej Nr 5. Nakładem Kasy im. Mianowskiego. Kraków, 1938, str. 178.
- K. Maleczyński, T. Mańkowski, F. Pohorecki, M. Tyrowicz: Lwów i ziemia czerwieńska. Nakładem Państw. Wyd. Ks. Szk. Lwów, 1938, str. 342.
- F. Antoni Ossendowski: Słoń Biraba. Nakładem Wydaw. Polsk. — R. Wegner. Poznań. 16 ilustracyj T. Rożanowskiego, str. 174.
- Pamięci Janiny Złotnickiej. Warszawa, 1938, str. 20.
- Jerzy Pietrkiewicz: Wiersze i poematy. Nakładem „Prosto z mofu”. Warszawa, 1938, str. 162.
- Aleksander Rymkiewicz: Potoki. Poezje. Nakładem Związku Zaw. Lit. Pol. Warszawa, 1938, str. 46.
- Świat katolicki w dążeniu do ochrony obyczajów. Pamiętnik I. Międzynarodowego Katolickiego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie 11—14 września 1937 r. Nakładem Kat. Związku Abst. Poznań, 1938, str. 208.
- Jacobus van der Veldt O. F. M.: Prolegomena in Psychologiam. Nakładem Coll. di S. Antonio. Roma, 1938, str. 308.
- Henryk Zbierzchowski: Kariera pana Franciszka. Nakładem A. Krawczyńskiego. Lwów, 1939, str. 264.
-

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Polskie paradoksy. — Lekcja wyborów. — Na lewo czy na prawo?

Trudno zaprzeczyć, iż nasza wewnętrzna polityka obfituje w ostatnich czasach w liczne a znamienne paradoksy.

Przed paru miesiącami najbardziej miarodajne czynniki naszego Państwa stwierdziły wyraźnie, iż obowiązująca obecnie ordynacja wyborcza jest wadliwa. Faktu tego nikt zresztą nie kwestionował. Równocześnie jednak zarządzono wybory do ciał ustawodawczych na podstawie tej właśnie ordynacji wyborczej. Dzięki temu zarządzeniu wybory do parlamentu poprzedziły wybory samorządowe, które miały się odbyć na zasadzie nowej, zreformowanej już ordynacji. Paradoks pierwszy, zasadniczy.

Też same najwyższe czynniki dały społeczeństwu publiczną obietnicę, iż głównym zadaniem nowych izb ustawodawczych będzie opracowanie nowej ordynacji wyborczej. Zdawać by się więc mogło, że stronnictwa opozycyjne, zepchnięte poza ramy politycznych wpływów, użyją wszelkich sił, by wprowadzić swych przedstawicieli do Sejmu i Senatu i mieć w ten sposób możność oddziaływania na losy nowej ordynacji. Tymczasem cała opozycja ogłosiła bojkot wyborów do parlamentu, by wykazać, iż partia rządząca dysponuje w kraju jedynie znikomą mniejszością. I oto w miejsce zapowiedzianego bojkotu nastąpiła właśnie wzmożona frekwencja wyborcza, wykazując przeszło 67% udziału w akcie wyborczym uprawnionych do głosowania. Partia rządząca osiągnęła oczywiście w parlamencie kadłubowym przygniatającą większość. W prasie ozonowej pojawiły się okrzyki triumfu; opozycję nazwano „zbieraniną pospolitaków, luzaków i banderyj parafialnych”, a w łonie rządzącej partii

wystąpiły dążności monopartyjno - dyktatorskie. Zapowiedziano szumnie, iż wybory samorządowe potwierdzą niewątpliwie wyniki wyborów parlamentarnych. Równocześnie zaś opozycja, której wyborczy bojkot skończył się fiaskiem, rzuciła teraz hasło jak najtłumniejszego udziału w wyborach do samorządu. W ten sposób samorządy, które z swego przeznaczenia winny być organem głównie gospodarczym, miały się stać areną zaciekłych walk politycznych. Rozwinięto olbrzymią propagandę, zalepiono miasta ulotkami, zmobilizowano wszystkie środki walki przedwyborczej. Zdawać się więc mogło, iż 100% wyborców zjawi się przy urnach, by dać wyraz swym politycznym przekonaniom, wolnym i nieskrępowanym. Tymczasem wystarczył silny mróz, by zlikwidować wyborczą gorączkę. Frekwencja, zwłaszcza w stolicy, zawiodła na całej linii. Pokazało się dosadnie, iż dla większości wyborców miłszym był ciepły pokój, niż doniosły a niezależny akt obywatelski. I im wyższym był stopień politycznego uświadomienia, tym większą okazała się bierność. Trudno o wymowniejszy paradoks!

Złudzeniem również okazały się szumne zapowiedzi. „Zbieranina pospolitaków i luzaków...” potrafiła jednak mimo wszystko odnieść cały szereg wybitnych sukcesów. I tak w Wielkopolsce 51% mandatów przypadło Stronnictwu Narodowemu. W Poznaniu stronnictwo to skupiło nawet 70% głosów. W Łodzi i w Krakowie zatriumfowała opozycja a nawet w stolicy partia rządząca uzyskała zaledwie 40% mandatów. Pokazało się dowodnie, że wybory do parlamentu nie zostały żadną miarą potwierdzone przez wybory samorządowe; że skład Izb Ustawodawczych nie odzwierciedla żadną miarą politycznych nastrojów szerokich sfer społeczeństwa, że zjednoczenie narodu w obozie OZO i Nu jest marzeniem czy usiłowaniem, ale nie jest faktem; że więc monopartyjna dyktatura obozu rządzącego byłaby politycznym gwałtem.

Równocześnie jednak wyszło niewątpliwie na jaw, iż rzekome rozgoryczenie polityczne szerokich mas jest tylko w znacznym stopniu fikcją i demagogicznym chwytem tych czy innych politycznych prowodyrów. Siły opozycyjne są w rzeczywistości rozstrzelone i rozbite, a żadna polityczna partia nie posiada w kraju, bezwzględnej większości, żadna więc nie może się obejść bez kompromisów oraz koniecznej współpracy.

Taka jest wymowa faktów, ale równocześnie jawi się nowy paradoks, bo oto każde ze stronnictw otrąbiło rozgłosnie swoje rzekome zwycięstwo, każde okopało się na partyjnych pozycjach, każde za szanćami swych hasel i ideologii czeka z buńczuczną miną na kapitulację swoich prze-

ciwników. Słynne płoty partyjne nie upadły, ale się wzmocniły, a dzieło zjednoczenia narodu cofnęło się znowu na odległe horyzonty.

I na tym dopiero tle politycznych paradoksów naszej wewnętrznej polityki występują jasno niektóre, godne podkreślenia zjawiska.

Stwierdziliśmy już na łamach naszego pisma niewątpliwy fakt, iż wystąpienie J. E. ks. Prymasa Hłonda przyczyniło się w wysokim stopniu do wzmożenia frekwencji w parlamentarnych wyborach. Kontrast w tym względzie wyborów samorządowych ma swą nie dającą się zaprzeczyć wagę. Niewątpliwie październikowa frekwencja miała wśród katolików w niejednym wypadku charakter wyłącznie formalny, ale winę za to ponosi już wyłącznie wadliwa ordynacja wyborcza i swoisty dobór kandydatów. W rezultacie katolicy nie mają wprawdzie żadnych podstaw do tego, by się entuzjasmować składem obecnej ekipy sejmowej oraz senackiej, z drugiej jednak strony trzeba stwierdzić, iż z wyjątkiem posła Pufka, obłożonego kościelną ekskomuniką, nie ma wśród posłów oraz senatorów zdecydowanych i afiszujących się swym laicyzmem wrogów Kościoła; znikł szereg nazwisk bardzo niepopularnych w obozie katolickim, wystąpiła natomiast dość silna grupa katolików, świadomych i zdecydowanych.

Równocześnie zaś nie można zaprzeczyć, iż także wybory samorządowe wykazują w wyższym jeszcze stopniu zwycięstwo katolicyzmu. Wszak szereg stronnictw politycznych wysunął wyraźne hasła katolickie w swej przedwyborczej kampanii. Uczyniło tak Stronnictwo Narodowe, ONR, OZoN, Stronnictwo Pracy, ugrupowania mieszczańskie, i te właśnie stronnictwa osiągnęły druzgoczące zwycięstwo nad socjalistami i Żydami. Wszak w pierwszych grudniowych wyborach proporcja ta wynosiła 920 na 235, a przy odrzuceniu Żydów na 179 mandatów, zwolenników marksizmu, względnie frontu ludowego.

Co więcej w wielu okręgach wyborczych stwierdzono znamienny fakt, iż wyborcy dokonywali selekcji kandydatów z różnych list właśnie pod kątem widzenia ich katolickich przekonań. Jeśli zaś równocześnie podkreślimy drugie charakterystyczne zjawisko, iż obok haseł katolickich jawiły się w tych samych stronnictwach hasła **n a r o d o w e**, to dojdziemy do bezwzględnie pewnego wniosku, iż wybory samorządowe stanowią zwycięstwo żywiołów katolickich oraz narodowych. Na tej więc i tylko na tej platformie może się dokonać zjednoczenie społeczeństwa polskiego, oto postulat głoszony przez nas od dawna, a potwierdzony świeżo niewątpliwym plebiscytem. Zwycięstwo tej idei byłoby olśnie-

wające, gdyby w pewnych miastach i okręgach nie przeważały względy wyłącznie partyjne i gdyby było doszło do solidarnych wyborów w ramach antytezy: katolicyzm czy marksizm? Niestety w wielu okręgach wyborczych właśnie najzacieklejszą walkę staczały z sobą Stronnictwo Narodowe oraz OZoN. Z tej zaś partyjnej rozgrywki korzyść największą odnieśli PPS i Żydzi. Smutnym przykładem rozbicia narodowych i katolickich głosów jest przede wszystkim Kraków, polski Rzym i polskie Ateny. Zapowiedziana tak pięknie solidarna akcja wyborcza załamała się na barykadach partyjnego zaślepienia, dając w rezultacie zwycięstwo bezwzględnej mniejszości ani nie narodowej, ani nie katolickiej. Jest to odstraszaający, a jakże wymowny przykład, do czego prowadzi i prowadzić musi w naszym społeczeństwie rozbicie żywiołów związanych wspólną więzią narodową i katolicką.

Niemniej znamionnym jest fakt, że nawet socjaliści nie ośmielili się wysunąć w swej przedwyborczej kampanii hasła nie tylko antyreligijnych, ale nawet antyklerykalnych. Owszem przeciwnie w wielu okręgach, zwłaszcza w Łodzi, podkreślano szczerze czy nieszczerze, że socjalizm wcale nie walczy z religią. Tym się też tłumaczy w pewnym stopniu wyborczy sukces socjalizmu. Po wyborach zaś pojawił się nawet w *Robotniku* dość znamienny artykuł p. Żuławskiego, w którym autor m. i. dowodził, że wnet już może nadejść czas, gdy i w Polsce Kościół katolicki będzie widział w socjalizmie największą pomoc w walce z wrogami i w urzeczywistnianiu swej wiary a na odwrót socjalizm znajdzie w katolicyzmie największą ostoję wolności, równości i sprawiedliwości.

Ten znamienny głos *Robotnika* można uważać za pierwszą jaskółkę pewnej ewolucji, jaka za wzorem Zachodu, może wystąpić i w polskim socjalizmie. Dotychczas bowiem mieliśmy wrażenie, że nasi socjaliści nic nie wiedzą lub też wiedzieć nie chcą o rewizjonistycznej akcji teoretyka socjalizmu tej miary co De Man. Równocześnie jednak musimy podkreślić fakt, iż wszelkie eksperymenty, podjęte z entuzjazmem we Francji przez grupę „chrześcijan czerwonych” za zbliżeniem i pogodzeniem socjalizmu z katolicyzmem skończyły się całkowitym fiasco. Do pogodzenia bowiem tych dwóch ideologii nie wystarczą pewne styczne, czy pewni wspólni wrogowie jak skrajny, pogański nacjonalizm, czy wyzuty z poczucia sprawiedliwości skrajny kapitalizm — trzeba by nadto uzgodnienia ideowych podstaw. Tymczasem marksizm stoi na stanowisku materialistycznej filozofii, zdynamizowanej idealizmem Hegla, katolicyzm zaś filozofię tę odrzuca oraz potępia w imię spirytualizmu oraz objawienia. Dla socjalizmu religia w najlepszym razie będzie kwestią uczucia,

potrzeby serca, którą u mniej uświadomionych „towarzyszy” tolerować można, dla katolicyzmu zaś religia jest postulatem rozumu, podstawą intelektualną poglądu na świat. Między tymi dwoma ideowymi kierunkami nie ma mowy o jakimś wyrównaniu i głębszej współpracy, jak wykluczoną jest współpraca ideowa narodowego socjalizmu Hitlera z Kościołem. Przyjazny więc nastrój, którego heroldem jest p. Żuławski, uważamy wyłącznie za posunięcie taktyczne, obliczone na dalszą metę polityczną. Taktyka ta bowiem liczy się z oczywistym faktem wzrostu wpływów i dynamiki polskiego katolicyzmu. Socjalizm odniósł w samorządowych wyborach niewątpliwy a na ogół dość niespodziewany sukces. By jednak sukces ten mógł wydać trwalsze wyniki, socjaliści muszą pomyśleć o politycznym sojuszu. Wyborczy sojusz z Żydami jest kompromitujący wobec całego społeczeństwa ożywionego dziś duchem narodowym. To też socjaliści polscy nie chcąc zostać *Bund*’em myślą nie od dzisiaj o sojuszu ze Stronnictwem Ludowym, a w ostatnich czasach zezują dość ostrożnie w kierunku OZoNu. Że w Stronnictwie Ludowym równie jak w OZoNie nie brak sympatyzującej z socjalistami lewicy, to fakt oczywisty. Można się zatem spodziewać, że przy obecnym partyjnym rozbiściu nie braknie wysiłków stworzenia lewicowej konsolidacji, z pominięciem Żydów. Tęsknoty takie kiełkują, a ostatnie artykuły *Zespołu* i *Siewu*, wskazujące na konieczność zmiany klimatu politycznego w Polsce, mają swoistą wymowę. Wszak *Zespół* grupuje, jak wiadomo, także niektórych urzędników Ministerstwa Rolnictwa, a *Siew*, organ Centralnego Związku Młodej Wsi jest również bliski temuż Ministerstwu. I oto z tych właśnie kół wychodzi sygnał, głoszący konieczność zmiany metod życia politycznego w Polsce i to w tym kierunku, by przeprowadzić porozumienie Rządu z demokratycznymi ugrupowaniami opozycyjnymi. Porozumienie takie, zdaniem *Siewu*, byłoby największym zwycięstwem Rządu. Że zaś tym ugrupowaniem jest właśnie PPS oraz lewica ludowców, w to chyba nikt nie wątpi. Na tym tle łatwiej również zrozumieć ostatnią ewolucję taktyki PPS.

I dlatego właśnie trzeba zmobilizować wszystkie zdrowo myślące elementy polskiego społeczeństwa, by, w myśl patriotycznych wezwań narodowca, katolika i męża stanu tej miary co vice-premier Kwiatkowski, przyspieszyć konsolidację i zjednoczenie na platformie katolickiej oraz narodowej dla dobra Narodu, Państwa i Kościoła. Monopartyjne zakusy, któregośkolwiek ze stronnictw są dzisiaj bezwzględnie politycznym błędem, który wyzyskać mogą jedynie wrogowie wewnętrzni oraz

postronni, wrogowie polskiego Państwa i Kościoła. Konso-lidacja na lewo, czyli przymierze OZoNu z lewicą, byłoby grobem zdrowej i twórczej idei zjednoczenia, która jest dla Polski dziejową koniecznością, podstawą siły gospodarczej, militarnej oraz politycznej. Społeczeństwo bowiem polskie w swej olbrzymiej większości na lewo nie pójdzie, gwarantem tego twierdzenia jest właśnie rosnący dynamizm narodowy oraz katolicki. Wszelkie zatem nieustępliwe i partyj-nictwem podyktowane ekskluzywizmy, które głoszą, że nie-możliwym jest porozumienie narodowych i katolickich stron-nictw we wspólnej pracy dla dobra Ojczyzny i Kościoła napiętnować należy jako warcholstwo, które historia osądzi kiedyś niemniej surowo, jak osądza dziś „żrenicę wolności”: *liberum veto*. Paradoksem już nie dziwnym ale wprost obłędnym byłoby, po tylu smutnych a wprost oczywistych doświadczeniach występować nadal z hasłem, że cała Pol-ska musi być albo endecka, albo ludowcowa, albo ozonowa i że o porozumieniu między tymi stronnictwami nie może być mowy. Kto takie właśnie hasło głosi jest świadomym lub nieświadomym grabarzem zdrowej demokra-cji, a budowniczym totalizmu, który w imię jednej partii zdusi wolność myślenia i działania większości. Na tle pol-skiej rzeczywistości *tertium non datur*.

Co zaś przyniesie ze sobą totalizm, nie trudno prze-widzieć. Głębokim bólem i troską przepocone słowa sto-jącego nad grobem starca, Piusa XI, syntetyzujące w wi-gilijny wieczór doświadczenia dziesięciolecia laterańskich układów, powinny wstrząsnąć do głębi sumieniem każdego patrzącego w przyszłość katolika w Polsce. Nie wolno nam marnować zdobyczy narodowych i katolickich dla mono-partyjnych egoizmów tych czy innych klik oraz leaderów!

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Niemiecka ofensywa na Ukrainę i Litwę. — Włoski atak na Tunis. —
Przeciwatakarce polsko - sowieckie. — Równoległa reakcja na zachodzie. —
Trzy drogi Europy a Polska.

Grudzień na widowni międzynarodowej ukształtował się dra-matyczniej od listopada. Poniekąd nawet przełomowo, przynaj-mniej w sensie jednego z tych przełomów taktycznych, które się zdarzają zawsze, gdy ofensywa jednej grupy mocarstw napotka na skuteczny odpór grupy atakowanej. Grudniowy zwrot w sytuacji tym więcej zasługuje na uwagę, że decydującą w nim rolę ode-

grała inicjatywa dyplomatyczna Polski. Miesiąc rozwijał się pod znakiem nowego paktu polsko-sowieckiego.

W chwili ogłoszenia tego układu nabierała właśnie rozpędu wielka, skoordynowana ofensywa osi rzymsko-berlińskiej. Niemcy uderzały na Wschód, Italia zaś postugiwała im dywersją przeciwko Zachodowi, wprawdzie nie bez zastrzeżeń, ale w poczuciu, że nie ma nic lepszego do zrobienia, oraz w nadziei, że coś na tym zyskać może.

Uderzenie niemieckie podjęte zostało w myśl zasady, iż należy kuć żelazo póki gorące. Zdoławszy wcisnąć pomiędzy Węgry a Polskę nieszczęsny skrawek południowego Podhala Karpat, przyczepiony do nowej Czechosłowacji, Niemcy polecieli nadać mu szumny tytuł „Ukrainy zakarpackiej” i zainstalowali tam posłuszny ich rezydentowi rząd Wołoszyna. Nie krępowali się przy tym jawnie manifestować swój nad tym krajem protektorat za pomocą sztandarów ze swastyką na gmachach publicznych podczas bankietów swych przedstawicieli z karpato-ukraińskimi ministrami. Jak dalekosiężne snuli plany zdradził po części głos prasy niemieckiej. Można się było z niej dowiedzieć, że chodzi o połączenie nowej „Ukrainy zakarpackiej” z ziemiami „ukraińskimi” Polski i Rumunii, a więc Małopolską, Bukowiną, prawdopodobnie także Besarabią. To miało być osiągnięte drogą pokojową w ciągu najbliższego roku. W dalszej perspektywie ta projektowana „Ukraina zachodnia” miałaby wchłonąć sowiecką republikę ukraińską, przy czym godzono się już z koniecznością wojny.

Jeszcze dokładniej zarysował się ten plan w świetle faktów, które go miały realizować, a które się nie powiodły. Tutaj zobaczyć trzeba, na gruncie polskim, ukraińską próbę formalnego wniosku w Sejmie o udzielenie autonomii terytorialnej Małopolsce Wschodniej, demonstracyjny list z błogosławieństwem metropolity Szeptyckiego do premiera Wołoszyna, a prawdopodobnie także memoriał tegoż metropolity do rządu polskiego, drukiem nie ogłoszony. Na gruncie węgierskim ferment polityczny pośród tamtejszych madziarskich resortów, idących na pasku Berlina, świadczył, iż niemiecki plan ukraiński opierał się na ujawnionej już w listopadzie koncepcji bloku niemiecko-węgiersko-czesko-słowackiego.

Najwymowniej jednak ukształtował się rozwój wypadków w Rumunii. Tamtejsza „dyktatura królewska” próbowała już dawniej dojść do porozumienia z „żelazną gwardią” narodowo-fotalistyczną, musiała jednak zaniechać tego zamiaru nie tylko ze względu na temperament polityczny jej przywódców, niebezpieczny dla autorytetu monarchii, lecz przede wszystkim z powodu bezkrytycznego kultu rumuńskich „gwardzistów” dla Hitlera i hitlerowskich Niemiec. Uzasadnione zdają się być zarzuty, iż „żelazna gwardia” była przeciwna kontaktom rumuńskiej polityki zagranicznej z wersalsko-trianońskim Zachodem, natomiast bez

zastrzeżeń zmierzała do wprowadzenia tej polityki w orbitę jednostronnego wpływu Niemiec. Przy takiej postawie nie brakowało podobno nawet „żelaznej gwardii” niemieckich subsydiów pieniężnych na agitację. Ponieważ dyktatura królewska stosowała politykę zagraniczną bardziej trzeźwą i przezorniej strzegącą niepodległości kraju, przeto dawniejsze próby porozumienia spełżyły na niczym, Codreanu zaś i towarzysze otrzymali długoterminowe wyroki za zdradę stanu.

W sprawie granicy polsko-węgierskiej, względnie Rusi Zakarpackiej, dyktatura królewska zajęła stanowisko obiektywne, zgodne z rumuńską racją stanu. Karol II, po rozmowie z p. min. Beckiem, był skłonny sprawę tę poprzeć, pod warunkiem, że uzyska z kolei poparcie Zachodu przynajmniej gospodarcze. Odrzucił więc pierwotne propozycje handlowe niemieckie, zmierzające do ekonomicznej, a więc i politycznej, wasalizacji Rumunii wobec Berlina i wyruszył w podróż do Londynu i Paryża. Nie ulega wątpliwości, że to mocno krzyżowało ukraińskie plany Niemiec. Przeworsowawszy tedy w Rzymie arbitraż wiedeński i zaimprowizowawszy na Rusi Podkarpackiej „Diemont ukraiński”, równocześnie musieli Niemcy pomyśleć o tym jak zapewnić sobie rumuńską uległość. Znacznie lepiej niżli dyktatura królewska nadawała się do tego celu „żelazna gwardia”. To też wkrótce po arbitrażu i zainstalowaniu Ukrainy pod Karpatami, wybuchły w Rumunii poważne zaburzenia pod znakiem „żelaznej gwardii”, czy partii „wszystko dla ojczyzny”. Musiało się zanosić nie na byle co, prawdopodobnie wręcz na zamach stanu z udziałem wojska, gdyż o tym świadczy usunięcie i postawienie przed sąd jednego z dowódców korpusów. Wymiar niebezpieczeństwa uwidocznił się jednak najdobitniej w sposobie gwałtownej reakcji ze strony reżimu. Reakcja ta nosiła charakter nieposzlakowane totalistyczny, żywcem w całość okazałości przejęty z najlepszych wzorów niemieckich. Codreanu i kilkunastu jego towarzyszy, którzy zapewne oczekiwali, że ich z prowincjonalnego więzienia uwolni gen. Antonescu, albo bojówki partyjne, — zginęli śmiercią gwałtowną.

Niemcy się obrazili i odwołali posła z Bukaresztu. „Żelazna gwardia” utraciła swój sztab i źródło dynamiki, umocniła się dyktatura królewska. Proklamowano monopartyjność na rzecz reżimu. Co jednak najważniejsze to fakt, że niemiecki plan ukraiński w swej pierwotnej, najbezwzględniejszej dla państw zainteresowanych wersji, otrzymał ciężki cios. Nie powiodło się zmontować bloku niemiecko-węgiersko-czesko-słowackiego oraz wciągnąć doń obok zhitleryzowanych Węgier, zhitleryzowaną Rumunię. Naddunajskie przedpole Ukrainy sowieckiej okazało się trudniejsze do opanowania niżli w Berlinie przypuszczano. Słabą tylko pociechą mógł być fakt, że skutkiem chwiejnej postawy Zachodu w dobie podróży króla Karola, zajął on wobec Niemiec postawę

raczej pojednawczą, zawarł traktaty handlowe, jednak nie na stopie wasalizacji, lecz równorzędności.

Niemiecka ofensywa wschodnia nie była wszakże orientowana tylko na bezpośredni, południowo-wschodni dostęp do Ukrainy sowieckiej. Jedną z najważniejszych dla Niemiec na tej drodze zapór stanowi nasza Małopolska. Wprawdzie w razie opanowania przez Niemcy Węgier i Rumunii automatycznie musiałaby stracić na sile nasza odporność na południu, jednakże Niemcy nie zaniechali również równoległej asekuracyjno-dywerysyjnej akcji przeciwko nam również na północnym, nadbałtyckim dostępie w kierunku Rosji Centralnej. Już w listopadowym referacie wspominałem, że kłajpedzki szturm Niemiec przeciwko Litwie jest dla nas bardzo niebezpieczny i trudny do odparcia i że wypadnie chyba obejrzeć się na Moskwę. Kończąc referat grudniowy mogłem już zanotować wiadomości o nowym pakcie polsko-sowieckim. Odpór zatem się znalazł i to o znacznie szerszym zasięgu następstw niżli ten, który Niemcy spotkał ze strony Rumunii. Nie od rzeczy będzie stwierdzić, że gdybyśmy nie zmobilizowali Moskwy, to albo musielibyśmy z powodu Litwy stoczyć z Niemcami zbrojny pojedynek, albo pogodzić się z tym, że Niemcy opasałyby nas poprzez zwasalizowaną Litwę i odcięły od Bałtyku zupełnie tak samo jak opasały nas i odcięły od Dunaju poprzez zwasalizowaną Czechosłowację. Wtedy zaś prawdopodobnie spotkałaby nas ze strony Niemiec wspaniałomyślna propozycja, że owszem oni nam ustąpią Litwę, nawet aż do unii włącznie, ale... za cenę „autonomii” dla Małopolski Wschodniej.

Gdyby nasza dyplomacja pozwoliła się zapędzić w taką uliczkę bez wyjścia, to w dalszej perspektywie, po ewentualnym oderwaniu Ukrainy sowieckiej od Moskwy, zostalibyśmy zablokowani od południa i zachodu i stłoczeni bezradnie nad zamknięty przez Niemców Bałtyk wespół z jego drobnymi państwami nadbrzeżnymi oraz zubożałą, choćby już niesowiecką — Moskwą.

Zapobiegł temu obecny doraźny zwrot taktyczny w stronę Moskwy. Na miejscu, w Kownie, utrwalił się i rozwinął w związku z nim nowy kurs polonofilski. Zewnętrzny wyraz znalazł on w deklaracjach kierowników państwa, w zmianie rządu i ministra spraw zagr., w rozwiązaniu związku wyzwolenia Wilna. Niemcy nie od razu dali tutaj za wygraną. Kontratakowali nie tylko za pomocą kłajpedzkich wyborów, lecz także przez próbę zamachu stanu ze strony waldemarasowców. Otrzymali oni poważne subsydia pieniężne i podobnie jak „żelazna gwardia” w Rumunii, powołani byli do opanowania władzy nad krajem od wewnątrz, w zewnętrznym oparciu o Berlin i na jego korzyść. I tutaj jednak Niemcom się nie powiodło. Ufny w polsko-sowieckie oparcie rząd litewski dał sobie z waldemarasowcami radę.

Tyle o przebiegu i załamaniu lokalnym najświeższej niemieckiej ofensywy wschodniej. Do posunięć w sferze gry dyplo-

matycznej lokalnej, zaliczyć można jeszcze dodatkowo dwa protesty złożone w Pradze przeciwko irredentystycznym poczynaniom ukraińskim z Rusi Podkarpackiej. Pierwszy protest założył przedstawiciel Sowietów, drugi wkrótce potem, poseł polski. Równoległość tej *démarche* opierała się już o nowy zwrot polsko-rosyjski. Osiągnęła ona skutek pożądaný, ponieważ wojska czeskie rozbroiły oddziały ukraińskie formowane na Rusi. Praga złożyła wystarczającą deklarację lojalności, pomimo, że uprzednio prasa czeska ostro prowokowała nas i Moskwę widmem „wielkiej Ukrainy” wedle instrukcji z Berlina.

Ta kapitulacja pozornie czeska, w rzeczywistości niemiecka kojarzy się już także z zachodnimi reperkusjami zwrotu polsko-rosyjskiego. I tutaj również dyplomacja polska wystąpiła czynnie poprzez osobisty kontakt naszego ambasadora w Paryżu z min. spraw zagr. Bonnetem. Tematem konferencji miała być i niezawodnie była sprawa zagrożenia przez Niemcy Ukrainy Sowieckiej i Małopolski Wschodniej.

Punktu wyjścia dla zachodnich reperkusyj odnowionego paktu polsko-sowieckiego dostarczyło zachodnie natarcie dyplomatyczne Włoch na Francję. Miało ono posłużyć jako dywersja osłaniająca Niemcy z tej strony podczas ich ofensywy wschodniej. Do tegoż celu zmierzała deklaracja pokojowa z Francją podpisana przez Ribbentropa w Paryżu, wszelako dywersja włoska miała znaczenie poważniejsze.

Zainauguował ją min. Ciano mową w parlamencie faszystowskim, w której nie atakował Francji bezpośrednio, natomiast zaznaczył tymczasową neutralność włoską w sprawie Rusi, oraz bardzo mocno podkreślił wierność sprzymierzeńczą Italii wobec Niemiec w okresie Monachium, aż do wojny z Francją włącznie. Atakowi zaś nadano formę „żywiolowej” demonstracji ze strony izby, która poczęła domagać się okrzykami ni mniej ni więcej tylko zaspokojenia wszystkich historycznych pretensyj włoskich wobec Francji, a więc: Tunisu, Korsyki, Sabaudii i Nicei. Demonstracje te i żądania zostały podjęte przez ulicę w Rzymie oraz w szeregu miast. Prasa sekundowała domagając się jeszcze Dżibutti, kolei prowadzącej stamtąd do stolicy Abisynii, oraz udziału w zarządzie Kanałem Suezkim.

Repertuar życzeń istotnie był rozległy. Tak rozległy, że aż proporcjonalny do tegorocznych osiągnięć w Austrii i Czechach i niewątpliwie na nich wzorowany. Zaspokojenie tych życzeń wywołałoby w równowadze śródziemnomorskiej przewrót dla mocarstw zachodnich bliższy i jeszcze dotkliwszy od lądowego nad Dunajem. Strategiczna przewaga Włochów na Morzu Śródziemnym w razie przejścia w ich ręce Tunisu i Korsyki stałaby się tak bezapelacyjną, że nikt wbrew woli Italii nie mógłby się prze-dostać z Gibraltaru do Suez. Pozycja Francji w Afryce Południo-

wej zostałyby wydatnie osłabiona, droga zaś morska dla Anglii do Indyi, a dla Francji do Syrii i Tonkinu byłaby zabarykadowana gruntownie.

Żądania te w pierwszej chwili zaskoczyły Paryż i Londyn i wywołały tam widoczną konsternację. Ze strony francuskiej kontrademonstrowano na ulicach, ale równocześnie puszczano prasowe balony próbne ofiarowujące rewizję statutu suezkiego oraz przyznanie praw strony wojującej powstańcom hiszpańskim. Londyn doradzał ustępstwa i zaznaczał brak zobowiązań do pomocy zbrojnej dla Francji na Morzu Śródziemnym.

Nagle w pewnej chwili, zapewne nie bez związku z wizytą polskiego ambasadora u min. Bonnet'a w sprawie Małopolski i Ukrainy, w Londynie i Paryżu zmienił się gwałtownie kierunek wiatru. Ambasadorowie Anglii i Francji w Berlinie podjęli równoległe *démarches* u Ribbentropa, zastrzegając współstanowienie w sprawie Kłajpedy. Premier Chamberlain wygłosił w izbie gmin mowę, w której ostro zwrócił się przeciwko włoskim roszczeniom na Morzu Śródziemnym, grożąc zerwaniem świeżo zawartego paktu anglo-włoskiego, deklarował solidarność odporu nawet zbrojnego z Francją; zwracając się zaś ku Niemcom podnosił z naciskiem znaczny postęp technicznego pogotowia wojennego W. Brytanii i ostrzegał, że odtąd zaskoczyć się już ona nie pozwoli. Wreszcie doradzał Niemcom, by wzięli pod uwagę znacznie wyższą angielską zdolność finansowania wojny. Zapowiedział też wojnę handlową z powodu niemieckiego dumpingu nad Dunajem i na Bliższym Wschodzie.

Do wtóru stanął w Komisji paryskiej izby Deputowanych min. Bonnet. I on rozpoczął od twierdzenia, że stan zbrojeń francuskich uległ znacznej poprawie. Kategorycznie odrzucił pretensje włoskie, nawet realne, jak przyznanie praw strony wojującej gen. Franco. Wobec Niemiec szczególnie wyraźnie odkrył karty, oświadczając, że jeśli Polska i Rosja zostaną zaatakowane i będą się broniły, to Francja wobec nich swój obowiązek sojuszniczy wypełni.

Do zajęcia tak zdecydowanego stanowiska przyczynił się zapewne najmniej postęp w zbrojeniach na Zachodzie, bo nie uchronił on od konsternacji w pierwszej chwili, a w ogóle w ciągu paru miesięcy od zjazdu w Monachium nie mogły w tej dziedzinie nastąpić zbyt głębokie zmiany. W pewnej mierze na postawę Francji mogło dodatnio wpłynąć umocnienie rządu na skutek zwycięskiej próby sił z komuną podczas nieudanego strajku powszechnego. Od czasu żywej reakcji Ameryki na gwałty przeciżydowskie w Niemczech, mocarstwa zachodnie zaczęły też znów więcej liczyć na poparcie zza oceanu. Wszystko to jednak wydaje się należeć do kategorii przyczyn drugorzędnych gdy pierwszorzędne stanowiła niewątpliwie nadzieja na odbudowę francuskiego systemu zbiorowego bezpieczeństwa w Europie, na

skutek współdziałania Polski z Sowietami. Skuteczny opór miejscowy niemieckiej ofensywy wschodniej bardzo dodał ducha w Londynie i Paryżu do podobnego odporu na Zachodzie.

Teraz z kolei zapanowała konsternacja w Rzymie i w Berlinie. Wywołało ją realnie zarysowane widmo solidarności obronnej Wschodu i Zachodu, zdolne unieruchomić oś rzymsko-berlińską. W ślad za paktem polsko-rosyjskim zdawało się odzyskiwać swą wagę zarówno przymierze Polski z Francją jak pakt francusko-sowiecki i cała w ogóle francuska recepta „zbiorowego bezpieczeństwa”.

Włochy zareagowały naprzód zakazem demonstracji antyfrancuskich, następnie skłoniły gen. Franco do zwrotu dóbr Alfonsowi XIII, co może stanowić krok wstępny do restauracji monarchicznej, oraz pacyfikacji Hiszpanii bez pogwałcenia Barcelony. Mogłoby to stanowić dogodną osłonę prestiżu Włoch faszystowskich a zarazem ich faktycznego odwrotu z Hiszpanii na rzecz reakcji demoliberalnej oraz przewagi anglo-francuskiej. Zapowiedziana jako odpowiedź Bonnetowi mowa Mussoliniego na Sardynii pominęła głośnym milczeniem politykę międzynarodową. Niemcy wysłały na gwałt do Londynu swego geniusza finansowego prezesa Schachta, by coś wskórał przeciwko wojnie handlowej z Anglią na Bliskim Wschodzie. Gdy mu się nie powiodło, zapowiedzieli nową podróż do Londynu min. gospodarki Funcka, który objeżdżał dorzecze Dunaju i Bałkan i jest bezpośrednim organizatorem ekonomicznej ofensywy niemieckiej w tym kierunku. Zapowiedziano również z Berlina podróż do Londynu kpt. Wiedemanna, powiernika kanclerza Hitlera, który bywał już z jego ramienia w Anglii w sprawie ograniczenia zbrojeń lotniczych i w sprawie kolonii. Wypuszczono też z Berlina ugodowe balony próbne na temat rozbrojenia. Z Rzymu zaś wybiegła wieść o aktualizacji paktu czterech w związku z dawno zapowiedzianą a zbliżającą się wizytą Chamberlaina i Hitlera u Mussoliniego.

Istotnie pakt czterech mocarstw zachodnich, czyli anglo-francuskiej ententy z rzymsko-berlińską osią, stanowi poniekąd klasyczne już antidotum przeciwko paktowi Polski z Moskwą, oraz ich możliwemu rozwinięciu w blok wschodni dunajsko-bałkański wedle prototypu z r. 1933. Wtedy wprawdzie blok wschodni okazał się silniejszym od paktu czterech i ubezwładnił go. Ale też wtedy Niemcy nie byli jeszcze w posiadaniu Austrii i Czech, ani na tej stopie uzbrojenia na jakiej się znajdują obecnie. Przy tym zwrot polsko-rosyjski jest bardzo świeży i nosi jak dotąd cechy doraźnej formacji taktycznej mającej na celu odpór wobec ofensywy niemieckiej na południe i północo-wschodzie. Już dawniej, gdy Polska zawarła w r. 1934 równoległy do sowieckiego pakt z Niemcami i zainaugurowała politykę „bariery” między obu swymi wielkimi sąsiadami, gdy później Francja próbowała tę barierę przeskoczyć z pomocą paktu francusko-sowieckiego, mo-

carstwa osi rzymsko-berlińskiej poczęły wciągać Polskę w orbitę paktu czterech, jako jego człon piąty. Stąd w zarysowującej się nowej sytuacji pakt czterech a raczej pięciu mocarstw zwrócony przeciwko Sowietom, a bardzo bliski koncepcji bloku antysowieckiego mógł się wydawać w Rzymie i Berlinie deską ratunku przeciwko „zbiorowemu bezpieczeństwu”.

Na tej też linii rozwinęły mocarstwa centralne gorączkowo na razie dyskretne, lecz interesujące kroki wstępne do wyprowadzenia ich z trudnej sytuacji. Dużą ruchliwość wykazała zwłaszcza Italia. Pomimo świeżej deklaracji *desintéressement* ze strony hr. Ciano w sprawie granicy polsko-węgierskiej, prasa włoska ponownie ujawniła swe w tym zakresie zainteresowanie w związku z dwu okolicznościami. Pierwszą z nich była porażka Niemiec w Rumunii z żelazną gwardią, oraz próba odegrania się na Litwie z Kłajpedą i waldemarasowcami. Drugą okoliczność stanowiła porażka poniesiona również na Litwie oraz pakt polsko-sowiecki. Już pierwsza z nich wzbudziła żywe echo nie tylko w prasie lecz i w dyplomacji włoskiej. Zapowiedziano odwiedzin hr. Ciano w Budapeszcie, oraz nowego węgierskiego min. spr. zagr. hr. Csaky w Berlinie. Obie te wizyty doszły do skutku i obie pozostawały w ścisłym związku ze sprawą granicy polsko-węgierskiej. Jakim zamierzeniem konkretnym służyć one mogły?

Przewaga Niemiec w dorzeczu Dunaju, a co za tym idzie również na całym Bliskim Wschodzie zagraża Italii dalszym pogłębieniem jej wasalizacji wobec Berlina, która już i obecnie daje się odczuwać na skutek zaboru Austrii i Sudetów. Stąd polityka Mussoliniego opiera się o ile może niemieckiej ofensywie południowo-wschodniej, wysuwając w tym celu koncepcję granicy polsko-węgierskiej, jako podstawy bloku oporowego Polski, Węgier oraz ich południowych sąsiadów przeciwko Niemcom. Nie chcąc zaś, i w obecnej sytuacji nie mogąc, przechodzić do obozu przeciwnienieckiego (gdyżby to Włochom związało ręce wobec mocarstw zachodnich), nie chce też polityka włoska blokować Niemiec według francuskiej koncepcji „zbiorowego bezpieczeństwa”. Stara się przeto znaleźć dla ekspansji Niemiec kierunki mniej dla Włoch drastyczne, możliwie takie, na których dynamika niemieckiego naporu mogłaby współdziałać z dążeniami ekspansyjnymi samej Italii. Na zachodzie kierunek taki prowadzi do kolonij zamorskich i tutaj solidarność włoskiej i niemieckiej racji stanu wobec Anglii i Francji sięga daleko. Na wschodzie Rzym usiłuje stale zwracać niemiecki napór ze szlaków południowych jak najdalej ku szlakom północnym.

Przed zaborem Austrii, gdy Włochy mogły jeszcze obstać przy swojej nad nią protekcji, powyższa zasadnicza tendencja polityki włoskiej wystawiała na sztych wobec Niemiec Czechy, a zwłaszcza Polskę, co się pokrywało z dawną Lloyd George'owską skłonnością Anglii. Po zaborze Austrii, który w zasadzie

przesądzał również zabór Czech, stała się Polska współ z Węgrami, w rachubie politycznej włoskiej, czynnikiem nieodzownym dla zmontowania bloku oporowego przeciwko dalszej południowo-wschodniej ekspansji Niemiec. Wypadało zatem, dopuszczalny z włoskiego stanowiska szlak tej ekspansji przesunąć jeszcze dalej na północ, na wybrzeża Bałtyku, stwarzając dostęp już nie na Ukrainę, lecz ku Rosji centralnej.

Stąd zrodziło się żywe zainteresowanie Italii sprawą litewską. W Rzymie sądzą niezawodnie, a w każdym razie życzą sobie, ażeby Litwa mogła się stać obiektem kompensacyjnym dla Niemiec, w zamian za granicę polsko-węgierską, oraz zabezpieczenie Małopolski wschodniej przed wielko-ukraińską ofensywą Niemiec, z Rusi Podkarpackiej.

Jest to zatem dążność odwrotna do tej, którą zdradzały pierwotnie Niemcy, występując z litewską swą dywersją wobec nas dla poparcia planów południowo-wschodnich. Wobec przeszkód lokalnych na jakie one natrafiły zwłaszcza w Rumunii, Italia zaczęła popierać myśl kompensaty nadbałtyckiej. Niezawodnie był to główny cel odwiedzin hr. Csaky w Berlinie oraz hr. Ciano w Budapeszcie. Niemcy zasadniczo nie uchylały się od tej koncepcji nawet w okresie stosunkowo wczesnym swego pierwszego szturmu na Kłajpedę. Pojawił się wtedy balon próbny niemiecki proponujący eksterytorialną autostradę przez Pomorze, *Anschluss* Kłajpedy oraz podział Litwy między Niemcami a Polską. Ta propozycja odrzucona została w wywiadzie prasowym przez p. min. Becka, po czym nastąpiło odnowienie paktu polsko-sowieckiego.

W chwili gdy piszę, Niemcy znajdują się w pełnej defensywie. Zaniepokojone wieścią o projektowanym przyjeździe do Warszawy szefa sowieckiej dyplomacji, Litwinowa, Niemcy postarały się go uprzedzić i częściowo choćby podreperować swój stosunek do Polski, rewizytą swego min. sprawiedliwości w Warszawie. Nie zostało im to odmówione, tytułem mało obowiązującej manifestacji, iż zasada polityki barierowej nie została jeszcze przez Polskę zarzucona. Min. Frank wygłosił toast dosyć rzewny i nie pozbawiony odcienia Kanossy. Jest to zrozumiałe, nie tylko ze względu na obecny odpór z jakim się Niemcy ze strony polskiej spotkały, lecz także wobec niedawnej przeszłości. Wszak całą swoją karierę międzynarodową okresu hitlerowskiego zawdzięczają Niemcy w pierwszym rzędzie polskiej polityce barierowej, która zdjęła mu z nad głowy miecz Damoklesa bloku wschodniego i zbiorowego bezpieczeństwa, zdjęła wersalskie pęta z rąk. Żywo musiał to Niemcom przypomnieć wznowiony pakt i odpór polsko-sowiecki.

W bezpośredniej konsekwencji takiego położenia pojawiły się ze strony niemieckiej nowe urzędowe balony próbne proponujące dla Kłajpedy rozwiązanie na sposób Gdańska, tj. faktyczną

hitleryzację przy formalnej niezawisłości od Rzeszy. Wysunięta została nawet myśl jakichś korektur linii granicznej polsko-niemieckiej, zapewne w chęci pochlebiaenia prestiżowi Polski i ułatwienie „zgdańszczenia” Kłajpedy.

Włosi upatrują tu nową sposobność okazania Niemcom sojuszniczej pomocy, a zarazem poparcia sprawy granicy polsko-węgierskiej. W tym celu zapewne wybiera się w odwiedziny do Warszawy hr. Ciano. Przede wszystkim jednak stara się wznowić pakt czterech, wiele w tym względzie licząc na oczekiwaną wymianę zdań w Rzymie między Mussolinim a Chamberlainem i Halifaxem. Gdyby Zachód okazał w tym kierunku skłonność, Niemcy zaś ze swej strony skłonność do oddania Węgrom Rusi Zakarpackiej, to mogłoby to wywrzeć pewien wpływ na nasze stanowisko w sprawie litewskiej, o ile pragnęlibyśmy uniknąć odosobnienia w jednostronnym *tête a tête* z Sowietami.

Nie jest to jednak jedyna ewentualność jaka się zarysowuje. Na drugim planie, ale dość już wyraźnie dała się zauważyć praca niemieckiej myśli politycznej w kierunku przystosowawczo-asekuracyjnym na wypadek gdyby pakt czterech nie dał się zrealizować. Wtedy, jako drugie zapasowe wyjście, które by pozwoliło osi rzymsko-berlińskiej uniknąć dławiących kleszczy zbiorowego bezpieczeństwa, daje się pomyśleć wznowienie przejściowego „rapallitańskiego kursu” osi z wiosny r. 1937.¹⁾ Obecnie wszakże i ta koncepcja podobnie jak pakt czterech musiałaby ulec przystosowaniu do nowych warunków. Musiałaby włączyć blok polskorumuńsko-węgierski, nawet rozszerzony na Bałkan, jako nieodzowny element równowagi pomiędzy Italią a Niemcami z jednej, Niemcami a Rosją z drugiej strony. Poza tym koncepcja ta urosłaby w kierunku dynamicznego rozwiązania kwestii ekspansji Niemiec i Włoch, podobnie jak pakt czterech, lecz w kierunku odwrotnym i bardziej obiecującym dla Rzymu. Gdy pakt czterech w nowej wersji prowadzi do wylądowania niemieckiego naporu przez Bałtyk na Rosję Północną, to nowo-rapallitański blok Wschodu, sprzymierzony z osią rzymsko-berlińską zmusza do odosobnienia Anglii i Francji wobec mocarstw osi. Ich ofensywa kolonialna zyskiwałaby wtedy widoki tym pomyślniejsze, że miałyby za sobą czynne poparcie Rosji w azjatyckiej części Bliskiego Wschodu oraz prawdopodobną, nawet życzliwą neutralność Ameryki. Leży bowiem w naturze zbliżenia polsko-rosyjskiego, iż zabezpieczając Rosję przed Niemcami od zachodu wzmacnia jej pozycję na Dalekim Wschodzie, wobec czego ułatwia zbliżenie rosyjsko-amerykańskie, jak to już miało miejsce po pierwszym pakcie nieagresji w r. 1932.

Zdaje się, że tę właśnie perspektywę stara się obecnie taktycznie wyzyskać oś rzymsko-bolszewicka wobec Zachodu. Gdy

¹⁾ Szczegóły w miesięcznych sprawozdaniach z tego okresu.

Italia goni za paktem czterech, który by Niemcy zwrócił przeciw Moskwie i przez to zabezpieczył od nich Anglię i Francję, to Niemcy próbują je znów niepokoić propozycjami kolonialnymi. W tej zaś dziedzinie pakt polsko-sowiecki, czy nawet blok wschodni sam przez się mniej by się nadawał jako gwarancja nie-tykalności zachodnich imperiów kolonialnych.

Mógłby taką rolę odgrywać tylko jako całość systemu bezpieczeństwa zbiorowego według recepty francuskiej. Ta właśnie koncepcja znajduje się obecnie na porządku dziennym i przeciwko niej, a na rzecz jednego z dwu rozwiązań rewizjonistycznych, zwracają się obecnie wysiłki mocarstw centralnych. Ta trzecia koncepcja jest najdostępniejsza i na bliższą metę najmniej ryzykowna dla ich przeciwników tak na zachodzie jak na wschodzie. Anglo-francuska ententa gotowa jest ją poprzeć z entuzjazmem. Ameryka również, ile że jak system neo-rapallitański tak też i koncepcja zbiorowego bezpieczeństwa wymaga zbliżenia polsko-sowieckiego i otwiera przed Moskwą drogę do obrony Chin przed Japonią, oraz do giełdy nowojorskiej. Nowa fala kapitalistycznej koniunktury dałaby się przy tym uruchomić bez trudu, włącznie z projektem van Zeelanda dla Niemiec. Kryzys gospodarczy zaglądający znów światu w oczy zostałby na czas pewien zażegnany. Budowa kapitalizmu nad Dunajem i nad Wisłą uzyskałaby nowe widoki. Prawdopodobnie nawet Stalinowska Rosja poddałaby się kapitalistycznej reakcji.

Nie sposób dziś przewidzieć, która z tych trzech koncepcji zwycięży. Zaznaczyć jednak trzeba, iż żadna z nich nie da się pogodzić z dotychczasową polską polityką bariery, podtrzymującej bierną, a zarazem wahadłową równowagę między Niemcami a Rosją. Mocą swej pozycji geopolitycznej Polsce przysługuje przywilej, tyleż zaszczytny co uciążliwy i niebezpieczny, bardzo ważkiego, bodaj rozstrzygającego głosu w wyborze jednej z trzech wyżej wymienionych dróg, na których rozstaju znalazł się obecnie świat.

Wielkie rozstrzygnięcia nie dadzą się już zbyt długo odwlekać.

Andrzej Prawdziec.

Ze świata filmu.

14 filmów polskich. — Literatura kuchennych schodów. — Grzechy filmu polskiego. — Zagadnienie etyczne *Granicy*. — Film amerykański. — System kontyngentowy. — Przegląd repertuaru.

W chwili gdy styczniowy numer *Przeglądu Powszechnego* dojdzie do rąk czytelnika, na ekranach warszawskich ukaże się już czternasty z kolei w bieżącym sezonie film polski. Oczywiście słowo polski należy tu rozumieć tylko jako oznaczające, że

film został w Polsce wyprodukowany i nagrany w polskim języku, wszystkie bowiem z dotychczas wyświetlonych nowych filmów krajowych były realizowane przez producentów żydowskich i, z nielicznymi wyjątkami, żydowskich reżyserów. O ile teatr i księgarstwo w Polsce ogarnięte są znacznymi wpływami żydowskimi, o tyle film, ów przysłowiowy „pokarm dla mas“, jest dosłownie wzięty w pacht przez Żydów.

Trudno się potem dziwić, że ci ludzie, niezwiązani ani z kulturą polską, ani z naszą narodową etyką, którą jest etyka chrześcijańska, dbają jedynie o kasę, nie troszcząc się ani o społeczny wpływ filmu, ani o podniesienie poziomu publiczności, ani też o problemy, jakimi dziś żyje Polska. Specyficzny dobór jednostek ludzkich sprawia, że film krajowy istnieje jakby na marginesie naszego życia narodowego i państwowego. Albo przerabia stare powieści, albo wprowadza na ekran współczesne powieści-dla-bulwarowe, gdzie motywem dominującym jest zawsze miłośćka, uwiedzenie, kradzież i zbrodnia.

Wobec rosnącego coraz bardziej wpływu filmu krajowego warto przyrzeć się bliżej jego tematyce i określić wyraźnie, jaki obraz życia ten film daje i czego uczy, jakie wytwarza nastroje. Zdajmy się przy wyborze filmów, mających służyć przykładami, na los przypadku. Jeżeli nawet przypadkowy dobór zestawu kolekcję banału i wątpliwej moralnie treści, będzie to tym bardziej wymowne.

W okresie świąt Bożego Narodzenia na ekrany warszawskie weszły cztery nowe filmy krajowej produkcji: *Serce matki* (wedł. powieści A. Marczyńskiego), *Rena* (wedł. powieści M. Romańskiego), *Moi rodzice rozwodzą się* (wedł. powieści Kamila Nordena), *Sygnali* (wedł. sztuki T. Kańskiego). Reżyserowali: M. Waszyński, M. Krawicz, J. Lejtes. Już sam fakt braku oryginalnych scenariuszy i korzystanie z przeróbek powieściowych świadczą o braku współpracy krajowego filmu z polską literaturą. Podczas gdy film francuski oparł się na wyraźnym kontakcie z ludźmi pióra i umiał pozyskać takich autorów jak: Pagnol, Achard, Deval, Sacha Guitry, u nas panuje wyraźny rozdział między sztuką, a tzw. branżą filmową. Poza Lejtesem i poza Spółdzielnią Autorów Filmowych nikt nie posiada jakichś ambicji artystycznych — ideałem producenta jest przenoszenie na ekran historyjek, złożonych z kombinacji trzech elementów: hrabiowska miłra, łóżko, trumna. Pierwsza zaspakaja potrzebę tła tzw. wyższych sfer, drugie — potrzeby sentymentalne i daje pożyteczne w bulwarowym dramacie nieślubne dziecko, trzecie — pozwala się wybeczeć do woli.

Tematów do naszego filmu dostarcza tzw. *Hintertreppenromanliteratur*. Powieści zaczytywane przez kucharki i przez różne rozpróżniane paniusie, hodujące psy i kochanków, a udające inteligencję, ściągają później do kina tę samą publiczność. Rów-

nocześnie publiczność bardziej wyrobiona stroni od polskiego filmu, uważając oglądanie nowej odmiany *Gehenny* za stratę czasu i pieniędzy. Wobec szczupłości rynku zbytu dla filmu z polskim dialogiem, jedynym sposobem uzyskania większych wpływów kasowych i, co zatem idzie, możliwości większych nakładów przy produkcji, jest zdobycie tej części widzów, która wobec krajowego filmu stosuje bierny opór. Ilekroć udawało się przełamać obojętność i nieufność, film przynosił dobre rezultaty finansowe. Charakterystyczne np., że *Dziewczęta z Nowolipek*, film artystyczny, okazały się kasowo lepsze od *Profesora Wilczura*, będącego dalszym ciągiem głośnego *Znachora*. Sukces kasowy *Ludzi za mgłą* francuskiego filmu psychologicznego (ideowo niestety nihilistyczny) również zdaje się wskazywać, że film wartościowy artystycznie znajduje i uznanie i powodzenie. Sedno rzeczy więc w tym, aby produkcja krajowa umiała zrealizować film popularny, jednak artystyczny.

I tu znów wracamy do sprawy tematu. Przemysł filmowy w Polsce zachowuje się tak, jakby pracował i zarabiał w państwie x. Nie szuka kontaktu ze społeczeństwem, nie dba o temat aktualny, związany z przeżyciami narodowymi. Czemuż nie realizują filmu, którego bohaterowie byłiby Ślązakami zza Olzy? Czemu nie mamy obrazu z życia polskiego marynarza na „Batorym”? Czemu Gdynia nie dała tła do historii polskiego selfmademana dorabiającego się na wybrzeżu. Producent filmowy nie dostrzega pracy KOP'u, interesującego środowiska sportowego zimowych wywczasów robotniczych, życia polskiej szkoły, uniwersytetu itp. Od zagadnień żywej współczesności woli dzieje dziewczyny napastowanej przez chutliwego dyrektora, od ludzi prawdziwych, zrośniętych z realnym tłem polskiego bytu, woli świat anonimowych arystokratów, dyrektorów, hochsztaplerów i detektywów. Zamiast siać optymizm, pokazywać przezwyciężanie trudności życiowych, demonstruje płakawe dramaty. Zamiast kształcić moralnie, hartować, zalewa rynek filmami, w których nieodzowna jest pijacka scena na dancingu.

Oto krótki przegląd treści czterech ostatnich filmów krajowych:

Serce matki. Romans żonatego człowieka. Nieślubne dziecko, adoptowane później przez żonę. Prawdziwa matka, wskutek intrygi, pozbawiona córeczki, przyjmuje posadę posługaczki w internacie, gdzie dziecko umieszczono. Oczywiście — po drodze mamy tradycyjne sceny, jak spacer po Łazienkach, zażawione spojrzenia rzucane na obce dzieci itd. Kiedy Jan dowiaduje się prawdy, postanawia rozejść się z żoną i ożenić z Marią. W chwili gdy grozi dramatyczny konflikt, Jan ginie w katastrofie samochodowej (*deus ex machina*, zmarnowanie nawiązanego wątku akcji). Obie kobiety wspólnie zaopiekowały się dzieckiem.

Rena. Bohaterka jest ekspedientką w domu towarowym. Oczywiście — utrzymuje staruszkę matkę. I nieodzowny w takich

wypadkach dyrektor-tyran prześladowuje Renę swymi względami, zmusza ją do przyścia do prywatnego mieszkania. Ofiara dla matki... Narzeczony Reny udaremnia jednak cały plan — przybywszy do domu dyrektora, żąda pozostawienia Reny w spokoju. Dyrektor ginie w zagadkowy sposób. Aresztowanie Janusza, podejrzanego o zabójstwo. Ojciec Janusza, znany prokurator, który dotąd przeciwstawiał się megalomaniom i swą intrygą pchnął pośrednio Renę w objęcia dyrektora-satyra, postanawia teraz zrzucić prokuratorską togę, wstąpić do palestry i bronić syna. I znów — gdy oczekujemy sceny kulminacyjnej, tj. procesu, nagle wszystko się wyjaśnia, Rena już mierzy ślubną sukienkę, koniec. Zmarnowanie akcji, przerwanie filmu właśnie wtedy, gdy mógł się na dobre rozpocząć.

Moi rodzice rozwodzą się. Dyrektor romansuje ze swą sekretarką, dyrektorowa ze znanym gwiazdorem filmowym. Przyłapaną przez męża decyduje się na rozwód. Mąż ze swej strony wprowadza do domu sekretarkę. Córeczka dyrektorstwa, Stasia, tuła się po internatach, obcych domach itp., aż wreszcie jej zamach samobójczy otwiera oczy zaślepionym ludziom. Nad łóżkiem chorej córki rodzice postanowili, dla dobra dziecka, nie rozłączać się.

Sygnaty. Pierwsza część filmu jest sensacyjną powieścią. Para aferzystów. Młoda dziewczyna w szponach kryminalisty działa, jako jego bezwolne narzędzie. Kradzież kolii brylantowej w kasynie gry w Casablanca. Ucieczka statkiem. Katastrofa. Dziewczyna uratowana przez polskiego latarnika. Odtąd — film psychologiczny. Przemiana dziewczyny-złodziejki w uczciwą kobietę. Miłość samotnika z morskiej latarni.

W sumie są to tematy typowych powieści bulwarowych, z pewnym wyjątkiem na rzecz psychologizującej części filmu Lejtesa. Nic tu nie łączy filmu ze współczesnością polską, a moralizatorskie zakończenia, to tylko koncesja dla cenzury filmowej, nie zmieniająca samej atmosfery obrazu, streszczającej się w słowie: nielegalność, występki. Albo występna miłość, albo rozbijanie ogniska rodzinnego, albo usiłowanie gwałtu, zmuszanie do nierzędu, albo — kradzież. Nawet temat o treści pozornie niemoralnej może oddziaływać pożytecznie, jeżeli nad obrazem amoralnego środowiska będą górować oczyszczające duszę konflikty. Tymczasem film „kuchennych schodów” starannie unika prawdziwego konfliktu etycznego, tam gdzie trzeba już koniecznie — notuje go w grubym skrócie, poza tym zaś kładzie nacisk na streszczanie wypadków, na — po szkolarsku rozumiane — posuwanie akcji.

Wulgarne tematy, pozbawione nasilenia dramatycznego, niezdolne wzruszać, są nadto podane w sposób wyraźnie nieudolny. Zamiast by scenariusz opracowali ludzie, mający pojęcie o wymaganiach utworu artystycznego, o prawach teatru, nikomu nie znani

przerabiacze układają porządek scen, marnując możliwe do wygrania efekty. Do tego przybywa jeszcze pospolitość dialogu wraz z błędami językowymi. I jakże taki film ma się podobać, jakże tu mówić o zdobywaniu publiczności, gdy trzeba przecież wątpić w to, by Waksberg-Waszyński orientował się w znaczeniu pojawienia się nowego wątku akcji itp. kwestiach.

W *Renie*, filmie reżyserowanym przez Waszyńskiego, jedna z głównych ról jest całkowicie zbyteczna, postać nie wpływa na bieg wypadków, choć zajmuje chyba około czwartej części metrażu taśmy... Jest to elementarz, ale okazuje się, że tu nawet i elementarza nie znają...

Obok niezdarnych scenarzystów i niewykształconych artystycznie reżyserów inną klęską naszego krajowego filmu są próby humoru. Wpadają one z reguły w błazenadę, w przesadę niesmaczną i życiowo nieprawdopodobną. Któż np. uwierzy w sklepowego subiekta, który stoi za ladą, trzymając wciąż na ramieniu swą ulubioną wychowanicę — tresowaną małpkę? Komuż nie wyda się sztuczna i nonsensowna arystokratyczna para z filmu Lejtesa *Sygnali*? Dowcip produkowanego w Polsce filmu jest niedyskretny, nahałny, trywialny — nie zadowoli się aluzją, dąży do wyłożenia rzeczy na stół, przez co dochodzi do kategorii żartów cyrkowego kłowna. Nic dziwnego — łatwo dowcipkować, trudno dać szczery humor. Dowcip żydowski bawi Polaka przez swą obcość, przez inność żydowskiej psychiki, odsłoniętą i podkreśloną nagle w żarcie (teza J. E. Skińskiego) — jakże autorzy szmoncesów mają podrobić polski humor?

Na koniec — dodatkową przyczyną nudy jest zrutyinizowanie aktorskie. Film nie szuka u nas „nowych twarzy”, posługuje się gotową kadrą aktorską stołecznych teatrów. W rezultacie w trzech spośród czterech nowych filmów występuje K. Junosza-Stępowski, wzór poprawności i powściągliwości gry. W dwóch widzimy Angel-Engelównę (zupełne nieporozumienie!) Lolę Niemirzanekę, Inę Benitę, M. Cybulskiego, Buczyńską (bardzo dobry nabytek dla filmu) i innych.

Ostateczny bilans? Stosunkowo najznośniejszy, dzięki poprawności reżyserkiej Krawicza, starannie przygotowanemu scenariuszowi i dużej roli J. Andrzejewskiej (Stasia), jest film *Moi rodzice rozwodzą się*. W całości tych obrazów, które od września przeszły przez ekrany można wyróżnić: *Sfrachy* za poziom techniczny, *Profesora Wilczura* jako niezły film popularny i *Granicę* Lejtesa, jako jedyny film z poważnym problemem etycznym, zrealizowany starannie i starannie zagrany. Przeróbkę filmową powieści Nałkowskiej sygnalizowaliśmy już w poprzednim *Przeglądzie*, do obecnego numeru odkładając obszerniejsze omówienie jej atmosfery etycznej. Może ona służyć za przykład tego, co film krajowy może dać w swej najlepszej postaci. Treść tej głośnej książki jest zbyt znana, by ją tu przypominać. Dość wspomnieć,

że cień Justynki Bogutówny zawisł nad całym życiem Zenona i Elżbiety. Kiedy po krachu budowlanym, publicznej kompromitacji, obłąkana Justynka wypala Zenonowi oczy, Zenon kończy życie strzałem samobójczym. Ten finał jest jego ostatecznym moralnym rozrachunkiem. Zrozumiawszy, że nie ucieknie przed karą za los Bogutówny, Zenon postanowił tę karę niejako sam sobie wymierzyć.

Mimo niezgodnego z etyką katolicką rozwiązania, pełnego okrucieństwa nieubłaganego fatum, film działa etycznie, kładąc nacisk na odpowiedzialność, jaką winien człowiek przyjmować za każdy swój czyn i z jaką powinien się liczyć w każdym działaniu. Jest to jednak — co widać przy bliższym zastanowieniu — system etyczny Starego Testamentu. Zenon ginie zgodnie z zasadą „oko za oko, ząb za ząb”, nie mogąc znaleźć żadnego innego wyjścia z koła udręki. Nie ma tu słowa przebaczenia, w obrachunku z życiem nie bierze się pod uwagę poza ziemskiej przyszłości, mogącej przynieść ostateczne wyrównanie i miłosierdzie. Zenon, uznając słuszność kary, równocześnie nie miał siły podjąć jej w całej rozciągłości — nie umiał znaleźć pogodzenia z losem i nie umiał naprawiać wyrządzonych krzywd, żyjąc dalej jako człowiek ślepy. *Granica* uczy o winie i karze, ale karze bezwzględnej przez swój brak litości. Bóg jest tu poza granicą, dlatego też etyczne działanie filmu nie ma charakteru konstruktywnego. Zjawia się, jak straszak piekła i robi wrażenie etyki takiej, która by wzywała do prawości z samego tylko lęku przed odpowiedzialnością i karą, a nie z ambicji ideału, jaką jest w człowieku sumienie, i z miłości Boga i ludzi. Filozofia *Granicy* nie jest filozofią chrześcijańską, lecz światopoglądem materialistycznym. Ten wynik ogarnia swoim światnictwem całość naszego filmu i nasuwa prosty wniosek: tylko film z ducha chrześcijański potrafi działać krzepiąco i prawdziwie pożytecznie. Sprawiedliwość Boska tym różni się od sprawiedliwości ludzkiej, że w swej absolutnej doskonałości nie pozostawia miejsca na gorycz i smutek.

W pewnej mierze od niekorzystnego szablonu krajowego filmu stara się uwolnić komedia *Zapomniana melodia* z Grossówną, Żabczyńskim, Zniczem i Fertnerem w głównych rolach. Tematem tej filmowej farsy są przygody nauczyciela internatu dla panienek, który wbrew własnej woli został zamieszany w historię flirtu z kabaretową artystką. Znamy już Znicza w rolach tego typu i wiemy, że stworzy zawsze komiczny typ przerażonego pocziwca. Ta akcja łączy się z przygodami zakochanej pary: Żabczyński-Grossówna i z kłopotami fabrykanta, który zgubił sekret swego wynalazku. Intencje realizatorów zostały tylko częściowo spełnione: film ma sporo swobody i humoru, ale jaskrawość gry Fertnera, nieudany występ Żeliskiej i dość trywialny motyw awantury w kabarecie nie pozwalają mu całkowicie stać się sympa-

tyczną, pogodną komedijką. W scenariuszu, jak i w reżyserii sporo wad. Widmo nieudanej groteski zjawia się i tutaj.

Z filmów produkcji amerykańskiej na pierwsze miejsce wysuwa się *Brawura* (Metro), film lotniczy grany w kinie *Roma*, oraz *Indie mówią...* film produkcji angielsko-amerykańskiej, wyświetlany w *Światowidzie*. *Brawura*, nosząca w oryginale tytuł *Test pilot* miała być w założeniu, filmem psychologicznym, oddającym trudność współżycia małżeńskiego z człowiekiem, którego szarpiący nerwy zawód oblatywacza nowych typów samolotów niemal ciągle naraża na śmierć. Niewłaściwa obsada głównej roli kobiecej (Myrna Loy) sprawiła, że strona psychologiczna zawiodła i pozostały tylko efektowne zdjęcia lotnicze. Mimo to i mimo, że scenariusz obfituje i w nieprawdopodobieństwa i w dość naiwne uproszczenia, film można obejrzeć — posiada on akcję żywo przeprowadzoną, dobrą grę Spencera Tracy. Clark Gable w roli pierwszoplanowej jest znacznie słabszy, Myrna Loy nie wyszła poza pozowanie z wdzięczną miną przed obiektywem. Twarzyczka lalkowata nic nie wyraża.

Indie mówią, film reżyserii Al. Kordy, odtwarzający epizod z angielskiego podboju pogranicza Afganistanu, jest filmem o podłożu propagandowym. Anglicy starają się dać obraz dzielności swego żołnierza, głębokiego patriotyzmu szkockiego pułku, który wszędzie ze sobą zabiera niejako ojczyznę, zabierając jej pieśni i zwyczaje. Wreszcie — pokazują typ „człowieka imperium”, zdyscyplinowanego bojownika o potęgę i sławę W. Brytanii, pełnego gentlemana, sługi narodu, ucieleśnionego w osobie króla.

Ciekawe, jak to się stało, że amerykańska wytwórnia sławi angielski imperializm? Jest to pośredni skutek bardzo zrzęcznie pomyślanej ustawy, zmuszającej amerykańskie koncerny filmowe do realizowania filmów w londyńskich atelier. Mianowicie w obrobie angielskiego przemysłu filmowego, nad którym film amerykański miał szaloną przewagę dając obrazy nagrane w tym samym języku, wprowadzono tzw. filmy kontyngentowe, nakładając na każdą zagraniczną wytwórnę, wprowadzającą swe filmy na rynek angielski (a jest to, łącznie z Indiami, rynek olbrzymi!) obowiązek nakręcania w stosunku proporcjonalnym odpowiedniej ilości filmów w Anglii. Ostatnia nowela do ustawy postanawia, że film amerykański, realizowany w Anglii, musi mieć na samą robociznę (łącznie z gażami artystów) budżet 7,500 funtów szterlingów. Zmusza to firmy amerykańskie do produkowania filmów dość kosztownych. Dbają więc Amerykanie, aby nie dawać filmowemu szmelcu, lecz przeciwnie — na obowiązku, traktowanym z początku jako uciążliwy haracz — robić dobre interesy. I na ogół — rzecz się udaje! Amerykański koncern osiąga zysk, angielski artysta, reżyser, technik otrzymują pracę, kapitał zostaje w Anglii, a w świat idzie film o brytyjskich walorach propagandowych. W ten właśnie sposób powstały obrazy tego ro-

dzaju, co *Indie mówią...* Wkrótce zobaczymy *60 lat chwały*, film wytwórni RKO o panowaniu królowej Wiktorii z Anną Neagle i Herbertem Wilcoxem, oraz film produkcji Metra, zakupiony już przez kino *Roma*, pod tyt. *A Yank at Oxford* z R. Taylorem. Temat — komedia z życia studentów w słynnym Oxfordzie.

Sposób okazał się dobry. Zadowoleni są wszyscy, atelier zaś w Denham i Pinewood pracują bez przerwy. Może by i u nas tak spróbować? Aktorów mamy nie tyle jakich, brak nam zaś kapitału, reżyserów i personelu technicznego. Współpraca mogłaby przynieść obu stronom poważne korzyści.

Jeśli idzie o pozostałe filmy amerykańskie, jakie w ciągu grudnia przeszły przez warszawskie ekrany, to można polecić obraz *Wszędzie kobieta* (Joan Blondell) jako niezły film sensacyjny; film z czasów „zdobywania Ameryki” — *Batalię nieustraszonych* zaliczyć do obrazów średnich, podobnie jak i film bokser-ski *Tłum szaleje* z R. Taylorem. Ostrzegam natomiast przed komedią *Wesoło żyjemy* o zupełnie obcym dla nas typie humoru.

Filmów francuskich byłoby trzy średniej klasy *Jastrząb* (wedł. sztuki Francis de Croisset’a, z Ch. Boyerem) i *Niebezpieczna kobieta* (z Viviane Romance i Tino Rossi) oraz wręcz skandaliczna farsa *Małżeństwo z przeszkodami*, zmajstrowana z trywialnych dowcipów na temat młodego żonkosia. Dziwne, że ta bezwstydną bzdura przemknęła się przez cenzurę.

Filmów niemieckich — dwa. Bardzo poprawne. Mało oryginalne, chłodne w ujęciu, lecz niesłychanie staranne. *Wędrowny naród*, szeroko reklamowany film z życia ludzi cyrku, zrealizowany przy współpracy francuskiej. Reżyserem był Jacques Feyder, twórca świetnego obrazu *Kobiety zwyciężyły*. W jednej z głównych ról wybitna artystka francuska — Françoise Rosay. Warto zobaczyć. Drugi film, *Nasza czwórka* komedia obyczajowa z życia młodych dziewcząt jest przyjemną opowieścią o czterech młodych kobietkach, dzielnie walczących z życiem. Tendencja: małżeństwo jest naturalnym celem każdej kobiety — przeprowadzona swobodnie, w sposób naturalny, bez moralizatorstwa. Znów wzór filmu propagandowego. Dobra obsada, uroczna Szwedka Ingrid Bergman na czele zespołu. Warto zobaczyć — będzie to przyjemny wieczór kinowy.

Na zakończenie — zapowiedź filmów, jakich już nie sposób było obejrzeć przed oddaniem *Przeglądu* do druku, a które niewątpliwie warto będzie widzieć. Są to trzy reprezentacyjne obrazy produkcji Metra, Foxa i kinematografii francuskiej: *Maria Antonina* — wielki film historyczny, *Chicago* — ze sceną olbrzymiego pożaru, jaki strawił to miasto, *Pola Elizejskie* — nowy obraz Sachy Guitry, twórcy *Romansu szulera* i *Perła korony*, filmów tworzących nowe drogi kinematografii.

Zdzisław Broncel

Z ideologii i historii Międzynarodówek.

Mówiąc o Międzynarodówkach, łączymy je prawie zawsze i utożsamiamy z organizacjami socjalistycznymi i komunistycznymi. Te bowiem są najbardziej jawne i liczebne. Nikt jednak nie wątpi dziś poważnie, że istnieją ponadto stowarzyszenia o charakterze ściśle międzynarodowym, takież ideologii, a organizacji bardziej tajemnej i mafijnej. Nie będziemy jednak poruszać tego zagadnienia.

Międzynarodówka nazywamy organizację, która i cele posiada bardziej powszechne, ogólne, międzynarodowe, stara się również do szeregów swych wciągnąć obywateli z wszystkich możliwie krajów.¹⁾ Najbardziej więc określenie to stosuje się do socjalistów i komunistów. Ci bowiem obok dążeń do zrealizowania swego programu, zniesienia własności prywatnej, lub choćby upaństwowienia środków produkcji, zagarnięcia władzy w ręce proletariatu z równoczesnym usunięciem i wytypowaniem dotychczasowych posiadaczy, chcieliby ponadto podzielić w sposób zupełnie sztuczny całą ludzkość na dwie klasy: pracujący proletariatu i burżuazję, unicestwić też granice państwowe i kulturalne. Ten właśnie bezpośredni program komunistów, a w konsekwencji i socjalistów przeprowadzają Międzynarodówki. Liczymy ich obecnie — przyjętym zwyczajem — cztery, nie uwzględniając Międzynarodówki wiedeńskiej, socjalistycznej, tzw. 2^{1/2}, która zresztą nie cieszyła się długim żywotem.

Charakterystykę całej tej serii trzeba zacząć od I Międzynarodówki komunistycznej, kierowanej osobiście przez Marxa. On to bowiem pierwszy na kontynencie europejskim rzucił ideę i zapoczątkował organizowanie związków robotniczych w międzynarodowe zrzeszenia w myśl naczelnego hasła „Manifestu Komunistycznego”: Proletariusze wszystkich krajów łączcie się.

W roku wydania Manifestu Komunistycznego (1848) tworzy Marx wspólnie z Engelsem „Związek Komunistyczny” (*Ligue des Communistes*). Choć początkowo skromny liczebnie, ale przez swe zdecydowane żądania, demagogię, wygórowane obietnice ścigał do siebie rzesze ciężko pracujących robotników fabrycznych, aż za często niestety wyzyskiwanych przez nieludzkich kapitalistów owego stulecia. Marx bowiem uzależniał osiągnięcie świetlanej przyszłości od rozwoju związków zawodowych robotniczych według programu, nakreślonego w Manifestie. Sam jednak „Związek Komunistyczny” nie potrafił rozrósć się w organizację międzynarodową. Po kilku latach pracy i przygotowań rzeczywista już Międzynarodówkę powołano do życia 28 września na zjeździe w Londynie w 1868 r. Na początek weszły w jej skład delegacje

¹⁾ Cfr. *Biuletyn Informacyjny*, Prawda o kumunizmie. Nr 50. Warszawa 1938.

robotników francuskich, niemieckich, włoskich i angielskich. Tytuł jej oficjalny brzmiał: *Association Ouvrière Internationale*.

Zadania owej I Międzynarodówki komunistycznej tak lapidarnie ujął Karol Kautsky, bliski współpracownik Karola Mordachaja Marxa, zmarły niedawno w Amsterdamie:

...zgrupowanie wszystkich sił proletariatu we wspólnej i niezależnej akcji, wolnej od wszelkiej idei i polityki burżuazyjnej, z ostatecznym celem wywłaszczenia kapitału i zagarnięcia dla proletariatu wszelkich dóbr politycznych i ekonomicznych, będących w posiadaniu klas rządzących.

Oficjalny statut wypracował jeszcze tego samego roku sam Marx i przedstawił go do przyjęcia. W myśl niego mają się łączyć robotnicy w poszczególnych krajach w związki zawodowe dla wykształcenia socjalistycznego, dla zdobycia bardziej decydujących wpływów i skuteczniejszej walki z burżuazją. W następnym już roku potworzono w łonie Międzynarodówki sekcje: francuską, niemiecką, włoską i angielską.

Równolegle do krzepnięcia wewnętrznej struktury oraz coraz wyraźniejszego krystalizowania się ideologii M-ki, postępuje jej zasięg liczbowy. Na pierwszy Kongres do Genewy przybyły już delegacje 25 sekcji i zgodnie przyjęły statut oraz wnioski, oświadczenie wypracowane przez Marxa. Następne jednak zjazdy nie były widownią takiej jednomyślności. Z jednej bowiem strony do głosu zaczęły dochodzić zwolennicy Proudhon'a i kierunku bardziej umiarkowanego (tak było np. na kongresie II-im w Lozannie 1867), to znowu ruchliwi anarchiści z pod znaku rosyjskiego terrorysty Bakunina, chcieli zepchnąć Międzynarodówkę na drogę ściśle konspiracyjnej działalności. Do obalenia istniejących reżimów dążyli wyłącznie metodami krwawej rewolucji. „Idealnym ustrojem” miała być powszechna anarchia, a nie dyktatura, chociażby proletariatu.

Trzeba jednak przyznać, że Międzynarodówka przewyciężyła te wewnętrzne trudności. Bakunin doczekał się potępienia na III Kongresie w Brukseli w 1868 r. i powtórnie w 1870. Tak samo postąpiono ze zwolennikami kierunku bardziej umiarkowanego. Na Kongresie bazylejskim w r. 1869 przegłosowano ich zdecydowanie. Na całej linii zwyciężył kierunek radykalny. Proudhoniści stracili wpływ i zasięg liczbowy. Mniej już szczęśliwie układały się stosunki Międzynarodówki odnośnie do istniejących reżimów. Do zatargów dochodziło najczęściej na tle strajków, jakie Międzynarodówka gorliwie i gdzie się tylko dało popierała, nie wyłączając nawet czynnych wystąpień przeciw wojsku.

Za pierwszą zapowiedź upadku Międzynarodówki możemy słusznie uważać rozwiązanie sekcji francuskiej przez rząd Napoleona III. Kiedy natomiast Międzynarodówka zaangażowała się b. czynnie w Komunię Paryską, owszem Engels ogłosił, że „Komuna była intelektualnym produktem Międzynarodówki” i pierw-

szą próbą proletariatu, zmierzającą do zdobycia władzy politycznej, to tym samym los jej został przesądzony. Zabroniona w szeregu państw na kontynencie europejskim, przenosi swe kierownictwo do N.-Jorku, aż wreszcie konferencja filadelfijska w r. 1872 ogłasza jej rozwiązanie.

Choć rozwiązano organizację, pozostali jednak komuniści, owiani ideologią Manifestu i przekonani, że na tych samych drogach da się osiągnąć owocniejsze wyniki, trzeba jedynie odczekać, aż przeminie zła jej opinia po ostatnich wystąpieniach. Cicha praca uświadamiania trwała aż do r. 1889, tj. lat 13. W tym roku postanowiły delegacje socjalistycznych partij utworzyć powtórnie międzynarodową organizację dla tym intensywniejszej obrony interesów proletariatu. Dzień 1 maja zgodzono się raz na zawsze i na całym świecie czcić strajkiem i demonstracyjnym pochodem dla zamanifestowania solidarności klasy pracującej i święta socjalizmu. Ideologia ta znalazła uznanie na zwołanym w następstwie Kongresie w Zurychu w 1893 r., gdzie postanowiono „zjednoczyć wszystkie robotnicze związki zawodowe, jak również te partie i organizacje socjalistyczne, które uznają potrzebę powstania jednej organizacji robotniczej i politycznej”. Anarchistów z góry wykluczono. Powzięto uchwałę, że „narzuca się konieczność akcji politycznej” i że „forma walki ekonomicznej i politycznej ma być określona warunkami poszczególnych narodów”, lecz, że „należy stawiać na pierwszym miejscu rewolucyjny cel ruchu socjalistycznego”.

Następne zjazdy ograniczały się do zatwierdzania poprzednich uchwał (Londyn 1896 r.) lub też częściowego rozszerzania ram organizacyjnych. Tak np. w 1900 r. w Paryżu zdecydowano utworzyć stały międzynarodowy komitet dla „wprowadzenia w czyn uchwał międzynarodowych kongresów”. Został też tam uchwalony słynny wniosek Kautsky'ego, podkreślający, że „zdobycie przez proletariat władzy politycznej nie może być przeprowadzone drogą nagłego zamachu, lecz powinno być wynikiem długiej i uciążliwej pracy organizacji proletariackich”. Również na tym samym kongresie uchwalono, że „walka klas zabrania sojuszków i porozumień z jakąkolwiek frakcją klasy kapitalistycznej”.

Takie były początki organizowania się II Międzynarodówki, zwanej powszechnie socjalistyczną. Właśnie przytoczone powyżej słowa K. Kautsky'ego tłumaczą nam słuszność owej nazwy. Program jej i organizacja różnią się też w znacznym stopniu od dawnej I Międzynarodówki i obecnej III-ej, Kominternu. Ryssem najbardziej może charakterystycznym jest jej antagonizm klasowy, jako źródło i pobudka do nieustępliwej walki z przedstawicielami wielkiego kapitału. „Wyznania wiary” jednolitego czy powszechnie obowiązującego socjaliści nie posiadają. Zorganizowana na zasadzie decentralizacji, pozostawia sekcjom krajowym

dużo swobody programowej i taktycznej. One same mają wybrać drogę skuteczną najowocniejszej walki o zdobycie wpływów na rządy. Nawet w jednym i tym samym kraju mogą pozostawać i działać równorzędnie kilka sekcji socjalistycznych o różnych częściowo programach i odmiennej strategii. Przykładem takiej autonomii światopoglądowej jest socjalizm przedwojenny w Polsce o ideologii wybitnie narodowej w porównaniu np. z socjalizmem rosyjskim czy niemieckim. Obecna też rzeczywistość nie odbiega daleko od tamtych wzorów. Angielska np. sekcja nosi niewątpliwie wiele odmiennych cech, jakich np. nie spotykamy we Francji.

Łącznikami ideowymi i organizacyjnymi, przy całej tej rozbieżności, były kongresy i Komitet Wykonawczy. Właśnie kongresy rzucają nam wiele światła na prawdziwe oblicze socjalizmu. Niejednokrotnie przyjmowano na nich za swój program naukę Marxa w całej rozciągłości, a więc łącznie z kolektywizmem i nacjonalizacją wszelkiej własności prywatnej, a przynajmniej środków produkcji. Wspólni poprzednicy, podobna ideologia i cele, umożliwiały na przestrzeni historii współpracę federacji socjalistycznych z partią komunistyczną. Obecnie taką wspólną platformę działania znaleziono w walce z faszyzmem, w organizowaniu frontu demokratycznego, obronie demokracji, pokojowości międzypaństwowej i międzynarodowej.

Właśnie ta ostatnia cecha wprowadza nas w dalsze dzieje socjalizmu. Koncepcja pacyfizmu istniała wśród socjalistów i przed wojną. Jeszcze bowiem w r. 1907 na Kongresie w Stuttgarcie przyjęto wniosek, kategorycznie potępiający wszelkie rozgrywki z bronią w ręku między dwoma politycznymi przeciwnikami. „Socjalistyczna międzynarodowa solidarność” miała zapobiec w przyszłości rozlewowi krwi i przyprowadzić zbyt popędliwych dyplomatów do porządku, by nie tak pochopnie szafowali życiem i zdrowiem proletariussy. Na kilkanaście dni przed wybuchem wojny światowej uchwalili nawet socjaliści francuscy zbrojotować ewentualną mobilizację i zalecili pozostałym sekcjom podobne rewolucyjne wystąpienie. Próba trwałości przekonań szybciej nastąpiła niż się spodziewano. Tak reklamowana „pokojowość” nie znalazła najpierw uznania w Niemczech. Kiedy już mobilizację ogłoszono, socjaliści pochwycili z entuzjazmem za broń, nie protestowali przeciw nadużyciom w Belgii, owszem ogłosili nawet „zastępczy program wojenny”, zawieszając czasowo hasła walki klasowej i proklamując ostateczne rozprawienie się z Francją. W innych krajach postąpiono podobnie, wyraźnie przekreślając w ten sposób mīt solidarności socjalistycznej i dając nowy przykład niestałości przekonań proletariatu.

Za rozbiciem ideowym poszło organizacyjne. Komitet Wykonawczy Międzynarodówki, tzw. Międzynarodowe Biuro Socjalistyczne przenieść się musiało z Brukseli do Hagi, a przewodniczący Vanderwelde-Speier poniechał opozycji i wstąpił do rządu

belgijskiego. Pod koniec wojny socjalizm był do tego stopnia skłócony i rozbity, że prawdopodobnie nie potrafiłby stworzyć jakiejś nowej organizacji międzynarodowej, gdyby na horyzoncie nie ukazali się bolszewicy. Obawa przed masowym przystąpieniem socjalistycznych zawodowych związków do III Międzynarodówki komunistycznej, świeżo zorganizowanej na terenie ZSSR, pobudziła socjalistyczną sekcję polityczną, ocalałą z pogromu II Międzynarodówki, do podjęcia prób nad wskrzeszeniem jej do ponownego życia. W lutym 1919 r., zjechały się w tym celu do Berna przedstawicielstwa partij socjalistycznych 26-u narodów. Niektóre kraje odmówiły w ogóle wzięcia udziału, byle tylko nie zetknąć się ze znienawidzonymi Niemcami, sprawcami wszechświatowej wojny. Inna znów grupa (socj. austriacki Adler i Francuz Longuet) nie dopuścili już na samym Kongresie do jakiegokolwiek krytyki bolszewickiego ustroju. Zasadnicze porozumienie jednak osiągnięto i wyznaczono na rok 1920 wielki Kongres do Genewy dla ostatecznego ukonstytuowania się. Tam też powołano uroczystie II Międzynarodówkę do powtórnego życia i działalności. Siedzibą miał być Londyn, sekretariaty zaś pozostać w Brukseli.

Oprócz co tylko omówionej Międzynarodówki, której tytuł oficjalny brzmi: *Internationale Ouvrière Socialiste* — I. O. S.: „Międzynarodówka Robotnicza Socjalistyczna“, a która jest tylko sekcją polityczną całego socjalizmu, rozróżniamy ponadto kilka innych sekcji, również międzynarodowych, z pierwszą tj. sekcją polityczną ściśle związanych programowo i organizacyjnie. Na pierwszym miejscu należy wymienić sekcję zawodową, najbardziej spośród innych wpływową, owszem ostoję całego ruchu socjalistycznego. Jest to: Międzynarodowa Federacja Związków Zawodowych (*Fédération Syndicale Internationale* — F. S. I.; — nosi ona też nazwę Międzynarodówki Amsterdamskiej, gdyż właśnie w tym mieście w r. 1901 powołano ją do życia. F. S. I. wzoruje się na sekcji politycznej i nie narzuca sekcjom poszczególnych krajów ni rozkazów, ni konkretnych posunięć, zadowolając się taktyką łączenia i uzgadniania. Skorzystali z tej sprzyjającej okoliczności komuniści, zwłaszcza od 1935 r. i gwałtownie poczęli przenikać organizację swymi adeptami. Przykładem klasycznym tej podstępnej roboty i zlania się formalnego dwu partij o różnych ideologiach to francuskie *Confédération Générale du Travail* (C. G. T.). Powstała ona właśnie z socjalistycznej *Section Française de l'Internationale Ouvrière* — S. F. I. O. oraz z komunistycznej *Confédération Générale du Travail Unifiée* (C. G. T. U.). Wprawdzie z imienia zwyciężyli socjaliści, lecz działalność samej C. G. T. wskazuje bezsprzecznie na przewagę pierwiastka komunistycznego.

Jak każda dbająca o swój rozwój organizacja, zwrócili i socjaliści większą uwagę na młodzież. Stworzono dla niej osobną Socjalistyczną Międzynarodówkę Młodzieży w 1907 r.

w Stuttgarcie, Komitet jej, na czele którego widzieliśmy Karola Liebknechta, Rolanda Holsta, Albera, spajał pod jedną dyrektywą poszczególne sekcje, wszczepiał w nie najbardziej skrajne i rewolucyjne poglądy. Nic zatem dziwnego, że po wielu wahaniach się i załamaniach znaczna część młodzieży odpadła w 1919 r. do Komunistycznej Międzynarodówki Młodzieży (K. I. M.). Pozostała część zmieniała kilkakrotnie nazwę i kierunek, aż w 1923 r. na zjeździe w Hamburgu przemianowano ją na „Międzynarodówkę Młodzieży Proletariackiej” pod kierunkiem Ollenhauera. W naszym kraju sekcją Międzynarodówki młodzieżowej jest T. U. R. i Czerwone Harcerstwo, dość silnie skomunizowane.

Trzecią z poważniejszych sekcji międzynarodowego ruchu socjalistycznego to Lucerneńska Międzynarodówka, czyli Międzynarodówka Sportowa, grupująca młodzież organizacji sportowych robotniczych.

Jak już wyżej wspomniałem, w 1919 r. w Bernie socjalista austriacki Adler i francuski Longuet zajęli stanowisko opozycyjne i poddali ostrej krytyce dotychczasowe osiągnięcia i trwałość ideologii II Międzynarodówki. Niedługo potem, bo jesienią 1920 r. założyli w Wiedniu ci przywódcy nową Międzynarodówkę, tzw. Międzynarodówkę 2¹/₃, do której weszli niemieccy Niezależni, Austriacy, angielska *Independent Labour Party*, czesko-niemiecka i szwajcarska frakcja. Chcieli oni, jak to wyraził Adler, pomijając oportunistyczny reformizm (socjaliści II Międzynarodówki) i moskiewski terror, stworzyć nową międzynarodową organizację o szerokiej autonomii dla poszczególnych krajów. Lecz już wkrótce ideologia ułamkowej Międzynarodówki rozplynęła się w Kominternie lub czystym socjalizmie.

Jeśli socjalizm nie przekraczał w swej działalności granic umiarkowania i oględności, to III Międzynarodówka, zwana też Kominternem (*Kommunistischesj Internacjonal*) wykazała wśród wszystkich innych międzynarodówek największy dynamizm i radykalizm w urzeczywistnianiu społecznej nauki Marxa. Rodowód swój ona sama tak wyprowadza:

Komunistyczna międzynarodówka... uważa siebie za historyczną spadkobierczynię „Związku komunistów” i Pierwszej Międzynarodówki, znajdującej się pod bezpośrednim kierownictwem Marxa, i za spadkobierczynię najlepszych przedwojennych tradycji Drugiej Międzynarodówki.

Pierwsza Międzynarodówka założyła ideowe podstawy międzynarodowej proletariackiej walki o socjalizm. Druga Międzynarodówka w swoich lepszych czasach przygotowała grunt do szerokiego i masowego rozpowszechnienia ruchu robotniczego. Trzecia, komunistyczna Międzynarodówka, prowadząc dalej dzieło Pierwszej Międzynarodówki i przejmując owoce Drugiej Międzynarodówki... zaczęła urzeczywistniać dyktaturę proletariatu.¹⁾

¹⁾ Program i statut Komunistycznej Międzynarodówki, str. 8 — 9, Partizdat CK. WKP. (b), Moskwa 1936, wyd. w jęz. rosyjskim.

Dla lepszego zdania sobie sprawy z organizacji III Międzynarodówki cofnąć się musimy do samych początków komunistycznego ruchu rosyjskiego. Twórcą jego to Włodzimierz Uljanow (pseud. Lenin) reprezentant maksymalizmu w łonie socjalistycznej partii rosyjskiej. On to na zjeździe w Londynie w 1903 rozbił socjaldemokrację na bolszewików (*bolsze* = więcej), gdyż zdobył większość, oraz mniešzewików (*miešsze* = mniej). Bolszewicy dążyli do natychmiastowego, rewolucyjnego opanowania władzy drogą zbrojnego buntu, celem zniszczenia dotychczasowego ustroju państwowego, zniesienia prywatnej własności, upaństwowienia wszystkich dóbr ekonomicznych i zaprowadzenia dyktatury partii komunistycznej.

Próba zbrojnego zamachu w 1905 r. nie powiodła się. Następnym etapem, który już lepiej wyzyskano, to wojna światowa. Lenin gromadzi wokoło siebie „socialistów defetystów”, pragnących — w imię ideałów komunistycznych — klęski własnych państw, przegranie bowiem wojny wywołałoby rozgoryczenie mas ludowych, a nawet przy odpowiedniej agitacji można by wojnę „imperialistyczną” przekształcić w wojnę domową i rewolucję, dającą większe szanse zdobycia władzy w ręce komunistów.

W tym też celu zwołano w 1915 r. zjazd do Zimmerwaldu w Szwajcarii, na który przybyli przedstawiciele Rosji: Lenin, Zinowiew - Apfelbaum, Radek - Sobelson; Niemiec: Ledebour, Hoffmann; Francji: Blanc, Brizot, Lorient. Następne konferencje odbywały się w Kienthal (Szwajcaria) i w 1917 r. w Stockholmie. Skutki trzech tych zjazdów, jako też usilnej propagandy rewolucyjnej w Rosji nie dają długo na siebie czekać. Zamach marcowy w 1917 r. doprowadził do abdykacji cara. 18 kwietnia 1917 r., przewieźli Niemcy Lenina w zaplombowanym wagonie w granice Rosji, by ostatecznie zgnać istniejący reżim i zawrzeć pokój na wschodnim froncie.

Lenin w zupełności wypełnił pokładane w nim nadzieje, rzucając w tłumy zniechęconych żołnierzy hasła natychmiastowego pokoju, powrotu do domu, podziału ziemi pomiędzy wieśniaków, objęcia zarządu fabryk przez robotników, utworzenia rządu robotniczo-chołpskiego. Drugi zamach na niedołężne rządy socjalisty Kiereńskiego, dokonany 25 października (7 listopada w kalendarzu gregoriańskim) zadecydował o dalszych losach Rosji. Bolszewicy siłą rozpędzili Konstytuante (Zgromadzenie Narodowe) a cała władza przeszła w ręce komitetów robotniczo-żołnierskich, a raczej Lenina i Dzierżyńskiego.

Już w roku 1919 Swierdłow - Nachamkes, członek rządu sowieckiego i jeden z czołowych komunistów zwołuje do Moskwy międzynarodowy zjazd komunistyczny dla założenia wszechświatowej organizacji rewolucyjnej. Cel osiągnięto w zupełności i tak powstała III Międzynarodówka, zwana popularnie Kominternem.

Organizacją swą obejmuje kraje zagraniczne, stała zaś jej siedziba znajduje się w Moskwie. Dokładniejsze zdanie sobie sprawy z ustroju Kominternu pozwoli nam niechybnie nie tylko odróżniać go od rządu sowieckiego czy partii komunistycznej w ZSSR, ale też wynaleźć punkty styczne i wzajemną zależność.

Ośrodkiem więc dyspozycyjnym permanentnej rewolucji na świecie to: Prezydium Kominternu i Komitet Wykonawczy — I. K. K. I. (*Ispolnitelnyj Komitet Kommunističeskago Internacjonala*). Prezydium obraduje codziennie nad bieżącymi potrzebami rewolucji światowej, na jego czele stoi Dymitrow, Bułgar z pochodzenia, wytrawny komunista i doświadczony działacz na Bałkanach. Karierę swą w Bułgarii uwieńczył wysadzeniem w powietrze katedralnej cerkwi podczas nabożeństwa w Sofii w 1925 r. Na jego też usługach stoi pięć sekcji Komitetu Wykonawczego, z których pierwsza zajmuje się organizacją zagranicznych ekspozytur Kominternu, druga agitacją i propagandą, trzecia informacją, korzystając przy tym z bogatego materiału zagranicznych placówek dyplomatycznych bolszewickich, a nawet przedsiębiorstw handlowych. Czwarta sekcja — łączności, utrzymuje stosunki z partiami komunistycznymi państw ościennych (około 60 państw), sekretariat wreszcie rozsyła rozkazy, wypracowuje dyrektywy dla podsekretariatów narodowościowych. Wiadomo np., że takie podsekretariaty istniały w Pradze dla Europy środkowej, w Barcelonie i Paryżu dla Zachodu.

Organem wykonawczym i nadzorczym intensywności pracy oraz metod to Komitet Wykonawczy Kominternu, zbierający się co cztery miesiące. O ile jednak w posiedzeniach biorą udział przywódcy zagranicznych partii komunistycznych, wówczas zebrania te nazywają się „plenum I. K. K. I.” W bieżącym roku, w lutym, odbyło się właśnie posiedzenie plenarne Komitetu, gdzie poddano ostrej krytyce dotychczasowe metody i osiągnięcia w pracy bezbożniczej, obecnie — jak donosi prasa — z okazji 21-letniej rocznicy rewolucji październikowej, odbywa się znowu Plenum. Wielką mowę polityczną wygłosił Szvernink, kierownik sowieckich związków zawodowych i podał w niej wytyczne akcji Kominternu na najbliższy okres. Oświadczył więc, że czynione są próby ostatecznego porozumienia ze związkami socjalistycznymi, zrzeszonymi w II Międzynarodówce amsterdamskiej. Poza tym, obok taktyki frontów ludowych, trzeba powrócić do konspiracyjnych jacejek komunistów, a niechybnie ruch proletariacki odnieść zwycięstwo na świecie. Wypowiedzi te są zgodnie komentowane, jako zapowiedź wzmożonej akcji wywrótowej zagranicą.

Na dalszym już planie, jeśli mówimy o hierarchii Kominternu, stoją jego Kongresy. Zjeżdżają się na nie przedstawiciele komunistów z całego możliwie świata. Dokonuje on generalnego przeglądu sił, przyjmuje do wiadomości uchwały Prezydium.

Biorą też w nim udział członkowie rządu ZSSR. Pierwszy taki Kongres odbył się — jak wiemy — w 1919 r. w Moskwie, drugi w lipcu 1920 r. tamże, trzeci w lipcu 1921 r. w tym samym mieście, czwarty w listopadzie w 1922 r. w Petersburgu, piąty w czerwcu 1924 r. w Moskwie, szósty w lipcu 1928 r. tamże, siódmy i ostatni w lipcu — sierpniu 1935 r. tamże. Kongres ten ma wielkie znaczenie, zwłaszcza dla Europy zachodniej, przyjął bowiem za metodę działalności taktykę frontów ludowych, lub tzw. „konja trojańskiego”. Wynalazek ten zreferował sam Dymitrow. Obecnie, gdy już i ta metoda zawodzi, trzeba powracać do akcji konspiracyjnej. Organem oficjalnym Kominternu jest na terenie ZSSR *Kommunističeskij Internacjonal*, dla Zachodu zaś wydaje się w Paryżu *La Correspondance Internationale*.¹⁾

Środki na propagandę czerpie Komintern od rządu ZSSR,²⁾ materiał zaś ludzki z samej partii bolszewickiej. Na czele ZSSR stoi, jak wiadomo Kalinin, on jest bowiem prezydentem republik związkowych. Rządem natomiast jest Rada Komisarzy Ludowych, osobowo znacznie liczniejsza niż rządy w państwach europejskich. Wszystkie ważniejsze rozstrzygnięcia i posunięcia zależą jednak od Prezydium Najwyższej Rady z premierem na czele (obecnie Mołotow).

Natomiast Partia bolszewicka, z oficjalnym tytułem „Wszelch-związkowa Komunistyczna Partia bolszewików”, tworzy odrębną organizację z Komitetem Centralnym i Biurem Politycznym na czele. Sekretarzem Politbiura jest właśnie Stalin, a ponieważ Partia bolszewicka odgrywa decydującą rolę, dlatego jej sekretarz sprawuje faktycznie absolutną władzę w całym państwie. Oficjalnym organem partii jest dwutygodnik *Bolszewik* oraz *Prawda*, organem zaś rządu *Izwiestia*.

Jak wielkie są uprawnienia Komitetu Wykonawczego w całości kształcie prac Komunistycznej Międzynarodówki, o tym mówi jej statut:

a) On jeden ma prawo wybierać w każdym kraju tę partię komunistyczną, którą przyjmuje do Komunistycznej Międzynarodówki (Statut § 2).

b) Wszyscy członkowie owej wybranej partii obowiązani są do bezwzględnego posłuszeństwa rozkazom Komunistycznej Międzynarodówki, tj. I. K. K. I. (Statut § 3 i § 5).

c) Tylko Komitet Wykonawczy (I. K. K. I.) ma prawo rozwiązania każdej partii komunistycznej (sekcji Kominternu) i wykluczania grup lub poszczególnych członków (Statut § 15).

d) Komitet Wykonawczy ma nieograniczone prawo ingerencji i kontroli w stosunku do każdej partii komunistycznej (Statut § 22).

e) Komitet Wykonawczy ma prawo zmiany lub unieważnienia postanowień władz i zjazdów poszczególnych partii komunistycznych i Międzynarodówek (Statut § 22).³⁾

¹⁾ Paris (X-e), rue d'Alsace, 25.

²⁾ Gurian Waldemar: *Der Bolschewismus*, Herder, Freiburg.

³⁾ *Ustaw Komunističeskago Internacjonała*, Partizdat, Moskwa 1936.

Oprócz partyj komunistycznych, rozsianych po całym bodaj świecie, a ściślej uzależnionych od Kominternu, współpracują jeszcze z nim szeregi pomocniczych Międzynarodówek, czasami dobrze zamaskowanych i prących zdecydowanie do wywołania rewolucji światowej. Wymienić na tym miejscu należy: Czerwoną Międzynarodówkę Związków Zawodowych, tzw. Profintern, który swymi mackami obejmuje liczne związki zawodowe, robotników portowych, nawet Murzynów itd. Szerokie masy wiejskie ma za zadanie pozyskać Międzynarodówka Chłopska, Krestintern. Hasło jej: wojna dworom, okazało się już b. skuteczne w 1917 i 1918 r. na terenie Rosji, przeszczepić go więc usiłują i na inne kraje. Dla młodzieży stworzono K. I. M. (Kom. Internacjonal Molodioży). Kobiety grupują się w osobnej Międzynarodówce żeńskiej.

Szybko też pojęli bolszewicy wartość propagandy. I choć rzeczywistość w ZSSR wiele pozostawia do życzenia, jego jednak wodzowie nie tracą tupetu, założyli mnóstwo towarzystw propagandowych filo-bolszewickich i przez nie zdołali przekonać wielu łatwowiernych o dobrobycie proletariatu i ogólnym rozwoju w ZSSR.

Dobłą opinię na Zachodzie urabiają dla Bolszewii: Międzynarodówka Przyjaciół ZSSR, Międzynarodówka Pracowników Oświatowych, W. O. K. S., czyli Towarzystwo dla stosunków kulturalnych z Zachodem. Czerwona znów Międzynarodówka Sportowa, Liga antyimperialistyczna i antyfaszystowska pozyskują sympatyków dla Rosji drogą bardziej pośrednią. Międzynarodówka Pracowników Oświatowych — I. T. E. (*Internationale des Travailleurs de l'Enseignement*) rozwija swe wpływy wśród nauczycielstwa. Że i u nas znalazła grunt podatny, na to wskazuje praca red. Glassa o komunizowaniu się nauczycielstwa.

By dopełnić tej długiej listy, dodać jeszcze należy, że istnieją nawet Międzynarodówki czerwonej pomocy dla rewolucjonistów na froncie i w więzieniach, Międzynarodówka transportów, czerwonych prawników, pisarzy rewolucyjnych, Międzynarodówka spółdzielcza, czerwonych kombatanów, nie brak też zwolenników Międzynarodówki czerwonej nawet wśród esperantystów. Akcja zmontowana na najszerszą skalę umie wyzyskać zjazd na pozór przeciwne rewolucji i zbrojnym rozgrywkom. Przykładem tej akcji są kongresy pokoju, często wychwalające ustrój i metody w ZSSR.

Teraz już łatwo możemy zrozumieć cel i metodę Kominternu. Dążeniem jego jest zagarnięcie władzy w ręce komunistów, możliwie na całym świecie. Środkami do osiągnięcia tych zamierzeń jest sianie niezadowolenia z własnego państwa i ustroju, wytwarzanie zachwyty nad osiągnięciami bolszewizmu, wywoływanie wojen domowych lub nawet międzypaństwowych, gdyż tylko w krajach wyniszczonych i rozgoryczonych mogą komuniści liczyć

na pozytywne wyniki. Jasno to sformułował Stalin 20 maja br., gdy konflikt niemiecko-czeski wchodził w najostrzejszą fazę. „Nauka Marxa, Engelsa i Lenina — mówił — poucza nas, że z wojny powszechnej między państwami kapitalistycznymi wyniknie automatycznie rewolucja. Naszą jest rzeczą, towarzysze, ułatwić podobny konflikt. Decydująca chwila dla nas nadeszła”. Możemy być zadowoleni, że nie spełniły się krwiożercze zamiary czerwonego dyktatora.

Wreszcie można wspomnieć o „heretyckiej” Międzynarodówce Lejby Bronstein-Trockiego. W celu walki ze Stalinizmem, wypaczającym rzekomo tradycje i metody Marxa i Lenina, założył on poza granicami ZSSR IV Międzynarodówkę z oficjalnym tytułem: *Ligue communiste internationale*. Sekretariat urzęduje w Amsterdamie, wydaje też po niemiecku i francusku biuletyny: *La Lutte Ouvrière*, oraz *Service d'information et de presse*. Dla Rosjan zaś *Biullefeń Opozycji*.

W lipcu 1936 r., zwołano nawet Kongres do Genewy. Oto jakie tam przyjęto wnioski:

Socjaliści i komuniści zdradzili klasę robotniczą. Jedni i drudzy są tylko parobkami burżuazji, która usiłuje odwrócić proletariata od wspólnych perspektyw rewolucyjnych. Komintern popełnia błąd, twierdząc, że nie można niezwłocznie wywołać rewolucji światowej.

Również i IV Międzynarodówka (trockistowska) posiada pomocnicze organizacje. *La Lutte Ouvrière* z 31.7.1936 podaje, że np. w Polsce trockiści utworzyli frakcje w łonie partii socjalistycznej i w szeregach „Bundu”.

Ponieważ trockiści w znacznej części składają się z Żydów, tym należy tłumaczyć dobry stan finansowy IV Międzynarodówki, jako też jej charakter najskrajniejszego komunizmu i bezwzględnej a rychłej wojny domowej.

Ks. Michał Opoka T. J.

NACZELNY REDAKTOR: KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.

Druk ukończono dnia 3 stycznia 1939 r.

Podzwonne i hejnały ostatniej rocznicy.

Kilka tygodni jak minęło 20-lecie niepodległej Polski, o którym, wobec ogromu i rozciągłości tematu, w skrótach tylko można było pisać. Nie było zwłaszcza miejsca na naskicowanie sylwet, choćby kilku tylko kreskami, paru przynajmniej wybitniejszych działaczy tego okresu. O dopełnienie tego braku zaczęły dopominać się nie głosy ludzkie lecz pogrzebowe dzwony. Ileż to żałosnych dźwięków nie wzniosło się w tych dniach. Ludzie, z których serca i pracy rodziła się niepodległa ojczyzna, jak gdyby w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, zaczęli z tej ziemi gromadnie odchodzić. W ostatnich czasach odszedł cały ich zastęp: twórca nowej szkoły filozoficznej polskiej, Kazimierz Twardowski — naukowy apostoł Dobra i Prawdy, prof. Witold Rubczyński — działacz narodowy, Joachim Bartoszewicz — znakomity rektor uniwersytetu wileńskiego, Marian Zdziechowski — prezes Akademii Umiejętności, Stanisław Wróblewski, a zwłaszcza trzy wybitne indywidualności, wchodzące najściślej w historię niepodległej Polski, którym też te kartki poświęcamy: Roman Dmowski, Arcybiskup Teodorowicz i Kardynał Kakowski. W miejsce szeregu żywych ludzi pozostały tylko ich czyny, szereg kolumn, na których wspierać się będzie sklepienie historii odrodzonej Polski.

To żałobne podzwonne, którym kończy się ta 20-letnia rocznica, towarzyszyło Polsce przez cały okres dotychczasowego jej trwania i to od samego początku. Wśród wstrząsów i zamieci wojny światowej wracało do życia zmarłychwstające państwo w ciężkich konwulsjach i ustawicznej żałobie.

Oto piąty listopada, dzień, w którym mocarstwa centralne ogłosiły wskreszenie Polski. Nad głowami tysięcy,

które zaległy wawelskie wzgórze, popłynęły z otwartych bram katedry ostatnie tony hymnu narodowego: „Boże coś Polskę“. Wśród rozgwaru rozpoczął się powrót ku miastu. Nagle wśród tłumów powstała śmiertelna cisza — zjawił się pierwszy i jedyny dotąd widoczny znak zmartwychwstającej Polski. Wśród ciżby ludzkiej jęły się przesuwac zielone gałązki na czapkach i lufy karabinów wracającego od ołtarza oddziału legionistów. Szedł młodociany żołnierz ze szlachetną dumą na czole i z błyskiem natchnienia w oczach, żołnierz z własnej, miłosnej chęci ku ojczyźnie przelewający za nią krew w dziesiątkach bitew, a dziś dopiero na polskiego rycerza pasowany. W piersiach tysięcy załkało. A w parę tygodni przysłała hiobowa wieść, że z bohaterskiego oddziału mało kto w nowej bitwie z armią rosyjską ocalał. Jęknęły sygnaturki i dzwony kościołów krakowskich...

Niedługo potem, gdy wojna światowa kończyła się a powstawać miała Polska, w dalekim Lwowie zawrzała bratobójcza wielomiesięczna wojna polsko-ukraińska. Był to pierwszy dzień zaistnienia Polski, 11 listopada, gdy stałem z lekarzem i z drugim księdzem u wylotu uliczki, wybiegającej już poza Lwów w pole. Na polu padały ostatnie strzały i dogasała bitwa. Czekaliśmy na rannych, ażeby im uściśnąć dłoń, dobre powiedzieć słowo i w razie śmiertelnej rany ostatnimi zaopatrzyć Sakramentami. Zaczęły pojawiać się nosze. Lekarz ocenił, że nie można mieć pewności, iż rannych uda się jeszcze żywych dostawić do szpitala. Pod gołym więc niebem, w wąskiej uliczce, lekarz zakładał opatrunki, myśmy zaopatrywali św. Sakramentami. Sam kwiat życia — kilkunastu chłopców, w tym kilku akademików, paru kilkunastoletnich gimnazjalistów. Był to jeden z pierwszych szeregów orłat lwowskich...

Któż zliczy te zastępy ofiar bohaterskiej miłości ojczyzny, po wszystkich stronach kraju, na kresach wschodnich i zachodnich, od Dźwiny po Odrę i te łyzy ludzi i te jęki dzwonów, co za nimi popłynęły.

Ofiara krwi przemawia silniej do serca. Niemniej dojmującą a w skutkach bardziej doniosłą, jest ofiara całego życia, które wśród tysiącznych wysiłków, wieloletnich trudów i zawodów poświęciło się budowie fundamentów ojczyzny.

Obok Piłsudskiego, o którego doniosłych zasługach mówi się i pisze wiele, stał drugi człowiek, Roman Dmowski. Gdy po klęsce Rosji w wojnie z Japonią zabłysnął płomyk nadziei dla Polski, na ulicy w Tokio zetknęli się pewnego dnia niespodzianie ze sobą Dmowski i Piłsudski. Obaj nosili w duszy posłannictwo niepodległej Polski, choć w odmiennym nastawieniu.

Dmowski był ideowcem idei narodowej w pełnym znaczeniu tego słowa. Wyniósł to ze szkoły Popławskiego, po którego śmierci stał się wodzem Ligi Narodowej i pionierem wzrastającego w znaczenie ruchu wszechpolskiego. Tę rolę spełniał jako znakomity pisarz, jako wybitny działacz polityczny, a przede wszystkim jako apostoł-wychowawca patriotyzmu ówczesnego pokolenia. W czasie wojny światowej przyszło mu wystąpić na szeroką arenę w roli dyplomaty, przed Kongresem Wersalskim i na Kongresie, czym położył dla ojczyzny niezapomniane zasługi. Poza służbą dla ojczyzny nic go nie obchodziło. Nie troszczył się o majątek i był zawsze biedny, nie dążył do władzy i urzędów, bo żadnych nie sprawował. Przez jakiś czas był prezesem Koła polskiego w Dumie rosyjskiej; w Polsce raz tylko mianowano go ministrem spraw zagranicznych, urząd ten jednak po kilku tygodniach sam w inne ręce złożył.

Był człowiekiem wewnętrznym, który pasował się ze sobą długo, by dojść do ukształtowania w sobie silnego charakteru i niezłomnej woli, by wyćpić w sobie wszystkie wady natury polskiej, a potem na widowni publicznej tym skuteczniej przeciw tym wadom stanąć do walki. Był równocześnie myślicielem, który myśli i przeżycia swoje układał w zwarty system. Zarazem posiadał wybitny talent ekspresji w pismach i przemówieniach, a także żarliwość agitatora, który swoje ognie w serca drugich przelewał. Gromadził koło siebie ludzi, urządzał zebrania, by przerobić dotychczasowy słaby charakter polski i ukształtować nowoczesnego, mocnego Polaka. Niektóre kartki jego pism na ten temat będą zawsze z niemałym czytane pożytkiem. I trzeba przyznać, że żmudna ta, prawie beznadziejna praca wydała obfite owoce. Gdy stykało się z jego zwolennikami, było się mile zdziwionym odrębną fizjonomią psychiczną, której się u innych Po-

laków nie spotykało. Była to stanowczość, bezkompromisowość, bezpardonowość, niestety, czasem nawet tam, gdzieby poczucie etyczne i naturalny rozum co innego doradza.

Nie pora w tej chwili wdawać się w obszerne dyskusje. Uczyniliśmy to przed laty, zaraz po ukazaniu się książki Dmowskiego: *Myśli nowoczesnego Polaka* i broszury: *Egoizm narodowy*, napisanej przez współpracownika jego, Balickiego. Niepomyślną okolicznością w życiu Dmowskiego było, że za życia jego panował się w Polsce pozytywizm, a w całym świecie królowała angielska teoria eudemonizmu społecznego. Etyka eudemonizmu stawia zasadę, że dobrym jest to tylko, co rozszerza i rozwija życie społeczne i dopomaga do osiągnięcia jego najwyższej pełni, złym natomiast, co rozwój ten tamuje i niszczy. Niewątpliwie każda jednostka ludzka winna przyczyniać się do rozwoju życia społecznego, bo przynależność społeczna wszczepiona jest w jej istotę przez samą naturę; ale nad tym stosunkiem jednostki do społeczeństwa i społeczeństw między sobą musi czuwać jakaś wyższa norma. Inaczej powstaje chaos dzisiejszych totalizmów i walka na śmierć i życie dzisiejszych egoizmów narodowych. Dlatego fatalnym jest zdanie Balickiego:

...Etyka nie polega na stosunku człowieka do własnego sumienia, ale na stosunkach ludzi do ludzi wewnątrz jednej grupy i na stosunkach grup między sobą. Sumienie człowieka jest tylko odbiciem w jego duszy nakazów moralnych z wyższego źródła, ze środowiska społecznego, płynących...

W innym miejscu stawia sobie Balicki zarzut, czy przez teorię egoizmu narodowego nie otwieramy na oścież wrót dla wszelkiego rodzaju międzynarodowego bezprawia? Odpowiada, że egoizm narodowy, jeżeli jest samowiednym, ma sam hamulec w sobie, bo opiera się na poczuciu godności własnej, że narody, które posiadają ten samowiedny egoizm, „jak Anglia”, nie splamią nigdy barbarzyństwem swego sztandaru. To zdanie pisał Balicki nazajutrz po barbarzyństwach Anglii w Transvaalu. A znanym jest chyba powszechnie, jak w początkach XVIII wieku, dla zajęcia kawałka ziemi, szczyła Anglia dwa dzikie plemiona na siebie póty, póki, jak w bajce o walce szczurów, nie pozostało po obydwu żadnego śladu.

Tą normą moralności, która porządkuje stosunek wzajemny jednostki i społeczeństwa oraz społeczeństw między sobą jest sama rozumna natura ludzka; o moralności lub niemoralności rozstrzyga zgodność lub niezgodność czynu z tą normą. Tak rozumna natura ludzka, jak związana z nią etyka i religia, najskuteczniej popierają słuszne dążności narodowe. Chcieć je jednak pod te dążności narodowe bezwzględnie podporządkować, zaprząć je w ich niewolę, znaczy zabić w nich ich żywotność i właściwą siłę, a dla samych narodowych celów, prędzej czy później, po chwilowej pozornej korzyści, cierpkie z tego posiewu zebrać owoce.

Do tych samych wniosków doszedł Dmowski, gdy w późniejszych latach napisał rozprawę: *Kościół, naród i państwo*, w której stwierdził nierozzerwalny związek wiary katolickiej z życiem narodu i państwa polskiego. Rozprawa ta będąca chlubnym zjawiskiem w twórczości myśli nowoczesnej, jest równocześnie w życiu Dmowskiego wielkim krokiem ku katolicyzmowi.

Wielki ten patriota dążył przede wszystkim do Polski, ale także do prawdy. I dlatego przed tą jeszcze rozprawą wygłosił zdanie:

Pod wpływem wewnętrznego przerobienia narodu przyjdzie czas, że Polacy staną się nie tylko zdolni do stworzenia samostanowionego silnego państwa, ale, że to państwo stanie się koniecznością.

I kiedy indziej genialną wiedzioną intuicją zapowiedział, że wskrzeszenie państwa polskiego stanie się koniecznością dziejową nie tylko dla nas samych ale także dla zmierzającej ku przeobrażeniom Europy.

O zasługach Dmowskiego wewnątrz państwa trzeba by wspomnieć jeszcze niejedno. Jego bezkompromisowość i cywilna odwaga sprawiały, że nie wahał się odrzucić brudnych bandażów z ran stronnictw czy dzielnic. Walkę z masonerią rozpoczął on, jak również walkę z demoralizacją żydostwa.

O zasługach jego na szerokiej widowni politycznej pisze wybitny historyk:

...Mąż stanu, który po wojnie światowej wprowadził swój naród między zwycięzców, wywalczył dlań Pomorze, Wielkopol-

skę i Śląsk, wygrał spór o Lwów, rozstrzygnął na rzecz Polski sprawę wileńską, wyzwolił miliony, milionom dał miliardy...

Czy te zasługi, zdobyte wprawdzie nie w orężnej walce lecz w niemniej trudnych dyplomatycznych starciach, będą należycie przez historię ocenione? Niewątpliwie. Dziś wielki Bojownik o ziemię polską i o duszę Polski odszedł po nagrodę wieczną. Człowiek, który zjednoczył na powrót ideę polską z ideą katolicką, który ten katolicyzm praktycznie wyznawał, łącząc się niejednokrotnie z Bogiem swoim w Komunii świętej, odszedł po tylu trudach i zasługach z tej smutnej i niewdzięcznej ziemi ku światłu, gdzie nie ma ciemności...

* * *

Z Romanem Dmowskim pozostawał w bliższym stosunku Arcybiskup Teodorowicz.

Ta sama troska o wskrzeszenie Polski, o silne w niej charaktery, o Polskę dostojną, wielką, katolicką, Bogu oddaną i Boże posłannictwo spełniającą, ożywiała serce Dostojnego Zmarłego.

Wybitny pisarz i myśliciel, mowca i konferencjonista, działacz i śmiały inicjator, przeszedł Polskę całą wzdłuż i wszerz niejednokrotnie, rzucając raz w tych, raz w innych formach ziarno Boże w dusze rodaków. Pozostała po nim doniosła spuścizna kaznodziejska, apologetyczna i społeczna. Niedokończony dzieło o Chrystusie, obliczone na 12 tomów, choć pojawiło się dotąd w 3 tomach, jest wspaniałym tej spuścizny pomnikiem.

W czasie wojny światowej był śp. Arcybiskup zwolennikiem ententy, co wobec nieufności Austrii wymagało wiele cywilnej odwagi. Więcej jeszcze. W ostatnim roku istnienia parlamentu wiedeńskiego, zabrawszy głos podczas dyskusji budżetowej, zarzucił państwu centralnym obłudną taktykę wobec Polski. Wskazał na niemiecki plan aneksji i podziału Polski, na wywóz tysięcy polskich robotników, na dziwną przysięgę, której domagano się od wojska polskiego, na zniesienia legionów i uwięzienia legionistów. Potępiwszy zasadę „siła przed prawem“, nie zawahał się oznajmić zdumionym Wiedeńczykom, że Polacy, opierając się na prawie i sprawiedliwości, domagają się restytucji Polski *in integrum*. Wraże-

nie było wstrząsające. Ktoś powiedział, że hasło to restytucji rozległo się w zatęchłej Izbie Panów jak pierwszy grzmot wiosenny.

W niepodległej Polsce był śp. Arcybiskup posłem na sejm ustawodawczy a następnie senatorem. Atmosfera jednak ówczesna Warszawy nie odpowiadała mu, opuścił więc wkrótce stolicę. Bolały go przede wszystkim wysiłki wrogów Boga i Kościoła. Przemówił na ten temat w kazaniu o miłości ojczyzny:

...Jakże to mi ciebie odłączyć, o narodzie polski, przywalony w twej niedawnej przeszłości wiekiem trumny, od Tego, który cię w tej wojnie cudem wskrzesił i do nowego życia powołał? Jakże to odciąć naród w jego pragnieniach, w jego bólach i nadziejach, w jego tęsknocie i żalach od Tego, przed którym swe serce spowiada i zwierza? Jakże to odłączać duszę od ciała, jak odłączać Boga, który jest duszą narodu, od ludu Jego?

Nie — nie podobna odłączać Boga od narodu!

Zaprzalby się sam siebie naród, który by się zapierał Boga swojego. Bo nie tylko w Bogu posiada on najdroższe dobra swoje, ale nadto w Nim odnajduje siebie samego...

Ta myśl go widocznie dręczy, bo wraca do niej po trzykroć. Po raz drugi w kazaniu na zakończenie 1922 roku, a po raz trzeci na otwarciu uniwersytetu w Wilnie. W tej trzeciej przemowie rzuca przelotem wzruszającą myśl:

...Gdyby dwie urny postawiono przede mną i w jednej były złożone prochy rozumu a w drugiej prochy serca, zgiałbym swe kolana przed tą drugą urną...

Tak płynęło to życie w służbie Boga i ludzi, najściślej zjednoczone z życiem narodowym. Odbiło się ono najlepiej w dwu przemowach nad trumną Sienkiewicza i przed bitwą pod Warszawą. Spełniał wówczas tę samą rolę, jaką według tekstu Schillera spełnia dzwon: *Vivos voco, mortuos plango, fulgura frango*. W dowolnej trawestacji: „Opłakuję umarłych, żywych wzywam do czynu, ale takiego, który by łał pioruny“.

* * *

W odmiennych od poprzedniego Dostojnika warunkach wstępował na stolicę Ksiądz Arcybiskup Warszawy.

Było to na rok przed wojną światową a więc wówczas, gdy z mroków Petersburga padały jeszcze na Warszawę

burzliwe błyskawice caratu. Ileż ucisku aż do deportacyj na Sybir włącznie doznali na sobie przedstawiciele tej stolicy!

A jednak mimo to ogłasza nowy Arcybiskup z entuzjazmem swą polskość. W orędziu na ingres do katedry pisze:

...Przychodzę do kraju swojego, do ziemi swojej, do ludu swego i Kościoła swojego. Kocham ten kraj i tę ziemię, na której wzrastałem, wychowałem się i kształciłem. Miłuję ten naród, z którego pochodzę, którego kość z kości, krew z krwi i ciało z ciała jestem. Czuję jak on czuje, myślę jak on myśli, mówię jak on mówi, cierpię gdy on cierpi a raduję się gdy on się raduje...

W niecałe dwa lata później zajmują Warszawę Niemcy, jeżeli nie bardziej od Rosjan to równie niechętni Polsce. A jednak Arcybiskup Warszawy jeszcze silniej akcentuje swą polskość. Śle do diecezji orędzie, które na święto Królowej Korony Polskiej każe z wszystkich ambon odczytać. Na dwie sprawy zwraca w nim uwagę, na uświadomienie narodowe mas ludowych i na posłuszeństwo tworzącym się władzom polskim. Jak gdyby zapatrzone i zasłuchany w wielkiego poprzednika swego na stolicy warszawskiej, Woronicza, raz po raz w jego akord uderza: „O jak świetne i wysokie przeznaczenie twoje, ojczyzno nasz! Któż nie rozgorzeje żądzą być godnym ciebie” — wołał przed wiekiem w podobnych warunkach Woronicz. Na te słowa odpowiada Arcybiskup Kakowski: „Bóg wzbudza Polskę do życia, ojczyznę wolną nam przywraca, to też z głębi serca mego wołam kornie: oto wejrzyj Panie, myśmy wszyscy Twój lud”. I w dalszym ciągu nową myśl dodaje: „Nie samolubni stanąć mamy na przyjęcie odradzającej się ojczyzny, ale odrodzeni i miłujący się społeczeństwo”. Na te słowa, z głębi minionego stulecia, odpowiada echo słów Woronicza: „Tak, bo oto jeden okopek częstochowski dzielnie obroniony, jedno porozumienie się w Tyszowicach sercem i duszą sklejonych Polaków, Polskę w oceanie nieszczęść zatoniłą, znowu na świeczniku Europy postawiło”. I tu dorzuca wielkie słowa Arcybiskup Kakowski: „Dziś z niepokojem patrzeć nie trzeba, z której strony Polska przyjdzie, bo ona już idzie. Obie strony ją uznały, świat cały ją uznał. Bieg wypadków jest taki, że Polska być musi. Niebo i ziemia przemawia za nami”.

Był to moment, w którym państwa centralne ogłosiły już proklamację państwa polskiego, ale wahały się jeszcze co do szczegółów wykonania. I ze strony polskiej nie brakło również wątpliwości. Zwłaszcza co do idei regencji wahał się Arcybiskup, do której zapraszali go i Niemcy i zachęcały różne sfery polskie. Długo uchylał się od rozstrzygnięcia, aż wreszcie na skutek wskazówek papieża, Benedykta XV, stanął na czele regencji, by służyć ojczyźnie.

Tak rozpoczęła się opatrnościowa rola Arcybiskupa Warszawy. Był to okres w jego życiu bardzo trudny, w którym z każdym słowem i z każdym krokiem przezornie się liczył. Otoczyły go wkrótce zewsząd skały i przepaści, wśród których z dnia na dzień przesuwiał się prawie że osamotniony. Trudności stawiali przedstawiciele państw centralnych i trudności szły ze strony polskiej. Już wówczas cała prawie Polska stała po stronie państw ententy, gdy on, gorący patriota musiał jakby oficjalnie stać po przeciwnej stronie. To też, gdy nadszedł 11 listopada, dzień powrotu Piłsudskiego z Magdeburga, składa pośpiesznie w jego ręce władzę. I wtedy wyrrywają mu się w liście do duchowieństwa słowa te same, którymi Anieli zwiastowali pasterzom betlejemskim Boże Narodzenie: „Zwiastuję wam, bracia kapłani, wesele wielkie... Z łaski Boga jesteśmy wolni w wolnej naszej Polsce“.

Okres ten trudny nie pozostał jednak bezowocny. Ze strony papieża przyszła w nagrodę godność kardynalska, przyszły bliskie stosunki z pierwszym nuncjuszem Polski, którego Arcybiskup konsekruje w Warszawie na biskupa. Rośnie znaczenie społeczne Kardynała w Polsce, autorytet w sferach rządowych, pozycja i działalność tak w narodzie jak w Kościele. Trudności te dopomogły przede wszystkim do skryształizowania się światopoglądu i charakteru, ducha inicjatywy i egzekutywy i sprawiły, że stał się twórcą dzieł trwałych od podstaw. Powstaje mnóstwo nowych instytucji religijnych, cały szereg dzieł charytatywnych, parę setek nowych i odbudowanych kaplic i kościołów, powstaje Dom Katolicki wraz z Instytutem wyższej wiedzy religijnej. Powstaje przede wszystkim wielką troską Kardynała montowany front Akcji Katolickiej. Tak więc do zainicjowania

wielkiej katolickiej Polski przyczynił się w niemałym stopniu wielki syn ojczyzny i Kościoła Kardynał Kakowski. Cześć jego pamięci!

* * *

Gdy zaczynała istnieć niepodległa Polska i obcy i swoi wątpili o jej trwałości. Tylu wrogów było dokoła, tyle trudności do pokonania. Tak zdawała się ta Polska słaba, tak mało widziało się w niej sił, tak wątpiło się czy w masach będzie dość poświęcenia i bohaterskiej miłości ojczyzny.

Dopiero podzwonne przez szereg lat i po wszystkich stronach kraju objawiło, jak wielką jest ta miłość Polski w masach i na jakie stać ją poświęcenie. Dopiero podzwonne po śmierci wielkich i zasłużonych ludzi wskazało, jak wielkie posiadała siły.

Jest w tej dzisiejszej sile polskości ta sama moc, co wydała Chrobrych i Sobieskich, co biła słupy u granic morza i niosła cywilizację i wiarę w dalekie rubieże wschodnie. A z drugiej strony jest w niej ten naddatek, jaki tylko w morzu cierpień, łez i krwi mógł się zrodzić, to niezwykle pogłębienie serca w ukochaniu swej swoistości, to przenikliwsze zrozumienie swego posłannictwa, ten sprecyzowany profil kultury polskiej i duszy polskiej, jaki tylko wiekowy rylec niedoli mógł wyrzeźbić. We wszystkich duszach polskich razem i w każdej osobno zaczyna tworzyć się duchowy skarbiec narodowy, wszystko co jest dziedzictwem przeszłości i posłannictwem przyszłości.

Gdyby Polska była narodem marnym, byłaby się z tego wiekowego nieszczęścia nie podniosła — gdyby była narodem słabym, byłaby sporo nadwyrężyła swoją swoistość i odrębność. To, że z takiej klęski wyszła zwycięsko, ze zwiększonym zasobem sił, to znak, że mimo przeciwnych pozorów była narodem silnym i że idzie w wielką przyszłość.

To podzwonne jest donośnym hejnałem tej właśnie przyszłości.

Ks. J. Pawełski T. J.

Unia Brzeska a polska racja stanu.

Dokonana w Brześciu, r. 1596, unia Kościoła ruskiego z Rzymem, nie była przekreśleniem polityki Jagiellonów względem prawosławia, ale urzeczywistnieniem dążeń unijnych, pielęgnowanych przez dynastję Jagiellońską aż do początku XVI wieku. Unia kościelna Brzeska była postulatem polityki polskiej na Wschodzie, naturalnym uwieńczeniem politycznej unii polsko - litewsko - ruskiej. Oto dwie prawdy historyczne, które staraliśmy się ustalić w naszym artykule „Jagiellonowie wobec prawosławia i unii“ w poprzednim zeszycie *Przeglądu Powszechnego*.

Przeciwko unii Brzeskiej wysuwane są w naszej publicystyce inne jeszcze zarzuty. Unia Brzeska — mówi się — nie udała się, bo nie objęła wszystkich prawosławnych w Rzeczypospolitej. Sprowadziwszy zaś tylko wewnętrzny rozłam w łonie cerkwi ruskiej, stała się szkodliwą dla Polski, podsycając bunty kozackie i powodując później wtrącanie się Rosji do wewnętrznych spraw naszego państwa, co ostatecznie doprowadziło do rozbiorów Polski. Rzeczpospolita usiłowała naprawić to zło aktem Władysława IV, uznającego hierarchję prawosławną, ugodą Hadziacką, wreszcie organizacją prawosławia w Polsce w epoce Sejmu Czteroletniego, ale nie zdołała już zapobiec nieszczęściom. W każdym razie mądrości tych aktów, w szczególności aktu Władysława IV, dowiódł najbliższy skutek, mianowicie spolonizowanie prawosławia i związanie go z państwowością polską. Z tych doświadczeń historii nasuwa się wniosek praktyczny: w stosunku państwa do prawosławia trzeba na-

wiązać do tradycji Władysława IV i Sejmu Czteroletniego, a nie dopuszczać nowych eksperymentów unijnych. Wyrazem nawiązania do owych tradycji jest właśnie ogłoszony niedawno dekret p. Prezydenta Rzeczypospolitej, normujący stosunek Państwa do polskiego autokefalicznego Kościoła prawosławnego.

Powyższe twierdzenia wymagają bliższego rozpatrzenia już choćby ze względu na wnioski natury praktycznej, które się z nich wyciąga.

I.

Unia Brzeska nie udała się? W jakiej mierze i dlaczego? Niewątpliwie, że nie stała się ona tym, czym ją spodziewali się widzieć jej inicjatorzy i twórcy. Rzym spodziewał się po niej, że stanie się początkiem powrotu do jedności kościelnej całego Wschodu i podstawą silnej ligi antytureckiej. Biskupi ruscy oczekiwali od niej uzdrowienia chorych stosunków cerkiewnych i podniesienia powagi cerkwi w państwie. Król i jego polityczni doradcy obiecywali sobie po niej większą konsolidację Rzeczypospolitej. Oczekiwania te nie ziściły się w pełnej mierze. Historycy zgodnie przyznają, że nie ziściły się dlatego, iż unia Brzeska nie zdołała objąć wszystkich prawosławnych w państwie. Przypuszczają zatem, że byłaby posiadała inne znaczenie, gdyby była powszechną. Lecz dlaczego nie objęła całej Rusi polsko-litewskiej? Czy ten rozłam, jaki faktycznie po niej nastąpił, był nieuchronny i powinien być przez jej twórców przewidziany? Autor książki o księciu Ostrogskim, Kazimierz Lewicki, główną przyczynę odrzucenia unii przez część Rusi widzi w tym, że unia ta została wprowadzona „konspiracyjnie”, bez uprzedniego przygotowania do niej społeczeństwa ruskiego.¹⁾ W poprzednim naszym artykule zwracaliśmy uwagę na to, że schizmę grecką traktowano jako sprawę, obchodzącą przede wszystkim hierarchię, nie zaś wiernych. Ci, obcy teologicznym sporom, istotę swej „greckiej” wiary pokładali w stronie obrzędowej i tak rzeczywiście ją określano pospo-

¹⁾ Kaz. Lewicki, książę Konstanty Ostrogski, a unia Brzeska 1596 r. Lwów, 1933, str. 19 inn.

licie jako „greckie nabożeństwo“, „błahoczenie“. Tę zaś stronę unia zachowywała nienaruszoną. Sam Lewicki zresztą przyznaje, że kwestią unii nie interesowano się w kołach szlacheckich ruskich, nie mówiąc już o masach chłopskich. Przyznać jednak można, że może za mało zrobiono w celu pozyskania dla unii ówczesnej szlachty, a zwłaszcza tak wpływowego człowieka, jakim był Konstanty Ostrogski, główny patron cerkwi i wielki dygnitarz państwowy, bo przez pół wieku wojewoda kijowski. Ale trzeba wziąć pod uwagę, że biskupi, starający się o unię, przeprowadzili ją właśnie pod znakiem wyzwolenia cerkwi z pod szkodliwej ingerencji w sprawach wiary czynników świeckich. Zasadniczą zaś zgodę księcia Ostrońskiego na zjednoczenie mieli prawo przypuszczać, bo sam on niejednokrotnie zdradzał takie pragnienia; wszak to dzięki jego wstawiennictwu i namowie kasztelan brzeski Pocij, niebawem główny promotor unii, został biskupem włodzimierskim; wszak książę w liście do tegoż Pocija, już jako biskupa, z r. 1593 kreśli warunki unii z Rzymem w kilku punktach, które w unii Brzeskiej zostały uwzględnione z wyjątkiem żądania, aby zgodę na unię pozyskać także od księcia moskiewskiego i hospodara Wołoszczyzny, a nawet starać się przywieść do unii patriarchów wschodnich. Z tego widać, że ten świecki patron cerkwi nie widział dogmatycznych przeszkód dla zjednoczenia, co nie było dziwnym u magnata, który był ożeniony z katoliczką, którego synowie już przyjęli katolicyzm (taciński) i który sam utrzymywał stosunki żywe z Zachodem i Rzymem nawet, a na swym dworze znowu karmił cały sztab nowinkarzy religijnych.

Bądź co bądź w bliższych przygotowaniach unii pominięto udział tego potentata głównie zdaje się z powodu utopijnych jego warunków — pozyskania równocześnie dla unii Moskwy, Wołoszy i patriarchów. I otóż wtedy rozpoczyna się kontrakcja starego magnata przeciwko unii, jego usiłowania odciągnięcia od niej niektórych biskupów. Po tym, jak on się odnosił do myśli unii poprzednio, ta kontrakcja nie może być odniesiona do pobudek ściśle religijnych, do przekonania o prawdziwości i słuszności prawosławia, jako schizmy z Rzymem. Nie podobna oprzeć się przekonaniu, że

grała tu rolę obrażona duma wielmoży, iż poza jego plecami i bez niego dokonuje się tak wielkie dzieło. Ostrogskiemu udało się odciągnąć od unii dwóch biskupów, mianowicie lwowskiego Bałabana i przemyskiego Kopysteńskiego, którzy się na nią zgodzili wcześniej i których podpisy wieźli do Rzymu przedstawiciele episkopatu: Pociej i Terlecki. Brak silnych przekonań, a raczej brak charakteru owych dwóch odciągniętych od unii władcyków — to drugie obok urazy kniazia źródło knowań przeciwko unii. Trzeba tu dodać, że Bałaban pierwszy z grona episkopatu ruskiego poruszył myśl o unii jeszcze w r. 1590, niestety i wówczas nie z czystych pobudek religijnych. Opozycja urażonego księcia, cofnięcie się dwóch biskupów — oto ferment, który objął prędko i pewną część szlachty ruskiej i dodał śmiałości bractwom cerkiewnym, które wystąpiły w roli cenzorów prawowierności biskupiej i obrońców zagrożonego prawosławia. Gdy opozycjonistów poparli bawiący na dworze księcia Grecy i część mnichów, kiedy za Ostrogskim poszła wpatrzone w niego część szlachty prawosławnej głównie na Wołyniu, wreszcie przyłączyło się ze swoim poparciem różnowierstwo, ogłoszona w r. 1596 unia już nie pociągnęła za sobą całej Rusi, nastąpiła „walka Rusi z Rusią“, która w oczach ludu nabierała charakteru obrony „starej greckiej wiary“. Zresztą lud ten i niższy kler musiał się przystosowywać do woli tych panów, od których zależał, a dla panów szlachty i to nie małą było pokusą do bronięcia dyzunii, że w niej łatwiej im było uzależniać cerkiew od swojej woli, zagrabiać majątki cerkiewne.

Cała agitacja przeciwko zawartej już unii kościelnej była jednym z wielu przejawów niesforności, obok różnych rokoszów (niezadługo potem Zebrzydowskiego). Niesforność zaś ta była wiekowym dziedzictwem po ostatnich Jagiellonach, spotęgowanym przez religijne nowatorstwo i przez zasadę elekcyjności królów. Co wobec agitacji przeciwko unii miał uczynić Zygmunt III? Zarzucano mu dążności do *absolutum dominium*, w tym razie jednak nie widzimy, by postąpił absolutnie i stanowczo. Chyba każdy się zgodzi na to, że nie mógł on ulec żądaniom dyzunitów, domagających się nawet depozycji sześciu biskupów unickich, skoro ich za-

pewnił przed unią, że ich utrzyma na ich stolicach i czy miał ustąpić dwom biskupom, którzy poprzednio sami na unię się zgadzali? Raczej należało tych ostatnich usunąć, jako igrających z majestatem królewskim. Słabości rządów królewskich, a może i skrupułow religijnych, by nie gwałcić sumień, trzeba przypisać dalsze stanowisko Zygmunta. Ani starego Ostrogskiego nie ukarał za wicherzenia choćby odjęciem mu województwa, ani nie powściągnął swawoli szlachty dyzunickiej, ani nie usunął gwałtem niewiernych unii włądyków. Ograniczył się do prawnego nieuznawania dyzunii, co było prostym minimalnym następstwem poprzednich jego aktów w sprawie unii, ale praktycznie dyzunię tolerował i w pewnych wypadkach niektóre łaski jej czynił. Podobnie postąpiono w r. 1620 wobec wyświęconych nielegalnie w Kijowie przez patriarchę Teofana nowego metropolity i biskupów dyzunickich.

Ostatecznie utrwalenie egzystencji resztek prawosławia było dziełem polityki tolerancyjnej i pewną kapitulacją państwa wobec nielegalnej hierarchii prawosławnej. Takim kapitulacyjnym aktem było uznanie tej hierarchii przez Władysława IV w r. 1633. Nie myślimy potępiać za to drugiego Wazy. Inni powiedzą, że naprawiał on błąd swojego ojca, dosyć jednak będzie, nie wspominając o niczych błędach, uznać, że do tego kroku Władysław widział się zmuszony ówczesnym położeniem politycznym. Nie można jednak wnioskować, że swoim ustępstwem potępił on dzieło swojego ojca. Jedność kościelną i on uważał za ideał dla państwa, tylko nie widział możliwości jego zrealizowania w danych warunkach, dokonanej więc unii nie przekreślił, tylko osłabiwszy ją odstąpieniem prawosławnym części cerkwi i beneficjów, pozostawił ją nadal więcej własnym siłom. Nie zadowolnił tym zresztą całkowicie prawosławnych, którzy domagali się skasowania unii, chociażby to nie mogło się odbyć bez gwałtu, bo unia posiadała już masy przekonanych wyznawców, kadry gorliwych apostołów, owszem miała już swoich męczenników z Józafatem Kuncewiczem na czele.

Równouprawnione z unią prawosławie zorganizowało się pod auspicjami Rzeczypospolitej. Rozwinęło swoje szkoły, dorobiło się własnej akademii (tzw. Mohylańska w Kijowie),

na co unia się nie zdobyła, rozwinęło swoje piśmiennictwo. Trzeba tu zauważyć, że ten swój rozwój prawosławie zawdzięczało istnieniu unii, bo zarówno szkoły, jak piśmiennictwo, powstawały głównie dla obrony prawosławia przeciwko unii. Czy byłyby się tak rozwinęły, gdyby nie miały tego rywala i przeciwnika? Pomimo tego podniesienia się prawosławia, unia, chociaż pozostawiona własnym siłom, nie upadała, ale rozwijała się stale, a prawosławie ustępowało. Na Białej Rusi, skropionej krwią św. Józafata, unia prawie całkowicie zatriumfowała nad dyzunią. A trzeba mieć wciąż na uwadze, w jakich warunkach dokonywała swych zdobyczy. Przez państwo była ona niemal całkowicie opuszczona, bo nawet nie spełniono obietnicy Zygmunta III dopuszczenia biskupów unickich do senatu. Ze strony Kościoła łacińskiego znalazła więcej obojętnych, a nawet niechętnych sobie, niż życzliwych i pomocnych, — narzekano na nią, że wprowadziła w Rzeczypospolitej zamęt, osłabiano ją łacińskim prozelityzmem w szkołach, upokarzano małostkowymi sporami o precedencje. Jeśli mimo wszystko trwała, rozwijała się i wzmacniała wewnętrznie, to trzeba uznać, że posiadała i ona jakąś wewnętrzną siłę i uważać ją za dzieło, które się udało, jak tylko w takich warunkach udać się mogło. Częściowe zaś nieudanie się jej trzeba przypisać nie jej samej, nie tkwiącej w niej idei, ale niepomyślnym warunkom zewnętrznym, głównie owym pierwiastkom anarchicznym, które wymieniliśmy wyżej, a które toczyły publiczne życie Rzeczypospolitej w epoce narodzenia się unii.

II.

Czy unię Brzeską można czynić odpowiedzialną za późniejsze nieszczęścia Polski, za bunty i wojny kozackie, za wrogie Polsce usposobienie Moskwy?

Co do Kozaków, to dziwnym byłoby upatrywać w nich jakichś urodzonych naturalnych obrońców prawosławia. Jeszcze za Batorego Kozacy prowadzili jakieś porozumiewania się z nuncjaturą papieską, gotowi do walki z Turcją pod protektorem papieża. Bunty ich przeciwko Rzeczypospolitej poczęły się jeszcze przed unią Brzeską, a i w później-

szych ruchawkach, np. w buncie Nalewajki, pobudki religijne nie odgrywały żadnej roli. Dawali się użyć duchownym dyzunickim za narzędzie do gwałtów nad unitami w Kijowie, większą rolę odegrali w r. 1620 pod Sahajdacznym, dając osłonę bezpieczeństwa Teofanowi, podczas gdy ten nielegalnie święcił biskupów dyzunickich. Ale to nie były właściwe wojny religijne. Bunt i wojny kozackie rozbujały się na dobre znacznie później, mianowicie, kiedy hierarchia prawosławna posiadała już legalizację i kiedy prawosławni, którzy przy swej wierze chcieli pozostać i majątki i beneficja swoje utrzymać, nie cierpieli już z tego powodu żadnych prześladowań ani przykrości. Właściwa geneza wojen kozackich nie leżała też w religii, lecz w stosunkach politycznych i społecznych, o których tutaj długo by było się rozpisywać. Nienawiść do unii, na terenie zresztą kozaczyzny prawie nie istniejącej, ani gwałtem narzucanej, została wszczepiona Kozakom sztucznie przez duchowieństwo kijowskie, nawet przez tych metropolitów dyzunickich, których rząd polski już uznał i na których lojalność miał prawo liczyć. Później powiemy coś o metropolicie Sylwestrze Kosowie.

Bunt i wojny kozackie, wywieszające na swych sztandarach walkę z unią, byłyby także wybuchły i zapewne do tego samego rezultatu doprowadziły, chociażby unii wcale nie było. Wojowano bowiem przeciwko warunkom, których unia bynajmniej nie stworzyła, przeciwko „królewicom” ukraińskim, a hasła wrogie zwracały się nie tylko przeciwko unitom, ale w ogóle przeciwko „Lachom” i Żydom. Unia była tylko jednym więcej zewnętrznie przyczepionym hasłem walki.

Czy może ingerencję Moskwy w wewnętrzne sprawy Polski spowodowała dopiero unia? Otóż Moskwa nigdy nie rezygnowała z wpływów na ludność ruską w Polsce. Metropolici moskiewscy jeszcze długo po rozdziale metropolij w 1458 r. zgłaszali swoje pretensje do rządów nad prawosławnymi w Polsce i Litwie. Czynili to wtedy nawet, kiedy o unii wcale nie było słyhać i kiedy prawosławie w Polsce nie miało żadnego powodu uskarżać się na prześladowanie religijne. Zgłaszali te pretensje po prostu w imię wspólnoty

wyznaniowej, wspólnych dawnych tradycji i wspólnego ruskiego imienia. Wszak nawet wypuściwszy z swego tytułu Kijów, pisali się wciąż metropolitami „wszech Rusi”. Kiedy zaś metropolia moskiewska 1588 r. została podniesiona do godności patriarchatu i całkowicie wyzwoliła się z pod zwierzchnictwa Carogrodu, prefensje owe musiały tylko wzrosnąć, a nie zmniejszyć się. Nie wiemy na czym opiera się optymizm tych, którzy przypuszczają, że tych prefensyj nie byłoby, gdyby w Polsce nie zaprowadzono unii, lecz utrzymywano odrębną metropolię prawosławną kijowską.

Równolegle z pretensjami metropolitów moskiewskich szła polityka carów, a właściwie ona głównie podsyciała pretensje kościelne. Ingerencja Moskwy powstała nie dopiero po unii Brzeskiej; wiadomo do czego służył pretekst obrony prawosławia na Litwie carowi Iwanowi III, który przyjmował pod swoje berło zdrajców rusko-litewskich i nawet wojnę Litwie wydał na podstawie pogłosek o „przymuszaniu” do wiary rzymskiej jego córki, królowej Heleny. Carowie byli wiernymi wykonawcami testamentu Iwana Kality, pierwszego „zbieracza ziem ruskich”. A ziemie ruskie w ich pojęciu tak daleko się rozciągały, jak daleko sięgało ruskie prawosławie. Religijne zaś preteksty zawsze mogły się znaleźć: tak między innymi zarzutami, czyni Iwan III swemu zięciowi ten zarzut, że Aleksander ośmiela się budować w miastach ruskich kościoły łacińskie, „bóżnice rzymskiego zakonu”.

Testament Kality, wiernie wykonywany przez Iwanów III i IV, w miarę jak posiadali siły po temu, podjęli też pierwsi carowie z domu Romanowych i patriarcha Filaret, ojciec cara Michała. Plan wznowienia hierarchii dyzunickiej w Polsce w r. 1620 powstał właśnie w Moskwie i urzeczywistnienie jego miało służyć ekspansji wpływów moskiewskich nie tylko religijnych, ale i politycznych. Do tego użyto pretekstu prześladowania prawosławia i dowodów tego prześladowania pilnie szukano. Z delegacji kozackiej, która się wtedy w Moskwie zjawiała, starano się wydobyć skargę na takie prześladowanie, czemu jednak Kozacy zaprzeczyli zapewniając, że żadnego prześladowania z powodu swej wiary nie cierpią. Mimo to, jak wiemy, hierarchię w Kijowie wznowiono i właśnie w niej stworzono ognisko kno-
wań

przeciwko całości Rzeczypospolitej. Konszachty z Moskwą uprawiał pierwszy metropolita Borecki, to samo czynił jego następca Kopiński i inni biskupi, a wszyscy ci władcy przy nadarzonej sposobności zapewniali króla polskiego o swej wierności Rzeczypospolitej.

Zdawałoby się, że te konszachty i zdrady powinny były ustać wraz z uznaniem hierarchii prawosławnej przez Władysława IV. Czyn ten króla przedstawiać się zwykło, jako posunięcie mądre, bo przez uspokojenie prawosławnych uczyniono z nich lojalnych patriotów polskich. Nie mamy potrzeby zaprzeczać, że tak to musiało przedstawiać się w zamiarach samego króla i jego politycznych pomocników. Niestety, trochę inaczej wyglądało to w rzeczywistości. Najwięcej lojalności względem Polski okazywał metropolita Piotr Mohyla, ale trzeba pamiętać, że ten władca mołdawskiego pochodzenia i wykształcony w zachodnich szkołach nie był tak ściśle, jak inni, związany z tradycją Rusi, a z Moskwą oprócz wiary nic go nie wiązało. A przecież i on utrzymywał stosunki z carem, wyprasząc od niego materialne dary.¹⁾ Co się zaś tyczy jego następcy, Sylwestra Kossowa, stawianego zwykle jako wzór prawosławnego polskiego państwowca, to właśnie on błogosławił Chmielnickiego na rebelię przeciw Lachom, wyklinając każdego, kto rebelii nie poprze.²⁾ A prawie równocześnie starał się on u króla o dekrety przeciwko unitom i gorliwie je osobiście, np. na Chełmszczyźnie ekzekwował, wypędzając biskupa unickiego i zagrabiając cerkwie, a do Moskwy wyciągał rękę po pieniądze i „żałowańnie” od cara otrzymywał. Podkreśla się na jego korzyść, że po poddaniu przez Chmielnickiego Ukrainy Moskwie, odmówił złożenia przysięgi na wierność carowi, lecz pomija się fakt, że na powitanie przybywającego z Moskwy wielkorządcy „Małorosji” wyszedł daleko przed bramy Kijowa i w katedrze św. Zofii „mnogolecie” nowemu panu śpiewał. To wszystko przyznaje rosyjski historyk cerkwi, wykazując faryzajską dwulicowość Kossowa. Stanowczo za wiele widzi się polskości w owych prawosławnych na Ukra-

¹⁾ Makaryj: „Historia cerkwi russkiej”, tom XII, str. 12.

²⁾ Tamże, str. 18.

inie, gdy się pisze, że oni „mimo poddania tego terenu przez Chmielnickiego władzy carskiej, przyzwyczajeni do związku z kulturą polską, przez długie jeszcze lata bronili się przed uznaniem zwierzchnictwa Moskwy” (*Czas*). Więc jak to, czy sam Chmielnicki poddał Moskwie Ukrainę, nie mając nikogo za sobą? Czy Moskwa nie posiadała tam zwolenników, albo czy nie byli oni prawosławni? Czy gdyby na miejscu tych „związanych z kulturą polską” prawosławnych znajdowali się unicy, byliby skłonniejsi do uznania zwierzchnictwa Moskwy? Czy wreszcie owe długie opierania się Moskwie części Ukraińców świadczyły zawsze o ciężeniu ku Polsce, a nie raczej ku odzyskaniu tej wolności, która pozwalała Kozactwu przerzucać się od jednej strony ku drugiej, sprzedając swe szable więcej obiecującemu? Oto ile pytań nasuwa jedno nieopatrzne twierdzenie chwalczy mądrej polityki Władysława IV. Jak się w rzeczywistości rzeczy miały z owym opieraniem się Moskwie prawosławnych, najlepiej chyba poucza zachowanie się kleru prawosławnego podczas inwazji cara Aleksieja w r. 1654 na Litwę. Od Smoleńska po Wilno wszędzie i bez wyjątku witali go duchowni prawosławni jako wybawiciela.¹⁾ Unia od razu została wyjęta z pod prawa, unicy, zwłaszcza kapłani, którzy nie zdążyli ująć, stawali się męczennikami, zresztą nie sami unicy, ale i łacinnicy. Taki był rezultat dwudziestokilkoletniego równouprawnienia prawosławnych w Polsce! Taki dowód ich państwowego polskiego patriotyzmu i wdzięczności za równouprawnienie. Po takiej zaś lekcji nie wypada popisywać się też mądrością ugody Hadziackiej z r. 1656, która była nową kapitulacją Polski katolickiej przed prawosławiem. Jak wiadomo, w tworzonym przez tę ugodę księstwie ruskim unia miała być zupełnie proskrybowana. Szczęściem znaleźli się ludzie, którzy przeszkodzili ratyfikacji traktatu, haniebnego nawet z punktu widzenia religijnej tolerancji.

Ostatecznie Zadnieprze i Kijów dostały się pod „wysoką rękę” moskiewskiego cara. I cóż się stało z ową wychwalaną „polsko - prawosławną” kulturą Kijowa, z jego mohylańską akademią, z jego „polskim” klerem wyższym?

¹⁾ Makaryj, dz. cyt., str. 58 nn.

Widzieliśmy, jak ryzykowną rzeczą jest upatrywać polityczne ciążenie ku Polsce w owym „opieraniu się” zwierzchnictwu Moskwy. Kler kijowski walczył jakiś czas z zakusami patriarchatu na jego dotychczasową samodzielność, czuł wyższość swej kultury w porównaniu z moskiewską, lecz godził się łatwo z panowaniem Moskwy. Niebawem Piotr W. w wychowawcach i profesorach akademii kijowskiej znajdzie najpowszechniejszych pomocników tak w dziele rusyfikacji Ukrainy, jak i w ujarzmianiu prawosławnej cerkwi przez władzę świecką (Prokopowicz!). Wszystko to nastąpić by mogło bez unii Brzeskiej, siłą samej rywalizacji politycznej Moskwy z Polską i realnego układu sił obu państwowych organizmów.

Po pokoju Andruszowskim uszczuplona Polska pozbyła się najniespokojniejszego żywiołu prawosławnego. To, co z prawosławia jeszcze pozostało w granicach Rzeczypospolitej, szybko zmierzało do unii. Wielce tej sprawie przysłużył się jeden z największych królów, Jan III Sobieski, bez uciekania się zresztą do jakichkolwiek gwałtów czy niesprawiedliwości względem prawosławnych. Za Augusta II przyjmują unię ostatni w Polsce władcy prawosławni: przemyski, lwowski i łucki. Idea zjednoczenia do tego stopnia dojrzała, że unia przyjmuje się bez oporu. Ostatnia reduta dyzunii, stauropegia lwowska, poddaje się papieżowi w r. 1708.

Ale tu gmatwa sprawę unii polityka Augusta II, wiążącego się sojuszem z Piotrem. Ten sprzymierzeniec, pod względem religii cynik zupełny, buszując po Polsce przybiera rolę obrońcy prawosławia, zabija własną ręką w Połocku zakonników unickich, porywa i uwozi biskupów. Jemu nie chodziło o wolność sumienia, ale o przygotowania do dalszego „zbierania ziem ruskich”. Moskwa i Petersburg XVIII wieku dobrze czuły, że kurczenie się prawosławia w Polsce jest kurczeniem się obiektu rewindykacji wszechrosyjskich. Dlatego prawosławie w Polsce trzeba było podtrzymywać, dlatego Rosja wymogła na Polsce podporządkowanie resztek prawosławnych pod jurysdykcję Moskwy (pokój Grzymułtowskiego). Czy można się łudzić, że nie byłoby tej opieki, gdyby nie było unii? Że prawosławne imperium miałoby mniejszy apetyt na ziemie Polski, gdyby na nich miesz-

kały miliony prawosławnych „ruskich“, niż jaki miało, kiedy ich było już tylko kilkaset tysięcy?

Bo, że unici nie wzdychali do berła rosyjskiego i nie oni wyglądali interwencji i opieki carskiej, to aż nazbyt widoczne. Trzeba tu z naciskiem zaznaczyć, że pomimo upośledzenia cerkwi unickiej w porównaniu z obrządkiem łacińskim, żaden metropolita ani biskup, żaden zakonnik unicki nie zdradził państwa ani króla. Unici nie wiązali się nigdy z dysydentami, nie należeli do żadnego rokoszu, nie popierali żadnej obcej polityki, jeśli pominąć pewną chwiejność i niezdecydowanie w wojnie o tron między Sasami a Stanisławem Leszczyńskim, z czego im nie można czynić zarzutu, skoro wtedy sam naród polski rozdzielił się. Warto też porównać państwowy patriotyzm polski takich metropolitów unickich, jak Hrebnicki lub chwalony na Sejmie Czteroletnim, Smogorzewski z dwulicową postawą i wysługiwaniem się Rosji w Polsce biskupów dyzunickich z tegoż czasu, takiego Czetwertyńskiego, czy Koniskiego lub Sadkowskiego. Czy po takim porównaniu można jeszcze mówić, że unia była dla Polski nieszczęściem, a konserwacja prawosławia objawem mądrej polityki?

Powróćmy jeszcze do owego spolszczenia się cerkwi prawosławnej w dawnej Rzeczypospolitej, które jakoby dokonało się na skutek przywrócenia jej praw za Władysława IV. Ba, prawosławie wzbogaciło nawet kulturę polską, dając jej niemało autorów, którzy swe teologiczne utwory pisali po polsku! Lecz czy nie spolszczyła się, jeszcze w większym stopniu, unia? nie wydała także wielu polskich pisarzy? Unia właśnie, jak już mówiliśmy, była tym fermentem, który nawet i prawosławnych pobudził do głębszej nauki, do pióra, choćby tylko w obronie własnej. Spolszczenie zaś unii postąpiło tak daleko, że pod koniec XVIII stulecia unicy Bazylianie mogli przejąć po skasowanych Jezuitach cały szereg szkół polsko-łacińskich i prowadzić je w patriotycznym duchu polskim.

U zmierzchu Rzeczypospolitej, po spustoszeniach jakie poczyniły już w szeregach unii wojska Katarzyny, ruchy hajdamackie i pierwszy rozbiór, zajęto się uporządkowaniem spraw wyznaniowych. Postanowiono resztę prawosławnych

(było ich wtedy około 300 tysięcy) wyzwolić z pod ingerencji Petersburga. Zwołano konferencję w Pińsku, która miała obmyśleć projekt autonomicznej metropolii prawosławnej pod zwierzchnictwem wszakże Konstantynopola. Sejm Czteroletni projekt ten zaaprobował. Równocześnie tenże sejm wymierzył sprawiedliwość i unitom, równając ich w prawach z łacinnikami i wprowadzając przynajmniej metropolitę do senatu (na ostatnie miejsce po biskupach łacińskich!). Już było za późno! Nadanie autonomii cerkwi prawosławnej nie podołało się Katarzynie niemniej, jak sprawiedliwość okazana unitom. Przyszły rozbiory drugi i trzeci, po nich tępienie na raty unii w zabranych przez Rosję prowincjach, a z unią i polskości, rusyfikacja... Oczywiście nie byłoby zdrady Siemaszki w r. 1839, nie byłoby tragedii chełmskiej 1875 r., gdyby wcześniej nie było unii Brzeskiej, gdyby Polska sztucznie podtrzymywała przez wszystkie czasy stan posiadania cerkwi prawosławnej, jaki był za ostatnich Jagiellonów. Nie wiadomo jakby prawosławie się przedstawiało, może by rozlało się wcześniej po sektach, wewnętrznie rozpadło się i bez unii. Jeśli się wszakże utrzymało w całości, odrodziło pod polską opieką, przechowałoby to, co je najbardziej łączyło nie z Polską katolicką, ale z Rosją prawosławną, to jest wspólnotę religii. Czy samo pozostawanie takiej masy prawosławnych pod panowaniem Polaków, narodu „papistów“, nie byłoby pretekstem do wtrącania się prawosławnego sąsiada do spraw Rzeczypospolitej, czy nie budziłoby apetytów na zagarnięcie tych ziem ruskich, choćby już mocno spolszczonych? Jeżeli oskarżycielom unii wolno bawić się w przypuszczenia jak potoczyłyby się losy Polski bez unii Brzeskiej, niechaj będzie wolno i nam zaryzykować przypuszczenie. Mianowicie, że i bez niej doszłoby do rozbiorów, a wtedy rusyfikacja zaboru rosyjskiego poszłaby łatwiej, bo nie natrafiłaby na te trudności, jakie jej stawiała bądź co bądź unia. Nie byłoby przymusowych nawracań na prawosławie, to prawda, bo i bez nich byłby kraj prawosławny, ale chyba nie zyskałaby polskość owych setek tysięcy „uporstwujuszczych“ podlasiaków, jakich przygotowała unia, a wepchnęła po prostu w objęcia polskości propaganda prawosławia.

III.

Zróbmy pewną rekapitulację powyższych historycznych rozważań.

Zwolennicy twierdzenia o politycznej szkodliwości unii Brzeskiej dla Polski obracają się w sferze następujących założeń: a) bez tej unii prawosławni czuliby się całkowicie zadowolonymi z przynależności do Rzeczypospolitej polskiej; b) nie widząc swej wiary zagrożoną, nie zwracaliby swych oczu, jako do opiekunki, do jednowiernej Rosji; c) Rosja nie posiadałaby pretekstu do wtrącania się w wewnętrzne sprawy Polski; d) i nie dążyłaby do zagarnięcia ziem polskich, zamieszkałych przez szczęśliwą i bez tego ludność prawosławną.

Lecz za wiele jest tych przypuszczeń i zbyt są one optymistyczne, aż do naiwności.

Do tego, by prawosławni w Rzeczypospolitej czuli się tak dobrze, by wcale nie zwracali swych oczu w stronę Moskwy, a potem Rosji, bratniej po wierze i dawną wspólnotą historyczną i językową im bliskiej, do tego nie wystarczyłoby zaniechać kościelnej unii z Rzymem, ale trzeba było także zatarasować drogę do jakiegokolwiek ekspansji Kościoła łacińskiego na ziemiach ruskich, słowem uniemożliwić prawosławnym nawrócenia na katolicyzm, uniemożliwić wpływy języka polskiego i kultury polskiej na Rusi, choćby część ich ku nim się skłaniała, znieść jakiegokolwiek ograniczenia prawne i zrównać prawosławnych pod każdym względem z katolikami itd. Można mieć pewność, że czegokolwiek brakowałoby z wyliczonych warunków opieki nad prawosławnymi, jużby odczuwali oni, że się znajdują w państwie innowierczym, że w czymś są upośledzeni i ulegaliby pokusie ciążenia do kraju, gdzie panowała niepodzielnie ich wiara, gdzie rządził namaszczonej przez ich kościół prawowierny car. Prawosławni w rodzaju Konstantego Ostrogskiego (starszego), zadowoleni ze swej sytuacji w innowierczej Polsce, należeliby do wyjątków. Takie wszakże równouprawnienie wyznań i taka opieka nad mniejszością religijną, by równocześnie stanowiła skrupowanie dla religii większości, nigdzie w Europie praktykowane nie były

i w ogóle nie mieściły się w ówczesnych pojęciach. I w Polsce, czy za Jagiellonów, czy później, być ich nie mogło i faktycznie nie było. Bo i w cóż by się obróciła w takim razie owa misja katolickiej Polski, pionierki cywilizacji łacińskiej itd., którą jej przypisują nawet surowi sędziowie unii kościelnej? W Polsce, ani za Jagiellonów, ani tym bardziej później, nie podobna było zabronić szlachcie ruskiej przechodzić na katolicyzm (przedtem masowo przechodziła na protestantyzm), ulegać polonizacji, pociągać za sobą poddany sobie lud. A gdyby tylko to się działo, bez unii, czyż mniejsze byłyby narzekania pozostałych prawosławnych, zwłaszcza duchowieństwa, na upośledzenie i „prześladowanie” ich wiary i narodu, niż jakie podnoszono na unię, która przecież przynajmniej obrządek dawny pozostawiała nietkniętym? Obok unii faktycznie i obrządek łaciński się rozszerzał i wprost kosztem prawosławia i przez unię, którą wielu uważało za most wiodący do obrządku łacińskiego. I dlatego skargi prawosławnych w Polsce nie odnosiły się do samej tylko unii, ale w ogóle do Kościoła katolickiego, w którym prawosławie widziało „najgorszą herezję”. Jeżeli zaś na unię najgłośniej krzyczano, to dlatego, że w niej widziano najniebezpieczniejszego konkurenta, ale skargi na prześladowanie „błahocestia” rzucane były ogólnie na Lachów, panów, „papieżników” (stawiano ich obok Żydów), podburzano czerń prawosławną nawet przeciwko tym reprezentantom polskości, którzy wcale unii nie popierali. Samą unię i dlatego także uczono nienawidzić, że poprzez nią (most!) wielu trafiało do Kościoła łacińskiego. Gdyby nie doszło do unii Brzeskiej, to jedno z dwojga trzeba przyjąć: albo w takim razie dokonywałyby się procesy ekspansji katolicyzmu łacińskiego i to w stopniu intensywniejszym, niż przy unii i wówczas prawosławie miałoby ten sam pretekst albo i większy do narzekań na „prześladowanie”, albo, gdyby w jakiś sposób był hamowany przez samą Polskę, przyczyniałaby się ona do podtrzymywania tego właśnie żywiołu, na który pożądlwym okiem patrzył wschodni sąsiad, posiadający także poczucie „posłannictwa” zbierania pod swym berłem prawosławnych ruskich ziem.

Pożądlive apetyty Moskwy i Petersburga na ziemie ruskie Rzeczypospolitej musiały się budzić w każdej hipotezie, zarówno przy unii, jak i wtedy, gdyby jej nie było. Były one także pewnego rodzaju historyczną koniecznością i Rzeczypospolita nie mogła się przeciwko nim i przeciwko swemu upadkowi zabezpieczyć jedynie tylko opiekuńczą konserwacją prawosławia. Do bezpieczeństwa Polska potrzebowała mocarstwowej siły, pochodzącej z dobrego ustroju państwa i ze ściślejszego zjednoczenia duchowego ludów, które się pod jej berłem znalazły. Dobry ustrój państwa nie zależał od tej czy innej polityki wyznaniowej, do duchowego zaś zjednoczenia prowadziła jedność religijna, której też spodziewno się po unii kościelnej, jak to dobrze rozumieli pierwsi Jagiellonowie, Zygmunt III, Jan Sobieski, Skarga, Zamojski i tylu innych wybitnych polityków.

Najlepsze zabezpieczenie całości Rzeczypospolitej od Wschodu, od pożądlivej zaborczej polityki Rosji mogła właśnie i powinna była dać unia kościelna. Unia Brzeska zawiodła te oczekiwania, bo przyjęła się tylko połowicznie, a stało się to znowu dlatego, że nie doznała dostatecznego poparcia ze strony wszystkich czynników, od jakich tego poparcia miała prawo spodziewać się.

Tę właśnie przyczynę zawiedzenia nadziei przez unię silnie podkreśla historyk jej, ks. biskup Edward Likowski.¹⁾ Trudno się z nim nie zgodzić, kiedy się czyta szczegółowe dzieje unii Brzeskiej, którą można z W. Kalinką nazwać „wielką męczennicą“ nie dopiero pod rządami carskimi, ale jeszcze w katolickiej Polsce. Pomińmy brak konsekwencji w stosunku do unii i do dyzunitów już nawet za Zygmunta III; pomińmy akt Władysława IV, legalizujący hierarchię prawosławną. Lecz nawet przy równouprawnieniu politycznym prawosławia i bez uciekania się do jakichkolwiek represyj względem dyzunitów, można było inaczej zaopiekować się kościołem unickim, tak, by on samą swoją wyższością pod każdym względem stał się siłą przyciągającą dla dyzunitów.

¹⁾ *Unia Brzeska, 1896 i Dzieje Kościoła unickiego na Litwie i Rusi, 2 tomy* (Wyd. 2, Warszawa, 1906).

Należało przede wszystkim zrównać w prawach i przywilejach kler unicki z łacińskim; należało postawić na należnym poziomie kształcenie duchowieństwa unickiego i uposażyć je odpowiednio. To wszystko zawierało się w idei unii, w obietnicach Stolicy św. i rządu polskiego, lecz tego wszystkiego zaniedbano głównie z powodu oporu ówczesnej szlachty i nie dosyć katolickich zapatrywań na unię znacznej części ówczesnego łacińskiego kleru i samegoż nawet episkopatu. Unię traktowano, jako katolicyzm drugiej klasy i pomost, prowadzący do obrządku łacińskiego, — kler unicki świecki pozostawiono w ciemnocie, w jakiej był za czasów prawosławia i w upokarzającej zależności od swoich panów; biskupów unickich, nawet metropolitę nie dopuszczono do senatu; pomimo zakazów Rzymu popierano przeciąganie unitów na obrządek łaciński. Częściowo ciemnoty niższego kleru był winien także sam episkopat unicki, za mało dbający o stworzenie szkół odpowiednich, a nawet tak zasłużony skądinąd zakon Bazylianów, który przez pewien antagonizm zaniedbał podniesienia poziomu kleru świeckiego. Łatwo zrozumieć, że taki stosunek do unii rządu, szlachty i nawet bratniego kleru łacińskiego trzymał unię, jako „wiarę chłopską“, w poniżeniu i wobec dyzuników i wobec własnych jej wyznawców, że pozbawiając ją klasy oświecenijszej, osłabiał ją w jej obronie przeciwko dyzunickiej reakcji. Nic dziwnego, że dyzunicy mogli wytykać unitom, że na unii z Rzymem nic nie zyskali, owszem stracili, że kiedy za nimi — prawosławnymi — stoi opieka potężnych imperatorów Rosji, to unicy są zbywani przez rząd własny, pomimo, że pozostają mu wierni, tudzież lekceważeni przez braci po wierze, łacinników. Nic dziwnego, że w chwili, kiedy Rzeczpospolita chyliła się do upadku (nie z winy unii), wśród unitów mógł szerzyć się defetyzm, łatwość do odstępstwa, zwłaszcza gdy widziano większą opiekę i hojność rządu rosyjskiego dla prawosławia, niż polskiego dla unii. Powtarzamy, że w tych warunkach wierność unii wielkiej części unickiego kleru, wyznawstwo i nawet męczeństwo wielkich mas ludu trzeba uważać za cudowny niemal dowód wartości samej unii.

IV.

Przeszłość z jej błędami jest już przeszłością i cofnąć się nie da. Mądra polityka powinna z dawnych błędów o tyle korzystać, by unikała powtarzania ich. Błędem historii polskiej było nie dopuszczenie unii Brzeskiej, ale niedostateczne jej poparcie. Ale sytuacje w różnych wiekach nie są identyczne i ostatecznych wskazań polityka winna szukać nie tyle w historii, ale w jasno skrystalizowanym poglądzie na swoje względem narodu i państwa obowiązki.

Otóż dla narodu katolickiego, jakim jest naród polski, a zatem dla państwa polskiego, którego ogromną większość stanowią katolicy, nie może być ideałem taka opieka nad prawosławiem, która by wzmacniała je do walki z katolicyzmem, a katolicyzmowi uniemożliwiała spełnianie jego boskiej misji jednoczenia wszystkich wyznawców Chrystusa w jednym Kościele. Ideałem polskiej polityki wyznaniowej nie może być ubezpieczanie i ochranianie faktycznego rozdzielenia chrześcijaństwa, które chyba do spoistości i siły państwowej przyczynić się nie może. Z drugiej strony rozumiemy, że współczesne państwo nie może stosować metod przymusu w celu zjednoczenia religijnego. Zasada *cuius regio, eius et religio* już odżyła swój wiek. Dlatego nie domagamy się, by w Polsce dopuszczano się jakiegokolwiek ucisku prawosławnych z racji ich religii i wszelki gwałt potępiłibyśmy stanowczo.

Jakaż więc powinna by być polityka polska względem prawosławia? Streścimy krótko naszą odpowiedź.

Państwo polskie miało najpierw prawo zażądać od prawosławnej cerkwi, by, zgodnie ze swoim ustrojem, uwolniła się od wszelkiej zależności z zewnątrz. I Polska z tego prawa skorzystała, skłaniając hierarchię prawosławną do przeprowadzenia autokefalii. Dalej, jest zupełnie usprawiedliwiony pewien nadzór nad lojalnością tego kościoła, który przecież w całej swej przeszłości był tak daleki celom państwowości polskiej. Po trzecie, nie można potępić otoczenia cerkwi prawosławnej pewną protekcją państwową przeciwko prądom rozkładowym, jakimi są sekciarstwo i bezbożność; należy się także tej cerkwi podtrzymywanie jej prestiżu wobec własnych

wiernych, jak również dostateczne jej uposażenie w środki materialne.

Ale na tym winny się kończyć obowiązki państwa polskiego wobec prawosławia. Za przesadną uważamy taką opiekę ze strony państwa nad kościołem prawosławnym, która sztucznie podtrzymuje jego jedność wbrew pewnym emancypacyjnym ruchom narodowym. Za zbytęcną uważamy taką ingerencję w jego sprawy wewnętrzne, w jego nauczanie, wychowywanie kleru, w jego życie religijne, jaka nosi charakter „cezaropapizmu“, tj. rządów państwa w kościele. System ten ganimy, gdziekolwiek go spostrzegamy. Zwłaszcza, jeżeli szcycimy się rolą pionierów cywilizacji łacińskiej, winniśmy się strzec tego, co było najgorsze w „bizantynizmie“, mianowicie czynienia z kościoła małoletniego pupila, którego trzeba wciąż prowadzić na pasku, by się nie potłukł, a wyzyskiwać go do każdorazowych politycznych widoków. Prawosławiu należy dać możność stania na nogach własnych i pokazania swojej wewnętrznej wartości i siły.

Następnie, jeżeli się już nie chce czy nie może uprzywilejować katolicyzmu w celu ułatwienia mu jego misji na Wschodzie, nie wolno przez sztuczną państwową asekurację prawosławia utrudniać Kościołowi tej misji. Niechaj przynajmniej nastąpi równouprawnienie Kościoła katolickiego pod tym względem. Nie będzie zaś tego równouprawnienia, jeżeli prawosławiu pozwoli się na swobodną propagandę wśród katolików jakiegokolwiek obrządku, a równocześnie akcję misyjną Kościoła katolickiego wśród prawosławnych będzie się utrudniało środkami policyjnymi, lub jeżeli zapewniając Kościołowi prawosławnemu (art. 3 Dekretu p. Prezydenta) możność tworzenia u siebie nowych obrządków, będzie się kwestionowało legalność obrządku katolicko-wschodniego i rozwojowi jego będzie się stawiało sztuczne tany. Katolicyzm może się zrzec czynnej pomocy państwa przy spełnianiu swego posłannictwa, ale ma wtedy prawo spodziewać się, że czynna pomoc nie będzie okazywana prawosławiu przeciwko ekspansji katolicyzmu, dokonywanej środkami, jakimi Kościół rozporządza, tj. nauką, zachętą, orga-

nizowaniem życia kościelnego według zasad i metod własnych, a nie z zewnątrz narzucanych.

Tak się nam przedstawia zagadnienie aktualne, streszczające się w trzech wyrazach: państwo polskie, unia i prawosławie. I do takich wniosków zdaje się upoważniać nas sumienne studium historyczne nad losami unii Brzeskiej i jej stosunku do polskiej racji stanu.

Uzupełnienie. — W artykule naszym „Jagiellonowie wobec prawosławia i unii” ustęp, dotyczący metropolity Mizaela (*Przegląd Powsz.* styczeń r. b., str. 10) należy uzupełnić w ten sposób: Mizael zwracał się do papieża Sykstusa IV dwukrotnie. Pierwszy raz wkrótce po swym obiorze w r. 1473 i ten list był przesłany przez legata papieskiego Bonumbre, lecz tekst jego nie jest znany. Nie otrzymując odpowiedzi z Rzymu, Mizael zwraca się do papieża powtórnie w r. 1476, powołując się na list pierwszy. Tekst tego drugiego listu znany, ale historycy niektórzy podnoszą pewne wątpliwości, czy był on do Rzymu wysłany.

Ks. Jan Urban T. J.

Nowe drogi europejskiej polityki Włoch.

Rok ostatni spowodował nie w jednym z państw Europy rewizję dotychczasowych nastawień międzynarodowej polityki. Sądzymy jednak, iż największym zmianom wśród mocarstw Europy ulegać zaczęła i ulec musiała międzynarodowa polityka Italii. Jeśli bowiem nie można wątpić, że geopolityczne warunki każdego państwa oddziałują imperatywnie na przesłanki jego międzynarodowych posunięć, to właśnie warunki te zmieniły się w Italii w ostatnich czasach radykalnie. Olbrzymie imperium zamorskie, zdobyte wbrew powszechnej niemal woli całej Europy, uzyskało obecnie powszechną również sankcję międzynarodową. Równocześnie jednak z wyraźnym wzrostem światowego prestiżu, zniknęła przy północnej granicy austriacka przegroda, zabezpieczająca Italię przed bezpośrednim naciskiem potężnego sąsiada i umożliwiającą większą swobodę ruchów we wszystkich posunięciach jej dotychczasowej polityki. Fakty te musiały wpłynąć decydująco na równoczesne uaktywnienie włoskiej polityki na Śródziemnomorzu oraz w środkowej i południowo-wschodniej Europie.

Istotnie jesteśmy obecnie świadkami ogromnej ruchliwości, rozwijanej przez włoską dyplomację. Jej to właśnie zabiegi skupiają powszechną uwagę Europy. W związku też z tymi nowymi wysiłkami Italii, rzymski korespondent *Temps'a* (24/XII, 1938), czujny i długoletni obserwator życia włoskiego, dochodzi do wniosku, że

...podróż min. Ciano do Budapesztu świadczy o nowym wysiłku Italii w środkowej i bałkańskiej Europie. Wysiłek ten uzupełnia analogiczne jej poczynania na Śródziemnomorzu i w Afryce.

Chodzi tu więc o akcję dyplomatyczną o wielkim zasięgu, kierowaną na dwa równocześnie fronty.

Zapowiedziane później włoskie wizyty w Belgradzie i w Warszawie potwierdzają tym wyraźniej te uzasadnione francuskie przypuszczenia. Rzymskie odwiedziny Chamberlain'a, bez uszczerbku dla prób ogólnego regulowania spraw Europy, wykorzystane będą niewątpliwie przede wszystkim dla rozstrzygnięcia kwestyj Śródziemnomorza.

Geograficzne położenie Italii w samym środku Śródziemnomorza oraz szczupłość jej bogactw naturalnych uzależniają życie jej obywateli od politycznych i prawnych stosunków na tych właśnie szlakach wodnych. Nic więc dziwnego, że opanowanie przez Brytyjczyków wyłotów Morza Śródziemnego, łączących je ze światem, wpływa decydująco na ukształtowanie zasadniczych linii włoskiego ustosunkowania się do W. Brytanii. Polityka włoska poszukuje więc możliwie skutecznych sposobów związania floty brytyjskiej i na jej własnych macierzystych wodach i na morzach Dalekiego Wschodu. W funkcji tej samej politycznej myśli włoskie zabiegi zmierzają w dwu kierunkach: w Niemczech i w Japonii zdążają do pomniejszenia sił brytyjskich u wyłotów śródziemnomorskich, równocześnie zaś wysiłkiłożone w Hiszpanii i na Bliskim Wschodzie mają na celu spotęgowanie pozycji Italii na tych doniosłych odcinkach.

Zważywszy bowiem, że olbrzymia część włoskiego przewozu zmuszona jest przebywać drogę Gibraltaru, wojenne natomiast i gospodarcze połączenia z Abisynią zależą od Suezu i szlaków Morza Czerwonego, Anglia, celem zaszcowania Italii, zupełnie nie potrzebuje wprowadzać swych okrętów na wody Śródziemnomorza. Wystarczy jej bowiem skoncentrować swą morską i powietrzną flotę u jego wyłotów, żeby z tych umocnionych baz rozpocząć blokadę, wzorowaną na tej, którą zastosowano przeciw Niemcom w r. 1914. Blokada taka umożliwi całkowite przecięcie włoskich połączeń morskich i osiągnięcie pożądaných rezultatów zupełnie bez narażania na niebezpieczeństwo rdzenia brytyjskiej floty bojowej.¹⁾ Dlatego też mimo dyplomatycznych zabiegów

¹⁾ Kom. H. Heye w *Wehrgeographie des Weltmeeres*, 1938.

i niezależnie od tego lub innego ustosunkowania się sił na samym Śródziemnomorzu, a nawet włoskiej na nim przewagi, „jak długo flota włoska nie będzie posiadała dostatecznych środków dla przewyciężenia panującego stanowiska Anglików u śródziemnomorskich wylotów, tak długo imperium włoskie będzie sprawą, zależną od pokojowego usposobienia Anglii, lub jej wojennej gotowości”.¹⁾

Przedanschlussowa polityka Italii była w tym względzie zupełnie wyraźną. Bez żadnego krępowania się usiłowano stworzyć Brytyjczykom maksimum kłopotów u tych wylotów i tym samym osłabić brytyjskie pozycje zaporowe na Śródziemnomorzu. Usadowienie się jednak Niemiec nad Brennerem stworzyło potencjonalne możliwości niemieckiego parcia ku Adriatykowi i Bałkanom. Stąd też polityka przeciwstawiania Niemiec W. Brytanii stała się mniej pewną. Dzięki bowiem zmienionej geopolitycznej sytuacji Niemiec wyłoniły się możliwości niemiecko-brytyjskiego zbliżenia właśnie kosztem Italii. Stąd też wyraźny nawrót do polityki pojednania z W. Brytanią w rzymskim pakcie z kwietnia 1938 r., jak również stały od pewnego czasu wysiłek Rzymu do unikania wszelkich zadrażnień W. Brytanii.

Skrzyżowania interesów Italii i W. Brytanii występują najwyraźniej u wylotów Śródziemnomorza, natomiast włosko-francuskie spory dotyczą głównie jego zachodniego basenu. Geopolityczna rola Francji w tym rejonie, oraz jego olbrzymie znaczenie dla jej obronnych poczynañ uniemożliwiają jakiegokolwiek bądź trwałe uregulowanie spraw Śródziemnomorza bez francuskiego udziału.

Obecne pretensje Włoch, tak rozgłośnie reklamowane w prasie i na placach publicznych, nie były, jak sądzimy, podjęte w celu utrudnienia śródziemnomorskiego porozumienia. Przypuszczać raczej należy, że chodzi tu tylko o pewne metody dyplomacji, dziś zresztą rozpowszechnione. Wysuwa się mianowicie żądania maksymalne dla otrzymania pewnych choćby i minimalnych korzyści. Uwzględniając ponadto fakt, że w obu rywalizujących na Zachodzie grupach, każdy z uczestników żywi stałe obawy pozostania w odo-

¹⁾ Kom. H. Heye w *Wehrgeographie des Weltmeeres*. 1938.

Przegl. Pow. t. 221.

sobnieniu, na wypadek szybszego porozumienia się reszty przeciwników, można sądzić, że ostatnie pretensje Italii, zgłoszone w okresie francusko-niemieckich rozmów w Paryżu, miały być właśnie tylko próbą trwałości „osi”, a więc równocześnie stwierdzeniem fiaska tych rozmów.

Że szerokość tych pretensyj była koniunkturalnym tylko zjawiskiem, sądzić można chociażby z faktu, że włoskie reklamacje, przedstawione oficjalnie w Paryżu nie wychodzą poza ramy pretensyj do zachowania narodowościowych uprawnień licznej włoskiej ludności Tunisu. Żądanie zaś takie jest najzupełniej uzasadnione, wszak właśnie ludność włoska rozpoczęła tutaj pionierską pracę kolonizacyjną, na długo przed wkroczeniem Francuzów do tego kraju.

Ewentualne terytorialne ustępstwa w Tunisie na rzecz Italii zainteresują również w wysokim stopniu W. Brytanię. Ustępstwa te bowiem mogą jeszcze bardziej pomniejszyć bezpieczeństwo szlaków na Sycylijskim przepływie. Stąd też Rzym może być pewien, że każde jego zbyt wygórowane żądanie przyczyniać się będzie automatycznie do zacieśniania francusko-brytyjskiej solidarności. Wstępny artykuł *Times'ów* (17/XII, 38) stwierdza dowodnie prawdziwość tych właśnie przypuszczeń. W sposób wybitnie charakterystyczny zestawia on bowiem wystąpienia w tej sprawie francuskiego ministra oraz brytyjskiego premiera, pisząc, że

...p. Bonnet oświadczył w komisji spraw zagranicznych francuskiej izby, iż rząd Italii formalnie nie zażądał żadnej cesji terytorialnej, zaznaczając równocześnie, że rząd francuski takiej dyskusji się nie podejmie; prawie zaś w tym samym czasie p. Chamberlain powiedział w Izbie Gmin, że zdaniem rządu brytyjskiego porozumienie w sprawie utrzymania *status quo* na Śródziemnomorzu, ujęte anglo-włoskim paktem, winno być stosowane niewątpliwie także i do Tunisu.

Sprawa Śródziemnomorza w polityce Włoch łączy się ściśle ze sprawami imperium. Związek ten zachodzi nie tylko w dziedzinie swobody korzystania z jego morskich szlaków i wylotów w okresie wojny, lecz także i w pokojowej eksploatacji etiopijskiego imperium. Od tego bowiem jak wysokie będą opłaty na kanale Suez, zależy mniejsza lub większa rentowność abisyńskiego gospodarstwa, a tym sa-

mym i możliwość osiągnięcia konkurencyjnych uzdolnień na międzynarodowych rynkach. Jeżeli bowiem opłaty, dokonywane przez francuskich i brytyjskich użytkowników kanału, wracają do gospodarstwa Francji i W. Brytanii w postaci dywidend francuskich i brytyjskich akcjonariuszów, będących jedynymi niemal właścicielami kanału, to wpłaty włoskie są bezzwrotną stratą Italii. Nic więc dziwnego, że Italia jako drugi co do przepływającego tonażu użytkownik kanału, żąda radykalnej rewizji dotychczasowego stanu rzeczy.

Również i gospodarcze kwestie różnią Francję i Italię w kwestii Dżibutti. Nikt przecież nie wątpi, że port ten, jak i cała somalijska kolonijka Francji, żyły dotychczas z handlowych stosunków z Etiopią. Cała natomiast tragedia dzisiejszych francusko-włoskich w tej dziedzinie nieporozumień leży właśnie w braku zrozumienia przez Francuzów konieczności gruntownej rewizji dotychczasowych sposobów postępowania, oraz potrzeby uzgodnienia ich ze zmienionym w Abisynii politycznym stanem rzeczy.

Rozstrzygnięcie tych drugorzędnych w swej istocie spraw może stworzyć podstawy dla szerszego a tak koniecznego porozumienia między Francją i Italią. Porozumienie to leży niewątpliwie w interesie tych głównych potęg, dla których Morze Śródziemne posiada tak niesłychanie doniosłe znaczenie. Jak to bowiem słusznie zaznaczył Tardieu:

...nawet spierając się ze sobą, trzy te państwa mają wspólne i stałe interesy na Śródziemnomorzu i w Afryce. Ani Anglia, ani Francja, ani Italia, nie mogą się zgodzić na to, żeby Gibraltar, Bizerta lub Spezia stały się bazami wyłącznego panowania. Koniecznym jest, żeby każdy miał kompletną swobodę krążenia po tym morzu, jest to zatem interes wzajemnej wolności.¹⁾

Nic też dziwnego, że Wielka Brytania odnosi się tak przychylnie do wszystkich zabiegów, które mają na celu pogodzenie obu zwaśnionych z sobą siostr romańskich.

Aż do epoki *Anschluss'u* politykę Italii w stosunku do trzech wielkich mocarstw Europy dyktowała prawie wyłącznie troska o zachowanie swego bezpieczeństwa na wodnych przestrzeniach Śródziemnomorza. Ówczesną po-

¹⁾ *Revue des Deux Mondes* (15. XI. 38).

litykę Italii ujął rzeczowo Latinus w obszernej pracy, wydanej przez włoski Instytut studiów polityki międzynarodowej w r. 1935.

Otoczona z trzech stron morzem oraz oddzielona i zabezpieczona od reszty Europy barierą Alp, geograficznie rzecz biorąc, Italia powinna być uważana niemal za wyspę. Ta półwyspiarskość pozwala jej na pozostawanie poza kierunkami marszu głównych europejskich imperializmów, oraz powierza jej naturalną funkcję równoważnika... Z takiej też sytuacji Italii wypływa pierwsze założenie naszej polityki: Italia z natury rzeczy jest skłonna do popierania polityki równowagi w Europie i do przeciwstawienia się wszelkim w tej dziedzinie próbom hegemonii.

W okresie powojennym takie właśnie skłonności hegemoniczne zdradzała Francja. Rozbudowując bowiem swój system aliansów, zabezpieczała się ona wprawdzie przeciwko rewanżowi Niemiec, równocześnie jednak starała się skierować ich ostrze przeciw Italii. Stąd też polityka włoska, popierająca rewizyjne i zbrojeniowe pretensje Niemiec, próbowała równocześnie wiązać siły morskie byłych swych sojuszników i krępować kontynentalne poczynania Francji. Chociaż bowiem te ostatnie nie groziły bezpośrednio alpejskiej barierze Italii, okrażały ją jednak z zachodu i wschodu, a tym samym stawiały pod znakiem zapytania możliwości europejskiego zaopatrywania się w razie wojennego zamknięcia szlaków Śródziemnomorza.

Realizacja *Anschluss*'u zmieniła radykalnie całą tę sytuację. Niemcy stały się nagle bezpośrednim sąsiadem Italii. Zaledwie 70 km dzieli niemiecką granicę od Triestu. Stąd też bariera Alp, oddzielająca dotychczas Italię od statycznych, względnie neutralnych krajów, stała się nagle granicą z jednym z najbardziej dynamicznych państw tak mało przy tym przebiegającym w środkach politycznego działania. *Anschluss* stał się niewątpliwie olbrzymią klęską Italii. Aneksja Sudetów spotęgowała jeszcze niemieckie wpływy w dolinie Dunaju. O tej właśnie dolinie pisał cytowany już wyżej Latinus:

Dolina Dunaju tworzy naturalny rejon krzyżowania się prądów, bądź gospodarczych, bądź politycznych, które z północy idą na południe, a z zachodu na wschód. Wiedeń jest ośrodkiem

tego systemu. Ta właśnie geograficzna sytuacja Wiednia umożliwiła potężną ekspansję habsburskiego imperium, czyniąc z niego w pewnych momentach istotną groźbę dla całej Europy. Imperium habsburskie upadło pod uderzeniem broni włoskiej; w interesie więc Italii leży, żeby nie odrodziło się ono pod tą lub inną formą. Logicznie bowiem rzecz biorąc, jego utworzenie wywoła potrzebę podjęcia dawnych austro-węgierskich kierunków ekspansji, które, nawet wówczas gdy Habsburgowie wyrzekli się snów o panowaniu nad Italią, stale przeciwstawiały się kierunkom polityki włoskiej.¹⁾

Tak więc wśród rezultatów całego szeregu przemian, których widownią stała się Europa w r. 1938 wyróżniają się „dwa momenty najbardziej oczywiste, mianowicie upadek francuskiego systemu aliansów w środkowej i wschodniej Europie, z konsekwentnym kurczeniem się francuskich wpływów na kontynencie, oraz rozszerzenie niemieckich wpływów i autorytetu wzdłuż Dunaju i na Bałkanach”.²⁾ Biorąc jednak pod uwagę, stwierdzenie tegoż samego pisma, że „w Italii bynajmniej nie ma tendencji do zaprzeczania, iż posiada ona poważne interesy w krajach Dunaju i na Bałkanach”, należy sądzić, że z braku innych konkurentów, wcześniej czy później, będzie musiała stanąć tu ona oko w oko z Niemcami.

Że dzisiejsze włosko-niemieckie stosunki są niezaprzeczalnie doskonałe, jest to tylko dowodem, że na innych terenach antagonizmy z innymi narodami zmuszają do takiego właśnie układu sił. Nie ulega bowiem wątpliwości, że im bardziej będą naprężone stosunki na zachodzie Europy i w rejonach Północnego Morza, tym bardziej cenionym będzie przez Berlin jego związek z Rzymem. Można więc przypuszczać, że nie zbyt przesadził rzymski korespondent *Temps'a*, pisząc (8/XII, 38) o włoskiej reakcji na podpisanie niemiecko-francuskiego aktu nieagresji, iż

...nie wypowiada się tutaj (w Rzymie) wyraźnej krytyki. Uznaje się nawet, że taki dokument może być pożytecznym z punktu widzenia ogólnego. W gruncie jednak rzeczy te niemiecko-francuskie kontakty nie przeszły tutaj bez wywołania pewnego rozgoryczenia.

¹⁾ *Latinus: L'Italia e i problemi internazionali*. 1938.

²⁾ *Times*. 24/XII 1938.

W świetle tych i innych, mniejszych oraz głębszych przemian, szczególnie ważkich w środkowej i południowo-wschodniej Europie, Italia pomna, że te właśnie rejony osłaniają dostęp do Adriatyku i wschodniego Śródziemnomorza, z konieczności musiała zmienić swą dotychczasową politykę na tych terenach i politykę tę znacznie uaktywnić. Nawet, jak sądzimy, całkowita pewność, że ekspansja Niemiec skieruje się na bardziej bogate w przyszłe możliwości drogi pełnych oceanów, nie mogłaby skierować polityki Italii w tych rejonach w dawne ramy sprzed *Anschluss'u*. Konieczności bowiem zachowania mocarstwowego prestiżu i bezpieczeństwa państwa domagają się wyraźnie coraz czynniejszych jej poczynań.

To też już dziś możemy w tej dziedzinie zaobserwować znaczne przemiany. Wspomniany wyżej Latinus pisał, iż „koniecznym jest, żeby na półwyspie Bałkańskim nie mogła ustalić się czyjakolwiek zewnętrzna lub wewnętrzna hegemonia”. Dziś jednak stale rozbudowywane porozumienie Italii z Jugosławią, nasuwa przypuszczenie, że w nowej polityce włoskiej państwo to, niedawno jeszcze tak silnie związane z Francją i napotykające dotychczas właśnie dlatego na niezbyt przyjazne przeciwdziałanie Italii, przy obecnym kursie ma się stać właśnie ośrodkiem atrakcji i przewagi na Bałkanach.

Także i w szerszym zakresie polityki dunajowo-bałkańskiej i środkowo-europejskiej, postawa Italii uległa znacznym przemianom. Sądząc bowiem z twierdzenia p. d'Ormeson'a (*Temps*, 17/XII, 38), w okresie powojennym

...polityka włoska przeciwstawiała się zawsze wszelkim próbom zjednoczenia krajów Dunaju, nawet w wypadku projektów ograniczonych do ekonomicznych wyłącznie interesów... Chciała ona bowiem, żeby Europa Środkowa uległa takiemu pokawałkowaniu jakie tylko było możliwe. Widziała bowiem z radością możliwości wzajemnego przeciwstawiania się sobie państw sukcesyjnych.

Jeżeli jest w tym twierdzeniu sporo przesady, dającej się wytłumaczyć politycznym rozgoryczeniem chwili, to nie ulega wątpliwości, że konsolidacyjne wysiłki Italii w tych rejonach po *Anschluss'ie* nabrały ogromnie i przestrzennej

rozległości i rzeczowej wagi. O ile bowiem w okresie rywalizacji z Francją, tworzone tu przez Italię ugrupowania usiłowały przeciwstawić się jedynie francuskiemu okrażeniu, to obecne zabiegi Italii wskazują raczej na chęć organicznego zespolenia państw tego rejonu.

Sytuacja Italii jest oczywiście w tych poczynaniach ogromnie delikatną ze względu na jej przyjazne stosunki z niemieckim jej partnerem. Zadanie to jest równocześnie tym uciążliwsze, że właśnie Niemcy wchłaniają niemal 50% zagranicznych obrotów osiadłych tu narodów. Jak słusznie jednak zwraca uwagę *Times* (24/XII, 38), wobec zupełnie naturalnych wysiłków ze strony Italii do utrzymania i rozwinięcia jej politycznej klienteli w krajach Dunaju, również

...można podejrzewać te same kraje o chęć ściślejszego związania się z mocarstwem, o którym przypuszczają, iż jest nieprawdopodobne, żeby ono mogło utrwalić nad nimi duszącą je przewagę, której właśnie tak się obawiają ze strony Niemiec. Nieprawdopodobieństwo takie wydaje się im tym większe, że samo to mocarstwo wystawione jest, przynajmniej potencjalnie, na też same niebezpieczeństwa niemieckiej ekspansji w kierunku na Triest, jeżeli i nie na Południowy Tyrol.

Jeżeli rzymski korespondent *Times*'ów dochodzi do wyżej podanych wniosków, to jego rzymski kolega z *Temps'a*, przekazuje swemu dziennikowi nie inne konkluzje. Pisząc bowiem do swego pisma (24/XII, 38) z powodu wyjazdu min. Ciano do Budapesztu, zaznacza, że

...jest niewątpliwe, iż rząd faszystowski usiłuje utwierdzić i skonsolidować zdobyte polityczne pozycje na Węgrzech i w Jugosławii. Równocześnie zmierza on ponadto do utworzenia podstaw dla konkretnego porozumienia pomiędzy tymi dwoma krajami we wszystkich możliwie dziedzinach. Cele tego dążenia szeroko są omawiane w pismach: uzgodnić postępowania Budapesztu i Belgradu znaczy wzmocnić Triest i włoską przewagę na Adriatyku.

Komentując zdanie o „przyjaciółach naszych przyjaciół”, wypowiedziane przez min. Csaky'ego w czasie budapeszteńskiej wizyty min. Ciano, oraz jego oświadczenie o zharmonizowaniu polityki węgierskiej z polityką osi, korespondent *Times*'ów (22/XII, 38) uważa, iż w świetle obecnych włosko-jugosłowiańskich stosunków, słowa te nabie-

rają specjalnego znaczenia. Jak bowiem sądzi, można z tego „przewidywać utworzenie nowego bloku, podporządkowanego wprowadzie osi, lecz związanego z Italią specjalnymi więzami nie podzielanymi przez Niemcy”.

Rok ostatni tak bogaty w rozmaite międzynarodowe przemiany, zmusił Italię do rozszerzenia jej aktywnych zainteresowań na dalsze rejony środkowej Europy. Przede wszystkim zaznaczyło się to we wzajemnych stosunkach Italii i Polski. Stara i tradycyjna przyjaźń z wielu minionych stuleci, w nowych warunkach wspólnego z Niemcami sąsiedztwa, zaczęła przybierać bardziej realne kształty rzeczywistej współpracy. Wystąpienie Mussoliniego w sprawie równości wszystkich narodowych mniejszości Czechosłowacji, oraz przyjazne, a nawet bardzo aktywne, ustosunkowanie się prasy Italii do postulatów wspólnej polsko-węgierskiej granicy, są wyraźnymi etapami coraz czynniejszego zespala-
nia się italskiej i polskiej międzynarodowej polityki. Zapowiedziana wizyta min. Ciano w Warszawie, następująca po odwiedzinach w Budapeszcie i Belgradzie, może się stać doniosłym momentem w tworzeniu ściślejszego porozumienia zespołu połączonych na tej linii mocarstw. Chociaż polityczny stan dzisiejszej Europy, oraz ogromnie delikatna międzynarodowa sytuacja każdego niemal z czterech tych państw, nie pozwalają na oczekiwanie natychmiastowych rezultatów, to jednak tak radykalnie zmienione w ostatnim roku geopolityczne warunki tej części Europy doprowadzić muszą nieuchronnie do skonsolidowania polityki państw, leżących dotychczas w rozproszeniu na pograniczu nowej a tak potężnej Rzeszy.

Nowa polityka Italii w stosunku do środkowej Europy została w sposób ogromnie charakterystyczny ujęta we wstępnym artykule *Temps'a* (27/XI, 38). Opinia tego pisma zasługuje, naszym zdaniem, na to by jego wywody podać w obszerniejszym wyjątku. Mówią bowiem one, że

...niektóre informacje usiłują stworzyć przypuszczenia, że to właśnie w Rzymie Polska i Węgry znajdują zachętę (mowa o wspólnej ich granicy). Myślą przewodnią tej polityki faszystowskiej Italii jest ratowanie resztek jej wpływów w krajach Dunaju. Poświęcając bowiem dla niemieckiej przyjaźni swe czołowe po-

zycje w Środkowej Europie, w ten bodaj sposób pragnie Italia zachować to, co się jeszcze da ocalić. Dyplomacja włoska skłonna jest przypuszczać, że polsko-węgierski blok stać się może czynnikiem ustanawiającym równowagę. W każdym bądź razie, uważna obserwacja polemik w prasie faszystowskiej wystarczy dla przekonania się, że pewne środowiska włoskie poświęcają się specjalnemu zachęcaniu Rzeszy do wysuwania jej rewindykacji kolonialnych, z wyraźnym nastawieniem odwrócenia niemieckiej działalności od środkowej i wschodniej Europy i z nadzieją uzyskania określonych korzyści z faktu oficjalnego wysunięcia przez Niemcy ich kolonialnych pretensyj. Jest ogromnie i ze wszech miar ciekawe, że Włosi zdają się okazywać większe zainteresowanie kolonialnymi problematami Rzeszy niż sami nawet Niemcy, dla których są to raczej rewindykacje teoretyczne, prawdziwe bowiem pole ich ekspansji leży obecnie w środkowej i wschodniej Europie.

Pomijając dyskusję na temat celowości sugerowanej przez czołowy francuski dziennik idei ratowania posiadłości kolonialnych Francji kosztem skierowania ekspansji Rzeszy ku wschodnim jej sąsiadom i doradzając jego redaktorom gruntowniejsze zbadanie historycznych przyczyn wszystkich porażek Francji... nie możemy pominąć sprawy przypisywanej Italii polityki zachęcania Niemiec do wysuwania ich kolonialnych pretensyj.

Że polityka wszystkich państw wschodniej i południowo-wschodniej połaci Europy nie może być istotnie inną niż ta, którą wymienione pismo przypisuje Italii, w to chyba nikt nie może wątpić. Cała jednak, jak sądzimy, Europa jest równie zainteresowaną w tym, żeby ekspansja Niemiec nie została wślczona w tak wąskie koryto wschodnich rejonów Europy. Szczupłość bowiem ich materialnych możliwości zmusi Niemcy do monopolistycznych zapędów. Zgrupowane natomiast tu państwa, imperatywnie potrzebujące wszechstronnego rozwoju swych gospodarstw narodowych, z całą właściwą im energią przeciwstawić się będą chciały niemieckim tendencjom do hegemonii. Wynikająca z tego walka nie przyczyni się oczywiście do unormowania rozwojowych warunków Europy. Ewentualne zwycięstwo Niemiec w tym konflikcie przygotuje jedynie jutrzyszą kłóskę Zachodu. Szczęśliwe zaś wybrnięcie z tej walki zaatakowanych państw bez zachodnio-europejskiej pomocy, nie

podniesie prestiżu Zachodu, a może z innych również względów okazać się dla niego wprost fatalnym. Tak więc obydwie ewentualności konfliktu z Rzeszą na terenach wschodniej Europy należy ocenić, nawet z punktu widzenia interesów Zachodu, na wskrós negatywnie.

Skierowanie natomiast ekspansji Niemiec na szerokie szlaki mórz i oceanów, do bogatych w surowce kolonialnych krajów i do obfitujących w ludność egzotycznych państw, wskazane dla dobra i spokoju całej Europy, jest szczególnie ważne dla Italii. Rywalizując bowiem z mocarstwami Zachodu w tych dziedzinach, w Rzeszy właśnie, jako w najmniej uposażonym mocarstwie w kolonialne i morskie emporia i bazy, widzi Italia swego naturalnego sojusznika, mogącego jej ułatwić ustanowienie określonych stosunków równowagi. Znalezienie przez olbrzymie rzesze Niemców dostatnich środków zarobkowania na rozległych rynkach świata i przez wzmożone stosunki z nimi, ogromnie zredukuje niebezpieczeństwo niemieckiego ciężenia nad żywotnymi interesami Italii na Adriatyku, nad Dunajem, na Bałkanach i wreszcie na samymże wschodnim Śródziemnomorzu.

Roman Piotrowicz.

Nieznany logik polski XVII stulecia.

Warunki zewnętrzne oraz względy uczuciowe złożyły się na to, że autor niniejszej recenzji zajął się tylko pewnym wycinkiem dziejów logiki w Polsce, mając na oku wyłącznie tzw. logikę jezuicką. Dzieje tej logiki obejmują mniej więcej dwa stulecia — wiek XVII i XVIII — z nieznacznymi przesunięciami dolnej i górnej granicy. O tej logice pisał bodaj najobszerniej, ale i najbardziej powierzchownie, Henryk Struve w *Historii logiki jako teorii poznania w Polsce*, książce zdaniem naszym chybionej w samym założeniu. Pisał też o niej ks. Stanisław Bednarski T. J. w podstawowym dziele o polskim szkolnictwie jezuickim: *Upadek i odrodzenie szkół jezuickich w Polsce*. Wreszcie bardzo dobre wprowadzenie bezpośrednie do badania tych dziejów dał prof. W. Tatarkiewicz w *Materiałach do dziejów nauczania filozofii w Polsce*. Ostatnie dwie z wymienionych prac uzupełniają się wzajemnie, gdyż pierwsza z nich prawie wyłącznie uwzględnia materiał drukowany, zaś druga materiały rękopiśmienne w zakresie tzw. scholastyki wileńskiej. To, co zamierzamy przedstawić tutaj, będzie fragmentem fragmentu tych dziejów. Chcemy mianowicie zreferować wyniki dotychczasowych swych badań na jednym, wileńskim odcinku, które przyniosły nieoczekiwane owoce w postaci odkrycia niewyzyskanego dotychczas przez nikogo rękopisu, stanowiącego — o ile nie nastąpią jakieś dalsze odkrycia — szczytowy punkt rozwoju późnoscholastycznego okresu logiki w Polsce.

Opis rękopisu.

Znajduje się on w Bibliotece Uniwersyteckiej St. Bato-
rego w Wilnie, jako 2088 pozycja nowego katalogu rękopisów. Jest to niewątpliwie skrypt z wykładów logiki, spisany ręką słuchacza, na co wskazują ortograficzne błędy, możliwe do popełnienia jedynie przy pisaniu ze słuchu. Niestety skrypt ten został uszkodzony i nic oficjalnego nie wiemy ani o autorze wykładów, ani o jego słuchaczu, ani nawet o roku, w którym je spisano. Brak bowiem kilku pierwszych stronic i kilku, a może nawet i kilkunastu ostatnich oraz wszelkich orientacyjnych dopisków wewnątrz rękopisu. Jedynie na podstawie pewnych aluzji i przykładów, należących do samego toku wykładów, można ustalić następujące niewątpliwe dane, co do miejsca oraz autora wykładów. W kilku mianowicie przykładach mówi się tu o Wilnie, Grodnie, Wilii, raz nawet o Łukiszkach, czyni się aluzje do niedawnej być może elekcji na króla, słowem nie ulega żadnej wątpliwości, że kurs ten wygłoszony został w Polsce i że autorem jego jest Polak, taką bowiem zażyłość ze sprawami i geografią kraju trudno przypuszczać u cudzoziemca, zwłaszcza, że tych cudzoziemców w domniemanym czasie wykładów było w Polsce coraz mniej. Z modlitewnej dedykacji, jaką czytamy na końcu tzw. dialektyki, a w której między innymi wykładający zwraca się do św. Ignacego i św. Franciszka Ksawerego w zwrocie charakterystycznym dla jezuitów, wynika, że ten Polak jest jezuitą i że w takim razie wykłady odbyły się w Akademii wileńskiej.¹⁾ Dziać się zaś to musiało po roku kanonizacyjnym wymienionych świętych, a zatem po roku 1622, od którego datuje się to charakterystyczne dla tradycji zakonnej połączenie dwóch świętych w jednym wezwaniu, użytym właśnie w naszym rękopisie (*nostris parentibus Sancto Ignatio et Xaverio*).²⁾

¹⁾ O tej Akademii wyraźnie zdaje się mówić w innym przykładzie: *non est melioris conditionis — powiada — qui sua industria effecit, ut esset famulus lectoris Vilnensis, quam qui alicuius suffragiis in regnum Poloniae est evectus* (66 a, 14). Pierwsza liczba w nawiasie oznacza kartkę, druga paragraf.

²⁾ (Str. 59 a). *Haec sunt quae de dialectica in compendium redigenda putavi. In quibus si quid peccavimus, et erunt fortassis multa, temeritati nostrae adscribantur. Si quid veritatis atfigimus, Deo Optimo, a quo omne da-*

Z pewnych jeszcze danych, których nie będziemy tu rozwijać, gdyż wymagałoby to naszkicowania ogólniejszego tła historycznego, na co nas jeszcze nie stać, granicę czasową odkrytego rękopisu możemy bardziej zacieśnić, przyjmując za dolną rok 1660, a najdalej 1650, za górną zaś rok 1700. Omawiany bowiem rękopis należy do podręcznikowego typu wykładów, a zatem do grupy późniejszej. Nie znać też na nim żadnego śladu zbliżającego się przełomu w dziejach logiki, jaki niosły za sobą filozofia kartezjańska oraz samorzutny proces przesytu i stopniowego rozluźniania się metody scholastycznej w kierunku radykalnego zerwania z przeszłością. Nasz rękopis stoi niejako pośrodku, jest szczytowym punktem klasycznej jeszcze epoki logiki i jeżeli swą treścią wybiega naprzód, to nie do nadchodzących czasów kartezjańskich, lecz wprost do nas, tj. do tradycji logiki matematycznej. Nie tracimy nadziei, że będziemy mogli więcej powiedzieć o autorze rękopisu. Dla historii nauki w Polsce sprawa to doniosła, dla nas jednak na razie nie istotna, gdyż nieznany nasz filozof tak świetnie i dużo mówi o sobie jako o osobowości uczonego, że nie jesteśmy nadmiernie ciekawi jego nazwiska, czy metryki urodzin. Dla zupełności opisu dodajmy, że i wewnątrz skryptu brak paru kartek, rękopis zaś jest w ogóle rozmaicie czytelny, pisany raczej pośpiesznie i niestarannie w porównaniu np. z wcześniejszymi tego rodzaju skryptami.

Ogólna charakterystyka umysłowości autora

Nasz anonimowy filozof — jak będziemy mogli się przekonać — nie należy niewątpliwie do pewnego rodzaju ludzi, którzy z wielką szkodą nowożytnej umysłowości europejskiej zostali uznani za typowych przedstawicieli tzw. scholastycznego sposobu myślenia. Jak zobaczymy, filozof nasz nie tylko nie jest zacofańcem naukowym, lecz owszem obracałby się z całą swobodą i czuł znakomicie wśród najbardziej zdeklarowanych „postępowców” i pionierów nauki. Ale nie

*tum perfectum est, Dei Parenti Mariae Virgini, quam certae doctrinae scep-
trum concilia nuncupant, parentibus nostris, sancto Ignatio et Xaverio acceptum
referatur.*

jest rewolucjonistą w złym znaczeniu, gdyż wrodzona inteligencja, a zapewne i silna forma zakonnej organizacji, nie pozwalają mu na jakąś burzycielską robotę, zrywającą lekko-myślnie z całą naukową przeszłością. Umie co prawda przeciwstawiać się świadomie całej tradycji szkolnej, co czyni nieomal na każdej stronicy, ale czyni to tak, że chętnie przyznalibyśmy mu dzisiaj rację. Gdzie trzeba, nie waha się zaprzeczyć powadze Arystotelesa i wszystkich szkół scholastycznych, ale ma zawsze po temu poważne powody. O jego samodzielności i krytycyzmie świadczą choćby takie wyrażenia jak to: „pomińmy przeto różne określenia nazwy i czasownika, jakie wymyślili autorowie w duchu Filozofa, i określmy je krótko w ten sposób“... Albo inne: „odpowiadam na to po pierwsze, że zasada ta powszechnie przyjęta, jest całkowicie fałszywa“ (str. 7). Ale obok tego czytamy i takie słowa: „Ten podział — powiada nasz autor — podany przez Porfiriusza i zachowany aż do naszych czasów należy zatrzymać i szanować przynajmniej dla jego starożytności“. (156b, 146). Nieporównanie jednak częściej lubi się autor wyrażać w stylu pierwszych dwóch cytatów. Nie skąpi nawet mocnych wyrażen. „Lecz na temat tych sofistycznych igraszek wystarczy dotknąć tego, cośmy już wyżej powiedzieli“ — oświadcza na zakończenie rozdziału o negacji przynazwowej. *Sed de his sophisticis nugis...* a zatem wyrażenie, które w sam raz pasowałoby do *Historii logiki* Prantla albo naszego Struvego, nie przebiegających w epitetach na określenie średniowiecznej scholastyki.

Ogólnie mówiąc autor nasz przejawia umysłowość zupełnie nowoczesną, równą naszej, bez tych jednak stron ujemnych, które zawdzięczamy kartezjańskiej „reformie“ na gruncie logiki. Jego poczucie rzeczywistości jest bardzo rozwinięte przy jednoczesnym ostrym poczuciu formalności. Gniewają go jakieś pośrednie pomysły między rzeczywistością a logiką, wnoszone na teren logiki, jak owe *entia diminuta*, które nazywa autor *imaginationes scotisticae et thomisticae* (79, 40). Ale nominalistą autor nie jest, choć rozumie, że język logiczny zbliża się raczej do nominalistycznego niż do metafizycznego. Jego horyzonty logiczne sięgają nie-

zwykle szeroko. Problematykę, która i dzisiaj jeszcze jest aktualna i żywo dyskutowana przez współczesnych logików, uświadamia sobie nasz logik z istic logistyczną plastyką. A przy tym wszystkim autor nasz jest znakomitym wykładowcą i pedagogiem. Tak przynajmniej sądzimy po jego stylu. Dla niego naczelną zasadą dobrego wykładu to jasność, a po wtóre zwięźłość. Cechy te wprost się narzucają przy czytaniu. Przede wszystkim *claritatis gratia* — jak się wyraża — nie szczędzi przykładów. A dobór ich jest niemniej charakterystyczny. Używa wprawdzie utartych, szkolnych powiedzeń i zwrotów, ale poza tym ożywia swój wykład aktualnymi przykładami, pochwyconymi z życia (elekcja króla, jazda konna na Łukiszki, przeprawa przez Wilię, aluzje do Litwinów, etc.), okrasza swoje uwagi lekką ironią i humorem, w trosce o jasność opuszcza rzeczy zbyteczne, unika powtarzania się, a jakkolwiek jego łaciński język nie odznacza się klasycyzmem, niemniej jednak zawsze umie być zwarty i jędrny, czasem nawet lapidarny, słowem szlachetny bez cienia jakiegokolwiek barokowości i zepsutego smaku. Dowcipnie pyta autor, czy może przeciwnik (poglądów) istnieć *in rerum natura* bez swoich argumentów. I odpowiada: „Ogólnie mówiąc każdy podmiot da się oddzielić od swoich przypadłości“ (190, 181). A już po prostu kpi sobie ze zbytniego realizmu w pojmowaniu tzw. modusów (*modi*), z jakim widocznie nieraz się stykał, gdyż powiada:

Jeżeli np. urodzi się mucha w Wilnie, zmusza Garamantów i Indów, żeby wyprodukowali ze siebie coś, jak np. modus relacji, odległości, podobieństwa, niepodobieństwa, równości itp. (212, 205).

Tak przynajmniej mają twierdzić niektórzy. Jako próbkę stylu i umysłowości autora przytoczymy jeden ustęp, w którym ocenia on wartość sztuki wynajdywania terminu średniego na sposób jakiejś lullusowej mechanicznej kombinatoryki.

Mamy przed sobą most pospolicie zwany oślim, ja zaś chętniej bym go nazwał torturą wielu ongiś umysłów. Zupełnie bezużytecznie dręczyli się dawniejsi dialektycy, usiłując ułożyć jakieś niezawodne i stałe prawa wynajdywania średniego wyrażenia w każdym dyskutowanym zagadnieniu. Lecz ponieważ zrodziło się tyle naraz i tak rozbieżnych trudności poddawanych w wątpliwość

przez ludzi, wysiłek ten doszedł wprost do niezmiernego napięcia. Opadały siły mistrzów, omdlewały umysły uczniowskie i z tego stanu zwątpienia jakby z chwiejącego się mostu rzucały się w głęboką przepaść desperacji. Dlatego z uznaniem należy powitać dążenie nowszych do zburzenia tak niefortunnego mostu. Nie można bowiem żadnej właściwszej ani pewniejszej podać reguły nad bystrość umysłu, chodzenie na wykłady, pilny udział w dyskusjach, dokładne poznanie zagadnień. Otóż tę właśnie regułę wam zalecam i most szczęśliwie już przeszliście (55 a, 107).

Takich próbek można by przytoczyć znacznie więcej. Wszędzie odkrylibyśmy bez większej trudności lwi pazur tej żywej i oryginalnej inteligencji. Do jakiejż więc szkoły należy nasz anonimowy filozof? Właściwie do żadnej, sam dla siebie stanowi szkołę, z czego dobrze zdaje sobie sprawę. Jak widzieliśmy, ma zastrzeżenia nawet co do największych powag. Polemizuje nieomal ze wszystkimi, a więc z tomistami, skotystami, nominalistami, z seraficką szkołą św. Bernarda, z Fonsecą, Hurtado, z bliżej nieokreślonymi *recensiores*, nie szczędzi Suareza, do którego może najbardziej odnosi się złośliwa uwaga o wileńskiej musze, która zmusza Garamantów do wyprodukowania modusów. Zdaje się jednak — jak to zresztą wynika z ogólnej jego orientacji filozoficznej — że najbardziej poważa właśnie Suareza, choć nigdzie nie powołuje się nań wyraźnie, parę tylko razy czyni o nim wzmianki i to właśnie tam, gdzie raczej nie podziela jego poglądów (213, 206). Trudno więc mówić o jakiejś wyraźnej zależności wobec niezwykle oryginalnego i samodzielnego stanowiska autora;¹⁾ tym bardziej, że w dialektyce, czyli logice formalnej, wykazuje on bardzo żywe poczucie uniwersalności i ponadszkolnego charakteru logicznych praw, które nakazuje mu pisać logikę i nic więcej.

Do jakiego zaś stopnia jest nasz filozof miłośnikiem prawdy i jak żywo odczuwa konieczność praw logicznych, świadczyć może następujące wyrażenie, w którym z obu-

¹⁾ Z użyczonych mi łaskawie przez ks. dra A. Korcika wyjątków z podręcznika innego sławnego logika jezuickiego, Saccheri'ego, nie narzuca się żaden wniosek co do związku, jaki mógłby łączyć naszego uczonego z uczonym włoskim. Zwłaszcza, że wileński rękopis jest jeśli nie wcześniejszy, to w każdym razie niewiele późniejszy. Inaczej spodziewalibyśmy się choć wzmianki o Saccherim, gdyby wywarł on na naszym logiku wpływ bezpośredni.

rzenia przeciw naruszaniu prawdy dobiera słów najostrzejszych:

Cztery powyższe tryby proste pierwszej figury tak oczywiście konkludują, że tego, który by po uznaniu większej i mniejszej przesłanki zaprzeczył wniosek, należałoby wyśmiać albo wprost ... (wyrażenie nieczytelne; wygląda na *pugio(?) confutendus*) jako oczywistego winowajcę obrazy prawdy (53, 199).

Niemniej jednak stanowczo protestuje przeciw teologizowaniu we filozofii. Teologowie — powiada — tworzą pojęcia na rzeczach Boskich, a potem przenoszą je do stosunków ludzkich, *a divinis ad hominem descendunt* (125a, 110). Stąd częste pomyłki i fantazjowanie.

Już więc na podstawie tych luźnie rzuconych uwag można uchwycić zasadnicze kontury tej ciekawej postaci naukowej. Przede wszystkim wieje od niej właściwe umysłowości nowożytnego człowieka, tchnienie świeżości, pewnego psychologizmu i bezpośredniości, dalej nieprzeciętny krytycyzm, niezależność i oryginalność. Sposób myślenia naszego filozofa cechuje umiar, połączony ze zdolnością decyzji do zajęcia takiego a nie innego stanowiska. Szerokością spojrzenia wybiega jego umysł poza swoją epokę i sięga bodaj dalej niż my. A przede wszystkim umysłowość to obdarzona wysokim stopniem formalnego odczucia świata myśli i mowy, które pozwala mu na wręcz nieoczekiwane twierdzenia, wyjęte jakby z brulionów zdecydowanych zwolenników dzisiejszej logistyki. Wszystkie te cechy składają się na duchową sylwetę, mogącą wzbudzić sympatię nawet u najbardziej nowocześnie myślących czytelników.

Wreszcie parę słów o formie wykładów. Autor trzyma się zasadniczo metody scholastycznej. Materiał ujmuje w tezy, które udowadnia przy pomocy formalnie opracowanych dowodów. Ale nie przesadza bynajmniej w swym scholastycyzmie. Najchętniej wykład prowadzi swobodnie jakby rozdział jakiejś współczesnej książki, by na końcu ująć wszystko w przyjętą formę sylogistyczną, której nie przecenia, ale i nie lekceważy. Lubi często wyjaśniać rzecz na trudnościach, które rozwiązuje istic po mistrzowsku. Forma odpowiadania na trudności pozostawia mu dużą swobodę myśli, a jednocześnie ujmuje materiał w wyraźne łożysko.

Właśnie w tych odpowiedziach, a nawet w samych już trudnościach, które prawie nigdy nie są banalne, można znaleźć dużo ciekawych spostrzeżeń i twierdzeń, ważkich dla całego systemu scholastycznej filozofii. Ale już czas na rozbiór rzeczowy, który pozwoli czytelnikowi ocenić trafność skreślonej wyżej charakterystyki ogólnej.

Pojęcie i przedmiot logiki.

Dla naszego autora logika jest nauką formalną i tylko formalną. Tzw. logikę materialną lub logikę treści czy prawdy, jaką dzisiaj jeszcze przeciwstawia się logice formalnej uważa on za pewnego rodzaju nieporozumienie, którego następstwa doskonale umie wykazać. Przypadek chciał, że mniej więcej w tym samym czasie, kiedy czytałem to miejsce rękopisu, gdzie mowa jest o dowodach przeciw logice materialnej, prof. Łukasiewicz na jednym ze swoich wykładów mówił również na ten sam temat. O ile rozumiem, dowód prof. Łukasiewicza da się wyrazić w ten sposób: gdyby prawa logiczne opierały się na treści zdań i na niej budowały swój system, to logika musiałaby być jakąś wszechwiedzą, a logik mężem wszech nauk, co jest niemożliwe. Proszę to porównać z tym, co mówi nasz autor:

Materialnym przedmiotem logiki nie są wszystkie rzeczy... Z dowodu przeciwników widać, że mieszają oni przedmiot logiki z przedmiotami aktów dokonanych pod kierunkiem logiki: otóż przynajmniej, że wszystkie rzeczy są przedmiotem aktów dokonanych przez inne nauki przy kierownictwie logiki, nie są natomiast materialnym przedmiotem logiki, chyba dalekim... Wszystkich rzeczy — mówi autor dalej — dosięga logika nie pod kątem im właściwym ani samych dla siebie, lecz w charakterze własności poznawczych i to tylko ubocznie (73 a, 31; 77, 36).

A jeszcze lepiej wyjaśnia to na kapitalnie sformułowanym przykładzie:

Przy tym zaś, co się zwykło mówić, że czynnością logiczną jest wypowiedź: „Definicja powinna być odwracalna z członem definiowanym”, trzeba to tak rozumieć, mianowicie, że definicja formalna, będąca wyrazicielką definicji rzeczowej, powinna reprezentować całą treść, którą reprezentuje poznawcza treść członu zdefiniowanego. Ilekroć to zajdzie, definicja będzie odwracalna z członem zdefiniowanym. Logika więc dosięga definicji rzeczowej (obiektywnej), jak gdyby ta definicja była następstwem czyn-

ności logicznej, w tenże sam sposób, w jaki sztuka malarska dosięga lwa, kiedy podaje prawo: żeby był obraz lwa, trzeba, żeby ten obraz przedstawiał lwa (73 a, 33).

To ostre poczucie formalności praw logicznych ułatwia mu znakomicie przeprowadzenie bardzo wyraźnej linii demarkacyjnej między logiką a innymi naukami. O linii tej rozstrzyga w pierwszym rzędzie przedmiot logiki. Idąc za przyjętym podziałem, autor rozróżnia trzy sformułowania tego przedmiotu: przedmiotem materialnym jest według niego czynność umysłu, formalnym poprawność tej czynności, pełnym zaś (*attributionis*) — poprawna czynność. (*Sectio septima. Statuitur obiectum logicae*. 81, 48 in). Zdaje sobie przy tym sprawę, że łatwo mógłby być posądzony o psychologizm, mówi bowiem *de operatione intellectus*. Dlatego jak najkategoryczniej, aż do znudzenia powtarza, jak należy rozumieć to wyrażenie. Czynność logiczna umysłu — podkreśla — to nic innego, tylko prawa i funkcje logiczne, a więc prawa definicji, konwersji, równoważności, wnioskowania, sylogistyki itd. (60, 1; 67, 115; 86a, 49; 91, 57; 93, 59). Jasno pojmuje różnicę między poznawczą a logiczną stroną tego samego zagadnienia (79, 39; 113a, 91; 148a, 138; 151a, 141; 170a, 162; 180a, 170). W ostatnim cytowanym miejscu osiąga nieprzeciętną plastykę:

Zanotujmy po drugie, że nie należy do logiki rozstrzyganie, czy ta lub owa rzecz różni się tym lub owym rodzajem gatunkowej różnicy. To bowiem należy do nauki, która zastanawia się nad takimi rzeczami. Np. jeżeli ktoś przedłoży logikowi z jednej strony pieska bonońskiego a z drugiej moloskiego i zapyta, czy różnią się między sobą gatunkowo czy nie, logik wyszedłby poza granice swojej nauki, gdyby usiłował rozwiązywać tę wątpliwość. Odpowiedź bowiem na nią należy do nauki o psach. Dlatego logik na powyższe zagadnienie — na podstawie tego cośmy dotąd powiedzieli — może tylko tyle powiedzieć: jeżeli te dwa psy są co do istoty ściśle podobne, należą do jednego gatunku; jeżeli zaś zachodzi między nimi jakaś istotna różnica, to należą do różnych gatunków (170 a, 162; 165 a, 157).

Nie wiemy zgola, co by mógł do tych słów siedemnastowiecznego logika dodać prof. Łukasiewicz. Podkreśliłiśmy niepozorne słowo „jeżeli“, bo właśnie w nim tkwi cała doniosłość odpowiedzi autora. Nieraz zresztą daje on do po-

znania, że logika o rzeczach może się wyrażać tylko warunkowo i że warunkowość ta jest dla praw logicznych czymś istotnym (112a, 88; 168a, 161).

Logika zatem — według tego wileńskiego profesora — jest nauką najzupełniej autonomiczną, niezależną od żadnej innej nauki, natomiast nią się posługują wszystkie inne, nie wyłączając najbardziej formalnych jak matematyka. Tutaj spotykamy się jakby z jakimś przeczuciem dalszego rozwoju nauk logicznych, gdyż autor silnie podkreśla potrzebę logiki w matematyce, której podstawy wydają mu się dość grząskie (67, 115). I w tym charakterze logiki jako narzędzia innych nauk widzi autor istotne jej zadanie. Nie zgadza się więc, żeby ją uważać za sztukę dla sztuki (90, 53).

Niemniej ostra linia została przeprowadzona między logiką a gramatyką. Sylogizm, o ile tworzy pewien zespół napisów czy dźwięków, nie należy do logiki, lecz do gramatyki, jeżeli te zespoły traktować będziemy w odniesieniu do znaczenia, czyli do wyrażenia myśli, w której jest zawarty właściwy sylogizm logiczny (72, 28; 72, 29; 73, 30). Prawa bowiem logiczne formułuje myśl ludzka i bez niej napis czy wypowiedziane słowa byłyby tylko fizycznym zjawiskiem, obojętnym dla logiki. Zdanie wygłoszone czy napisane żyje życiem myśli i z niej czerpie swą sensowność lub bezsensowność (132a, 123). Jakim zaś dźwiękiem czy kształtem posłuży się myśl, by wyrazić siebie, to dla logika rzecz podrzędna, natomiast istotna dla gramatyka (73a, 31). Jak później będziemy widzieć, autor rozumie doniosłość kształtów i dźwięków dla logiki, ale nie w tym zakresie, w jakim obchodzą one gramatyków. Nominalizm, dla którego autor jako logik ma dużą wyrozumiałość (138, 128), wydaje mu się w tym wypadku dziecinadą (72, 29; 72, 28). Nadaje bowiem nazwom samoistną sensowność, której te nazwy nie mają. Z takich dalej odróżnień jak *repraesentare* i *significare* wynikałoby, że autor obok gramatyki i logiki wyróżnia i semantykę (72, 29, 179, 169). Przy tym do semantyki należałaby kwestia oznaczalności rzeczy i przedmiotów, do gramatyki poprawność mowy w stosunku do myśli, do logiki wreszcie — poprawność samejże myśli.

Te same racje, które skłoniły nieznanego profesora, do uznania faktycznej i teoretycznej autonomii nauk logicznych, skłaniają go również do uznania tzw. sofistyki i topiki za gałąź logiki (93, 61). Lat temu kilkanaście spotkałyby go gromy i bezwzględne potępienie za tę „jezuicką sofistykę“, „nieuczciwą dialektykę“ etc. Dziś nieco inaczej patrzymy na te sprawy. Zresztą argumentacja autora jest i bez zarzutu pod względem moralnym i nie do odparcia teoretycznie. To, że ktoś używa sofistyki do złego celu — wywodzi autor — jest rzeczą woli, z którą nie ma nic wspólnego logika. Sofistyka jako teoretyczna sztuka tworzenia fałszywych sylogizmów jest również nauką tak jak sylogistyka w ogóle. W takim znaczeniu należy do umysłowych sprawności i jest intelektualną cnotą *virtus* (tamże).

Największą jednak niespodziankę dla czytelnika zachował autor w małej, lecz wymownej w swej treści, notatce o stosunku logiki do metafizyki. Skończywszy dialektykę, czyli logikę formalną, uważa nasz profesor swą rolę za skończoną. To, co dalej zamierza prowadzić, to już nie jest logika. To są zagadnienia mniej lub więcej z nią związane, ale będą wśród nich i takie, które w ogóle nie należą do logiki: są to mianowicie roztrząsania na temat uniwersaliów, pojęcia bytu, stosunku i wiele innych, które nic z logiką nie mają wspólnego. Jak widzimy krytycyzm niepośledni, z którym nie łatwo spotkalibyśmy się gdzie indziej, przynajmniej w tak wyraźnej formie i to u scholastycznego pisarza. Czemuż więc nasz czcigodny reformator — możemy słusznie zapytać — mówi o tych rzeczach, o których, jak powiada swoim słuchaczom, nie powinien mówić w logice? Odpowiedź nietrudna. Sam ją zresztą daje. *Multa in logica a nobis pertractanda, quae non pertinent ad logicam...* (111, 87). A zatem po prostu nakaz, a jak gdzie indziej mówi, zwyczaj szkolny, od którego nie wypada się wyłamywać. Zresztą o czym by miał mówić profesor logiki, któremu wyznaczono cały rok wykładów, a który przedmiot swój wyczerpał w ciągu paru miesięcy? Nie był więc nasz autor w gorszym położeniu od szeregu dzisiejszych uczonych, którzy nierzadko, chcąc nie chcąc, muszą mówić np. o rasach i gatunkach człowieka, chociaż chętniej by pomówili o czym

innym. Są to arcyludzkie warunki ludzkiej wiedzy, którymi nie zawsze należy się przejmować czy gorszyć. Żle by naprawdę było jedynie wtedy, gdyby taki uczony pod wpływem zewnętrznego przymusu począł głosić pewne prawdy wbrew swemu naukowemu i moralnemu sumieniu. Tego nasz profesor stanowczo nie czyni. To też nie jest wykluczone, że już więcej nie mógł powtórzyć swych cennych uwag w Akademii wileńskiej, uczniom następnego kursu filozofii... Tłumaczyłoby to nam poniekąd, dlaczego jego genialne odczucie rzeczy tak jakoś minęło bez echa.

Że jednak tak się stało, a nie inaczej, nie stało się to z naszą szkodą. Bo autor zmuszony mówić o sprawach według swego mniemania nielogicznych, mówi o nich tak, że rzuca całe snopy właśnie logicznego światła i otwiera zupełnie nowe horyzonty tam, gdzie i my jeszcze wikłamy się w wątpliwościach, a nawet i niewiedzy. Pomówimy jednak o tym później, jeszcześmy bowiem nie tknęli właściwych wykładów logicznych, zawartych w tzw. *Dialektyce*.

Dialektyka, czyli logika formalna.

Logika, który przeszedł szkołę prof. Łukasiewicza, uderzyć musi naprzód sam układ materiału, zdradzający rękę świadomego rzeczy fachowca. Na tych 120 przeszło stronicach autor rzeczywiście potrafił mówić tylko o logice. Uderzające już jest to, że nie mówi się tu w ogóle o *simplex apprehensio*, lecz od razu o terminie i negacji jako o logicznym odpowiedniku pierwotnych funkcji psychicznych, że przechodząc do zdań, autor rozpoczyna swój wykład od rozdziału *De propositione categorica*, pomijając najzupełniej rozważania psychologiczne o naturze sądu, jakich pełno jest we współczesnych podręcznikach logiki. Samo zaś zatytułowanie odnośnej kontrowersji jest wymowne. Mówi się tu bowiem *O drugiej czynności umysłu, o ile jest wyrażona w głosach zewnętrznych*, (*De secunda mentis operatione externis vocibus significata*), jakby dla podkreślenia formalnego charakteru rozważań logicznych. Jeszcze wyraźniej stwierdza się to przy omawianiu sylogistyki, zatytułowanej *De vocibus prout argumentationem vocalem construunt et tertiae mentis operationi correspondeant* (sic!). Jakże to inaczej brzmi od tytułów

niezliczonej ilości innych współczesnych mu traktatów, zachowanych choćby w tej samej bibliotece wileńskiej, gdzie prawie z reguły mówi się *de tertio mentis operatione*! Nasz autor zgodziłby się z pewnością nazywać swoją dialektykę logiką nazw, gdyż dobrze rozumie, że kwestia nominalizmu czy realizmu lub konceptualizmu leży poza obrębem zainteresowań logicznych. A jeżeli mówi o słowach, które odpowiadają trzeciej czynności umysłu, to sprawę tę uważa za rozstrzygniętą gdzie indziej, mianowicie w psychologii, co jednak nie wpływa na bieg i wynik jego rozważań czysto logicznych (113a, 91).

To, co mówi autor o negacji, orzekaniu zdaniowym i roli spójki, brzmi dość tradycyjnie, choć tu i ówdzie bylibyśmy skłonni dopatrywać się czegoś oryginalnego. Szkoda tylko, że wskutek uszkodzenia rękopisu nie możemy być świadkami całego przebiegu rozumowania, lecz wkraczamy od razu *in medias res*.¹⁾ Ciekawie wypadł tu pogląd na supozycję. Autor uznaje jedynie supozycję formalną, a materialną nazywa *abusus nominis*, racja zaś, jaką przytacza na poparcie swego stanowiska wbrew powszechnemu przeciwnemu przekonaniu, świadczy co najmniej o niezwykle rozwiniętym zmyśle krytycznym i niezawodnym poczuciu formalnego charakteru logiki. Wierny temu poczuciu, traktat *de praedicamentis et de praedicabilibus* zbywa po prostu kilkoma zdaniami, zalicza-

¹⁾ Dla orientacji, jaka przestrzeń dzieli naszego autora od współczesnych logików scholastycznych, wystarczy zestawienie opozycji zdań, podane u O. Gredta (*Elementa philosophiae aristotelico-thomisticae*, Wyd. VII, t. I, str. 45), gdzie czytamy: *Oppositio definitur affirmatio et negatio eiusdem de eodem*, z tym, co czytamy w rękopisie wileńskim: *oppositio (complexa) est affirmatio et negatio eiusdem praedicati de eodem subiecto*. Jeszcze jaskrawiej występuje to przy konwersji. U Gredta: *conversio est inversio extremorum propositionis, referta eiusdem propositionis veritate* (str. 48); u naszego autora: *propositionum simplicium conversio est illatio unius propositionis ex altera per solam extremorum commutationem servata eadem qualitate affirmationis et negationis* (37, 136). Jest to nawet ściślej i bardziej wyczerpująco powiedziane niż u prof. T. Kotarbińskiego, który przecież reprezentuje obóz nowożytny, ściślej logiki formalnej. Na str. 212 *Elementów teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk* czytamy: „Konwersja polega na zmianie miejsc podmiotu i orzecznika danego zdania, bez zmiany jakości tego zdania”.

łąc je w sposób bardzo oryginalny do kategorii terminów takich jak *termini collectivi, divisivi, simplices, complexi*. Zresztą i tutaj niezwykle rozwinięty zmysł logiczny święci swoje triumfy: metafizyczne na ogół pojęcia jak *genus, species, differentia specifica* ujmują umysł tego nieprzeciętnego logika od strony logicznej, pod kątem mianowicie formalnego zakresu jako *termini superiores i inferiores*, czyli klasy, jakbyśmy powiedzieli w języku współczesnym (str. 9; 88, 51; 120, 102; 154a, 144). A już zupełnie współczesną plastykę osiąga jego poczucie formalności tam, gdzie mowa jest o zdaniu. To, co się twierdzi tu o zdaniu rozłącznym, bez wahania można wstawić w każdy porządną skrypt logistyczny, a kto wie, czy nie zyskałby on na jasności i sile wyrazu. Autor wyróżnia dysjunkcję właściwą i niewłaściwą. Właściwa zawiera w sobie zestawienie członów sprzecznych, wobec tego nie mogą być one jednocześnie prawdziwe. Natomiast przy niewłaściwej, przy której nie zachodzi zestawienie członów sprzecznych, obydwa człony mogą być prawdziwe, albo jak czytamy w rękopisie — wystarczy, żeby jeden z nich był prawdziwy, „o drugi zaś nie chodzi”. *Alteram non curat* — wyrażenie, nad które, jeżeli chodzi o zrozumienie subtelnej różnicy między dyzjunkcją mocną a słabą, nic lepszego nie znajdziemy, nawet przy tak bogatych środkach, jakimi dziś rozporządzamy na terenie logiki matematycznej.

Wreszcie najżywsze zdumienie ogarnia czytelnika, przyzwyczajonego do niepoehlebných sądów o całej naukowości scholastycznej, kiedy czyta zdecydowane w swym wyrazie i lapidarności, pozbawione wszelkiego wahania czy niekonsekwencji, wywody autora o wnioskowaniu. Tu już czytelnik, który nie przeszedł szkoły logistycznej, będzie musiał po raz pierwszy przedzierać się przez pojęcia, które dla naszego autora wydają się czymś oczywistym. Oddajemy przeto głos samemu autorowi:

Przypomnij sobie tutaj to — czytamy na odwrocie str. 45 — co powiedzieliśmy w numerze 89 o materii zdań, mianowicie że podwójna jest materia, jedna dokoła której albo o której mówimy, i ta jest zewnętrzna w stosunku do zdań; druga wewnętrzna, z której buduje się zdanie i wnioskowanie. Od materii zewnętrz-

nej nazywa się rozumowanie materialnym, mianowicie kiedy związek poprzednika z następnikiem zachodzi ze względu na materię czyli przedmiot, o którym mówimy. Nazywa się zaś to rozumowanie materialnym dla odróżnienia od wnioskowania formalnego, w którym wynikanie zachodzi właśnie na podstawie pewnego układu między sobą terminów i zdań niezależnie od materii (treści). Np. »Piotr jest człowiekiem, więc jest zwierzęciem« jest rozumowaniem materialnym: stąd pochodzi, że zmieniawszy materię (treść) i zachowawszy ten sam układ terminów, wynikanie zawodzi. Np. »Piotr jest kamieniem, więc jest zwierzęciem«. Przy wnioskowaniu zaś formalnym, ponieważ opiera się ono na samej koordynacji terminów i zdań, przy zachowaniu tej koordynacji zawsze zachodzi wynikanie nawet przy zmianie materii (treści). Co miał na myśli Arystoteles, kiedy formalne wnioskowanie tak by wyjaśniał: każde *a* jest *b*, lecz każde *c* jest *a*, więc każde *c* jest *b* (str. 45 a).

Gdzie indziej za *tofo rigore vera* uznaje następujące wynikanie: »Jeżeli człowiek jest biały, jest zwierzęciem«. I tutaj ma na myśli wynikanie formalne.

Tyle nasz autor. Śmiemy wątpić, czy gdyby jakiś współczesny logistyk otrzymał zadanie wyłożenia swego poglądu na sprawę formalnego wynikania, czyby uczynił to równie krótko, równie jasno i równie przekonująco, jak to uczynił ten logik, wyrosły na gruncie okrzyczanej do niedawna średniowiecznej epoki.

Powiedzieliśmy, że w tym wypadku obejdzie się bez komentarzy. Pozwolimy sobie jednak podkreślić jedno, niepozorne zdawałoby się, słówko w cytowanym wyżej ustępie, które dla nas osobiście było źródłem wielkiego zadowolenia duchowego. Może był to błąd językowy albo jakaś pomyłka piszącego, ale w rękopisie przy ostatnim przykładzie rozumowania formalnego, jakim posługiwał się Arystoteles, stoi najwyraźniej wyrażenie *explicaret*. Jeżeli autor użył tego zwrotu we formie przypuszczającej świadomie — a nie mamy dowodów na twierdzenie przeciwne — to to jedno słówko *explicaret* zamiast *explicabat*, czy *explicavit*, jakbyśmy się w tym miejscu spodziewali — nadzwyczaj efektownie potwierdza jego umysłową niezależność i samodzielność, cechy tak często poddawane w wątpliwość przez większość nowożytnych historyków logiki tradycyjnej.

Nasz autor nie powiedział jednak jeszcze wszystkiego, co miał do powiedzenia na temat wynikania formalnego. Przy omawianiu entymematu jako osobnej formy rozumowania, powtórzy raz jeszcze swoje zapatrywania w tej sprawie, ale już w takiej formie, że prześciga wszystko cośmy dotychczas od niego słyszeli. Tak bowiem rozumuje, „Piotr jest nie biały, więc Piotr nie jest biały“.

Że zaś jest to wnioskowanie formalne — dodaje — jest jasne: przy zachowaniu bowiem jedynie postaci terminów (*forma terminorum*) jest sprawne dla jakiejkolwiek treści (str. 46).

I z przykładu i ze sposobu uzasadnienia zdaje się wynikać niedwuznacznie, że dla naszego logika nie jest obca idea formalnego wynikania na drodze samych przekształceń formalnych. Uznanie przesunięcia negacji za wynikanie, a wzoru powstałego z tego przekształcenia za logiczne prawo (*in quacumque materia valet*) nie pozwala pod tym względem żywić jakichkolwiek wątpliwości.

Lecz idźmy dalej. Na odwrociu str. 46 znajdujemy prawa wynikania — *per se nota* według wyrażenia rękopisu, czyli intuicyjnie oczywiste. Pierwsze prawo brzmi: z p r a w d y wynika tylko prawda. Czyli innymi słowy autora: jeżeli zachodzi wynikanie, to nie może być poprzednik prawdziwy, a następnik fałszywy. Jeszcze wymowniejsze jest prawo drugie: z fałszu wynika bądź fałsz, bądź prawda. Wynikanie, które uznawała logika tradycyjna za wynikanie materialne, przypadkowe (*ratione materiae, per accidens*), nasz autor uznaje za wnioskowanie formalne, jak widać z dołączonych wyjaśnień. Tak więc egzamin, który dla większości dzisiejszych studentów stanowi poważny szkopuł, zdał nasz autor na bardzo dobrze. Z tego, że Lwów leży nad Wisłą wynika poprawnie, że i Warszawa leży nad Wisłą, albo — że użyjemy przykładu autora — z tego, że istnieje Antychryst, wynika, że Bóg istnieje. *Antichristus existit* (fałsz), *ergo Deus existit* (prawda). *Bona est illatio*. Tylko przyklasnąć.¹⁾ Dalsze prawa wy-

¹⁾ Jakie trudności i sprzeczny wywołuje wynikanie formalne i dzisiaj jeszcze, można się o tym dobrze poinformować z rozprawy L. Anglade S. I. w *Archives de Philosophie* Vol. XI. Paris. 1935, str. 191: *Reflexions sur un axiome de logique*. „*Ex falso sequitur quodlibet*“.

nikania mówią już o zdaniach modalnych, które omówił osobno.

Swój wykład o sylogistyce rozpoczyna nasz logik od rozpatrzenia konstrukcji zdania, analizując pojęcie materii i formy zdaniowej, przy czym dochodzi do wyników, zgodnych z całością swych twierdzeń, z których treścią już niejednokrotnie mieliśmy sposobność się zapoznać.

Odróżniając zdanie w znaczeniu materialnym (*termini et copula*), obiektywnym (treść zdania) i formalnym (układ zdania) i zaliczając do logiki jedynie pierwsze i ostatnie znaczenie, autor nie czuje już większych trudności przy wykładzie teorii sylogizmu. Do figur i trybów nie przywiązuje zasadniczego znaczenia, natomiast więcej uwagi poświęca prawom, których te figury są wyrazem. Nie odkryliśmy tu żadnych rewelacji. Uderza tylko ta sama zwięzłość, jasność i ten sam zmysł krytyczny. Największą bodaj wagę przywiązuje się tu do tzw. prawa dystrybucji (str. 49 in; 52, 193), które staje się naczelną zasadą poprawności formalnej sylogistyki. Autor widocznie chce sprowadzić wszystkie reguły poprawnego sylogizmu do tego jednego prawa tj. do prawa ścisłego wyznaczania terminu średniego. Interesująco i sugestywnie wypadło również sformułowanie podstaw sylogistyki: *dictum de omni* i *dictum de nullo* oczyszczone z wszelkich akcentów metafizycznych, brzmi tu jako podstawowe prawo logicznej teorii klas, owszem jako definicja samej klasy (152, 192). I zdaje się, że cała sylogistyka jest dla naszego nieznanego logika jakąś teorią klas czy mnogości. Wylączywszy bowiem stosunki treściowe z dziedziny logiki, musi poprzestać na rozważaniu samych stosunków zakresowych. Najciekawsze jest to, że autor stosunek podmiotu i orzeczenia we wniosku określa jako „wzajemnie tożsame” (*idem inverse*), zaprzeczając niejako prawom konwersji. Widzimy tu potwierdzenie pewnej koncepcji logicznej, sprowadzającej postać każdego zdania do wzajemnej tzw. względnej jednoznaczności, dzięki której cała sylogistyka nadzwyczajnie się upraszcza, pozbywając się mianowicie balastu figur i trybów oraz redukując prawa konwersji do jednego prawa względnej równoważności. Ale są to zagadnienia, dla których musimy dopiero przygotować odpowiedni

grunt, by w ich świetle przekonać się, o ile nasze przypuszczenia co do twierdzeń zawartych w rękopisie nie mijają się z prawdą.

Disputationes in Universam Logicam.

Mając przed sobą przeszło trzysta stronicy urozmaiconych i interesujących wykładów w rodzaju *Logische Untersuchungen* jakiegoś scholastycznego Erdmanna czy Husserla, czujemy całą niemoc przedstawienia zawartych w nich oryginalnych twierdzeń, uwag, polemik, notatek. Tu i ówdzie mieliśmy już sposobność zaglądnąć do tej części podręcznika, a dość wyczerpująco nawet omówiliśmy pierwsze stronicę *Disputationes*, kiedy mowa była o pojęciu i przedmiocie logiki. Dalszy materiał został nietknięty. Nie zamierzając jednak pisać wyczerpującego opracowania rękopisu i starając się o ile możliwości utrzymać w ramach zainteresowań czysto logicznych, mnóstwo przed nami leżących zagadnień spróbujemy ująć w ramy kilku głównych problemów. Większość ich, jako nie należących do logiki, autor traktuje z pewną niechęcią, jakiej próżnobyśmy szukali nawet u cieszącego się sławą ks. Śmigleckiego. Zaczniemy od poglądów autora na definicję i związaną z nią kwestią identyczności. Jak wszystko inne, tak i definicję pojmuje autor formalnie. Świadczy o tym już samo określenie definicji: definicja jest to sposób wiedzy wyjaśniający wiedzę o rzeczy (57, 213). Przez definicję odpowiadamy na pytanie, czym jest rzecz, czyli na pytanie o istotę rzeczy, przy czym istotę rzeczy pojmujemy się znowu bez zarzutu ze stanowiska logiki. — Logiczną mianowicie istotą rzeczy jest: „zespół takich orzeczników, dzięki którym, gdy tylko zostaną one położone, będzie podana rzecz, choć nic innego się nie doda” (ib.). Po łacinie brzmi to niezrównanie jasno i plastycznie. Autor na równi z dzisiejszymi logistykami wielką wagę przywiązuje do zewnętrznej postaci wyrażen (190a, 181) i za formalnie równoważne, czyli identyczność uznaje jedynie wyrażenie równoważne np. *homo est homo*, a nie *homo est animal rationale* (131, 120). Kształt wyrażenia — jak powiedzieliśmy — ma dla niego duże, a bodaj nawet zasadnicze znaczenie. Tak np. realną różnicę (a więc nie fizyczną) określa jako *mutua negabilitas* (118,

99), a różnicę formalną jako różny kształt tej samej rzeczy (*diversa apparentia eiusdem rei*). Przy niektórych wypowiedziach autora ma się wrażenie, że się czyta urywek z jakichś współczesnych wykładów metodologii nauk formalnych:

Nie zachodzi potrzeba (przy różnicy formalnej?), by kształt *a* przedstawiał to samo, co kształt *b*, chociaż kształt *b* nie przedstawia tego wszystkiego, co przedstawia kształt *a* — powiada nasz autor (190, 181).

Rozumiejąc dobrze korzyści, jakie przynosi dla logiki używanie języka symbolicznego, bardzo często posługuje się literami na oznaczenie pojęć i wyrażeń różnorodnych (*equus a*, *equus b*, *album a*, *album b*, *substantia immaterialis a*). Przy omawianiu jednoznaczności autor podkreśla, że chodzi o jednoznaczność wyrazu, a nie pojęcia, gdyż zdaje się rozumieć, że przy pojęciach nie zachodzi niebezpieczeństwo wieloznaczności (184, 175). Potwierdza to inną bystrą uwagę, że Arystoteles do pojęcia tożsamości nie wymagał tożsamości substancji, lecz tylko tożsamości istoty (*quidditas*) czyli cechy wyrażonej przez nazwę (184, 175). Zastrzega się jednak na początku, jakby dla uprzedzenia zarzutów nominalizmu, że rozważa tu równoważność formalną, czyli logiczną (*identitatem seu unitatem intelligi formalem*) (116a, 95; 117a, 97). Jak tożsamość (116a, 95) tak i zdanie spreczne pojmuje się tu formalnie, a więc nie treść decyduje o sprzeczności logicznej, lecz odpowiednia negacja lub zespół orzeczników uznanych za spreczne (118, 99; 201, 191; 202, 191).

Pozostaje zagadnienie klasy oraz analogii w logice. Kto choć trochę orientuje się w dzisiejszej problematyce logicznej,¹⁾ ten będzie poważnie skłonny do podejrzeń, czy już naprawdę nie idziemy za daleko i nie naciągamy myśli

¹⁾ W głównych zarysach i w ramach wzajemnego stosunku myśli katolickiej do logistyki można się z nią zapoznać ze sprawozdania sesji specjalnej III Kongresu Filozoficznego w Krakowie (26. IX. 1936), w której obok czołowych polskich reprezentantów logistyki z obozu scholastycznego, wzięt również udział prof. Łukasiewicz. Mamy pod ręką jedynie sprawozdanie w języku francuskim: *La pensée catholique et la logique moderne*, Kraków 1937, Wydawnictwa Wydziału Teologicznego U. J., choć wyszło ono i w języku polskim.

autora do zupełnie obcych mu przedstawień. A jednak jak najwyraźniej musimy mówić o klasie i o analogii, bo są to wyrażenia samego rękopisu. Jeśli chodzi o ścisłość, to raczej wypadaloby mówić o zbiorze, niż o klasie, gdyż autor mówi o *collectio* (115a, 94; 123a, 107; 125a, 110; 156, 145). Rozróżnia przy tym zbiór fizyczny, mnogość realną od mnogości logicznej. Zbiorem chętniej nazywa zbiór fizyczny, logicznym zaś jego odpowiednikiem ma być tzw. *concretum logicum* (79, 40; 148, 137); równoważne gdzie indziej z *genus* i *species*. Ciekawe jest wyrażenie *concretum logicum*. Czytelnik spodziewałby się raczej w tym miejscu jakiegoś *universale* albo *conceptus universalis*. Nasz jednak logik wyraża się tu najwidoczniej świadomie. Osobiście widzimy w tym nowe potwierdzenie pewnego stanowiska logicznego, które dotychczas nie było bodaj brane w rachubę. To *concretum logicum*, które tłumaczymy przez „ogół logiczny“,¹⁾ byłoby dla naszego autora jednostką logiczną na wzór jednostki w matematyce. Logiczna matematyka takiej jednostki opierałaby się na pojęciu zakresu i podporządkowania (*inferior, superior, confinare*), a sylogistyka byłaby logicznym systemem mnogości, czym do pewnego stopnia była zawsze, najczęściej nieświadomie. Są to jednak rzeczy, które jak wspomnieliśmy, czekają dopiero na wyjaśnienie i opracowanie systematyczne.

Dochodzimy z kolei do miejsca, które budzi poważne wątpliwości, czy omawiany przez nas rękopis można jeszcze zaliczać do logiki tradycyjnej, czy też nie należałoby go umieścić nie tylko już na przełomie, ale wprost za barierą logiki matematycznej czasów nowożytnych. Znajdujemy w nim bowiem zupełnie jasne i świadome pojęcie klasy pustej czyli takiej, której nie odpowiada żadna rzeczywistość ontologiczna, lub wprost ontycznie sprzecznej, ale logicznie sensownej i włączonej do systemu. Za wyrażenie klasy pustej byłby nasz autor bardzo wdzięczny. Nie mając jednak gotowego słownictwa tworzy — o ile orientujemy się — zupełnie nowe

¹⁾ U ks. A. S. Kobyłeckiego (*Logika a logika tradycyjna i logika matematyczna, Przegl. Powsz.* 1932, t. III, str. 209, t. IV, str. 76) znaleźliśmy wyrażenie „fikcja“ na oddanie tego samego pojęcia, które ma nasz autor na myśli.

wyrażenie, mianowicie „byt ponadtranscendentalny“, *ens supertranscendentale* (186 a, 178). „Byt ponadtranscendentalny“ jest naprzód abstraktem pojęcia bytu transcendentnego, jest klasą klas *si dicas centies exercite „incognoscibile“*; *genus generis et superius genere* (156a, 146), klasą otwartą w nieskończoność (145, 132), orzekalną jednoznacznie o wszystkich wyrażeniach, których jest logicznym abstraktem. Obok tego sensowne jest takie wyrażenie jak *alter Deus* (194 a, 184), jakkolwiek ontycznie sprzeczne (przy założeniu, że Bóg jest istotą najwyższą i nieskończoną). Definicja klasy pustej, jaką podaje (79, 40), uprawnia go do twierdzenia, że i umysł Boży może myśleć kategoriami pustymi, czyli rozumieć sprzeczność. Pojęcie klasy pustej bardzo prosto i plastycznie rozwiązuje antynomie wszechmocy Bożej (201, 189). Wreszcie naturalną konsekwencją będzie odpowiednie rozwiązanie zagadnienia analogii w logice: autor mianowicie — w stylu godnym największych geniuszy filozoficznych — orzeka, że logiczne pojęcie bytu (klasy, *concretum logicum*) odnosi się do Boga i stworzenia, substancji i przypadłości jednoznacznie (195a, 185; 190, 181). Sprawa analogii metafizycznej nie należy do logiki, tożsamość bowiem (a zatem i analogia) ontyczna jest czymś zupełnie różnym od tożsamości, czyli jednoznaczności formalnej (*subici inquam subiectione pure logica*) (ib). A jeżeli — powiada — kto przeczy temu i dopatruje się w tym twierdzeniu jakichkolwiek zamachów na istnienie czy ontyczną różnorodność Boga, ten dowodzi, że w ogóle nie rozumie problemów logicznych (ib). Jak widzimy nasz autor z powodzeniem mógłby zabrać głos w dyskusji specjalnej sesji III-go Kongresu polskich filozofów i bardzo do rzeczy oraz wymownie poprzeć wywody obrońców logistyki... W każdym razie nie byłby zaskoczony żadnym nieprzewidzianym problemem.

W wielkich skrótach przedstawiliśmy w ten sposób ciekawsze zagadnienia logiczne poruszone przez nieznanego logika polskiego XVII stulecia. Kogo te sprawy obchodzą bliżej, znajdzie bardziej źródłowe omówienie w jednym z najbliższych zeszytów *Przeglądu Filozoficznego*. Ale i te wielkie skróty nie wyczerpują wszystkich skarbów myśli, zawartych w rękopisie, a mniej już związanych z logiką. Tak np. i współcześni tomiści

nie łatwo przejdą do porządku dziennego nad wywodami autora przeciw pojmowaniu aniołów jako istot gatunkowo odrębnych (158 a, 150). Na poparcie swej tezy autor potrafi szermować cytatami św. Tomasza, odróżniając zawsze tomistów od ich mistrza. Podobnież nauka o różnicy między istotą a istnieniem została tu tak radykalnie postawiona (a dla logika bardzo sugestywnie), że właściwie przestaje być problemem (200, 189). Raz po raz wyziera z kart rękopisu niechęć do ontologizowania abstrakcyj logicznych (123 a, 106), co u metafizyków wzbudzi zapewne wątpliwości i podejrzenia co do metafizycznej prawowierności naszego filozofa. Podobnie przyjmuje nasz filozof intelektualne poznanie jednostkowe (suarezjanizm?), choć trudno nam jeszcze zorientować się, w jakim znaczeniu, zanim nie zostanie opracowany jego system orzekalności, w którym dopuszczalne są orzeczniki szczegółowe (*Petrus est hic homo* 178, 169). Sprawa ta w logice tradycyjnej może najmniej została wyjaśniona. Tyle co do główniejszych tez z zakresu zagadnień filozofii scholastycznej. Poza tym nierzadko trafiamy w rękopisie na miejsca, w których zalatuje nas bardzo nowożytna aura. Zupełnie po kantowsku brzmi np. określenie sądu naukowego (*universale et necessarium*). Zaznacza się przy tym, że nie chodzi tu o rzecz powszechną i konieczną, tylko o powszechne i konieczne powiązanie orzeczników (*obiectum scientiae debet esse necessarium secundum existentiam, nego; ...secundum connexionem praedicatorum, concedo* 104, 75). I konkluduje się w końcu: *praedictam autem necessitatem, aeternitatem, immutabilitatem et universalitatem convenire obiecto logicae certum est* (ib). Nie podziela również nasz filozof poglądu co do wyższości nauk spekulatywnych nad naukami praktycznymi (empirycznymi?): „Rozumowanie to, jak widzisz — powiada w jednym miejscu (104, 75) — całe jak jest opiera się na błędnym pojmowaniu dostojności, jaką ma przewyższać poznanie i wiedza teoretyczna wiedzę praktyczną“. W psychologii poznania czytamy wyrażenia jakby wprost zaczerpnięte ze współczesnych podręczników psychologii (127, 117, 140 a, 130). A nie wiemy już naprawdę co myśleć, kiedy się czyta uwagi autora o świadomości intelektualnej własnego „ja“ jako o niezawodnym kryterium

poznania w przeciwieństwie do zmysłów (172 a, 165). A trzeba pamiętać, że autor o tych rzeczach mówi na marginesie właściwych wykładów, a więc krótko i mimochodem. Co byśmy usłyszeli od naszego filozofa, gdyby mówił o tym *ex professo*? Być może, że poza logiką umysłowość jego nie czułaby się dobrze, te jednak fragmenty, jakie pozostały po nim, poprzeplatane notatkami z zakresu historii filozofii, te ustawiczne błyski nieprzeciętnego talentu zniewalają w końcu czytelnika i wzbudzają cześć dla nieznanego umysłu.

Co więc należy sądzić o wartości wileńskiego rękopisu? Odpowiedź na to pytanie nie może być prosta. Na logistykach, tych zwłaszcza, którzy nie zajmują się historią logiki, rękopis ten nie robi zbyt wielkiego wrażenia. Dopiero w perspektywie historii i na tle innych podręczników logiki scholastycznej, bądź ówczesnych, a tym bardziej obecnych, wileński rękopis zarysowuje się bardzo dodatnio. I na tym ogólnym stwierdzeniu musimy na razie poprzestać. Ale powstrzymamy się na razie od wyroku. Wszak nie za dobrze znamy tło historyczne, z którego wyrosła późna scholastyka, nie wiemy dokładnie, co bezsprzecznie oryginalnego zawiera nasz rękopis, a co należy rozłożyć na bezimienną po większej części tradycję naukową średniowiecza.

To tylko zdaje się nie ulegać wątpliwości, że jakkolwiek autor nasz niewątpliwie zaczerpnął niejedno gotowe już twierdzenie, które wydaje się nam oryginalne, ze współczesnej sobie tradycji szkolnej, do takiego jednak systematycznego, konsenkwentnego i świadomego nagromadzenia materiału, tworzącego najwidoczniej zwartą i przemyślaną całość, zdolna mogła być tylko jednostka, która ten materiał wchłoneła, wszechstronnie przetrawiła i uświadomiła sobie dość luźnie przed tym powiązaną problematykę logiczną. Nic więc dziwnego, że w niejednym wypadku musimy się uciekać do najslawniejszych autorów, by znaleźć odpowiedniki dla twierdzeń logika wileńskiego.

Dlaczego więc — możemy słusznie zapytać — urwała się ta tak pięknie zapowiadająca się tradycja? Przyczyn można by przytoczyć wiele. Najważniejszą będzie bodaj ta, o której najmniej da się powiedzieć coś pewnego: ów tajemniczy proces dziejowy, rządzący się mało jeszcze dla nas

zrozumiałymi prawami. W każdym razie możemy już stwierdzić dość pewnie, że tzw. odrodzenie filozoficzne, jakie niósł ze sobą kartezjanizm i prąd empiryzmu angielskiego, dla logiki stało się czynnikiem hamującym i rozkładowym. Ale może ten rozkład był znowu potrzebny, by mógł się z niego zrodzić nowy pęd myśli ludzkiej w postaci aż do przesady nieraz ścisłej logiki matematycznej? Nie wiemy. Faktem jest tylko, że bez tej logiki matematycznej, a zwłaszcza bez hasła rewizji dotychczasowych poglądów, rzuconego przez Jana Łukasiewicza, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, a którego doniosłość dla kultury europejskiej oceni dopiero przyszłość, okres średniowiecznej logiki pozostałby dla nas nadal *tabula obscura*.

Prof. Tatarkiewicz z właściwym sobie umiarem i naukową rzetelnością pisał lat temu przeszło dziesięć co następuje:

W czasach, gdy skutecznie rewiduje się sąd o wczesnej scholastyce, może warto też sprawdzić sąd o późnej. Zbiór rękopisów wileńskich daje ku temu sposobność najlepszą. Zapewne, wiadomo z góry, że nie znajdzie się w nich odkryć filozoficznych; jednak zawsze jeszcze dzisiejsza filozofia i od późnej scholastyki może się nauczyć systematyczności w stawianiu zagadnień i kultury logicznej. Ale, przede wszystkim, bada się je nie, aby czerpać pouczenia dla własnej filozofii, ale by wiedzieć, „jak naprawdę było” z filozofią w Polsce. (*Materiały do dz. naucz. filozof. na Litwie*, str. 10).

Do tych trafnych uwag profesora możemy dodać przyjemne sprostowanie: okazuje się, że w tych dawnych, zapomnianych rękopisach możemy czynić pewnego rodzaju odkrycia filozoficzne. Wyjątkowe wprowadzie, ale tym cenniejsze. A co do drugiego pytania, „jak naprawdę było z filozofią w Polsce”, poczynione kroki wstecz wypadły zachęcająco. I z nauki polskiej, niewiele różnej od współczesnej sobie francuskiej, mógł wyjść jakiś polski Kartezjusz, daleko szczęśliwszy we filozofii od francuskiego, albo nawet jakiś polski Frege XVIII stulecia, i to nie przez opozycję, lecz wprost przez nawiązanie do tradycji. Gdyby tylko nasi przodkowie — powiedzmy to sobie otwarcie — zamiast do szklarnicy miodu zaglądali częściej — do filozoficznego skryptu.

Ks. Aleksander Kisiel T. J.

Małżeństwo niemieckie.

Podług ustawy z 6 lipca 1938 r.

W poprzednim zeszycie *Przeglądu* (str. 37—51) po ogólnych uwagach na temat nowego prawa małżeńskiego w Niemczech, poddaliśmy analizie szereg przepisów szczegółowych dotyczących a) przeszkód zawarcia małżeństwa, b) jego formy, c) powodów nieważności, d) skutków jego nieważności.

Z kolei rozpatrzmy:

e) Zniesienie (*Aufhebung*) małżeństwa.

Nowa ustawa znamienne zreformowała (§§ 33 — 45) dotychczasowe zasady zaczepienia małżeństwa (§§ 1330 — 1343 i 1350 Kod. niem.). Uległa przede wszystkim zmianie dawna nazwa *Anfechtbarkeit*, możność zaczepiania, na *Aufhebbarkeit*, możność zniesienia małżeństwa, którą należy odróżniać od rozvodu *Ehescheidung* (§§ 46 i n.).

Przyczyną zmiany nazwy były, jak się dowiadujemy z motywów ustawy, następujące względy:

Podług § 33 i n. wprowadza się w miejsce możności zaczepienia, możność zniesienia małżeństwa. Gdy zaczepialność pociągała za sobą uznanie małżeństwa za nieważne już od chwili jego zawarcia, ustaje małżeństwo rozwiązane przez zniesienie dopiero z chwilą nabrania mocy prawnej znoszącego je wyroku (por. §§ 33, 34, 42 niniejszej ustawy), a więc podobnie jak w razie rozvodu.

Następujące powody były miarodajne dla wprowadzenia tej zmiany: Jest to sprzecznym z naszym dzisiejszym zapatrywaniem o wartości i znaczeniu małżeństwa, żeby umożliwić jednemu

z małżonków późniejsze przekreślanie małżeństwa ze skutkami sięgającymi aż do chwili jego zawarcia, z przyczyn czysto umowno-prawnych (*vertragsrechtliche*), ograniczonej zdolności do działań prawnych, albo innych braków woli (*Willensmängel*). Nie jest też usprawiedliwione łączenie z tymi brakami woli jednego z małżonków, podobnych następstw, jak z naruszeniem obowiązujących zakazów małżeńskich wydanych w interesie ustroju ludowego, a to tym bardziej, jeżeli te następstwa zależą wyłącznie od woli jednego z małżonków. Istniejące w chwili ślubu braki woli zasadniczo nie mogą następnie usunąć ze świata wspólnoty życiowej małżonków, stworzonej przez zawarcie małżeństwa. Mogą one tylko w pewnych wypadkach uprawnnić małżonka, w którego osobie istniały, do odmówienia kontynuowania małżeńskiej wspólnoty życiowej... Nie wydaje się przy tym właściwym proste zastąpienie dotychczasowej zaczepialności małżeństwa przez przyznanie możliwości rozvodu. Wprawdzie pod względem skutków pokrywają się zniesienie i rozwód, a także bardzo często będą one zbliżone w swoich powodach; trzeba jednak było zasadniczo odróżnić między wypadkami, w których powód do rozwiązania małżeństwa istniał już w chwili jego zawarcia a okolicznościami, powodującymi zaistnienie przyczyny rozwiązania dopiero w czasie trwania małżeństwa. Dalej nie rozciąga się na wszystkie wypadki prawo przebaczenia, istniejące w prawie rozwodowym... a wreszcie może żądać zniesienia małżeństwa w wypadku ograniczonej zdolności do działań prawnych, ewentualnie także prawny zastępca, a więc na podstawie własnego prawa osoba trzecia (§ 75, 1, zdanie 2). Tymczasem prawo do żądania rozvodu może zasadniczo przysługiwać tylko jednemu z małżonków.

Okoliczności uzasadniające żądanie zniesienia małżeństwa są wyszczególnione w §§ 35 i n. Orzeka o nich sąd (§ 34), a to na wniosek jednej ze stron, względnie jeżeli chodzi o osoby niesamowolne na wniosek prawnego zastępcy. Postępowania z urzędu nie przewidziano.

Jako pierwszy powód (§ 35) podano brak zezwolenia prawnego zastępcy, o ile chodzi o osoby niesamowolne. Zasadniczo, jak słusznie podniesiono w motywach, postanowienie to odpowiada §§ 1331, 1335, 1337 Kod. niem. W razie odmówienia zezwolenia bez słusznych powodów (§ 35, 3) może je udzielić na wniosek jednego z małżonków sąd nadopieczunkczy. Prawo do żądania zniesienia małżeństwa ustaje, jeżeli prawny zastępca udzielił zezwolenia, albo jeżeli małżonek znajdujący się pod opieką uzyskał pełną samodzielność i chce nadal utrzymać związek.

Terminy, w których można żądać zniesienia małżeństwa, zarówno w tym jak w innych wypadkach, wynoszą 1 rok, niekiedy 6 miesięcy (§§ 40 — 41).

Jeżeli w chwili zawarcia małżeństwa jedna ze stron była nieświadomą o jaki akt chodzi (*error in negotio*), lub nie miała woli wyrażenia zgody, albo zachodzi błąd co do osoby drugiego małżonka, to można żądać zniesienia związku (§ 36, 1). Odpowiada to ściśle sformułowaniu zaczepialności związku w §§ 1332 i 1-ej części 1333 Kod. niem.

Jednak (§ 36, 2):

Die Aufhebung ist ausgeschlossen, wenn der Ehegatte nach Entdeckung des Irrtums zu erkennen gegeben hat, dass er die Ehe fortsetzen will.

Natomiast od dotychczasowego ujęcia dawnej II części § 1333, odbiega § 37, 1:

...ein Ehegatte kann Aufhebung der Ehe begehren, wenn er sich bei der Eheschliessung über solche die Person des anderen Ehegatten betreffende Umstände geirrt hat, die ihn bei Kenntnis der Sachlage und bei richtiger Würdigung des Wesens der Ehe von der Eingehung der Ehe abgehalten hätten.

Otóż dotychczas zamiast *des anderen Ehegatten betreffende Umstände*, § 1333 przewidywał możliwość zaczepienia małżeństwa z powodu błędu *über solche persönliche Eigenschaften des anderen Ehegatten*, a zamiast *richtiger Würdigung*, mówił o *verständiger Würdigung*.

Rozszerzono zatem tutaj obecnie możliwość stosowania tego przepisu na wypadki poprzednio nieznane. Motywy nie przeczą temu, nie wyjaśniają jednak należycie dlaczego się tak stało. Musimy przy tym pamiętać, że jeżeli już dawniej § 1333 budził niejednokrotnie poważne wątpliwości, gdyż nigdy dostatecznie nie zostało sprecyzowane o jakie „przymioty osobiste” chodzi, to obecnie, gdy zastąpiono je „okolicznościami dotyczącymi drugiego małżonka” niejasność wzrosła. Termin uprawnienia do wniesienia skargi biegnie, podobnie jak w wypadkach przewidzianych w §§ 36 i 38 od chwili wykrycia błędu.

Mogłoby się na pierwszy rzut oka zdawać, że w § 37, 1, ustawodawca poszedł po linii rozszerzenia praw indywidu-

alnych. Tak jednak nie jest, gdyż zaraz w następnym punkcie (2) dodano:

Die Aufhebung ist ausgeschlossen, wenn der Ehegatte nach Entdeckung des Irrtums zu erkennen gegeben hat, dass er die Ehe fortsetzen will, oder wenn sein Verlangen nach Aufhebung der Ehe mit Rücksicht auf die bisherige Gestaltung des ehelichen Lebens der Ehegatten sittlich nicht gerechtfertigt erscheint.

Z małymi zmianami, które nie posiadają znaczenia praktycznego, utrzymano w § 38, 1 postanowienia § 1334 Kod. niem. o błędzie spowodowanym przez podstępne zwiedzenie. Pozostało także i to dosłownie (§ 38, 3) ostatnie zdanie § 1334, w którym odmówiono błędowi w kwestii stosunków majątkowych wszelkiego znaczenia.

Racjonalnej zmianie uległa redakcja przepisu o skutkach wprowadzenia w błąd drugiego małżonka przez osoby trzecie (§ 38, 2). Brzmi on obecnie:

Die Aufhebung ist ausgeschlossen, wenn die Täuschung von einem dritten ohne Wissen des anderen Ehegatten verübt worden ist, oder wenn der Ehegatte nach der Entdeckung der Täuschung zu erkennen gegeben hat, dass er die Ehe fortsetzen will.

Powodem wreszcie ostatnim uzasadniającym żądanie zniesienia małżeństwa jest groźba karalna (§ 39). Analogicznie jak to było już dawniej w § 1335 Kod. niem., także i obecnie w razie zawarcia małżeństwa pod wpływem groźby karalnej (bezprawnej) można żądać jego zniesienia. Prawo do skargi gaśnie, jeżeli po ustaniu położenia przymusowego, małżonek uprawniony do jej wniesienia godzi się na utrzymanie i nadal wspólnoty małżeńskiej (§ 39, 2). Termin do wniesienia skargi biegnie od chwili ustania położenia przymusowego.

Pomijając szczegółowe postanowienia o terminach skargi (§§ 40 i 41), przechodzimy do § 42, który nas poucza o cywilno-prawnych następstwach zniesienia małżeństwa. W pełni znajdują tutaj zastosowanie przepisy, które obowiązują w razie rozwodu (§ 42, 1). Za stronę winną uważa się tę, która w wypadkach §§ 35 — 37 wiedziała o powodach uzasadniających żądanie zniesienia małżeństwa, a gdy chodzi o §§ 38 i 39, dopuściła się wprowadzenia w błąd, lub groźby.

f) Zawarcie nowego małżeństwa w razie uznania jednego z małżonków za zmarłego.

Zasadniczo utrzymano w tym wypadku w mocy dawne przepisy. Postanowienia nowej ustawy (§ 43) pokrywają się zupełnie z § 1348 Kod. niem. Zaledwie tylko drobne zmiany wprowadza § 44 w porównaniu z §§ 1349 i 1350 Kod. niem. Możemy się tutaj nad nimi nie zastanawiać, podobnie jak i nad postanowieniami § 45, który omawia prawa alimentacyjne dzieci.

g) Rozwód.

W przepisach, które regulują prawo rozwodowe (§§ 46 — 83), występują ponownie jasno dalsze usiłowania realizacji nowych poglądów o istocie małżeństwa. I tym razem w motywach mówi się o tym obszernie, otwarcie i szczerze. Zapoznanie się też z nimi jest rzeczą konieczną, gdyż przecież w sposób autorytatywny przedstawiają myśl przewodnią ustawodawcy.

Dowiadujemy się zatem:

Jakkolwiek już od dziesiątków lat powszechnie i głośno wyrażano życzenie żeby na nowo ukształtować prawo rozwodowe, to jednak nie było zgody co do celów, do jakich należało dążyć przez taką reformę. Oto też musiały się rozbić wszelkie dotychczasowe jej próby. Do nowego rozwiązania zagadnienia rozwodu prze wreszcie także z całą siłą jednolity, nowy światopogląd, w którym skupił naród niemiecki narodowy socjalizm... Po zjednoczeniu Austrii z Rzeszą niemiecką wydaje się to tym pilniejsze, ponieważ dla największej części małżeństw nie istnieje w Austrii w ogóle możliwość rozwodu. Założenia, z których nowe prawo powinno wypływać, wynikają wyraźnie z narodowo-socjalistycznego pojęcia o istocie małżeństwa.

Podstawami ludowego współżycia społecznego są małżeństwo i rodzina, od których zależą siła i zdrowie, wartość i trwanie wspólnoty ludowej. Kryją one w sobie te siły, których rozwinięcie i działanie zapewnia wieczność życia ludowego. Dzięki temu, że małżeństwo zapewnia przez obowiązek wzajemnej wierności, stałość naturalnemu związkowi płci, staje się ono ostoją bogactwa w potomstwo i niezastąpionym warunkiem zdrowego i uporządkowanego jego wychowania...¹⁾ Ten pogląd jest

¹⁾ Zasługuje na uwagę, że może tu chodzić tylko o materialną stronę wychowania. Na duchową przecież tracą rodzice coraz bardziej możność wywierania wpływu z ukończeniem przez dziecko 7-go roku życia.

nie do pogodzenia z liberalistycznym, który upatruje w małżeństwie rodzaj umownego związku celowego dla urzeczywistnienia interesów indywidualnych. Dla narodowo - socjalistycznego państwa istnieje bowiem najgłębszy sens małżeństwa poza indywidualnymi interesami małżonków.

Z drugiej zaś strony nie upatruje się uświęcenia instytucji małżeństwa wzorem poglądów konfesyjnych w zaświatowych wyobrażeniach i religijnych więzach, lecz w znaczeniu małżeństwa dla trwania i zdrowia ludu niemieckiego.

Wynika z tego z jednej strony, że unormowanie prawa rozwodowego musi przejść do porządku nad zastrzeżeniami, jakie mogą powstawać z czysto religijnych zapatrywań przeciwko rozwiązaniu małżeństwa. Z drugiej strony nie może być celem reformy, stworzenie ogólnych ułatwień rozwodowych w znaczeniu indywidualistycznego pojmowania małżeństwa. Obniżyłoby się bowiem wartość małżeństwa, jeżeliby się umożliwiło uwolnienie z jego więzów każdemu małżonkowi, który nie znajduje w nim w pełni upragnionego osobistego szczęścia... Może być zatem tylko celem ustalenie możliwości uczciwego rozwiązania takiego małżeństwa, które stało się bezwartościowym dla wspólnoty ludowej, a dla małżonków świadomych w pełni swoich obowiązków nie może już warunkować należytego małżeńskiego współżycia.

W motywach przyznano, że niezmiernie trudnym jest pełne osiągnięcie tego celu. Ścierają się też w tej chwili w Niemczech dwa kierunki, jeden mianowicie żąda unormowania kazuistycznego, a więc wyszczególnienia poszczególnych powodów rozwodowych, drugi natomiast pragnąłby zwiększyć ogólnego uznania możliwości rozwiązania każdego małżeństwa nie posiadającego już wartości dla wspólnoty ludowej. Problem ewentualnej winy małżonków byłby bez znaczenia.

Ale jak czytamy dalej:

To drugie rozwiązanie zalecane przez zasługujące na uwagę instancje, mogłoby być przyjęte, gdyby przeważająca większość ludu została już tak głęboko przepojona narodowo - socjalistycznym światopoglądem — jak tego nie można oczekiwać po dopiero 5-letniej narodowo - socjalistycznej pracy wychowawczej.

Bez wątpienia zasada antyindywidualistyczna nie jest jeszcze w pełni zrealizowana przez obecną ustawę. Musimy jednak ciągle pamiętać, że jest ona tylko tymczasowa, sta-

nowi etap od wczorajszych, do obecnie głoszonych poglądów. Ale już z tego, co dotychczas powiedziano, mogliśmy się przekonać, że ten etap jest zgoła niepośledni i że nowe poglądy antychrześcijańskie i antyindywidualistyczne kroczą, przynajmniej na razie, zwycięsko naprzód.

Tylko redakcyjnej zmianie uległ § 1564 Kod. niem., a § 46 nowej ustawy. A zatem tak jak dawniej rozwód może być orzeczony tylko przez sąd, w wypadkach przewidzianych ustawą. Małżeństwo zostaje rozwiązane z chwilą uprawomocnienia się wyroku. Utrzymano także dawne postanowienia § 1565 Kod. niem. (obecnie § 47), jeżeli chodzi o rozwód z powodu cudzołóstwa.

Ale już następny § 48 wprowadza nowy dotychczas nieznaną powód rozwodowy. Stanowi go wzbranianie się płodzenia, wzgl. rodzenia potomstwa. Brzmi on dosłownie:

Ein Ehegatte kann Scheidung begehren, wenn der andere sich ohne triftigen Grund beharrlich weigert, Nachkommenschaft zu erzeugen oder zu empfangen, oder wenn er rechtswidrige Mittel zur Verhinderung der Geburt anwendet oder anwenden lässt.

W motywach wyraźnie oświadczone, że ten nowy powód rozwodowy został wprowadzony:

...by dać wyraz poglądom, że małżeństwo służy przede wszystkim utrzymaniu i pomnożeniu narodu.

Zamiast szczegółowego podania dalszych powodów rozwodowych, które powstają z winy jednego z małżonków (dawne §§ 1565 i 1566 K. n.) zadowolono się ogólnym ich ujęciem w § 49. Słyszemy zatem:

Ein Ehegatte kann Scheidung begehren, wenn der andere durch eine sonstige schwere Eheverfehlung oder durch ehrloses oder unsittliches Verhalten die Ehe schuldhaft so tief zerrütet hat, dass die Wiederherstellung einer ihrem Wesen entsprechenden Lebensgemeinschaft nicht erwartet werden kann. Wer selbst eine Verfehlung begangen hat, kann die Scheidung nicht begehren, wenn nach der Art seiner Verfehlung, insbesondere wegen des Zusammenhangs der Verfehlung des anderen Ehegatten mit seinem eigenen Verschulden sein Scheidungsbegehren bei richtiger Würdigung des Wesens der Ehe sittlich nicht gerechtfertigt ist.

I w tym wypadku porzucenie ujęcia dawnego Kodeksu niemieckiego (§§ 1565 i 1566) i odmienna stylizacja § 49 takąż w porównaniu z § 1568 nastąpiły ze względów ideologicznych.

Jeżeli już w §§ 47 — 49, które dopuszczają rozwód wskutek zawinienia jednej ze stron, nowe poglądy na istotę małżeństwa zostały silnie zaakcentowane, to bodaj jeszcze pełniej dano im wyraz w §§ 50 — 53, gdy chodzi o przyczyny rozwodowe przez żadnego z małżonków niezawinione.

Dotychczas istniał tylko jeden powód, przy którym motyw winy nie wchodził w grę. Było nim trwałe i trwające przynajmniej przez 3 lata obłąkanie (§ 1569), a nie było widoków, żeby mogła zostać przywrócona łączność duchowa między małżonkami. W nowym ujęciu (§ 51) opuszczono termin 3-letni. Obok obłąkania wprowadzono jako nową przyczynę rozwodową *geistige Störung* (§ 50). W tym wypadku:

Ein Ehegatte kann Scheidung begehren, wenn die Ehe infolge eines Verhaltens des anderen Ehegatten, das nicht als Eheverfehlung betrachtet werden kann, weil es auf einer geistigen Störung beruht, so tief zerrüttet ist, dass die Wiederherstellung einer dem Wesen der Ehe entsprechenden Lebensgemeinschaft nicht erwartet werden kann.

Gdybyśmy nie znali oficjalnych motywów ustawy, nie łatwo by nam było zrozumieć na podstawie brzmienia § 50, o co właściwie tutaj chodzi. Jasnym jest tylko, że nie o obłąkanie (*Geisteskrankheit*), gdyż o tym mówi przecież osobno § 51.

Na szczęście nie potrzebujemy sobie łamać głowy dociekając woli ustawodawcy, gdyż ten jasno nas poucza:

...jak już wspomniano, musi postanowienie, że w przyszłości nie będzie już wyłączenie rozstrzygać interes indywidualny małżonków przy zagadnieniu rozwodu... prowadzić do tego, że w szerszym aniżeli dotychczas zakresie umożliwia się rozwód bez zawinienia. Do najbardziej jaskrawych wypadków... należą tutaj, jeżeli jeden z małżonków wykazuje wobec drugiego zachowanie kłótniwe (*zänkisch*), albo w ogóle niezgodne z istotą małżeństwa, które na stałe uniemożliwia należyte współżycie małżeńskie. Taki stan podług dotychczasowego prawa nie mógł zaś

uzasadniać rozwodu, ponieważ małżonek naruszający pokój małżeński, z powodu chorobliwego duchowego usposobienia, np. w razie hysterii, nie odpowiadał za swoje postępowanie. Jego wykroczenia małżeńskie nie były zatem zawinione w rozumieniu § 1568 Kod. niem.

Możemy nie podkreślać, do jakich konsekwencji może prowadzić takie pojmowanie rzeczy w społeczeństwie, w którym walka religijna i światopoglądowa nabrała bardzo ostrego charakteru.¹⁾

Ze stanowiska chrześcijańskiego, upatrującego istotę małżeństwa także w obowiązku do wytrwania obu stron w złej i dobrej doli, muszą szczególnie razić §§ 52 i 53. Zawarte w nich postanowienia były także dotychczas nieznane.

Pierwszy z tych dwóch paragrafów uzasadnia prawo do żądania rozwodu w razie zakaźnej, lub wzbudzającej odrazę choroby jednego z małżonków. Brzmi on dosłownie:

Ein Ehegatte kann Scheidung begehren, wenn der andere an einer schweren ansteckenden oder eckelerregenden Krankheit leidet und ihre Heilung oder die Beseitigung der Ansteckungsgefahr in absehbarer Zeit nicht erwartet werden kann.

Pogarda i lekceważenie Nietzsche'go dla osób słabych i chorych, wypowiedziana tak stanowczo np. w Antychryście, uzyskała tu sankcję prawną w imię nowej ideologii, odrzucającej chrześcijaństwo, jako niegermańskie.

W motywach § 52 zbyto krótkim powiedzeniem:

Jeżeli nawet często nie można przypisać winy cierpiącemu na taką chorobę, to jednak tego rodzaju choroby uniemożliwiają normalne współżycie małżeńskie, tak, że w takich wypadkach nie mogą już zostać urzeczywistnione istota i cel małżeństwa.

To samo, czytamy dalej, musi obowiązywać (§ 53) i w wypadkach, jeżeli jeden z małżonków stał się przedwcześnie bezpłodnym²⁾, ponieważ wtedy niewykonalny jest najważniejszy cel małżeństwa.

¹⁾ Przypominam, że *geistige Störung* jako przeszkoda do zawarcia małżeństwa została już poprzednio wprowadzona w § 1, 1 c, tzw. *Erbgesundheitsgesetz*. Jak widzę z różnych orzeczeń sądów zdrowia dziedzicznego (*Erbgesundheitsgericht*), w praktyce rodzą się ciągle poważne wątpliwości.

²⁾ Chodzi o tzw. *impotentiam generandi*, a nie *coeundi*.

Ta nowa germańska zasada prawna, została zredagowana (§ 53, 1) w następujących słowach:

Ein Ehegatte kann Scheidung begehren, wenn der andere nach der Eheschliessung vorzeitig unfruchtbar geworden ist.

Posiadanie potomstwa (§ 53, 2) lub dziecka wspólnie przez oboje małżonków adoptowanego, wyklucza prawo do żądania rozwodu. Skargi nie może wnieść małżonek bezpłodny, oraz ten, kto w myśl przepisów zdrowotnych nie mógłby zawrzeć nowego związku (§ 53, 3).

Pewne ograniczenie w stosowaniu tych przepisów (§§ 50 — 53), zawiera § 54. Musimy jednak powiedzieć, że pozostawia on sądowi bardzo szeroką i należycie nie sprecyzowaną swobodę decyzji.

Ostatnim powodem rozwodowym, jaki przewiduje ustawa jest faktyczne zerwanie wspólnoty małżeńskiej, uzewnętrzniające się przez oddzielne zamieszkanie przez lat 3 (§ 55).

Prawo do żądania rozwodu gaśnie w wypadkach spowodowanych z winy jednego małżonka (§ 56) przez przebaczenie, oraz upływ terminu do wniesienia skargi (§§ 57 — 59).

Nie będziemy się tutaj zajmować szczegółowymi normami, które ustalają orzeczenie rozwodu (§§ 60 — 61), oraz jego skutki prawne (§§ 62 — 65, nazwisko rozwiedzionej żony, §§ 66 — 80 prawa alimentacyjne, §§ 81 — 82 opieka nad dziećmi).

Tak samo możemy pominąć przepisy przejściowe (§§ 84 — 98), które nie zmieniają zgoła obrazu istoty małżeństwa niemieckiego w ujęciu ustawy z 6 lipca 1938.

h) Specjalne przepisy dla Austrii.

Obok ogólnie obowiązujących przepisów koniecznym było wydanie specjalnych dla Austrii (§§ 99 — 128).

Potrzeba ich była istotną, bo jeżeli już dla Niemiec nowe prawo małżeńskie stanowi poważną zmianę stanu dotychczasowego, to dla Austrii oznacza ono zupełny przewrót. Stanowczo zrywa z całą przeszłością odebranie Kościołowi katolickiemu i innym uznanym wyznaniom kompetencji w zakresie małżeństwa. Prawo udzielania ślubów ważnych dla państwa przeniesiono na urzędników stanu cy-

wilnego (§ 99), którym zresztą rozporządzenie z 2 lipca 1938 (RGBl. I. Str. 803) przekazało już w ogóle prowadzenie ksiąg stanu cywilnego.

Jeżeli chodzi o Kościół katolicki, to należy sobie tutaj przypomnieć, że jego tradycyjne uprawnienia w zakresie prawa małżeńskiego, zostały jeszcze istotnie wzmocnione przez art. 7 Konkordatu z 5 czerwca 1933 r., ratyfikowanego 1 maja 1934 r.

Wprowadzenie zatem nowej ustawy w czasie trwania Konkordatu, którego nawet nie wypowiedziano, stanowi bez wątpienia jaskrawe pogwałcenie prawa.

Nie można przy tym zupełnie zgodzić się z teorią głoszoną obecnie w Niemczech, że wraz z połączeniem Austrii z Niemcami sam przez się upadł i Konkordat.¹⁾ Podług panującej teorii połączenie to nastąpiło przecież w drodze dobrowolnej. Zapewne akt ten stanowił naruszenie układu w St. Germain, narzuconego Austrii po katastrofie w r. 1918. Poza tym jednak trudno twierdzić, żeby połączenie „dobrowolne” przekreśliło *ipso facto* i wszelkie umowy zawarte przez Austrię w latach 1918 — 1938.

Wzorem Niemiec uszczęśliwiono także i Austrię wprowadzeniem zakazu ślubu kościelnego przed zawarciem cywilnego (§ 100, 1). W stosunku jednak do § 67 ustawy z 6 lutego 1875,²⁾ który nakładał na winnego duchownego grzywnę do 300 marek, lub więzienia do 3 miesięcy, przewidziano tutaj grzywnę do 10,000 marek, lub karę więzienia do lat 5. Tylko w razie niebezpieczeństwa śmierci (§ 100, 2) ślub wyznaniowy może poprzedzić cywilny.

Pomijając przepisy §§ 101 — 113 o charakterze przejściowym, przechodzimy do separacji (§§ 114 — 117).

Jak wiadomo, w myśl Kodeksu austriackiego małżeństwo katolickie bez względu na późniejszą ewentualną zmianę wyznania jednego lub obojga małżonków nie mogło być rozwiązane, a tylko separowane od stołu i łoża.

¹⁾ Prof. dr Werner Weber: *Das Reichskonkordat in der deutschen Rechtsentwicklung* (Zeit. d. Akad. f. deutsches Recht, Berlin, 1 sierpnia 1938 r., str. 534).

²⁾ RGBl. 23.

Obecnie § 115, 1 zezwolił każdemu z separowanych małżonków żądania orzeczenia rozwodu. Właściwą instancją jest sąd okręgowy. Orzeczenie (§ 115, 2) winno być wydane w postępowaniu niespornym. Istniejące, względnie ustalone przy orzeczeniu separacji uprawnienia majątkowe jednej ze stron nie ulegają zasadniczo zmianie (§ 115, 3 — 5). Stwierdzone w wyroku separacyjnym cudzołóstwo (§ 116) posiada znaczenie przewidziane w § 9.

Toczące się postępowanie separacyjne (§ 117, 1), jeżeli nie zachodzi wzajemne porozumienie się stron (§ 109, Kod. austr.), należy traktować, jako skargę rozwodową zgodnie z postanowieniami nowej ustawy. W tym też celu trzeba odpowiednio zmienić treść skargi. Należy natomiast oddalić żądanie separacji za wspólnym porozumieniem (§ 103 Kod. austr.).

Ważność małżeństwa przed wejściem w życie niniejszej ustawy ocenia się podług dotychczasowych przepisów (§ 118, 1). Jednak zasada ta nie obowiązuje bez wyjątku. Ważne ograniczenie stanowi, że małżeństwa katolickie zawarte w formie kościelnej korzystają w pełni z tego przepisu tylko wtedy, o ile ślub odbył się przed 1 maja 1934. Jeżeli istnieją okoliczności, które uzasadniają zniesienie małżeństwa (§ 118, 2) to obowiązują przepisy nowej ustawy.

Małżeństwo nieważne podług dotychczasowego prawa (§ 118, 3), o ile w dniu 1 kwietnia 1938 r., małżonkowie żyli ze sobą, może być na ich żądanie uważnione. Warunkiem jest naturalnie, żeby taki związek odpowiadał obecnym wymogom.

Poprzednio orzeczone unieważnienia małżeństwa pozostają w mocy (§ 119). Nowe kościelne orzeczenie nieważności nie może już być wykonane (§ 120, 2).

Wreszcie w §§ 121 — 127 wydano przepisy o uważnieniu tzw. *Dispensehen*, małżeństw zawartych z dyspensą od przeszkody związku małżeńskiego (*ligaminis*), udzielanych nielegalnie i wbrew pozytywnym przepisom austriackiego Kodeksu cywilnego. Tę praktykę wprowadziły po r. 1918 specjalnie wiedeńskie władze administracji ogólnej, w epoce rządów socjalistycznych. Sądy austriackie odmawiały tym związkom z reguły ważności. Obecnie mogą ją uzyskać i to

z mocą wsteczną (§ 121). Będą zatem uważane za ważne od chwili zawarcia.

Nie potrzebujemy dodawać, że wszelkie obowiązujące dotychczas w Austrii przepisy prawa małżeńskiego zostają z wejściem w życie nowej ustawy uchylone (§ 128). Obowiązuje ona od dnia 1 sierpnia 1938 r. (§ 129).

Niezwykle szerokie uprawnienia przyznano dla wprowadzenia w życie ustawy ministrowi sprawiedliwości. Czytamy bowiem (§ 131):

Der Reichsminister der Justiz wird ermächtigt, die Vorschriften des bürgerlichen Gesetzbuchs und andere Gesetze, soweit erforderlich, zu ändern und zu ergänzen um sie mit den Bestimmungen dieses Gesetzes in Einklang zu bringen, sowie Vorschriften zur Durchführung und zur Ergänzung dieses Gesetzes zu erlassen.

Korzystając z tych pełnomocnictw, które stanowią bez wątpienia częściowo delegację władzy ustawodawczej, wydał minister sprawiedliwości Rzeszy w dniu 27 lipca 1938 r., obszerne rozporządzenie wykonawcze. Nie mamy powodu go rozważać w ramach zakreślonych niniejszemu artykułowi.

3. Zakończenie.

Ocena dokonanego dzieła reformy instytucji małżeńskiej w Niemczech, której zasady starałem się tutaj możliwie zwięźle przedstawić, musi oczywiście wypaść rozmaicie. Będzie to zależało od tego, czy rozważa się je ze stanowiska katolickiego, liberalno-laickiego, lub laicko-totalnego. Na sąd muszą także wpłynąć i obiektywne doświadczenia historyczne i socjologiczne, które nie łatwo mogą nas skłonić do poglądu, jakoby były bezwartościowe dla teraźniejszości, rozpoczynającej na podstawie świeżo odkrytej wyłącznej prawdy nowy rozdział dziejów.

Przecenianie nowych pomysłów, które przy bliższym rozważaniu okazują się zwykle nie tak znowu bardzo nowe, powtarzało się już nieraz. Ten objaw w czasach ostatnich szczególnie jaskrawo występował w totalistycznym marksizmie, o podobnie antyreligijnym nastawieniu, jak narodowy socjalizm.

Bez wątpienia, gdy chodzi o prawo małżeńskie, istnieje między totalizmem wschodnim a niemieckim, poza usiłowaniami pozbawienia tej instytucji charakteru religijnego, istotna i głęboka różnica.

Trzeba jednak pamiętać, że, jak dotychczas, odarcie małżeństwa z jego istoty religijnej, dawało zawsze wyniki wysoce ujemne. Stało się to we Francji, szczególnie jaskrawo w Sowietach itd.; a czy inne będą losy eksperymentów niemieckich? — przyszłość i to może już niedaleka okaże.

Pewnie, nie można zaprzeczyć, że np. wydane parę lat temu przez *Reichsausschuss für Volksgesundheit: Zehn Gebote für die Gattenwahl*, dziesięć przykazań wyboru małżonka, zawierają wiele dobrych i pożytecznych myśli. Tylko, że te myśli są bardzo stare i przeważnie pochodzenia chrześcijańskiego, wspólnego skarbcza prawdy wszystkich ludów.

Zarówno, gdy chodzi o prawo małżeńskie, jak i inne dziedziny prawa, można bardzo często słyszeć i czytać o hasle powrotu do zasad prawnych ludu germańskiego, jemu tylko właściwych. Starogermańskie ma być prawo poświęcenia w zupełności jednostki na rzecz grupy społecznej. Tylko grupa, a nie jednostka posiada znaczenie.

Niewątpliwie było tak swego czasu, lecz nie tylko u Germanów, ale i u wszystkich ludów pierwotnych. I właśnie ten stan hamował wszędzie gdzie istniał bardzo długo wszelki rozwój i kulturę. Także i Germanie dopiero po przyjęciu chrześcijaństwa z jego zasadą własnej wartości każdej jednostki ludzkiej, poczęli powoli wyzwalać się z barbarzyństwa.

Pojęcie honoru rycerskiego, o którym tak często i mylnie jako o czymś specyficznie germańskim dzisiaj się mówi, było wytworem nie ducha pogańskiego, lecz chrześcijańskiego, a wycisnęło trwałe piętno na kulturze europejskiej.

Chrześcijański sakrament małżeństwa utrwalił od dawna właściwy stosunek między naturalnymi prawami jednostki, a prawami i potrzebami społecznymi. Wyniósł równocześnie związek mężczyzny i kobiety na nieosiągalne dawniej wyżyny idealne. Laicyzm natomiast, grzęznąc w materializmie, pozbawił go tej głębokiej wartości, dla której nie miał zrozumienia.

Laicki liberalizm zmaterializowawszy małżeństwo, zwichnął stworzoną przez chrześcijaństwo równowagę na rzecz jednostki, konsekwentnie niszcząc idealną jego wartość i ostatecznie przekreślając jego rolę społeczną. Zemściło się to poważnie i dotkliwie.

Laicki znów totalizm, akceptując założenia materialistyczne swego poprzednika naruszył poważnie dawną równowagę w kierunku odwrotnym, tzn. na rzecz społeczeństwa. Niezadowolony z dotychczasowych osiągnięć, obiecuje dokonać jeszcze więcej.

Niezależnie jednak od tego, jaką postać nada dalszym zmianom, możemy już dzisiaj powiedzieć, że realizując swoje założenia obdarzy ludzi bolesnym rozczarowaniem.

Prof. dr Leon Halban.

Z nowoczesnej wiedzy genealogicznej.

W epoce, kiedy zagadnienie rasy stanowi ośrodek politycznych i naukowych zainteresowań, uwaga badaczy zwróciła się ze zrozumiałym zapałem ku prawom, wedle których urzeczywistnia się u ludzi fakt dziedziczenia cech zarówno fizycznych jak i duchowych. Przede wszystkim miało to miejsce w Niemczech oraz w krajach wykazujących pewną skłonność w kierunku teoryj narodowo-socjalistycznych; poza tym jednak również i w państwie anglo-saksońskim, ostatnio w Italii, od dłuższego zaś czasu w Skandynawii i w Holandii, powstał — poważny treścią i znaczny objętością — dorobek piśmienniczy, omawiający wyżej wymienione zagadnienie. W związku z tym i prastara wiedza genealogiczna doznała nowego bodźca. Przywrócono jej dawne zaszczytne miejsce, nie po to wszakże, żeby — tak jak niegdyś — wysługiwała się człowieczej próżności albo pośredniczyła w osiągnięciu przodującego pod względem towarzyskim i prawnym stanowiska, lecz po to, ażeby jako gałąź wiedzy dostarczała badaczom faktycznego materiału, posiadającego przywilej wyłączności z punktu widzenia wartości siły dowodowej.

Dane dotyczące wpływu przeszłości rodowej na ukształtowanie indywidualnych typów w potomnych pokoleniach oraz na ich postępowanie, dają się uzyskać jedynie w oparciu o podstawę porównawczych badań, przeprowadzonych w stosunku do wielkiej liczby linii genealogicznych. Podobnie jak chemia — a wraz z chemią i fizyka — wyprowadzają swoje prawa, opierając się na setkach jednostkowych faktów

oraz spostrzeżeń, — tak samo i wiedza o dziedziczności — o ile ma wyrzec się na przyszłość mozolnej spekulacji — winna kroczyć jedynie po drodze naukowej indukcji, to znaczy zdobywać dla siebie niezaprzeczalne wnioski przez badanie możliwie jak największej ilości genetycznych związków. Metoda, o którą nam tu chodzi przedstawia się w ogólnych zarysach jak następuje: dla pewnej określonej grupy osób ustalamy faktyczne dane, dotyczące rodowych związków tych osób, i na tej zasadzie dążymy do poznania indywidualnych właściwości, powtarzających się u badanego przez nas genealogicznego zespołu. Albo też za wyjściowy punkt badań obieramy pewnego osobnika, o wiadomych nam cechach charakterystycznych, i staramy się wyśledzić te same cechy zarówno u odnośnych pokoleń wstępujących jako też i zstępujących.

Za zasadnicze wytyczne dla naukowej genealogii stosowanej należy uważać: po pierwsze — tabelę przodków, po drugie — tabelę potomków. Pierwsza z nich obejmuje zasadniczo wszystkich ludzi, od których przez związki krwi wywodzi się badany osobnik, bez względu na okoliczność, czy we wspomnianych związkach uczestniczą mężczyźni, czy też kobiety. A zatem należy wymienić tu: rodziców (2), dziadków (4), pradiadków (8), prapradiadków (16) i dalej w ten sam sposób: 32, 64, 128 przodków, dopóki starczą możliwości, którymi rozporządzamy. Tą drogą dochodzimy do wielkości astronomicznych, do liczb przeczących logicznej prawdzie! Sprzeczność polega tutaj na równoczesnym istnieniu pewnika, że nigdy i na całym świecie nie zdołano stwierdzić egzystencji tylu tysięcy ludzi, ile winnaby wynosić owa teoretyczna liczba przodków, obliczona np. dla epoki Narodzenia Chrystusa. Tylko, że ta na wskrós teoretyczna liczba maleje w praktyce, a dzieje się to w wyniku faktu, że wszyscy ludzie są spokrewnieni pomiędzy sobą i posiadają wspólnych przodków, występujących w jednych rodzinach wcześniej, w innych zaś później; że zatem przy 32, 64, 128, a nawet 1028 antenatach, zawsze gdzieśkolwiek jeden i ten sam przodek występuje nie jednorazowo ale parokrotnie.

Im bardziej zamkniętą okazuje się dana społeczna albo narodowa grupa, w której granicach poszukujemy przodków

pewnego osobnika, tym wcześniej i w tym większym nasileniu ujawnia się ta wspólnota przodków, zwana inaczej „utrata przodków” (*Ähnenverlust*). W książęcych domach, w zapadłych dolinach górskich, na samotnych wyspach, powyższe zjawisko występuje w zdumiewających rozmiarach. Jako wypadek graniczny niechaj posłuży nam przykład dawnych dynastji królewskich, u których były we zwyczaju małżeństwa pomiędzy braćmi i siostrami. Król Antiochus X Euzebiusz z Syrii posiadał w szeregu przodków zaledwie 6 różnych od siebie osobistości, zamiast 38, których należało oczekiwać w piątym pokoleniu wstępującego rodowodu.

Przeciwnieństwo takiego rodowodu przodków, zbudowanego z zachowaniem wszelkich najściślejszych prawideł genealogicznych, stanowi tabela pokoleń potomnych; w tabeli tej staramy się ogarnąć całkowite potomstwo dowolnego osobnika, którego obraliśmy w danym razie za punkt wyjściowy.

W czasach dawniejszych genealogia stanowiła jedynie pomocniczą gałąź umiejętności, użyteczną zwłaszcza dla dziejopisów, — albo też igraszkę ludzkiej próżności, lub wreszcie hołdowniczy ukłon w stronę panujących domów monarszych. W owej epoce zadowalano się ujawnianiem potomnych pokoleń wyłącznie po mieczu, tj. w zakresie przodków męskich. Jedynie w wypadku wygaśnięcia ostatnich brano pod uwagę kobiety, o ile faktycznie przedłużały dziedziczną linię rodu. Tak zdarzyło się u Lotaryńczyków, stanowiących niejako dalszy ciąg rodu Habsburgów i u Windsor-Sachsen-Coburgów, którzy przejęli dziedzictwo po Gwelfach, wywodząc się — ze swojej strony — od Stuartów i Tudorów.

Dzisiejsza nauka dąży zasadniczo do tego, ażeby określić wszystkich bez wyjątku potomków pewnego danego przodka, ponieważ fakty dziedziczności nie podlegają ograniczeniu tylko do strony miecza. Owszem, istnieją cechy, które dziedziczą się jedynie po kądzieli, jak np. owa smutnej pamięci choroba krwi, hemofilia.

Współczesna zatem wiedza genealogiczna posiada dwa charakterystyczne znamiona: pierwsze, że dąży ona do osiągnięcia możliwie jak największej dokładności i zupełności przy układaniu list rodowych wstępujących bądź zstę-

pujących; po drugie, że przy tym nie troszczy się wcale o żaden z dawniejszych przesądów, które stanowiły niegdyś przeszkodę w ujawnianiu niesławnych albo społecznie zdegradowanych przodków, których po prostu wykluczano z rodowodu. Na koniec wreszcie podaje ona genealogiczne dane nie z punktu widzenia samych ujawnionych faktów, ale ze względu na związki, które się na nich opierają. Dlatego też poza samymi tylko imionami, datami urodzin, zaślubin oraz śmierci, przytacza się nadto jeszcze wszelkie okoliczności, mogące mieć znaczenie ze stanowiska nauki o dziedziczeniu, a więc: typ duchowy, właściwości fizyczne oraz zewnętrzne koleje życia.

Sprostać takim wysokim wymaganiom można jedynie przy poparciu urzędów publicznych, państwowych albo innych, przy współdziałaniu odpowiednich stowarzyszeń i zakładów, wreszcie przy pomocy prywatnych mecenasów bądź też osób, czy nawet całych rodów, wyposażonych w odpowiednie możliwości. W Niemczech, gdzie wiedza genealogiczna doznaje obecnie z politycznych powodów szczególniejszej opieki, użyto w sposób bardzo skuteczny wszystkich dróg wyżej wymienionych. Na pierwszym miejscu należy podnieść tu zasługi „Lipskiego Głównego Zakładu dla dziejów niemieckich rodów oraz poszczególnych osobistości” (*Leipziger Zentralstelle für deutsche Personen u. Familiengeschichte*). Instytucja ta wykazuje bardzo wszechstronną i bardzo wartościową działalność, prawdopodobnie najbogatszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek istniały na omawianym przez nas polu; wyniki jej wkraczają w ramy najrozmaitszych „dyscyplin”. Jeżeli zaś chodzi o dzisiejsze państwo niemieckie, to racją bytu tegoż zakładu są rzecz jasna momenty polityczno-wychowawcze. Postronny obserwator oczywiście dostrzeże, przy tym niejeden szczegół, nie zgadzający się z całokształtem oficjalnej nauki, której główny lipski ośrodek pragnie służyć. Niniejsza wszakże uwaga należy już do innego punktu naszych rozważań.

Zakład lipski wydał in-folio siedemnaście tomów, zatytułowanych: *Stamm und Ahnentafelwerke der Zentralstelle für deutsche Personen und Familiengeschichte*. Dziesięć spośród wymienionych tomów może zainteresować jedy-

nie ludzi fachowych. Za to tym większa uwaga ze strony laików należy się pozostałym siedmiu tomom oraz zawartym w nim rodowodom wstępującym obok jednego zstępującego. Ten ostatni, opracowany przez profesora uniwersytetu, Eryka Brandenburga, podaje zasadniczo zupełny spis potomków Karola Wielkiego, doprowadzając nas mniej więcej do 1200 roku, tj. do czternastego pokolenia po wielkim cesarzu. Czytelnik, niewtajemniczony w tę dziedzinę wiedzy, doznaje w pierwszej chwili uczucia oszołomienia na widok zestawień, obejmujących przedstawicieli wszystkich europejskich narodów i wszystkich stanów, poczynając od cesarskiego, a kończąc na drobnoszlacheckim. Jako pierwszy z wniosków wyłania się fakt następujący: krew jednego i tego samego człowieka rozdziela się w okresie kilku stuleci na wielotysięczny zastęp potomków, przedstawiający ogromną różnorodność języka, narodowości, stanu i klasy społecznej. Przy tym prof. Brandenburg zdołał ustalić zaledwie część całkowitego Karolowego potomstwa. Należy przyjąć istnienie dalszych nieujawnionych tysięcy, mianowicie tam, gdzie brakowało niezbędnych źródeł albo gdzie były one dla niemieckiego uczonego niedostępne, a więc: gdzie chodziło o członków mało znanych rodzin, których śladów nie podobna już całkowicie odszukać w pomroce głębokiego średniowiecza, bądź też o rozgałęzienia sięgające terenów słowiańskich. Po raz pierwszy podjęto w Niemczech podobną pracę nad zestawieniem pełnego rodowodu zstępującego jednego człowieka. Jej wyniki zgadzają się z tym, co już o sto lat wcześniej wykazał markiz de Ruvigny w angielskim swym dziele, poświęconym sprawie potomstwa Tudorów. I tu i tam oglądamy blisko 20-tysięczną rzeszę potomków jednego i tego samego przodka, urodzonego na pięćset lat przed nimi; i tu i tam stwierdzamy fakt przesiąkania krwi w narody oraz stany, które niegdyś oddzielały od najpierwszego prarodzica potężne przepaści; i tu i tam wreszcie widzimy wyraźne dążenie do utrzymania głównej masy dziedzicznych substancji w obrębie tego narodu i tego stanu, do którego należała głowa rodu. Dzieło profesora Brandenburga nadaje się doskonale do zniweczenia laickich wyobrażeń o rzekomym „wymieraniu” starych rodów. Karo-

lingowie „wygaśli“ — tak uczą po dziś dzień w szkołach — w dziesiątym wieku chrześcijańskiej ery. (Człowiek bowiem, przeciętnie wykształcony, nie posiada najmniejszego nawet pojęcia o kwitnących jeszcze podówczas nielegalnych „bocznych“ gałęziach Karolingowego domu). Tymczasem zaś Karol Wielki posiadał w dobie ostatnich Hohenstaufów około dziesięciu tysięcy, jeżeli nie więcej, potomków po kądzieli. A że krew ani dziedziczność nie słuchają przepisów naszego patriarchalnego ustroju prawnego, potomkowie ci zatem musieli w jakiśkolwiek sposób otrzymać pewne substancje dziedziczne od swego wielkiego przodka.

Skończywszy z tym pierwszym przesądem, natrafiamy od razu na następny, który stworzyła popularna wiedza o prawach dziedziczności, a który głosi o rzekomym zwyrodnieniu starożytnych rodów, o szkodliwości jednostronnego doboru w małżeństwie i o t. p. rzeczach. Tymczasem w biologicznym znaczeniu nie istnieją ani stare ani młode rody. Są one natomiast takimi tylko w obliczu historii, w której szranki weszły dopiero co, bądź też już od wieków, a także wobec prawa, które od krótszego, bądź od dłuższego czasu, przyznało im stosowne miejsce w uporządkowanym społeczeństwie. Co zaś dotyczy jednostronnego doboru małżeńskiego (*Inzucht*), jest ono szkodliwym jedynie wówczas, jeżeli powoduje spotęgowanie ujemnych cech u powstałego tą drogą potomstwa. Dobre wszakże cechy również wzmagają się w ten sam sposób, o czym pouczają nas jeszcze w przyszłości tabele genealogiczne. Z całego olbrzymiego rodowodu potomków Karola Wielkiego, laik winien zauważyć choćby tylko to jedno, że rodowód ten wykazuje nam, ilu ludzi jest spokrewnionych ze sobą już na skutek istnienia jednego tylko wspólnego ogniwa, łączącego ich pochodzenie: liczymy dziesięć tysięcy takich osobników na obszarze, posiadającym podówczas zaledwie 20 milionów mieszkańców. Należy żałować, że dalsze doprowadzenie listy aż do doby obecnej przedstawiało fizyczne niepodobieństwo. Ujrzelibyśmy wtedy, Karola Wielkiego występującego w charakterze genealogicznego przodka dla każdego niemal współczesnego Europejczyka.

Na razie wszakże widzimy tu jedynie stwierdzenie faktu, że do protoplasty Karolingów wiedzie nas rodowód wstępujący jednego ze współcześnie żyjących ludzi, gdyż właśnie ten osobnik posiadał naukowe oraz finansowe możliwości po temu, ażeby swoją genealogię doprowadzić bez braków i bez luk mniej więcej do r. 1500. Wystarczy jednak dojść do którejkolwiek z osób objętych owym dziesięciotysięcznym zastępem, który prof. Brandenburg ukazuje nam w swym dziele, aby siłą samego faktu dokonało się ustalenie rodowego związku dla całego szeregu ludzi współczesnych pomiędzy wyjściową osobą rodowodu a założycielem odnowionego państwa rzymskiego.

Naukowe komunikaty Głównego Zakładu Lipskiego podają to wszystko i jeszcze wiele innych podobnych rzeczy w pięciu tomach spomiędzy ogólnej liczby owych sześciu, o których wypadło nam tu mówić. A więc nie tylko rodowa szlachta, obok książąt, może poszczycić się pochodzeniem od Karolingów, owszem i zwyczajni śmiertelnicy korzystają z tego przywileju na równi z wybraniami losu. Lipskie rodowody, zatytułowane *Deutsche Ahnentafeln in Listenform*, wskazują nam np. drogę, po której krew potężnego władcy przeniknęła w dawno osiadłe i stare rodziny szwajcarskie. Taki więc Samuel Imhof, wójt w Lenzburgu, zm. w r. 1713, oraz jego małżonka, Anna Małgorzata v. Halwil — rodowód tej pary stanowi ozdobę wyżej wymienionego zbiorowego dzieła — ukazują się nam w szeregu przodków historyka sztuki Hermana Grimma i wprowadzają nas w środowisko bazylejskiego patrycjatu XVI wieku, od patrycjatu zaś tego wywodzą się mniej więcej wszyscy znaczniejsi mężowie Związku Szwajcarskiego. Z zupełną pewnością daje się to powiedzieć o Jakubie Burckhardcie, o profesorskich rodach Heuslerów i Huberów, o Wölfflinach i Bernouillich; poza tym wszakże możemy przyjąć to w całej rozciągłości dla szerokich kół rodzin zuryskich, berneńskich oraz genewskich. Do tej grupy wielkich mieszczan dostał się w epoce Reformacji komtur Niemieckiego Zakonu, Ludwik v. Reischach. Jego babka, z domu v. Klingenberg, ze swojej strony miała za babkę Małgorzatę Malterer; z matką zaś ostatniej, z domu hrabianką v. Thierstein, wkraczamy w dy-

nastyczny świat głębokiego średniowiecza. Dalsze kroki równają się już tutaj dziecinnej igraszce, zwłaszcza dla znawców dziedziny.

Poprzez hrabiowskie rody Fürstenbergów, Zollernów i Habsburgów trafiamy na Zähringerów, hrabiów Namuru, Bragancji i Luksemburgu, na książąt Lotaryngii, cesarzy saskich oraz królów francuskich z rodziny Karolingów. Tak stajemy u celu.

Wspaniały i dumny ten szereg ukazuje nam współczesnego mieszczanina, a razem z nim i chłopca i robotnika, jako stojących w genealogicznym związku z najsławniejszą postacią średniowiecza — o ile tylko zechcemy zadać sobie mozolny trud wyszukania odnośnych przodków w kościelnych księgach oraz innych właściwych źródłach. Musimy, niestety, wyznać przedstawicielom wybujałego rasizmu — jakkolwiek nie zdołają oni znieść tej prawdy bez leciutkiego dreszczyka — że na przeciwległym biegunie łańcucha, ujrzą kogo? O zgrozo! nie kogo innego jak Eberlina, Żyda z Kolmaru pospołu z Menlinem, Żydem z Rufachu. Wprawdzie spotkanie to miało miejsce na przełomie wieków XIV-go i XV-go. Ale zawsze. Faktem jest, że ci dwaj Izraelici stali się założycielami dwóch patrycjuszowskich rodzin bazylejskich, dając w dalszym ciągu początek Iselinom i Meyerom, *zum Pfeil*, Huberom i Socynom. A więc pochodził od nich kwiat bazylejskiego mieszczaństwa oraz całej niemieckiej Szwajcarii. Jak daleko i głęboko sięga ten wkład żydowskiej krwi, zechce nam wykazać pionier współczesnego lotnictwa, hr. Zeppelin, albowiem i on także liczy pomiędzy swoimi przodkami — obok Passavant'ów i d'Hogguer'ów — złowieszcze postacie Eberlina oraz Menlina.

Pomiędzy tymi dwoma krańcami: krwią Karolingów oraz krwią żydowską, przesuwają się przez tablice Głównego Zakładu Lipskiego, rzekibyś, nieskończony szereg przodków, występujących w rodowodach sławnych i niesławnych Niemców. W pierwszych dwóch tomach poprzestano na zgromadzeniu najbardziej typowego materiału, bez względu na to, czy dotyczył on ludzi wybitnych czy też szarych jednostek. Ale właśnie na podstawie tych przeciętnych pochodzenia można uzyskać liczne i to najważniejsze wiadomości. Zesta-

wiony ze zdumiewającą pracowitością rodowód wstępujący pewnego fabrykanta z Saalfeldu, doktora Jerzego Schmidta, jako też jego małżonki, z domu von Metznitz, rzuca jasne światło na wspólny spływ krwi wszystkich niemieckich (a w nieznacznej mierze także i obcych) rodów i wszystkich klas społecznych.

Następne trzy tomy noszą tytuł: „Rodowody (przodków) sławnych Niemców“. Tutaj warto zatrzymać się przy każdej poszczególniej genealogii. Tutaj bowiem uzyskujemy możliwość głębokiego wejrzenia w rdzeń sprawy, zdobywamy zrozumienie dla zasięgu jako też i dla granicy zjawiska dziedziczności. Najdostojniejszy przykład dają nam stojący na czele listy: Fryderyk Wielki, Goethe, Schiller, Kant, Lessing, Wagner; za nimi ukazują się na przemian wojownicy i książęta, poeci, artyści oraz uczeni. Tutaj wreszcie biologiczne dane, ustalone dla ludzi „którzy tworzą historię“, ujawniają swój rozstrzygający wpływ na jej rozwojowych szlakach.

Tak często mówi się o pruskim państwie junkrów. Rodowody przodków mówią nam wszakże o rzeczy wręcz przeciwnej, mianowicie o tym, że wielkość tego państwa, podobnie jak i wielkość całych Niemiec, założyli ludzie, w których żyłach krew rycerskiej szlachty zmieszała się niemal po połowie z krwią mieszczańską oraz wieśniaczą. A więc Bismarck, którego antenatów wymieniamy na innym miejscu; a więc: Roon, ks. Bülow, hr. Zeppelin i Hindenburg. Linia przodków Fryderyka Wielkiego poucza nas o przemianie, jakiej uległ psychiczny typ Hohenzollernów na skutek dopływu świeżej krwi ze strony francuskiego ziemiaństwa szlacheckiego, stojącego na bardzo wysokim poziomie duchowym; królewska prababka, Eleonora Desmiers d'Olbreuse, wywarła silniejszy wpływ na duchową istotę filozofa z Sans-Souci, aniżeli wszyscy pozostali niemieccy jego przodkowie książęcego pochodzenia.

Jeszcze jedna uwaga. Kto zechce przejrzeć uważnie szwabskie rodowody wstępujące, najdalej doprowadzone spośród wszystkich genealogij mieszczańskich potentatów ducha i, zarazem, najstaranniej opracowane, ten przekona się, jak wielką jest liczba wybitnych ludzi, których pochodzenie sprowadza się do jednych i tych samych prarodo-

wych postaci. W XV stuleciu żyło pewne małżeństwo: Jan Vaut z Elżbietą von Plieningen; w liczbie ich potomków znajdujemy nazwiska: Schillera, Uhlanda, Hauffa, Mörike'a, Hölderlina, Justinusa, Kerner, Vischera, Schellinga, Schmollera. Od Ludwika Ortha, marburskiego burmistrza (w Hes-sii), zm. w r. 1513, oraz od jego żony, Kuntzel Dietz, pochodzi oprócz Goethego jeszcze do kilkuset nieprzeciętnej miary poetów, uczonych i polityków niemieckich.

Przytoczone rodowody przedstawiają nadto tę osobliwość, że stanowią one dla wszystkich wymienionych mieszczańskich „sław” i „wielkości” pośrednie ogniwo, wiążące pochodzenie tych osób z niemiecką dynastią średniowieczną: pani burmistrzowa Kuntzel Dietz była naturalną córką landgrafa Henryka Heskiego, Goethe zaś — przez nią — potomkiem Karolingów, władców Salickich, Hohen-sztaufów. O takich wszakże faktach wspominaliśmy już uprzednio, nie będą więc one niespodzianką dla „wtajemniczonych”. Nadmienimy przy sposobności, że również i Bismarck zawdzięcza swoje pochodzenie od wielu książęcych rodów z czasów reformacji romansowemu wybrykowi jednego z heskich landgrafów: od Wilhelma, jednego z synów wielożennego Filipa Heskiego, dochodzimy poprzez nieprawą linię Cornbergów, poprzez Boyneburgów, Witzlebenów i Katte'ów do postaci Żelaznego Kanclerza.

Jeżeli tego rodzaju historie potomnych szczebli mogą nęcić urokiem niezwyklej ciekawostki, to w zamian zamknięte w sobie grupy antenatów, charakteryzujące poniekąd rodowody wielkich ludzi, umożliwiają nam odgadnięcie tajników oraz odsłonięcie źródeł pochodzenia genialnych talentów oraz zdolności. Należy jedynie pamiętać o tym, że zawsze i niezmiennie chodzi tu o skłonności lub uzdolnienia, które dają się wyjaśnić za pomocą spojrzenia wstecz, nie zaś o konieczności, które tak a nie inaczej musiały nieodzownie nastąpić. I w samej rzeczy, matka Goethego przekazała pocie nadzwyczaj bogatą spuściznę duchową: wystarczy wskazać na saskiego kanclerza, Pontanusa oraz na malarza, Łukasza Kranacha. Winniśmy zatem określić podobną przeszłość rodową jako dobór wysokiej klasy, potęgujący tym samym dodatnie właściwości duchowe. O wiele jaskrawiej wszakże,

aniżeli u weimarskiego radcy stanu, można przestudiować powyższe zjawisko we wzmiankowanych rodowodach szwabskich, zwłaszcza u Wilhelma Hauffa. Jeżeli tam, z jednego i tego samego prazespołu można wyprowadzić równocześnie pochodzenie: Goethego, Bismarcka, Schillera, Hölderlina, Mörike'a, Uhlanda, Hegla, Schellinga, Roberta Mayera i Kepplera, to najwidoczniej mamy tu do czynienia z czymś więcej, aniżeli z samą tylko przypadkową wspólnotą przodków.

Musimy wyrzec się zamiaru podkreślenia tu wszystkich poszczególnych rezultatów, jakie przez żmudną i drobiazgową pracę osiągnęli i poręczyli w pomnikowym swym dziele uczeni genealogowie Lipskiego Zakładu Głównego. Na przyszłość nie będzie wolno pominąć tych rodowodów nikomu, ktokolwiek zechce zajmować się historią Niemiec, ich piśmiennictwem, sztuką albo nauką.

Należy tylko wspomnieć jeszcze o ostatnim tomie wydawnictwa: przedstawia on nam przodków trzech czołowych sterników dzisiejszej Rzeszy — Hitler, Goering i Hess podlegają tu naukowym badaniom pod względem swego pochodzenia. Jeżeli już w samym fakcie zaliczenia wymienionych osobistości w poczet sławnych Niemców należy widzieć „akt przystosowania się” do politycznej rzeczywistości (mówiąc tymi słowy, wyrażamy się bardzo delikatnie!), to przecież rzeczona okoliczność bynajmniej nie wpłynęła na jakiekolwiek zmylenie szlaków w ramach samej istoty badania. Zupełnie inaczej, aniżeli u dworskich genealogów dawniejszych epok, nie spotykamy tu nic takiego, co zasługiwałoby na przyganę, a więc ani przemilczania niewygodnych dat historycznych albo innych, ani usiłowań skierowanych ku wynajdywaniu jak najświeńszych blasków dla kolebki rodu.

W rodowodzie Hessa nie dałoby się już nic „poprawić”, ani po dobrej, ani po „złej stronie”. W żyłach tego zastępcy *Führera* płynie czysta krew mieszczańsko-niemiecka. Towarzyska skala rozciąga się od patrycjusza do drobnego rękodzielnika i dziennego wyrobnika. Przodkami są w połowie Turyngijczycy i Sasi, w jednej czwartej Frankowie, na ostatku Szwajcarzy. Ten ostatni punkt wymaga szczególniejszej uwagi. Przez babkę, Rudolfową Hessową,

z domu Bühler z Rietheim (Aargau) oraz przez jej matkę, Jenny v. Schwanden z kantonu Glarus, jest hitlerowy *adlatus* potomkiem rodzin Tschudich oraz Zwinglich. Jedna z sióstr reformatora występuje w linii przodków w dwunastym pokoleniu wzwyż pod nr 5916. Książących protoplastów nie udaje się nigdzie wyśledzić.

Zupełnie inaczej wygląda ta sama sprawa u Göringa. Jego przodkowie, zarówno po kądzieli, jak po mieczu (dziadek po mieczu był prezesem sądów ziemskich, jego małżonka — z domu de Nerée) posiadają w żyłach krew niezliczonych włoskich, belgijskich, nadreńskich i westfalskich rodów szlacheckich, od tych zaś nie jest już bynajmniej daleko do wyższej szlachty, do królów i do cesarzów. Na początek Göring wywodzi ród swój od jednego z braci św. Filipa Nereusza, dalej od Locquenghienów, od Metternichów, Brackelów, Mero de Pallantów, Schönbornów, v. d. Leyenów, Staelów i Holsteinów, a tym samym od Galenów, Korffów, Kettlerów i Hatzfeldów, od Bylandtów i Nesselrodów, Qadtów i Plettenbergów. Jeden z antenatów, Cratz v. Scharffenberg pojmuje za żonę pannę z rodu Lignivillów, tą drogą zaś wchodzi do tego rodowodu dziedzictwo francusko-lotaryńskie. Dynastyczne związki można tu odszukać np. w następujący sposób: babka pani Göring — Nerée jest to p. v. Dorth, której prababka, Anna v. Pallant, wyszła za v. Dortha i wiedzie nas poprzez Rechterów i Homoetów do Culenburgów; w XV stuleciu niejaka Götterswick wstąpiła w związek małżeński z ostatnio wymienionym rodem, jej zaś prababka, hr. Mechtylda v. der Lippe, liczy w gronie szesnastu swoich prapradziadów landgrafów turyńskich oraz brandenburskich oraz miśnieńskich margrafów. Są oni wszyscy bez wyjątku potomkami Karolingów, Kapetyngów, królów anglosaksońskich, Arpadów, Piastów, Rurykowiczów, wreszcie cesarzów bizantyńskich. Inny ślad wiedzie nas od Metternichów (którzy tak samo należą do przodków v. Dorth'ów oraz Nerée'ów) do Schönbornów i Greiffenklau'ów, Eltzów i Kerpenów, do Metzenhausów, Olrey'ów i Erckentelów. Kerpenowie prowadzą z kolei do Beyerów v. Boppard i Ochsensteinów, ci do landgrafów heskich, brunświckich Gwelfów i landgrafów turyńskich, którzy na koniec wypro-

wadzają nas znowu na komnaty książęce. Erckenteilowie natomiast, za pośrednictwem Enghienów oraz Briennów, przynoszą w swoich żyłach krew najświetniejszych uczestników wypraw krzyżowych. Niestety, za tą świetnością kryje się niebezpieczeństwo przejmujące nas dreszczem grozy. Pomiędzy już tu sprawę armeńskich związków krwi, które w sposób dający bardzo wiele do myślenia zwracają naszą uwagę w stronę ras zachodnio-azjatyckich. Ale oprócz nich istnieje jeszcze *casus* tankredowy. Gautier de Brienne mianowicie ożenił się z Alberią, królową sycylijską, jej ojciec zaś był nie tylko jednym z bohaterów Voltaire'a i bohaterem subtelnego i zawilego genealogicznego sporu, w którym niemieccy badacze zagadnień rasizmu biorą udział sercem i umysłem. Rzeczony Tankred jest wnukiem sycylijskiego króla, Rogera i... W tym właśnie leży cała bieda: niemieccy specjaliści usiłują wykazać, że małżonka, o którą chodzi, nie mogła być w żadnym razie córką senatora Piotra Leonisa, a tym samym nie mogła też być siostrą antypapieża Anakleta, ten bowiem był przecież „papieżem z ghetta”. (Gertruda v. Le Fort opisała dzieje tegoż Anakleta. Nadmienmy na stronie i polećmy to uwadze „przeświadomych siebie” rasistów, że autorka tej książki wywodzi się z tego drugiego źródła założyła w niemieckiej genealogii, tj. od owych Eberlinów i Menlinów, o których wspominaliśmy już, mówiąc o przodkach Zeppelinów oraz Grimmów). Jeżeli związek Sycylia — Pierleone jest autentyczny — a na razie będziemy uważać go za taki — to Göring zawdzięcza królewskim swoim antenatom również i jedyną możliwą do wykrycia u niego domieszkę krwi semickiej. Rzecz prosta domieszka ta jest ogromnie oddalona, sięga bowiem aż w głąb XII stulecia. Tak czy inaczej, pruski prezydent ministrów, minister państwowego lotnictwa Rzeszy, przewodniczący Reichstagu itd. itd., posiada poza wszystkimi innymi prarodzicami także jeszcze i przodków mongolskich. Albowiem słodka i wdzięczna święta Elżbieta, księżna Turynii, dla której Göring winienby z zupełną słuszością szczyć się swoim pochodzeniem, wywodzi się przez Arpadów oraz kijowskich Rurykowiczów od połowieckiego chana Tugora.

Otóż mamy i cienie, które rzuca zbyt wysoko sięgająca przeszłość rodowa. Adolf Hitler nie potrzebuje troszczyć się o takie rzeczy. Za jeden z najbardziej przekonujących wyników, osiągniętych w naukach genealogicznych, może uchodzić ten fakt, że osoba *Führera* i zarazem kancлера Rzeszy daje w każdym indywidualnym swoim rysie i w każdym szczególe swego istnienia zwierciadlane odbicie własnego pochodzenia, którego zrazu Hitler nawet sobie nie uświadamiał, a które dopiero od kilku miesięcy zdołano w pełni odtworzyć i wyświetlić na drodze badań naukowych. *Führer* zatem ma w żyłach krew czysto chłopską i czysto bawarsko - austriacką. Daleki jego krewny, radca stanu Rudolf Koppensteiner, z nieporównanym mistrzostwem zestawiał na podstawie tysiącznych źródeł rodowód jego przodków. Pomimo, że miano przy tym do czynienia wyłącznie ze sferą drobnowłściańską, ustalono 37 wiadomych imion na ogólną liczbę 64 przodków. Za autentyczność linii męskiej można ręczyć śmiało. Żadnego szczegółu nie zamaskowano, ani nie złagodzono jego jaskrawości, żadnego także faktu nie upiękuszono. Czytamy więc, że Hitler - ojciec odznaczał się niespokojnym usposobieniem i że używał początkowo nazwiska Schickelgruber, zanim otrzymał prawne i prawowite miano po swym rodzicu, młynarskim czeladniku. Dowiadujemy się dalej, że żaden z tych pradziadów nie wznosił się nigdy ponad poziom najniższych warstw ludowych. Mizerna dola przykuwała ich wszystkich do roli. A przecież musiał istnieć w nich jakiś zarodek wielkości, jakiś bodziec nadający im rozpędową siłę do dążenia wzwyż i do dokonywania niepowszednich dzieł oraz czynów. Stumptnerowie oraz Fuxowie są to chłopci z okolic Zwettlu i Weitry w Austrii Dolnej, zarazem protoplaści poety Hamerlinga; nazwisko Klezlów przypomina nam wybitną postać kardynała, który z chłopskiego syna stał się potężnym mężem stanu. Jeżeli chodzi o uzdolnienia fizyczne, omawiane przez nas tabele zdradzają również niemało danych, pozwalających nam pojąć tajemnicę życiowej odporności Hitlera. Na 78 męskich przodków, których wiek zdołano ustalić z całkowitą pewnością, sześciu żyło po 90 lat z górą, a jeden nawet całe 98 lat! Przeciętna zaś ich wieku wynosi lat 70. Zbytecznym byłoby podkreślanie znacze-

nia przytoczonych faktów, zwłaszcza jeżeli uwzględnimy minioną epokę oraz ówczesne warunki życia drobnego włościanstwa.

Dorzućmy jeszcze jeden, ostatni punkt do niniejszych rozważań. Mamy na myśli konieczność opierania się wyłącznie na niewątpliwych i niezaprzeczalnych materiałach przy podawaniu wiadomości z zakresu genealogii. W owym czasie, kiedy Hitler dopiero wywalczał sobie władzę oraz stanowisko, opowiadano o nim najbardziej szalone niedorzeczności; Hindenburg w przypiływie złego humoru miał go rzekomo nazwać „cygańskim zbiegiem“, ks. Starhemberg wyszydził go jako słowiańskiego „mieszkańca“; bał aż do semickiego pochodzenia włącznie, gdyż taką kolebkę rodu przypisywali mu żydowscy dziennikarze wiedeńscy. Tak więc „obwiniano“ twórcę oraz założyciela NSDAP o wszelką taką rodową przeszłość, jaka tylko dawała się pomyśleć w sprzeczności z jego ideowym wyznaniem wiary. Głupota; nieświadomość, niedbalstwo, czyli świadoma chęć oszczerstwa? W Polsce mieszkają Żydzi, piszący się ni mniej ni więcej tylko Hitlerami, jeden z nich nawet ma na imię Adolf, więc czym prędzej począł ubiegać się o zmianę tak imienia jak i nazwiska, ponieważ nie miał siły dłużej znosić ich ironicznego znaczenia. Tymczasem wiedeński publicysta, Klebinder, który niedługo potem popełnił samobójstwo, skonstruował na oczekaniu genealogiczne drzewo dla osoby bojownika za rasowy antysemityzm, wyprowadzając ten jego rodowód od żydowskich początków. Niemniej przeto dyletanci, ci, co za ledwie posmakowali genealogicznej wiedzy, zdziwiliby się niepomniernie, widząc w szeregach hitlerowych przodków osobę niejakiego Szymona Pollacka. Tylko, że był to po prostu dzielny rolnik, którego „aryjskości“ nie podobna przypisać najlżejszej nawet skazy.

Biorąc prawdziwą istotę rzeczy należy powiedzieć, że dzisiejsze niemieckie badania rodowodowe sprowadzają się we wszystkim do stwierdzenia oraz do udowodnienia, że dany osobnik, ród, albo rodzina są wolne od semickiego, a więc obcoplemiennego, dziedzicznego obciążenia. Pierwsze tomy wielkiego lipskiego wydawnictwa ukazały się jeszcze przedtem, zanim „naziści“ objęli władzę w niemieckim państwie; w tomach tych spotykamy jeszcze tu i ówdzie jakichś

oddalonych, ginących w przestrzeni wieków, żydowskich protoplastów, np. u Zeppelinów i u Grimma. Obecnie za to wyklucza się najzupełniej podobne możliwości. Zarówno w dziele Głównego Zakładu jak też w „Rodowodach Eddy”, wydanych u Perthesa przez „Stowarzyszenie szlachty niemieckiej” (*Deutsche Adelsgenossenschaft*) ani jeden semicki potomek nie może szpeciść swą obecnością całokształtu genealogicznego obrazu. Taki sposób patrzenia na rzeczy, ześrodkowany wyłącznie na jednym jedynym punkcie jest obcy przedstawicielom tej samej wiedzy poza granicami Rzeszy. Jednakże, przystosowanie niemieckiej nauki w tym zakresie do ideologicznych celów, nie powinno powstrzymywać postronnych badaczy ani od korzystania z niewyczerpanych bogactw, jakie kryją się w treści wyników, osiągniętych przez niemieckich uczonych, ani też od tego, ażeby wspomniane wyniki sprawiedliwie ocenić oraz z ich pomocą pogłębić wykształcenie, jakie zdobyli już do tej pory w ramach swojej naukowej specjalności.

Dr F. Walczyński.

Przegląd Piśmiennictwa.

Jerzy Andrzejewski: *Ład serca* (wyd. Rój). — Amelia Łączyńska: *Życie nie ustaje* (wyd. A. Krawczyński, Lwów). — Józef Bieniasz: *Leśne wygi* (wyd. A. Krawczyński, Lwów).

Ład serca Jerzego Andrzejewskiego spotkał się z tak entuzjastyczną oceną krytyki, jak mało która ze świeżo wydanych polskich powieści. Wytknięto jej wprawdzie tu i ówdzie te czy inne usterki, niemal jednomyślnie jednak uznano ją za najważniejsze wydarzenie w naszej literaturze ostatniego półrocza. Sąd ten jest bardzo znamieny. Abstrahując bowiem od istotnych i bezsprzecznych walorów książki, odsłania się w nim również tęsknota czytelnika i krytyka za tematyką ważką i głęboką, za problemami dotyczącymi najistotniejszych spraw życia, za powieścią o ambicjach na miarę Żeromskiego. Znudziły nas pamiętniki kelnerów, girlsów, różnego gatunku niebieskich ptaków, znużyły autobiograficzne wyznania i lamentsy starzejących się kobiet i drobiazgowe opisy materialnej tylko strony życia. Książkę Andrzejewskiego wita się westchnieniem „nareszcie!” — tak szczęśliwie odbiega ona od wszystkich ujemnych typów. Uderza w niej nie tylko niespotykana na gruncie polskim tematyka, przywodząca natychmiast na myśl katolicką powieść francuską, ale daleko bardziej jeszcze umiejętność przenikliwego spojrzenia w te nieuświadomione nieraz głębie duszy ludzkiej, gdzie rodzą się impulsy, nadające kierunek całemu życiu.

Wypadki powieści rozgrywają się na odległej wsi białoruskiej w listopadową, wichrem szalejącą noc. Splatają się tam w sposób na pozór przypadkowy, a jednak najgłębiej logiczny i nieunikniony losy kilkorga ludzi, dla których ta noc stanowić będzie punkt zwrotny w życiu. Podczas jej ponurych, wlokących się w nieskończoność godzin młody degenerat i histeryk popełni ohydny zbrodnie i ujdzie bezkarnie, nie tknięty najłżejszym nawet podejrzeniem, kierując wszystkie poszlaki na ludzi niewinnych. Tej nocy czternastoletni Michaś, wychowanek proboszcza, zetknie się po raz pierwszy ze złem, z lękiem życia, z pokusą twórczości, by odszedłszy sercem od opiekuna nigdy już nie wró-

cić w ufnie lata dziecięctwa. A sam proboszcz, ks. Siecheń, od-
czuje wprawdzie moc łaski bożej dokonując nawrócenia złoczyńcy,
ale w parę godzin potem przejdzie ciężką próbę, stając oko
w oko z własną przeszłością, z kobietą, którą kochał niegdyś,
a która stoczyła się na dno nędzy i upadku, gdy ją porzucił.
Uczył to, by pójść za głosem powołania kapłańskiego, któremu
długo się opierał, opuścił ją, aby oddać się w służbę Bogu, ale
wspomnienie wyrządzonej pomimo woli krzywdy tkwiło w jego
sercu, by odezwać się całą siłą tej własnie nocy. Albowiem, jak
mówi autor, „ani jeden z naszych czynów nie ginie, lecz każdy
o oznaczonej porze powraca i staje przed nami, aby zażądać dru-
giej odpowiedzi... jest również czas, kiedy minione lata musimy
na nowo przeżyć i osądzić. Lecz nigdy po raz ostatni”.

Książka Andrzejewskiego jest książką tak bogatą, że nie-
spósób w krótkim omówieniu przedstawić wszystkie jej aspekty.
Jest nią zewnętrznie, od strony formalnej, przez bogactwo różno-
rakah swoich wątków, z których jedne dotyczą ziemi w sposób
wprawdzie nie brutalny, lecz jednak realistyczny realizmem bar-
dzo ciężkiej rzeczywistości, inne zaś oddychają pełnią poetyc-
kiego polotu, liryzmem głębokich uczuć, patosem zmagających się
człowieka z nadprzyrodzonością. Jest także bogata wewnątrz: per-
spektywami, jakie otwierają się w głąb wszystkich ujawnionych
w niej przeżyć, dzięki wnikliwemu spojrzeniu Autora, docierają-
cemu do utajonego dna dusz ludzkich, spojrzeniu *sub specie*
aeternitatis, spojrzeniu chrześcijańskiemu. Człowiek w powieści
Andrzejewskiego, choćby to był bandyta Morawiec, czy taka
nędzna kreatura jak szynkarz Litowka, nie jest nigdy osamotnioną
drobiną, gnaną wichrem kosmicznym ku niewiadomym, przypad-
kowym przeznaczeniom. Jest istotą odpowiedzialną za swoje czyny
przed pozaziemskim autorytetem, obiektem miłości i troskliwości
bożej, które sprawiają, że nawet najgorszy człowiek ma chwile
tęsknoty za ładem, za dobrem, za modlitwą, — tęsknoty, która
sprawia, iż dusza staje w rzędzie „wołających”, dla których za-
den cud łaski nie jest niemożliwy. „Chrystus prowadzi człowieka
najzawilszymi drogami, lecz nie ma takiej chwili, aby przy nas
nie stał i nie wołał po imieniu. Trzeba tylko chcieć słyszeć.
Choćbyśmy tylko zło czynili i tonęli w grzechu, nie odwróci się
od nas. Ten, który jest samą jasnością, chce, abyśmy mieli du-
sze pełne światła. Czeka tylko na nasze wezwanie, czuwa wiernie
i usłyszy najcichszy szepot najlichszego z ludzi, bowiem nie ma
wobec Niego złych i dobrych, są tylko wołający i niemi”.

Ale Andrzejewski daleki jest od zapoznawania faktu, jakim
wysiłkiem zdobywa człowiek i utrzymuje w sobie iskrę łaski, jak
bardzo obciążony jest pragnieniem zrzucenia z siebie jarzma,
które nie od razu, czasem i nigdy nie wydaje się lekkie. Oto
na słowa Morawca: „Ksiądz jest szczęśliwy, ksiądz to już wszystko
przeszedł. Teraz dla księdza wszystko jest proste i łatwe”... odpo-

wiada proboszcz: „Proste, tak! Ale łatwe? Jakże może być łatwe życie ludzi, którzy myślą i czynem tworzą wyroki Boga? Oto pełna i straszliwa wolność. Każda godzina nakazuje wybór. Trzeba bez przerwy czuwać. Mój synu, przecież nie wierzy się na zawsze, wierzy się ciągle na nowo”. I w innym miejscu jeszcze raz wraca ta sama myśl: „Niczym tu jest doświadczenie. Każda godzina, choćby poprzedzona wieloma podobnymi, jest nowa i żąda oddania całkowitego, jak jedyna i niepowtarzalna. Ciągłość grzechu — ta istnieje, lecz gdzież ciągłość cnoty? W niej zawsze jest się u samego początku”. A jednak w tym twierdzeniu nie ma pesymizmu — jest to tylko zdawanie sobie sprawy ze swoich możliwości, ze swej słabości i nędzy. To jest to zgodne z rzeczywistością spojrzenie na człowieka, które chrześcijaninowi, w połączeniu z wiarą w łaskę Bożą, daje moc dojścia do świętości. Dlatego, choć w książce Andrzejewskiego „ład serca” nie jest niczym udziałem, równocześnie jednak nie jest on niedościgłym marzeniem, ale rzeczywistością, ku której zmierzają drogi wszystkich „wołających”, choćby pozornie najbardziej od niego oddalonych.

Powieść Andrzejewskiego, pomimo drobnych usterek językowych, pomimo pewnej monotonii stylu, — uczciwość recenzencka nie pozwala przemilczeć tych niewielkich zresztą skaz na dziele, — jest naprawdę nowym tonem w naszej literaturze, tonem niezwykle głębokim i wartościowym, i — jakże bardzo pożądanym!

Trudno dociec, czego chciała dowiedzieć p. Amelia Łączyńska swoją książką *Życie nie ustaje*. Postawiła w niej problem bardzo istotny dla życia kobiet-katoliczek, problem uzgodnienia ograniczeń liczby potomstwa z nakazami Kościoła, dotyczącymi etyki małżeńskiej. Można by w ogóle dyskutować nad tym, czy tego rodzaju problemy nadają się do popularyzacji w formie powieściowej. Pamiętamy jakim potknięciem była książka p. Surynowej-Wyczółkowskiej *Egoizm we dwoje*. Ostatecznie jednak można sobie wyobrazić powieść tego typu napisaną z talentem, która by pewną niewątpliwą drastyczność tematu okupiła rzetelnymi walorami literackimi i zdecydowaną postawą ideową. Powieść p. Łączyńskiej nie daje nam tej satysfakcji. Jest ona przede wszystkim tylko postawieniem problemu, ale nie jego rozwiązaniem. Ani w teoretycznych dyskusjach na ten temat, które kilkakrotnie występują jako okrasa wątku powieściowego, ani w reprezentatywnych dziejach Celiny i Andrzeja nie znajdziemy wyraźnej odpowiedzi na postawione przez Autorkę pytania, znajdziemy natomiast pewne dwuznaczne i niebezpieczne sugestie, zmierzające do wykazania rzekomej niewykonawalności zleceń Kościoła. Absurdalna jest ta historia „zbyt licznej rodziny”, zakończona samobójczą śmiercią ojca, przedstawiona jako jedyne wyjście z trud-

nej sytuacji materialnej („ludzie się zajmą sierotami!”). Niesłychanie drażniącą jest chwiejność i głupota Celiny, która nawet nie uważa za potrzebne wspólnie z mężem rozważyć tych tak bardzo istotnych w małżeństwie zagadnień, przerzucając potem z tzw. „kobiecą logiką” odpowiedzialność za swe bezmyślne postępowanie na... nakazy religii. Mętne filozofowanie na temat „praw życia”, czy „praw przyrody”, którym „nie wolno się sprzeciwiać”, nikogo nie przekona, a „odrodzenie duchowe” Celiny i jej pogodzenie się z Kościołem po urodzeniu dziesiątego dziecka w dwa miesiące po tragicznej śmierci męża, jest już kompletną zagadką psychologiczną, o której wyjaśnienie Autorka nie troszczy się zresztą wcale. W końcu nie wiemy już, czego chciała Autorka, czy przyznaje rację Celinie, czy jej „mądrej i życiowej” przyjaciółce Ewie, która swój dobrobyt, wygody i radość życia opłaca kompromisem z własnym sumieniem. Odnosi się wrażenie, jak gdyby Autorka sama nie wiedziała, po czyjej stronie leży prawda, ale w takim razie po cóż bawić się w literaturę kosztem właśnie tego, bądź co bądź poważnego problemu, zasługującego na zupełnie inne ujęcie? Można tylko żałować, że p. Łączyńska właściwie nie zna katolickiego rozwiązania poruszonego przez nią zagadnienia. Gdyby zadała sobie trud zapoznania się z odpowiednią literaturą, wiedziałaby, że te rzeczy nie przedstawiają się tak tragicznie, jak przypuszcza, no i może wtedy nie powstałaby ta książka, bezwartościowa literacko, a podejrzana ideologicznie, która może tylko posiać zamęt i przerażenie w słabszych i mniej uświadomionych głowach kobiecych.

Bardzo miłą książką, godną zwłaszcza polecenia młodzieży, są *Leśne wygi* Józefa Bieniasza. Autor, którego dwie poprzednie powieści animalistyczne: *W puszczy nad Salafrukiem* i *Wilki wyją* polecane zostały przez Min. W. R. i O. P. do bibliotek uczniowskich, a jedną z nich przetłumaczono na język niemiecki, opowiada nam tym razem o mieszkańcach małej leśnej polany i ich zażartych walkach o byt, o męstwie i podstępach mrówek, żmii, kreta, tchórza, borsuka i innych gospodarzy puszczy. Najwięcej miejsca zajmują dzieje „księcia lasu”, lisa, którego przysłowiowy spryt nastrocza Autorowi okazję do opowiedzenia wielu niezwykłych przygód mikity, zakończonych zawsze szczęśliwym wymknięciem się z najcięższych opaków. Na specjalną pochwałę zasługuje język książki, okraszony takimi charakterystycznymi zwrotami, jak: „przebijał się przez życie na własną łapę”, albo „nauka, jaką otrzymał, harcując nieostrożnie na polu, zapadła mu głęboko w kudły” i wiele innych podobnych. Ta harmonizująca z tematem „animalizacja języka”, pomysłowa a nie nużąca, gdyż stosowana umiarkowanie, podnosi jeszcze urok tej sympatycznej leśnej powieści. Jedyne zgrzyt, przykre rażący w dobrej polszczyźnie Autora, to owo zdanie,

powtarzające się jako rama na początku i na końcu opowiadania: „Nawet najdomyślniejszy człowiek nie przyszedłby na to, by niepozorny zrab wśród lasu... mógł być terenem tylu dziwnych zdarzeń“. Miejmy nadzieję, że w następnym wydaniu zobaczymy już w tym miejscu poprawne: nie domyśliłby się, czy inny jakiś zwrot równoważny znaczeniem a językowo prawdziwy.

Mgr Hanna Wierzbicka.

Ks. dr Brunon Świtalski C. SS. R.: *Neoplatonizm a etyka św. Augustyna*. Tom I: *Plotyn a etyka św. Augustyna* (Warszawskie Studia Teologiczne 16). Praca wydana z funduszu Ministerstwa W. R. i O. P., Warszawa 1938, str. XXIV + 124. Cena 5,50 zł. Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 39.

Ze względu na znikomy udział nauki polskiej w badaniach nad filozofią Plotyna należy z radością powitać publikację ks. Świtalskiego, który podjął się opracowania tego właśnie fragmentu dziejów filozofii europejskiej. Jeżeli zaś sam fakt zajęcia się nauką Plotyna musi polskiego krytyka usposobić życzliwie do omawianej tu monografii, to zawarte w niej zagadnienia wymagają od nas uzupełnienia życzliwości przez szczere uznanie dla stanowiska Autora, rozwinął on bowiem problem szczególnej zależności św. Augustyna od Plotyna w dziedzinie moralnej, wychodząc poza ogólnikowe poglądy badaczy nauki średniowiecznej. Aczkolwiek utarte przekonanie mediewalistów o platońskim podłożu systemu autora „Państwa Bożego“ bywa zwykle uzupełniane przez wzmiankę o neoplatońskim pośrednictwie, to jednak taka ogólnikowość sądu o wpływach na św. Augustyna nie może zadowolnić sumiennego badacza, lecz musi go skłonić do dokładnego ustalenia jakości tych wpływów na drodze porównania poszczególnych elementów systemu św. Augustyna z nauką starożytności zarówno greckiej, jako też żydowskiej i wczesnochrześcijańskiej. Samo zresztą wypowiedzanie się na temat wpływów neoplatońskich stanowi okazję do głoszenia poglądów ogólnikowych i niedokładnych, gdyż każdy z wybitniejszych neoplatoników wnosi pewną ilość swoich własnych myśli do głoszonego przez siebie systemu filozoficznego. Ks. Świtalski z sumiennością poważnego badacza dzieli swoje studium o neoplatońskich źródłach etyki św. Augustyna na części i w opracowanym dotychczas tomie pierwszym podaje jedynie zagadnienie stosunku genialnego ucznia św. Ambrożego do etyki Plotyna; oczekiwać należy drugiego tomu pracy, gdzie zapewne znajdziemy ustalenie stosunku św. Augustyna do innych neoplatoników.

Opracowanie zależności autora „Państwa Bożego“ w podstawowej kwestii etycznej, mianowicie odnośnie do prawa wiecznego, zostało podjęte przed kilkunastu laty (1924) przez A. Schuberta w monografii pt.: *Augustins Lex-Aeterna-Lehre nach Inhalt*

und Quellen, wydanej pod znakomitym kierownictwem Klemensa Baeumkera jako fragment znanych ze swej źródłowości *Beiträge zur Geschichte der Philosophie des Mittelalters*. Schubert oparł swoją pracę na metodzie, którą można nazwać syntetyczną. Polega ona na ustaleniu podobieństwa, zachodzącego pomiędzy podstawowymi tezami św. Augustyna i tezami filozofów wcześniejszych. W długim szeregu stają przed czytelnikiem: Heraklit, stoicy, św. Jan Ewangelista, św. Paweł, Plotyn i Cyceron, z zestawienia zaś ich poglądów wynika w sposób oczywisty twierdzenie, iż podstawy filozofii moralnej są im wszystkim wspólne, znajdując również swój wyraz w systemie etycznym św. Augustyna. Z pism wszystkich wymienionych tu myślicieli Schubert odpowiednio wybiera tezy, dotyczące podstawowych pojęć filozofii moralnej a mianowicie: porządku, prawa oraz prawa wiecznego i jego właściwości. Okazuje się, że zarodek tych wszystkich pojęć tkwi w nauce Heraklita, znajdując swój pełniejszy wyraz w nauce jego następców do św. Augustyna włącznie. Taki sposób ustalania zależności św. Augustyna od jego poprzedników jest niewątpliwie efektowny, jednak polega on na uproszczonym zadaniu dobierania przykładów według z góry ustalonego kwestionariusza z pomijaniem pewnych szczegółów, może nieraz nawet kłopotliwych i psujących idylliczną harmonię całości. Dzięki uproszczonemu zadaniu badacz może sobie pozwolić na łączne potraktowanie reprezentantów całych stuleci w zwięzłym ujęciu, jednak brak gruntownego poznania całej prawdy nie pozwala nam uznać w takiej metodzie narzędzia, służącego wyczerpującemu opracowaniu rozpatrywanego zagadnienia.

Ks. Świtalski przyjął inną metodę badania, bardziej żmudną i dającą mniej efektownych wyników. Jest to metoda analityczna; polega ona na wyczerpującym i drobiazgowym zestawianiu poglądów porównywanych autorów w celu wykrycia wszelkich możliwych różnic i podobieństw. Jej nie wystarcza zestawienie wybranych fragmentów, wymaga ona przede wszystkim żmudnego zagłębiania się w całość badanego materiału; efektowna synteza i bogata kolekcja porównywanych autorów są dla niej ponętą zjawą bardzo dalekiego kresu trudnej wędrówki. Dlatego w żmudnym zestawianiu fragmentów etyki św. Augustyna z odpowiadającymi im ustępami nauki Plotyna kontury całości obrazu muszą się zacierać i czytelnik z konieczności stanąć musi wobec trudności w chwili, gdy będzie usiłował ten obraz w swoim umyśle odtworzyć. Praca ks. Świtalskiego pomimo jasności stylu jest dla czytelnika wcale nie łatwa, trudność zaś płynie nie tylko ze sposobu przedstawienia zagadnień, czyli z kompozycji dzieła, ale również z charakteru metody analitycznej, co należy wyraźnie podkreślić na obronę Autora przed ewentualnymi zarzutami. Sumiennosc analizy, dokonywanej przez Autora, zasługuje na wielką pochwałę, jej przykładem może być wnikliwa praca nad rozróżnieniem w nauce

św. Augustyna wpływów pochodzenia platońskiego od zapożyczeń od Plotyna. I może dzięki temu, że Autor pozostaje zawsze wierny przyjętej przez siebie metodzie analitycznej, z całą ostrożnością waży różne zdania na szalach dokładności naukowej, unikając ogólnikowych wniosków.

Sama więc metoda badania została przez Autora wybrana szczęśliwie i chwalić go wypada za to, że pozostaje jej konsekwentnie wierny w całości swych wywodów. Opracowanie podjętego zagadnienia wymaga ze względu na jego charakter historyczny gruntownego przygotowania w zakresie materiału porównawczego, branego zarówno ze źródeł jak też z ich opracowań. Pod tym względem ks. Świtalski wykazał się pełnią zalet i zdumiewać nas może swoją wielką erudycją i łatwością posługiwania się źródłami oraz ich opracowaniami, gdy czytelnik uświadomi sobie, że przecież ma w ręku rozprawę doktorską młodego badacza, rozpoczynającego dopiero swoją twórczość naukową. W szeregu wybitnych medievalistów znajdujemy takie nazwiska jak Grabmanna, czy Schillinga, które w naszym umyśle kojarzą się z doskonałością źródłowych opracowań. Na takim poziomie utrzymuje się nie tylko wyczerpująca bibliografia, ale również i źródłowe potraktowanie poszczególnych zagadnień etycznych, a zwłaszcza dokładna znajomość wyników, osiągniętych przez najnowsze badania nauki Plotyna oraz jego wpływów na poglądy św. Augustyna. W swoich wywodach Autor wykazał opanowanie opracowywanego przez siebie materiału.

Wątpliwości budzić zaczyna dopiero sprawa sposobu przedstawienia przez Autora wyników badań, mających, jak to dotychczas zauważyliśmy, wysoki walor zarówno pod względem postawienia zagadnienia jak i pod względem wypracowania go na warsztacie badacza. Chodzi jednak o to, aby Autor cenne wyniki swoich rozważań zreferował czytelnikowi w sposób jak najwłaściwszy. W tym punkcie walory naukowe wymagają uzupełnienia przez walory pedagogiczne, których niestety Autor nie zdołał rozwinąć w sobie do dostatecznie wysokiego poziomu. Jak wyżej zauważyłem, metoda analityczna, zbliżając nas ustawicznie do poszczególnych fragmentów badanego zagadnienia, utrudnia zachowanie obrazu w jego jednolitej całości. Bogaty w szczegóły materiał może z łatwością obezwładnić autora, którego jedyną bronią jest odpowiednia konstrukcja pracy. Ponieważ ta metoda takie właśnie posiada braki, świadomy wysiłek autora winien zmierzać do najodpowiedniejszego układu pracy, aby ułatwić czytelnikowi skorzystanie z wyniku badań. Czy układ podany w pracy ks. Świtalskiego uznać można za najodpowiedniejszy? Logicznie wydaje się on najzupełniej uzasadniony. Autor podzielił swoją publikację na 2 części, w części pierwszej omawia podstawy etyki plotyńskiej i augustiańskiej, w drugiej zaś stosunek etyki augustiańskiej do etyki Plotyna. Przyjęcie takiego podziału byłoby całkiem uspra-

wiedliwione i racjonalne, gdyby druga część wynikała z pierwszej, jednak część ta — to właściwa analiza poszczególnych fragmentów systemu św. Augustyna i Plotyna, podana na tle ogólnego obrazu obydwóch systemów, zawartych w części pierwszej. Można obrazowo powiedzieć, że Autor, występując jakoby w roli przewodnika po muzeum, wprowadza nas w części pierwszej po schodach na balkon i ukazuje nam całość eksponatów, aby w części następnej sprowadzić nas na dół i oprowadzać od gablotki do gablotki. W muzeum taka metoda jest dopuszczalna, gdyż tam poszczególne gablotki zawierają w sobie swoje indywidualne wartości, gdy ich rozmieszczenie w gmachu posiadać może zaledwie wartość dekoracyjną a co najwyżej — wartość w systematyce materiału eksponowanego, o którego łącznej zależności możemy jednak zapomnieć w chwili oglądania eksponatów. Inaczej rzecz się ma w opracowaniu naukowego zagadnienia, tu obraz całości musi się stale utrzymywać w umyśle, gdyż inaczej zagłębianie się w poszczególne zagadnienia przyprawi nas o zawrót głowy. I otóż czytanie drugiej części pracy ks. Świtalskiego, zagłębianie się w zawarte tam poszczególne tak cenne fragmenty analizy naukowej Autora, grozi takim właśnie nieprzyjemnym epilogiem, skoro oddalamy się pamięciowo od wywodów części pierwszej. Należałoby chyba stworzyć taką systematykę materiału, która by poszczególne fragmenty części pierwszej uzupełniła odpowiednimi ustępami części drugiej. A więc potrzeba stworzyć inną klasyfikację materiału, aby cenne wyniki badań Autora znalazły łatwiejszy przystęp do umysłu czytelnika.

Zauważyć ponadto wypada drobną usterkę natury technicznej. Chodzi mianowicie o numerację paragrafów, która powtarza się w każdym rozdziale od początku. Jest to zbyt konserwatywny, utrudniający powoływanie paragrafów, gdyż w każdym przypadku takiego powoływania czytelnik jest zmuszony wymieniać rozdział; tej konieczności można by z łatwością uniknąć, gdyby wszystkie paragrafy utworzyły jeden jednolity szereg liczbowy.

Zastrzeżenie budzi niezbyt szczęśliwe nazywanie Plotyna „filozofem neoplatońskim”; to parafrazowanie średniowiecznej nazwy Arystotelesa budzi wątpliwości, skoro Plotyn nie był jedynym filozofem neoplatońskim, należałoby przeto znaleźć inny, bardziej dokładny sposób nazywania Plotyna, np. „twórca neoplatonizmu”, „największy filozof neoplatoński” itp.

Wielkie zalety pracy ks. Świtalskiego budzą nadzieję, że dalszy jej ciąg przyniesie nowe zdobycze naukowe w dziedzinie poznawania źródeł etyki augustyńskiej. Życzyć należy Autorowi, aby te zdobycze były jak najobfitsze, równocześnie zaś trzeba na tym miejscu wyrazić pragnienie, aby sposób przedłożenia ich czytelnikowi był jak najdoskonalszy.

Dr Henryk Piętko

Docent Univ. J. P. i Politech. Warsz.

Psałterz Floriański Łacińsko-Polsko-Niemiecki. Rękopis Biblioteki Narodowej w Warszawie. Wydali Ryszard Ganszyniec, Witold Taszycki, Stefan Kubica. Studia o oprawie i piśmie Psałterza napisał Aleksander Birkenmajer, o miniaturach Władysław Podlacha z 31 podobiznami. Staraniem i pod redakcją Ludwika Bernackiego. — Lwów 1939. Zakład Narodowy imienia Ossolińskich z zasiłkiem Sejmu Śląskiego, str. VII + 402. Cena 100 zł.

Leży przed nami prawdziwie pomnikowe wydanie Psałterza Floriańskiego. Najdonioślejsze to echo mowy naszej z końca XIV wieku, a zarazem najobszerniejsza skarbnica zachowanych form, z paru jeszcze zamierającymi już wówczas imperfektami, z aorystami i nieporadną często składnią, nade wszystko zaś z wielkim bogactwem wyrażen, dzisiejszej mowie w części nieznanym. Wszystko tchnie jakąś szacowną, bezcenną patyną, z którą zetknięcie bliższe budzi dziwne uczucia, jakich się doznaje tylko na widok czegoś bardzo dawnego a przy tym bardzo drogiego, co mimo wieków żyje w nas miłością, wiążącą teraźniejszość z przeszłością, co zrosło się z nami, jak dusza łączy się z ciałem. Jest to mowa polska, ta niepożyta w swym trwaniu, mowa która mimo wieki, pozostała ta sama, choć nie taka sama. Bo kiedy czytamy Psałterz Floriański, to po za niezliczonymi wyrażeniami, wyszłymi z użycia, wszystko rozumiemy, tak jak rozumiał Sienkiewicz latarnika z Maripozy i chylił głowę przed majestatem polskiego wyrazu. A kiedy się zważy, że Psałterz Floriański miał za podstawę zaginione już inne tłumaczenie, pono dla królowej Kingi sporządzone, to szacunek dla językowego zabytku wzmacnia się, potężnie na myśl, że jeżeli tyle stycznych przechowało się od XIV do XX w., to mniejsza jeszcze różnica dzieliła mowę ojców naszych w XIII a XIV stuleciu.

Językowe znaczenie Psałterza jest olbrzymie i dlatego był on zawsze, od chwili odkrycia zabytku w opactwie kanoników regularnych św. Floriana pod Linzem, przedmiotem badań uczonych i podstawą, na której kształcili się poloniści. Literaturę obszerną, jaka się około Psałterza opłótła w ciągu w. XIX i w wieku XX zestawił Łoś w „Początkach piśmiennictwa polskiego” (wyd. II. 1922) a uzupełnił wydawca Historii Literatury Polskiej Pilała Stanisław Kosowski (cz. I. 1926), zresztą uzupełnia ją dalej Bernacki w dopiskach do wstępu.

Można powiedzieć, że prawie wszystkie zagadnienia, związane z psalterzem były dotknięte w szeregu rozpraw a ich synteza też jest znana ogółowi z dzieł Łośa i Pilała-Kossowskiego. Do prac Brücknera, ks. Fialka, Bruchnalskiego i ostatecznie wydawcy psalterza, Bernackiego — nowe wydanie nic nie wnosi, co by rozstrzygnęło wątpliwości i kwestie sporne, jakie zdaje się pozostać zawsze zagadką. Kto, kiedy dokładnie, gdzie i dla kogo pisał i iluminował rękopis nie da się bez reszty oznaczyć, tak samo trudno będzie zdaje się określić czy „mm” jest monogramem i czyim, czy tylko arabeskiem.

Co zatem wnosi do naukowej skarbnicy nowe wydanie psalterza? W czym leży jego doniosłe dla nauki i dla inteligentnego społeczeństwa polskiego znaczenie?

Przede wszystkim jest ono pierwszym całkowitym wydaniem zabytku.

Wydanie hr. Borkowskiego z 1834 r. zawierało usterki, które czyniły je niewystarczającym do naukowych badań. Podstawowe naukowe wydanie Nehringa z 1883 r. z uwzględnieniem późniejszych uzupełnień Brücknera, Łosia i Słońskiego, służyło polonistom. Ale było to wydanie ograniczone jedynie do tekstu wprowadzie dla nas najważniejszego, jednakże tylko polskiego. Nie uwzględniało ani tekstu łacińskiego, ani niemieckiego. Otóż wydanie obecne daje po raz pierwszy tekst pełny w trzech językach. Wydawcy odstąpili tylko od sposobu właściwego oryginałowi, w którym po wersecie łacińskim następował tekst polski a po nim niemiecki i ze względów praktycznych, dla większej przejrzystości, zastąpili układem tekstów równoległym, kolumnowym. Poprawili przy tym oczywiste przeoczenia i zwykle literowe błędy przepisywaczy, z zaznaczeniem wszędzie wprowadzonych odmian. Tak więc po raz pierwszy stałe przed nami Psalterz Floriański całkowity, dając tym samym badaczom i studiującym możliwość sprawdzania dotychczasowych wyników badań językowych a przez wciągnięcie tekstu niemieckiego możliwość dalszych dociekań, które zapoczątkowali już Kleczkowski a zwłaszcza wydawca tekstu niemieckiego Kubica. Wartość wydania nie ogranicza się jednak do szczupłego grona zawodowych językoznawców, Taszycki na końcu Psalterza podjął nową pracę dodatkową, dając prócz wiernego odtworzenia części polskiej Psalterza w grafice, właściwej zabytkowi, tekst w dzisiejszej pisowni z zachowaniem form i dawnej mowy. W ten sposób udostępnił Psalterz szerszemu ogółowi, któremu obcą jest dawna pisownia i sposób jej czytania. Paleograficzny rozbiór rękopisu, dokonany przez Al. Birkenmajera pt.: Psalterz Floriański jako zabytek kaligrafii, wprowadza czytelnika w tajniki dawnego sposobu pisania i właściwej wymowy głosek.

Na wiernym oddaniu tekstu nie kończy się wszelako znaczenie wydania. W zabytkach interesuje nas ich szata zewnętrzna, bogate miniatury, iluminacje, cała strona artystyczna rękopisu. I tu znowu dostarcza nam obecne wydanie obfitego materiału do przyszłych badań. Nie jest ono wydaniem homograficznym, jak wydany nakładem Biblioteki Kórnickiej Psalterz Puławski. Zawiera jednak 27 tablic, z tych cztery kolorowe, przedstawiających różne typowe karty oryginału. Rozporządzając tym materiałem, może przyszły badacz poszukiwać rozwiązania zagadnień, jakie wysunęły rozprawy nad stylem zdobnictwa Psalterza a które zaznaczył w swym studium nad miniaturami zabytku naszego Wła-

dystaw Podlacha i w analizie elementów heraldycznych Helena Pollackówna.

Dyrektor Bernacki zapowiada w drugim tomie szczegółowe badania, dotyczące języka trzech tekstów, ich wzajemnego stosunku i pochodzenia, słowniki polski i niemiecki, wreszcie rzecz o genezie i historii Psalterza.

Mamy więc zabytek wydany istotnie z całym pietyzmem, należnym przeszłości. Możemy w nim podziwiać i pracę uczonych wydawców i artyzm wykonania plansz. Jedno tylko przykre uczucie budzi się, gdy spoglądamy na ostatnią stronę. Odbito 240 egzemplarzy! Dzieło, które powinno się znaleźć w większej liczbie w każdym polonistycznym i germanistycznym seminarium uniwersyteckim a nawet ze względu na tekst łaciński nieco różny od wulgaty, a opracowany fachowo z zaznaczeniem różnic przez Ganszyńca, w seminariach teologicznych, które powinno być ozdobą każdej licealnej biblioteki i wszystkich księgozbiorów publicznych i prywatnych, wyłoczono tylko w 240 egzemplarzach. Przed wojną nie tylko biblioteki, ale ludzie prywatni w inteligentnym prawdziwie środowisku, mieliby sobie za punkt honoru je nabyć. Jak musieliśmy zubożeć, jeżeli Zakład Ossolińskich liczy tylko na tak znikomą liczbę odbiorców!

Ks. Władysław Rejowicz T. J.

Chrześcijańska Warszawa. T. I. Wyd. II. Księga informacyjna polskiego przemysłu, finansów, handlu, rzemiosła, szkolnictwa, prasy, wolnych zawodów, instytucji państwowych, samorządowych i prywatnych, organizacji gospod., społecz., kultur., oświat., naukowych, dobroczyn., zawodowych itp. miasta stołecznego Warszawy. Nakładem i pod redakcją Stefana Kwiatkowskiego. Warszawa, Nowy Świat 44, tel. 5-37-77.

Niesposób uganiać się w takiej publikacji za usterkami, przeoczeniami i błędami (brak np. w *Chrześcijańskiej Warszawie* Wydawnictwa ks. jezuitów). Samo bowiem zamierzenie, nadzwyczaj trudne warunki realizacji, szlachetny patriotyzm i wprost krzyżująca potrzeba podobnych wydawnictw bierze od razu nabywcę *Chrześcijańskiej Warszawy* i każe mu na nią patrzeć jak najżyczliwiej. Zresztą i samemu wykonaniu nie można zarzucić czegoś istotnego. Mamy tu bowiem i wykaz bogaty i przejrzystość układu i porządną szatę graficzną. Dzięki zaś wskazaniom i uwagom wstępnym spełniać będzie *Chrześcijańska Warszawa* rolę wychowawczą. A jaka to rola, określić nie trudno: pionierstwo w zabagnionych stosunkach handlowych, które nazywają się dotychczas bardzo mgliście stosunkami polskimi; dokonanie dalszego kroku naprzód w walce o niepodległość Polski, której jeszcze nie osiągnęliśmy we wszystkich dziedzinach. Obok *Chrześcijańskiej Warszawy* wydawnictwo zapowiada *Chrześcijańską Polskę* jako t. II

i *Polacy w świecie* jako t. III. Czekamy na te tomy i powitamy je równie przychylnie: jako twórczy krok twórczego antyjudajizmu zgodnego z etyką chrześcijańską. Należy tylko życzyć temu dziełu większej propagandy, która dotychczas nie była jak się zdaje za wielką.

A. K.

M. Tarnowski: *Un Evêque polonais* Msr Joseph Bilczewski. Traduction du polonais, revue par Bernard Hamel. Paris. Librairie Lecoffre J. Gabalda & Cie. Editeurs, 90 rue Bonaparte 8, str. 278.

Postać znakomitego Arcypasterza lwowskiego, jednego z najwybitniejszych według wyrażenia papieża — biskupów świata ostatniej doby, znana w całej Polsce z przepięknych listów i przemówień, wydanych w kilku tomach, doczekała się w niepełna rok po zgonie (20 marca 1923 r.) pięknego życiorysu, skreślonego przez M. Tarnowskiego, prof. uniwersytetu lwowskiego. Celem zapoznania zagranicy z postacią śp. arcybiskupa Bilczewskiego wydano właśnie dziełko to w języku francuskim. Tłumaczenia dokonała Maria Woźniakowska, przejrzał zaś je pisarz francuski Bernard Hamel. Całość dostosowano do zainteresowań i wymagań czytelników zagranicznych. Opuszczono więc kilka ustępów o lokalnym zabarwieniu, ozdobiono książkę 16 fotografiami, ilustrującymi życie znakomitego Pasterza. Spodziewać się można, że wydany w ten sposób życiorys spełni swoje zadanie na szerokim świecie i przyczyni się do rozświecenia naszego Bojownika wiary i niezrównanego Miłośnika ojczyzny, kochającego kraj swój i ziomeków swych tak szlachetną a płomienną duszą.

Cz. S.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Nacz. Inst. Akc. Kat. w Polsce, Poznań, 1939:

Kolbuszewski Stanisław: *Polska a Czechy* (Zarys zagadnień kulturalnych), str. 182.

Légaut Marcel: *Modlitwa wierzącego*, str. 348,

Nakładem Inst. Wyższej Kultury Rel. we Lwowie, 1939:

Dr Klimek Stanisław: *Rasa w zjawiskach społecznych*, str. 40.

Ks. T. J. Kwiatkowski Franciszek: *Filozofia złotego środka na przełomie dziejów*, str. 33.

Nakładem „Biblioteki Polskiej”. Warszawa, 1939:

Conrad, Joseph: *Opowieści niepokojące*, str. 213.

Conrad Joseph: *U kresu sił*, str. 186.

Kossak Zofia: *Warna*, str. 136.

Schwarzenberg - Czerny Jerzy: *Bemaki. Gawędy żołnierskie*, str. 201.

Wojtkiewicz - Strumph Stanisław: Kamienny most. Wybór nowel, str. 182.

Nakładem „Gebethnera i Wolffa“, Warszawa, 1939:

Iwaszkiewicz Jarosław: Dwa opowiadania, str. 280.

Kaden - Bandrowski Juliusz: Wspomnienia i nadzieje, str. 143.

Kuczyński Bogusław: Starzy ludzie, str. 264.

Morciniek Gustaw: Maszerowaci (zdjęcia Zaozia), str. 111.

Wrzós Konrad: Pułkownik Józef Beck, str. 104.

Nakładem Książ. „Atlas“, Warszawa — Lwów, 1939:

Bontempelli Massimo: Wycieczka na tęczę. Zbiór nowel, str. 232.

Bystron Jan Stan.: Komizm, str. 539.

Mainzer Ferdynand: Walka o dziedzictwo Cezara, str. 393.

Nauwelaerts L.: Nafta. Z cyklu „Przemiany“, str. 332.

Paléologue Maurice: Aleksander I, dziwny car, str. 359.

Rusinek Michał: Ziemia miodem płynąca. Powieść, str. 311.

Salminen Sally: Katrina, str. 499.

Nakładem Tow. „Biblioteka Rel.“, im. Arcbp. Bilczewskiego, Lwów, 1939.

Błotnicki Franciszek: Na podolu biały kamień, str. 141.

Msza szkolna na niedziele i święta w języku łacińskim i polskim, str. 574.

Nakładem różnych:

Brzozowski Stanisław: Sam wśród ludzi i książka o starej kobiecie. Nakładem Instytutu Literackiego, Warszawa, 1938, str. 436.

Czartoryscy. Trzydzieści sześć życiorysów. Kraków, 1938, str. 251.

Hauser Tadeusz: Bankowość w III Rzeszy. Polityka gospodarcza III Rzeszy. Cz. II. Nakładem Pol. T-wa Ekonomicznego, Lwów, 1938, str. 69.

Dr Janik Michał: O wolność i władztwo ducha. Spowiedź niepodległościowca. Kraków, 1939, str. 326.

Ks. dr Jasiński Walery: O katolicką pedagogikę w Polsce. Nakładem księgarni i drukarni katolickiej, Katowice, 1939, str. 104.

Ks. dr Kulbat Henryk: Azył kościelny. Studium prawnohistoryczne. Nakładem autora. Łomża, 1938, str. 173.

Lutosławska Izabella: Państwo Bobrowscy. Powieść. Wyd. II. Nakładem Stefana Dippla, Poznań, 1939, str. 256.

Łakomy Ludwik: Obrazki z powstań górnośląskich. Nakładem Wojsk. Inst. Naukowo-Oświatowego, Warszawa, 1938, str. 95.

Machalski Stefan: Nowy ustrój świata. Warszawa, 1938, str. 206.

Przepisy o postępowaniu w sprawach o nieważność małżeństwa na podstawie instrukcji wydanej przez Kongregację dla Sakramentów, dn. 15 sierpnia, 1936 r. Sandomierz, 1938, str. 90.

Dr Schechtman J.: Iluzje terytorialistyczne. Nakładem Centrali „Keren Tel-Chaj“ i Klubu Nowej Organiz. Syjonistycznej w Warszawie, str. 55.

Ks. Siwek Paweł T. J.: Spinoza w świetle badań ks. St. Dunin-Borkowskiego T. J. Odbitka z „Przeglądu Filozof.“ Warszawa, 1938, str. 12.

Ks. dr Świrski Ignacy: Do walki o dobrą książkę. Wilno, 1939, str. 20.

Ks. dr Świtalski Brunon C. SS. R.: Neoplatonizm a etyka św. Augustyna. T. I. Nakładem Pol. T-wa Teologicznego w Warszawie, 1938, str. 120.

Zagadnienie wsi i gospodarstwa wiejskiego w Polsce. Nakładem Wydawn. Obozu Zjedn. Nar., Warszawa, 1938, str. 65.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

O zmianę ordynacji wyborczej.

Nie ulega już dzisiaj najmniejszej nawet wątpliwości fakt, że powszechna opinia społeczeństwa polskiego widzi w obecnie obowiązującej ordynacji wyborczej najważniejszą przeszkodę normalizacji naszych stosunków wewnętrznych. Z całą świadomością używamy słowa normalizacja a nie innego, bo przecież o to przede wszystkim chodzi, aby wreszcie umożliwić społeczeństwu powrót do tego normalnego stanu, że każdy obywatel będzie się czuł odpowiedzialnym za losy Ojczyzny, choćby tylko przez swój naprawdę realny i skuteczny udział w wyborach.

Pan Prezydent dwukrotnie, po raz pierwszy w dekreście rozwiązującym parlament, a drugi raz w swym orędziu do nowoobраниch Izb w dniu ich otwarcia, położył specjalny nacisk tylko i wyłącznie na sprawę zmiany ordynacji wyborczej. Ją stawia „na czele” wszelkich innych poczynañ Sejmu i Senatu. Marszałek Sejmu, prof. Makowski, bezpośrednio po swoim powrocie z Zamku i uzyskaniu zgody Pana Prezydenta na objęcie swego wysokiego urzędu, wyraźnie oświadczył, że:

...celem Państwa jest zespolenie obywateli we współdziałaniu na rzecz dobra powszechnego i pod tym właśnie kątem widzenia będzie Sejm uchwalać ustawy, a w szczególności nową ordynację wyborczą tak, aby ułatwić zespoloną pracę narodu.

Marszałek zaś Senatu płk. Miedziński podkreślił to samo słowami:

...weźmiemy na warsztat naszych prac zagadnienie specjalnie nam poruczone — reformę ordynacji wyborczej... aby nie zawieść

ani zaufania narodu, ani wyrażonych przez Pana Prezydenta oczekiwań.

To ostatnie oświadczenie ujmuje w najwłaściwszy sposób istotę zagadnienia. Mówi ono wyraźnie, że Pan Prezydent stwierdził, iż ordynacja jest niedobra, że dla dokonania jej zmiany rozwiązał właśnie parlament, że od nowych Izb ustawodawczych oczekuje przede wszystkim zmiany tej ordynacji; cały zaś naród zaufał, że tak się stanie a nie inaczej. Nie wolno więc Izbom tego zaufania narodu zawieść, a słowom i życzeniom p. Prezydenta zadać kłam. Wszak pod tym właśnie hasłem: zmiany dotychczasowej ordynacji wyborczej odbyły się wybory do parlamentu. Całkowite zaufanie społeczeństwa do miarodajnego oświadczenia p. Prezydenta było istotną przyczyną wzmożonej frekwencji, a wszelkie inne wnioski okazały się, w świetle późniejszych wyborów samorządowych, prostym nieporozumieniem. Nie tyle za OZOem głosowali wyborcy, ile raczej za zjednoczeniem narodu na podstawie zmiany ordynacji wyborczej.

Tymczasem wbrew tym wszystkim zapowiedziom oraz postulatom, sprawa nowej ordynacji wyborczej przedstawia się tajemniczo. Zdawało się rzeczą pewną, iż Rząd, jako wykonawca woli p. Prezydenta, wystąpi przed parlamentem z gotowym projektem nowej ordynacji. Można się było spodziewać, iż projekt to będzie mądry i sprawiedliwy, oparty na bogatym doświadczeniu minionych lat, a więc nie tylko wyzwolony z błędów nierealnych marzeń o monopartii, ale torujący odważnie drogę do prawdziwego i rzetelnego zjednoczenia polskiego narodu. Wszak takiego a nie innego postawienia sprawy domaga się również coraz poważniejsza sytuacja międzynarodowa, naładowana gromami wstrząsów i starć, które mogą nie ominąć i Polski, a stawiając ją wobec wyjątkowo ciężkich zadań, zażądać mogą najwyższych wysiłków od całego narodu, bez różnicy politycznych partyj.

Nadto nie wolno nam zapomnieć o fakcie, iż cały szereg spraw o pierwszorzędnej doniosłości dla katolicyzmu w Polsce czeka jeszcze na ustawodawcze uregulowanie, że wspomnimy tylko o prawie małżeńskim, o szkole wyznaniowej, zagadnieniu żydowskim czy ukraińskim. Prawa regulujące te tak doniosłe problemy muszą być powzięte przez parlament, reprezentujący cały naród, a ten właśnie charakter parlamentu zawisł w wysokiej mierze od nowej ordynacji wyborczej. Dlatego troska o zmianę dotychczasowej ordynacji i o jakość nowej jest dla nas nie tylko sprawą państwa i narodu, ale i „sprawą Kościoła”, której obrona jest naszym obowiązkiem katolickim i obywatelskim.

A oto dowiedzieliśmy się z niemałym rozczarowaniem, iż Rząd nie ma zamiaru wystąpić z jakimkolwiek projektem reformy, a całą pracę i odpowiedzialność przerzuca na Izby ustawodawcze. Decyzja ta, ogłoszona w Sejmie niedwuznacznie przez p. Premiera zaskoczyła szerokie sfery społeczeństwa, które nie zna wprawdzie kulisów tego posunięcia, widzi jednak, iż odbiega ono daleko od normalnego schematu prac ustawodawczych, zasilanych przecież stale przemyślanymi i przygotowanymi wnioskami oraz projektami Rządu. Dlaczegoż więc w sprawie tak doniosłej obrano odmienną metodę?

Nie chcemy bynajmniej przeczyć, iż pewną rolę odegrała tu kurtuazja wobec Izb ustawodawczych. Wszak p. Premier podkreślił kompetencję parlamentu, której Rząd nie ma zamiaru naruszać. Ale jest to odpowiedź, odsłaniająca jedynie część prawdy. Wystarczy zresztą zestawić ten strzęp parlamentarnego meldunku z falą dekretów, wydanych tuż przed zwołaniem zwyczajnej sesji. Sądzimy, iż owa kurtuazja pokrywa głęboką sympatię do obecnego parlamentu i że Rządowi nie zależy nadmiernie na szybkim załatwieniu sprawy ordynacji wyborczej. Wszak można ją było przeprowadzić już w poprzednim Sejmie i ten właśnie postulat wysuwaliśmy na łamach naszego pisma. Ale uwzględniając okres kadencji poprzedniego parlamentu, należało się śpieszyć, by w roku dokonać doniosłej reformy. Jeśli więc obrano raczej drogę rozwiązania poprzedniego parlamentu, byle tylko otrzymać co prędzej Izby wybrane na podstawie starej ordynacji, a otrzymać je przed przeprowadzeniem nowych wyborów samorządowych, to wniosek jest oczywisty, iż Rząd w swych zamierzeniach dużą przykładą wagę do obecnego składu Izb, który mu zapewnia stałą, na reżimowej ideologii opartą większość. Pozbywać się tej większości przez szybkie przeprowadzenie zmiany ordynacji, a co zatem idzie przez rozwiązanie obecnego parlamentu może być z punktu widzenia zamierzeń rządowych rzeczą zgola niepożądaną i zbyt ryzykowną.

Jakiegokolwiek jednak są motywy obranej przez p. Premiera taktyki, faktem jest, iż, w obecnej sytuacji, o losach ordynacji zdecydować może tylko obecny parlament. Powstaje więc pytanie: czy i kiedy obecne Izby podejmą tę pracę?

W powodzi plotek, jakie się na ten temat rozsiewa, nie łatwo wyłowić okruciny rzetelnej prawdy. Nie ulega jednak wątpliwości, iż przy obecnym składzie parlamentu, cała odpowiedzialność za losy ordynacji wyborczej spada na OZon, oraz jego biuro planowania. Pomińmy niewczesne dowcipy zanotowane przez prasę, iż ozonowy Sejm nie ma

bynajmniej zamiaru się śpieszyć, a w gmachu przy ul. Wiejskiej nie ma nikogo, by go w tej pracy popędzać, gdyż opozycja przez swój bojkot sama usunęła się dobrowolnie poza nawias ustawodawczej współpracy. Wiedząc doskonale jak wyglądały szanse opozycji w czasie ostatnich parlamentarnych wyborów, nazywamy ten dowcip niewczesnym.

Ale obok dowcipów, pojawiły się i poglądy poważne, z których można wnosić, iż, podobnie jak Rząd, także parlamentarny sztab OZoNu nie zamierza bynajmniej śpieszyć się z podjęciem sprawy ordynacji. Jako jeden z najbardziej znamienitych w tym względzie notujemy głos, iż najpierw należy przeprowadzić zjednoczenie narodu a potem dopiero myśleć o reformie ordynacji i nowych wyborach. W ten sposób wyłączonoby to zagadnienie z parlamentu a przekazanoby je Obozowi, by on w miarę postępu prac organizacyjnych i propagandowych decydował, czy naród jest już zjednoczony dostatecznie i czy Sejm może podjąć dyskusję na ten tak doniosły temat.

Otóż takie postawienie zagadnienia byłoby oczywiście przekreśleniem tych wszystkich nadziei czy złudzeń, jakie ludzie dobrej woli łączyli z ostatnimi wyborami. Co więcej nie wahamy się twierdzić, iż byłoby to całkowitym wypaczeniem myśli i obietnic zawartych w orędziu p. Prezydenta. Wszak całe społeczeństwo zrozumiało zapowiedź najwyższego Włodarza Rzeczypospolitej w tym znaczeniu, że wobec dokonanych zmian w psychice, nastrojach i dążeniach szerokich warstw społecznych, skupiających się dokoła hasła obronności Ojczyzny i koniecznej ze wszelkich miar wewnętrznej konsolidacji — jest rzeczą pożądaną zjednoczenie to ułatwić właśnie przez reformę ordynacji wyborczej, która w swym dotychczasowym wydaniu nie zdała życiowego egzaminu. Wszelkie więc trawestowanie przez kogokolwiek nie tylko formy ale i treści orędzia p. Prezydenta, uważamy za karygodny wybryk podrywający najwyższy autorytet Rzeczypospolitej.

Zresztą dotychczasowe doświadczenie wykazało dowodnie, że wszelkie zjednoczeniowe wysiłki oparte na monopartyjnej ideologii są absolutnym złudzeniem. Wypadki choćby z ostatniego miesiąca dowodzą jak głęboko sięga polityczne rozbicie narodu, jaki upór nieprzejejdany cechuje umysły partyjnych sztabów, jak więc daleko jeszcze do urzeczywistnienia w praktyce hasła, którego teoretycznie nikt nie ma odwagi zaprzeczyć, iż pod grozą najsmutniejszych następstw społeczeństwo polskie, musi się wewnętrznie zjednoczyć. Trumna wielkiego syna Ojczyzny i imponująca manifestacja żałobna niemniej jak znamienne, patriotyzmem przejęte uchwały Rady Naczelnej Stronnictwa

Ludowego, stały się niestety dla pewnych partyjnictwem zaślepionych czynników jedynie odskocznią do nowych zadrażeń oraz inwektyw, płynących z zatrutego źródła nienawiści, zemsty i totalistycznych utopij.

Te właśnie utopie partyjnych sztabów należy jak naj-surowiej piętnować, by przez presję idącą od dołu torować drogę zjednoczeniu całego narodu. Marny byłby to katolicyzm, który by w narodowym sumieniu tolerował nienawiść wśród synów jednej, wspólnej matki-Ojczyzny.

Nad tą bratobójczą nienawiścią biadał już wielki patriota i płomienny kaznodzieja, Skarga. Piętnował złodziejskie serca i wymiałał na oczy pojedynkowe korzyści, wstrząsał wizją strasznego upadku Ojczyzny, by przerażającym prorocstwem opamiętać warcholstwo i zażegnać narodowe rozbicie. Ale głos Skargi pozostał głosem wołającego na puszczy i dlatego tragiczna przepowiednia wielkiego Syna Ojczyzny zamieniła się w jakże smutny historyczny fakt wiekowej niewoli. Dziś po 20 latach niepodległości, wypełnionych potępięczymi swarami partyj, nastygmatyzowanych bratnią nienawiścią, rozdartych niezgodą i intrygami synów jednej Matki — mógłby nowy Skarga powtórzyć prawie bez zmiany przestrogi i zaklęcia płomiennego kaznodziei sejmowego. I dlatego trzeba mobilizować sumienia, by obudzić w nich ewangelie bratniej miłości, a na straży interesu państwowego postawić dekalóg z czwartym przykazaniem, które reguluje także stosunek obywateli do Matki — Ojczyzny.

Nieraz daliśmy już wyraz naszemu najgłębszemu przekonaniu, iż zjednoczenie naszego narodu dokonać się może jedynie na platformie narodowej i katolickiej, tylko że ten katolicyzm i to narodowe poczucie nie może być monopolem tej czy innej partii, tym mniej nie może być przedmiotem politycznych targów, odskocznią do bratobójczej nienawiści. Zjednoczenie narodowe musi się zamienić, jak to słusznie podkreślił p. vice-premier Kwiatkowski, we współdziałanie wszystkich twórczych i dynamicznych sił narodu na zasadzie równości, bez przekreślania uzasadnionych życiem różnic i odrębności poszczególnych organizacyj politycznych, w których grupują się i pracują ludzie przejęci tą samą wiarą i tą samą miłością Ojczyzny. Chodzi więc o konsolidację narodu pojętą realnie a zatem szeroko, do której nie doprowadzi żaden mechaniczny nacisk, żadne monopartie ani totalizmy. I dlatego właśnie p. Prezydent rozwiązując poprzedni Sejm i Senat wskazał wyraźnie, jako cel do którego zmierzać należy: wciągnięcie jak najszerszych warstw naszego społeczeństwa do czynnej pracy dla Państwa. I by to wciągnięcie ułatwić i uaktywnić, sformułował zapowiedź, iż głównym

zadaniem nowych Izb Ustawodawczych będzie przeprowadzenie reformy dotychczasowej ordynacji wyborczej.

To też wbrew wszelkim przeciwnym pozorom wyrażamy przekonanie, że lojalność wobec formalnej obietnicy p. Prezydenta, niemniej jak poczucie odpowiedzialności przed narodem i własnym sumieniem skłoni Sejm do podjęcia i przeprowadzenia tak ze wszech miar koniecznej reformy. Apelujemy do najwyższej instancji sumienia posłów oraz senatorów, bo zdajemy sobie doskonale sprawę z trudności, jakie się w tej pracy wyłonią.

OZOŃ, bowiem posiadając przygniatającą większość w dzisiejszym kadłubowym parlamencie, może łatwo ulec tak naturalnej w obecnych warunkach pokusie, by reformę ordynacji ująć z własnego, partyjnego a nie ogólno-polskiego punktu widzenia. I dlatego sprawa ordynacji wymagać będzie od wszystkich posłów oraz senatorów wysokiej postawy etycznej, wysokiego honoru obywatelskiego, szczerego umiłowania ogólnego interesu państwa, by przezwyciężyć wszelkie odruchy partyjnej niechęci czy łatwego odwetu, by się wznieść ponad opłotki uprzedzeń i dojrzeć fakt, podkreślony tak silnie w orędziu p. Prezydenta. Faktem tym jest doniosłość i zasięg zmian, jakie dokonały się w wewnątrzno-politycznym życiu naszego państwa. Te zaś dokonane i dokonywujące się zmiany wymagają nowej a sprawiedliwej ordynacji, która by złączyła cały naród w solidarnej pracy nad umocnieniem i rozwojem państwa, zagrożonego na niejednym punkcie.

W jakim tedy kierunku powinny pójść zmiany obecnej ordynacji wyborczej? Temat ten omówiliśmy szeroko w listopadowym zeszycie, w r. 1937, nie chcemy się więc powtarzać.

Za to podkreślimy najgroźniejsze, naszym zdaniem niebezpieczeństwo, jakie zagrażać może treści i ujęciu nowej ordynacji wyborczej.

Powszechnie wiadomo, iż poprzednia ordynacja dawała politycznym stronnictwom decydujący wpływ na dobór kandydatów. Ordynacja obecna zredukowała to niebezpieczeństwo do minimum, ale stworzyła zło niemniejsze, może nawet większe, oddając rozstrzygnięcie tej tak doniosłej sprawy w ręce administracji. Trzeba więc koniecznie zmienić wadliwy system, nie wracając ani do zła poprzedniego, ani nie utrwalając fatalnych pomyłek ordynacji obecnej.

Jeden z wybitnych posłów w nowym Sejmie, członek OZOŃu ale równocześnie i konserwatysta, Maciej Starzewski, prof. U. J. tak pisał na powyższy temat:

Należy przywrócić wolne zgłaszanie kandydatów na posłów. Nie widzę żadnego pożytku z próbowania jakichś systemów po-

średnich, mieszanych np. dopuszczenie wolno zgłaszanych kandydatów obok kandydatów ustalonych przez Zgromadzenia okręgowe. Moim zdaniem utrzymanie Zgromadzeń okręgowych, nawet pozbawionych dotychczasowego swego monopolu, przyniosłoby więcej szkody niż korzyści.

Zaś pułk. Sławek, za którego premierostwa obecna ordynacja uchwaloną została, obecnie, niestety za późno, stwierdza, że:

...okazało się, iż ordynacja daje w ręce biurokracji zbyt wielki wpływ na wybory... to też skorygowanie jej przez skasowanie Zgromadzeń okręgowych, staje się rzeczą konieczną, aby społeczeństwo w doborze kandydatów na posłów, w wyłanianiu swego przedstawicielstwa nie było krępowane...

Otóż istnieje poważna obawa, iż to czego pragnęliby uniknąć tak prof. Starzewski jak i b. premier Sławek, że to właśnie się utrzyma w jakimś systemie mieszanym, pośrednim, a tym samym z góry poronionym.

Już marszałek Sejmu prof. Makowski, wypowiadając się na ten sam temat na zgromadzeniu przedwyborczym w śródmieściu Warszawy był dziwnie ostrożny, stwierdzając, że zmiana ordynacji jest konieczną, bynajmniej jej nie precyzował i nie powiedział wyraźnie w jakim kierunku należy jej dokonać. Niedomówienie to było wysoce znamienne.

Niebezpieczeństwo staje się tym groźniejsze, że przecież wśród czynników miarodajnych, niemniej jak w OZoNie wynik ostatnich wyborów przeprowadzonych na podstawie właśnie obecnej a uznanej za złą, ordynacji wyborczej, nie mógł wzbudzić jakiejś specjalnej odrazy do tego właśnie systemu. Wprost przeciwnie, wybory przeprowadzone na podstawie tej ordynacji wyborczej dały Rządowi zdecydowaną większość, frekwencja się zwiększyła, wybory odbyły się w absolutnym spokoju, a OZoN zatriumfował. To wszystko ma swoje znaczenie, fakty te dla wielu obecnych posłów były wdzięcznym i miłym zjawiskiem.

Nie wolno więc zapominać o doniosłej okoliczności, że projekt nowej ordynacji wyborczej wniesiony do Sejmu formalnie przez OZoN, będzie przedłożony do uchwalenia ludziom, którzy dopiero co skuteczność obecnego systemu wyborczego na sobie pomyślnie wypróbowali. Im mniej więc nowy system będzie odbiegać od systemu obecnego, tym łatwiejszym będzie do strawienia, tym prędzej zostanie uchwalony, bo wzbudzi pewne nadzieje, które łatwiej wywabią z ust Izby Ustawodawczych samobójczy okrzyk: *Mori-turi te salutant!*

Te i inne okoliczności wskazują na to, że cała reforma ordynacji wyborczej o ile nawet w niedalekiej, jak wolno nam ufać, przyszłości, znajdzie się na porządku sejmowych obrad, może się ograniczyć do kompromisu, który będzie jedną nogą tkwił w obecnym złym systemie, a drugą wdepnie z powrotem w poprzedni również fatalny.

W możliwości takiego właśnie załatwienia tak doniosłej sprawy widzimy w tej chwili najgroźniejsze niebezpieczeństwo.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Wojna w Hiszpanii. — Polski skok z Riwery do Berchtesgaden. — Odwrót Niemiec od granic polskich. — Ciężko zagrożone mocarstwa zachodnie.

W styczniu w porównaniu z grudniem karty gry międzynarodowej zostały znów gruntownie przetasowane. Stało się to z dużym rozgłosem, a tak radykalnie, że chwilowo zarysowywał się w Europie nowy, wobec grudniowego odwrotny, układ sił. Nie wiadomo jeszcze czy się on okaże trwalszym od swego poprzednika, w każdym jednak razie stwierdzamy, że i w styczniu tak jak w grudniu, inicjatywa powszechnego zwrotu przypadła w wielkiej mierze Polsce.

Święta Bożego Narodzenia nadciągały pod znakiem „zbiorowego bezpieczeństwa”, czyli unieruchomienia mocarstw osi rzymsko-berlińskiej przez odnowiony pakt polsko-sowiecki na wschodzie, oraz solidarny odpór anglo-francuski na zachodzie. Pakt polsko-sowiecki osłaniał przed Niemcami dostęp do Rosji przez Kłajpedę — Litwę oraz Ruś Zakarpacką — Małopolskę Wschodnią. Odpór anglo-francuski zwracał się przeciwko naporowi Włoch na Tunis i Korsykę. *Junctim* między tymi obu frontami „zbiorowego bezpieczeństwa” stanowiła deklaracja Bonneta o francuskiej gotowości do wojny z Niemcami w razie ich natarcia na Polskę i Rosję. Tę deklarację wzmacniały jeszcze dodatkowe przeciwniemieckie pogrożki Chamberlaina.

W ten sposób, w okresie przedświątecznym mocarstwa centralne znalazły się w ofensywie. Nie mogły wątpić, iż punktem, z którego się dla nich odrodziło niebezpieczeństwo „zbiorowego bezpieczeństwa” był pakt polsko-sowiecki, odpór zaś zachodni — jego echem. Podobnie więc jak w r. 1933, po desancie polskim na Westerplatte w Gdańsku, Niemcy powściągnęły swój *Drang nach Osten* i poczęły próbować szczęścia w innym kierunku, tak też i obecnie: Kłajpedzką interwencję dyplomatyczną anglo-francuskiej ententy wzięły sobie za pretekst do kontrataku przeciwko Wielkiej Brytanii za pomocą łodzi podwodnych. Zapowiedziały

urzędownie w Londynie zamiar osiągnięcia w tej broni parytetu z flotą angielską. W zakresie wyścigu zbrojeń było to posunięcie dla Anglii niespodziewane i dość kłopotliwe. Jednak o tyle nie-realne, iż równocześnie Schacht musiał nawiązać układy z Montagu Normanem o jakieś korzyści finansowe w związku z likwidacją sprawy odszkodowań. W ogóle finanse i surowce stanowią słabą stronę zbrojeń niemieckich. Podwodny niemiecki szach przeciwko „królowej mórz” współdziałał kierunkowo z tunezańską ofensywą Włoch przeciwko Francji. To też tylko przełotnie, pod pierwszym wrażeniem nowej próby „zbiorowego bezpieczeństwa” w Rzymie starano się je zażegnać widmem paktu czterech. Zorientowano się szybko, iż ten nieboszczyk z r. 1933 (który i wówczas uległ przewadze bloku wschodniego) obecnie mógłby raczej umocnić zbliżenie polsko-rosyjskie, równocześnie krepując Italię wobec Francji. Porzucono więc tę myśl nieskoordynowaną należycie z Berlinem, podejmując natomiast dalszy atak przeciwko Francji równoległy z podwodną akcją niemiecką. Otworzyła atak ten podczas Świąt urzędowa nota rzymska, wypowiadająca Francji traktat Laval'a z r. 1935; a także nieurzędowe wieści jakie nadeszły do Paryża o rzekomym wkroczeniu wojsk włoskich do Somalii francuskiej.

Traktat Laval'a istotnie stał się już bezprzedmiotowym. Główną jego ośnowę polityczną stanowiło zobowiązanie Włoch do obrony niepodległości Austrii, w zamian za wolną ze strony Francji dla Włoch rękę wobec Abisynii. Oba te państwa odeszły już tymczasem na karty historii. Nie wynikało stąd jednak, by Francja miała być skłonna zadość uczynić wezwaniu Włoch do nowych ustępstw terytorialnych. Do rokowań oświadczyła swą gotowość, do ustępstw w skali korsykańsko-tunezańskiej — nie. Przewidując to, Mussolini rozwinął swoje główne uderzenie realne — w Hiszpanii.

Na tym terenie znalazł się równocześnie w obliczu okoliczności przymusowych i sprzyjających. Przymus decydującego wysiłku ze strony powstańczej polegał na tym, że długotrwały zastój począł wywoływać w tym obozie fermenty rozkładowe. Należało więc albo zastosować się do życzeń anglo-francuskich i zlikwidować wojnę domową bez jej rozstrzygnięcia, natomiast na korzyść reakcji monarchiczno-parlamentarnej; albo też — szybko i stanowczo powalić czerwonych. Mussolini wybrał to drugie, ponieważ w grę weszła doniosła okoliczność sprzyjająca w postaci wycofania się Moskwy z pomocy czerwonym.

Moskwa uczyniła to głównie z powodu niemieckich zaborów w Europie środkowej, oraz wzmożonego stąd niemieckiego nacisku na wschód. Przeciwwagi wobec tego niebezpieczeństwa nie mogła już Moskwa poszukiwać w osłabionej entencie zachodniej, lecz raczej w Polsce i we Włoszech. Tym samym nie miała racji popierać w Hiszpanii stanowiska Anglii i Francji przeciwko Italii.

Po wtóre Daladier we Francji wdrożył kurs antykomunistyczny i utrudnił miejscowej sekcji Kominternu współdziałanie z czerwoną Hiszpanią.

Biorąc pod uwagę powyższe okoliczności Mussolini oddał do dyspozycji gen. Franco 50-tysięczny korpus włoski całkowicie zmotoryzowany i maszynowo uzbrojony do *maximum* stopy wojennej. W wigilię Bożego Narodzenia, przy 12 stopniach mrozu, na trudnym górskim, najeżonym fortyfikacjami terenie rozpoczęło się wielkie natarcie hiszpańsko-włoskie. Po miesiącu walk tak uporczywych i ciężkich z jakich już zasłynęła trzyletnia prawie wojna domowa hiszpańska, Mussolini i Franco odnieśli potężny sukces przez zajęcie Barcelony. Przypuszczać wolno, że po jej opanowaniu następna faza kampanii, likwidująca czerwonych na obszarze walencko-madryckim pójdzie stosunkowo szybko i łatwo.

Przebieg działań wojennych na froncie katalońskim nie zawiódł więc Mussoliniego. Okazał się w jego ręku potężnym atutem, który wywarł wielki wpływ na dalszy rozwój położenia międzynarodowego. Bezpośrednio wojna w Katalonii steroryzowała zachodnią ententę, zwłaszcza Francję. Stawało się coraz prawdopodobniejszym, że Mussolini istotnie wywalczy sobie w Hiszpanii nowy, poprzez Pireneje, dostęp strategiczny do Francji, znacznie łatwiejszy, niżli od strony niekorzystnej dla Włoch, silnie przez Francję ufortyfikowanej granicy alpejskiej. Obawa osaczenia przez faszysty: włoski, hiszpański i niemiecki poruszyła do głębi opinię francuską, szczególnie do rozpacz doprowadzając marksistowską lewicę. Rzeczywiście Hiszpania uzależniona od Włoch zagraża Francji dalszym konsekwentnym osłabieniem jej pozycji na lądzie europejskim w tym samym stopniu co zabór Austrii i rozbiór Czech przez Niemcy. Ponadto osłabia również pozycję śródziemnomorską tak Francji jak i Anglii. Wreszcie, co nie jest najmniej ważne i co mogłoby się dla Francji okazać dobrodziejstwem, faszyzacja Hiszpanii łącznie z jej międzynarodowymi niebezpieczeństwami, miałyby duże szanse wywołania pewnych przystosowań wewnątrzno-ustrojowych w samym państwie francuskim.

Co dalej z hiszpańskiego punktu wyjścia bezpośrednio wyniknie to się dopiero z czasem okaże. Na razie zaś zanotować należy bardzo już widoczny wpływ pośredni wypadków hiszpańskich na kształtowanie sytuacji europejskiej. Ujawnił się on w dwu zwłaszcza momentach: w postawie Polski, oraz w stosunku Anglii do Włoch.

Pan minister Beck obrał sobie na francuskiej Riwierze świetny punkt obserwacyjny jako miejsce świątecznego wypoczynku. Podobnie jak poprzedni wyjazd Mussoliniego, był ten polski urlop konieczny dla spokojnego wniknięcia w naturę sytuacji, jej linię rozwojową, oraz dla przygotowania odpowiedniej interwencji. Na Riwierze mógł polski minister w ciągu dwóch ty-

godni zdać sobie dokładnie sprawę z widoków ofensywy hiszpańskiej, z coraz silniejszego nią zakłopotania mocarstw zachodnich jako też z niemieckiej równoległej aktywności skierowanej również na Zachód. Ten odwrót ze Wschodu ku Zachodowi polityki mocarstw centralnych został, szczególnie o ile o Niemcy chodzi, spowodowany w znacznej mierze, przez nowy pakt polsko-sowiecki. Stąd zapewne zrodziła się myśl, ażeby te następstwa jeszcze bardziej rozwinąć i jeszcze radykalniej odwrócić napór Niemiec od Polski na Zachód, dla samej zaś Polski uzyskać nowe zabezpieczenia i korzyści.

Nastąpił więc słynny „łwi skok” z cichego ukrycia na francuskiej Riwierze do Berchtesgaden wprost przed oblicze dyktatora Niemiec. Podróż to była o zupełnie odmiennym charakterze niżli „gołębi lot” staruszka Chamberlaina do tegoż Berchtesgaden, gwoli czeskiej obojaty dla niemieckiego Molocha. To też ta nowa polska podróż nie darmo wstrząsnęła do głębi opinią anglo-francuskiej ententy. O jej to wszak skórę w pierwszym rzędzie chodziło.

Już w kilka dni po konferencji polskiego ministra z dyktatorem Niemiec w jednym z półurzędowych dzienników polskich ukazała się wiadomość rzucająca wyraziste światło na jej wyniki. Według tej wiadomości, po dokonany pod czas dyskusji *four d'horizont*, strona polska otrzymała od strony niemieckiej zaprzeczenie jakichkolwiek dążeń ekspansyjnych niemieckich w kierunku wschodnim, oraz stwierdzenie, iż zmiany terytorialne w Europie środkowej na korzyść Niemiec nie powinny wpłynąć ujemnie na wzajemny stosunek państw niemieckiego i polskiego. Wbrew precedensowi dawniejszej rozmowy, jaką min. Beck miał swego czasu w Berlinie z Hitlerem w cztery oczy, rozmowa obecna w Berchtesgaden odbyła się przy urzędowych świadkach niemieckich i polskich. Wnioski zatem do jakich doprowadziła naszą charakter wiążącej deklaracji.

Dyskretną kontrdeklarację polską zawierało noworoczne przemówienie Pana Prezydenta Rzplitej wobec korpusu dyplomatycznego. Pewne ustępy tego przemówienia stwierdzają, iż Polska dąży do zgodnego współżycia z obu swymi wielkimi sąsiadami, mimo to jednak gotowa jest wszelkimi środkami przeciwstawić się każdemu, kto by godził w jej żywotne interesy. W aktualnym położeniu oznacza to, iż Polska mogłaby kontynuować politykę bariery, o ile Niemcy zaniechają wznowionego naporu na Wschód. W przeciwnym razie Polska byłaby zmuszona pójść pełnostronnie po linii zbliżenia z Moskwą przeciwko Niemcom, aż do wielkiego bloku wschodniego oraz zbiorowego bezpieczeństwa z Zachodem włącznie.

Skoro jednak Niemcy w Berchtesgaden złożyły żadaną przez Polskę deklarację swej powściągliwości w kierunku wschodnim, to powstaje pytanie w jakiej mierze ta deklaracja zapewnia

Polsce od strony Niemiec bezpieczeństwo, a może także czynną swobodę ruchów? Drugie analogiczne pytanie dotyczy kwestii co w zamian Polska przyznała Niemcom, w jakim kierunku zapewniła im swobodę ruchów ze swojej i rosyjskiej strony?

Odpowiedź na te pytanie zapewne nie mogła być w Berchtesgaden sformułowana od razu w sposób ostateczny, lecz musiała być w zasadniczych liniach zaprojektowana. Niemcy zobowiązały się powstrzymać swoje natarcie wschodnie z Kłajpedy przeciwko Litwie, oraz z Rusi Zakarpackiej przeciwko Małopolsce, Bukowinie, Besarabii i Ukrainie. Idealną z polskiego stanowiska gwarancję zapewniałaby w pewnym wypadku całkowita nasza od strony Niemiec swoboda ruchów wobec Litwy, aż do unii włącznie; w drugim zaś wypadku — granica polsko-węgierska. Rozwiązanie takie nie tylko byłoby dla nas idealne, lecz mogłoby nawet okazać się najzupełniej realnym, bo nie napotkalibyśmy zapewne opozycji także ze strony Moskwy, którą by to rozwiązanie zabezpieczało od Niemiec.

Tak dobrze jednak układ w Berchtesgaden dla nas wypaść nie mógł. Zapewne obawiali się Niemcy, że mogłoby to zamknąć przed nimi drogę ekspansji nie tylko na Bałkan — przez blok polsko-węgiersko-rumuński, zdolny do współdziałania z Jugosławią i Włochami. Pozostałaby wtedy przed Niemcami otworem jedynie droga ofensywy ściśle zachodniej, poparta przez zwycięstwo gen. Franco i Włoch w Hiszpanii. Drogi tej Niemcy nie lekceważyli i nie zaniedbują, owszem rozwinęli już na niej dość ruchliwą działalność. Równocześnie wszakże, w porozumieniu z Polską i Włochami, starali się zabezpieczyć sobie daleko sięgające możliwości nad Dunajem. Wyraziste światło rzuca na tę sprawę deklaracja czesko-węgierska, potwierdzająca obecną czesko-węgierską linię graniczną jako ustaloną i ostateczną. Deklaracja ogłoszona została na skutek poważnych starć i zamieszek prowokacyjnych z Węgrami przez karpato-ukraiński rząd Wołoszyna. Prawie równocześnie (wkrótce po Berchtesgaden a podczas wizyty Chamberlaina w Rzymie) węgierski min. spr. zagr. hr. Csaky zadeklarował przystąpienie Węgier do paktu antykomunistycznego wobec posłów Włoch, Niemiec i Japonii. Równocześnie też prasa niemiecka zaczęła zapowiadać przystąpienie do tegoż paktu Czechosłowacji, oraz pocieszać się, że chociaż Polska doń wejść nie chce, jednakże Niemcom mniej na tym zależy, gdyż ich ekspansja omijać odąd będzie obszar bezpośrednich interesów polskich. Wskazano nawet ogólnie o kierunku nowego *Drang nach Südosten*, zaopratrując go radosnym wykrzyknikiem o „rozerwanym nareszcie pierścieniu“, który dotąd blokował Niemcy w Europie środkowej.

Do tych po-berchtesgadenskich objawów dodać jeszcze należy z jednej strony pogłoskę o zwrocie węgierskich dążeń rewidjonistycznych w kierunku madziarsko-szeklerskiego obszaru

na Siedmiogrodzie rumuńskim, z drugiej zaś — zapowiedziane i szybko wykonane odwiedziny hr. Ciano w Jugosławii. Wszystko to razem wzięte pozwala wnioskować z dużą dozą prawdopodobieństwa, iż między Niemcami, Polską i Włochami doszło do uzgodnienia linii politycznych w tym sensie, by dotychczasowy niemiecki napór wschodni wstrzymać, otwierając dlań natomiast ujście południowo-wschodnie, na Bałkan i Turcję.

Taka decyzja przynosiła Polsce doraźne zabezpieczenie, ale zarazem pozostawiając Ruś Zakarpacką pod wpływem Niemiec przekreślała dążność do wspólnej granicy polsko-węgierskiej. Doraźny odwrót niemieckiego naporu od naszych granic opłaciłmy drogo, pozostawiając w ręku niemieckim karpato-ruską gwarancję trwałości tego odwrotu. Więcej nawet, przystąpienie Węgier do paktu przeciwkomunistycznego przyznało Niemcom dodatkową gwarancję na ich korzyść przeciwko ewentualnemu blokowi polsko-rumuńsko-węgierskiemu.

Trzeba jednak przyznać, że ten ostatni akt nie był całkowicie jednostronny. Zaznaczał on na Węgrzech ponownie *condominium* niemiecko-włoskie. W ogóle dopuszczalność całej tej wybitnie karkołomnej kombinacji z niemiecką ekspansją na południowy-wschód dawała się usprawiedliwić ze stanowiska polskiej i włoskiej racji stanu głównie nadzieją na wspólną włosko-polską kontrolę ograniczającą ruchy Niemiec w tym kierunku. Można i trzeba było przy tym liczyć na współdziałanie samych najbardziej zainteresowanych państw bałkańskich. Stąd podróż Ciano do Białogrodu. Całość imprezy projektowano zapewne w Rzymie, a może i w Warszawie, jako pewnego rodzaju gospodarczą, polityczną i wojskową swobodę tranzytu dla Niemiec przez Bałkan do Turcji. Dopiero ta ostatnia miała być przyspaść Niemcom w udziale jako ściślejsze pole działalności, wraz z daleko sięgnymi widokami na angielską Mezopotamię oraz francuską Syrię.

Ten domniemany projekt kolonialnej już właściwie ekspansji Niemiec starał się więc wyjść naprzeciw dążeniom jakie Niemcy w tym kierunku już po *Anschluss*'ie Austrii ujawniły, lecz które poprzednio były przez Italię odrzucone. Jeżeli teraz zostały przez nią podjęte, to po części w nadziei na utrzymanie rzeczywistego z Niemcami *condominium* na Bałkanie przy pomocy Polski i państw miejscowych. Przede wszystkim zaś w nadziei na wzrost potęgi samych Włoch na skutek spodziewanego pogromu mocarstw zachodnich. W tym pogromie Niemcy naciskiem z Turcji przeciwko posiadłościom anglo-francuskim na Bliskim Wschodzie mogą odegrać rolę tyleż doniosłą ile dla nich samych korzystną. Wszak z Turcji oraz sąsiednich krajów arabskich można by, na gruzach zachodnich imperiów kolonialnych, utworzyć wspaniałe imperium niemieckie, zdolne w pełni zaspokoić żywotną konieczność ekspansyjną Niemiec.

Na to właśnie decydowały się Włochy pragnąc uaktywnić Niemcy po swojej stronie w ofensywie śródziemnomorskiej przeciwko Zachodowi. Tę perspektywę nowego kierunku ekspansji Niemiec akceptowała też zapewne i Polska w Berchtesgaden, jako mniej dla niej niebezpieczną od naporu na Litwę i Małopolskę, chociaż karkołomną nad Dunajem tak dla nas, jak i Włoch. Co więcej gdyby ta perspektywa weszła na tor realizacji, to przynosząc przyrost potęgi Włoch mogłaby w rachubie równowagi wobec Niemiec zastąpić Polsce uszczerbek potęgi mocarstw zachodnich i tak już bardzo zredukowanej w Europie przez zabór Austrii i Sudetów. Mogłaby też ta perspektywa północno-wschodnia, proporcjonalnie do powodzeń, trwale odwrócić napór ekspansji Niemiec od Polski i Rosji. W takim razie, w dalszej przyszłości nie byłaby wyłączoną nawet wspólna granica polsko-węgierska; w bliższej zaś już może przyszłości przyznana by była Polsce znaczniejsza swoboda ruchów nad Bałtykiem.

Zdaje się, że ta właśnie korzyść bezpośrednia dla Polski nie była wyłączoną spośród tematu rozmów w Berchtesgaden. Oto bowiem Niemcy wspólnie z Włochami decydują się zwrócić główny nacisk swych dążeń przeciwko mocarstwom zachodnim, już to bezpośrednio, już też drogą na Bliski Wschód. Zrozumiałem jest wprawdzie, że pragną zabezpieczyć się przed polsko-węgierską przewagą nad Dunajem, jednak los Litwy staje się dla Niemiec bardziej obojętny. Owszem nawet jej podporządkowanie Polsce może być przez Niemcy uważane za osłonę przed dywersją rosyjską. Dlatego to wkrótce po Berchtesgaden, gdy ustalona została data wizyty min. v. Ribbentropa w Warszawie, spodziewano się, iż nie będzie ona jedynie manifestacją polskiej polityki bariery, lecz że ją wypełnią konkretne rokowania na temat zwłaszcza spraw bałtyckich. Zdawała się wówczas zarysowywać koniunktura polsko-litewska wprost dla nas idealna, może wręcz dla nas unijna. Nie zagrażał opór Rosji, ze strony zaś Niemiec można się było spodziewać tylko twardego targu lokalnego, z Gdańskiem na pierwszym miejscu. Wówczas to wyszła z Genewy pogłoska, iż Liga zamierza się wycofać z Gdańska.

Polska polityka międzynarodowa na przełomie 1938 i 39 roku dokonała śmiałej, o szerokim geście próby obrony polskiej racji stanu przed niebezpieczeństwem niemieckim za pomocą tej samej metody barierowej, którą zastosowała po raz pierwszy w dwustronnych paktach nieagresji z Rosją i Niemcami w latach 1932-34. Ale procedura została silnie zwarta w czasie. Wobec zwiększonej dynamiki niebezpieczeństwa niemieckiego nie dało się też odeprzeć go całkowicie lecz tylko przeprowadzić z bezpośredniej w odleglejszą dziedzinę polskiej sfery interesów. Ujawniło się przy tym wyraźnie silniejszeciążenie naszej polityki międzynarodowej ku bałtyckiej północy, niżli ku naddunajskiemu południu. Wobec mocarstw zachodnich polityka ta wystąpiła jeszcze bez-

względnie niżli w latach 1932-34. Wówczas bowiem poprzez zwrot Niemiec przeciwko Zachodowi zapoczątkowała długoletnią ewolucję Niemiec ku potędze, uwieńczoną zaborem Austrii i Czech. Obecnie zagroziła Zachodowi doraźnie i gwałtownie. Jest to zresztą nieuniknionym następstwem dawniejszych błędów polityki Zachodu a więc wielkiej ententy, które ją wtrąciły w bezwład wobec mocarstw osi. Rzecz jasna, iż Polsce bliższą być musi kwestia Litwy i Małopolski niżli Iranu i Syrii, lub Tunisu i Korsyki.

Wobec Moskwy polityka polska w ostatnich swych paru posunięciach pozostawała całkowicie lojalną oślanając Rosję równie skutecznie jak własne państwo. I przez to również wywarła wielki a niekorzystny dla Zachodu wpływ na linię wydarzeń, odseparowała bowiem odeń automatycznie Moskwę (znamienna nieobecność w Genewie), odciągnęła ją od pomocy czerwonej Hiszpanii, oddała przysługę Włochom. Nie bezzasadnie utrzymuje prasa zachodnia, iż Polska popiera włoskie dążenia ekspansyjne, obecnie bowiem leży w naszym interesie jak największa potęga Italii.

Zachód bronił się z początkiem niedołężnie. Odwiedziny rzymskie Chamberlaina, Halifaxa w tydzień po rozmowie Becka z Hitlerem w Berchtesgaden wypadły dla Anglii fatalnie. Politycznie zakończyły się fiaskiem, prestiżowo zaś przyniosły głowie rządowi brytyjskiego wprost niebywałą kompromitację. Nie spełniła się wprawdzie obawa Francji, ażeby jej Chamberlain nie wciągnął wobec Włoch w nowe Monachium. Poza tym jednak Mussolini naprzd naciągnął swego gościa na wymianę pompacyjnych toastów o układzie anglo-włoskim, chociaż warunkiem jego wejścia w życie miało być wycofanie się Włoch z Hiszpanii. Właśnie zaś podczas rzymskiej wizyty wojska włoskie w Katalonii prowadziły rozstrzygające natarcie bojowe. Konferencji politycznej właściwie nie było ponieważ jej punktem wyjścia musiałaby się stać Hiszpania, gdzie właśnie głos miały armaty. Za to Mussolini nie szczędził swym gościom uprzejmości w postaci postronnych narad z ambasadorami Niemiec i Japonii, budapeszteńskiej „bomby” o przystąpieniu Węgier do paktu przeciwkomunistycznego, wymyślań prasy włoskiej na Francję, a wreszcie nawet afrontów osobistych, jak wprowadzenie starego premiera W. Brytanii do łoży pod „honorowymi” sztyletami młodych faszystów, oraz wycieczek sportowych Mussoliniego i Ciano. Anglicy wrócili z Rzymu do Londynu jak zmyci.

Równocześnie z postępami ofensywy katalońskiej Niemcy na północy bezpośr. nio niepokoił Anglię uwerturą do rokowań kolonialnych w postaci zamachów bombowych irlandzkich, oraz pogłosek o ruchach wojsk niemieckich nad granicą holenderską. Ten ostatni argument był dla Londynu szczególnie dotkliwy, bo obronić Holandii przed Niemcami na lądzie Anglia nie ma sposobu. Trzeba było ją zawczasu ufortyfikować, ale teraz na to już

za późno. Holandia w ręku Niemiec to dobra pozycja strategiczna do dalszej ofensywy na nieufortyfikowaną północną granicę Belgii, równoległa do takiejże pozycji włoskiej na Pirenejach w Hiszpanii. Groźba zajęcia Holandii może się tym samym stać dogodną pozycją polityczną do rozmów z Londynem na temat np. Indyj Holenderskich.

Zachód zatem znalazł się w obliczu tak bliskiego i wielkiego niebezpieczeństwa jak nigdy od czasów Wersalu. Nie dziw wobec tego, że Anglia uporczywie odmawia interwencji w Hiszpanii, choć ją do tego z Paryża namawiano. Mimo to sytuacja nie jest jeszcze całkowicie przesadzona na niekorzyść Zachodu, po części dlatego, że mu się udało nieco pokrzyżować plany wschodnie przeciwników, po części zaś z powodu automatycznych komplikacyj jakie po tamtej stronie wystąpiły. Przeciwdziałanie czynne mocarstw zachodnich wyraziło się w walce o wpływ na Turcję, która się jeszcze waha pomiędzy Niemcami a anglo-francuską ententą. Stąd sugestia tureckiego wystąpienia przeciwko Włochom z pretensją o Rodos i Dwunastowyspie, ważne wartości wojskowe i geopolityczne. Nie mogło to pozostać bez wrażenia w Rzymie, mimo upadku Barcelony, zwłaszcza, że równocześnie misja hr. Ciano w Jugosławii dała wysiłki raczej ujemne. Stwierdzono, że tranzyt dla Niemiec przez Jugosławię nie przedstawiałby trudności, ale zapobieżenie ekonomicznemu, a więc i politycznemu zwasalizowaniu Jugosławii przez Niemcy byłoby niesłychanie trudne. Stąd łagodniejszy ton prasy włoskiej wobec Francji.

Pewną komplikację wprowadziła w położenie również Praga, nieoczekiwanie odmawiając Niemcom swego udziału w pakcie przeciwokomunistycznym, oraz ujawniając chęć objęcia rzeczywistej władzy nad Rusią Zakarpacką — w oparciu o pakt polsko-sowiecki. Stąd pogłoska w Budapeszcie, jakoby Niemcy poczynęły się skłaniać do granicy polsko-węgierskiej. Ponad wszystkim jednak zagórował fakt dymisji Schachta w Niemczech. Świadczy on, iż Niemcy gonią ostatkiem sił finansowych w wyścigu zbrojeń z Anglią. Gdyby dopuściły do jej przewagi w lotnictwie, to fakt ten silnie zakwestionowałby ich ogólną zdolność bojową, bo przeciwnik mógłby zbombardować centrum przemysłu wojennego nad Renem w zagłębiu Ruhr-Essen, a także sam Berlin. Ale to właśnie może skłaniać Berlin i Rzym do działań decydujących już obecnie.

Położenie zostaje chwiejne i niewyjaśnione. Dlatego wydaje się podobną do prawdy wieść, iż odwiedziny Ribbentropa w Warszawie zostały ograniczone do manifestacji polityki barierowej, na dalszą zaś ewolucję w polityce polsko-niemieckiej wypadnie jeszcze poczekać.

Andrzej Prawdźic.

Warszawa, 28 stycznia.

Ze świata filmu.

Drażliwe zagadnienie. — Film polski we Francji. — Zagraniczna kompromitacja. — W Polsce mówią po żydowsku. — Metoda „argentyńskich Polaków”. — „Polszczenie” kryminalistów. — Niestychany wybryk. — Stwórzmy polski film! — Przegląd repertuaru.

Import filmów zagranicznych do Polski nie jest, oczywiście, zjawiskiem wyłącznie kulturalnym, ale również zjawiskiem gospodarczym. Jako naturalna tendencja zjawia się w tych warunkach ambicja ażeby nie tylko importować, ale również i eksportować. Nie tylko podziwiać filmy sprowadzane z Ameryki, Anglii, Francji czy Niemiec, ale i Amerykanom, Anglikom, Francuzom, Niemcom pokazać polski film. Pokazać i zarobić na nim: wszak dopiero eksport, dopiero zdobycie zagranicznych rynków zbytu, pozwala na realizację kosztownych obrazów, na rozbudowę atelier, wyposażenie ich w najnowsze urządzenia techniczne, sprowadzenie „gwiazd” pierwszej wielkości, sięganie po efektowne tematy. Gdyby film francuski nie wyszedł poza Francję, nie zdołałby zatrzymać Danielle Darrieux i nie sprowadziłby do swych studio Marleny Dietrich.

O jakie zagraniczne rynki zbytu mógłby się kusić film polski? Rynek amerykański, naturalnie poza kinami w polskiej dzielnicy Chicago itp., jest dla naszego filmu zamknięty. Zresztą, nawet widz-Polak, który przez sentyment dla ojczystego języka zobaczył film przywieziony z Polski, nie może się na nim dobrze bawić i na pewno nie odważy się nim chwalić przed swym przyjacielem Yankesem.

Rynek niemiecki wchłania bardzo drobną ilość filmów, przy czym polsko-niemiecka umowa filmowa, o której fikcyjnej wartości już nieraz pisaliśmy, traci wszelkie znaczenie praktyczne wobec faktu, że całość naszej produkcji krajowej opanowana jest przez Żydów. W rezultacie Niemcy w każdej chwili mogą się zasłonić względami cenzuralnymi: albo odrzucają film ze względu na jego tendencję, albo nagle przypominają sobie o niearyjskim aktorze, czy niearyjskim reżyserze.

W Anglii — w kinach żydowskich grają żargonowe filmy, realizowane w Polsce przez tych samych producentów i reżyserów, którzy częstują nas całą ową *Hintertreppenromanliteratur*, jaką tolerujemy na polskich ekranach, udając jakobyśmy nie wiedzieli, że nie jest to film polski, lecz film żydowski, realizowany za żydowski kapitał, najczęściej i w duchu żydowskim, a nieraz wręcz poniżający Polaka, jak to widzieliśmy w oburzającej sprawie filmu *Sfrachy*. Obok filmów żargonowych, rynek angielski wchłania jeszcze — i to jest punkt dodatni — krótkometrażówki polskiej awangardy. Dlaczego? Po prostu — ponieważ są dobre.

Pozostaje rynek francuski. Import filmu francuskiego do Polski rośnie z roku na rok, jako wynik artystycznego roz-

woju kinematografii francuskiej. Coraz częściej zamiast tradycyjnych obrazów amerykańskich oglądamy film przysłany z Paryża i ten fakt dał początek projektowi zawarcia między Polską a Francją umowy filmowej, analogicznej do układu z Niemcami, opartej na zasadzie dopuszczenia we Francji pewnej określonej ilości filmów polskich w zamian za określoną, rzecz jasna — znacznie wyższą, liczbę filmów francuskich, sprowadzonych przez Polskę. Techniczna jednak strona ewentualnej umowy filmowej z Francją przedstawia się znacznie trudniej, niż współpraca z filmem niemieckim. Totalistyczne Niemcy mogły swemu przemysłowi filmowemu narzucić ustalone układem normy importu, układ z Francją zawiśnie od razu w powietrzu, jeżeli filmy polskie nie znajdą amatorów wśród właścicieli kin. Nasz eksport filmowy do Francji staje się od razu eksportem martwym, gdy towar nie spodbija się odbiorcy.

I tak stopniowo, po nitce do kłębka, dochodzimy do pytania: czy w ogóle mamy co eksportować? Czy plany eksportu nie przyniosą nam kompromitacji? Czy raczej nie należałoby wprowadzić przezornej kontroli nad obecnymi próbami wysyłki „polskich” filmów zagranicę, bo może nam grozić powtórzenie się kompromitującej historii tzw. „argentyńskich” Polaków. Jak wiadomo, w handlu w Argentynie dość pokaźne miejsce zajmują Żydzi przybyli z Polski, znowuż w domach publicznych najczęstszymi pensjonariuszkami są wywiezione z Polski żydówki — w ulicznym języku Buenos Aires „Polka” jest równoznaczne z wulgarnym określeniem kobiety lekkich obyczajów, a „Polak” służy na oznaczenie wydrwigośra i oszusta.

Jak wyglądają sprawy w dziedzinie filmu, dowiemy się z aktualnych przykładów. Oto w bieżącym sezonie w kinach paryskich pojawiły się dwa filmy „polskiej” produkcji: *Znachor* i *Dziewczęta z Nowolipiek* (*La vie recommence*). Już sam wybór tych dwóch obrazów był wyjątkowo niefortunny. Dokonano go pod sugestią powodzenia *Znachora* w Polsce oraz nazwisk: Mostowicza i Gojawiczyńskiej. Co innego jednak podoba się naszej kucharce, co innego widzowi francuskiemu, oglądającemu nieustannie najlepsze filmy świata. Ani Tadeusz Dołęga-Mostowicz, mimo całej swej popularności, ani Junosza-Stępowski, nie są dla Paryża pozycjami frapującymi. Nie są nawet materiałem do reklamy. Gojawiczyńskiej nie znają z przekładów, a przeróbka *Lejtesa* z jej powieści, zrozumiała jest wyłącznie na tle Warszawy i na tle książki. Kto powieści nie czytał, lub przynajmniej o niej nie słyszał, ten ani zorientuje się w gmatwaniu kilku fragmentarycznych akcji, ani nie odczuje pewnego uroku filmu.

Rezultaty: *Znachor* został bezlitośnie wydrwiony przez krytykę, na ekranie utrzymał się przez... 5 dni. *Dziewczęta z Nowolipiek* otrzymały recenzje miłosiernie protekcyjne i pozostały bez szans choćby miernego powodzenia.

Ale nie to jeszcze jest najważniejsze. Prawdziwą, istotną i najgorszą kompromitację stanowią już nie same filmy, lecz sposób pokazania ich francuskiej publiczności, *Znachora* bowiem wyświetlano w *Studio - Monceau*, a *Dziewczęta z Nowolipek* w kinie *Studio - Parnasse*, na Montparnassie, a więc w międzynarodowej dzielnicy Paryża, dokąd publiczność francuska nie chodzi. Obydwa kina są salami trzecio- lub czwartorzędnymi; wyspecjalizowały się w filmach obcojęzycznych, zwłaszcza żargonowych, a przed filmami „polskimi”, w bliskim ich sąsiedztwie, grały filmy żydowskie. Nic dziwnego, że tak właśnie umieszczono „polskie” filmy w Paryżu — urzeczywistniła się tu w nieoczekiwanej formie zasada: „swoją do swego po swoje”. Dodajmy, że do opiekunów „polskiego” filmu na terenie francuskim należeli panowie *Naar* i *Levitan*, agenci jednego z poważnych importerów filmów francuskich do Polski, którzy — zapewne przez kupiecką grzeczność — oddali mu tę dość wątpliwą przysługę. Nawiasem mówiąc, spółka *Naar — Levitan* wybierając filmy, jakie Polska ma sprowadzić z Francji, decyduje co zobaczy nasz widz i stanowi swoisty dyktatorski duumwirat filmowy, regulujący wymianę wartości kulturalnych między Francją, a Polską. Też piękny kwiatuszek!

Do *Studio - Monceau* i *Studio - Parnasse* częściej trafia Żyd, niż Francuz. Przynajmniej ta pociecha, że film tak niechlujnie przygotowany, że nawet napisów nie wmontowano w taśmę, tylko wklejano między poszczególne sceny (jak za czasów filmu niemego), nie kompromitował nas przed prawdziwymi Francuzami. Ale, niestety, nawet i do tych mizernych kinoteatrzyków trafia zbyt gorliwy recenzent, który później mówi, iż w Polsce robi się filmy techniką sprzed 20 lat, a zarazem ulega specyficznemu nieporozumieniu.

Składa się na nie fakt, iż film polski wyświetla kino przeznaczone dla Żydów i grające żargonówki, następnie fakt, że w Paryżu w tego rodzaju kinach cieszą się dość dużym powodzeniem robione w Polsce filmy żydowskie, wreszcie — trzecie ogniwo łańcuszka — że i w filmach z polskim dialogiem i w filmach z żargonem, występują nazwiska o brzmieniu polskim, zakończone na — ski, na — icz itp. Wystarczy np. przypomnieć *Waszyńskiego*, reżysera *Znachora*, reżyserującego także filmy żargonowe, wystarczy przytoczyć *Jonilowicza*, operatora w głośnym filmie żydowskim *Idł mi' n fidl* (Judel gra na skrzypcach), wyświetlanym w dzielnicy paryskich Żydów — Belleville.

Pod wpływem takiego zbiegu okoliczności, niedostatecznie poinformowany sprawozdawca francuski, odnosi wrażenie, że w Polsce mówi się albo po polsku, albo po żydowsku. Na tle widoków tego samego miasta — raz widzi bohaterów, rozmawiających po polsku, kiedy indziej — rozmawiających żargonem. W końcu dochodzi do przekonania, iż żargon stanowi egzotyczny

couleur local polskich miast. (Co gorsza, w tej omyłce jest sporo... słuszności). I kiedy zobaczy film żargonowy, napisze w końcu, że widział film polski. Napisze nawet, powodowany sympatią dla sojuszniczki Francji (recenzje *L'Intransigeant*), że nie chce wymieniać zakończonych na -ski nazwisk polskich artystów (np. *Idt mit'n fidt* — reżyserzy: Przybylski i Green; „Dybuk” — autor sztuki: An-ski reżyser Waszyński itd.) ponieważ nie chciałby sprawiać przykrości zwracaniem na nich uwagi właśnie w krytycznej recenzji.

Ujawnienie tak drastycznych pomyłek francuskiej prasy filmowej powinno i niewątpliwie wywoła, interwencję Związku Dziennikarzy i Publicystów filmowych u zaprzyjaźnionej organizacji francuskiej. Sedno sprawy leży jednak w bezplanowych, chaotycznych i szkodliwych próbach niekontrolowanego eksportu filmów krajowych, rzekomo polskich, kompromitujących nas i swym poziomem artystycznym i pokrewieństwem z filmami żargonowymi. Trzeba sobie powiedzieć wyraźnie: nie mamy czego eksportować, nie stworzyliśmy nic w dziedzinie filmu, kultura polska nie wniosła tu niemal żadnych wartości. Oddaliśmy tę dziedzinę sztuki w pacht żywiołowi obcemu. Naród o wspaniałych tradycjach kulturalnych, rządca 30-milionowego państwa, nie zdobył się dotąd na ambicję wykazania swego istnienia na terenie sztuki XX wieku — filmu. Jest to smutne i zawstydzające, ale... brudną bieliznę należy prać w domu. Nie dopuszczajmy więc do kompromitacji na terenie zagranicznym. Każdy film, który producent zamierza wysłać za granicę, winien przejść przez specjalną cenzurę eksportową! I nie jest nam obojętne, czy film będzie wyświetlany w żargonowej mieszance w kiepskim kinie, czy w przyzwoitym kinoteatrze! Metoda „argentyńskich Polaków” polega na tym, że za granicą — wskutek zepsucia kredytu moralnego polskość przez Żydów — Polaka uważają za żyda; w Polsce odwrotnie — Żyda - kryminalistę przerabia się na Polaka, jak to mieliśmy niedawno sposobność stwierdzić w *Strachach*...

I nie tylko w *Strachach*...

Zdawałoby się, iż przerobienie Żyda-kryminalisty na Polaka w filmie *Strachy* jest postępkami tak niesłychanym, tak bezczelnym, że mogło zdarzyć się tylko jako odosobniony skandaliczny wybryk. Tymczasem ledwie jeden film zeszedł z ekranu, ledwie się pojawił nowy film „polski”, wychodzi na jaw świeży skandal, wobec którego sprawa *Strachów* wygląda na niewinny żarcik jowialnego żydka... W *Strachach* bądź co bądź — spolszczono tylko jednego сутенера, gwałciciela, złodzieja, nazwiskiem Fensterglass. W filmie *Za winy niepopelnione*, którego premiera wkrótce po świętach Bożego Narodzenia odbyła się w kinie „Światowid” w Warszawie, polszczenie żydów-bandytów odbywa się już hurtownie.

Zacznijmy od paru informacji o samym filmie. Reżyserował go Eug. Bodo, scenariusz napisał Napoleon Sadek (vel... Natan Rosenbaum) według powieści znanego komedio-pisarza, Michała Bałuckiego. Treść filmu jest następująca: Jan Leszczyc, młody inżynier, wraca po studiach politechnicznych, do swych rodziców osiadłych w prowincjonalnym mieście. Są to ludzie skromni, żyjący na uboczu, trzymający się od innych z daleka. Wzorowe małżeństwo, wzorowi rodzice. Matka Jana ulega na ulicy wypadkowi — nagłe zaślabnięcie. Staruszkę odprowadza do domu przypadkowo spotkana panienka, która następnie zaprzyjaźnia się z rodziną Leszczyców, pielęgnuje Leszczycową podczas choroby, wreszcie — zakochana w Janie, pobłogosławiona przez jego matkę, zaręcza się z nim.

Niewiele wiadomo o narzeczonej Jana. Na imię ma Amelia, nazwisko — Cholska. Mieszka we wspaniałym apartamencie, ojciec jej jest człowiekiem bogatym, handlowcem przebywającym w ciągłych podróżach. W domu stary Cholski jest rzadkim gościem. Kocha jednak córkę ponad wszystko, otacza ją zbytkiem i powtarza nieraz, że musi uczynić ją szczęśliwą. Podczas nieobecności ojca opiekuje się Amelią zaufana gospodyni.

Dowiadujemy się wkrótce, że Cholski prowadzi podwójne życie. Dla córki i jej znajomych jest handlowcem, w istocie jest niebezpiecznym międzynarodowym włamywaczem. Zgromadziwszy pokaźny majątek, pragnie „wycofać się z interesów” i wyjechać z Amelią do Ameryki, licząc, że tam zatrze za sobą ślady. Zjawia się jednak niespodziewanie jego wspólnik w dawnej „robocie”, Karol Torence i żąda nowej wspólnej wyprawy złodziejskiej. Poznawszy przy sposobności Amelię, daje do zrozumienia Cholskiemu, że potrafi milczeć i wiele rzeczy zapomnieć, byle mu oddał rękę córki. Jeżeli nie, może mówić zbyt głośno.

W jednym z hoteli krakowskich zatrzymała się rodzina bogatego bankiera, którego córkę, Julię, Jan Leszczyc poznał w czasie studiów i w której się nawet przez pewien czas kochał. Wprawdzie dziś zaręczony jest nieoficjalnie z Amelią, ale obowiązki towarzyskie zmuszają go do towarzyszenia Julii podczas chwilowego pobytu w Krakowie.

Noc. Do pokoiów, zajmowanych w hotelu przez rodzinę bankiera, zakrada się w przebraniu ojciec Amelii. Udana kradzież — Cholski ucieka z cenną kolia perel. Umiął ją ukraść, ale nie umiał jej ukryć w domu. Zobaczyła ją Amelia i rzuciła się ojcowi na szyję w przekonaniu, że kolia jest prezentem w przeddzień oficjalnych zaręczyn z Janem.

Oczywiście Jan poznaje koltę Julii. Chwila zdziwienia, niepewności i podejrzeń. Wspólnie z Amelią postanawiają koltę zwrócić policji, przypuszczając, że była kupiona przez ojca Amelii u nieuczciwego jubilera, który sprzedał rzecz kradzioną. Ten ślad prowadzi policję na tropy Cholskiego. Podczas uroczystości

zaręczynowej następuje aresztowanie Amelii i jej ojca. Rozpacz Jana: „moja narzeczona córką złodzieja!” Ale właśnie wtedy wychodzi na jaw tajemnica odosobnienia Leszczyców: Leszczyc jest nazwiskiem przybranym, prawdziwe nazwisko brzmi — Górski. Ojciec Jana w młodości wziął większą sumę z kasy bankowej we Lwowie, chcąc ratować kolegę. Kolega pieniędzy nie zwrócił, wina spadła na Górskiego, musiał odpokutować. Po odsiedzeniu kary przeniósł się w inne strony, odsunął od ludzi i jedyną jego ambicją stało się zabezpieczenie lepszej przyszłości synowi. Tak więc Jan jest synem, mimowolnego wprowadzie, lecz przestępcy. Kiedy uniewinniona Amelia wyjdzie z więzienia, potrafi ją odnaleźć, wrócić jej swoją miłość i odzyskać jej serce. Ojciec Amelii ginie śmiercią samobójczą, zabijając zarazem swego współnika Tarence'a.

Tak wygląda w pobieżnym skrócie naiwno-sensacyjny scenariusz filmu, przypominający zeszytowe wydawnictwa ulicznych groszowych powieści. Powstał on jako przeróbka z powieści Bałuckiego pod tym samym tytułem, co film: *Za winy niepopelnione*. Spróbowałem przez ciekawość, jak wygląda metoda pracy żydowskich scenarzystów, dotrzeć do pierwowzoru. Okazało się, że książkę dostać jest dość trudno. Nie ma jej ani w Bibl. Publicznej, ani w Bibl. Narodowej, ani w Bibl. Uniwersyteckiej, a w antykwarniach została w ostatnich dniach jak gdyby systematycznie wykupiona. Znalazłem ją wreszcie w postaci ósmego tomu zbiorowego wydania pism Bałuckiego (Warszawa, 1887 r. Nakład S. Lewentala). Trudno tę powieść autora „Grubych ryb” nazwać sympatyczną. Gorzka, pesymistyczna, wyszydająca społeczeństwo małopolskiej osady, byłaby satyrą możliwą do przyjęcia, gdyby nie pewne fakty, które niejednokrotnie uzasadniają nieprzychylną reakcję środowiska na postępowanie bohaterów powieści. *Za winy niepopelnione* datuje się z okresu asymilatorskiego, nie bez wpływu także na tendencję powieści musiało być częściowo żydowskie pochodzenie samego Bałuckiego. Główna para bohaterów — to młody inżynier, Jan Leszczyc, oraz młoda żydówka, Małka Grünwald. Leszczyc zakochał się w Małce — losy tej miłości stanowią treść powieści. Małka, aczkolwiek miasteczko stara się pozbyć i jej samej, i opiekującej się nią Sury i jej ojca, starego Grünwalda, jest życzliwie przyjmowana przez Leszczyców, którzy chętnym wzrokiem patrzą na matrymonialne zamiary syna w stosunku do żydówki, dość tajemniczego pochodzenia. Wprawdzie Małka zaczyna myśleć o przygotowaniu się do chrztu św., ale pobudką do zmiany wiary jest przede wszystkim miłość do Jana; dla prawd chrześcijańskich nie okazuje zrozumienia, nie dba o treść dogmatyczną religii — po prostu, kochając katolika chce stać się istotą z tego samego społeczeństwa, co jej narzeczony. Opiekunką konwertytki jest wykpiona bezlitośnie przez autora bi-

gotka, co tym bardziej każe nam wątpić w wartość nawrócenia, dokonywanego w takich warunkach. Miłość Małki dla Jana jest szczerą, ale gdyby Jan był mahometaninem, Małka równie dobrze zostałaby mahometanką.

Realizatorzy filmu nie mieli odwagi stworzyć obrazu, propagującego mieszane małżeństwa polsko-żydowskie. (Czemuż w ogóle dotknęli się tak śliskiego tematu?) Musieli więc Małkę przerobić na Amelię i zapomnieć oczywiście o jej żydowskim pochodzeniu. Krótko mówiąc, Małka Grünwald z powieści Bałuckiego, w scenariuszu... została elegancką panną Amelią. Opiekunka i współlokalka Małki — wyludzająca z apteki morfinę, Sura, zmieniła się w poczciwą, wierną... Antoniową.

Bogaty bankier ze stolicy, ojciec posażnej jedynaczki Julii, pierwszego przedmiotu uczuć Jana Leszczycy, to — jak wskazuje nazwisko i galicyjskie pochodzenie — żyd Naderman, tym tylko różniący się od Grünwalda, ojca Małki, że zajmuje wpływowe stanowisko i nie jest żydem chałatowym, lecz już surdutowym. W filmie nazwisko pana Nadermana ukryto. Zarówno w programie, jak i w rozpoczynającym obraz wykazie ról, znajdujemy tylko „Julię“, „jej ojca“, „jej matkę“. Rolę ojca powierzono przy tym Pawłowi Owerle, aktorowi o pięknej, siwej głowie i szlachetnej sylwetce. Dopiero w scenie wpisywania nazwisk do księgi hotelowej, gdzie już samo prawdopodobieństwo sytuacji wymagało aby rodzice Julii podpisali się jakimś nazwiskiem, można zauważyć (siedząc blisko ekranu), że bankier podpisuje się... Nadeski.

To jeszcze nie koniec wygodnych zmian żydowskiego scenarzysty. Według wersji filmowej, Leszczyc — Górski miał za czasów swojej młodości przyjaciela, który znajdując się w krytycznej sytuacji, namówił go do udzielenia mu pożyczki z kasowych pieniędzy. Przyjaciel zawiódł, nie zwrócił pieniędzy w terminie — Górski musiał pójść do więzienia. W oryginale powieści owym przyjacielem jest Naderman, a i sama sprawa pożyczki wygląda o tyle inaczej, że istotną przyczyną zguby Górskiego była kradzież 50.000 reńskich, dokonana przez Nadermana w pokoju kasowym, dokąd — korzystając z zażyłej znajomości — wszedł Naderman podczas załatwiania wypłat. Była wprawdzie i pożyczka 3000, ale pożyczkę Górski zdołał pokryć. Natomiast na uzupełnienie braku 50.000 w kasie skromnemu urzędnikowi nie mogło już starczyć środków. Kiedy przyszedł w tej sprawie do Nadermana „wysłuchał zimno, obojętnie, wszystkiego tego, com mu powiedział, a potem ze spokojem, który szpik mroził w kościach, spytał: — Masz na to świadków? A gdy milczałem, nie tylko dlatego, że nie miałem co odpowiedzieć, lecz, że i oburzenie tak zaparło mi oddech, ścisnęło gardło, iż słowa wymówić nie byłem zdolny, on poszedł ku drzwom, otworzył je i wskazując mi ręką, rzekł: — Oto

moja odpowiedź" (op. cit. str. 323—4). Dodajmy, że przed kradzieżą Naderman proponował Górskiemu grę na giełdzie pieniędzmi instytucji, w której Górski pracował. Kiedy Górski propozycję z oburzeniem odrzucił, Naderman okradł kasę...

Film sprawę kradzieży Nadermana pominął, zrobił natomiast z Górskiego defraudanta, chociaż — podkreślamy — Górski pokrył pieniądze, wzięte z kasy na lekkomyślną pożyczkę. W pełni natomiast użyto sobie na dwóch złodziejach, Cholskim i Torence'ie, nie przypuszczając, aby ktokolwiek mógł wtrącić się do nazwisk jakichś tam dwóch przestępców z sensacyjnego filmowego scenariusza. Mamy więc w filmie złodziejską spółkę Torence'a i Cholskiego. Pierwsze z nazwisk ma zamaskować nazwisko żydowskie, drugie jest już nazwiskiem o pozorach polskich i niewtajemniczony widz będzie przekonany, iż bohater filmu noszący to nazwisko czy choćby — pseudonim, jest Polakiem. Zwłaszcza, że gdy policja w scenie aresztowania wymienia inne nazwiska, używane przez Cholskiego, mają one znów albo brzmienie polskie, albo międzynarodowe.

Jak to wyglądało w powieści Bałuckiego, najlepiej podać dosłownie według tekstu książki.

„Jeden z nich — czytał dalej żandarm — Izaak Grünwald, nazywający się także fałszywie Szrot Mendel, albo Mord Mojżesz, albo Moritz Leibe, a także i Józef Kornblum, lat czterdzieści osiem, wzrostu średniego, krępy, włosy i broda szpakowate, twarz rumiana, oczy siwe, ubiór starozakonny (*sic!*).

Drugi, Rokoch Nuchem, mientący się także Aronem Bernsteinem, albo Józefem Czada, lat trzydzieści, wysoki, rudy, włosy kręte, nosi się po węgiersku, a także i po niemiecku" (op. cit. str. 233—4).

Mamy więc efektowną kolekcję:

Z jednej strony — w powieści — imiona i nazwiska takie, jak: Sura, Naderman, Małka Grünwald, Izaak Grünwald, Szrot Mendel, Mord Mojżesz, Moritz Leibe, Józef Kornblum, Rokoch Nuchem, Aron Bernstein.

Z drugiej zaś — w filmie — odpowiednio zastąpione: Antoniowa, Nadeski, Amelia Cholska, Józef Cholski, Karol Torence.

Ciekawym szczegółem będzie też udział w autorstwie filmu Antoniego Słonimskiego, który napisał dialogi, co zresztą łatwo poznać, po takim zwrocie, jak np. Co za wyrażenie „dziś?”

Nie można już głośnego *spolszczenia* Fensterglassa ze *Sfrachów* nazwać wypadkiem odosobnionym. Okazuje się, że jest to wręcz metoda, ohydna, plugawa metoda. Dwie szacherki wyszły na jaw, a ileż ich jeszcze może się kryć w innych filmach? Dość wspomnieć o filmie według Marczyńskiego *Kobiety*

nad przepaścią (wyświetlany w ub. sezonie w warszawskim kinie „Viktoria”), gdzie handlarze żywym towarem, grani przez aktorów o typie aryjskim i robiący na widzu wrażenie Polaków, uwodzili i uprowadzali dziewczęta żydowskie.

Tendencyjne, systematyczne przerabianie żydów — kryminalistów na Polaków, niewątpliwie podpada pod przepisy prawne, postanawiające ochronę imienia i czci narodu polskiego. Zarówno przepuszczenie *Sfrachów* jak i *Za winy niepopelnione* przez cenzurę da się tłumaczyć tylko nieświadomością cenzora. Natomiast z chwilą, gdy znany jest istotny stan rzeczy, konieczne jest natychmiastowe obłożenie obu filmów aresztem: powtórna cenzura *Sfrachów*, zupełna konfiskata obrazu *Za winy niepopelnione* i przedsięwzięcie takich kroków wobec winnych, aby stały się one ostrzeżeniem na przyszłość i przypomniały pewnym sferom, że jednak nie cała władza w kulturze polskiej znajduje się w ich rękach. Scenarzystę, który odważył się dokonać przeróbki powieści Bałuckiego, należy usunąć poza nawias krajowej produkcji filmowej. Są to środki najelementarniejsze, najłagodniejsze. Ufamy, że odpowiednie władze zrobią wreszcie porządek z całą tą skandaliczną aferą, wystąpią w obronie dobrego imienia polskich nazwisk i polskości samej. Nie wątpimy też, że pełnego poparcia energicznej akcji władz udzieli niezależna polska opinia i polskie społeczeństwo, w którym jedynie poszanowanie prawa i legalnego działania powstrzymuje odruch oburzenia i chęć doraźnego skarcenia ludzi, bezczeszczących pojęcie Polaka.

Cokolwiek by jednak zrobiono, będzie to wyłącznie doraźne załatwienie jednej sprawy. Podłoże pozostanie bez zmian; dopóki nie przekształcimy krajowej produkcji filmowej na produkcję polską, dopóty będziemy wciąż narażeni na podobne zniewagi, na kompromitację za granicą, na ujemną działalność filmową w kraju. Dotychczasowy liberalizm w tej dziedzinie wydaje najzgubniejsze wyniki — zaprzepaszczamy jedną z dróg rozwoju kultury narodowej, nie jesteśmy gospodarzami we własnym państwie, znosimy swoiste *poprawki*, dyktowane przez żydowskiego kapitalistę. Dzieją się rzeczy wręcz niesłychane, zjawiają się sytuacje nie do pomyślenia w państwie nowoczesnym: pozwalają sobie u nas na wybryki, jednak nie ścierpiłaby ani chwili choćby ultrademokratyczna, socjalistyczna Szwecja, a które mogą się zdarzyć chyba tylko w Rosji, w czerwonej Hiszpanii, czy w zgangrenowanej Francji Frontu Ludowego.

Musimy zająć postawę wobec produkcji żydowskiej, przy równoczesnej ambicji stworzenia produkcji czysto polskiej. Potrzebujemy atelier i laboratoriów, reżyserów, artystów, polskiego kapitału, niezależnej polskiej prasy filmowej, ośrodka studiów estetycznych nad filmem, biblioteki filmowej, funduszu wydawni-

czego, Instytutu filmowego, kursów — na razie choćby pajszkromniejszych — wiedzy o filmie. Tych etapów nie da się ominąć, ani przeskoczyć. Jeżeli chcemy istotnie film spolszczyć i z d o b y ć dla kultury polskiej — trzeba pracy, i jeszcze raz pracy! A wtedy na koniec nie będziemy musieli rumienić się ze wstydu, słuchając o sukcesach filmów francuskich, niemieckich, włoskich, czy szwedzkich, czytając protekcyjne, miłosierne, wybaczące „małym dzieciom“ ich błędy — artykuły Fainsilbergów z Francji.

*

Konieczność niezwłocznego zwrócenia uwagi na kulisy filmu *Za winy niepopelnione* wyrządza i czytelnikowi i sprawozdawcy *Przeglądu Powszechnego* tę bezpośrednią przykrość, że w miesięcznej pogawędce o sprawach filmu nie staje już miejsca na omówienie ostatnich premier, wśród których nie brakło pozycji z różnych względów interesujących, jak trzy reprezentacyjne filmy produkcji amerykańskiej, tj. *Maria Antonina* (Metro Goldwynskajer) *Chicago* (Fox), *Goldwyn Folies* (Samuel Goldwyn-United Artists), jak nowy film oryginalnego Sachy Guitry — *Pola Elizejskie*, nowy film Danielle Darrieux — *Powrót o świcie*, czy ciekawy ze względu na pokrewieństwa teatralne obraz *Subretka* (Paramount) według znanej komedii Jacques Devala, albo mogący być dobrym przykładem transponowania powieści na ekran obraz z Bette Davis i Errol Flynnem — *Walka o szczęście*.

Prawdopodobnie w następnym *Przeglądzie* uda się nam jeszcze do nich powrócić, zwłaszcza, że specyficzny typ filmu z konferencerką, jaki wprowadza ostatnio pomysły Sacha Guitry, zasługuje na obszerniejszą analizę, a najkosztowniejsze z tegorocznej produkcji amerykańskiej trzy na wstępie wymienione filmy na ocenę proporcji między nakładem środków a osiągniętym efektem. Na razie jednak musimy się ograniczyć do lakonicznych wzmianek i sklasyfikowania filmów według stosowanej już kilkakrotnie skali: nie warto... można... warto... należy... — z o b a c z y ć.

Częstą niestety cechą określeń zbyt lapidarnych (jak i każdego nieco „szufladkowego“ podziału) jest, że mogą one wywoływać nieporozumienia. Trzeba więc wyjaśnić, że ocena zawarta w słowach: nie warto... można... warto... itd., oparta jest przede wszystkim na artystycznym punkcie widzenia. To znaczy, że np. określenie można nie da się bynajmniej rozumieć w sensie zalecania filmu dla młodzieży; zakładamy, że czytelnikami *Przeglądu Powszechnego* są praktycznie wyrobieni, dojrzały i że oceny filmów podajemy dla praktycznego użytku ludzi dorosłych. Inna sprawa, że wobec braku wskazówek w zakresie dobierania filmów dla młodzieży, postaramy się je w miarę możliwości — począwszy od następnego zeszytu — podawać.

Ocenę etyczną filmu, jak i ewentualną szerszą ocenę z katolickiego i polskiego stanowiska podajemy wówczas, gdy omawiamy

film obszerniej — w przeciwnym wypadku zaznaczamy ją wtedy, gdy film jest wyraźnie szkodliwy, niemoralny, lub obrażający uczucia religijne albo narodowe. Przy drobniejszych uchybieniach, gdy brak miejsca na podanie o filmie bliższych szczegółów liczymy na katolicki światopogląd widza i jego zdrową moralność.

Ocena artystyczna i etyczna mogą być nieraz w kolizji, wówczas jednak będzie to wyraźnie zaznaczone. Najbliższym przykładem są wspomniane już *Pola Elizejskie* Sachy Guitry, film który każdy interesujący się zagadnieniami filmowymi powinien zobaczyć, ale który ma wyraźnie amoralną atmosferę i jest historią Francji ogladaną — czy raczej bezwstydnie podgladaną — w alkowie. Właściwe omówienie specyficznego ujęcia Sachy Guitry znajdzie się przy dyskusji nad walorami filmowymi jego obrazów.

Warto zobaczyć film Danielle Darrieux, mimo kilku drastyczności, częściowo zrównoważonych zakończeniem, które jednak nie usprawiedliwi paru cynicznych dowcipów w dialogach. Zasluguje na obejrzenie, jako pewien dokument obecnych możliwości filmowych (inscenizacji wielkiego pożaru całego miasta) *Chicago*, którego akcja rozgrywa się jednak w przykryj atmosferze obyczajowej. Lekką komedią filmową jest *Subretka*, z młodzieńką artystką francuską — Olympe Bradna, w roli tytułowej. (Parę scen ryzykownych). Dobrym filmem dramatycznym, podkreślającym solidarność Anglika, Francuza i Niemca wobec sprawy honoru i obowiązku i uwydatniającym ich wspólną heroiczną postawę etyczną jest francuski, doskonale zrealizowany, obraz *Alarm* (tyt. oryg. *Alerte en Méditerranée!*) odznaczony doroczną oficjalną nagrodą filmu francuskiego.

Można zobaczyć — film W. Beery i Mickey Rooney'a: *Tulacze*, albo *Ludzkie serca* (MGM), *Zew północy* — interesujące i niezwykle środowisko rybaków, żyjących na Alasce (H. Fonda, Dorothy Lamour); film historyczny *Maria Antonina* (MGM. — Norma Shearer, T. Power) ze względu na efektowną wystawę — film budzi jednak b. poważne zarzuty etyczne i artystyczne; film niemiecki *Marnotrawna córka* (Universum) z Zarah Leander, nasuwający krytyczne uwagi w stosunku do przeprowadzenia postawionego w filmie problemu.

Nie warto oglądać: *Alpejskie osły* (MGM) — niezdatny film humorystyczny z Flipem i Flapem; *Walka o szczęście* (Warner Bros) — nieudana przeróbka powieści; *Za winy niepopelnione* — produkcja krajowa.

W specjalnej kategorii trzeba umieścić bardzo efektowny film barwny *Goldwyn Folies*. Jest to amerykańska rewia z udziałem śpiewaczki o wspaniałym głosie, z kilkoma popisowymi inscenizacjami baletowymi, ale gdzie nie troszczono się wiele o moralność widza — raczej przeciwnie, można by się tu nieraz dopatrzeć tendencyjnego wykorzystywania pewnych ujęć fotogra-

ficznych czy naturalnej szczupłości tanecznego kostiumu. Należy wyraźnie powiedzieć: im bardziej ceni się piękno tańca jako czystej sztuki, wrażenia estetyczne, jakie może dać harmonia ludzkich kształtów i harmonijne ich ożywienie w tańcu, im liberalniej zbliża się tu do bardzo subiektywnej granicy między tym, co właściwe, a co niewłaściwe, tym ostrzej trzeba występować przeciw machinacjom usiłującym ze sztuką taneczną skojarzyć pornografię, albo wyzyskiwać taniec dla zakulisowych celów.

Zdzisław Broncel.

Mieszaniny naukowo-literackie.

Gdy w posadach trzęsło się państwo czechosłowackie, zaatakowane przez niemieckiego sąsiada, w sam raz w owym czasie dobiegło swego dziesięciolecia świetne czasopismo wydawane w stolicy Czechosłowacji, Pradze, redagowane w języku niemieckim, a mówiące o sprawach słowiańskich: nosi ono tytuł *Slavische Rundschau*.

Wspominam ten jubileusz nie tylko dla tego, że przypaść w tak szczególnym momencie. Nie tylko dla tego, że zbiegł się on równie fatalnie ze śmiercią założyciela owego czasopisma, prof. Franciszka Spiny, a zeszyt pamiątkowy przeznaczony na uczczenie 70 lecia tego uczonego wyszedł już jako pamiątka jego śmierci, z nekrologiem, w którym o autorze dzieła *Über deutsch-tscheckische Kulturbeziehungen* napisano te wzruszające słowa: *Was die Völker trennt und voneinander abstößt, traf für Spina in den Hintergrund...*

Także nie tylko dlatego wspominam to pismo, że tak w zeszycie jubileuszowym, jak i w dawniejszych zeszytach było wiele cennych prac dotyczących polskiej literatury, kultury i historii. Ale chciałbym też wskazać, wśród wielu inicjatyw *Slavische Rundschau*, jedną i to taką, która znalazła później licznych zwolenników i naśladowców, — a do tego zwolennictwa czy naśladownictwa sam też w znacznej mierze przyznać się muszę.

Oto wprowadzono tam stałą rubrykę tzw. „zbiorowych omówień” dzieł naukowych czy literackich, należących do jednego zakresu czy gatunku, a wiążących się też z sobą chronologią swego wydania. Osobno więc omawia się tam plon poetycki danego roku, osobno powieści, osobno studia naukowe wydane w danym okresie czasu. Za przykładem tym podążył u nas wkrótce *Polonista*, który przez kilka lat prowadził tak porubrykowane zbiorowe sprawozdania, póki go w tym nie zastąpił *Rocznik literacki*.

Pracowałem we wszystkich wspomnianych pismach (także i w *Nowej Książce*, która, w sposób co prawda odmienny, bardziej indywidualistyczny, chętnie takie Sammelreferaty uprawia);

prócz tego, we dwójkę z prof. Borowym, zastosowaliśmy taką zbiorowość omówień w *Pamiętniku literackim*, ale w sposób jeszcze inny: braliśmy pod uwagę prace poświęcone jednemu tylko pisarzowi (Norwidowi, Sienkiewiczowi, Kasprówiczowi, Wyspiańskiemu) na przestrzeni jakiegoś większego okresu: pięciolecia, dziesięciolecia czy dwudziestolecia.

Tym czy innym sposobem ujęcia, takie „omówienie zbiorowe” ma tę dobrą stronę, że pozwala autorowi wyzwolić się z szablonu recenzji, a więc nie tylko z przymusowej pańszczyzny szczegółików bibliograficznych czy innych, ale także równie przymusowego zamykania się w sferze ocenianej książki; dalej, przez zestawienie kilku czy kilkunastu książek z jednego czasu czy zakresu, recenzent ma sposobność nakreślić nie tylko tło danego okresu czy danych zagadnień, ale także pewną skalę wartościowania; ta czy inna książka, która sama z siebie wydawać się mogła komuś błahą, może w tym zestawieniu okazać się pionierską, czy nawet epokową, natomiast inna, sama z siebie niezmiernie cenna, stanie się raczej ogniwem pośrednim w łańcuchu ogólnego dorobku; także i same zalety czy wady danej książki znaleźć mogą w ten sposób wyrazistsze oświetlenie. Nie tylko bowiem *contraria*, ale także *similia iuxta se posita, magis elucescunt*.

W rozpoczętych niniejszym zbiorowych omówieniach dzieł i publikacyj z zakresu badań nad literaturą (i kulturą w ogóle) pozwolę sobie nie trzymać się ściśle tradycji (nie chcę wcale mówić: szablonu) wspomnianych co dopiero czasopism, a mianowicie nie chcę zamykać się w granicach wydawniczego roku, miesiąca czy tygodnia, ani też w z góry określonych ramach jakiegoś specjalnego działu badań nad literaturą i kulturą. Przebywam za Oceanem i książki z Polski nie przychodzą do mnie punktualnie, więc sam też trochę muszę być niepunktualny. Z tego też wynika, że ujęcie musi być trochę felietonowe, co też ma swoje dobre strony. Po prostu będę pisał o książkach bez uwagi na ich kolejność chronologiczną, ot, tak jak mi w rękę wpadną; czy się znajdzie jaki system w tej niejakej niesystematyczności: to już się zobaczy.

W każdym razie usprawiedliwić mi się wolno przykładem — dobrym czy złym, to już inni osądzą; w każdym razie: przykładem Henryka Sienkiewicza. On to bowiem, dokładnie sześćdziesiąt lat temu, zapoczątkował w *Niwie* takie zbiorowe recenzje o aktualnych książkach i dziełach sztuki, dając tym felietonom równie zbiorową nazwę: *Mieszaniny artystyczno-literackie*.

Nazwę podobną zagarnę na własny użytek, ale wytyczę jej znacznie ciśniejsze granice. O literaturze pięknej, a ściślej mówiąc, o najpoczytniejszym jej gatunku, jakim jest powieść, pisze już w *Przeglądzie Powszechnym* omówienia zbiorowe stała recenzentka, do mojego więc rozporządzenia pozostała tylko ta wcale też niebrzydka sfera, jaką jest literatura naukowa.

Na przykład Sienkiewicza powołałem się nie bez kozery. Chodziło mi nie tylko o ten sześćdziesięcioletni jubileusz *Mieszanin*, ale i o zwrócenie uwagi powszechnej na to, że właśnie niedawno owe *Mieszaniny* ukazały się w powtórny książkowym wydaniu. W trzecim wydaniu, jeżeli chodzi o ścisłość, albowiem pierwszym była książka Hoesicka *Sienkiewicz jako felietonista*, gdzie większość Sienkiewiczowskich felietonów ukazała się *in extenso*. Ale kwestie te zostawmy zawodowym bibliografom. Ważniejszą od wszelkich wznowień jest pierwsza edycja, tak *first edition*, innych dzieł Sienkiewicza, które przez te sześćdziesiąt lat leżały przysypane pyłem, bo choć wspominał o nich i Chmielowski i (półgębkiem) Méyet i urażona pewną recenzją Eliza Orzeszkowa, jednakże jakoś się do nich nie chciało zająrzeć ludziom, co o Sienkiewiczu pisywali. To też jeden z historyków zapewniał publiczność, że Sienkiewicz nie znał dzieł Szujskiego i Bobrzyńskiego; śmiały się cicho z tego twierdzenia stare roczniki *Gazety Polskiej* i obmyślały dla historyka straszliwą „zemstę ukrytych źródeł”, albowiem właśnie tam drukowały się były, napisane piórem Sienkiewicza, obszerne recenzje dzieł Szujskiego i Bobrzyńskiego, które to recenzje stały się dla Sienkiewicza punktem wyjścia przewodniej myśli *Trylogii*.

Takich zapomnianych pism Sienkiewiczowskich zgromadzono pokaźną ilość (około 400) w dwóch spomiędzy czterech tomów *Publicystyki* wielkiego pisarza, wydanych pod redakcją Ludwika Bernackiego przez Zakład Ossolińskich. Nazwisko redaktora poręcza nam naukową wartość i sumienność edycji, która chlubnie odbija od niechlujnego tekstu samychże *Mieszanin* w dawnym wydaniu *Tygodnika ilustrowanego*. Co się tyczy rzeczy wydanych książkowo po raz pierwszy (artykuły z *Gazety Polskiej* 1879 — 1881), to jako ich „założony odkrywca”, jak mnie łaskawie nazwano, mam prawo zauważyć rzecz jedną: iż nadany przez redakcję tytuł pewnej serii artykułów „Rozbiory i wrażenia artystyczno-literackie” był raczej zbyteczny, skoro w pierwodruku Sienkiewicz stawiał ponad nimi stale nagłówek własny: „Literatura, bibliografia, sztuka”.

O treści tych odnalezionych artykułów pisać nie będę, bom się dość o nich napisał gdzie indziej, czy to omawiając akcję Sienkiewicza na rzecz Śląska, ukoronowaną później przez nowelkę: *Czy ci najmiłszy?* czy to ukazując związek między różnymi epizodami powieści Sienkiewicza a obrazami (Brandta, Siemiradzkiego, Adama Chmielowskiego i innych), jakie pisarz oglądał na wystawach i oceniał w prasie, czy notując uwagi Sienkiewicza o języku polskim. Nadmienię tylko, ku radosnemu zapewne „zmartwieniu” wydawców, iż owe dwa, dość opasłe tomy nie mieszczą w sobie ani połowy zapomnianych i dotychczas książkowo nie wydanych utworów Sienkiewicza. Trzeba było i za morze pojechać, żeby tam zbierać *disiecta membra poetae*,

a dzięki Bogu, to i owo już się znalazło. Doprawdy, miał rację pewien cudzoziemiec, gdy zarzucał Polakom, iż tak mało wiedzą o swoim najsławniejszym i najpoczytniejszym pisarzu.

Żałować należy, że nie doszła do skutku myśl wydania — na razie w antologii — tych istnych klejnotów stylu, jakimi są listy Sienkiewicza. Są to (mam na myśli głównie listy pisane do szwagierki, profesorowej Janczewskiej, oraz do Dionizego Hienkiela), na równi z listami Słowackiego, Krasińskiego i Żeromskiego, najznakomitsze dzieła polskiej epistolografii. Ach, żeby się udało ową antologię, jak to było w projekcie, wydać w jednym z tomów Biblioteki Laureatów Nobla!

Zbiory listów — „listowniki“, jeżeli kto woli tę miłą staroświecką nazwę — ukazują się teraz coraz częściej, niemal stają się nagminne. Krasińskiego listy wydał pięknie kilka lat temu *Parnas Polski*; prof. Pigoń od lat wielu z niezmordowaną wytrwałością i świetną ścisłością filologiczną gromadzi i ogłasza listy Norwida, które już w kilka okazałych zebrały się wiązanek; nie zapomina też o Goszczyńskim, raz po raz wydobywając jakąś jego rzecz nieznaną z jego teki; czasem znajdzie się też coś z listów Karpińskiego, czy choćby samego księcia biskupa warmińskiego i ten czy ów wydawca nawet pomyśli o wydrukowaniu ich w osobnej odbitce. Sypią się te zbiory i zbiorki listów jak z rogu obfitości; może to dobrze, bo nuż ludzie współcześni nauczą się listy pisać — obecnie bowiem, słusznie czy niesłusznie, Polacy mają w świecie opinię narodu, który nigdy nie odpisuje na żadne listy. Opinię tę można jeszcze naprawić...

Listy Goszczyńskiego, wydane przez Pigionia (Akademia Umiejętności), zasługują na uwagę nie tylko przez swą wartość literacką (stylem górują nad wieloma właściwymi dziełami literackimi tego poety), nie tylko przez to, że zawierają tysiące arcyciekawych szczegółów odnoszących się do dziejów polskiej literatury i dziejów Wielkiej Emigracji, ale i przez to, że stanowią niekiedy dzieło pisarskie o specjalnym, jemu tylko właściwym zakresie i przeznaczeniu. Pisze o nich wydawca: „Między zwolennikami Towiańskiego, korespondencja wzajemna braci była w szczególności uważaniem. Każdy taki, jak nazywano, wylew bratni, list będący częściowo spowiedzią, częściowo „obrokiem duchownym“, moralnym wsparciem, był dowodem „ruchu ducha“, prawdziwej ofiary złożonej bratu, świadectwem wewnętrznej dojrzałości. Traktowany był więc przez piszącego i przez odbierającego ze szczególnym namaszczeniem jako jeden z aktów wyższego życia nowej epoki“. Prawdziwość tych uwag może potwierdzić przykład Słowackiego, który wszak w tym samym czasie pisywał swoje „listy apostołskie“, mając niewątpliwie w pamięci św. Pawła i rolę jego listów.

Takim drugim arcyceennym zbiorem epistolarnym, jaki ukazał się ostatnimi czasy, jest pierwszy tom listów Elizy Orzeszko-

wej (wyd. Biblioteki Polskiej i Tow. Elizy Orzeszkowej), opracowany wzorowo przez Ludwika Świdorskiego.¹⁾ Do wielu pochwał na rzecz sumiennosci i filologicznego przygotowania młodocianego jeszcze wydawcy, dodać należy przede wszystkim jeden „nowości kwiat”, którym on tu potrzęsnał: oto tom ten zawiera „dwugłosy”, czyli listy wraz z odpowiedziami adresatów (Kraszewskiego, Jeża, Bałuckiego, Konopnickiej, Krzemińskiego i Reymonta). Odnosi się stąd korzyść co najmniej podwójną: czytanie listów staje się bardziej zajmujące, a jednocześnie treść listów staje się dokładniej zrozumiałą, gdyż czytelnik nie potrzebuje się domyslać szczegółów, często zresztą mylnych lub błahych, jeżeli niedwuznacznych, jak to nieraz bywało (np. ze Żmichowską). Szafa książki prawdziwie piękna dodaje większego jeszcze uroku tym pogawędkom listownym, które same z siebie już są niebywale piękne. Zdarzy się pani Elizie czasem jakieś gorzkie słowo, czasem może nawet niezupełnie słuszne, ale w całości te jej listy tchną wzruszającą dobrocią dla ludzi, wysokim natchnieniem odczuwanej misji człowieka między społeczeństwem, wysoką kulturą ducha i umysłu, kulturą, której prawdziwie należy się miano: harmonijnej.

Rażącym kontrastem odbija od tego harmonijnego i niemal jednolitego dzieła inny zbiór listów, który ukazał się w tym samym czasie: pierwszy tom listów Przybyszewskiego. Pod względem edytorskim ten tom również zasługuje na uznanie. Wydawca, dr Stanisław Helsztyński, oddał się swej pracy z całą usilnością i filologiczną ścisłością, przechodzącą nawet w drobiazgowość; materiał zgromadził starannie, równie starannie go posegregował i skomentował, dołączając dokumenty i fotografie. Ale lektura tego tomu nie daje nam tego moralnego i estetycznego zadowolenia, jakie czerpiemy z listów poprzednio wspomnianych. Przybyszewski nie zyskuje w naszych oczach w świetle owych dokumentów. Zmysłowość, będąca głównym motorem jego czynów i postępów, idzie tu zazwyczaj z brakiem godności osobistej. Kobiety jawiące się na drodze jego życia, padając ofiarą tej zmysłowości, przeżywały tragedie straszne, których przez wzgląd delikatności podobno lepiej byłoby dziś jeszcze nie odślaniać. Kłamstwo, będące przymiotem niejako zasadniczym psychiki Przybyszewskiego, nie ma w sobie bynajmniej żadnego pokrewieństwa z poetycznym zakłamywaniem się romantyków. Jest to po prostu cynizm wyzyskiwacza i wielce płytkiego umysłu, pozuającego na genialność. Ustawiczne skamlenie o pieniądze, idące w parze z arocyniesmacznymi pochlebstwami pod adresem spodziewanych ofiarodawców (których potem z kolei często lżył, jak to uczynił np. z Sienkiewiczem) też niemiłe zostawiają wrażenie w pamięci czytelnika, zwłaszcza, że powtarzają się z nużącą jed-

¹⁾ Tom drugi nie dopłynął jeszcze przez Ocean. (Przyp. Redakcji).

nostajnością. Tej monotonii zresztą pełne są w każdym względzie listy Przybyszewskiego, jak i cała jego twórczość, w której poszczególne utwory różnią się od siebie często jedynie tytułami, bo poza tym bywają bliźniaczo i trojaczno do siebie podobne, pełne tych samych pustych frazesów i górnych wykrzykników, tych samych „wstrząsających” he-he-he, kopiowanych z „Fausta” nie tyle Goethego ile Gounoda. Przepraszam bardzo, ale my, ludzie powojenni, nie wzruszamy się już wcale tymi gierkami; nudzą nas one potężnie.

Po przeraźliwym kabotyństwie, jakie zieje z listów Przybyszewskiego, doprawdy razić nas już mało będzie kabotyństwo, które przebija niejednokrotnie z listów epigona romantycznego, Antoniego Edwarda Odyńca. Jego listy, które dawniej czytano z takim zajęciem (co nie dziwne) i (co dziwniejsza) z takim zaufaniem w prawdomówność autora, iż, bywało, badacze literatury poczytywali je nawet za główne źródło biografii Mickiewicza, dziś już straciły owo znaczenie, gdy zauważono w informacjach Odyńcowych oraz w samej konstrukcji „listownika” różne niedokładności. Dobraś się wreszcie do tych listów specjalista od onych spraw, prof. Henryk Życzynski i niezbitcie udowodnił, że zbiór ów jest po prostu mistyfikacją: „listy prawdziwe służyły (Odyńcowi) tylko za kanwę, na której rozsnuwał wspomnienia, a nawet zmyślenia”. Brakujące szczegóły, nie oglądane na jawie albo niedokładnie zapamiętane, uzupełniał Odyńiec czasem fantazją (w czym swoją rolę bardzo wyolbrzymiał), czasem zaś źródłami innymi (Holtei, Krasiński), w całości zaś wzorował się na słynnych „Rozmowach z Goethem” Eckermanna.

Niemniej, prawdziwe czy nieprawdziwe w szczegółach, „Listy” Odyńca warte są czytania, nie tylko dla odrobiny ziarna prawdy, jaka się w plewie zmyślenia znalazła, ale i dla powabnego niewątpliwie stylu narracyjnego. To też znalazło się dla nich miejsce w zmartwychwstającej znowa „Bibliotece narodowej”, która z chwilą objęcia jej przez Ossolineum poszczycić się już może wznowieniem *Chaty za wsią* Kraszewskiego (oprac. Turowski) i poezji Tetmajera (opracował znakomicie Lorentowicz). I słusznie opracowanie powierzono prof. Życzynskiemu, który z zadania wywiązał się doskonale, nie po raz pierwszy zresztą w onejże „Bibliotece”.

Skoro listy są teraz *en vogue*, to też w samą porę przychodzi książka doc. Stefanii Skwarczyńskiej *Teoria listu* (Tow. Naukowe Lwowskiel). Autorka wyszła ze szkoły prof. Kleinera, gdzie nowoczesne dążności ku zajmowaniu się przede wszystkim teorią literatury i gatunków literackich dobrze godzą się z postawą historyczną, nawet bardzo szeroką. Rozległość tej postawy jest w danej pracy nader wielka, co nie dziwne, skoro list już w starożytności miał tradycję bardzo poważną (weźmy dla przykładu Cyncerona i Pliniusza, św. Pawła i Jana Chryzostoma, że

wspomnę tylko największych). Ale rozległość jest widoczna i w samym charakterze listu, jego przeznaczeniu czy zastosowaniu. Tymi właśnie sprawami zajmuje się Autorka z wielką umiejętnością, ujawniając nie tylko wcale wielką erudycję, ale przede wszystkim zmysł logicznej dystynkcji, gatunkowania. Nie jest to pierwsza praca p. Skwarczyńskiej na tym właśnie polu, a zdaje się, że i dalej drogą tą badaczka iść zamierza, skoro zbadanie istoty tzw. rodzajów literackich postawiła sobie kiedyś za punkt wyjścia. A tyle jeszcze tych rodzajów czeka należytej definicji i rozważenia, zwłaszcza, że dokonywają się i dziś (w literaturze powojennej) próby, zwykle spontaniczne, nowej zasady podziału literatury na rodzaje (pisałem o tym kiedyś w *Połoniście*).

Ani się spostrzegłem, jak moje *Mieszaniny* w pierwszym swym wystąpieniu nabrały dość jednolitej konsystencji: mówiłem tu prawie wyłącznie o cudzych listach. W następnym artykule, wobec tego, muszę pisać o jakimś innym rodzaju literackim, żeby nie wpaść w monotonię albo nie wydawać się komuś „specjalistą”.

Prof. Józef Birkenmajer.

Wisconsin, Am. Półn.

NACZELNY REDAKTOR: KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.

Druk ukończono dnia 1 lutego 1939 r.

Ostatni z dynastii więźniów watykańskich.

Wobec śmierci wielkiego Piusa XI budzi się wspomnienie pewnego zdarzenia z pierwszych naszych lat gimnazjalnych. Nad miastem, zasypanym górami śniegu, przelatywała burzliwa wichura i pędziła przed sobą białe widmowe orszaki. Nagle odezwały się dzwony pobliskiego kościoła i równocześnie zaczęto wciągać na szczyty wież dwie długie czarne chorągwie. Ktoś rzucił wiadomość: „Papież umarł“! Było to 7 lutego 1878 roku, w dzień śmierci Piusa IX.

Pius IX był pierwszym z dynastii więźniów watykańskich, Pius XI jest w tej dynastii ostatnim.

Dzieje tej dynastii to jeden z najbardziej doniosłych rozdziałów historii nie tylko Kościoła katolickiego ale i powszechnej całego świata. Nie chodzi w nich tylko o grabież państwa kościelnego, skutkiem której Watykan zamienił się na więzienie pięciu papieży.

To ważny w tych dziejach moment, ale nie jedyny, są inne niemniej doniosłe. Najpierw to, że Kościół katolicki, zepchnięty przez wrogą mu historię nowożytną z wielkich gościńców życia w ciasne zaułki, raz po raz odsuwany od wpływu na stosunki państwowe, cywilizacyjne i społeczne, zaczyna w tym ostatnim okresie skupiać się w sobie i tak gromadzić siły, jak gdyby gotował się do poczynañ, mających rozstrzygać o przyszłości całych stuleci. Były podobne chwile, gdy z dogasającego świata rzymskiego i nieco później z pierwotnego żywiołu wędrówek narodów stwarzał nową ludzkość i nową jej cywilizację oraz historię. Niewątpliwie jest w tej ostatniej inicjatywie papieństwa widoczny palec

Opatrzności Bożej. A oto drugi moment. Trzeba było przyjść z pomocą nowożytnemu światu, biorącemu początek w obłędzie humanistów i buncie Lutra, a przez gehenną rewolucji francuskiej i przez szalbierstwa ateistycznych państw doprowadzonemu do katastrofy wojny światowej i nad przepaść chaosu. W takich chwilach zjawia się miłosierna Opatrzność Boża. Kim zaś posłużyć się może, jak nie jedyną na świecie instytucją, mającą zapowiedź Chrystusa, iż jest opoką, której bramy piekielne nie przemogą.

Na ten zamiar Opatrzności Bożej wobec dzisiejszego państwa wskazuje choćby sam dobór wyjątkowych pasterzy, zasiadających w tym okresie na stolicy Piotrowej. Równie długiego bezpośredniego ciągu potężnych indywidualności nie było dotąd w dynastii papieży: Pius IX, Leon XIII, Pius X, Benedykt XV, Pius XI. Każdy z nich prócz niespożytości charakteru i dostojnej świątobliwości życia, wnosi w służbę swego posłannictwa niezwykle uzdolnienia, przede wszystkim śmiałość inicjatywy i stanowczość wykonania, a więc tę siłę, która rzucona na rozległy widnokrąg, jest rodzicielką wielkich dzieł. W życiu dobrotliwego ale i stanowczego Piusa IX są momenty, w których ma się wrażenie, jak gdyby na widownię dziejową wkraczał ponownie w całym majestacie niezłomnej energii, Grzegorz VII, Hildebrand. W historii Leona XIII i Piusa XI są znowu zdarzenia, przypominające Leona Wielkiego, gdy u bram Rzymu wstrzymywał pochód Attyli. A początek dzieł? Pius IX to sobór watykański, to dogmat o nieomyślności papieża, dogmat Niepokalanego Poczęcia, to encyklika *Quanta cura* z załącznikiem Syllabusu, to rozwój życia wewnętrznego w Kościele i pierwsze hasło apostołstwa świeckich, to prawica gromka wyciągnięta w stronę Rosji, Niemiec, Włoch, w każdą stronę, gdzie tylko wróg Chrystusa się zjawił. Leon XIII to „światło z nieba“, to wielki szereg niepożytych encyklik, budujących w nowoczesnym materiale starodawne państwo Boże Augustyna, nowoczesną katolicką socjologię; to ruch organizacyjny katolicko-społeczny, to wzniesienie na wysoki poziom umysłowości katolickiej, nauki a zwłaszcza filozofii katolickiej. A przy tym niezwykle zdolna dyplomacja, oddająca się w usługę wielkich celów ekspansji pokojowej Kościoła, dy-

plomacja związana również z energią, cudowne dopełnienie energii poprzednika. Pius X to twarda skała Piotrowa, nie licząca się z niczym, co wiruje poza nią, to pogrom modernizmu, nowe prawo kanoniczne, wielki, najwyższej doniosłości ruch eucharystyczny, to wreszcie na wieki obliczona konkretna inicjatywa akcji katolickiej. Benedykt XV to wcielenie pokoju Chrystusowego, biorące na swoje barki w czasie wojny światowej ciężki krzyż niechęci całej prawie Europy, to ten papież, który cały świat katolicki przygotowuje na powstanie Polski. Pius XI wreszcie to walka o pokój Chrystusowy w świecie, to zakończenie okresu więźniów watykańskich, to reforma studiów filozoficzno-teologicznych w wyższych szkołach duchownych, to oparcie spotęgowanego ruchu misyjnego na nowych podstawach, liczny szereg nowych konkordatów i doniosłych encyklik, to nowe rozwojowe stadium akcji katolickiej, to wytyczenie drogowskazu, ku któremu jako środek ku celowi ma akcja katolicka dążyć, a którym jest Chrystus-Król, głównie zaś to dopełnienie i ujęcie w pełną syntezę całej spuścizny swojej dynastii.

Ujęcia tej syntezy dokonał Pius XI przede wszystkim w pierwszej swojej encyklice, streszczającej się w hasle: „Pokój Chrystusowy w Królestwie Chrystusowym”. Pius XI patrzył na zawarcie pokoju po wojnie światowej, ale odczuwał jego bezsilność. „Strony wojujące — pisze w encyklice — zawarły uroczyscie pokój, pokój oznajmiony wprawdzie w publicznych ogłoszeniach ale nie pisany w sercach ludzkich. Tam w tych sercach żyje nieprzyjacielski duch wojny i codzien wkracza niszczycielsko coraz bardziej w życie publiczne”. Dlaczego? Bo żeby nastąpił pokój, który tylko Chrystus dać może, musi najpierw zaistnieć Królestwo Chrystusowe. A tego właśnie zabrakło dzisiejszemu światu; zniknął z oczu ludzkich Chrystus, zniknęła w ogóle religia. Za Rousseau'em powtarza się po dziś dzień: „Władza nie pochodzi od Boga, państwo jest bezreligijne”.

Tak było i jest w tym okresie wszędzie. Co w prawie państwowym zaznaczyło się antyreligijnym kontraktem społecznym, to w administracji państwowej rządziło jako antyreligijny liberalizm, w polityce wewnętrznej opierało się na

ogół na przewadze demokracji liberalnej i radykalnej w parlamentach, a na machiawelizmie i na zasadzie „siła przed prawem” w polityce zewnętrznej. W ustroju gospodarczym i w ustrojach ekonomii królował liberalizm kapitalistyczny, później absolutyzm karteli, w końcu kapitalizm państwowy. To samo było w świecie umysłowym. Główny aksjomat tego wieku określał się, jako „sprzeczność nauki i rozumu z wiarą”. W filozofii panował raz racjonalizm, to znowu pozytywizm i ewolucjonizm, później agnostycyzm i laicyzm, w etyce przejawiał się ten antyreligijny kierunek Kantowską autonomią, lub wielogłowym systemem etyki niezależnej od religii. Życie, poza płotem prywatnych upodobań i dziwactw, nie zna nic poza sobą, nie zna Boga, wiary, nieba, nie zna jakiegokolwiek odpowiedzialności ludzkiej poza odpowiedzialnością państwową.

Gdy w ten sposób zatarasowano Bogu dostęp do świata, rzucono hasło: *diis extinctis successit humanitas*. W miejsce Boga, jako bożyszcze stanął człowiek i ludzkość, w miejsce wiary religijnej, kult wszechpotęgi ludzkiego rozumu, w miejsce zaziemskich ideałów, kult powodzenia i złotego cielca, w końcu kult totalizmów państwowych. To ma być droga do ziemskiego raju.

A jednak gorzko zawodzą te nadzieje.

Jak w ciele ludzkim naruszenie jednego organu powoduje słabość całego ciała, tak i naruszenie czynników duchowych wywołać musi zaburzenia w ludzkim społeczeństwie, tym cięższe, tym bardziej śmiertelne, że naruszony jest najistotniejszy czynnik duchowy, religia.

Nic dziwnego, że skutki takiego stanu niedługo kazały na siebie czekać. Przyszedł upadek obyczajowy warstw wyższych i rosnące zdziczenie mas. Nieograniczona wolność słowa przyniosła wyuzdanie słowa, nieograniczona wolność handlu i przemysłu sprowadziła orgie kapitalizmu, co stworzyło znowu nowego raka, socjalizm i komunizm. Człowiek, pozbawiony Boga i wężdzidła religii, musi spaść niżej zwierzęcia.

Nie będziemy w tym miejscu roztaczać bolesnych obrazów z życia, które zna każdy. Każdy wie, jak olbrzymia jest liczba samobójstw w dzisiejszym świecie, jak smutna

statystyka kryminalna, jaki procent wypadków obłądów i chorób, idących z występku, jaka ilość rozwodów i jak straszną depopulacja. Okres, który miał być niebem, stał się okresem wielkiego upadku i rozkładem ludzkości.

Czy po tym wszystkim, co powiedziało się o współczesnym stanie społeczeństwa, trzeba jeszcze wskazywać, jak wyglądały bez Boga i religii najwyższe formy społeczne, dzisiejsze państwa? Trawił je najpierw rozstrój wewnętrzny, na który dopiero co wskazywaliśmy. Potem zapanował nad nim brutalny egoizm narodowy, który nie oglądając się na żadne prawo i żadną uczciwość, okłamuje cynicznie każdego, kogo się da okłamać, przy każdej sposobności kopie pod drugimi dołki, a przede wszystkim łupi i grabi wszystko, co mu pod rękę podpadnie. To deptanie cudzych praw i żądza bogacenia się cudzym kosztem, rosnąc ustawicznie, znieprawiały coraz bardziej świat cały i doprowadziły w końcu do takiego zdziczenia idei państwowej, że w niewielu okresach równego dopatrzeć się można. Cóż dziwnego, że w stosunki międzynarodowe wtargnęła najpierw nieufność, potem nienawiść, że na straży tych stosunków stanął tylokrotnie wyklinany militarizm. Wraz z militaryzmem przyszedł tak zwany pokój zbrojny, zbrojenie się ustawiczne świata całego, wyścig wzajemny w tym zbrojeniu, który niszczać będzie nowoczesne państwa dopóty, aż z dopełnieniem się miary, padnie wszystko ofiarą katastrofy. Tak było przed wojną światową, to samo dzieje się dziś przed idącą nową wojną.

Niektórzy z obrońców okresu wojny światowej, gdy przybrała ona takie rozmiary i pochłoneła tyle ofiar, że stała się wprost potworną katastrofą, zaczęli przebąkiwać o znaczeniu przypadku w świecie: lawina w górach, orkan stepowy, dzuma, niosą ze sobą tak samo zniszczenie, z którego jednak żadnych wniosków wyciągać nie wolno. Tu jednak mamy do czynienia nie z przypadkiem lecz z żelazną konsekwencją. Błąd i występki mają także swoją konsekwencję i rozwój, a ostatnim szczyblem tej konsekwencji jest katastrofa. Błędem i występkiem tego okresu było zapoznanie Boga i religii, za tym poszło odrzucenie wszelkiego wędzidła, jakie Bóg i religia na namiętności ludzkie nakła-

dają, i odrzucenie wszelkich pomocy, jakich udzielają — a bezpośrednim skutkiem tego było, że ludzkość okazała się gromadą dzikich zwierząt, rozszarpujących się wzajemnie i zagryzających na śmierć. Bóg patrzył i milczał; — ale za Boga wyrok wykonały prawa, jakie Bóg w naturze rzeczy złożył, a wykonały z taką siłą, iż dotykalnie czuło się, że to sąd Boży odbywa się nad ziemią. Pierwszy akt sądu, obnażenie prawdy, odbył się z tak przerażającą jasnością, że aż oczy trzeba było zasłaniać. Ziemia, która miała być przystanią szczęścia i niebem, zjawiała się nie tylko jako padół płaczu, lecz jak „kałuża z łez, ze krwi i z błota”. Zbytni dobrobyt przemienił się w nędzę i głód, wolność nadmierna zmieniła się w niewolę, niehamowana radość życia pograżyła się w żałobie.

A cóż dopiero akt drugi, wykonanie wyroku? Wyrok dokonał się własną ręką ludzkości na samej sobie. Mord milionów ludzi przez ludzi, morze łez i krwi, zniszczenie dzieł i pracy pokoleń całych, zanikanie wszystkich środków do życia, setki miliardów długu, zrzucenie potomnych w długoletnią nędzę — oto wykonanie wyroku!

Więc musi nastąpić odwrót. „Odnowić wszystko w Chrystusie”, wołał Pius X — „pokój Chrystusowy w królestwie Chrystusowym”, pisze Pius XI. Najpierw ten pokój Chrystusowy zjawić się musi w sercach jednostek, potem w życiu społecznym i państwowym, a źródłem tego pokoju jest Kościół.

Przez lat 17 był Pius XI stróżem tego pokoju. Nie ustępował przed żadnym atakiem, karmił nie oglądając się na osoby i następstwa, cierpiał za odwagę i gorliwość. Po latach dopiero zaczęto uznawać, że w tym najburzliwszym z burzliwych okresów był on jedynym, który ratował sumienie ludów.

W encyklice tej o pokoju Chrystusowym jest jeden ustęp, w którym Pius XI przygotowuje swoją inicjatywę nowego wiekopomnego czynu. Ustęp ten, poświęcony Włochom, kończy się następującymi słowy:

...Włochy nie mają potrzeby obawiać się czegokolwiek ze strony Apostolskiej Stolicy, bo biskup rzymski, ktokolwiek by nim był, powtórzy z głębi duszy słowa proroka: Moje myśli są

myślami pokoju". Tego pokoju, który jest prawdziwym pokojem i dlatego w niczym nie uchyla się od sprawiedliwości tak, że słusznie można powiedzieć: „Sprawiedliwość i pokój pocałowały się". Od Boga wszechmogącego i miłosiernego zależy, by ten radosny dzień wreszcie zajaśniał, nadobfity we wszelkie dobro, ku wzrostowi królestwa Chrystusowego, Włoch i całego świata...

Było to wysunięcie kwestii państwa kościelnego na publiczną widownię. Krok nad wszelki wyraz śmiały. Cała katolicka opinia świata stała jak mur przeciw jakimkolwiek ustępstwom na rzecz Italii. Pokolenia duchowieństwa wynosiły to przekonanie z teologicznych uczelni, ludzie zaś świeccy z kongresów katolickich, które stale na pierwszym miejscu swoich programów stawiały protest przeciw grabieży państwa kościelnego. Było to zagadnienie, zaogniające stosunki polityczne, rozpalające wszystkie serca katolików całego świata. Nic dziwnego, na czele tej opinii stało czterech wielkich papieży, poprzedników Piusa XI.

I oto Pius XI zawiera pakt laterański. Po długiej i uciążliwej pracy przygotowawczej, po 110 posiedzeniach przedstawicieli Watykanu i Kwirynału, nadszedł zapowiedziany przez Piusa XI „radosny dzień". Pius XI rzeka się dobrowolnie terytoriów państwa kościelnego, zostawia sobie mały kawałek ziemi „miasto watykańskie", tyle tylko, co nieodzownie konieczne, by zachować suwerenną niezawisłość zastępcy Chrystusa na ziemi. W zamian za to otrzymał duchową korzyść, przystosowanie konkordatu włoskiego do katolickiego prawa kanonicznego. Doznał w tym momencie tajemniczego wstrząsu świat cały. Wstrząśnienie dziwnie uroczyste, przedziwnie błogie. Na chwilę zajaśniało przed oczyma świata nadziemskie światło ewangelii Chrystusowej. Stanął przed światem zastępca dobrowolnie ubogiego Chrystusa, ostatni z dynastii papieży — więźniów. Wyrzekł wówczas słowa, które pozostaną na zawsze w historii: „Oddaję Boga Włochom a Włochy Bogu".

Czy Chrystus, dopuszczając do bohaterskiej ofiary a potem do rezygnacji z władzy świeckiej papieży nad państwem kościelnym, nie zamierzał, by ta dynastia więźniów stała się wyższą nad wszystkie zabiegi ludzkie i jako taka, by tym skuteczniej walczyła o władzę królewską Boga-Od-

kupiciela nad światem? Czy nie wskazuje na to zaprowadzone przez Piusa XI święto Chrystusa Króla? W każdym razie, dając swoje posłannictwo tej dynastii, zsyłał jej Chrystus najwyższą tegoż posłannictwa odznakę, krzyż. Sam raz tylko oświadczył, że jest Królem, wówczas, gdy był więźniem, mającym za chwilę wziąć cierniową koronę na skronie a na barki krzyż. Odtąd gdziekolwiek chrześcijańskie *vertex regis prodeunt*, tam zawsze *fulget crucis mysterium*. Jaśniej to misterium krzyża w szczególny sposób w tej grupie dynastii więźniów watykańskich. Dźwiga go pierwszy, w swoim i swoich następców imieniu, Pius IX, nazwany w przepowiedni Malachiasza „krzyżem z krzyża”. Prócz dożywotniego zamknięcia w murach Watykanu, każdy z nich miał swój ogrojec i swoją drogę krzyżową. Istnieje ta droga i poza więzieniem watykańskim. Wszak Pius XI niedawno, z powodu walki z rządem włoskim o akcję katolicką, mówił przed światem całym o „najczarniejszej godzinie życia”.

Największym i najukochańszym dziełem Piusa XI była Akcja Katolicka. To była, jak mówił, „żrenica mojego oka”. Wzmiankuje o apostołstwie ludzi świeckich już Pius IX. Jest również o tym wzmianka na soborze watykańskim. Prócz określenia całokształtu nauki katolickiej, zwłaszcza w stosunku do współczesnych błędów, zamiarem soboru było wyprowadzenie z tej nauki całego szeregu praktycznych wskazówek, celem uregulowania wewnętrznego kościelnego życia. Padło tam hasło „apostołstwa ludzi świeckich” ogólnikowo, jako przypomnienie obowiązku każdego katolika w budowaniu Królestwa Chrystusowego. Ale odtąd każdy z papieży, w tym czy innym ujęciu do tego hasła wraca. Leon XIII przypomina w jednej z encyklik, że taką była wola ojców soboru watykańskiego, sam zaś schodzi na teren społeczny, aby ochrzcić laicyzm. Pius X usiłuje akcji katolickiej nadać konkretną formę, w tym samym duchu działa Benedykt XV. A już całą duszę oddaje w służbę tej idei Pius XI.

I tu wielki duch Piusa XI zatoczył orli lot nad całym katolickim Kościołem i nad światem całym. Do kwestii akcji

katolickiej wracał ciągle, przynaglał jej rozwój uporczywie, nie zrażał się żadną przeciwnością, z każdą nową, setną, tysiączną trudnością, przedłużał, przyśpieszał, powiększał siłę lotu swego posłannictwa. Duchy Piusa IX, Leona XIII, Piusa X i Benedykta XV towarzyszyły mu i umacniały go w tym locie. Dawał ustawicznie do zrozumienia, że tu jest *punctum saliens* dzisiejszej sytuacji Kościoła i całego świata. Otworzyć bramy Kościoła jak najszerzej i przynaglać, by przez nie wszedł cały duch pierwotnego chrześcijaństwa, z okresu, w którym każdy chrześcijanin poczuwał się do obowiązku być apostołem szerzącym i budującym Królestwo Chrystusowe na ziemi. Najcięższe chwile Piusa XI były, gdy widział, że w tej sprawie jest źle zrozumiany. Co mu później zarzucano, to on pierwszy przewidywał, że ruch akcji katolickiej będzie rozwijał się powoli. Wskazywał przecież często na smutny moralny stan dzisiejszego świata, że mało jest ludzi, którzy by posłannictwa tego skutecznie podjąć się mogli. Bał się zwłaszcza bierności katolickiej i przesadnego katolickiego konserwatyzmu, utrudniającego rozwój apostołstwa ludzi świeckich. Znamienne były jego decyzje, nakazujące złożyć władze prezesów i sekretarzy w ręce ludzi świeckich. Formę akcji katolickiej pozostawił każdej diecezji do rozstrzygnięcia, aby dać pełne ujście duchowi inicjatywy. Miał to być okres wielkiego ruchu, szukania nowych dróg, podchodzenia do tej sprawy ze wszystkich stron. Bolał do ostatniej chwili, że nie wszędzie tak było. Ta inicjatywa uporczywa to wielka chwała Piusa XI.

Oto trzy najważniejsze akcje Piusa XI.

Czy dynastia więźniów watykańskich osiągnęła swój cel?

Niewątpliwie, jest jeszcze w społeczności katolickiej do zrobienia dużo. Powietrze morowe bezreligijności i zepsucia, wiejące z wszystkich stron świata, grasuje także w krajach katolickich. Wskazują na to ustawicznie i stanowczo ciż sami papieże. Nie godzi się jednak przeoczać faktów dokonanych, jak to czynią małoduszni pesymiści wewnątrz a rozmaici przechodnie z zewnątrz. Iluż ludzi rezonuje dziś jak rezonował Briand w swojej szyderczo-lekkomyślniej mowie w r. 1905: „Katolicyzm to śpiąca twierdza, forty bez armat, arsenały puste, armie rozproszone, dowódcy uśpieni”.

Trzeba na głowę upaść, aby bezpośrednio po wielkich pontyfikatach Piusa IX i Leona XIII a za czujnego Piusa X śmieć mówić o „dowódcach uśpionych”. Nie minęło lat wiele a ten sam Briand forsuje wbrew całemu parlamentowi budżet na ambasadę przy Watykanie. I wtedy jak i przedtem był ateuszem, ale liczył się już z siłą. To też spokojnie przechodzić trzeba obok różnych alarmów o zmierzchu lub nawet konaniu chrześcijaństwa. W tej chwili konanie i zmierzch są niepodzielną własnością nowożytnego świata. Dla zdrowego katolickiego optymizmu wystarcza, że od czasów Piusa IX i za każdego z jego następców, począł tworzyć się i rozwijać katolicki szyk dobrze sprawiony, obejmujący oczywiście tylko część oficjalnej statystyki katolicyzmu, dostateczny jednak, aby być zbawczym zaczynem rdzennego królestwa Chrystusowego w ludzkości.

Więcej powiemy! Z każdym nowym pontyfikatem powiększał się i wewnętrznie pogłębiał ten szyk bojowy Chrystusa.

Gdy Pius IX zaczynał swe rządy, wybitny mąż stanu Donoso Cortes pisał, iż stan moralny świata jest tak beznadziejny, że najprostszy rozsądek przewidywać każe grozę idącego kryzysu i katastrofy tak strasznej, jakiej ludzkość nie zaznała jeszcze. „Ludzkość od zagłady uratować może tylko Kościół”, pisze dalej Cortes, zarazem jednak dodaje, „iż barometr katolicki wskazuje na burzę i wartość idei katolickich spadła we wszystkich prawie krajach”.

A jednak Pius IX, nawiązując wówczas do słów de Maistre'a, wyrzeczonych wkrótce po okropnościach rewolucji francuskiej: „zbliżamy się do największej ze wszystkich religijnych epok”, zapowiada: „Tak jest, zmiana ta i ten tryumf nadejdą. Nie wiem, czy to stanie się, jak długo żyję ja, niegodny namiestnik Chrystusowy, ale to wiem, że nadejdą”.

Słowa te pozostały w pamięci następnych papieży. Pius X w pierwszej swojej encyklice z lutego 1904 r., pisze:

...Słyszę jakby głos wewnętrzny, mówiący, że spełnią się nadzieje i oczekiwania, które nie bez racji przepełniały poprzednika naszego Piusa. I to tym więcej, że jak pokazuje doświadczenie,

jest to prawem Opatrzności Bożej, że tam Bóg najbliżej, gdzie niebezpieczeństwo największe.

Od czasu tych słów minął szereg lat, ale lat ostatnio tak ciężkich, że spełniła się na nich dosłownie przepowiednia Donosa Cortesa o „grozie idącego kryzysu i katastrofy tak strasznej, jakiej ludzkość nie zaznała jeszcze“. Świadkiem tej klęski był Pius XI i on to wyrzekł słowa, że „podobnej katastrofy nie zaznała ludzkość od dni potopu“.

Ale też za rządów Piusa XI pełnych pracy, rozumu i męstwa i organizowania frontu katolickiego, spełniła się i przepowiednia Piusa IX. Na tym szczycie, ku któremu z tęsknotą wyteżali wzrok Pius IX i jego następcy, stanął Pius XI. To jest dziś głos powszechny całego świata!

Zaraz prawie nazajutrz po pogrzebie Piusa XI, w dniu 17 lutego, korpus dyplomatyczny przy Watykanie przez usta ambasadora niemieckiego von Bergena, w imieniu 38 państw, złożył św. Kolegium kardynałów wyrazy współczucia w następujących słowach:

...Zmarły Ojciec święty, wierny stróż prawa i tradycji, wyznawca pokoju i zgody między narodami, nie wahał się ani na chwilę, by zakończyć nieporozumienie między Państwem i Kościołem, rezultatem czego było powstanie Wolnego Państwa Watykańskiego. Obejmując tron papieski po wielkiej wojnie, Pius XI do ostatniego tchu życia pozostał wierny swemu hasłu: Pokój Chrystusowy w Królestwie Chrystusowym. Żyjemy i działamy w jednej z najbardziej decydujących godzin historii, jesteśmy świadkami powstawania nowego świata, który wyłania się z chaosu przeszłości. Pragniemy, aby w tej ewolucji pokojowej Państwo spełniało swą rolę istotną. Jesteśmy przeświadczeni, że na św. Kolegium spoczywa w tym momencie trudna odpowiedzialność wyboru godnego następcy Piusa XI, ku któremu zwracała swój wzrok cała ludzkość i który jak latarnia morska wskazywał bezpieczną przystań dla wszystkich w pokoju i postępie.

Zupełnie wyjątkowym był hołd parlamentu francuskiego. Posłowie wysłuchali stojąco mowy prezydenta Izby Herriota, szefa radykałów francuskich. Koniec tej mowy brzmiał:

...Francuska Izba, która moralną wielkość żywiej odczuwa, aniżeli inne formy wielkości, skłania czoło z czcią i wdzięcznością przed Piusem XI, który był pełnym wyrazem ducha ewangelicznego, który bronił zasług ducha przed uroszczeniami materii

i który za wzorem wielkich papieży był najdostojniejszym i najczystszym przedstawicielem tej niezłomnej mocy, jaką jest sumienie...

Po długotrwałych oklaskach Izby zabrał głos przedstawiciel rządu, premier Daladier:

...Cała Francja zachowa pamięć wielkiego papieża, który całe swe życie poświęcił jednoczeniu wszystkich ludzi, bez względu na różnice ras i religii. Francja nie zapomni,* że pracował on zawsze nad tym, by w niej zapanował duch miłosierdzia, sprawiedliwości i pokoju. Poczytuję zatem sobie za obowiązek w imieniu rządu uczestniczyć w hołdzie Izby i oznajmić całemu chrześcijaństwu, że Francja bierze udział w żałobie katolików...

Podobnie postąpił Londyn. Kilka dni przed śmiercią Piusa XI uzyskał u niego audiencję premier angielski Chamberlain z lordem Halifaxem. Z tej audiencji jeszcze za życia Papieża zdał Chamberlain w parlamencie angielskim pełne czci sprawozdanie, przyjęte entuzjastycznie przez całą Izbę. Wiernym echem tej manifestacji było pismo prymasa Kościoła anglikańskiego. Ponieważ w tym czasie nastąpiła śmierć Papieża, poleca prymas duszę jego modlitwom chrześcijan anglikańskich.

To samo było w Izbach Stanów Zjedn., to samo w Sejmie polskim. Podobne hołdy płyną do Rzymu od wszystkich rządów świata.

Tak więc po wstrząsach nowożytnej historii wyszedł Kościół katolicki z katakumb i rozsiewa blask słoneczny po całym świecie. Usiłowały i usiłują wprowadzić przysłonić ten blask chmury bolszewizmu i rasizmu. Daremnie! Dwie encykliki Piusa XI, tym błędem poświęcone, zhołdowały mu świat cały.

* * *

Na koniec parę słów o stosunku Piusa XI do Polski. Pontyfikat jego, szczytowy brzask nowożytnej historii papieży, miał być w zamiarach Opatrzności także brzaskiem zmartwychwstającej naszej ojczyzny: zniszczoną, zdeptaną Polskę miał od pierwszej chwili jej niepodległości wprzągnąć w zwycięski, triumfujący rydwan idei Chrystusowej. Do osiągnięcia tego celu potrzebną była wielka dusza i wielka idea Piusa XI, a zarazem szlachetne, gorące apostołskie jego

serce. Serce, które umiało poświęcać się całkowicie, przebaczać wszystko, nie żądać w zamian dla siebie nic — tylko dla Chrystusa i dla dobra ludzkości.

Poczytujemy za dar Boży, żeśmy mieli szczęście patrzeć z bliska na życie przyszłego Papieża, za czasów jego nuncjatury warszawskiej. Wszystkich pociągało obejście proste i skromne a jednak wytworne, łatwość zbliżania się do ludzi i zbliżania ich ku sobie, połączona z umiejętną a szlachetną rezerwą. W rozmowie było się pod urokiem wielkiego spokoju, równowagi i przenikliwego rozumu. W prowadzeniu spraw jaśniała spokojna ale i śmiała inicjatywa i niezłomna egzekutywa, która mogła być niejednemu nie na rękę. Jasny rozum i silna wola stały na wysokim poziomie.

Obowiązkowość, sumienność, opanowanie siebie, były niezwykle. Komuś robiącemu różnice między ważnymi a małymi obowiązkami odpowiedział: „Nie ma małych obowiązków”. Ta obowiązkowość uderzała szczególnie w trybie życia codziennego.

Nie było, przynajmniej nie czuło się, w tym wszystkim wymuszenia i sztywności. Pochodziło to stąd, że przy wielkim rozumie i silnej woli miał żywe, gorące, chrześcijańskie serce. Wyjątkowa harmonia władz była tajemnicą jego bohaterskiego męstwa i niezłomności.

To gorące chrześcijańskie serce wyniósł z domu rodzicielskiego. Ojciec, przemysłowiec, był człowiekiem pobożnym i zapobiegliwym o los rodziny, matka prosta, oszczędna, również pobożna, miała wdzięk dobroci. Kochał ją syn. Raz przesłał jej jedną ze swoich książek z następującą dedykacją: „Tobie, Matko cnót rzadkich i starodawnych, w dzień Twych Imienin, z błogą myślą, że może za lat wiele jakiś uczony znajdzie, czytając na tej karcie imię Twoje, świadectwo czci synowskiej dla Ciebie”. Wzruszający wyraz szlachetnego serca i pięknej miłości.

Z tym gorącym, wdzięcznym sercem przybył do Polski jako wizytator a potem nuncjusz. Miał wtedy ponad sześćdziesiąt lat, z tych koło 40 był prefektem w bibliotece Mediolańskiej, potem watykańskiej. W tym okresie wydał kilkadziesiąt prac, w świecie naukowym wysoko cenionych.

Przybywszy do Polski poznał od razu jej wartości duchowe, zwłaszcza jej religijność i gorącość serca. Odczuł w niej pokrewieństwo i pokochał ją żywą i wdzięczną miłością. Przyjacielem Polski był Pius IX, wielbiciel Polski męczeńskiej i człowiek wierzący w jej odrodzenie. Pius XI stał się nam bliższy; Polska takiego Papieża jeszcze nie miała. Tylko trzeba rozumieć prostolinijność jego charakteru, odlanego z jednego kawałka spiżu. Trzeba pamiętać, że każde jego słowo i czyn były odbiciem duszy. Gdyby miało być inaczej, to wołałby milczeć i usunąć się z widowni. Nie rozumiał gestu dla gestu, frazesu dla frazesu, nie uznawał żadnych dwuznaczników i dworskiej przesady. Stąd też, gdy mówił o miłości do Polski, to była to miłość prawdziwa.

Trafił na pierwsze dni tworzącej się Polski, na okres płomiennego uczucia, jakim tętniła wówczas zbiorowa dusza narodu. Ten płomień uczucia, rodzący bohaterskie wysiłki i poświęcenia nie tylko zastanawiał obcokrajowca, ale i fascynował. Nuncjusz, który przybył z Rzymu z mandatem papieża, aby dopomagał w pracy „nad odbudową Polski”, którego serce własnym impulsem ku tej pracy dążyło, pod wpływem tych bodźców stawał się w pewnym sensie członkiem polskiego narodu. Stąd nieraz nazywał Polskę drugą swoją ojczyzną, zwłaszcza od chwili, gdy został w Polsce przez polskich biskupów na biskupa konsekrowany. Z tych chwil pochodzi następująca jego rozmowa z jednym z polskich księży: „Jestem przyjacielem Polski, gotów jestem pozostać wśród was przez całe życie i nie miałbym nic przeciwko temu, by na waszej ziemi złożono kości i prochy moje. Ukochałem waszą piękną ojczyznę, z racji Polski zostałem biskupem, w Polsce byłem konsekrowany na biskupa przez biskupów polskich. Ja jestem właściwie biskupem polskim”.

Przy wręczaniu Naczelnikowi Państwa uwierzytelniających listów, wypowiedział następujące zdanie: „Czuje się niewypowiedzianie zaszczycony..., że dano mi możliwość zaofiarowania mego skromnego współdziałania w tym godnym podziwu dziele zmartwychwstania i tworzenia od podstaw... i szczęśliwy będę, poświęcając temu dziełu to, co mi pozostaje z życia i zdolności do czynu”.

Ta miłość Polski sprawiła, że wierzył mocno w jej wielkie dziejowe posłannictwo. Ale nie zamykała ta miłość oczu na błędy Polski. Wobec pewnych przejawów laicyzmu lękał się o ducha narodu. Na episkopat nalegał, by leczył religijne życie Polski z powierzchowności a życie rodzinne z klęski rozwodów. „Jesteście rycerzami wiary — w tej roli będziecie najlepszymi rycerzami Polski”. Pragnął Polski silnej, katolickiej.

Czasem spostrzeżenia jego o Polsce są bardzo niezwykłe. Do dyplomaty angielskiego Sir Howarda wyraził się raz w te słowa: „Kocham naród polski z powodu prostoty pięknej jego ducha. Według mnie, nie ma wiary bez prostoty ducha. I dlatego właśnie, że Polacy są w duchu tak prości, ich dobroć, jeżeli są dobrzy, jest niezrównana. A nawet, jeżeli są między nimi zli, to zaleta ich ducha sprawia, że nie są oni tak zli, jak zli ludzie innych narodów”.

Ta miłość Polski sprawia, że do ciężkich obowiązków nuncjatury dołącza ofiary nadobowiązkowe. Gdy armie bolszewickie zbliżają się w r. 1920 do Warszawy i cały korpus dyplomatyczny przenosi się do Poznania, Nuncjusz telegraficznie prosi Papieża o możliwość pozostania w Warszawie, nawet w wypadku zajęcia jej przez nieprzyjaciela. Pozostaje, podjeżdża nawet pod pole bitwy, zachęca żołnierzy do męstwa i udziela im błogosławieństwa. Gdy o. Theissling z powodu pozostania nuncjusza w Warszawie wyraził mu zdziwienie i przedstawił niebezpieczeństwo życia, odpowiedział spokojnie: „Doskonale zdaję sobie sprawę z powagi położenia, ale dziś rano przy ofierze Mszy świętej poświęciłem życie Bogu. Przygotowany jestem na wszystko”.

Pobyt nuncjusza Rattiego w Polsce trwał tylko trzy lata. Nastąpiło odwołanie. Wyjazd do Rzymu był bolesny dla Nuncjusza. Poszło o plebiscyt na Śląsku. Za zgodą Polski i Niemiec był Ratti zamianowany komisarzem papieskim na plebiscyt. Nagle jawi się wiadomość, jakoby Nuncjusz złożył w Rzymie raport dla Polski nieprzychylny. Pewne organy prasy i Sejm radykalnie reagują na to bez wystarczającego sprawdzenia. Jeden z wniosków żąda nawet zerwania stosunków z Watykanem. Okazało się później, że Ratti o niczym nie wiedział. Gdy w tym

czasie wypadły imieniny Nuncjusza i duchowieństwo warszawskie składało mu życzenia, podziękował serdecznie, ale z oczu spłynęło mu kilka łez.

Był to krzyż, przygotowujący go do najwyższego posłannictwa.

Z Polski wyjechał jako nominat na arcybiskupstwo mediolańskie i godność kardynalską. W pół roku później po śmierci Benedykta XV, został wybrany papieżem.

Na stolicy Piotrowej pozostał mimo wszystko przyjacielem Polski. Sprawy polskie zastrzegł sobie, pielgrzymki polskie wyszczególniał, Polaków witał ze wzruszającą radością. O przyrodzie polskiej, o wierzbach przydrożnych, o falujących łanach pszenicy, mówił z tęsknotą. W kaplicy, w Castel Gandolfo, umieścił obraz Matki Boskiej Częstochowskiej w ołtarzu; na ścianach bocznych kaplicy kazał polskiemu malarzowi, Rosenowi, stworzyć dwa freski, jeden z oblężeniem Częstochowy, drugi z bitwą warszawską, z cudem nad Wisłą. Poza wielu innymi dowodami pamięci i serca najważniejszym była kanonizacja świętego Andrzeja Boboli i wysłanie swego szczególnego delegata z relikwiami do Polski.

Ten ostatni akt wypłynął z przekonania o dziejowym posłannictwie Polski. Chciał, by Polska wróciła do swego pierwotnego przeznaczenia, by była bastionem Chrystusowym na pograniczu Wschodu, przedmurzem chrześcijaństwa i apostolskim jego krzewicielem.

Ks. Jan Pawełski T. J.

Najnowsza „ewangelia” bolszewizmu.

Charakterystyczne zjawisko towarzyszy dyktaturom totalistycznym. Prawie każda z nich, szczególnie zaś te, które usiłują totalizować życie duchowe ludzi, wytwarza sobie coś w rodzaju swoistej ewangelii. Mają niemieccy socjal-nacjonalisci *Mein Kampf* Hitlera, książkę, która dawno już utraciła właściwy jej sens autobiografii wodza ruchu, a stała się, wraz z „Mitem XX wieku” Alfreda Rosenberga, oficjalnym wyrażeniem poglądów społeczno-filozoficznych i politycznych, czy nawet wyznaniem wiary każdego prawdziwego hitlerowca. Bolszewizm znacznie wyprzedził, również w tej dziedzinie, hitleryzm. Już w 1919 roku ukazała się książka Bucharina i Preobrażeńskiego pod tytułem *Азбука коммунизма* czyli „Abecadło komunizmu”. W tej książce zostały wyłożone, w sposób możliwie popularny, program i dzieje bolszewizmu i do śmierci Lenina (1924) czerpali z niej wiedzę o obowiązujących zasadach i poglądach nie tylko komuniści sowieccy, lecz również komuniści wszystkich krajów. Praca Bucharina i Preobrażeńskiego utraciła z czasem swój oficjalny charakter, gdyż poglądy w niej zawarte przestały odpowiadać aktualnym poglądom i interesom bolszewickiej dyktatury; zbyt tam idealizowano okres „wojennego komunizmu”, który właściwie przetrwał do roku 1923, a wobec którego polityka gospodarczo-społeczna Lenina i później Stalina wyglądała jak odstępstwo na rzecz kapitalizmu. Książka Bucharina utraciła w zupełności swój charakter „ewangelii” z chwilą zagarnięcia władzy dyktatorskiej przez Stalina, który potępił „Abecadło komunizmu” z wła-

ściwą sobie gwałtownością, zrozumiała już choćby z tego powodu, że o nim — następcy Lenina — nie było w tej „Azbuce” prawie żadnej wzmianki, a za to Trocki, Zinowiew i Kamieniew przedstawieni zostali jako wodzowie rewolucji i państwa sowieckiego.

Widocznie wszakże dyktatura bolszewicka nie mogła obejść się bez „ewangelii”, skoro miejsce bucharinowskiego „Abecadła” szybko zajmuje książeczka Stalina *Podstawy leninizmu*. Był to stenogram kilku lekcji odczytanych przez Stalina wobec słuchaczy centralnej szkoły partyjnej w Moskwie w 1924 roku o leninizmie. Stalin wyłożył w tej książce, w sposób raczej prostacki aniżeli popularny, zasady strategii i taktyki bolszewizmu oraz starał się udowodnić słuszność teorii marksowskiej w jej leninowskiej wykładni. Broszurka ta rozrosła się z biegiem czasu, po dodaniu do niej coraz to nowych przemówień i artykułów Stalina, w wielką, kilkuset stronicową, księgę pod tytułem *Zagadnienia leninizmu* i do roku 1937 zawarte w niej stwierdzenia były dla działaczy komunistycznych bardziej obowiązujące aniżeli słowa oficjalnego programu partii bolszewickiej czy Kominternu, których to programów głównym autorem był zresztą wyklęty i rozstrzelany Bucharin.

Krwawe stalinowskie rozprawy ze starymi wodzami bolszewickimi, dokonane w ciągu ostatnich szczególnie trzech lat oraz pewne zmiany zachodzące w poglądach i w życiu sowieckim, uczyniły ze starych sformułowań Stalina nieprzydatną już prawie strawę ideologiczną. Co roku *Zagadnienia leninizmu* ulegały komicznym przeróbkom, choćby z tego powodu, że ci, których Stalin w ostatnim wydaniu książki mianował towarzyszami i wspólnie z nimi toczył boje przeciw „wrogom ludu” sami stali się w międzyczasie takimiż wrogami, fępiionymi z kolei kulą rewolwerową. W coraz bardziej puchnącej „księdze mądrości” Stalina uderzał brak wewnętrznej harmonii, nie trudno było — nawet bezkrytycznemu czytelnikowi sowieckiemu — zauważyć znaczne sprzeczności w poglądach i sformułowaniach nie tylko między jednym a drugim wydaniem, lecz nawet w jednym i tym samym wydaniu, gdyż nie była to żadna oryginalna, jedną całość obejmująca praca literacka, lecz zbiór mów, artyku-

łów i wywiadów na przeróżne tematy i w różnych okolicznościach. Taki sztuczny aliaż nie mógł oczywiście mieć charakteru zwartej i jednolitej syntezy.¹⁾

Trzeba więc było stworzyć nową, najnowszą „ewangelię”, aby poddani sowieccy i coraz mniej liczni adherenci bolszewizmu w świecie, wiedzieli czego się mają trzymać i w co mają „wierzyć”. W połowie września zeszłego roku, właśnie w okresie, gdy rozstrzygnęły się tragicznie losy sojuszniczki ZSSR, beneszkowskiej Czechosłowacji, cała prasa sowiecka, dziesiątki stacyj radiowych w Sowietach, tysiączne zebrania komunistyczne zajęte były jednym przeważnie zagadnieniem — ukazaniem się w druku, od razu w kilkumilionowym nakładzie, książki pod niewiele mówiącym tytułem *Historia Wszechzwiązkowej Partii komunistycznej (bolszewików)*, Krótki kurs. Autorstwo oficjalne jest bezimienne, w tytule zaznaczono krótko: „pod redakcją komisji CK WKP(b)” oraz dołączono swoiste *imprimatur*: „zatwierdzone przez CK WKP (b) 1938 r.” To autorstwo i zatwierdzenie przez centralny komitet partii bolszewickiej nadaje tej książce jak najbardziej oficjalny charakter. Wiadomo, że wszystkie ważniejsze dekrety rządu sowieckiego bywają przed ogłoszeniem zatwierdzane przez partyjne kierownictwo bolszewików, a w ostatnich latach figuruje nawet na dekrétach państwowych, obok podpisu premiera rządu sowieckiego, również podpis generalnego sekretarza CK WKP (b). Czytając *Historię* (tak w skrócie nazywać będziemy tę książkę) łatwo się zorientować, iż głównym i ostatecznym jej autorem jest sam Stalin, na co wskazuje już sam styl jego przemówień czy ogłoszonych drukiem prac. Sami zresztą bolszewicy nie ukrywają autorstwa Stalina. Premier Mołotow stwierdził to podczas akademii, urządzonej w rocznicę rewolucji 6 listopada 1938 roku w Moskwie, zaznaczając, iż „wydanie tego kursu historii WKP (b) stało się możliwe tylko dzięki wyjątkowej pracy nad tą książką samego Stalina”. Prasa bolszewicka w oficjalnym komentarzu stwierdziła, iż „wódz i nauczyciel partii” pracował „wyjątkowo i indywidualnie nad tym wielkim dziełem”. Co do innych autorów zacho-

¹⁾ Autor tych słów sam miał w ręku trzynastę wydań *Zagadnień leninizmu* Stalina, a wyszło ich więcej, osiągając miliony egzemplarzy.

wuje się na razie milczenie. Podejrzewamy, że ma to związek z faktem, że już jeden z członków komisji redakcyjnej, która *Historię* opracowała, a mianowicie Stecki, były kierownik wydziału propagandy i agitacji partii, zdążył w międzyczasie stać się kolejnym „wrogiem ludu”. Wydaje się — na podstawie komentarzy prasowych i pewnej znajomości rzeczy — że dalszymi autorami *Historii* obok Stalina i Steckiego, są: Mołotow, Żdanow, Łazar Kaganowicz, Jarosławski-Gubelman, filozof Mitin i prawdopodobnie Beria, nowy szef NKWD (GPU), który jako sekretarz organizacji partyjnej w Gruzji napisał historię bolszewizmu w krajach zakaukaskich, z uwypukleniem roli osobistej Stalina. Może niejednego z nich czeka los Steckiego, więc rozsądniej było ich nazwisk nie ogłaszać...

Nie zamierzamy tutaj streszczać zawartości *Historii*, nie widzimy też potrzeby polemicznego rozprawiania się z tym najnowszym wydaniem ideologii bolszewizmu. Chcemy tylko na marginesie tego dzieła skreślić pewne uwagi, narzucające nam się przy studiowaniu tej publikacji i omówić przy tym ujawniające się zmiany w poglądach kierowniczego sztabu międzynarodowego bolszewizmu.

Historia ma być i niewątpliwie będzie, na krótszy czy dłuższy okres czasu, tym co określiliśmy jako „ewangelię bolszewizmu”. Według teoretycznego organu partii bolszewickiej (*Bolszewik* z 15 XI 1938 r.), „Historia” ta jest — „nowym, potężnym orężem ideowym bolszewizmu, encyklopedią podstawowej wiedzy w dziedzinie marksizmu-leninizmu”. Jest więc nie tyle historią we właściwym tego słowa znaczeniu, ile wykładem marksowsko-leninowskiego poglądu na świat oraz zasad bolszewickiej polityki w stalinowskim ujęciu. Jest to więc praca tak samo potrzebna każdemu badaczowi komunizmu, jak konieczną jest dla każdego prawomyślnego bolszewika. Ma się rozumieć, że wydanie tej *Historii* spowodowane zostało szeregiem aktualnych potrzeb. Najważniejszą z nich ujawnia od razu „wstęp” w słowach: „Studiowanie historii WKP(b) wzmacnia pewność w ostateczne zwycięstwo wielkiego dzieła partii Lenina — Stalina, w zwycięstwo komunizmu na całym świecie”. Wobec niewątpliwego u komunistów zaniku wiary

w zwycięstwo ich sprawy i do tego „na całym świecie” — ta najnowsza „ewangelia” ma posłużyć jako zastrzyk „pewności” czy „wiary”, bez której żaden ruch masowy nie potrafi się dłużej utrzymać. Mniemamy, że rolę tę spełni może niniejsze dzieło wewnątrz Związku Sowieckiego; w świecie zaś wolnym od bolszewickiej dyktatury spełnić jej nie zdoła, mimo, iż bolszewicy mają w tym względzie dość mocną nadzieję. Tak np. bolszewicki „anty-papież” (kierownik ruchu bezbożniczego) Jarosławski-Gubelman pisze na ten temat: ¹⁾ „Historia WKP(b) daje partiom komunistycznym wszystkich krajów potężny oręż z walce o interesy klasy robotniczej, w walce przeciw reakcji i faszyzmowi i dla wywalczenia zwycięstwa nad kapitalizmem” i wyraża przy tym pewność, że „miliony ludzi w krajach kapitalistycznych studiować będą tę książkę jako swój przewodnik w akcji rewolucyjnej” (str. 29). Te „miliony” sprowadzą się najprawdopodobniej do kilku tysięcy komunistów we Francji, w Ameryce i być może w Anglii oraz w krajach skandynawskich, póki i tam społeczeństwa nie skończą z zarazą komunistyczną.

W listopadzie 1938 roku komitet centralny partii bolszewickiej ogłosił zarządzenie o zorganizowaniu partyjnej propagandy w związku z wydaniem *Krótkiego kursu historii WKP(b)*, w którym zostały ujawnione przyczyny wydania tej książki. Wymienimy tu najistotniejsze z nich: 1) W propagandzie komunistycznej dawał się odczuwać brak „podręcznika, reprezentującego jednolity pogląd na podstawowe zagadnienia historii WKP(b) marksizmu-leninizmu i oficjalnie je komentującego, a nie dopuszczającego żadnych dowolnych komentarzy”. 2) Nowy podręcznik ma za zadanie: „likwidować rozdzźwięk (powstały) między leninizmem a marksizmem, nawrócić do jedności leninizmu i marksizmu”, a „historyczny materializm musi być związany z polityką partii”. (Czyżby zatem i tu zaszedł jakiś rozdzźwięk?) 3) Podstawą historii mają być „idee i zagadnienia, a nie ludzie i ich biografie”. — Wynika stąd, że dotychczasowe podręczniki historii bolszewizmu ²⁾ wysławiały ludzi niewygodnych obec-

¹⁾ *Kommunistisches Internationaal* nr 10 z października 1938 r.

²⁾ Było ich mnóstwo, najważniejsze z nich: Jarosławskiego, Niewskiego, Bubnowa, Zinowiewa i Pokrowskiego.

nemu dyktatorowi, sama zaś stalinowska *Historia* pełna jest danych biograficznych, ale tylko dwóch ludzi: nieżyjącego Lenina i żyjącego Stalina. Biografie innych rewolucjonistów mocno mogłyby zaszkodzić Stalinowi. 4) Rewizja, czyli jak się wyraża „zarządzenie”: „wyzwolenie literatury marksistowskiej od uproszczeń i wulgaryzacji” w szeregu zagadnień jak np. „w poglądach o roli osobistości w dziejach, o możliwości zwycięstwa socjalizmu w jednym kraju, o niezrozumieniu różnicy między wojnami sprawiedliwymi i niesprawiedliwymi, o nieprawidłowym pojmowaniu bolszewików, jako swego rodzaju pacyfistów itp.” Te zarządzenia CK bolszewickiego ujawniają rewizjonistyczny charakter najnowszej historii bolszewizmu. Chodzi o to, że Stalin musiał poddać rewizji nie tylko poglądy innych, bolszewickich historyków i teoretyków, lecz również swe własne poglądy. Przecież to Stalin starał się w swoich *Podstawach leninizmu* wyodrębnić leninizm jako nową, wyższą, aktualnie bardziej wartościową teorię od przestarzałego marksizmu. Obecnie notujemy znamieny nawrót leninizmu do marksizmu i zredukowanie leninizmu do roli komentarza marksizmu w nowych warunkach po wojnie i rewolucji. Za to — jak to niżej zobaczymy — sam Stalin rewiduje w pewnych sprawach (naprz. w sprawie obumierania państwa przy socjalizmie) zarówno Marksa jak i Lenina. Można powiedzieć, że *Historia* jest wykładnią ideowego prądu w marksizmie, który najtrafniej będzie można nazwać stalinizmem. Stalin wyolbrzymiał swego czasu rolę Lenina w rewolucji, rolę tę obecnie wybitnie pomniejsza. Stalin propagował ideę stworzoną przed tym przez Lenina, o możliwości zbudowania ustroju socjalistycznego w jednym, oddzielnie wziętym, kraju; — teraz rewiduje tę teorię na wszelki możliwy dla bolszewika sposób. Stalin w swoich rozmowach z Lavalem, Edenem, amerykańskim dziennikarzem Hovardem, w przemówieniach z okresu po wstąpieniu Sowietów do Ligi Narodów malował bolszewików i siebie jako „swego rodzaju pacyfistów” — teraz i tutaj następuje znamienna rewizja poglądów.

Uchwycenie istoty tych rewizyj i przemian to najważniejsza korzyść jaką nam dać może studiowanie stalinow-

skiej *Historii* i omówienie wyniku tych studiów na łamach poczytnego miesięcznika.

Należy sobie uprzytomnić, że dla marksisty, a bolszewicy są najkonsekwentniejszymi marksistami, nauka czy teoria nie służy do obiektywnego poznania prawdy, lecz jest uogólnieniem praktyki czyli doświadczenia. Dla marksisty teoria jest bardziej „przewodnikiem w działaniu” i usprawiedliwieniem czynu, aniżeli szukaniem światła, prawdy i badaniem dróg do czynu prowadzących.

W *Historii* znajdujemy charakterystyczne sformułowanie różnicy między dialektycznym (filozoficznym) a historycznym materializmem: „metoda badania zjawisk przyrody, metoda poznania tych zjawisk jest dialektyczna, tłumaczenie zjawisk przyrody, jego teoria jest materialistyczna”. Dla uniknięcia wątpliwości *Historia* stwierdza: „Dialektyczny materializm jest światopoglądem marksistowsko-leninowskiej partii”. Natomiast „Historyczny materializm jest rozciągnięciem zasad dialektycznego materializmu na dziedzinę badania życia społecznego, zastosowaniem zasad dialektycznego materializmu do zjawisk życia społecznego, do poznania społeczeństwa, do badania historii społeczeństwa” (Rozdział IV, część 2). Naszym zdaniem, w tym lapidarnym określeniu mamy klasyczne i prawidłowe rozgraniczenie między dwoma rodzajami materializmów, stanowiące podstawę marksizmu. Rozgraniczenie a zarazem słuszne zupełnie spajanie tych dwóch pojęć w jedną całość. Wspólnym mianownikiem zarówno dla marksowskiej dialektyki, jak i dla marksowskiej historiozofii jest materializm, jest tłumaczenie zjawisk przyrodniczych i społecznych jako przebiegu względnie wyniku impulsów materialnych, a nie idealnych, duchowych; jest przeświadczenie czy mniemanie, że elementem pierwotnym, twórczym jest materia, a nie idea, duch.

Nawiasem mówiąc, dziwną wydaje nam się próba p. Niedziałkowskiego,¹⁾ który usiłuje odżegnać się od dialektycznego materializmu przy równoczesnym dalszym hołdowaniu

¹⁾ *Robotnik* z 4 I 1939 r.

zasadom czy metodzie historycznego materializmu. Widocznie, olbrzymi w ostatnich latach, rozwój ścisłych nauk przyrodniczych zdołał przekonać wielu socjalistów o bankructwie filozoficznego światopoglądu marksistowskiego, chociaż i tutaj nie mają odwagi, z wyjątkiem takich śmiałków jak Belgijczyk De Man, nazywać rzeczy po imieniu. W dziedzinie nauk społecznych, a zwłaszcza w dziedzinie historii i ekonomii społecznej, wielu, aż za wielu skądinąd światłych ludzi trzyma się ślepej, na wskrós fałszywej teorii materializmu dziejowego. W obliczu najnowszego oświecenia tej sprawy, we wspomnianym artykule red. Niedziałkowskiego, metoda historycznego materializmu jest pozostałą jeszcze pepowiną teoretyczną, która wiąże naszych socjalistów z ideologią marksistowską czyli komunistyczną.

Ze wspólnego dla Stalina i Niedziałkowskiego materializmu historycznego *Historia* wyprowadza m. in. następujące wnioski:

...żeby nie mylić się w polityce trzeba patrzeć naprzód, a nie wstecz... żeby nie mylić się w polityce trzeba być rewolucjonistą, a nie reformistą... trzeba nie zamazywać przeciwieństwa porządków kapitalistycznych, lecz ujawniać je i rozdmuchiwać, nie wolno gasić walki klasowej, lecz należy doprowadzić ją do końca, do rewolucji...

Takie są, takie muszą być, żelazne konsekwencje teorii materializmu dziejowego. Bolszewicy są konsekwentni aż do najbardziej wulgarnych uproszczeń; dla nich „nie bacząc na całą zawilłość zjawisk społecznych nauka o historii społeczeństwa może stać się tak samo ścisłą nauką jak powiedzmy biologia”. I to się twierdzi w czasie, gdy właśnie biologia, fizyka, chemia, matematyka itp. wraz ze swym rozwojem stają się coraz mniej „ściślymi”, gdy elementy metafizyczne, ściślej spirytualistyczne coraz pocześniejsze zdobywają miejsce w konstrukcjach i badaniach naukowych największych uczonych świata.

Według *Historii*:

...nie należy szukać źródła formowania się życia duchowego społeczeństwa, źródła pochodzenia idei społecznych, teorii społecznych, politycznych poglądów, politycznych urządzeń w samych ideach, teoriach, poglądach i politycznych urządzeniach, lecz

w warunkach materialnego życia społeczeństwa, w społecznym bycie, którego odbiciem są te idee, teorie, poglądy itp.

Ciekawe, że bolszewicy materialiści rozprawiają się jedynie z poglądem czysto idealistycznym o istnieniu wyłącznie idei i ducha i nierealności świata materialnego, a nie próbują w tej *Historii* walczyć z prawdą chrześcijańskiego spirytualizmu o stworzeniu zarówno świata materialnego, jak i ludzi wraz z ich ideami, poglądami itp. przez najwyższy Byt, jednego Stwórcę.

Nie można twierdzić, że autorzy *Historii* nie doceniają roli i znaczenia idei w życiu społecznym. Owszem, nawet przypisują ideom bardzo ważne znaczenie. Ale dzielą te idee na „stare, reakcyjne”, które hamują życie i które trzeba wyrwać z ludzkich głów, zaliczając do tej kategorii, rzecz rozumiała, religię — i na „nowe, progresywne”, które rozwijają życie społeczne i które muszą znaleźć poparcie ruchu komunistycznego i państwa socjalistycznego. Mimo to, nawet nowe — powiedzieć by można „dobre”, tylko że bolszewicy nie uznają tego przymiotnika — idee są li tylko środkiem pomocniczym wobec życia materialnego i „tym bardziej wpływają na życie społeczne, im bardziej odzwierciedlają potrzeby materialnego rozwoju społeczeństwa”. Więc nie idee są podstawowym warunkiem rozwoju społeczeństwa. Obok geograficznych, demograficznych itp. momentów

...warunki rozwoju materialnego życia społeczeństwa określa się przede wszystkim... sposobem zdobywania środków do życia koniecznych dla istnienia ludzi, sposobem wytwórczości dóbr materialnych, jak jedzenia, ubrania, obuwia, mieszkania, opału, narzędzi pracy itp. koniecznych do tego, aby społeczeństwo mogło żyć i rozwijać się...

Marksistowska myśl autorów *Historii* biegnie konsekwentnie dalej:

...zmiany w sposobie produkcji nieuchronnie(!) wywołują zmiany całego ustroju społecznego, idei społecznych, poglądów politycznych, urządzeń politycznych — wywołują przebudowę całego społecznego i politycznego układu...

Nieco dalej znajdujemy iście marksowskie określenie:

...klucza do poznania praw historii społeczeństwa szukać trzeba nie w głowach ludzi, nie w poglądach i ideach społeczeń-

stwa, lecz w sposobie produkcji, praktykowanym w społeczeństwie danego okresu historycznego — w ekonomice społeczeństw... (Rozdz. IV, cz. 2).

Z takiej, przewróconej do góry nogami, konstrukcji naukowej wypływa nie co innego, jak konieczność — rewolucji socjalistycznej. Żeby zaś zmaltretowany czytelnik sowiecki uwierzył, że tak koniecznie wynika, stwierdza mu *Historia*, że w kapitalistycznej fabryce „praca jest społeczna (gromadna), a własność — prywatna (jednostkowa)”, sprzeczność tę może usunąć tylko rewolucja, która własność również czyni społeczną (autorzy nie mówią całej prawdy: państwową). Widocznie autorzy nie obawiają się myśli krytycznej ze strony swych przymusowych czytelników, którzy mogliby chcieć rozwiązać powyższą sprzeczność kapitalistyczną w odmienny nieco sposób np. przez indywidualne uwłaszczenie pracowników w myśl ideałów społecznych katolicyzmu. Nie próbują też autorzy rozwiązać innej sprzeczności: jak to życie społeczne w Rosji, w 80% oparte na prywatnej pracy na roli i na prywatnej własności chłopów mogło zrodzić rewolucję proletariacką? Nie czynią tego autorzy przy omawianiu zasad ideologicznych marksizmu, ale przyznać musimy, że czynią to przy kreśleniu dziejów samej rewolucji, a zwłaszcza okresu porewolucyjnego, gdy to czynem — kolektywizacją, inaczej mówiąc grabieżą chłopskiej własności prywatnej na rzecz państwa komunistycznego rozwiązyli powyższą sprzeczność. A teoria — jak to marksiści określają — „uogólniła doświadczenie” czyli raczej sofistyczno - dialektycznie usprawiedliwiła grabież i „wszystko w porządku”...

Mówiąc o zagadnieniach ideologiczno-teoretycznych warto w kilku słowach sklasyfikować to, co według stalinowskiej historiozofii wnieśli twórcy teorii marksizmu-leninizmu. Wkład Marksa i Engelsa wyglądałby w zarysie następująco: 1) Połączenie heglowskiej dialektyki z materializmem Feuerbacha i francuskich encyklopedystów-materialistów. 2) Walka klas motorem rozwoju społecznego. 3) Rewolucja socjalna koniecznością w rozwoju społecznym. 4) Ustrój socjalistyczny naturalnym następcą ustroju kapitalistycznego. 5) Klasa proletariacka hegemonem w nadcho-

dzącej rewolucji społecznej. 6) Formą przejściową od państwa kapitalistycznego do bezpaństwowego komunizmu jest dyktatura proletariatu, rozumiana również jako ustrój republikańsko-demokratyczno-parlamentarny. 7) Internacjonalizm obowiązującą zasadą ruchu socjalistycznego, zwycięstwo rewolucji socjalistycznej możliwe jedynie w skali międzynarodowej. Z wkładu Marksa i Engelsa można wyeliminować teorię wartości dodatkowej (zwanej nieścisłe „nadwartością”) w ekonomii politycznej oraz teorię procesu koncentracji i centralizacji kapitału i wynikającego stąd zaniku drobnych, samodzielnych gospodarstw oraz nieuniknionego wzrostu nędzy, gdyż teorie te nie są oryginalnie marksowskie, a opracowane zostały już przez Adama Smitha, Davida Ricardo i innych ekonomistów. Lenin zaś wniósł do „skarbnicy” marksizmu następujące idee: 1) Zdyscyplinowana partia proletariacka jako awangarda i sztab rewolucji oraz jako jedyna reprezentantka proletariatu przy realizacji dyktatury. 2) Sowiety — rady delegatów robotniczych — jako jedyna racjonalna forma dyktatury proletariatu z odrzuceniem republiki demokratycznej jako nieodpowiedniej dla proletariatu formy. 3) Imperializm — monopolistyczny finansowy kapitał — jest najwyższą i ostatnią postacią kapitalizmu, wojna i rewolucja są nieuniknione w wyniku imperializmu. 4) Chłopstwo, mniejszości narodowe, narody ujarzmione i kolonialne są naturalnymi sojusznikami proletariatu w jego walce rewolucyjnej. 5) Państwo socjalistyczne powoli obumiera i przechodzi w stan bezpaństwa przy pełnym ustroju komunistycznym. — Idee Lenina uzupełniają więc i częściowo zmieniają poglądy Marksa.

Cóż wnosi Stalin do teorii marksistowsko - leninowskiej? Uchwytne są następujące teorie czy raczej, w znacznej części, płytkie teoryjki: 1) Rozbudowanie, umotywowanie poglądu Lenina, że ustrój socjalistyczny da się zbudować w jednym, oddzielnie wziętym, kraju, konkretnie w Rosji Sowieckiej, niezależnie od tego czy rewolucja proletariacka zwycięży również w innych krajach. 2) W okresie dyktatury proletariatu względnie socjalizmu państwo (jako organ przymusu i terroru) nie obumiera, lecz na odwrót musi być coraz bardziej wzmacniane, obumieranie funkcji państwowej zacznie

się dopiero po zwycięstwie socjalizmu w skali światowej. (To znaczy — nigdy!) 3) Rządzący proletariat (czyli partia komunistyczna) jest władny przyspieszać rozwój form społecznych ku komunizmowi za pomocą przymusu gospodarczego czy politycznego, czego dowodem kolektywizacja gospodarstw rolnych (kołchozy), jako forma wprowadzenia socjalizmu do rolnictwa. I wreszcie 4) Rozwijanie i szerokie zastosowanie poglądu Lenina o wyzyskaniu sprzeczności wewnętrznych w obozie przeciwników, jak np. wygrywanie burżuazyjnej demokracji przeciw antykomunistycznym państwom dyktatorskim i na odwrót.

Samo tematyczne wyliczenie najistotniejszych poglądów teoretycznych i ideowych Marksa, Lenina i Stalina daje już wyobrażenie o czym traktuje *Historia* bolszewików. Centralnym zagadnieniem teorii marksizmu - leninizmu to sprawa rewolucji i dyktatury, to sprawa osiągnięcia i utrzymania władzy w ręku dobrze zorganizowanej kasty partyjnej o międzynarodowym obliczu i o światoburczych, totalnych i materialistycznych poglądach. O znaczeniu dla marksizmu takich teoretyków jak: Kautsky, Hilferding, Róża Luksemburg i in. *Historia* nic nie wspomina.

W ogóle w tej *Historii* więcej jest rozpraw ideologicznych, aniżeli właściwej historii. Trzeba atoli zatrzymać się nieco przy sprawach ściśle historycznych, znajdujemy tutaj wiele momentów ciekawych i pouczających. *Historia* atakuje w pierwszym rzędzie poglądy zmarłego (naturalną śmiercią!) kilka lat temu historyka bolszewickiego prof. Pokrowskiego. Zarzuca mu się, że metodę historycznego materializmu zamienił na materializm ekonomiczny i z tego punktu widzenia rozpatrywał dawniejsze dzieje. Dzisiejsze pojęcia ekonomiczne stosował przy badaniu okresów historycznych o zupełnie odmiennej ekonomice. Znamienny jest zarzut uczyniony Pokrowskiemu, że wbrew rzeczywistości historycznej nie uznawał progresywnej roli jaką odegrało przyjęcie chrztu przez Ruś. Zarzuca mu się dalej idealizowanie Dymitra Samozwańca „agenta polskich interwentów” oraz pomniejszenie czy nawet nie uznawanie postępowego znaczenia reform Piotra Pierwszego (Wielkiego).

Opis caryzmu wypadł, rzecz jasna, jak najbardziej ponuro, czarne farby zostały mocno zgęszczone. Mimo to trudno opędzić się refleksji, przy daleko posuniętym obiektywizmie, że dzisiejsza sowiecka rzeczywistość przedstawia się nie lepiej, a raczej znacznie gorzej, od rzeczywistości carskiej. Ba, czytając w *Historii* charakterystykę ustrojów niewolnictwa i feodalno-pańszczyźnianego łatwo się nawet pomylić i ulec wrażeniu, iż czyta się opisy z życia współczesnej nam Bolszewii.

Podając genezę powstania bolszewizmu *Historia* w sposób dramatyczny opisuje II zjazd rosyjskiej socjal-demokratycznej partii, który odbył się w 1903 roku w Brukseli i Londynie. Mimo, że na 51 głosów, zwolennicy Lenina rozporządzali tylko 24 głosami, udało się leninowcom zdobyć większość przy końcu obrad zjazdu, gdy 5 delegatów z żydowskiego „Bundu” i dwaj inni opozycjoniści (tzw. „ekonomiści” — zwolennicy raczej syndykalizmu) opuścili zjazd. Przez takie zdobycie większości (po rosyjsku *bolsziństwa*) grupa, a później partia Lenina uzyskała miano „bolszewików”. Przy opisie drugiego zjazdu znajdujemy stwierdzenie, iż „Bundowcy i polscy socjal-demokraci wypowiedzieli się przeciw prawu samookreślenia narodu” (Rozdz. II, cz. 3).

„Polscy socjal-demokraci” to partia SDKP i L, poprzedniczka późniejszej KPP, a „Bund”, który już wówczas wystąpił nawet przeciw prawu samookreślenia się narodu, a przez cały czas swej działalności występował konkretnie przeciw niepodległości Polski, odnosi obecnie walne zwycięstwo wśród żydowskich wyborców do dwóch największych Rad Miejskich, w Warszawie i w Łodzi...

Pisząc o wojnie rosyjsko-japońskiej 1904 — 1905 roku i o następującej po niej rewolucji, *Historia* podnosi i pochwała ówczesne stanowisko bolszewików, którzy wypowiedzieli się za uczynieniem wszystkiego, iżby Rosja wojnę przegrała. Nie może się przy tym Stalin obejść bez kłamstwa, jakoby Trocki i „mieńszewicy” (bardziej umiarkowani socjaliści rosyjscy) byli „obrońcami”, to znaczy, że wypowiedzieli się za walką w obronie Rosji, co wcale nie odpowiada rzeczywistości. Wszyscy oni razem pracowali wówczas na zgubę Rosji. To się zresztą powtórzyło w woj-

nie 1914 — 1917 r. Przy okazji 1905 roku autorzy słusznie zaznaczają, iż już wówczas Lenin opracował ideę „przerastania rewolucji burżuazyjno - demokratycznej w rewolucję socjalistyczną” i ideę „przerzucenia pożaru rewolucyjnego z Rosji do Europy” (Rozdz. III, cz. 3).

W dziejach rewolucji 1905 roku *Historia* szeroko uwzględnia dwie koncepcje taktyczne: bolszewików (proletariat + chłopstwo przeciw caratowi i ziemiaństwu przy neutralności burżuazji) i mieńszewików (burżuazja + proletariat przeciw caratowi przy neutralności chłopstwa), ignorując i przemilczając trzecią rewolucyjną koncepcję Trockiego, określaną jako „idea permanentnej rewolucji” (proletariat + miejskie drobnomieszczaństwo przeciw caratowi i wielkiej burżuazji, przy neutralności chłopstwa z możliwie szybkim przerwaniem rewolucji na zachód Europy). Wszystkie jednak koncepcje ówczesne zbankrutowały, co *Historia* tłumaczy przede wszystkim brakiem masowej, silnej partii proletariackiej; jak zatem widzimy, tłumaczy niezupełnie materialistycznie.

Do czego doprowadza rygorystyczne stosowanie metody historycznego materializmu mamy w *Historii* taki oto pouczający przykład:

...Ustrój niewolnictwa we współczesnych nam warunkach jest bezmyślną, przeciwnaturalną głupotą. Ustrój niewolnictwa w warunkach rozkładającego się ustroju pierwotnie-gminnego jest zupełnie zrozumiałym i prawidłowym⁽¹⁾ zjawiskiem, gdyż oznacza on krok naprzód w porównaniu do ustroju pierwotnie-gminnego... (Rozdz. IV, cz. 2).

Doprawdy, usprawiedliwiać niewolnictwo ludzi, mogą tylko bezduszni materialści i ludzie, którzy pod postacią ustroju socjalistycznego, sami rozwijają niewolnictwo... W ogóle wyliczając formacje ustrojowo-społeczne autorzy *Historii* jakoś zupełnie nie zauważyli ustroju cechowego w średniowieczu. (Wyliczają tylko ustroje: pierwotno-gminny, niewolnictwa, feudalny, kapitalistyczny i socjalistyczny). Przemilczenie to nie jest pewnie przypadkowe.

Ciekawy jest opis rewolucji 1917 roku, gdzie przewrotowi listopadowemu udzielono znacznie więcej miejsca, aniżeli marcowemu. Nigdzie na kartach *Historii* nie ma bodaj

tylu kłamstw, przeinaczeń i przemilczeń powszechnie znanych i ogólnie stwierdzonych faktów jak w rozdziale poświęconym temu okresowi. Nie naszym jest zadaniem prostować tu te kłamstwa. Musiał przecież Stalin pograć wszystkich innych wodzów rewolucji, aby jego — w 1917 roku jeszcze mierna, trzeciorzędna — figura mogła zabłysnąć jako bodaj czy nie głównego twórcy i wodza rewolucji. Zwraca uwagę fakt, że chociaż *Historia* wspomina o „oszczerstwach” wysuniętych przeciw Leninowi i tow. przez innych socjalistów i demokratów po jego powrocie z Szwajcarii przez Niemcy kajzerowskie do Rosji, autorzy nie ujawniają o jakich to rzekomych oszczerstwach mowa, widocznie obawiali się aby młodsze pokolenie sowieckie nie dowiedziało się o tym, że Lenin i bolszewicy byli w konszachtach z Ludendorffem przeciw Rosji, już nie carskiej, ale republikańsko-demokratycznej. Gdy rząd Kiereńskiego zarządził aresztowanie i postawienie przed sąd Lenina, Lenin uciekł do Finlandii, a VI zjazd partii bolszewickiej uchwalił (podobno na wniosek Stalina), że Lenin (i Zinowiew, co *Historia* ukrywa) nie ma się stawić przed sądem z powodu możliwości „fizycznej rozprawy z Leninem”. Przy tym potępia się zarazem Kamieniewa, Rykowa i Trockiego jako zdrajców, za to, że wypowiedzieli się za stawieniem się Lenina przed sądem i przemienieniem procesu w oręż agitacyjny bolszewizmu.

Uchylenie się Lenina od sprawiedliwości nie należy, naszym zdaniem, tłumaczyć obawą „fizycznej z nim rozprawy”, ani brakiem jego cywilnej odwagi, lecz przeświadczeniem, że ujawnienie zdrazieckich konszachtów z niemieckimi militarystami mogłoby moralnie tak skompromitować bolszewików, że unicestwiłoby wszelkie szanse zwycięstwa w planowanym przewrocie.

Znamienne też jest pełne ironii stwierdzenie *Historii*, że gdy generał Kornilow próbował dokonać przewrotu wojskowego, celem uniemożliwienia bolszewikom dojścia do władzy, to „śmiertelnie przerażeni przewodcy eserów i mieniszewików, w tej liczbie Kiereński, szukali w tych dniach (sierpień 1917) obrony u bolszewików, przekonali się bowiem, że jedyną realną siłą w stolicy zdolną rozbić Kornilowa — stanowią bolszewicy” (Rozdz. VII, cz. 5). — Nasuwa

się analogia z obecną taktyką komunistów, gdy skłaniają oni „śmiertelnie przerażonych” tzw. faszyzmem socjalistów i demokratów do szukania obrony... w Moskwie. Wiadomo jak skończyła się „obrona” bolszewików udzielona socjal-demokratom np. w Czechosłowacji...

Sam przewrót bolszewicki przedstawiony został nie jako wielki rewolucyjny ruch mas, lecz jako spisek sztabu bolszewickiego, kierowanego przez Lenina i Stalina. Jako główne przyczyny „względnie lekkiego zwycięstwa” przewrotu *Historia* podaje: 1) „Słabość rosyjskiej burżuazji”; 2) „posiadanie na czele rewolucji rewolucyjnej klasy robotniczej”; 3) „sojusz robotników i chłopów” czyli pomoc włościactwa udzielona rewolucji; 4) „istnienie doświadczonej partii bolszewickiej”; i 5) stan wojenny w Rosji, zniechęcenie wojną oraz pokłócenie burżuazyjnych państw między sobą i ich niezdolność do interwencji przeciw rewolucji (R. VII, cz. 6). Uwagi o sprawach ściśle historycznych zakończyć wypada przytoczeniem opinii *Historii*, iż Trocki, Bucharin, Radek i Piatakow byli już w 1918 roku „zdrajcami rewolucji”, a to dlatego, że byli przeciwnikami podpisania („haniebnego” nawet według Lenina) traktatu pokojowego z Niemcami w Brześciu. — Wydaje się bardzo dziwnym, że takim właśnie „zdrajcom” Lenin porучzył kierownictwo armii czerwonej, partii, Kominternu, gospodarki państwowej itp. W ogóle w świetle stalinowskiej *Historii*, Lenin wychodzi jako mól książkowy, zupełnie nie znający się na ludziach, otoczony samymi „zdrajcami” z wyjątkiem Stalina i kilku nieżyjących już działaczy bolszewickich, którzy nie zdążyli stać się, z łaski Stalina, „zdrajcami”.

Przy studiowaniu stalinowskiego dzieła interesują nas oczywiście, przede wszystkim polonica. Nie wieleśmy ich znaleźli, chociaż Polacy, a więcej jeszcze Żydzi z Polski, odgrywali w swoim czasie niepoślednią rolę w ruchu bolszewickim. Znajomością historii, nawet socjalistycznego ruchu Polski, autorzy *Historii* nie grzeszą. I tak czytamy:

...W 90-ch latach marksistowskie elementy wydzieliły się z polskiej nacjonalistycznej partii i utworzyły Socjaldemokrację Polski i Litwy... (R. I, cz. 4).

Krótkie zdanie, a dwa grube błędy. Ta „polska nacjonalistyczna partia” to ma być PPS, która nigdy nacjonalistyczną partią nie była, tym bardziej w 90-ch latach ubiegłego stulecia, gdy jej miarodajnymi przewodcami byli S. Mendelson, F. Perl i inni. Co więcej, Socjał-Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy wcale nie powstała przez „wydzielenie się” z PPS, lecz utworzyła się nieco wcześniej niż PPS, w 1893 roku, utworzona przez rozbitków internacjonalistycznej partii „Proletariat” i syndykalizującego „Związku Robotników Polskich”, który też z nacjonalizmem polskim nie miał nic wspólnego. Wodzowie SDKP i L: Róża Luksemburg, J. Marchlewski, A. Warszawski-Warski, F. Dzierżyński, L. Jogiches-Tyszko i in. nigdy ani PPS’owcami, ani tym bardziej „polskimi nacjonalistami” jako żywo nie byli. Przytoczone zdanie daje świadectwo stalinowskiej „naukowości” i znajomości historii ruchu socjalistycznego. Naukowość ta rozbraja...

Bardziej obchodzi nas to, co *Historia* umie powiedzieć o roku 1920, o wojnie bolszewicko-polskiej. Większa część VIII rozdziału poświęcona została tej właśnie wojnie. Okazuje się, iż po zrezygnowaniu w początkach 1920 r. państw Ententy z dalszej interwencji antysowieckiej „pozostało jeszcze niebezpieczeństwo napaści ze strony imperialistycznej Polski” (R. VIII, cz. 3). Czytamy dalej: „Tym razem interwenci zdecydowali się wyzyskać... Piłsudskiego, burżuazyjnego, kontrrewolucyjnego nacjonalistę, rzeczywistego wodza polskiego państwa”...

U Polaków powstał plan by:

...zagarnąć prawobrzeżną część Ukrainy Sowieckiej, zagarnąć Białoruś Sowiecką, odbudować w tych dzielnicach władzę polskich panów, rozszerzyć obszar polskiego państwa „od morza do morza”, od Gdańska do Odessy, za pomoc okazaną im przez Wrangla — pomóc Wranglowi rozbić armię czerwoną i przywrócić w Rosji Sowieckiej władzę obszarników i kapitalistów... Plan ten został zatwierdzony przez państwa Ententy... (R. VIII, cz. 4).

Wniosek jest taki: „Sowiety pragnęły pokoju, a Piłsudski — wojnę”. Nieściskość takiego przedstawienia sprawy wojny z bolszewikami jest dla polskiego czytelnika jasna bez komentarzy. Dziwimy się tylko, gdzie przy tym Stalin podział

leninowską ideę „przerzucenia pożaru rewolucyjnego do Europy” i słynne powiedzenie Lenina, że wojna z Polską była dla bolszewików potrzebną do „wymacania rewolucyjnej dojrzałości Europy”?

Bardzo oryginalnie wypadają podane w *Historii* przyczyny klęski armii czerwonej pod Warszawą. Czytamy:

...Wyzwalając Kijów i wyganiając polskich panów z Ukrainy i Białorusi, wojska czerwone frontu południowego w swym ofensywnym porywie doszły do bram Lwowa w Galicji, a wojska frontu zachodniego zbliżyły się do Warszawy. Sprawa posuwała się w kierunku pełnej porażki wojsk polskich panów.

Lecz podejrzane działania Trockiego i jego zwolenników w głównym sztabie czerwonej armii zniszczyły sukcesy czerwonej armii. Ofensywa czerwonych wojsk na zachodnim froncie w stronę Warszawy, przeszła — z winy Trockiego i Tuchaczewskiego — zupełnie nieorganizowana; nie dali wojsku umocnić się na zdobytych pozycjach, przednie oddziały zostały posunięte zbyt daleko naprzód, rezerwy i zaopatrzenie pozostały zbyt daleko na tyłach, w ten sposób przednie oddziały pozostały bez zaopatrzenia, bez rezerw, linia frontu została rozciągnięta w nieskończoność i, co z tego wynika, zostało ułatwione przerwanie frontu...

Opowiada dalej *Historia* o „szkodniczym rozkazie” Trockiego, który nakazał konnej armii (Budiennego) przenieść się spod Lwowa na północny-wschód, by przyjść z pomocą zachodniemu frontowi bolszewików. „To była — oświadcza *Historia* — bezpośrednia pomoc udzielona nie naszemu zachodniemu frontowi, lecz polskim panom i Entencie” (R. VIII, cz. 4). — Zamiast zbędnych komentarzy, przypomnijmy tylko fakt historyczny: miarodajnymi wodzami bolszewickiego frontu południowego byli: Budienny, Woroszyłow i sam Stalin.

Traktat pokojowy w Rydze zawarty został — według *Historii* — „z inicjatywy Polski, gdyż bała się nowego ataku czerwonej armii, którego nie wytrzymałaby” (choć na czele armii czerwonej stali zdrajcy?).

I wreszcie taki ustęp:

...Niemcy po Austrii i Czechosłowacji zabiorą się przypuszczalnie (po rosyjsku „pożaluj”) do Polski, gdzie także istnieje jednolite terytorium zamieszkałe przez ludność niemiecką, a graniczące z Niemcami... (R. XII, cz. I).

Komentować tej aluzji chyba nie potrzeba.

Tyle uzbieraliśmy interesujących wzmianek o Polsce w stalinowskiej *Historii*.

Jak już zaznaczyliśmy, wydając *Historię* swego ruchu, bolszewicy zamierzali m. in. pouczyć również partie komunistyczne innych, nie sowieckich krajów; stąd ciekawe są wyrażone tam poglądy o roli partii w różnych okresach. Przytaczamy kilka z nich, nie pozbawionych aktualnych akcentów:

...W okresie reakcji (upadku fali rewolucyjnej) powinny one (partie rewolucyjne) nauczyć się jak prawidłowo cofać się, jak przejść w podziemia, jak zachować i umocnić nielegalną partię, jak wyzyskać legalne możliwości, wszelkie legalne, szczególnie masowe organizacje dla wzmocnienia łączności z masami...

A dalej:

...Po to, żeby zachować łączność z masami, bolszewicy wyzyskali związki zawodowe i inne legalne społeczne organizacje: kasy ubezpieczenia chorobowego, robotnicze spółdzielnie, kluby i kulturalne stowarzyszenia, domy ludowe... Zachowanie nielegalnej partyjnej organizacji i kierownictwa, poprzez tę organizację, wszystkimi innymi rodzajami pracy politycznej umożliwiło partii przeprowadzenie prawidłowej linii partyjnej, przygotowanie sił do nowego rewolucyjnego wydzwignięcia się...

W okresie 1908 — 1912 bolszewicy wyzyskali takie nawet legalne możliwości jak propagandę swoich haseł przez uczestnictwo na zjazdach uniwersytetów ludowych, lekarzy fabrycznych i antyalkoholowym, które odbyły się w 1911 r.

W świetle tych zasad, szkodliwą naiwnością grzeszą ci, którzy uważają, że bolszewicy mogą zrezygnować z działalności nielegalnej partii komunistycznej w Polsce.

Na tle tak zasadniczego dokumentu, jakim jest *Historia*, nie ulega wątpliwości, że Stalin i bolszewicy ani na chwilę nie zrezygnowali z chęci zrewolucjonizowania świata. Stalin odnawia w tej książce swą przysięgę wygłoszoną nad trumną Lenina, iż zostanie „wierny zasadom Międzynarodówki Komunistycznej” i że „nie oszczędzimy naszego życia na to, żeby wzmocnić i rozszerzyć związek pracujących całego świata — Komintern” (R. IX, cz. 4).

Rewidując własną teorię o możliwości zbudowania socjalizmu w jednym kraju, Stalin pisze:

Jasne, iż póki istnieje kapitalistyczne otoczenie, póty będzie istniało niebezpieczeństwo kapitalistycznej interwencji. Czy może lud sowiecki sam, tylko własnymi siłami, zniszczyć to zewnętrzne niebezpieczeństwo, groźbę kapitalistycznej interwencji przeciw ZSSR? Nie, nie może. Nie może, gdyż dla zniszczenia kapitalistycznej interwencji konieczne jest zniszczenie kapitalistycznego otoczenia, a zniszczyć kapitalistyczne otoczenie można tylko w rezultacie zwycięskiej rewolucji proletariackiej, wznieconej co najmniej (!) w niektórych krajach (R. IX, cz. 5).

Dlatego też zaznacza dalej *Historia*, że „zwycięstwo rewolucji proletariackiej w krajach kapitalistycznych leży w żywotnym interesie pracujących klas ZSSR”. Z istnienia „kapitalistycznego” otoczenia ZSSR i groźby interwencji Stalin wyprowadza wniosek o niemożności ostatecznego zwycięstwa socjalizmu względnie komunizmu, w ramach obecnego ZSSR i konieczności, wobec tego, zlikwidowania „kapitalistycznych” państw otaczających ZSSR drogą rewolucji wywołanej w tych państwach. Oto najprawdziwsze, oryginalne oblicze stalinowskiego bolszewizmu. Oto najbardziej zasadniczy wniosek narzucający się przy studiowaniu stalinowskiej *Historii*.

Ostatni, XII rozdział *Historii* pełny jest aktualnych akcentów politycznych. Z braku miejsca, zatrzymamy się tylko na sprawie stosunków międzynarodowych. Według Stalina są obecnie w świecie trzy ogniska wojenne: Niemcy, Japonia i Włochy. Są to kraje „faszystowskie”, a „faszyzm to dyktatura najbardziej reakcyjnych, najbardziej szowinistycznych, najbardziej imperialistycznych elementów kapitalizmu”. Faszyzm zaś zwyciężył dzięki socjalistom, „zdrajcom klasy robotniczej, którzy swoją ugodową polityką oczyścili drogę faszyzmowi”. Twierdzi *Historia*, że „w rzeczywistości już się zaczęła druga imperialistyczna wojna”. Charakterystyczną cechą tej wojny jest „prowadzenie jej tylko przez jedną stronę, druga strona, tzw. wielkie demokracje bronią się tylko, udając, że te wojny (Abisynia, Hiszpania, Chiny, Czechosłowacja) ich się bezpośrednio nie tyczą”. „Demokratyczne” państwa są ostatecznie silniejsze od państw faszy-

stowskich. Jednostronny charakter rozwijającej się wojny światowej tłumaczy się brakiem jednolitego frontu państw „demokratycznych” przeciw mocarstwom faszystowskim”. Dalszą przyczyną ma być „bojaźń przed ruchem proletariackim w Europie i ruchem narodowo-wyzwoleńczym w Azji” oraz pogląd, że „faszyzm jest dobrym lekarstwem (*antidotum*) na wszystkie te „niebezpieczne” ruchy” (R. XII, cz. 1). Stalin przestrzega kraje demokratyczne: Anglię, Francję i St. Zjedn. Ameryki Półn. przed ich zgubną — jego zdaniem — polityką. Jak może szczuje „demokracje” na „faszyzm”. Nie może się przy tym powstrzymać od niedelikatnych gróźb, gdy mianowicie przeprowadza analogię między państwami „wielkiej demokracji” a rolą liberalnej rosyjskiej burżuazji wobec caratu. Burżuazja ta próbowała dogadać się z caratem w obawie przed rewolucją i „za to drogo zapłaciła”. „Należy przypuszczać — dodaje niewątpliwie sam Stalin — że rządzące koła Anglii i ich przyjaciele we Francji i St. Zjedn. Ameryki Północnej także otrzymają swoje historyczne wynagrodzenie”.

Na podstawie *Historii* można nawet ustalić, kto jeszcze z przywódców bolszewickich żyje i komu z nich sądzone jest korzystać nadal z łaski Stalina, przynajmniej przez jakiś czas, dajmy na to nim ukaże się następne wydanie *Historii*. Takie to już dziwne, podobno encyklopedycznie naukowe dzieło i taki to już dziwny kraj „szczęśliwego socjalizmu”. Otóż na stronicach *Historii* wymieniono poza Stalinem nazwiska 18 ludzi, jako zasłużonych działaczy bolszewickich. Myślę, że warto ich i tutaj wymienić, żeby móc po jakimś czasie skontrolować zmiany, które może niebawem nastąpią. Oto nazwiska wyróżnionych: Kalinin, Mołotow, Litwinow-Wałasz, Badajew, G. Pietrowski, Woroszyłow, Ł. Kaganowicz, Jarosławski-Gubelman, Żdanow, Jeżow, Budienny, Mikojan, Andrejew, Szczadieńko, Mechlis, Chruszczew, Szwer-nik i Szkiriatow. Przytoczyliśmy tylko żyjących. Z tej 18-ki jedynie 4 lub 5 byli drugorzędnymi współpracownikami Lenina. Lista ta potwierdza fakt, że smutny los więźniów NKWD, czy już rozstrzelonych „wrogów ludu” spotkał takich do niedawna tuzów bolszewickich, którzy zamilkli w ostatnich czasach, jak: byli wice-premierzy Rudzutak, Czubar i Kosjer;

byli komisarze ludowi: Jakowlew-Epstein, Bubnow, Krylenko i wielu, wielu innych. A może ogłoszenie nazwisk powyższej 18-ki to wskazówka Stalina, że tych działaczy już ruszyć nie wolno, że stanowią oni jakby jakiś muzealny depozyt, mający usprawiedliwić posiadanie władzy w imię historii bolszewizmu? Nie wiemy, „pożyjemy — zobaczymy”, jak mawiają Rosjanie. W każdym razie pogłoski o losie, niedawno jeszcze wszechwładnego Jeżowa i zupełnie pewna wiadomość o jego dymisji z urzędu komisarza spraw wewnętrznych zdają się świadczyć, że nie wszyscy z powyższej 18-ki ujdą mściwych rąk szalonego satrapy.

W „zakończeniu” znajdujemy w *Historii* pyszną apologię partii bolszewickiej i powiedzenie, które potwierdza rewizjonistyczny poniekąd charakter tej pracy Stalina:

...z teorii marksistowsko-leninowskiej obowiązuje istota tej teorii, a nie oddzielne jej stwierdzenia i wnioski, które można i trzeba zmienić, gdy stają się przestarzałe.

W swoim częściowym rewizjonizmie, zresztą nie wypaczającym ducha Marksa i Lenina, Stalin może się powołać na znane powiedzenie Engelsa, że „teoria to nie dogmat, lecz przewodnik w działaniu”. Mamy też w „zakończeniu” stwierdzenie tego rodzaju:

...niemożliwe jest zwycięstwo rewolucji proletariackiej bez walki i rozgromienia partii drobnomieszczańskich — socjalistów-mieńszewików i eserów-anarchistów i nacjonalistów”; „nie można zbudować socjalizmu, bez rozgromienia kapitulantów, oportunistów wewnątrz partii komunistycznej.

Nie zabrakło myśli i o „koniu trojańskim”, wyrażonej tym razem bez przytoczenia legendy, w słowach: „Twierdząc zdobywa się najłatwiej od wewnątrz”.

Poznanie *Historii* bolszewizmu dać nam może niemały pożytek w poznawaniu ideologii, historii i polityki ruchu bolszewickiego, a wiadomo, że gruntowne poznanie jest podstawowym warunkiem skutecznej walki z groźnym wrogiem naszym — z bolszewizmem.

J. Skaliński.

Prorocstwo św. Andrzeja Boboli.

(1819 — 1919).

I.

Triumfalny powrót ziemskich zwłok św. Andrzeja do Polski na wiosnę zeszłego roku przypomniiał nam jego przepowiednię zmartwychwstania naszej ojczyzny. Zналиśmy ją dobrze przed wojną, i długie lata krzepiła ona nasze serca; znał ją i Zachód, gdzie się nawet wcześniej rozpowszechniła niż w Polsce. Do jakiego stopnia była ona tam znana najlepiej świadczy fakt, że ledwo wybuchła wojna światowa, już w 1915 r., gdy front wschodni daleko jeszcze był od błot pińskich, pisano o niej i we Francji — o. de Brière T. J.¹⁾ i w Anglii — o. Thurston T. J.²⁾

Warto chyba zatrzymać się chwilę nad tym zdarzeniem, które jest na zawsze w naszych sercach związane z osobą świętego męczennika i zapytać się, co sądzić o jego wartości nadprzyrodzonej. Z zapytaniem tym nieraz się spotykamy, a to tym bardziej, że autor najlepszej pracy o św. Andrzeju o. Poplatek T. J., zachował na tym punkcie zupełne milczenie.

Przypomnijmy najpierw, że sprawa ta do zakresu wiary nie należy. Cnotą teologiczną wiary winniśmy uznawać za prawdziwe to wszystko, co Bóg ludzkości objawił i przez Kościół do wierzenia podaje. Ze śmiercią ostatniego z apo-

¹⁾ *Études*, novembre 1915. Patrz także artykuł tegoż autora: *Études*, 5 mai 1938.

²⁾ *The War and the Prophets*. London, 1915. Str. 79—80 (cytowany przez o. de la Brière).

stołów objawienie zostało zamknięte, i jeśli i potem zdarzały się wypadki interwencji Bożej w życiu ludzkim w formie cudów, widzeń, prorocत्व itp., to one przedmiotem wiary w ścisłym tego słowa znaczeniu być nie mogą i Kościół nigdy ich do wierzenia ogółowi, jako prawd wiary, nie podaje. Co trzeba zawsze wierzyć to, że Bóg może i dziś tak jako i dawniej wpływać w sposób nadzwyczajny na bieg spraw ludzkich; ale aby dojść do przekonania, czy to lub owe cudowne zdarzenie jest naprawdę boskiego pochodzenia, a nie tylko płodem podnieconej wyobraźni, koniecznym jest je zbadać zwykłymi metodami, jakimi się nasz umysł posługuje. Gdy więc Kościół zatwierdza wiarogodność tzw. objawień prywatnych, jak np. ma to miejsce odnośnie do Objawień Matki Boskiej w Lourdes, to nie wymaga dla nich wiary teologicznej, a tylko skłania nas do uznania, że roztropność oświecona ogólnymi zasadami wiary, każe nam sądzić, iż mamy tu do czynienia z interwencją Bożą na rzecz biednej ludzkości.

I nasze przeto zagadnienie prorocत्व św. Andrzeja tylko na tej płaszczyźnie może być rozpatrywane. Kościół się w tej sprawie nigdy nie wypowiedział, i kanonizacja bynajmniej zagadnienia tego nie przesądza; każdemu przeto wolno będzie w wyrobieniu sobie zdania o wiarogodności tego, co miało miejsce w celi o. Korzeniewskiego w Wilnie w 1819 r., kierować się własną roztropnością. Idzie tylko o to, aby roztropność ludzka była oświecona wiarą w możliwość interwencji Bożej, a nie odrzucała jej *a priori*.

Zacznijmy od przedstawienia głównych danych zagadnienia, aby później z nich wyciągnąć pewne wnioski. W tym celu musimy zapoznać się z dwoma osobistościami: o. Korzeniewskim, dominikaninem i o. Felkierzambem,¹⁾ jezuitą, i z dwoma zdarzeniami: prorocत्वem w 1819 r. i pierwszym jego ujawnieniem w prasie w 1854 r.

II.

Gdy po opuszczeniu tronu Stanisław August przebywał w 1795/6 r. w Grodnie, zainteresował się on osobą 30-letniego dominikanina, który był w tamtejszym gimnazjum

¹⁾ Felkierzamb, przez z, a nie jak wciąż mylnie piszą Felkierzamb.

profesorem, lub, jak naówczas mówiono, demonstratorem fizyki; miał go podobno odwiedzać w laboratorium i nawet wyróżnić odznaczeniem, a w szczególności radzić się go za namową Trembeckiego w sprawie kierowania balonami. Trembecki był dość niezadowolony z krytycznego stanowiska jakie profesor fizyki zajmował wobec jego pomysłu konstrukcji steru dla balonów i uzyskał, że projekt jego przesłano do Berlina, gdzie ma się rozumieć także nie uzyskał uznania.¹⁾ Poeta z fizykiem nie mogli się dogadać, bo prawa poetyki są inne niżli fizyki.

Otóż tym dominikaninem, demonstratorem fizyki w gimnazjum grodzieńskim, był nie kto inny jak właśnie o. Alojzy Korzeniewski, ur. w 1766 r., a od roku 1782 związany ślubami z zakonem św. Dominika. Pierwsze lata swego życia zakonnego spędził on na nauczaniu fizyki w Grodnie, i w tym celu przełożył na polski język podręcznik fizyki uczonego holenderskiego Haüy. Podręcznik ten doczekał się dwóch wydań w 1802 (?) i 1806 r. i wciągnął tłumacza w polemikę z Janem Śniadeckim.

Po wojnach napoleońskich o. Korzeniewski nie wrócił już zapewne do pracowni fizycznej. W 1817 r., gdy Zakon obchodził sześćsetlecie swego założenia, został on wyznaczony na kaznodzieję jubileuszowego i oddał się całkowicie nauczaniu słowa bożego, czym sobie naraził władze rosyjskie. Wkrótce spotyka go zakaz głoszenia kazań i nawet słuchania spowiedzi i wtedy to w czasie tej przymusowej beczynności ma miejsce w Wilnie widzenie św. Andrzeja. Zapewne w tym czasie, nie mając nic innego do roboty, staje o. Korzeniewski na czele Wileńskiego Zakładu Dobroczynności, któremu się z ogromnym miłosierdziem oddaje: organizuje warsztaty dla ubogich, oddając im na usługi nie tylko swe serce apostołskie, ale i swe wiadomości techniczne.

Zakaz głoszenia kazań na Litwie sprawia, że w 1823 r. przełożeni przenoszą o. Alojzego do Warszawy, gdzie jego

¹⁾ Pisała o tym p. Aleksandra Zasusanka w *Polsce lotniczej* (Warszawa 1937), gdzie jest „facsimile” listu Trembeckiego do króla. Patrz artykuł tejże autorki w publikacji „Ku czci poległym lotnikom” (Warszawa, 1933), str. 7—8.

gorliwości kaznodziejskiej nic nie stoi na przeszkodzie. Zostaje on tam stałym kaznodzieją w kościele św. Jacka, i owo-
cem trzyletniej pracy na ambonie, są cztery tomy kazań
niedzielných i świątecznych wydane w Warszawie w 1826 r.
W Zakończeniu t. IV czytamy zapowiedź innych prac przy-
gotowanych do druku, które jednak nigdy nie zostały
wydane.

W 1826 r. powstała widocznie nadzieja powrotu do
pracy apostołskiej na Litwie, skoro o. Korzeniewski zostaje
wyznaczony jako kaznodzieja jubileuszowy w Trokach
i Grodnie. Ale nadzieje te zawiodły, i oto widzimy go
znowu przez 3 lata kaznodzieją polskim i francuskim i spo-
wiednikiem dla Niemców w Odessie. Rok 1830 spędza na
podobnym stanowisku w Rydze i dopiero w 1831 r. wraca
do Wilna, gdzie umiera 4 lipca 1833 r., zostawiając po so-
bie wspomnienie nie tylko świątobliwego zakonnika i do-
brego kaznodziei, ale i człowieka wielkiego miłosierdzia.
W archiwach wileńskich znalazłoby się niewątpliwie wiele
jeszcze nieznanych o nim wiadomości i byłoby bardzo po-
żądane, aby ktoś nam tę ciekawą postać opracował.¹⁾

III.

Otóż człowiek, którego żywot naszkicowaliśmy w krótkości, był tym, który otrzymał i przekazał nam przepowiednię św. Andrzeja odnośnie do Zmartwychwstania Polski.

Było to w 1819 roku w Wilnie. Wieczorem w swej celi zakonnej, którą do dziś wskazują zwiedzającym klasztor, modlił się on przed pójściem na spoczynek i ze szczególną ufnością zwracał się do św. Andrzeja Boboli, przypominając mu nieznane nam dawniejsze jego obietnice odnoszące się do odrodzenia Polski. Gdy już miał się położyć do łóżka zjawiła

¹⁾ Pominąłem z umysłu w tym krótkim szkicu biograficznym zmagania się o. Alojzego z wolnomularstwem, nie znalazłem bowiem do tego rozdziału jego działalności konkretnych danych. Przypisywanie mu przez o. Snarskiego (*Dzieje Rzymsko Katolickiego Kościoła*, Wilno, 1862, str. 542) dziełka *Stópnie, obrzędy i znaki Wolnych Mularzów...* Wilno 1817, musi być jakimś nieporozumieniem, którego nie zdołałem rozwikłać. Ze Snarskiego też wziął zapewne swą informację Estreicher w Bibliografii XIX w. t. VI (Dodatki), str. 382.

się przed nim jakaś postać w stroju jaki noszą oo. jezuici i powiedziawszy mu kim jest, kazała mu otworzyć okno od celi. Zamiast małego kwadratowego podwórka ujrzał o. Korzeniewski rozległą równinę, a św. Męczennik objaśnił go, że to ziemia Pińska, na której miał on szczęście ponieść męczeństwo za wiarę Chrystusową. Wtedy zmienia się krajobraz, w chwili gdy św. Andrzej mówi: „patrz jeszcze, a zobaczysz to, co chciałeś wiedzieć”. I oto na równinie pińskiej zjawiają się zastępy Rosjan, Turków, Francuzów, Anglików, Austriaków, Prusaków i innych, których o. Korzeniewski nie może rozpoznać, i walczą oni z zawziętością nieznaną w dawniejszych wojnach, a św. Andrzej tymczasem mówi: „Gdy wojna, której masz obraz przed sobą zakończy się pokojem, Polska zostanie odbudowana i ja zostanę uznany jej głównym patronem”. Na zapytanie dominikanina, skąd ma mieć pewność, że widzenie pochodzi z nieba, a nie jest grą jego wyobraźni lub snem, święty mu odpowiada: „Daję ci na to moją rękę i zostawiam ci jej odbicie na twym stoliku”. W samej rzeczy na stoliku widoczne było odbicie prawej ręki, które jeszcze nazajutrz ojcowie klasztoru wileńskiego oglądali. Wkrótce też powiadomiono listownie o cudownym zdarzeniu i inne klasztory prowincji.

Tak się przedstawia w skróceniu znane nam dostatecznie opowiadanie o prorocztwie św. Andrzeja. Nie upłynęło zapewne wiele czasu nim wiadomość o nim dostała się do Połocka, gdzie od jedenastu lat spoczywało ciało św. męczennika, przewiezione tam nie bez trudności z Pińska.

Połock w tym czasie był siedzibą władz naczelných Towarzystwa Jezusowego, ale w tej siedzibie było bardzo smutno. Po okresie bardzo intensywnej pracy apostolskiej, która i na inteligencję rosyjską zaczęła silny wpływ wywierać, przyszła silna reakcja, zarówno ze strony duchowieństwa prawosławnego jak wolnomularstwa, i działalność Towarzystwa była coraz więcej krępowana. Jenerał o. Brzozowski już w 1815 r. zmuszony był przenieść się z Petersburga do Połocka, i dla nikogo tajnym nie było, że rząd rosyjski czeka tylko na jego śmierć, aby wydać oo. Jezuitów z granic państwa. Tak się też i stało w 1820 r., w rok po

opisanym przez nas pojawieniu się św. Andrzeja o. Korzeniewskiemu w Wilnie.

Łatwo sobie przeto wyobrazić jaką radość musiała wywołać w Wielkim Kolegium Połockim wiadomość, która wkrótce dotrzeć musiała i do Dominikanów połockich o widzeniu i proroctwie wileńskim. Już w Pińsku mieli Dominikanie, jak opowiada o. Załęski, pomagać w wywiezieniu ciała św. męczennika, a w Połocku stosunki między dwoma zakonami były jak najserdeczniejsze. Przeorem był tam naówczas, i to już przeszło od 20 lat, o. Dominik Ciszewski, o którym kronikarz, we wspomnieniu pośmiertnym dwukrotnie wzmiankuje, że był w szczególny sposób oddany Towarzystwu Jezusowemu (*inclitae Societati Jesu addictissimus*); dodaje on, mówiąc o jego śmierci w 1820 r., iż lepiej się stało, że nie dożył wypędzenia jezuitów, gdyż byłby to zbyt przeboleł. Przywiązanie to było dowodem szczerzej wdzięczności za wiele dobrodziejstw, jakie bardzo zamożne na gruncie Połocka, Towarzystwo Jezusowe świadczyło bardzo ubogiemu klasztorowi oo. dominikanów, często w ostatnich czasach nawiedzanemu przez pożary. Kronika wymienia nam jako tych, którzy w szczególny sposób przychodzili z pomocą o. Ciszewskiemu i dominikanom połockim, kolejnych superiorów Wielkiego Kolegium: oo. Wicherta, Lustyga i Landeza, dobrze nam znanych z dzieł o. Załęskiego. Opatrzność Boża używała ich zacnych serc, aby św. Andrzejowi przygotować miejsce spoczynku, gdy ich już zabraknie w Połocku. Wiadomo bowiem, że w 1830 r., gdy kościół oo. jezuitów został przez rząd rosyjski zabrany, zwłoki świętego zostały przeniesione do kościoła oo. dominikanów, w którym spoczywały aż do wielkiej wojny. Do 1864 r. opiekę nad nimi mieli dominikanie, potem po kasacie ich klasztoru, duchowieństwo świeckie, któremu oddano kościół po-dominikański jako parafialny.

Łatwo więc zrozumieć, że wiadomość o widzeniu, która zelektryzowała dominikanów wileńskich, wkrótce przebyła przestrzeń dzielącą Wilno od Połocka. Sam o. Korzeniewski musiał już od 1802 r., kiedy drukował w Połocku swą fizykę, mieć z tamtejszym kolegium jezuickim bliższe stosunki, a i później, gdy jako kaznodzieja jubileuszowy objeż-

dział Litwę, niewątpliwie nieraz w nim bywał; późniejsza przeto wiadomość o jego serdecznych stosunkach z jezuitami połockimi jest zupełnie wiarogodna. A jednak nie ma żadnych danych do podtrzymania twierdzenia, że on sam przybył do Połocka i że z jego ust jezuita połocki usłyszeł opowieść o cudownym widzeniu. Z późniejszych ich opowiadań wynika, że znali go osobiście, ale zapewne przed widzeniem, natomiast w krótkim okresie czasu, jaki to ostatnie dzielił od ich wywiezienia z Białorusi, nie musieli go już spotkać i nie powołują się na jego własne słowa. Pośrednikiem musiał tu być przeor połocki, o. Dominik Ciszewski, dla którego wielką radością być musiało przybiec na grób świętego męczennika i przynieść jego stroskanym braciom zakonnym słowa pociechy i otuchy.

IV.

Nim przejdziemy teraz do chwili kiedy widzenie o Korzeniewskiego zostało po raz pierwszy podane do publicznej wiadomości w druku, a mianowicie do 1854 r., zapytajmy się dlaczego nie posiadamy dawniejszych o nim dokumentów, czy w ogóle można mieć nadzieję, że się one jeszcze znajdują i jaką miałyby dla nas wartość.

Ma się rozumieć, że poszukiwania robić można i należy, ale osobiście przekonany jestem, że nie dadzą one wielkich rezultatów i nawet uważam, że, gdyby się coś z dawniejszą datą znalazło, dla sprawy wiarogodności proroctwa, nie miałyby ono wielkiego znaczenia.

W okresie jaki nas zajmuje z pisanem trzeba było być bardzo ostrożnym, i w Wilnie, szczególnie u dominikanów, wiedzano o tym doskonale, doświadczwszy nieraz na własnej skórze następstw nieoględnego zapisywania tego, co należało trzymać w ukryciu. Toteż kroniki tamtych czasów, nauczone doświadczeniem, są bardzo ostrożne. Tak np. wzmianka biograficzna o o. Korzeniewskim nic nie wspomina o prześladowaniu, jakiego był przedmiotem ze strony Moskali, i tylko między liniami można się go w niej domyślić, gdy, wspomniawszy, że w 1826 r. został wyznaczony na kaznodzieję jubileuszowego na Litwie, zaraz potem bez żadnych wyjaśnień pisze, że w tymże roku posłano go do Odessy,

gdzie trzy lata spędził. O tym przeto, aby jakąkolwiek wzmiankę o przepowiedni wskrzeszenia Polski znaleźć w kronikach, które mogły się łatwo dostać do rąk żandarmów, nie ma co myśleć i to zarówno u dominikanów jak i u jezuitów, którym w każdej chwili groziło wypędzenie. Można by przeto myśleć o listach lub czysto prywatnych zapiskach, ale tych nie przechowywano w archiwach zakonnych i trzeba by czystego przypadku, aby się do naszego czasu coś tego rodzaju zachowało w jakichś archiwach rodzinnych lub korespondencjach z tamtych czasów.

Do tych względów politycznych dochodzą jeszcze inne może ważniejsze względy psychologiczne. Nie zapominajmy, że dla nas, cośmy doczekali zmartwychwstania Polski w okolicznościach przepowiedzianych przez św. Andrzeja, tj. na skutek zaciętych walk sześciu narodów w dorzeczu Prypeci, proroctwo jego przedstawia się zupełnie inaczej niż dla poprzednich pokoleń, szczególnie dla tych, które nie czciły go na ołtarzach jako błogosławionego. Proroctwo zawsze inaczej wygląda po spełnieniu się niż przed, i jeśli jest wielu takich, którzy chętnie i zbyt łatwowiernie we wszystkie podobne widzenia i przepowiednie wierzą, to nie brak i roztropniejszych, którzy zawieszają swój sąd i czekają na urzeczywistnienie. Sądzę, że takie właśnie stanowisko zajęli wobec widzenia wileńskiego i o. Korzeniewski i oo. jezuici połoccy. Podniosło ich ono na duchu, pocieszyło, ale nie wywołało w nich mocnego przekonania o jego pochodzeniu od Boga, pomimo znaku zostawionego przez św. Andrzeja, wiedzieli oni bowiem dobrze ile w tej dziedzinie może być złudzeń i jak łatwo nawet wszelkie znaki mogą być podrobione przez wroga dusz ludzkich.

Sądzę więc, że ani dominikanie w Wilnie, ani jezuici w Połocku lub później na wygnaniu nic nie zapisali z opowiadania o. Korzeniewskiego. Powtarzano je sobie kiwając głowami; jedni gotowi byli uwierzyć, inni powątpiewali, a wszyscy mówili sobie: zobaczymy, co się z tego sprawdzi. Ten nastrój umysłów daje się jeszcze wyczuć u o. Kajsiewicza nawet po beatyfikacji.

Tymczasem smutna rzeczywistość powoli coraz bardziej zadawała kłam wszelkiej nadziei na poprawę warunków bytu

narodowego. Procesy wileńskie, wstąpienie na tron Mikołaja I w zgiełku powstania dekabrystów, rewolucja 30/31 roku i dalsze próby zawsze zawodzące konspiracji w latach trzydziestych i czterdziestych, wszystko to świadczyło, że wrogie nam siły nie tylko nie słabną, ale się wzmagają i że przepowiednie św. Andrzeja, jeśli nawet pochodziły z nieba, należy odłożyć do jakiejś dalekiej przyszłości. Wspomnienie o nich powoli zacierało się w pamięci tych, którzy coś zasłyszeli o nich, tym bardziej, że z biegiem lat i ci nieliczni, którzy bezpośrednio od o. Korzeniewskiego o nich wiedzieli, jeden po drugim przechodzili do wieczności.

Jeśli więc zaraz po cudownym zdarzeniu nikt nie uważał za stosowne zapisać naszego prorocтва w mniej lub więcej oficjalnej formie, to tym bardziej z biegiem lat, w miarę jak urzeczywistnienie przepowiedni wydawało się coraz mniej prawdopodobnym, nie można się spodziewać, aby komu przyszło na myśl utrwalić je na piśmie.

Zresztą nawet gdybyśmy zczasem i znaleźli jakiś wcześniejszy zapiszek, to doprawdy nie widzę, w czymby to miało zmienić nasz sąd o wiarygodności opowiadanych faktów. Niechbyśmy odkryli kiedyś jakieś dawniejsze opowiadanie bliższe 1819 r., to czyż byłoby to dla nas większą gwarancją, że o. Korzeniewski nie uległ złudzeniu? A nawet jego opowiadanie własnoręcznie przez niego zapisane, czyżby nam taką gwarancję dawało? Zapewne, że dawałoby gwarancję co do przebiegu samego zdarzenia, które przechodząc przez tyle ust mogło ulec przeinaczeniu, ale to dotyczy tylko drugorzędnych szczegółów. Zapowiedź zmartwychwstania Polski w pewnych określonych okolicznościach nie została przeinaczona, i równo w sto lat po tym sprawdziła się. To urzeczywistnienie się prorocтва jest dla nas najlepszą gwarancją jego wiarygodności.

V.

Pamięć tedy o widzeniu o. Korzeniewskiego powoli musiała się zacierać zarówno wśród dominikanów, coraz bardziej prześladowanych przez Moskali i w r. 1844 wypędzonych z Wilna, jak i wśród jezuitów wygnanych z Białorusi, gdy oto w 1853 r. miały miejsce dwa doniosłe zdarze-

nia; nie mogły one nie przypomnieć zajmującego nas proroctwa tym wszystkim, którzy o nim słyszeli, w szczególności zaś jezuitom, którzy 34 lat przedtem byli świadkami jak po raz pierwszy opowiadano je w Wielkim Kolegium w Połocku.

Mianowicie już od wiosny tego roku nad Europą zaczynają się gromadzić ciężkie chmury zawieruchy wojennej, i w lipcu wojska rosyjskie wkraczają w granice państwa otomańskiego. Jasnym jest jednocześnie dla wszystkich, że konflikt nie da się ograniczyć do tych dwóch mocarstw: oto floty Francji i Anglii krążą koło Dardanelów i w marcu następnego roku oba te państwa przyłączają się do Turcji. Kto znał przepowiednie św. Andrzeja musiał zapytać się sam siebie: może to już początek tej wojny, która nam przyniesie niepodległość? Wprawdzie od błot pińskich było jeszcze daleko, ale z sześciu wymienionych w proroctwie państw już cztery były w otwartej wojnie, a tamte dwa Austria i Prusy też zaczynały się niepokoić, wymuszając nawet w lecie 1854 r. na Rosji wycofanie wojsk z nad Dunaju. Cóż dziwnego wobec tego, że w środowiskach znających przepowiednię św. Andrzeja zaczęto znowu o nich mówić.

A jednak nie sędzę, aby to była główna i właściwa racja, która sprawiła, że właśnie w tym czasie pojawiają się pierwsze wiadomości w druku o widzeniu o. Korzeniewskiego. Sama wojna krymska nie byłaby może tego wywołała, i oo. Thurston i de la Brière, słusznie wskazując na wpływ sytuacji politycznej w 1853/4 r., nie zwrócili uwagi na inne zdarzenie, które nierównie silniej musiało podziałać na opublikowanie nieznanego dotąd ogółowi opowiadania: była nim beatyfikacja św. Andrzeja, której dokonał 30 października w bazylice św. Piotra Pius IX. Dopiero połączenie tych zdarzeń, wojny krymskiej i beatyfikacji świętego Męczennika poleskiego daje nam jasne wytłumaczenie dlaczego widzenie o. Korzeniewskiego, dotąd nikomu niemal nieznanie raptem zostaje ujawnione i to najpierw za granicą we Włoszech i Francji, skąd dopiero po roku dostaje się do pism polskich.

Z chwilą beatyfikacji stanowisko św. Andrzeja w Kościele zmieniało się radykalnie, i wszystko co się do niego

odnosiło nabierało od razu innej wagi. Kościół, stawiając go na ołtarzach gwarantował jego świętość i charakter męczeński jego śmierci, a jednocześnie gwarantował też i moc jego wstawiennictwa pośmiertnego, przynajmniej w odniesieniu do tych kilku cudów, które uznano jako wystarczające do beatyfikacji. Ma się rozumieć, że Kościół nie zatwierdzał tym samym autentyczności wszystkich innych łask, jakie wierni wstawiennictwu św. Andrzeja przypisywali, bo nie miał możliwości ich zbadać, ale i one pomimo tego nabierały większej powagi przez to, że Kościół wyniósł go na ołtarze i zachęcał, aby się do jego wstawiennictwa uciekać.

I przepowiednia dotycząca przyszłości naszej ojczyzny musiała przeto w oczach tych, co ją znali bardzo przybrać na wadze, i gdy z okazji uroczystości beatyfikacyjnych imię św. Andrzeja było na ustach wszystkich, zaczęto opowiadać wokoło siebie, co to się zdarzyło w celi dominikańskiej w Wilnie w przededniu wypędzenia zakonników z Białorusi: tą drogą wiadomość z czasem dostała się do prasy.

Dodajmy jeszcze, że sama beatyfikacja była już pewnym zwycięstwem św. Andrzeja nad potęgą moskiewską. Wiadomo jakie zabiegi czynił Petersburg, aby do niej nie dopuścić.¹⁾ Pius IX, który niedawno był nawiązał lepsze stosunki z Mikołajem I, musiał głęboko rozważyć, czy można je narażać, a z nimi i życie religijne milionów katolików w cesarstwie rosyjskim dla tak drugorzędnej na pozór sprawy jak beatyfikacja jakiegoś męczennika z przed dwóch wieków. Jednak wyższe względy nadprzyrodzone przeważyły szale: łaski Boże udzielane za wstawiennictwem św. Andrzeja były zbyt wyraźne, i Pius IX uznał, że jeśliby nawet jego beatyfikacja miała wywołać jakieś represje, które by zresztą i dla byle jakiej innej przyczyny przyjść mogły, to zostaną one stokrotnie wynagrodzone łaskami w dziedzinie nadprzyrodzonej i tym podniesieniem na duchu narodu polskiego,

¹⁾ Przeor oo. dominikanów połockich, który w 1851 r. przesłał do Rzymu prywatną drogą relację o stanie zachowania ciała św. Andrzeja, po wydrukowaniu jej w aktach procesu został zaraz uwięziony. Patrz u o. Kajsiewiczza, *Pisma* t. II. Berlin, 1870, str. 494.

które beatyfikacja sprowadzi. Św. Andrzej przemógł Mikołaja, mówiono sobie, ufajmy, że i to co Polsce przepowiedział kiedyś się sprawdzi.

VI.

W warunkach jakie opisaliśmy wystarczyło, aby opowiadanie podawane sobie z ust do ust przez uczestników beatyfikacji św. Andrzeja w Rzymie doszło do uszu jakiegoś dziennikarza, publicysty czy w ogóle pisarza, umięającego wyzyskać to co mu ludzie opowiadają, a można było być pewnym, że wkrótce dostanie się ono do prasy.

Tym człowiekiem, który pierwszy podał je do wiadomości ogólnej był nie byle kto, ale jeden z wybitniejszych filozofów Towarzystwa Jezusowego w XIX w., współzałożyciel przed kilku laty sławnej *Civiltà Cattolica*, o. Ludwik Taparelli d'Azeglio ¹⁾, autor słynnego dzieła o filozofii prawa, które do dziś dnia nie straciło swej wartości. Pracował on właśnie nad serią artykułów o toczącej się na wschodzie wojnie, i tam to po raz pierwszy w numerze lipcowym 1854 r. ukazało się w druku zajmujące nas opowiadanie. Pisząc je, o. Taparelli miał niewątpliwie przed oczami jakąś notatkę czy relację, z której przytacza w cudzysłowie ustępy; mówi on tam jednocześnie, co jest bardzo doniosłe, że opowiadanie to słyszał z ust osoby, która знаła osobiście zakonnika, któremu przepowiednia była uczyniona.²⁾

Nie może być wątpliwości, że opowiadającym był ktoś z jezuitów białoruskich, których pewne grono brało udział w beatyfikacji swego rodaka. Czy był nim o. Grzegorz Felkierzamb, któremu bez wątpienia zawdzięczamy drugą z kolei relację wydrukowaną w jesieni tegoż roku we Francji, trudno na razie orzec. Między dwoma opowiadaniem są pewne różnice (bynajmniej nie sprzeczności) zresztą tylko w drobnych szczegółach nie tyczących samej przepowiedni. Możliwym jest, że o. Felkierzamb dwa razy spisał swe

¹⁾ Wiadomości tej podobnie jak i niektórych danych o o. Felkierzambie udzielił mi łaskawie o. Lasoń T. J. z Rzymu. Ostatnio jeszcze Pius XI polecił ponownie dzieło o. Taparelli o prawie przyrodzonym.

²⁾ *...affestata a noi da persona che conobbe il religioso a cui dicesi fatto il vaticinio...*

wspomnienia w tej sprawie, podając w jednej relacji szczegóły, których nie podał w drugiej.¹⁾

W kilka miesięcy po ukazaniu się pierwszej wzmianki o przepowiedni św. Andrzeja w artykule o. Taparelli d'Azeglio w *Civiltà Cattolica*, wychodząca w Besançon *Union franco-Comtoise* w nrze 139 z 4 października pomieszcza drugą relację tego samego zdarzenia, podając jednak tym razem nazwisko tego, od kogo je otrzymała: jest nim o. Grzegorz Felkierzamb. Wypadnie się z nim teraz zapoznać, gdyż on jest jedynym, znanym nam z nazwiska pośrednikiem w przekazaniu potomności zajmującego nas opowiadania.

O. Grzegorz Felkierzamb pochodził z rodziny saskiej, która, póki mieszkała pod Hildesheimem, zwała się von Völkersen. Osiadłszy najpierw w Inflantach, przenieśli się Felkierzambowie później na Litwę i nawet do Korony, gdzie jeden z nich za czasów Sobieskiego, dowódca prawego skrzydła pod Wiedniem, posiadał dobra i fundował trynitarzom ich klasztor w Warszawie na Solcu. W Polsce nazwisko ich przekształcone zostało na Felkierzam a później Felkierzamb, i można je znaleźć we wszystkich dziełach heraldycznych ostatniej doby.

Nasz o. Grzegorz urodził się 1792 r., do Towarzystwa Jezusowego wstąpił w 1809 r., a w 1827 r. złożył profesję czterech ślubów. W roku 1919 był on już kapłanem na drugim roku teologii, a jednocześnie pomocnikiem bibliotekarza. Umarł w Bordeaux w 1866 r.

W latach 1853 i 1854 o. Grzegorz należał do prowincji Turyńskiej swego zakonu, której był konsultorem (nie zaś prowincjałem), a że rząd piemoncki wypędził był wtedy z granic państwa oo. jezuitów, więc i o. Felkierzamb musiał szukać schronienia w sąsiedniej Francji, gdzie przez jakiś czas udzielił mu gościny hr. de l'Escarène w Marsylii. Trudno przypuszczać, aby o. Felkierzamba nie było w Rzymie na beatyfikacji św. Andrzeja. Osobiście byłbym raczej skłonny w nim właśnie widzieć owego informatora, od

¹⁾ Pierwsza relacja jest znacznie krótsza od drugiej, zawiera jednak ona szczegóły, którego w drugiej brakuje, a mianowicie wiadomość, że o cudownym zdarzeniu w celi wileńskiego klasztoru napisano do innych ojców w prowincji: *E ad altri ancora ne fu scritto...*

którego już o. Taparelli d'Azeglio otrzymał pierwsze wiadomości o przepowiedni. Po uroczystościach beatyfikacyjnych udał się zapewne do Marsylii i po drodze w Nizy, która wtedy nie należała jeszcze do Francji, ale do Piemontu, napisał swą relację dla *Union Franc-Comtoise* w Besançon, której oryginał znajduje się, jak pisze o. de la Brière, w archiwum prowincji lyońskiej Towarzystwa Jezusowego. Relacja ta datowana z Nizy dnia 13 kwietnia 1854 r. i napisana po włosku, w pół roku po tym ukazała się w przekładzie francuskim w Besançon, a w roku następnym, tj. 1855 r., już z francuskiego przełożył ją na język polski *Przegląd Poznański*. Odtąd powoli rozchodzi się po całej Polsce, przedrukowywana w różnych wydawnictwach, w miarę jak warunki nakładane przez cenzurę państw zaborczych na to pozwalają.

Potwierdzenie tych pierwszych wiadomości o przepowiedni św. Andrzeja znajdujemy w 16 lat później i u o. Kajsiewicza, który także opowiada, że słyszał o niej od oo. jezuitów wygnanych z Rosji.¹⁾ Stanowisko zajęte przez niego w tej sprawie bardzo jest charakterystyczne, świadczy bowiem z jaką rezerwą odnosił się on do omawianego prorocctwa i jak obawiał się przedwczesnego rozgłoszenia go wśród rodaków. W swym żywocie św. Andrzeja, wydanym w r. 1854 z racji beatyfikacji pod pseudonimem ks. Ambrożego Świętomiana, nie wspomniał on nic o cudownym widzeniu. Dopiero opracowując w 15 lat później po raz drugi swój żywot św. Andrzeja, przeznaczony do zbiorowego wydania dzieł w Berlinie, pomieścił wzmiankę o jego prorocctwie: „Wypadek ten, pisze on, słyszałem opowiadany przez kilku oo. jezuitów wygnanych z Rosji i z pamięci go po raz pierwszy podaję”. Pamięć go jednak zawiodła w szczegółach, bo samo zdarzenie pomieścił w Pińsku i nazwiska dominikanina nie mógł sobie też przypomnieć, podając w nawiasie: „Zdaje mi się o. Falkowski”. Po opowiedzeniu samego widzenia w bardzo skróconej formie, pisze on dalej: „Wypadek ten przytoczyli niektórzy pisarze zagraniczni (mianowicie z Towarzystwa Jezusowego); myśmy zaniechali, aby nie obudzać w rodakach naszych przedwczesnych na-

¹⁾ *Pisma*, o. Kajsiewicz. Berlin 1870 t. II, str. 490.

dziei, które wojna wschodnia aż nadto i tak obudzała. Obżęnie przytaczamy to widzenie, wszakże zwracamy uwagę, że ani walki zbrojnej na polach pińskich nie było i cześć błogosławionego nie jest jeszcze rozszerzoną, bo dotychczas ograniczoną jest do Towarzystwa Jezusowego i niektórych diecezji“.

Warto byłoby bardzo przeszukać archiwa Towarzystwa Jezusowego w Rzymie, Turynie, Lyonie i innych miastach, i odnaleźć jacy ojcowie białoruscy znajdowali się w tych prowincjach i którzy z nich byli obecni na beatyfikacji w Rzymie. Możeby się dało znaleźć jeszcze trochę szczegółów, które by rzuciły nieco więcej światła na ujawnienie zajmującego nas proroctwa.

VII.

Już jednak z tego cośmy dotąd zdołali zebrać, wolno nam wyciągnąć pewne wnioski.

Ten, który otrzymał od św. Andrzeja przepowiednię zmartwychwstania Polski, przedstawia nam się z tego, co o nim wiedzieć możemy, jako człowiek ze wszechmiar zasługujący na zaufanie. Jako długoletni profesor fizyki, musiał on nabyć tej skłonności umysłu, aby się byle pozorami zjawisk nie zadowalniać, ale szukać ich uzasadnienia i głębszego wyjaśnienia, a jako teolog, kaznodzieja i kierownik dusz był niemniej przekonany o tym, że Bóg może przez świętych interweniować w naszych sprawach doczesnych, jak i o tym, że tego rodzaju zjawiska są trudne do rozpoznania i że zawsze z pewną rezerwą należy się do nich odnosić. Nie można wątpić, że sam on był przekonany o nadprzyrodzonym charakterze pojawienia się św. Andrzeja, skoro opowiedział o nim swym współbraciom, a jednak nie uważał za właściwe zbyt go rozgłaszać i to zarówno ze względów na sytuację polityczną, jak i ze względów zasadniczych, ze względów na tę rezerwę, którą w tego rodzaju sprawach interwencji Bożej, zawsze należy zachowywać. Milczenie, które otacza wileńską przepowiednię w ciągu pierwszych trzydziestu pięciu lat z tego punktu widzenia rozważane raczej nas powinno do niej przychylnie usposabiać: świadczy ono, że ci, do których wiadomości ona doszła, aczkolwiek skła-

niali się do przyjęcia jej prawdziwości, nie przejmowali się nią zbytnio i pozostawiali Opatrzności Bożej zdecydowanie, kiedy ma być ogólnie ujawniona. Takie postępowanie odpowiada starym tradycjom Kościoła, opartym na odwiecznym doświadczeniu: rezerwa w przyjmowaniu zdarzeń nadprzyrodzonych i nie rozgłaszanie ich przedwcześnie, ale wyczekiwanie aż Opatrzność Boża sama do tego zachęci.

W naszym zażądaniu moment wyjawienia spraw Bożych przyszedł wtedy, gdy św. Andrzej doczekał się honorów beatyfikacji, i tu znowu ten lub też ci, którzy nam pierwsi zaczęli opowiadać o tym, co się stało w celi dominikańskiego klasztoru w Wilnie, całkowicie zasługują na nasze zaufanie. Jeden tylko z jezuitów białoruskich jest nam w tej sprawie znany z nazwiska, mianowicie o. Grzegorz Felkierzamb, i choć mniej stosunkowo o nim wiemy niż o o. Korzeniewskim, nie mamy żadnej racji przypuszczać aby coś istotnego w usłyszonym za młodych lat w Połocku opowiadaniu chciał zmienić. Jako 62-letni człowiek mógł o. Felkierzamb doskonale pamiętać to, co jako młody 27-letni zakonnik słyszał przed 35 laty, i jeśli nawet pewne szczegóły nieco inaczej przedstawił, pominął lub uzupełnił, istotną treść opowiadania dotyczącą prorocstwa św. Andrzeja niewątpliwie oddał dokładnie, bo ona najsilniej w pamięci jego jak i w pamięci żyjących jego współbraci zakonnych z Białorusi utkwiała.¹⁾

Nie wolno nam też lekceważyć dodatkowej gwarancji wiarygodności naszego opowiadania jaką nam dają takie nazwiska jak: o. Taparelli d'Azeglio i o. Kajsiewicz. Zetknęli się oni osobiście z jezuitami białoruskimi i z ich ust usłyszeli relację o tym, co sami oni słyszeli w Połocku. Obaj

¹⁾ Powątpiewanie o wiarygodności opowiadania o. Felkierzamb tylko na tej podstawie, że w nazwisku o. Alojzego końcówkę -wski zamienił na -cki, jest zupełnie nieuzasadnione. Najpierw oba te nazwiska istnieją, i o. Felkierzamb mógł je łatwo po 35 latach z sobą pomieszać, a to tym bardziej że za młodych lat mógł nieraz miewać w ręku jakieś kazania ks. Korzenieckiego. Nie jest zresztą wykluczone, że pomyłka zaszła dopiero w Besançon przy składaniu artykułu. Kto nosi nazwisko kończące się na -cki lub -wski wie dobrze jak często, szczególnie we Francji, podobne pomyłki się zdarzają.

oni byli ludźmi wielkiego doświadczenia życiowego i jeśli nie zawahali się opowiadać dalej usłyszanej relacji i nawet podać ją, jak to Taparelli d'Azeglio pierwszy uczynił do wiadomości publicznej, to widać, że to, co usłyszeli z ust jezuitów białoruskich miało, w ich oczach wszelkie cechy wiarygodności.

Ponad wszystkie te motywy, faktem, który najbardziej przemawia za nadprzyrodzonym charakterem proroctwa św. Andrzeja, jest jego sprawdzenie się równo w sto lat potem i to w przepowiedzianym przez niego porządku: najpierw wielkie zmaganie się ludów na błotach pińskich, potem pokój i wskreszenie Polski, na koniec wreszcie kanonizacja.

Nie ma tedy żadnej racji, abyśmy z wieńca chwały otaczającej skroń świętego męczennika polskiego mieli usuwać to podniesienie na duchu, które ostatnie pokolenia w okresie porozbiorowym czerpały z jego proroczych słów. Możliwości tego rodzaju interwencji Bożej odrzucać nam nie wolno, a wiarygodność samego zdarzenia i przekazanie go następnym pokoleniom nie przedstawia żadnych szczególnych trudności. Wolno nam więc z głęboką wdzięcznością dla Boga czcić w św. Andrzeju szczególnego patrona naszej ojczyzny, tego, którego Opatrzność Boża użyła jako narzędzie, aby w najcięższym okresie naszych nieszczęść narodowych utrzymać w nas ufność w lepszą przyszłość i pomóc wytrwać w niej aż do chwili, gdy wielki konflikt dziejowy zerwie z nas więzy niewoli. Wolno nam i dziś ufać w moc jego wstawiennictwa w niebie i w szczególną opiekę jaką roztacza nad Polską. Po dwudziestu latach bytu niepodległego widzi ona coraz cięższe chmury zbierające się na horyzoncie jej dziejów, i najgroźniejsze z nich są może te same, które przed trzema wiekami wywołały ową straszną burzę, w której zginął św. Andrzej, ofiarując swe życie za Kościół. I dziś przeto winniśmy mieć nadzieję, że rozstrzygnięcie palących zagadnień naszych kresów nie obejdzie się bez jego interwencji przed tronem Najwyższego.

O. Jacek Woroniecki O. P.

Struktura wewnętrzna katolickiej ideologii wychowawczej.

I. Metodologia badań ideologii.

a) Trudności zasadnicze.

Zagadnienia ideologiczne należą niewątpliwie do najtrudniejszych dla badacza obiektów. Leży to już w samej ich naturze jako zjawiska, które przejawia się w poszczególnych świadomościach ludzkich, a czasem bardziej jeszcze w głębinach podświadomości jako nieuchwytna dyspozycja. To, co zostaje jako ślad obiektywny w postaci publikacji i form życia społecznego, nie daje nam nigdy bezpośrednio obrazu jakiejś racjonalnej całości. Znalezienie jakichś cech wspólnych tak niezdefiniowanego zjawiska zdawać się może zrazu rzeczą beznadziejną, o ile nie chce się mnożyć ilości wprowadzając racjonalnych, ale oderwanych od życia konstrukcyj apriorycznych.

Obok nieuchwytności samego obiektu, występuje tu druga cecha zasadnicza, niemniej istotna: Ideologie są jako takie z natury swej tematem najbardziej emocjonalnie zabarwionym; jako systemy aksjologiczne zawierają one zawsze i takie wartości, które istnieją również w umyśle badacza (jako czynnik pozytywny lub negatywny), a przynajmniej mają w jego systemie aksjologicznym swoje analogie. Nawet analizując jakieś ideologie antyczne czy egzotyczne znajdziemy w nich normalnie pewne wartości, które będą i dla nas miały swe znaczenie i zabarwienie uczuciowe. To też zupełny obiektywizm jest tu postulatem nieosiągalnym;

dla jego osiągnięcia trzeba by żądać, by badacz ze swej umysłowości wyłączył nie tylko wszystko to, co ma jakąś wartość, ale i dyspozycje do reagowania emocjonalnego. Musiałby on w tym celu zamienić się w jakiś automat myślący, coś w rodzaju mechanicznego liczydła o jakim marzą niektórzy nasi zwolennicy „ściśłego myślenia“. Wątpimy jednak, czy tego rodzaju maszyna mogłaby dać jakieś poznanie rzeczywiście nowe, odnoszące się do świata realnego, a nie do pustych pojęć.

b) Błędy dawnych badań.

Powyższe dwie najistotniejsze trudności tłumaczą nam w dużej mierze błędy dawniejszych badaczy zagadnień ideologicznych.¹⁾

Pierwszy błąd zasadniczy, wspólny wszystkim kierunkom, polegał na tym, że nie próbowano samej ideologii jako zjawiska kulturalno - społecznego bliżej określić, ani też zbadać, czy nie posiada ona jakich stałych składników. Oczywiście, że bez analitycznego opisu jakiegoś zjawiska nie można jego roli społecznej obiektywnie określić. Tymczasem badania te zaczęły się właśnie od określania roli ideologii bez poznania jej istoty. Gorzej jeszcze — i tu zaczyna się drugi błąd podstawowy, że rolę tę od początku określano w sposób wartościujący.

Był to „grzech pierworodny“ tych, którzy skądinąd mają zasługę pierwszego rozpoczęcia tych badań — mianowicie materialistów dziejowych.

Dla materializmu dziejowego wszelkie ideologie były przejawem i zarazem zamaskowaniem interesów klasowych. Skrajne kierunki — jak wiadomo — uważały nawet religię za pośrednio lub bezpośrednio zależną od sposobów wytwarzania społecznego (z nowszych szczególnie Bucharin).

Materializm jest doktryną, która z góry wyklucza to, co się z jej zasadami nie godzi, a fakty niewygodne próbuje przemilczeć lub odpowiednio tłumaczyć, co wobec płynności obiektu badań nie natrafia na większe trudności.

W miarę dalszego postępu refleksji, zaczął się jednak w samym obozie materialistów bunt przeciwko jego wewnętrznym

¹⁾ Szczegółową analizę dotychczasowego dorobku w tej dziedzinie dajemy w przygotowującej się do druku książce na temat ideologii.

niekonsekwencjom — a więc najpierw przeciwko niezgodności między determinizmem a dążeniem do wychowania bohaterów rewolucyjnych (Abramowski, Sorel, Brzozowski), a dalej przeciwko niemożliwościom myślowym materializmu filozoficznego (Maks Adler) — i wreszcie przeciwko całokształtowi marksizmu (De Man).¹⁾ Pozostało jednak po materializmie to nastawienie „demaskujące“, które zaważyło decydująco na teoriach Vilfreda Pareto,²⁾ i później Karola Mannheim,³⁾ głównych teoretyków tego zagadnienia. Pareto wprawdzie zerwał z szukaniem przyczyn czysto gospodarczych, ale znalazł inną niemniej „realistyczną“ i „demaskującą“ interpretację wszelkich ideologii, uznając je za „derywację“ czyli mniej lub więcej obłudne, racjonalne lub moralne uzasadnienie jakiejś działalności, której rzeczywistym motorem są irracjonalne, nieświadome popędy.

Popędy, o które tu chodzi, to przede wszystkim dążenia do władzy jakiejś nowej, tworzącej się elity, która chce swoje aspiracje uzasadnić, przy czym warunkiem powodzenia jest cynizm przewódców, nie wierzących we własne hasła, które jedynie rozbijają przeciwników, a porywają wyznawców.

Mannheim idzie dalej po linii „demaskowania“, akcentuje przy tym, że chodzi tu o świadome kłamstwa i stawia nauce o ideologiach za cel demaskowanie tych kłamstw.⁴⁾ Z drugiej strony jednak tak nazwany przez niego relacjonizm uznaje, że ze związania jakiejś tezy światopoglądowej z bytem (czyli jej zależności od interesów), nie wynika jeszcze jej błędność. To właśnie różni relacjonizm od relatywizmu. Mannheim daje bardzo ciekawą klasyfikację możliwości podejścia naukowego do ideologii, ale samego zjawiska nie rozkłada na składniki, nie wykrywa w nim jego struktury myślowej i w rezultacie wikła się w nie-szczęśliwej koncepcji utopijności.⁵⁾

c) Założenia metodologiczne redukcjonizmu strukturalnego.

Pragnąc posunąć się w granicach możliwości jak najdalej na drodze do obiektywnego, adekwatnego ujęcia zjawisk ideologicznych, musimy przede wszystkim wyzwolić się od sugestii apriorycznych założeń dawniejszych badaczy —

¹⁾ Patrz rozprawę autora pt. „Zmierzch materializmu“ *Przegl. Powsz.* IV, 1938.

²⁾ *Traité de Sociologie Générale*, 2 tomy, tłum. franc. Paryż 1917-1919.

³⁾ Karl Mannheim: *Ideologie und Utopie*. Bonn 1930.

⁴⁾ Patrz jego tłumaczoną na język polski „Sociologię wiedzy“ (*Przegl. Socj.* V, 1937).

⁵⁾ Szczegółowo na ten temat w zapowiedzianej wyżej pracy.

zarówno materialistów dziejowych, jak i kierunków idealistycznych, opartych również na pewnym nastawieniu filozoficznym. Chcąc zbadać systemy, zawierające wartości, trzeba samemu zdobyć stanowisko od nich niezależne. Nie znaczy to jednak, że badacz sam musi być istotą wolną od skłonności do wartościowania. Postulat taki, jak już wykazaliśmy, jest niemożliwy do urzeczywistnienia. Nie chodzi nam tu w tej chwili o to, czy można przypisywać pewnym obiektom rzeczowo z nimi związaną, a więc obiektywną wartość.¹⁾ Niewątpliwą jest rzeczą, że na takie postawienie rzeczy — nie chodzi tu oczywiście o wartości ekonomiczne — zgodzi się tylko ten, kto uznał już pewne przesłanki (jak np. prawdziwość Ewangelii) i zerwał z relatywizmem poznawczym. Badania o charakterze empirycznym nie mogą jednak opierać się na założeniach światopoglądowych. Wprawdzie każda nauka empiryczna ma w pewnej mierze charakter dogmatyczny, o tyle, że u jej podstaw leżą pewne niedyskutowane założenia.²⁾ Chodzi jednak o to, by te założenia do minimum zredukować, ażeby nie miały one charakteru tez światopoglądowych, których uznanie zależy nie od czysto poznawczych argumentów — ale od postawy wolicjonalnej.

Tak np.

Teoria kwantów jest ostatecznie także „artykułem wiary“, ale ponieważ nie wiąże się ona z zagadnieniami metafizycznoreligijnymi, więc nie wchodzi tu na ogół w grę przy akcji decyzji intelektualnej silniejsze momenty uczuciowe, wolicjonalne — choć oczywiście i tu może zaważyć pewien wkład czynników subiektywnych (np. sympatia lub antypatia dla danego uczonego, osobiste związanie się z inną teorią lub też czynny udział w powstaniu danych hipotez itp.).

Lecz jak można wyeliminować czynnik subiektywnego wartościowania przy analizie zjawisk, zawierających wartości? Otóż trzeba właśnie ten ich aksjologiczny charakter wziąć za punkt wyjścia, lecz traktując wszystkie wartości

¹⁾ Patrz na ten temat dr S. Behn: *Philosophie der Werte. Handb. d. Erziehungswissenschaft*. II, 1. München 1930, str. 1 i n.

²⁾ Roman Ingarden: „Czy zadaniem filozofii jest synteza nauk szczegółowych?“ *Kwart. Filozof.* 1937, str. 200.

zgodnie z założeniem socjologii humanistycznej¹⁾ jako wartości czyjeś, sprowadzać je do pewnych założeń poznawczych i ideałów naczelnych. Takie postawienie sprawy umożliwia analizę treściową danych systemów bez osobistego ich wartościowania, ale i bez konieczności zapomnienia o ich aksjologicznym charakterze. Można w ten sposób — nie wyrzekając się swoich przekonań osobistych — oddzielić jednak ocenę własną od referującego stanowiska badacza, które dałoby się w takiej formule wyrazić: Twierdzenie A. zawarte w systemie ideologicznym I wynika z założeń Z, których prawdziwość zależy od prawdziwości tezy T.

Nie jest rzeczą badacza uzasadniać prawdziwość tezy T, choć wolno mu oczywiście zreferować przemawiające za nią argumenty, a nawet tutaj wyrazić swoje osobiste przekonania, które oddziela się wyraźnie od wyniku samych badań. Badacz ma jednak prawo powiedzieć: Kto uznał założenia (przesłanki), ten musi również uznać i wynikające z nich dedukcyjne wnioski (np. jeśli ktoś uznał prawdziwość faktów, podanych przez Ewangelię, musi też uznać Bóstwo Chrystusa, albowiem nie można uznać za rzecz możliwą, by zwykły człowiek mógł bez pomocy Bożej czynić takie cuda, a przy tym — mówić nieprawdę). W ten sposób wprowadzić nie możemy nikogo do przyjęcia jakiegoś twierdzenia, czy światopoglądu, bo może on odrzucić przesłankę, ale zmuszamy go do skonkretyzowania swej negacji na określonej tezie. Jest to niewątpliwie ogromny krok naprzód. Dzięki takiemu postawieniu sprawy można np. opracować zajmującą nas tu katolicką ideologię wychowawczą w ten sposób, że nawet człowiek niewierzący może uznać słuszność indukcyjnych czy dedukcyjnych wyników naszych badań, niezależnie od jego stosunku do samych przesłanek. Przeciwnie, stosując najczęściej spotykany system mierzenia badanych ideologii miarą własnych założeń aksjologicznych, zyskuje się wyniki, ważne jedynie dla tych, którzy dane założenia przyjmują. Przy naszym postawieniu sprawy, które

¹⁾ Patrz na ten temat fundamentalne dzieło Znanieckiego: *Wstęp do socjologii*, Poznań 1922.

możemy nazwać metodą redukcyjną (ze względu na sprowadzanie badanego systemu do jego podstawowych założeń), musi i ten, kto przesłanki odrzuca, uznać hipotetyczną słuszość wniosków, oczywiście, o ile w rozumowaniu nie było błędów i ich podstawy były dostatecznie udokumentowane. Możliwe jedynie stanowisko wobec takiego postawienia sprawy dałoby się sprowadzić do formuły: uznaję, że system S wynika z założeń Z. Kto założenia te przyjmie, musi przyjąć i to, co z nich wynika. Ja sam ich nie przyjmuję, więc nie potrzebuję i wniosków przyjmować. Inna rzecz, że tego rodzaju stanowisko negatywne wymaga zawsze uzasadnienia. Wprawdzie ludzie aż nazbyt często — jeśli nie zwykle — nie zdają sobie sprawy z uzasadnienia swych przekonań, lecz biorą je w formie mniej lub więcej gotowej, kierując się świadomie lub podświadomie uczuciowymi nastawieniami lub intencją wolicjonalną; lecz właśnie dlatego takie „przyparcie do muru”, zmuszające do rewizji swych przekonań, może i musi być bardzo pożyteczne. Jest to w każdym razie droga do racjonalizacji poglądu na świat. Możemy tu dodać w nawiasach, że szanse światopoglądu katolickiego, jako najlepiej i najkonsekwentniej przemysłowego systemu — muszą na tym zyskać.

Takie podejście metodyczne nosi pozory stanowiska idealistycznego. Nie wyklucza ono jednak bynajmniej i równorzędnego funkcjonalnego ujęcia ideologii pod kątem widzenia jej roli społecznej ani też uwzględniania wpływu „realnych” czynników, jak interesy gospodarcze czy polityczne. Chodzi tylko o to, by z wpływu modyfikującego nie robić głównej przyczyny.

Dopiero połączenie obu tych punktów widzenia, analizy treści i określenia roli społecznej, może dać ujęcie wszechstronne i umożliwić przewyciężenie dialektycznych przeciwieństw dotychczasowych metod.

Drugi moment zasadniczy to wyodrębnienie z chaosu zjawisk jakiegoś spłotu, stanowiącego zamkniętą w sobie całość strukturalną, tworzącą tzw. „układ zamknięty”, złożony z stałych, powracających elementów. Chodzi tu o postawienie pytania o stałe składniki ideologii i ich sto-

sunek wzajemny i o empiryczne zbadanie, czy istotnie tego rodzaju treściowo¹⁾ ze sobą powiązane elementy powracają we wszystkich możliwych ideologiach. W razie pozytywnego wyniku tych badań można na nich oprzeć pewne hipotezy o charakterze filozoficznym, dotyczące pytania, czy nie chodzi tu o coś więcej, niż o powiązanie funkcjonalne, mianowicie o pewną rzeczową konieczność takiego właśnie a nie innego układu tych składników.

Przeprowadzone w innym związku, oparte o szeroką podstawę empiryczną badania nad ideologiami, przekonały nas o tym, że istotnie ideologie są pewnymi systemami, które mają swą strukturę wewnętrzną, odpowiadającą pewnym koniecznościom rzeczowym. Niezależnie jednak od przyjęcia tej już filozoficznej tezy można koncepcję tę traktować jako hipotezę roboczą, umożliwiającą systematyczne ujęcie tak bardzo nieuchwytnego zjawiska. Całość naszej metody nazwiemy metodą redukcyjno-strukturalną, gdyż jedynie ten złożony termin może oba jej ogniwa objąć.

II. Struktura wewnętrzna ideologii.

a) Istota ideologii.

Pod ideologią rozumieć będziemy, zgodnie z wynikiem naszych badań: z reakcji uczuciowej i refleksji zrodzony, logicznie (mniej lub więcej) skoordynowany system przekonań i wartości, odnoszący się do pewnego zakresu zagadnień i uznany przez jakąś grupę za podstawę motywacyjną i normatywną jej dążeń.

Punktem wyjścia każdej ideologii jest jakaś reakcja uczuciowa i związana z nią refleksja na temat jakiegoś stanu rzeczy, niezgodnego z dążeniami twórców ruchu. Jej powodzenie zależy przede wszystkim od tego, czy dany sposób

¹⁾ A nie „logiczny”, gdyż powiązanie logiczne obowiązuje jedynie w obrębie systemu pojęć wzgl. słów, a nie samych rzeczy. Patrz na ten temat ciekawą dyskusję między Bierstedtem a Sorokinem na łamach *American Sociological Review* (Vol. 2 nr 6 1927, str. 815) Robert Bierstedt *The logico-meaningfull method of P. A. Sorokin* (tamże i odpowiedź Sorokina).

myślenia i reagowania odpowiada mentalności i interesom jakiegoś szerszego kręgu (możliwych) wyznawców. Ideologia musi zawsze mieć grunt do pewnego stopnia przygotowany. Bez tego muszą choćby i najsłuszniejsze hasła trafić w próżnię, nawet choćby odpowiadały dobru wszystkich, według jakichś najbardziej obiektywnych kryteriów. Nie zawartość prawdy ani nawet dobra wola inicjatorów decydują tu, ale wola tych, do których się oni zwracają. Przygotowania gruntu potrzebował nawet i Chrystus, który nie mógł prędzej na świat przyjść, aż dopiero wtedy, gdy „czasy dojrzały”.

Ideologia rozwija się nie tylko pod wpływem bodźców zewnętrznych różnego typu (jak interesy, ambicje, reakcje na pewne zjawiska itp.), ale również w myśl własnej, immanentnej logiki swych sformułowań i założeń oraz naturalnych konieczności wewnętrznych, związanych z rozwojem grupy, stanowiącej jej podmiot. Dopóki nie ma tu zorganizowanej grupy jako podmiotu mówimy jedynie o „prądach ideowych” czy ideach. Istotną jest rzeczą, by dana grupa oficjalnie uznała daną ideologię istniejącą już w zacytunku w formie prądów ideowych za podstawę uzasadniającą i określającą cele i drogi swego działania. Grupę taką nazywamy grupą ideologiczną — w przeciwieństwie do takich grup, które nie mają żadnej ideologii i kierują się jedynie dążeniem do jakiegoś określonego celu (np. zarobkowego czy technicznego) lub też z pojęciami i normami tradycyjnymi lub z zewnątrz, przez jakąś inną nadrzędną grupę narzuconymi.

Z charakteru grupy podmiotu wynika zwykle i zakres danej ideologii. Może on być względnie wąski i odnosić się np. do jakiegoś zagadnienia wychowawczego, albo i ustrojowego, lub też szeroki, obejmujący mniej lub więcej zupełnie jakiś całokształt kulturalny gospodarczo-społeczny i polityczny (tak ideologie totalne).

Koordinacja logiczna odbywa się na ogół samorzutnie jako wynik pewnego procesu myślowego. Polega on na tym, że elementy ze sobą niezgodne, zwykle pochodzące z działania różnych wpływów zewnętrznych, wypierają się wzajemnie lub uzgadniają przez pewną jednostronną lub oboustronną modyfikację i choćby pozorne zafarcie różnic.

Jeśli proces ten nie dokonał się powierzchownie tylko i nie bez reszty, wtedy istniejące na razie w stanie ukrytym sprzeczności przy sprzyjających warunkach się ujawnią — szczególnie wtedy, gdy wiąże się z tym różnica interesów czy nastawień emocjonalnych pewnej części wyznawców albo też związane z nimi urazy psychiczne. Prowadzi to do podziału ruchu na odłamy i skrzydła, a często kończy się rozłamem.

Ideologie muszą się rozwijać samorzutnie, w wyniku narastania autorytetu przywódców, rozrostu organizacji, oraz rozszerzenia się kręgu wyznawców. Sztuczne montowanie gotowych już ideologii na ogół nie stworzy ruchów żywotnych. Zdaje się, że należy to do rzeczy w ogóle zasadniczo niemożliwych, choć brak nam jeszcze podstaw, by to pytanie ostatecznie rozstrzygnąć.

b) Składniki ideologii i ich rola.

W skład każdej tak określonej ideologii wchodzi zawsze jako rzeczowo konieczne elementy:

1) Założenia, stanowiące punkt wyjścia i stałą podstawę całego systemu; są to a) sądy poznawcze o charakterze egzystencjalnym (np. „Bóg jest”), stwierdzającym (jakiś empiryczny stan rzeczy) i tłumaczącym (taki charakter mają szczególnie teorie naukowe) oraz b) sądy wartościujące. Sądy te zamieniają się normalnie w stałe przekonania i postawy duchowe. Przekonania te nabierają charakteru prawd oczywistych, nad którymi się już nie dyskutuje, albo które się jedynie „pogłębia”. Tworzą one mniej lub więcej skoordynowaną całość. W jej skład wchodzi też cały zasób pojęć, z których rozwija się „słownik” danego ruchu.

2) Druga grupa składników, stanowiąca główny i (względnie) trwały ośrodek treści samej ideologii i istotną więź treściową grupy, to jej zasady. Dzielą się one na sześć głównych rodzajów, które są wszystkie zasadniczo konieczne, choć w niektórych wypadkach niektóre z nich występują w formie zaczątkowej, niedorozwiniętej. Są to:

a) Idee; abstrakcyjne koncepcje rozwiązania jakiegoś problemu (niejednokrotnie rozbudowane do doktryn i teorii).

b) Mity; idee, wzgl. kompleksy idei, połączone z pewnymi wyobrażeniami i uczuciowo zabarwione, zdolne stać się czynnikiem pobudzającym nie tyle zmechanizowane i ustalone już formy działania, ile twórczość i bojowość.¹⁾

c) Ideały, oderwane i uprzedmiotowione cechy jakiejś kategorii substratów lub czynności, uznane przez jakiś podmiot za doskonałe.²⁾

d) Wzory idealne i realne; przykłady szczytowe i przeciętne urzeczywistnienia dążeń danej ideologii w dziedzinie postępowania, form życia, ustroju, wartości kulturalnych itp.

e) Interpretacje rzeczywistości o charakterze formuł i sposobów myślenia, prowadzących do wniosku, że jedynie zasady własnej ideologii mogą tak postawione problemy rozwiązać („dogmaty praktyczne” Znanieckiego).

f) Normy zasadnicze, względnie trwałe, uznane przez grupę, stanowiącą podmiot danej ideologii za obowiązujące jej członków (obejmują one zasady etyczne, charakterystyczne dla danego ruchu formy działania i ustroju i reguły taktyki itp. z wyłączeniem samych sformułowań i gotowych systemów, które już stanowią konkretyzację historyczną tych zasad).

3) Trzecia grupa składników to konkretyzacja aktualizująca. Jest to przystosowanie zasad do możliwości czasowo przestrzennych, nieraz nawet o pewnej trwałości, o ile warunki nie ulegają zmianom. Stanowi ona część dynamiczną ideologii, o charakterze normatywnym (a nie motywacyjnym, bo motywację dają zasady). Mamy dwa główne typy konkretyzacji aktualizującej:

a) Programy; usystematyzowane zespoły zasad ideologii, dostosowane do rozwiązania aktualnych problemów z zakresu danej ideologii, wzgl. do rozwiązywania zagadnień zasadniczych w ramach aktualnej rzeczywistości.

1) Pojęcie mitu, stworzone przez Sorela (G. Sorel: *Reflexions sur la violence*. Paris 1921, str. 32) musieliśmy dla naszych celów nieco przekształcić, gdyż było ono zupełnie niesprecyzowane. (Por. też St. Brzozowski: *Legenda Młodej Polski, Pisma*, t. VIII, Warszawa 1937, str. 93).

2) Patrz rozprawę autora „O istocie, genezie i funkcji ideałów”. *Kultura i Wychowanie*, Rok V, zesz. V. Warszawa 1938, str. 286.

b) Normy aktualne; zmienne, do potrzeb chwili dostosowane wskazania taktyczne, hasła itp., przejawiające się szczególnie i w publicystyce.

4) Czwartą grupę składników rozwiniętej już ideologii stanowi tzw. konkretyzacja stabilizująca, wytworzona przez rozwój historyczny grupy podmiotu i stanowiąca zarazem czynnik jej utrwalenia i zarazem konkretyzacji z natury rzeczy abstrakcyjnych idei i ideałów. Stabilizacja, dokonywująca się przez narastanie konkretnej krystalizacji historycznej danego ruchu, staje się często jeśli nie zwykle czy nawet zawsze — w miarę słabnięcia ruchu czynnikiem kosnienienia ideologii. Mamy tu dwie główne podgrupy składników, z których pierwsza odnosi się do konkretyzacji treściowej, a druga do podmiotu.

Konkretyzacja treściowa dzieli się na dwie kategorie zasadnicze. Pierwsza, odnosząca się do treści, to sformułowania oficjalne i zasadnicze hasła programowe (w przeciwieństwie do zmiennych haseł dnia). Te pierwsze nabierają nieraz charakteru pewnej świętości dla danego ruchu i stają się instancją autorytatywną dla rozstrzygania wątpliwości (tak np. dla marksistów — *Manifest Komunistyczny*, dla katolików encykliki papieskie). Hasła zasadnicze stanowią pewną wulgaryzację ideologii, umożliwiającą jej wprowadzenie do sposobów myślenia szerokich mas wyznawców (np. hasło „proletariusze wszystkich krajów łączcie się“).

Drugi rodzaj składników tej podgrupy to symbole, przemawiające do uczuć i wyobraźni. Są to znaki zastępcze dla danej treści, stanowiące zarazem więź wolicjonalną wyznawców. Mamy różne bardzo typy symbolów: symbole słowne (nazwy), rzeczowe (oznaki organizacyjne, sztandary itp.), kinetyczne (ruchy rąk, jak np. podnoszenie prawicy) lub wreszcie jakościowe (cechy — szczególnie barwy jak czerwona u marksistów). Symbole mają zawsze wartość uczuciową, a często nawet znaczenie mistyczne (krzyż, swastyka).

Zarówno sformułowania i formuły czy hasła jak i symbole przemawiają do woli, tylko, że pierwsze głównie poprzez intelekt, a drugie bezpośrednio przez uczucia. Znaczenie symbolów i haseł jest tym większe, im bardziej ma-

sowym jest dany ruch. Z masowością wiąże się zawsze dezintelektualizacja, której nie zapobiegnie nawet największy rozwój teorii na szczytach danej grupy.

Druga główna podgrupa konkretyzacji stabilizującej odnosząca się do podmiotu, to najpierw osobistości przodownicze, a następnie wspólnota przeżyć, łącząca wszystkich członków grupy i konkretyzacja organizacyjna.

Osobistości przodownicze, inicjatorzy, wodzowie, wielcy wykonawcy i bohaterowie czy wzory idealne realizacji wskazań (widziane od strony statycznej, jako czynniki utrwalenia, a nie jako dynamizujące przykłady realizacji zasad), to nie tylko realni przywódcy, ale i symbole żywe i samoistne wartości, których kult stanowi jedno z najsilniejszych powiązań grupy i zarazem zasadniczy składnik samej ideologii. Osobistości te, to zarazem instancje rozstrzygające w razie sporu. Podstawą ich autorytetu jest tzw. przez Webera charyzmat, czyli przypisywane im przez wyznawców (słusznie lub niesłusznie) cechy nadzwyczajności i natchnienia (dary ducha).

Drugi składnik tej grupy to wspólnota przeżyć, która się zawsze wytworzyć musi w miarę narastania wspomnień — wspólnych działań, powodzeń i klęsk, a przede wszystkim wysiłków. Tworzy się obraz wyidealizowany tej własnej przeszłości, powstają różne legendy i kult własnych dokonań, spleciony z kultem osobistości przodowniczych. Wyrazem tego kultu są obchody rocznic, wydawnictwa i oznaki pamiątkowe, pieśni, zwyczaje i tradycje organizacyjne. Wspólnota ta staje się na ogół tym silniejsza, im więcej włożono trudu w daną pracę i im więcej osiągnięto wyników. Z czasem ulega i ona oczywiście pewnej ewolucji (w miarę wymierania starego pokolenia działaczy).

Trzeci składnik tej podgrupy to historyczna konkretyzacja organizacyjna norm zasadniczych w formie statutów, różnych instytucji, obyczajów i tradycji organizacyjnych.

Mamy więc ogółem cztery grupy zasadnicze, zawierające łącznie piętnaście składników, dających się wykazać w formie mniej lub więcej wyraźnej w każdej rozwiniętej ideologii. W ruchach młodych, *in statu nascendi*, zasady

i konkretyzacja aktualizująca mogą się do pewnego stopnia identyfikować, a konkretyzacja stabilizująca jest w zaczątkach. W ruchach starych może ona zupełnie przytłumić wszelką żywą treść. Ruch staje się wtedy pustą skorupą organizacyjną, trzymającą się siłą tradycji i przywiązania.

III. Problematyka socjologiczna katolickiej ideologii wychowawczej.

Pragnąc zastosować koncepcje, naszkicowane tu w skrócie, a w innym związku szerzej uzasadnione i rozwinięte¹⁾ do ujęcia katolickiej ideologii wychowawczej, musimy tu z konieczności rozwiązać kilka wstępnych problemów.

a) Zagadnienia podmiotu.

Pierwszym naszym obowiązkiem będzie ustalenie treści charakterystycznej²⁾ pojęcia „katolicka ideologia wychowawcza“.

Przez określenie „katolicka“ oznaczamy, że podmiotem tej ideologii jest grupa wyznawców religii katolickiej. Ponieważ wyznawanie wiąże się zasadniczo z przynależnością do organizacji kościelnej (wyjątki, jak np. Fr. Foerster, potwierdzają regułę) — choć nie na odwrót, bo nie każdy przynależny jest też wyznawcą („katolicy z metryki“) — więc możemy uznać za podmiot tej ideologii sam Kościół katolicki jako taki, tj. w tym wypadku (ogół wiernych czyli świadomych wyznawców) wraz z hierarchią.³⁾ Kościół jest grupą,

¹⁾ Patrz odnośnik 1.

²⁾ Nt. „treści charakterystycznej“ patrz dr K. Ajdukiewicz: „Logiczne podstawy nauczania“, odb. z *Encyklopedii Wychowania*. Warszawa 1934, str. 22.

³⁾ Por. tę definicję socjologiczną z definicjami teologicznymi, które podaje ks. Wł. Rosłan: *Apologetyka*. Wstęp do teologii dla przyw. użytku słuchaczy Inst. Wyższej Wiedzy Relig. w Warszawie. Warszawa 1938, str. 111. W myśl naszej definicji dzieci w wieku przedszkolnym nie są jeszcze pełnymi członkami grupy religijnej, bo braknie im koniecznej do pełnego uczestniczenia świadomości. Ich przynależność jest formalna, prawna (zyskuje się ją przez chrzest i wpisanie do ksiąg) i potencjalna. Inną jest sytuacja dorosłych, którzy świadomie się wewnętrznie oddalili. O tych można by powiedzieć, że należą do „ciała“ ale nie należą do „duchy Kościoła“. Ich przynależność jest czysto formalna, prawna lecz nie socjologiczna, bo ta zawsze suponuje świadomą akceptację. Oczywiście, że są różne stopnie tego wewnętrznego oddalenia się — od pewnego zobojętnienia do jawnej wrogości.

w której najdokładniej są rozdzielone te przekonania, które obowiązują wszystkich wyznawców pod rygorami (dogmaty), dalej te, które obowiązują w imię karności organizacyjnej i autorytetu (jak encykliki, nie mające charakteru orzeczeń dogmatycznych, lecz zawierające wskazania, ważne dla pewnej epoki, oparte na interpretacji dogmatów) i wreszcie takie, których przyjęcie nie jest obowiązkowe, lecz stanowi jedynie wyraz solidarności z grupą (*sentire cum ecclesia*) i zaufania do jej oficjalnych uczonych (*opinio communis theologorum*). Wobec istnienia takiego podziału można wydzieleć to, co istotne, i to, co tylko jest wynikiem rozwoju historycznego i co tylko faktycznie stało się treścią wspólną, ale nie należy do struktury treściowej samego systemu.¹⁾

b) Pojęcie i zakres wychowania.

Termin „wychowanie” rozumieć będziemy w najszerszym słowa znaczeniu — obejmując nim zarówno kształcenie jak i urabianie bezpośrednie charakteru i postawy emocjonalnej, a więc wszelkie świadome oddziaływanie na ludzi, mające na celu nadanie im pewnych trwałych właściwości²⁾ duchowych.³⁾ Nie ograniczymy się do wychowania przeprowadzanego przez szkołę i rodziców, lecz uwzględnimy również i inne ośrodki pracy wy-

¹⁾ Cechę bezpośredniości trzeba podkreślić, by oddzielić działania pośrednie, jak np. pisanie powieści, która wywrze dodatni wpływ.

²⁾ Oddziaływanie mające na celu nadanie cech chwilowych, jak np. sympatia dla jakiejś listy wyborczej czy chęć nabycia jakiegoś towaru nie jest akcją wychowawczą lecz agitacją, względnie reklamą. Definicja Znanieckiego, która tego wywierania wpływu chwilowo nie oddziela, i mówi jedynie, że „wychowanie jest działalnością, dążącą do wywarcia wpływu na postępowanie ludzkie” jest za szeroka (patrz *Socjologia wychowania*, tom I. Warszawa 1928, str. 1).

Wyłania się tu jeszcze kwestia czy nie należałoby również oddzielić urabiania we własnym interesie, jak np. w owej reklamie czy agitacji i uznać, że zawsze musi tu chodzić o interes wychowanka. Lecz takie postawienie sprawy byłoby przekreśleniem tych doktryn, które nie widzą w jednostce wartości samoistnej i wychowują ją dla jakiejś grupy, która nieraz służy i ciasnym interesom materialnym (tak szczególnie i w Ameryce).

³⁾ Wyłączamy więc wychowanie fizyczne jako cel samoistny. Wchodzi ono w zakres tak pojętego wychowania o tyle, o ile służy celom rozwoju duchowego.

chowania, jakimi Kościół dysponuje, przede wszystkim i to, co robi sam bezpośrednio przy pomocy sakramentów, ambony, praktyk religijnych, stowarzyszeń i wydawnictw.

Przy tak szerokim zakresie celów wychowawczych mogłoby się здаwać, że Kościół jako taki jest instytucją wyłącznie wychowawczą. Boć i sakramenty mają na celu nadanie ludziom pewnych trwałych cech (stanu łaski), podobnie i każdy kult ma swoje znaczenie wychowawcze. Lecz Kościół ma i inne cele, które się nie dadzą podporządkować tej definicji wychowania, mianowicie: 1) przechowywanie i ustalanie prawd objawionych; 2) organizowanie kultu jako służby Bożej; 3) tworzenie i utrzymywanie urzędów, potrzebnych do kultu (kaplic, kościołów, figur itp.). Ideologię wychowawczą można jednak dla celów poznawczych wyodrębnić.

Przedmiot wychowania nie musi sobie bynajmniej z tego здаwać sprawę, że jest wychowywany. Pełnię świadomości musi mieć jedynie podmiot. Oddziaływanie mimowolne, które niewątpliwie odgrywa olbrzymią rolę w kształtowaniu psychiki i postawy duchowej człowieka, nie należy już do działalności wychowawczej.

Pozostaje tu jeszcze niewyjaśnioną kwestia samowychowania. Trzymając się ściśle definicji, która mówi o „oddziaływaniu na ludzi”, ale nie koniecznie na innych, możemy samowychowanie włączyć. Ważniejszy jest względ rzeczowy, że samowychowanie spleta się tak nierozdzielnie z wychowaniem, że można te procesy tylko sztucznie oddzielić, co w naszym związku nie jest wskazane, gdyż ideały i założenia i cele są tu te same, tylko metoda i forma socjologiczna odmienna. Z drugiej strony każde wychowanie zmierza do tego, by wywołać samowychowanie, które jedynie może prowadzić na szczyty, zarówno rozwoju umysłowego jak i moralnego.

c) Ideologia i religia.

Znacznie trudniejszą jest odpowiedź na pytanie, czy schemat nasz, stworzony dla ujmowania ideologii, da się również zastosować do systemów religijnych. Konieczność wyjaśnienia tej sprawy, od której zależy możliwość obranej przez nas drogi, zmusza nas do sprecyzowania różnicy między ideologią a religią.

Jako punkt wyjścia weźmiemy tu definicję religii, podaną przez ks. Rosłana¹⁾: „religia to stosunek zależności człowieka od Bytu Najwyższego tj. Boga”. Ten stosunek zależności obejmuje trzy elementy: 1) zbiór pojęć i prawd o charakterze dogmatycznym, dotyczących teoretycznego poznania bądź Bytu Najwyższego, bądź człowieka (dodać tu należy: i świata); 2) zbiór pojęć i prawd moralnych, opartych zwykle o prawdy dogmatyczne, a normujących życie moralne człowieka; 3) kult jako zewnętrzny wyraz poznanej i praktykowanej religii. Gdzie jednego z tych trzech istotnych elementów braknie, tam może być etyka, liturgia czy filozofia, ale nie będzie jeszcze religii.

Religia, wzięta subiektywnie, jest to sposób myślenia, czucia, postępowania człowieka, odpowiadający jego stosunkowi zależności od Boga.

Tak określona religia odpowiada poglądom religijnym wszystkich ludów.

Porównując tę definicję religii z naszym pojęciem ideologii, stwierdzić możemy, że jest ona również „systemem przekonań i wartości, odnoszącym się do pewnego zakresu zagadnień (do Boga, człowieka, świata pod względem najgłębszego sensu i celu), uznanym przez jakąś grupę za podstawę motywacyjną i normatywną jej dążeń”. Religia jest niewątpliwie zawsze religią jakiejś grupy. Tzw. osobiste religie, to jedynie eklektyczne kompilacje różnych religii, albo też osobiste, na przeżyciach oparte przekonania.

Charakter motywacyjny i normatywny religii jest oczywisty.

O ile chodzi o składniki, to w stosunku do religii, opartych na objawieniu nadprzyrodzonym, stwierdzamy, że mają one zawsze swoje wyraźne założenia poznawcze i aksjologiczne. Na tym właśnie polegała główna rola Starego Zakonu w stosunku do chrześcijaństwa, że stworzył on ten system pojęć i wartości, na którym się dopiero oprzeć mogła Ewangelia (chodzi tu przede wszystkim o sam monoteizm, o wiarę w to, że ludzkość upadła przez grzech pierworodny i potrzebuje wobec tego odkupienia, dalej o przekonanie o potrzebie i możliwości bezpośredniej ingerencji

¹⁾ Patrz Rosłan l. c. str. 11 nast.

Boga, o spodziewanie się Mesjasza i o cały szereg sposobów myślenia, a nawet utartych zwrotów, którymi mógł się posługiwać Chrystus, chcąc umożliwić zrozumienie swej nauki tak bardzo rewolucyjnej w stosunku do panujących wówczas pojęć.

Że religia zawiera zawsze idee i ideały, to rzecz niewątpliwa. Przykładem konkretyzacji aktualizującej — programowej i normatywnej, są szczególnie encykliki lub hasła pontyfikalne (np. *omnia instaurare in Christo*).

Konkretyzacja występuje tu w formie bez porównania pełniejszej niż w jakiegokolwiek, choćby najpełniej rozwiniętej ideologii totalnej. Sformułowania oficjalne mają tu różne stopnie, od dogmatów aż do ksiąg aprobowanych. Formułki liczne i trwałe stwarza zawsze każda liturgia. Symbolika rozrasta się w liturgice tak wspaniale, że najbogatsze systemy symboli świeckich wyglądają przy niej jak organa szczątkowe, albo też niedorozwinięte. Kult postaci charyzmatycznych od samego Założyciela poprzez świętych, ojców Kościoła, doktorów, męczenników aż do mniejszych przodowników jest jedynie tu w całej pełni rozwinięty i zinstytucjonalizowany. Spółnota przeżyć sięga tak daleko, że wyznawcy różnych religii to nawet w obrębie tego samego narodu jakby dwa odrębne światy, między którymi nie łatwo o głębsze zrozumienie. Podział wyznaniowy sięga chyba głębiej niż narodowe różnice. Konkretyzacja organizacyjna jest tu szczególnie bogata w formy tradycyjne.

Czy wobec tego nie można by postawić tezy, że ideologie są pewnego rodzaju niedociągniętymi surogatami czy imitacjami religii?

Sprawa zakresu nie musiałaby takiego postawienia sprawy uniemożliwić, bo mamy z jednej strony ideologie o wyraźnie transcendentnym nastawieniu, a z drugiej strony i religia musi się ziemskimi sprawami interesować. Zadania, które, w myśl tego, co stwierdziliśmy wyżej, nie należą do zadań wychowania, jak przechowywanie i ustalanie prawd, organizowanie kultu i tworzenie potrzebnych do tego instytucji i urządzeń, wchodzą w skład niektórych ideologii (szczególnie totalnych) np. kult Lenina w Rosji. Nie w zakresie treści leży więc istotna różnica między religią

i ideologią. Nie różni też religii od ideologii koordynacja logiczna. Religie są na ogół lepiej skoordynowane pod względem treści, niż ideologie — choćby już dlatego, że ich podstawa jest bardziej jednolita, rozwój powolniejszy i bardziej organiczny, a wrażliwość na niezgodność większa.

Różnica istotna istnieje jednak. Leży ona w dziedzinie genezy i podstawy założeń. Gdy ideologie powstają z reakcji i refleksji inicjatorów (co je różni od opartych na ewolucyjnie wytworzonych tradycjach pseudoideologii), to każda religia typu wyższego (nadenaturalna)¹⁾ powołuje się na nadprzyrodzone, boskie objawienie,²⁾ które oczywiście może też być pseudoobjawieniem. Nie chodzi tu o jego prawdziwość³⁾, lecz o to, że wyznawcy uważają je za prawdziwe. Z tego punktu widzenia niektóre sekty są religiami o ile się na objawienie powołują, a inne tylko ideologiami.

¹⁾ Patrz Rosłan l. c. str. 12. Religie naturalne o charakterze pierwotnym musimy tu wyłączyć, gdyż mają one charakter poglądów tradycyjnych, rozwijających się ewolucyjnie, bez twórczej ingerencji wielkich inicjatorów i proroków. Tzw. religię naturalną jako system filozoficzny musimy traktować jako światopogląd jednostki lub też ideologię, o ile zyskała jakąś grupę, która ją uznaje za swoją.

²⁾ Ib. str. 33 nast.

³⁾ Jeśli katolicyzm uznaje, że tylko jedna religia może być prawdziwą — co wydaje się może na pozór dowodem jakiejś „zarozumiałości“ czy „nietolerancji“ czy nawet „obskurantyzmu“, któremu się przeciwstawia jako rzekomo postępowe stanowisko indyferentyzm wyznaniowy, to stanowisko to nie jest niczym innym, jak tylko konsekwentnym do końca przemyśleniem zasady logicznej, że dwa odnoszące się do tego samego obiektu, sprzeczne ze sobą twierdzenia nie mogą być równocześnie prawdziwe oraz, że jeśli się uzna objawienie, nie można przypuścić, że ten sam Pan Bóg objawia rzeczy ze sobą sprzeczne. Chodzi tu po prostu o zasadę sprzeczności. Oczywiście nie znaczy to, że katolicy uważają całą zawartość innych religii za błędną. Zbawienie według nauki Kościoła uzyskać może każdy, kto należy do „duszy Kościoła“ czyli do społeczności sprawiedliwych (patrz O. A. Gratry: *Credo* w rozważaniu filozoficznym tłum. pol., str. 111). A sprawiedliwym jest każdy, kto żyje zgodnie ze wskazaniami swej religii. Kościół twierdzi jedynie, że on tylko jeden ma pełnię niesfałszowanej, objawionej przez Chrystusa prawdy i że każdy, kto z własnej winy umiera w herezji czy odszczepieństwie, będzie potępiony.

Objawienie nadnaturalne jako bezpośrednią interwencję Bożą trzeba odróżniać od „darów ducha” (charyzmaty), jakie wyznawcy każdej prawie ideologii przypisują swym inicjatorom. Charyzmatyczność ma pewne jakoby ilościowe wymiary, od zwykłego uzdolnienia do genialności „pomazańca Bożego”. Nie należy też mieszać z objawieniem nadnaturalnym natchnienia w sensie tym, w jakim je Kościół przypisuje „drugorzędnym autorom Pisma św.”, uważając za jego pierwszego, właściwego autora, Ducha Św., który posługuje się ludźmi. Nadprzyrodzoność tego wpływu Ducha Św. na pisarzy Pisma św. jest ukryta, w przeciwieństwie do jawnego potwierdzenia objawienia przez cuda (oczywiście mogą istnieć również pseudocuda potwierdzające pseudoobjawienie).

Rozróżnienie to, oparte na różnicy pochodzenia i podstaw, z czym niewątpliwie łączyć się będzie już raczej ilościowa różnica autorytetu i trwałości (oczywiście na korzyść religii) — nie sięga jednak ze stanowiska formalno-socjologicznego zbyt głęboko. Dochodzi tu fakt, że i do nadnaturalnej, objawionej religii w widomych jej narodzinach dołączają się normalnie reakcje i refleksje samego założyciela. Jest to po prostu nieodzowne nawiązanie styczności bojowej z daną aktualnie rzeczywistością. Starczy tu przypomnieć, jak sam Chrystus reagował na to co zastał, jak: faryzeizm, skostnienie formalizmu religijnego, kupczenie w świątyni itp. Widzimy więc, że analogia strukturalna jest bardzo ścisła. Nie znaczy to oczywiście, że religie można równać pod względem ich znaczenia i zawartości ze zwykłymi ideologiami, które powstają tak często i tak rychło nieraz giną lub wchodzą w gorszy jeszcze stan wegetacji. Wyższą godność społeczną daje też religii jej zakres, związany z rzeczami najdonioślejszymi. Są oczywiście i niepoważne pseudoreligie, np. różne sekty, oparte nieraz na innego rodzaju więzi społecznej.¹⁾ Rozpiętość różnic jakościowych może tu być olbrzymia. Tak samo jednak, jak geniusz i półkretyn należą do tego samego gatunku zoologicznego: *homo sapiens*, tak samo i tu różnice jakości nie

¹⁾ Patrz na ten temat ciekawe uwagi Webera o amerykańskich sektach. *Gesammelte Aufsätze zur Religionssoziologie*. Tübingen 1922, tom I.

przeszkadzają podobieństwu czy analogii struktury wewnętrznej.

Wobec takiego stanu rzeczy nie ma żadnych przeszkód, by ten sam schemat pojęciowy, którym ujęliśmy wszystkie ideologie, mógł również posłużyć do badań nad systemami religijnymi, — tym bardziej, że zajmować nas tu będzie przede wszystkim to, co się zrodziło z naturalnych już reakcyj na empiryczne fakty, a prawdy objawione będą tu miały charakter danych już założeń. I o tyle wolno nam mówić o „katolickiej ideologii wychowawczej“.

d) Kwestia zakresu czasowo - przestrzennego.

Wylaniają się jednak inne jeszcze trudności. Nasuwa je fakt, że mamy tu do czynienia z niespotykaną nigdzie rozciągłością czasowo - przestrzenną grupy, obejmującej swym zasięgiem cały świat i działającej na przestrzeni dziewiętnastu wieków. Czy można w takich warunkach mówić jeszcze o ideologii, która jest zawsze czymś żywym, aktualnie reagującym? Czy nie chodzi tu jedynie o jedność założeń? Czy może to jeszcze być żywy system, pozostający w stałym kontakcie bojowym z tak różnorodną rzeczywistością?

Natrafiamy tu na zjawisko, które zdumieć musi socjologa. Niewątpliwie są też i religie, które uległy skostnieniu i które wprawdzie trwają dzięki istnieniu konkretyzacji stabilizującej, lecz które już nie kształtują życia i istnieją jakoby obok niego, działając jedynie jako czynnik, konserwujący niektóre zwyczaje i postawy. Nastawienie takich religii jest czysto obronne. Ta obronność jest naturalnym wynikiem przywiązania. Samo istnienie konkretyzacji stabilizującej w formie dogmatów, liturgii, kultu świętych, tradycji i form organizacyjnych, jest warunkiem utrzymania się każdej religii. Okres bohaterski i twórczy nie może trwać stale. Muszą przyjść okresy wypoczynku i osłabnięcia, a nawet upadku moralnego. Tam, gdzie się taka więź nie zdołała wytworzyć, tam nie mogła się dana religia na dłuższą metę utrzymać. Pouczające są pod tym względem dzieje południowo-indyjskiego buddyzmu, który w przeciwieństwie do

lamaizmu tybetańskiego nie wytworzył ani hierarchii ani organizacji swych wędrownych mnichów, ani dogmatów ani też kultu — pragnąc czcić Boga tylko „w duchu i w prawdzie” — i w rezultacie zniknął tam prawie zupełnie.¹⁾

W dziejach Kościoła jak i jego grup podporządkowanych stwierdzić możemy niewątpliwie okresy pewnego skostnienia. Nie było ono jednak nigdy zupełne, bo i w takich czasach upadku bywali święci. Można stan taki określić jako okres przerostu konkretyzacji stabilizującej nad aktualizującą. Są to okresy zaniku ducha religijnego, upadku wiary u wyznawców, okresy przewagi dążeń świeckich i zepsucia moralnego. (Trzeba je odróżnić od odstępstwa, które polega na zewnętrznym zerwaniu z Kościołem). W okresach takich z bezpłodnością w dziedzinie realizacji łączyła się aż nazbyt często — jeśli nie zwykle — wielka wierność dla samej organizacji i jej form zewnętrznych. To czysto uczuciowe przywiązanie, na codzien prawie (ale niezupełnie) bezpłodne, w okresach niebezpieczeństwa wywoływało silne reakcje uczuciowe, które nieraz nawet wykrzeswały prawdziwych bohaterów. (Warto tu przypomnieć nasze czasy saskie). Takie okresy upadku przeżywają i zwykłe ideologie. Lecz tu zaczyna się różnica. Gdy ideologie świeckie normalnie już z upadku nie powstają — chyba tylko na krótko zdobywają się one jakby na ostatnie błyski gasnącej powoli lampy — to katolicyzm, jak i jego organizacje pomocnicze, szczególnie zakony, odradza się wciąż na nowo po okresach skostnienia i to z taką siłą żywiołową, że wygląda to raczej na nowy ruch niż na regenerację ruchu dawnego. Nie wchodząc w zagadnienia teologiczne i nadprzyrodzone, możemy tu ze stanowiska socjologicznego wytłumaczyć to dziwne zjawisko niespożytą żywotnością samych założeń, opartych na Ewangelii, która we wszystkich warunkach i wszystkich czasach pozostaje zawsze równie aktualną. I ten właśnie fakt upoważnia nas do traktowania katolickiej ideologii wychowawczej jako całości, istniejącej jakoby poza czasem i przestrzenią, a jednak i w czasie i w przestrzeni.

¹⁾ M. Weber: *Wirtschaft und Gesellschaft*. II Aufl., str. 762 i nast.

e) Pierwiastki stałe i pierwiastki zmienne.

Przy takim postawieniu sprawy staje się nieodzowną rzeczą oddzielenie tego, co w katolickiej ideologii wychowawczej jest wieczne i istotne (można wyrazić przypuszczenie, że zakres tych pojęć w tym wypadku się zbiega) od tego, co jest dodatkiem zmiennym, wytworzonym historycznie jako wynik reakcji na różnorodne zagadnienia, wyłonięne w różnych okresach w rozmaitych środowiskach. To narastanie elementów zmiennych jest naturalnym wynikiem ekspansji i konkretyzacji indywidualizującej. Ten rozdział rzeczy stałych i zmiennych da nam zarazem podstawę dla opracowywania poszczególnych ideologii katolickich, wyrosłych w obrębie katolicyzmu. Jedynie wydzielanie tego, co dany ruch wniósł oryginalnego da możliwość rzeczywistego zrozumienia jego istoty i oceny jego roli. Chodzić tu będzie o zakony, bractwa i stowarzyszenia. Rola tych pierwszych jest niewspółmiernie większa i do nich jedynie odnosi się to, co powiedzieliśmy o tej niezwyklej zdolności do regeneracji. Czy i w jakim stopniu dotyczy to i bractw i stowarzyszeń katolickich, tego jeszcze w obecnym stanie naszych badań stwierdzić nie możemy. Faktem jest w każdym razie, że i bractwa często odradzają się po latach wegetacji lub zawieszenia. Zarazem dochodzi tu inny jeszcze punkt widzenia: rola tych ruchów poszczególnych w łonie całości. Jest rzeczą ciekawą, historycznie łatwą do stwierdzenia, że właśnie i tylko te ruchy odrodzeńcze, które się podporządkowały władzy Kościoła, nie uległy skrzywieniu przez zbyt wielką jednostronność, która się z natury rzeczy wiąże z każdą reakcją na jakieś zjawisko. To powstawanie coraz to nowych ruchów w obrębie Kościoła jest najlepszym dowodem jego żywotności, gdyż ewolucja polega właśnie (w przeciwieństwie do inwolucji) na tworzeniu się coraz to nowych organów, podporządkowanych interesom całości.

Czy istnieją jednak takie cechy wspólne, zawarte w każdym ruchu katolickim? Ich istnienie wynika już z faktu, że przyznają się one do katolicyzmu. Na pytanie, czy i w jakich wymiarach się te pierwiastki rzeczywiście zaznaczają, można odpowiedzieć jedynie na podstawie badań empirycznych. Oczywiście ich przeprowadzenie jest realnie

tylko w ten sposób możliwe, że zbadamy na wyrywkę różne ideologie wychowawcze katolickie na przestrzeni wieków i w możliwie różnych warunkach zrodzone. Oczywiście trzeba tu będzie odróżnić zawartość *implicitę* (jako milcząco przyjęte założenia) i *explicitę* (jako pierwiastka świadomie akcentowanego).

Przyjęty przez nas podział na stałe założenia i zasady z jednej, a historycznie uwarunkowaną konkretyzację aktualizującą i stabilizującą — da nam możliwość takiego rozdzielania składników stałych i istotnych od historycznych, mniej lub więcej przypadkowych i podrzędnych.

f) Metoda badań katolickiej ideologii wychowawczej.

W ramach zakreslonych tu po krótkce¹⁾ zasad metodologicznych mają badania katolickiej ideologii wychowawczej swoją specjalną problematykę.

Szczególną trudność stanowi tu niewątpliwie oddzielenie pierwiastków ogólnych, wspólnych całej katolickiej ideologii wychowawczej od tego, co wniosły ruchy szczegółowe, które miały własny, odrębny, choć podporządkowany podmiot organizacyjny. Ich osobne opracowanie nie wchodzi w tej chwili w zakres naszych badań, chyba jedynie o tyle, o ile to będzie konieczne dla rozwiązywania problemów całości.

Jedyną drogą możliwą wydaje się rozpoczęcie od samych założeń systemu, a więc od Ewangelii i Listów, które stanowią pierwszą księgę dydaktyczną chrześcijaństwa. Następnie wypadnie nam sięgnąć do czołowych przedstawicieli myśli katolickiej, którzy oddziaływali i oddziałują nadal na całość; szczególnie chodzić więc będzie o systemy św. Augustyna i św. Tomasza, te dwie wielkie bramy, przez które się cała prawie refleksja katolicka przecisnęła, a także innych, którzy zaważyli na dziejach pedagogiki katolickiej jak: św. Hieronim, Kassiodor i inni. Są to jakby wiązania centralne całego systemu, rozdzielone przestrzenią wieków, a jednak tak bardzo z sobą złączone i kluczowe dla zrozumienia teraźniejszości. Oczywiście trzeba i inne systemy

¹⁾ Szeroko uzasadniamy je w zapowiadanej pracy.

ogólne uwzględnić. Dla naszych zaś czasów mamy oficjalne wypowiedzi Kościoła szczególnie pierwszą, wyłącznie tej sprawie poświęconą encyklikę Piusa XI o wychowaniu. Na tej podstawie można będzie ustalić wspólną treść całej katolickiej ideologii wychowawczej i jej ewentualną ewolucję. Czy jednak treść ta rzeczywiście przejawia się w różnych konkretnych systemach — to będzie można wyjaśnić dopiero na podstawie studiów porównawczych, przeprowadzonych na wybranych, typowych autorach i systemach ideologii poszczególnych.

Dalszym problematem będzie zbadanie, czy i na ile wpływały na treść i strukturę tej ideologii ogólnej i jej ewolucję konkretne prądy historyczne, interesy grup, ambicje jednostek itp. Wyjaśnienie tego zagadnienia w tym wypadku będzie niewątpliwie też ważnym przyczynkiem do rozwiązania problemu ideologii jako takiej, a szczególnie zadawnionego sporu między idealistyczną i realistyczną interpretacją.

Praca nasza, jak już zaznaczyliśmy, nie ma charakteru apologetycznego lecz czysto badawczy i dąży do tego, by jej wyniki stały się dostępne i dla tych, którzy sami nie stoją na gruncie światopoglądu chrześcijańskiego.¹⁾

¹⁾ Rozważania nasze różnią się pod tym względem od tego podejścia do katolickiej ideologii wychowania, które ma wydawany przez ks. dr Wojtukiewicza w Wilnie dwumiesięcznik pedagogiczny *Ku szczytom*. Pismo to służy niewątpliwie niemniej potrzebnej wewnętrznej propagandzie i pogłębieniu przekonanych już wyznawców, znających już życie nadprzyrodzone. Nam chodzi jednak o wyniki możliwe wolne od założeń światopoglądowych i dlatego dla wszystkich dostępne.

Dr Andrzej Niesiołowski.

Przyszłość ujścia Renu.

Między Holandią i Belgią istnieją niezaprzeczalne różnice, które uwypuklają się w toku powszedniego życia. Doprowadziły one do częstych a długotrwałych zatargów, wiskających na dziejowym szlaku sąsiedzkie stosunki obu narodów. Jakkolwiek wspomniane tylko co ważnie i spory pogłębiały coraz więcej istniejące już i bez nich wyraźne przeciwieństwa, pomimo tego w ramach skali międzynarodowej mogło chodzić tu co najwyżej o jakieś cienie i odcinienie, takie jakie zawsze spotykamy w obrębie każdej wielkiej społeczności narodowej. Rozbieżność typów istniejąca pomiędzy Belgijczykiem a Holendrem nie jest większa, aniżeli odrębność cech wyróżniająca Niemca północnego od południowego, Szkota od Anglika, czy wreszcie *gens du nord* od *méridionaux*. Zwłaszcza przykład niemiecki ma tutaj swój odpowiednik. W istocie bowiem nieco przyciężki, poważny, do przesady czysty, do fanatyzmu pracowity, a przy tym skrupulatny i nie pozbawiony pruderii Holender, odgrywa właśnie rolę północnego Niemca w stosunku do Belgów, którzy nie darmo przeszli szkołę hiszpańsko-austriacką i, ze swoją lekkomyślnością, fantazją, niedbałością, skłonnością do wybuchów i do zmysłowej rozkoszy, odpowiadają w naszym zestawieniu mieszkańcom Niemiec południowych. Chcielibyśmy przy tym podkreślić z naciskiem, że zasięg różnic zachodzących w danym razie w typach charakteru narodowego nie pokrywa się ani z układem językowych granic, ani z odrębnością wyznaniową. Wyżej naszkicowany obraz Belgii zgadza się z rzeczywistością zarówno w zastosowaniu do Flamandów jak do Wallonów, wizerunek Holandii obejmuje katolików na równi z protestantami.

Poprzez wszelką wszakże odmienność rysów wybija się na plan pierwszy głęboko sięgająca nić wspólnoty, która wiąże mieszkańców ziem „obojga Niderlandów”. Albowiem należy tu stwierdzić, że odskocznią dla zderzających się ze sobą wzajemnych przeciwieństw stanowi kolisko codziennego życia, podczas gdy wszystkie pierwiastki łączności ujawniają się na tle podstawowych dziedzin obustronnego państwowego oraz narodowego bytu. (Zastrzegamy tu sobie prawo wyprowadzenia w późniejszych rozważaniach praktycznych wniosków z tego dwoistego faktu).

Przy kształtowaniu bowiem własnej narodowości Holendrzy mieli do czynienia z podobnymi założeniami jak Belgowie, opierali się na podobnych podstawach i mieli podobne przeszkody do zwalczenia. Wiadomo przecież, że z jednakowych przyczyn wynikają jednakowe skutki. Słoczona gęsto na ciasnej przestrzeni rzesza ludzka zamieszkuje od tysiąca z górą lat tak północ jak południe Niderlandów. Przedsiębiorczość i zapobiegliwość tych ludzi, ich zmysł gospodarczy obok umiejętności oszczędzania sprawiły, że zdołali oni nie tylko przełamać szczupłe granice przyrodzonych możliwości, ale nawet znacznie je poszerzyli. Z tego zwycięstwa wyniesiono jasno uświadomione samopoczucie własnego ludzkiego bytu, opierając równocześnie poczucie wolności na podstawach osobiście dokonanego i świadomego czynu. Tak Holendrzy jak Belgowie trzymają się pewnego ustalonego kompleksu życiowych norm etycznych, zarówno duchowych jak materialnych, ale norm tych nie zawdzięczają ani łasce panującego ani też przynależności do jakiego bądź światowego mocarstwa. Zbobyli je sobie własnym swym wysiłkiem w walce podjętej przeciwko książęcemu samowładztwu oraz przeciwko dążeniom do wcielenia ich krajów w obręb granic tego czy innego wielkiego a obcego państwa. Obydwa narody wzbogaciły się na drodze handlowej, obydwie też obróciły wzrok swój na morze i w żeglarskim narodzie angielskim znalazły naturalnego sojusznika oraz przyjaciela. Inaczej niżli Francuzi, niżeli Niemcy czy Hiszpanie, przyjaciel angielski nie żywił nigdy żadnych ubocznych względów terytorialnych, owszem, porękę jego życzliwości dla krajów „obojga — Niderlandów” stanowił niewyciężony

po wszystkie czasy argument, którego treść wyraża się krótkim słowem: interes.

A dzisiaj, więcej niż kiedykolwiek bądź, ogół ważniejszych interesów związał zobopólnie Belgię z Holandią oraz obydwie te państwa z Królestwem Brytyjskim. Wszystkie trzy wymienione kraje wyznają wspólne ideały rozumnej swobody, poszanowania ludzkiej osobowości oraz obyczajowości zachodnio - chrześcijańskiej, posiadają nadto jednakowy ustrój państwowy w formie konstytucyjnej monarchii przy takich samych podstawach życia gospodarczego w postaci wielkiej wytwórczości przemysłowej oraz opasującego kulę ziemską handlu światowego. Nadmienić tu należy, że obydwie wymienione ostatnio czynniki opierają się na wolnym obrocie handlowym, nie podlegającym żadnym ograniczeniom, obok tego zaś na posiadaniu zagranicznych źródeł surowców tj. kolonij. Postępy w dziedzinie społecznej dokonały się w omawianych państwach bez owych szkodliwych wstrząsów, które tak często naruszają życiowo równowagę w egzystencji całych narodów. Poza tym każdy z tych krajów posiada stan robotniczy, świadomy prawdziwego ducha narodowej jedności oraz rzeczywistego tejże jedności znaczenia, a dzięki temu zabezpieczony od pokusy zaprzędania się w niewolę najniedorzeczniejszym chimerom. Na koniec wreszcie Anglicy, Belgowie oraz Holendrzy, wszyscy razem, posiadają wspólnie cnotę, którą jedynie w dzisiejszych czasach, a więc w epoce przemocy i gwałtownych przewrotów, zdołano zepchnąć do rzędu politycznego występku, cnotą tą jest waleczna i ofiarna gotowość do obrony własnej ojczyzny oraz jej niezależnego bytu z równoczesnym wszakże uchyleniem wszelkiego militarizmu, wszelkiej koszarowości, traktowania społeczeństwa niby stada baranów, jako też brania wszystkiego pod jedną miarę i strychulec.

Zasadnicze cele wspólnej polityki.

Wybitny myśliciel flamandzki, Max Lamberty, autor książki oświetlającej rolę idei, jako czynnika dziejowego, z ogromną trafnością wywiódł w dziele swym wnioszek, że żaden proces polityczny nie dokonał się nigdy bez udziału ideowej siły pędnej; i że poza zasłoną zewnętrznych zda-

rzeń, spowodowanych na pozór wkroczeniem na scenę sił dzikich i brutalnych, daje się wyczuć zawsze jakiś duchowy bodziec, jakiś ideologiczny silnik napędowy. Najzdolniejsi generałowie, najodważniejsi żołnierze nie zdołają dokonać nic trwałego, o ile nie walczą w imię swoich przekonań. W przeciwnym razie powstają co najwyżej krótkotrwałe twory na kształt zdobywczych państw, powołanych do życia przez koczowniczych władców azjatyckich: Hunnów, Awarów i Mongołów; dalej zaś na kształt owych tak szybko rozpadających się królestw afrykańskich zbudowanych na przemocy. Z drugiej strony dalekosiężna wspólnota myślowa prowadzi nieuchronnie do powstawania związków politycznych. Przebrzmiała już bezduszna formułka, datująca się z 18 i 19 stulecia, a głosząca, że choćby cała przepaść duchowych różnic i nienawistnych wstrętów dzieliła dwa narody, okoliczność ta przecież bynajmniej nie przeszkadza powstawaniu pomiędzy tymi narodami sojuszków z pobudek wyłącznie utylitarnej natury, owszem w myśl powyższej zasady oraz ostatnio wymienionych przyczyn, narody takie będą przyłączać się do jednych i tych samych związków, czy ugrupowań międzynarodowych i międzypaństwowych. Najświeższe doświadczenia minionej doby zadały wszakże zasadniczy kłam przytoczonemu twierdzeniu. Widzieliśmy bowiem, jak w niepowstrzymanym pędzie dziejów wypadki rozsadziły dwa wielkie mocarstwa: rosyjskie oraz habsburskie, ponieważ obydwu tym państwom nie dostawało niezbędnego spoiwa o wewnętrznej treści ideowej. Widzieliśmy również jak w wyrocznych dziejowych chwilach rozbijały się przymierza w rodzaju *alliance franco-russe* (pomiędzy carską Rosją a republikańską Francją) albo w rodzaju sojuszu wolnomularskich Włoch z katolicką Austrią, podczas gdy wręcz przeciwnie: ideologiczne pokrewieństwo skuwa dzisiaj wspólnym ogniwem losy hitlerowskich Niemiec z Italią Benita Mussoliniego, pociąga i zbliża Francję ku Stanom Zjednoczonym Ameryki, pomimo wszelkich różnic ujawniających się niezależnie od tylko co wymienionych zjawisk.

O historycznych, geograficznych, politycznych i gospodarczych podobieństwach istniejących pomiędzy Belgią a Holandią, wolno nam zawyrokować przynajmniej tyle, że

wspomniane pierwiastki wspólnoty mogłyby stanowić na przyszłość poważną podwalinę pod praktyczną współpracę obu narodów, — o ile trzeźwe rozpatrzenie wszechświatowego położenia wykazałoby w ogóle zasadniczą możliwość rzeczonej współpracy. Jeżeli przy tym jej konkretna postać oraz zakres mają stać się przedmiotem naszych rozważań, przyjdzie również wziąć pod uwagę i przeszkody wynikające z obustronnych różnic w charakterze narodowym, różnic, które podobnie jak i rysy wspólne powstały pod wpływem przyrodzonych warunków miejscowych jako też pod działaniem czynników historycznych.

Należy zatem najpierw zbadać, czy z pominięciem motywów o charakterze bardziej ogólnym — istnieją dla Belgii wraz z Holandią inne jeszcze aktualne pobudki, skłaniające obydwie kraje do zacieśnienia wzajemnych stosunków? W dalszym zaś ciągu należałoby rozważyć: w jakich dziedzinach oraz w jakim stopniu miałyby się to zacieśnienie stosunków dokonać?

Najpobieżniejsze nawet zetknięcie się z polityczną współczesnością wskazuje na to, że wszystko w dzisiejszej Europie znajduje się w stanie płynnym. Zapewne nigdy nie byliśmy tak jak dzisiaj oddaleni od wszelkiej stabilizacji. Dynamiczne państwa dyktatorskie trwają ustawicznie w zaczepnej postawie, atakującej *status quo* w każdej dziedzinie bez różnicy — czy odnosi się on do zagadnienia państwowych granic, czy też do światopoglądu obywateli. Każdy rok, każdy miesiąc lub dzień mogą zaskoczyć świat nowymi niespodziankami, przy czym nie sam fakt tych niespodzianek, jeno ich przedmiot okaże się najbardziej nowym oraz najmniej oczekiwanym. Znaleźliśmy się obecnie w samym wirze walki, którą prowadzą wszyscy przeciwko wszystkiemu, w kręgu takiego *struggle for life*, w którym jedynie najdzielniejsi utrzymują się na powierzchni. Dokonywa się zatem dobór jednostek zdolnych do życia. Próżno przeciwko takiemu stanowi rzeczy wychodzić ze skargą, próżno też ukrywać głowę w piasku. Narody i państwa gromadzą zewsząd zasoby odporności i mocy; czerpią je z własnych rodzimych źródeł, ponadto zaś z łącznego wysiłku i współdziałania ze sprzymierzeńcami jednomyślnymi

lub powiedzmy raczej z takimi, których związały z sobą widoki jednakowych korzyści albo jednakowego niebezpieczeństwa. Wprawdzie najmocniejszym jest ten, kto sam się ostać potrafi. Za to jednak ci słabsi i ci naprawdę słabi poznają wcześniej czy później słuszność prastarej prawdy, głoszącej, że siła leży w jedności — oczywiście, tylko wtedy, gdy każdy dokłada ze swej strony bodaj najskromniejszy wysiłek na rzecz wspólnego celu. Albowiem z niczego nie powstaje nic, prócz nicości. I jeżeli nawet chmara zająców nie zdoła uśmiercić psa, to znowu przeciwnie: sfora dzielnych psów myśliwskich z pewnością da radę choćby i najgroźniejszemu odyńcowi...

Skoro obecna epoka dokonała niszczycielskiego dzieła w zakresie wszystkich dotychczasowych tradycyjnych punktów oparcia, każdy naród myśli przede wszystkim o obronie niezbędnej dlań przestrzeni do życia jako też własnych praw życiowych oraz właściwych mu form bytowania, myśli również i o pozyskaniu sobie sprzymierzeńców, z którymi łączyłyby go węzły nie tylko ideowej sympatii, ale nadto także realnej i wspólnej korzyści. W wypadku belgijsko-holenderskim zachodzi niemal zupełna tożsamość celów w dziedzinach spraw militarnych oraz polityki zagranicznej. Byłyby to cele obronnej natury, przynajmniej w rozumieniu państw środkowo-europejskich, zwłaszcza tych „sytych” i „posiadających” materialne oraz kulturalne bogactwa. Można by w sposób wielce banalny ująć wspomniane cele austriacką formułką *seine Ruhe haben*, inaczej mówiąc: chodziłoby o dążenie do zapewnienia sobie „świętego spokoju”. W danym razie Holandia i Belgia nie zdradzają wobec innych państw żadnych szczególniejszych uroszczeń, życzą sobie wszakże, ażeby uszanowano ich pełną niezależność oraz oszczędzono im jakiegokolwiek bądź udziału w waśniach pomiędzy wielkimi mocarstwami; ażeby pozwolono im utrzymać w całości nienaruszone granice zarówno ziem ojczystych jak kolonialnych oraz zachować ustrój wypróbowany wieloletnim doświadczeniem. Tutaj należy jeszcze zastrzeżenie, że żadne z państw sąsiedzkich i pod żadnym pozorem nie może wkroczyć swymi wojennymi siłami na terytorium czy to Belgii, czy Holandii, oraz,

że kraje te nie życzą sobie widzieć u siebie żadnej politycznej propagandy, ani faszystowskiej ani folksfrontowo-komunistycznej.

Zewnętrznej polityce o wyżej wymienionym charakterze winnoby przysługiwać miano „neutralności aktywnej”; ponadto określilibyśmy ją jako warunkową, dobrowolną oraz czasową w przeciwieństwie do wieczystej i zasadniczej neutralności Związku Szwajcarskiego, w przeciwieństwie również do obowiązkowej neutralności, jaką z tytułu międzynarodowego prawa narzucono niegdyś Królestwu Belgijskiemu a jaka przestała zresztą istnieć wraz z początkiem wielkiej wojny światowej. Belgia oraz Holandia, wzięte każda oddzielnie, nie rozporządzają dostatecznymi środkami dla ochrony takiego odosobnienia w obliczu pozostałego europejskiego bloku; połączenie natomiast ich sił w jedno powiększyłoby już w znacznej mierze wspólne zdolności obronne obu krajów; jeżeli zaś jeszcze i Królestwo Brytyjskie wystąpi w tej sprawie w charakterze poręczyciela oraz „cichego współnika” w sojuszu, wówczas przyjdzie spojrzeć na omawianą belgijsko-holenderską neutralność jako na fakt zgola nieunikniony, rysujący się na tle obrazów przyszłości tj. przyszłych europejskich przesileń.

Czyż zaprawdę potrzeba wyłuszczać długo i szeroko wszystkie polityczne i militarne korzyści, jakie mogłyby wyniknąć z podobnego współdziałania obu krajów? Kraje te przedstawiają same przez się terytorium wprowadzić niewielkie, ale dające objąć się i zamknąć wspólną linią obronną; nadto Belgia oraz Holandia mogą służyć sobie nawzajem za obronne szanse, względnie za tylne pozycje w razie jakiegos nieprzyjacielskiego napadu. Współdziałanie zjednoczonych belgijsko-holenderskich sił zbrojnych dałoby się urzeczywistnić bez większych trudności, zważywszy na istotną łatwość językowego porozumienia się oraz na podobny ustrój obu wspomnianych armii. Ostatnie miesiące przyniosły coraz dalej postępujące zespolenie także i w zakresie tzw. „frontu duchowego”. Ani w Belgii, ani w Holandii, ani wśród społecznej elity tych krajów, ani wśród szerokich warstw ich ludności, nie zdołalibyśmy wykryć pierwiastków napastliwie wrogiego usposobienia względem którego bądź

z wielkich sąsiadów. Tak w jednym państwie jak i w drugim istnieje jednak niezłomne postanowienie odparcia każdego obcego najścia czy napadu, chociażby fakt podobny ograniczał się wyłącznie do ideologicznej dziedziny.

Belgia uwolniła się od jednostronnego powiązania swoich losów z Francją; z drugiej zaś strony ani belgijscy Flamanndzi, ani Holendrzy, nie myślą wcale czy o połączeniu się z Niemiecką Rzeszą, czy o jakiej bądź wrogiej postawie wobec Francji. Obydwa kraje ujawniają zasadniczą skłonność ku współpracy neutralnych państw środkowych, co wszakże — jak wykazało doświadczenie z norweskimi protokołami (Oslo) — nie przedstawia wielkich widoków powodzenia w godzinie przypuszczalnego przesilenia. Tak więc jeżeli chodzi o pewność i rękojmię w sprawie poszanowania belgijsko-holenderskich granic — na wypadek gdyby dokoła nich rozszalała wojenna zawierucha — wszystko sprowadza się w danym razie do zagadnienia zbrojeń obu państw niderlandzkich oraz do wzajemnego między tymi państwami porozumienia, które by już zawczasu, za dni pokoju, unormowało wspólną taktykę obronną. Jasnym jest, że nawet takie przygotowania nie mogą zapewnić tutaj bezwzględного bezpieczeństwa. Zmniejszają wprowadzić istniejące ryzyko, ale nie usuwają go całkowicie. Zawsze jeszcze trzeba będzie liczyć się z możliwością pogwałcenia neutralności nawet i wtenczas gdyby przymierze „obojsza Niderlandów” stało się już dziełem dokonanym. I wtenczas bowiem wystarczyłoby, ażeby wspomniana możliwość wchodziła w zakres strategicznych planów któregośkolwiek z wielkich mocarstw. (Pozory przecież znajdują się tak łatwo, zawsze i wszędzie). Brak szczerości byłby na tym miejscu rzeczą zupełnie niewłaściwą. Toteż należy tu stwierdzić, że w razie czynnego wystąpienia Wielkiej Brytanii w ewentualnym zatargu politycznym, utrzymanie neutralności przedstawiałoby dla Belgii wraz z Holandią ogromną trudność i zaledwie można by się odważyć na doradzenie im czegoś podobnego. Inna rzecz, gdyby wojenne działania na Zachodzie ograniczyły się wyłącznie do walki francusko-niemieckiej, wtenczas przestrzeganie jako też i poszanowanie w obliczu tej wojny ściśle bezstronnej i bezinteresownej postawy Holandii i Bel-

gii, winnoby przede wszystkim stać się ze strony tychże państw przedmiotem jak najusiłniejszych starań, zabiegów oraz żądań.

Konieczność solidarnego nastawienia w stosunku do W. Brytanii narzuca się już choćby ze względu na zagadnienie kolonialne. Pomijamy pewniki tak powszechnie wiadome, jak nieodzowność Konga dla Belgii lub Indyjskiego Archipelagu dla Holandii. Również i to leży przed nami jak na dłoni, że bez brytyjskiego poparcia nie udałoby się w razie potrzeby obronić ani belgijskich posiadłości w Afryce ani kolonii holenderskich. (Cóż mówić dopiero o jakimś wrogim wystąpieniu przeciwko Anglii!) Jeżeli do tego jeszcze dodamy, że wszelki zamach bądź na Kongo, bądź na wyspy Sundajskie, mógłby wyjść wyłącznie ze strony tych mocarstw, które albo układami są związane z Anglią, albo też wiodą z nią spór jawny i otwarty, — tym samym w zupełności wykażemy jak bardzo ważną i zasadniczą sprawę przedstawia ewentualne uzgodnienie pomiędzy sobą tych trzech politycznych kierunków: brytyjskiego oraz połączonych belgijsko-holenderskiego. „Nie idąc ślepo za Londynem, nigdy nie występować przeciwko Anglii” — Belgia z Holandią winny w takiej właśnie zasadzie zawrzeć swą działalność na międzynarodowej arenie. Jasnym jest przy tym, że brytyjski partner będzie się liczył nierównie więcej z powagą belgijsko-holenderskiego sojuszu, aniżeli z każdym z tych państw oddzielnie, gdyby zechciały one — pomimo wszystkiego, co powiedzieliśmy wyżej — działać na własną rękę.

Wewnętrzne korzyści sojuszu.

Oprócz niezawodnych korzyści w ramach polityki zagranicznej, współpraca Belgii z Holandią przedstawia bardzo dodatnie widoki także i w wewnętrznym zakresie obu krajów. Doświadczenie ostatnich lat pouczyło nas w dostatecznej mierze o zjawisku wzajemnego przenikania się wydarzeń narodowych i międzynarodowych. Wystarczy tu przypomnieć, jak dalece wpłynął na pojednanie Flamandów z ideą belgijskiej państwowości zwrot, który dokonał się w kierunku dyplomacji belgijskiej. Podobnie układ pomiędzy Brukselą a Hagą mógłby przyspieszyć w wysokim

stopniu dalszy rozwój tylko co wspomnianego zagadnienia. Przyjazny i bratni stosunek obu narodów odebrałby wszelkie agitacyjne chwytły i materiały skrajnym czynnikiem flamandzkim, które aniby nie potrafiły aniby nie chciały okazać się — *plus catholique que le pape*: bardziej niderlandzkimi od samych Holendrów. Problem belgijski przestałby w ogóle istnieć dla Flamandów i odwrotnie: flamandzkie zagadnienie w Belgii doczekałoby się na samoczynnej drodze rozwiązania nie tylko szybszego, ale nawet pomyślniejszego dla samychże Flamandów. Pomijając niewykonalną zresztą interwencję z holenderskiej strony, już sam zewnętrzny związek polityczny „obojga — Niderlandów” przyspieszyłby zupełne równouprawnienie obydwu belgijskich narodowości.

Odpowiednio uwspółcześniony ustrój demokratyczno-parlamentarny mógłby znaleźć w omawianym sojuszu znakomite oparcie. Sojusz zaś parlamentarny mógłby wyrzucić nieoceniony powściągający wpływ na socjalistycznych działaczy obu krajów. Z drugiej znowu strony trwające wciąż na uboczu w Belgii czynniki flamandzkie byłyby skłonniejsze do współdziałania z rządem koalicyjnym. Żałobę z powodu takiego zbliżenia nosiliby co najwyżej wysłannicy Moskwy oraz Trzeciej Rzeszy. Katolicyzm za to odniósłby niewątpliwą korzyść z podobnego układu rzeczy, obiecującego Kościołowi zasięg wpływów na 12-milionową rzeszę katolików, inaczej mówiąc na ogromną większość ludności przedstawiającej łącznie liczbę 17 milionów głów. Wypadałoby także powitać z radością zetknięcie się Belgów z pogłębianym chrystianizmem holenderskich protestantów. Zjednoczenie „obojga — Niderlandów” stworzyłoby więc potęgę nie tylko polityczną ale również i duchową na drodze wzajemnego zespolenia się i zlania literacko-naukowego oraz artystycznego dorobku dwu wysokowartościowych a pokrewnych sobie kultur.

Na koniec winniśmy wziąć pod rozwagę gospodarcze wyniki, ewent. belgijsko-holenderskiej współpracy. Tutaj bowiem piętrzą się właśnie najuciążliwsze przeszkody. Unia celna czy bodaj tylko szeroko rozbudowany system „preferencyjny” wywołuje w obu krajach ostre sprzeciwy ze strony

zainteresowanych jednostek prywatnych. Belgia oraz Holandia przedstawiają dwa odgraniczone od siebie i współzawodniczące ze sobą tereny wytwórcze. Konkurencja między nimi stanowi przeszkodę w zobopólnym porozumieniu, tym więcej, że wobec różnic walutowych — a co zatem idzie i różnic w cenach — Belgia może w dzisiejszych warunkach sprzedawać swoje towary taniej, aniżeli jej północny sąsiad, który z konieczności musi żywić obawy o poziom własnych cen rynkowych, nadto zaś broni się zarówno przed dumpingiem jak i przed wwozem belgijskich towarów konkurencyjnych. Niektórzy przy tym z belgijskich wytwórców nie czują w sobie najmniejszej ochoty po temu, ażeby wyrzekać się zysków płynących z obniżenia płac oraz kosztów produkcji przy równoczesnym polepszeniu widoków zbytu. Wszystko to nie dopuszcza do ujawnienia się tych niezaprzeczonych korzyści, jakie mogłyby powstać z jednolitego dla obu narodów planu gospodarczego, jako to: wzajemne uzupełnienie wwozu towarów kolonialnych, odgraniczenie sfery handlu zewnętrznego, wreszcie wymiana produktów rolniczych i przemysłowych. Należy tu jeszcze zważyć na odwieczne w dosłownym znaczeniu — bo trwające niekiedy całe stulecia — przyczyny gospodarczych sporów, a więc najbardziej z nich wszystkich znaną sprawę traktatu *Barrière*, obok niej zaś zagadnienie nadskaldejskiej granicy. Krótko mówiąc: podczas gdy w dziedzinach politycznej oraz wojskowej nie istnieją żadne poważniejsze zastrzeżenia, przemawiające przeciwko jak najściślej szemu związkowi „obojga — Niderlandów“, owszem, można by oczekiwać od takiego zespolenia jak najlepszych wyników, — to równocześnie w gospodarczym zakresie wypadłoby zachować pewną ostrożność i doczekać się, aż chwila dziejowa dojrzeje do urzeczywistnienia tak rozległego planu. Jedno byłoby już dzisiaj nie tylko wskazane, ale nawet konieczne: w ślad za polityczno-militarnym porozumieniem winnoby pójść przygotowanie planu współpracy dla zjednoczonych finansowych „generalnych sztabów obojga Niderlandów“ i to z uwzględnieniem najpierw gospodarki wojennej — w przewidywaniu możliwych powikłań europejskich, potem zaś celem wytworzenia wzajemnej akcji poparcia dla giełdy oraz waluty, celem uło-

żenia warunków współpracy dla naczelných banków, wreszcie celem przysposobienia odpowiedniego podłoża pod przyszłą asymilację gospodarczą.

Ukształtowanie ewentualnej współpracy.

Ustaliliśmy dotąd najbardziej zasadnicze punkty z tego, co można powiedzieć na temat wartości belgijsko-holenderskiego zbliżenia oraz na temat jego wytycznych. Pozostaje nam jeszcze określić jego ramy oraz drogi realizacji, przy czym winniśmy liczyć się z nasuwającymi się z najróżnorodniejszych względów wątpliwościami. Nic bowiem nie jest w stanie bardziej zaszkodzić najsłuszniejszej samej przez się idei jak zbyt gorączkowy zapał, ognista i porywcza gorliwość, przeoczaająca przeszkody i... załamująca się na nich.

Gdy dwa narody bądź dwie społeczności znajdują się w takim położeniu, że zespół historyczno-geograficznych faktów sam przez się popycha je ku zawarciu ściślejszego związku, jednocześnie nasuwa się im do wyboru szereg najrozmaitszych stopni tej współpracy. Zgodnie z powszechnie przyjętym słownictwem prawa państwowego stopnie te będą wyrażały się jako: państwo jednolite, unia personalna cz. osobista, unia rzeczowa, federalizm, związek państw w ramach prawa międzynarodowego, wreszcie luźne porozumienie polityczne, bądź militarne. Ubiegłe czasy przechowały nam dostateczną ilość przykładów, ażebyśmy mogli osądzić na ich podstawie, która mianowicie z wymienionych form nadawałaby się najlepiej dla dzisiejszego składu rzeczy.

Całkowite zjednoczenie, zlanie się dwóch albo więcej państw w jedno może stanowić przedmiot rozważań wyłącznie tam, gdzie poczucie odrębności narodowej wygasło już u poszczególnych uczestników związku, względnie tam, gdzie miarodajna większość tychże uczestników uznała za słuszne odrzucenie takiego poczucia. Ostatnio dokonany austriacki *Anschluss*, wcześniej jeszcze przeprowadzona unifikacja Trzeciej Rzeszy, a także połączenie Mołdawii z Wołoszą w jedno państwo rumuńskie, — są to wszystko rzeczowe dowody faktu, jak poszczególne mniejsze państwa mogą zlewać się bez reszty w większe mocarstwa, nie pozostawiając

stawiając przy tym po sobie żadnych śladów ani też żadnych widoków na ponowny rozdział w przyszłości.

Unia personalna cz. osobowa z natury rzeczy wchodzi w rachubę jedynie dla ustroju monarchicznego, nie posiada przy tym żadnych cech przewrotowych. Może więc istnieć także i pomiędzy takimi krajami, które — z jednej strony — nic ze sobą nie łączy, z drugiej zaś — wspólność monarszej osoby w niczym nie krępuje. W podobnym położeniu znajdowały się do r. 1837 Anglia wraz z Hannoverem. Dzisiaj osądzonoby tę sprawę inaczej. Przede wszystkim można by uznać prawdopodobieństwo personalnej unii na południo-wschodzie Europy. Miałaby ona stanowić tam rękojmię trwałości związku dwóch państw, które przykułaby do siebie mocniej wspólność dynastii aniżeli traktaty oraz inne papierowe świstki. Myśl o unii osobowej pomiędzy Rumunią a Węgrami zaprzętała czas jakiś umysły, sądzono bowiem, że uda się w ten sposób usunąć z drogi uciążliwą przeszkodę w postaci drażliwego zagadnienia siedmiogrodzkiego. Obecnie istnieje pomiędzy Danią a Islandią unia personalna, pochodzeniem swym zupełnie różna od wyżej wzmiankowanych kombinacyj. Na tej wyspie, rzuconej na dalekie rubieże północy, uznanie dla królewskiej władzy duńskiego monarchy nie jest niczym więcej jak pewnym rodzajem grzeczności, zachowywanym w stosunku do wspomnianego władcy. Jest to wszakże grzeczność tylko „do czasu” i pozbawiona przy tym istotnej treści.

Nikt dotychczas nie roztrząsał sprawy połączenia Belgii z Holandią w jednolity twór państwowy. Zagadnienie personalnej unii tych krajów przedstawia — jak wiadomo — niekoniecznie aktualny punkt programowy, dla pewnego flamandzkiego ugrupowania, liczebnie wprowadzie niepozornego, ale górującego nad innymi potęgą duchową. Przy odpowiednio sprzyjających okolicznościach powyższa idea mogłaby stanowić koronę niezależnie od niej postępującego dzieła zjednoczenia niderlandzkich narodów. Możliwościom tym zresztą nie należy przypisywać wartości aktualnych. Wiele jeszcze wody upłynie w Skaldzie, zanim dorosną: belgijski książę — następca tronu Baldwin i holenderska księżniczka Beatrix...

Przed unią rzeczywistą przestrzegają ślady niezapomnianej przeszłości. Jesteśmy jeszcze zbyt blisko lat: 1815, 1830 i 1839, ażebyśmy zdołali nie pamiętać o owej *incompatibilité d'humeur* jaka zawsze dawała się odczuć w wyniku zbyt ścisłej zażyłości Belgów z Holendrami. Zanadto bowiem różnią się od siebie charaktery obydwu narodów; nawet Flamandzi zbytńio odbiegają od Holendrów w typie codziennego życia, ażeby wspólnota rządów, tak głęboko to życie przenikająca, mogła być tutaj rzeczą pożądaną i wskazaną. Zamiast zbliżenia otrzymalibyśmy w skutkach raz jeszcze rozbudzoną a gorzką nienawiść.

Wkraczamy na teren politycznej rzeczywistości, gdy zaczynamy mówić o federalizmie, o związku państw, bądź o luźnym porozumieniu między narodami i państwami. Od dalszego rozwoju politycznych wydarzeń będzie zależeć wskazanie, ku której z trzech wymienionych hipotez wypadnie przede wszystkim dążyć. Postronny obserwator pozwala sobie — z całą obowiązującą go na tym miejscu skromnością — dać wyraz swemu wrażeniu, że najlepsze rozwiązanie zagadnienia „dziejowego jutra“ przedstawiałby dla przyszłych Wielkich Niderlandów ustrój federalny, dzisiaj — oczywiście — najzupełniej przedwczesny, nadto zaś zawierający w swym założeniu warunek uprzedniego pozyskania dla tej sprawy Belgów wallońskich, co znowu zależy od całkowitego wyrównania narodowościowych antagonizmów w obrębie samej Belgii. Gdyby z czasem miało rzeczywiście przyjść do federalizmu, byłaby to naprawdę najlepsza postać państwowego ustroju, pozwalająca z jednej strony zachować jedność Belgii, z drugiej zaś — ochronić związek i łączność flamandzko-holenderskiej kultury w ramach nowego państwa: Wielkich Niderlandów. Państwo zaś to, mając w swoim rozporządzeniu: wzrastającą liczebnie ludność, zasoby materialne, wysoką kulturę, oraz bogate kolonie obok innych geo-politycznych możliwości, musiałoby niebawem wznieść się do szeregu wielkich mocarstw, a nawet stanąć w rzędzie mocarstw światowych.

Dumna to i wspaniała pieśń przyszłości! Tymczasem wszakże dzisiejsze nakazy brzmią: Przygotowanie przyszłego związku Belgii z Holandią na drodze rzeczywistej współ-

pracy we wszystkich dziedzinach życia politycznego, woj-skowego oraz gospodarczego. Należałoby zatem planowo usuwać przeszkody oraz uprzedzenia mogące po jednej albo po drugiej stronie hamować robotę; dążyć do wzajemnego poznawania się obu narodów; oczyszczać teren dla sprawy zobopólnego zbliżenia od wewnętrznej i politycznej walki językowej pomiędzy Flamandami a Wallonami; wreszcie podkreślać wszelkie łączące węzły oraz czynniki istniejące pomiędzy obydwoma narodami, mianowicie: w dziedzinie kultury, w ukształtowaniu życia, w pokrewnych warunkach bytu. Wszystkie zaś te wysiłki powinny być podjęte w tym celu, ażeby Belgia wraz z Holandią — skoro wybije godzina niebezpieczeństwa — mogły bronić wspólnymi siłami swego istnienia i swojej wolności, zamiast narażać się w pojedynkę na najwyższe niebezpieczeństwo, a nawet w końcu na utratę swej niepodległości. W perspektywie zjednoczenia jawi się pochód obu narodów ku owej świetnej wspólnej przyszłości, do której przeznaczyły je niemniej świetne dni wspólnie przeżytych, minionych epok.

Dr F. Bifnicki.

Duchowny jako świadek w sądzie.

Kodeks postępowania cywilnego (Kpc.) stanowi w art. 284 ust. 2: „Świadcami nie mogą być: duchowni co do faktów, powierzonych im na spowiedzi lub pod tajemnicą duchowną”.

Kodeks postępowania karnego (Kpk.) ujmuje wężej odstępstwo od obowiązku świadczenia w odniesieniu do osób duchownych. I tak art. 101 ust. a) tego kodeksu stanowi:

...Nie wolno przesłuchiwać jako świadka: duchownego co do faktów, o których dowiedział się na spowiedzi.

Gdy więc Kpc. zakaz przesłuchiwania duchownych rozciąga zarówno na fakty ujawnione na „spowiedzi” jak i na fakty powierzone duchownym „pod tajemnicą duchowną”, to Kpk., idąc w tej mierze za wzorem rosyjskiej ustawy postępowania karnego (art. 93 i 704), zakaz ten ogranicza li tylko do faktów pierwszej kategorii, tj. powierzonych duchownemu „na spowiedzi”.

Jakkolwiek najwyższym celem procesu karnego jest ujawnienie prawdy materialnej, — tym więc należy tłumaczyć przepisy nakazujące możliwe wyzyskanie wszystkiego, co ku temu celowi zdąża, względnie może być do tego przydatne, — to jednak ustawy postępowania karnego zazwyczaj takiego ograniczenia w stosunku do osób duchownych nie wprowadzają.

Niemiecka ustawa postępowania karnego w § 53 (dawny § 52) zestawia osoby duchowne pod tym względem na równi z obrońcami, adwokatami i lekarzami, przyznając im wszystkim prawo odmówienia zeznania, co do tych wszystkich okoliczności, które zostały im powierzone z racji ich zawodu. W szczególności, gdy chodzi o osoby du-

chowne, przywilej ten obejmuje wszystko to, „co zostało im powierzone przy wykonywaniu duszpasterstwa” (*der Seelsorge*). Ustawa austriacka idzie dalej i w § 151 nie zezwala pod nieważnością słuchać jako świadków:

...duchownych co do tego, co im powierzono na spowiedzi albo w inny sposób pod warunkiem dyskrecji urzędu duchownego (*oder sonst unter dem Siegel geistlicher Amtsverschwiegenheit*).

We Francji, jakkolwiek *Code d'instruction criminelle* nie zawiera żadnego przepisu, który by zwalniał osoby duchowne od obowiązku zeznawania w charakterze świadka, to jednak praktyka poszła w tym właśnie kierunku, przyznając duchownym tego rodzaju przywilej. W oparciu o dawny konkordat, który zapewniał religii katolickiej ochronę ze strony państwa, przyjęto, że tym samym musi być chronione i stosowane „to wszystko, co z konieczności pozostaje w związku z wykonywaniem praktyk tej religii”.¹⁾ Idąc po tej linii, nawet po zerwaniu konkordatu, zrównano z wiadomościami, które zostały powierzone osobie duchownej na spowiedzi, te wiadomości, które wprawdzie nie zostały uzyskane na spowiedzi, jednak „z uwagi na tajemnicę, chroniącą spowiedź” muszą uchodzić za „dalszy ciąg i uzupełnienie spowiedzi”. Cubain,²⁾ który zresztą obowiązkiem zawodowym uzasadnia zakaz zeznawania, a nie tylko prawo nie zeznawania,³⁾ użycza równej ochrony temu wszystkiemu, o czym duchowny dowiaduje się, jakkolwiek poza spowiedzią, jednak przy wykonywaniu swych kapłańskich funkcji. Chodzić może np. o odkrycia, poczynione osobiście przy chorym, któremu kapłan niesie pociechę religijną.⁴⁾ W jednym z orzeczeń Tryb. kasacyjnego (z 31 marca 1841) przyznano taki sam przywilej wiadomościom, jakie otrzymał biskup przy okazji kościelnego dochodzenia dyscyplinarnego.⁵⁾ Cubain⁶⁾ uogólnia to orzeczenie w tym

¹⁾ Zob. Hélie: *Traité de l'Instruction Criminelle*, 1866 — 67, III 569, 570, oraz *Cour de cassation* 30 Nov. 1810.

²⁾ *Traité de la procédure devant les cours d'assises*, 1857.

³⁾ *Incapacité, a nie dispense*, op. cit. Nr 458.

⁴⁾ Op. cit. 460.

⁵⁾ Chodziło o nazwiska osób pokrzywdzonych niemoralnym zachowaniem się duchownego.

⁶⁾ Op. cit. 463.

sensie, że przywilej ten dotyczy wszystkiego, co jest przedmiotem rozważań w postępowaniu dyscyplinarnym.

W Anglii, gdzie reformacja zerwała związek z tradycją ochraniającą tajemnicę spowiedzi, praktyka pod tym względem jest na ogół chwiejna. Zasadniczo atoli przejawia się i tutaj wyraźna niechęć do wykorzystywania tego rodzaju wyznań, które nie zostały złożone z całkowitą swobodą dla celów sądowych; takie wypowiedzenia nie mają służyć za dowód. Tak np. uznano za wątpliwe dopuszczenie zeznania w kwestii przyznania się dokonanego przez katolika przed protestanckim duchownym. Orzeczenie powyższe posłużyło do poparcia poglądu o konieczności ochrony tajemnicy spowiedzi.¹⁾ Inaczej Stephen (Digest, art. 117 u. p. 180 nn.), który poczytuje za obowiązujące prawo, że lekarze i duchowni mogą być zmuszeni do ujawnienia wiadomości *made to them in professional confidence*.

W Szkocji natomiast przestrzega się ściśle dawnej tradycji, wykluczając wszelkie zeznania duchownego co do *confessions, made to him in the course of religious visits or for the sake of spiritual consolation*; uważa się, że zeznanie takie byłoby sprzeczne z celem kary, jakim jest poprawa przestępcy. Podobnie w niektórych państwach Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, które za wzorem ustawy nowojorskiej zabraniają duchownym wszelkich obrządków ujawniać wyznania, które zostały uczynione przed nimi w ich *professional character in the course of discipline enjoined by the rules or practice of such denomination*.²⁾

Stanowisko, chroniące nie tylko tajemnicę spowiedzi, ale również tajemnicę „zawodową” w stosunku do osób duchownych, wydaje się w pełni uzasadnione i celowe.

Stanowisko takie bowiem nie tylko odpowiada pogładowi Kościoła, który ujmuje Mascardus w następujących słowach: *Confessio coram sacerdote, in poenitentia facta, non probat in judicio, quia censetur facta coram Deo*, — ale znaj-

¹⁾ Zob. Glaser: *Engl.-schottisches Schrafverfahren* 68, uw. 2.

²⁾ Zob. Greenleaf: *A Treatise on the Law of Evidence*, 1846 2 Rev. St. 406 § 72.

duje również głębokie uzasadnienie rzeczowe z punktu widzenia należytej pojętej polityki prawa.

Jak wiadomo, jednym z doniosłych zadań ustawodawstwa jest rola wychowawcza w stosunku do społeczeństwa, oddziaływanie na nie w sensie umoralniającym. Stąd już wypływa nakaz poszanowania obowiązku zawodowego świadka. Osoba, która z mocy swego zawodu obowiązana jest do milczenia, do zachowania w tajemnicy tego, o czym się dowiedziała przy wykonywaniu swego zawodu, względnie w związku z jego wykonywaniem, nie powinna być zniewalana przez prawo do postąpienia wbrew temu obowiązkowi gdy występuje w charakterze świadka. A następnie, ochronę tajemnicy zawodowej duchownego uzasadnia postulat szanowania życia wewnętrznego, a zwłaszcza religijnego jednostki. Skoro jednostka odczuwa potrzebę uzewnętrznienia, wyjawienia najtajniejszych momentów swego jestestwa przed duchownym, i to nie tylko pod tajemnicą spowiedzi, i skoro jej religia do tego ją zachęca, prawo nie powinno stawiać tutaj przeszkód w postaci norm, nakazujących ujawnienie tego wyznania przy okazji składania zeznań przez duchownego w charakterze świadka. Tego rodzaju nakaz, względnie dopuszczenie tego rodzaju możliwości, stanowi bowiem z natury rzeczy ważką przeszkodę w zaspokajaniu potrzeby każdego religijnego człowieka: by w sprawach własnego sumienia mógł obcować z swym duchownym bez żadnych zastrzeżeń, zwłaszcza w tym zakresie w jakim jest to konieczne lub pożądane ze względu na cele religijne. A wreszcie za ochroną tego rodzaju tajemnicy przemawia obowiązek państwa wobec Kościoła, zwłaszcza tam, gdzie wzajemne stosunki obu tych instytucji ułożone zostały w drodze konkordatu w sensie przyjaznym, gdzie wzajemne ich interesy uchodzą za zbieżne, tam nie może państwo zniewalać do naruszenia obowiązku kościelnego, do zlekceważenia nakazu, zobowiązującego w regule duchownego pod rygorem kar kościelnych do zachowania w tajemnicy tego wszystkiego, o czym się dowiaduje przy wykonywaniu swych funkcji duszpasterskich¹⁾.

¹⁾ Zob. np. C. J. C. Can. 364, 889, 1105, 1106, 1757, 2144, 2369 § 1 i in.

Inne jest zagadnienie, co należy rozumieć przez tajemnicę zawodową duchownego, względnie, jak się wyraża Kpc., przez „tajemnicę duchowną”. Czy tego rodzaju tajemnica winna się rozciągać na wszystko, o czym duchowny dowiadyje się dzięki swemu stanowisku jako duchowny, czy też tylko na to, co pozostaje w związku z aktami (czynnościami) duszpasterstwa? Należałoby odpowiedzieć twierdząco na to ostatnie pytanie. Ograniczeniu takiemu bowiem nie stoją na przeszkodzie względy powyżej przytoczone, natury wychowawczo-religijnej, z drugiej zaś strony przemawiają za nim cele państwowej pieczy prawnej, a zwłaszcza interes, któremu służy proces karny.

„Pod tajemnicą duchowną” winno zatem pozostawać, a tym samym powinno być wyłączone z pod obowiązku ujawnienia przed sądem przy zeznawaniu duchownego w charakterze świadka, to wszystko, co doszło do wiadomości duchownego przy pełnieniu przez niego służby duszpasterskiej. Nie chodzi więc tutaj tylko o to, co zostało mu powierzone przy spowiedzi, ale zwolnienie od obowiązku świadczenia winno się rozciągać na wszystkie wiadomości, względnie zwierzenia, jakie zostały uczynione podczas lub w związku z wykonywaniem przez niego czynności duszpasterskich. Zwolnienie takie nie będzie się więc odnosić do tych faktów, względnie wiadomości, o jakich się dowiedział, względnie jakie otrzymał duchowny nie jako duszpasterz, lecz w innym, chociażby urzędowym charakterze, np. jako zastępca gminy kościelnej (parafii) albo jako urzędnik stanu cywilnego. Podobnie akty związane z administracją kościelną, z jurysdykcją albo duchowną dyscypliną nie mają charakteru aktów duszpasterskich jako takich.

Wątpliwość może powstać, gdy chodzi o spostrzeżenia, poczynione przez duchownego przy sposobności jakiegoś aktu, wchodzącego w zakres duszpasterstwa, które jednak nie odnoszą się do wiadomości, powierzonych duchownemu. Tego rodzaju spostrzeżenia winny korzystać z ochrony tego przywileju wówczas, jeśli duchowny został dopuszczony do dokonania odnośnej czynności duszpasterskiej pod tym tylko warunkiem, że zachowa w tajemnicy wszystko, co przy tej sposobności spostrzeże, względnie o czym się przy tej okazji

dowie. W tym bowiem wypadku odnośne spostrzeżenia są niejako objęte zaufaniem tego, kto korzysta z duchownej pomocy duszpasterza. Tak np. w zasadzie ubranie, wygląd itd. tego, kto przystępuje do spowiedzi, nie należy do treści spowiedzi, podobnie jak nie może pozostawać pod ochroną tego przywileju to wszystko, co się dzieje w domu umierającego i co zostało zauważone przez duchownego, przywołanego dla udzielenia ostatniej posługi, o ile nie są to wydarzenia, zachodzące bezpośrednio podczas funkcji duszpasterskiej pomiędzy duchownym a chorym. Można sobie atoli wyobrazić, że duchowny w tym właśnie celu, tj. dla udzielenia ostatniej posługi, zostaje wezwany do jaskini przestępców pod tym wyraźnym warunkiem i zobowiązaniem się z jego strony, że zachowa w tajemnicy wszystko to, co przy tej sposobności spostrzeże, względnie o czym się dowie. Tutaj należy przyjąć, że spostrzeżenia duchownego pozostają w związku z wykonywaniem przez niego służby duszpasterskiej, że winny zatem korzystać z przywileju bezwzględnej tajemnicy¹⁾.

Ustanowienie tego rodzaju przywileju w postępowaniu karnym wydaje się *de lege lata* tym bardziej uzasadnione, gdy się zważy, że Kpk. udziela w tym związku ochrony tajemnicy zawodowej (art. 102) i tajemnicy urzędowej (art. 103), jakkolwiek nie bezwzględnie i nie w pełnym zakresie. Ujawnienie tajemnicy zawodowej jest bowiem uzależnione od uznania sądu. Jeśli świadek odmawia zeznań z powodu tajemnicy zawodowej, sąd w każdym poszczególnym przypadku winien zdecydować, czy ujawnienie tajemnicy jest niezbędne dla wykrycia prawdy materialnej; w zależności od tej decyzji winien albo uwolnić świadka od obowiązku zeznawania, albo też zażądać od niego zeznań, ale tylko przy drzwiach zamkniętych. Wyjawienie zaś przed sądem tajemnicy urzędowej uzależnia Kpk. od zezwolenia władzy przełożonej świadka. Ponadto za wprowadzeniem do Kpk. tego rodzaju przywileju w odniesieniu do duchownych wszystkich obrządków Kościoła katolickiego przemawia i ta okoliczność, że w art. I Konkordatu z 10 lutego 1925 r.

¹⁾ Zob. Glaser: *Handbuch des Strafprozesses*, I 1883, 528, uw. 23.

Państwo zapewniło Kościołowi „swobodne wykonywanie władzy duchownej i jurysdykcji, jak również swobodną administrację i zarząd jego sprawami i majątkiem Kościoła, zgodnie z Prawami Boskimi i Prawem Kanonicznym”. Tam więc, gdzie Prawo Kanoniczne zobowiązuje osoby duchowne do zachowania tajemnicy, obowiązek ten winien być respektowany również przez prawo świeckie. Wreszcie za nowelizacją w tym sensie Kpk. przemawia również wzgląd na zharmonizowanie i ujednolicenie, w miarę możliwości, obu dziedzin prawa formalnego, tj. Kpc. i Kpk.¹⁾

¹⁾ Z prac monograficznych, poświęconych temu przedmiotowi, zob. Joder: *Das Beichtsiel vor dem Schwurgericht in Mülhausen i. El.*, 2 wyd. 1893, oraz *Zeugeneid u. Beichtsiel*, 1896; Schwalb: *Beichtgeheimnis und Zeugnispflicht*, 1896; Pfeifer: *Die strafrechtliche Stellung der Geistlichen u. Religionsdiener*, 1911; Mode: *Beichtsiel und Zeugnispflicht*, *Archiv f. kathol. Kirchenrecht*, 72, 476.

Prof. dr Stefan Glaser.

Przegląd piśmiennictwa.

Górski Konrad: *Literatura polska dla I kl. liceów ogólnokształcących*. Część I historia literatury i języka polskiego — str. IV+372. Część II wypisy z literatury polskiej i powszechnej — str. IV+636, Książnica-Atlas, Lwów—Warszawa (1938).

Jest to najnowszy podręcznik nauczania historii literatury i języka polskiego w I kl. liceum, przede wszystkim typu humanistycznego. Składa się z dwóch grubych tomów: z *Historii literatury* i *Wypisów*, zawierających najważniejsze wyjątki z literatury polskiej i powszechnej.

O genezie i charakterze podręcznika, o jego przeznaczeniu i sposobie korzystania z niego mówi sam Autor w przedmowie do części pierwszej. „Plan pracy, ujęcie zagadnień, większa czy mniejsza obszerność w omawianiu poszczególnych autorów i dzieł — dostosowane są do programu ministerialnego. Metoda wykładu jest syntetyczna. ...Przy tej metodzie nieuniknione były pewne dysproporcje w traktowaniu poszczególnych dzieł.

We wstępie zatytułowanym: „Literatura i jej poznawanie” — daje prof. Górski minimalną, lecz wystarczającą sumę definicyj, pojęć i zagadnień podstawowych do zorientowania się w literaturze jako nauce i w sposobach jej poznawania. Znajdziemy więc tu takie kwestie, jak: 1) Literatura — sztuką słowa; 2) poezja i wymowa; 3) dzieło literackie jako wyraz treści duchowej; 4) literatura a rozwój języka; 5) etapy poznawania literatury: dzieło, autor, życie literackie; 6) historia literatury i 7) poetyka.

Garść wiadomości, podanych na wstępie, tworzy bardzo cenny rozdział, w którym znajdziemy syntezę najnowszych wyników pracy historyków i teoretyków literatury. Autor idzie złotym środkiem, wydobywając z dawnych i obecnych poglądów wartości najcenniejsze. Staje na zasadzie *et hoc faciendum et illud non omittendum*.

Z kolei w porządku chronologicznym zawiera pierwsza część podręcznika dzieje literatury średniowiecznej, wiek odrodzenia (renesans), czasy baroku, wiek oświecenia, dobę Legionów i Księ-

stwa Warszawskiego, preromantyzm i pierwszą fazę romantyzmu. Dokładne omówienie każdej epoki zamyka syntetyczny rzut oka na całość.

Obok wiadomości historycznych, które Autor łączy z panującymi w dawnych epokach prądami filozoficznymi czy kulturalnymi, zawiera pierwsza część podręcznika szereg ciekawych, gruntownych a niezmiernie pożądaných wiadomości z językoznawstwa.

Liczne uwagi z morfologii historycznej, podane w sposób przystępny, ba, nawet atrakcyjny (!) — wyjaśniają szereg skostniałych zwrotów, odchyłeń dzielnicowych i właściwości gwarowych. Jest to pierwszy podręcznik literatury, w którym praktycznie i mądrze zostały wyzyskane wiadomości z gramatyki, tak często znienawidzonej nie tylko w szkole średniej, ale i na uniwersytecie! Prof. Górski stosując tę nową i oryginalną metodę, mimo woli wskazuje na celowość nauczania gramatyki historycznej. Studia nad językiem winny iść równolegle ze studiami nad historią literatury — w przeciwnym razie do historii należałoby tworzyć specjalne komentarze (jak to już, niestety, w niektórych podręcznikach było praktykowane!). Toteż z prawdziwym zadowoleniem należy powitać nowy podręcznik prof. Górskiego, nowy w naświetlaniu pewnych zagadnień historycznych, nowy zwłaszcza metodycznie!

Szczęśliwie powierzono prof. Górskiemu opracowanie podręcznika dla I klasy liceum, bo doskonała znajomość tych właśnie epok połączyła się w nim z wrodzoną mu swadą literacką, tak iż czyta się tę książkę z największą przyjemnością i pożytkiem.

W naświetlaniu poszczególnych epok literatury posługuje się Autor wieloma nowymi promieniami — zapomnianymi, a często świadomie pomijanymi przez dotychczasowych autorów. I tak czasy baroku znajdują w jego podręczniku pełną i szluszłą rehabilitację. Dotychczas mierzyło się ten okres dorobkiem osławionego ks. Baki i płodami zwyrodniałych pisarzy i poetów. Prof. Górski zbiera skrzętnie wyniki najnowszych badań nad barokiem i stwierdza, że okres ten z historycznego punktu widzenia jest „bardzo interesujący”, choć „nie ostał się w języku na dobre i we współczesnej polszczyźnie literackiej stosunkowo niewiele jego śladów da się wykazać”.

Równie ciekawe i wartościowe jest stanowisko prof. Górskiego wobec Skargi, którego pewne kierunki literackie chciałyby wyeliminować z literatury i przenieść do retoryki. Zupełnie nie spotykane dotychczas zastanawianie się nad budową kazań — znaleźliśmy w podręczniku.

Druga część „Literatury” — *Wypisy* — zawiera materiał, wyjątki z dzieł najważniejszych autorów, o których uczeń szkoły średniej wiedzieć powinien. Tu znowu *in plus* Autora zaznaczyć

należy, że odstępuje on od dotychczasowych metod, stosowanych w podręcznikach szkolnych. Wiadomo każdemu, że literatura staro-polska w gimnazjum uchodziła zawsze za teren najniewdzięczniejszy. Czytaliśmy opowieści o *Marcholcie grubym a sprośnym*, *Rozmowy mistrza ze śmiercią*, oklepane wyjątki *Żywotu człowieka poczciwego* itp. wśród największych nudów i ziewań.

Jedną z przyczyn tego fałszywego ustosunkowania się do dawnych autorów były szkolne podręczniki, z których nie można było wyrobić sobie pojęcia o pięknie literatury staropolskiej. Prof. Górski z konieczności też ogranicza się do podawania wyjątków, ale wybiera z ciekawych najciekawsze. Nawet najbardziej uprzedzony czytelnik znajdzie w nich wiele tego piękna, dla którego słusznie zwiemy Reja z Nagłowic „ojcem języka polskiego”.

Obszerne wyjątki wybitniejszych autorów epoki baroku, oświecenia, preromantyzmu i pierwszego okresu romantyzmu — wystarczą każdemu średnio wykształconemu człowiekowi do wyrobienia sobie dobrego poglądu na literaturę staropolską i wczesnoromantyczną. Przytoczone urywki z autorów obcych zabaczają o kulturalne i ideowe zależności, znamionujące poszczególne epoki.

Ma również podręcznik swoje minusy. Trudno jednak obwiniać Autora. Programowe wymogi Ministerstwa W. R. i O. P., Jędrzejewiczowska reforma szkolnictwa ponoszą winę. System „wypisowy” wprowadzony do klas wyższych spotykał się już niejednokrotnie z krytyką. Olbrzymi materiał dość dziwnie „rozparcelowany” na czwartą klasę gimnazjum i klasy licealne — wprowadza chaos i konieczność upraszczania wielu zagadnień. Brakiem jest również ograniczenie danych biograficznych do postaci najważniejszych.

Dobrze jest jednak, że zabrał się do tego podręcznika taki człowiek, jak prof. Górski, sam długoletni nauczyciel w szkole średniej, a obecnie prof. historii literatury na U. S. B. w Wilnie.

W ramach zakreślonego z góry programu daje on materiał, który będzie zmuszać tak wykładowcę jak i słuchacza do uzupełniania podawanych w podręczniku wiadomości.

Wacław Małewski.

Eliza Orzeszkowa: *Listy*. Staraniem Komitetu wydawniczego Towarzystwa im. Elizy Orzeszkowej w składzie: prof. Aureli Drogoszewski, Jadwiga Holenderska, Ludwik Brunon Świderski. Tom II. Część II. Do literatów i ludzi nauki. J. Sawicka, W. Z. Kościatkowska, J. Łuszczewska, Ign. Baranowski, J. Kotarbiński, K. Zdziechowski, A. Drogoszewski, E. Żmijewska, M. Cz. Przewońska, M. Dubiecki, I. Franko, J. Vrchlicky, M. Wolska. Opracował Ludwik Brunon Świderski. Warszawa — Grodno, 1938. 8^o. Str. 428 i 116.

Z radością witamy następny tom wspaniałej lektury, jaką stanowią *Listy* Orzeszkowej. Im więcej wczytujemy się w nie, im

głębiej docieramy w duszę wielkiej pisarki, tym bliższą nam się staje, tym większy podziw budzi w nas jej niespożyty hart. *Listy* zawarte w wydanym świeżo tomie obejmują przeważnie późniejszy okres jej życia, gdy zdołała już przezwyciężyć młodociane ułudy pozytywistyczne, gdy jej poglądy nabrały dojrzałości i pełni, a ciężkie doświadczenia nie złamały jej, ale rozbudziły czynną miłość ludzi. Píše w jednym z listów o swej działalności społecznej, o pracowitym i kłopotliwym zdobywaniu funduszy i tłumaczy cel tego wszystkiego: „Okolo stu dzieci, paruset czytelników, gromada nędzarzy”. A równocześnie możemy śledzić, jak z miłością do ludzi, rośnie w niej wiara, której niemal mistyczne wyznania spotykamy w listach do Baranowskiego i do Drogoszewskiego. *Listy* te, w których wypowiedziała się Orzeszkowa najszczerzej, tak szczerze jak w żadnej innej grupie listów dotychczas wydanych, wspaniałe monologi, w których roztacza poglądy swe, nie tylko religijne, ale społeczne, polityczne i literackie, piękne wyznania na temat własnej twórczości, stanowią najciekawszą i najpiękniejszą część tomu i wyrastają wysoko ponad inne, mniej interesujące, a tu i ówdzie może zbyt liczne. Pięknem treści i formy odpowiada im „dwugłos” z Marylą Wolską, zawarty w *Dodatku*, ukazujący niezwykle, promienną duszę autorki *Dzbanka malin*. Jak w poprzednim tomie rozmowa listowa z Konopnicką, tak tu — z Wolską, olśniewa niby subtelny kwiat, na tle poważniejszych, bardzo nieraz serio toczonych rozmów Orzeszkowej z przyjaciółmi, „ludźmi nauki”. Można tu zaobserwować ciekawe zjawisko psychologiczne. W listach do kobiet Orzeszkowa przeważnie wypowiada się jako kierowniczką, opiekunką. Z własnych natomiast trosk spowiada się, poglądy swe głosi, rady zasięga, kierownictwa szuka raczej w listach do mężczyzn. Najszczerza jest w korespondencji z tym, którego nigdy nie poznała osobiście, z Aurelim Drogoszewskim, najszczerza właśnie dlatego, że była to przyjaźń na odległość.

Omawiany tom listów rozwija w pełni już to, co tomy poprzednie dawały poznać raczej w ogólnych zarysach: ewolucję duchową autorki *Ad astra* od wolnomyślicielstwa do wiary, tak znamiennej dla wielu jej współczesnych. U Orzeszkowej zaznacza się to jako przełom duchowy. Nie znamy dokładnie ani jego daty, ani przebiegu. Wolno tylko nieśmiało zestawiać pewne fakty, jak śmierć Stanisława Nahorskiego w r. 1897, jak zerwanie korespondencji z wolnomyślicielem Karłowiczem, przypadające mniej więcej w tym okresie, jak kierunek twórczości. Ale ileż światła rzuca na to wszystko pewien fakt, zanotowany w przypisku: W roku 1897 książką, o której mówi Orzeszkowa, że ją „najwięcej lubi i w ostatnich czasach najczęściej czyta” okazuje się... *Nasładowanie Chrystusa*. Wygląd tej książeczki, którą przekazała Konstantemu Skirmunttowi, pełną westchnień, notowanych na zużytych kartkach, świadczy o prawdzie tych słów.

Podobnie, jak to było przy recenzji tomów poprzednich, nie można wyczerpać wszystkiego, co pragnęłoby się podkreślić, jako nowe odkrycie na terenie duszy tak niepospolitej. Czym te listy, tak pasjonujące nas, ludzi dzisiejszych, były dla współczesnych, dla tych, co je otrzymywali, świadczy znów inny fakt zacytowany w liście Żmijewskiej: przedwcześnie zmarła Wanda Malhomme, dla której list Orzeszkowej był jednym z niewielu promieni w życiu, kazała sobie list ten włożyć do trumny, wraz z włosami matki! Orzeszkowa, sama nieszcześliwa, głęboko samotna, umiała stać się pokrzepieniem dla innych. „Powstawać z pod ciosów życia, mówi w jednym z listów, rzecz rzadka, bardzo cenna”. A Maryla Wolska pisze do niej w r. 1898: „Powiała na mnie ze słów Pani — jedna z owych melancholii, o których Słowacki mówi w *Anhellim*, że dwie ich jest. — Jedna z nich staje się „skrzydłami ludzi wysokich” — druga kamieniem topiących się. Otóż ta pierwsza, ta skrzydłata unosi się nad słowami Pani i patrzy z jej oczu”... To zdanie charakteryzuje najlepiej *Listy Orzeszkowej* i jej duszę.

Można by nim zamknąć recenzję, gdyby nie potrzeba paru słów o komentarzu. Niedociągnięcia jego pozostały i nadal, mimo ogromnej pracy jaka weń została włożona i mnóstwa wiadomości, jakie przynosi. Pomijam niedogodność, która stanowi rozbitcie go na wstęp, komentarz właściwy, przypisy do tekstu i przypisy do komentarza, nie mówiąc o osobnym dodatku krytycznym. Samo jednak opracowanie objaśnień jest nierówne. Z jednej strony zawiera np. wiadomości o osobach, których Orzeszkowa nie знаła i z którymi ją nic nie łączyło, prócz przypadkowych wzmianek w listach jej korespondentów, z drugiej strony brak wiadomości o ludziach wybitnych, z którymi stykała się w życiu. Szczegółowe wiadomości o różnych urzędnikach rosyjskich, a obok tego zupełny brak komentarza do korespondencji z Dubieckim, zawierającej nazwiska powstańców z r. 1863,¹⁾ to dysproporcja zbyt wielka! Wydawca zanadto skrupulatnie drukuje komentarze, otrzymane od osób trzecich; pewien krytycyzm w tym kierunku pozwoliłby uniknąć zbytecznej reklamy niektórych pisarzy ukraińskich w komentarzu do listów Franki. Z uzupełnień m. in. trzeba zaznaczyć na str. 340, że Ellen Wester jest tłumaczką również i Mickiewicza.

Należałoby podkreślić w recenzji jeszcze i wielką wartość wydanego tomu dla historii literatury i dla znajomości społecznych poglądów pisarki, ale wymagałoby to osobnego omówienia. Zwrócę tylko uwagę na rzeczy tak interesujące, jak korespon-

¹⁾ Nie mówiąc o Traugucie, trzeba było wymienić w komentarzu przynajmniej majora Jana Edwarda Wańkowicza, o którym istnieje drukowana, a więc łatwo dostępna, monografia, Feliksa Jagmina i Gustawa Radowickiego.

dencja z Kotarbińskim i wiadomości o dramacie, pisany przez Orzeszkową, jak jej sądy o nowych prądach i pisarzach, stosunek do literatury czeskiej i ruskiej, do socjalizmu i kwestii żydowskiej, a wreszcie bardzo ciekawe wypowiedzi na temat psychologii twórczości.

Dr Z. Ciechanowska.

Prauziński L. — Ulrich A.: W marszu i w bitwie, szlakiem powstańców wielkopolskich, str. 232+4 nlb, Księgarnia św. Wojciecha, 1939 r.

Mineło właśnie 20 lat od tych niezapomnianych chwil, kiedy na ulicach Poznania padł ugodzony nieprzyjacielską kulą Franciszek Ratajczak. Krew jednak bohaterskich powstańców oswobodziła Poznań i Wielkopolskę od zaborcy.

Zbyt mało posiadamy dotychczas opublikowanych wiadomości z dziejów tego powstania. W porównaniu z najrozmaitszymi monografiami, rozprawami i wspomnieniami, to co mamy o wielkopolskim powstaniu, jest kroplą w morzu. *W marszu i w bitwie* stanowi obszerniejszy, choć nie wyczerpujący bynajmniej całego zagadnienia przyczynek. Nie jest to ani monografia, ani ściśle mówiąc pamiętnik, ani nawet powieść. Po prostu garść szkiców i obserwacji zgrabnie ujętych i trafnie podsumowanych. Narracyjny ton książki wprowadza czytelnika niemal w dziedzinę literackiej fikcji — a jednak... to nie jest fikcja, lecz przeżyta wśród głodu, chłodu i znoju prawda.

Na najrozmaitszych frontach, gdzie ściera się oręż niemiecki, w czołowych kolumnach kroczy nieugięte żołnierstwo, dziwny żołnierz, w pruskim mundurze, mówiący po niemiecku, a jednak nie Niemiec. To owe „Kaczmarek-regimenty” rekrutujące się z Nowaków, Kaczmarków, Szkudlarków — słowem, z synów ziemi poznańskiej, których wraza przemoc wtłoczyła w pruski mundur i pchnęła w ogień na polach Verdun, Lasów Argońskich, pod Virton, Marville i nad Marną...

Żołnierz polski stanowił w pruskich szeregach olbrzymi odsetek, nie darmo przecież pułki poznańskie mieniono „Kaczmarek-regimentami”. Pierwsza część *W marszu i w bitwie* opiewa dzieje b. poznańskiego 6 pułku grenadierów pruskich. Bohaterem jest tu grenadier Horn, który stanowi główną oś akcji w książce. Zdawałoby się, że cała ta gromada „kumpli” i „kamratów” przedzierzgnięta w pruskich patriotów walczy o *Vaterland* i poza *Deutschum* nic nie widzi. A jednak pod pruskim mundurem tętni polskie serce, w niemieckim zaś żargonie wojskowym, gdzie więcej soczystych przekleństw, niż „ludzkiej mowy”, kłębią się polskie słowa... i polska mowa... Tu właśnie, w tym ogniu bitewnym o obcą sprawę, w tym piekle uczył się jeden z drugim Kaczmarek i Szkudlarek sprawności i zaprawiał się do służby dla własnej ojczyzny, kiedy nadejdzie potrzeba i stosowna chwila.

Gdy załamały się moralne zapory Niemców po ucieczce Wilhelma, „Kaczmarki” zrozumieli, że teraz dopiero nadeszła ich rola i czas do pracy! Teraz chwytają za broń ochoczo i idą ku przyszłej Polsce. Idą w tych samych niemieckich mundurach, z tą samą niemiecką bronią w rękę, z niemiecką komendą i niemieckim przekleństwem... przeciw Niemcom.

Ta nieco przydługa w książce *Vorgeschichte* wielkopolskich powstańców, wpływająca niewątpliwie ujemnie na całość kompozycyjną, ma z drugiej strony wielkie znaczenie rzeczowe. W jej świetle bowiem rozumiemy późniejszą wartość powstańca jako jednostki bojowej. Był to żołnierz, który według słów gen. Weyganda wysuwał się na czoło wszystkich frontów i zaważył niemało na zwycięstwie Polski w walce z bolszewikami pod Warszawą 1920 r. W wojsku wielkopolskim nie było prawie nikogo, kto by nie odniósł ran na Zachodzie czy Wschodzie a 52 miesiące wielkiej wojny były wystarczającym treningiem dającym wyszkolenie wojenne, hart i uporną wolę zwycięstwa.

Książki Ulricha i Prauzińskiego nie należy oceniać po literacku, bo z tego punktu widzenia ma ona kilka poważnych braków, jak wspomniane wyżej przydługie rozwodzenie się nad dziejami „Kaczmarek-regimentów”, uszczuplenie natomiast tematu zakreślonego tytułem. Są tu i liczne odskocznie stylowe i zupełnie nieudane, nawet wprost dziwaczne wiersze, streszczające dzieje lat 1914, 1916/17 i 1918. Ulrich jako pisarz nie jest jeszcze dostatecznie zdyscyplinowany, znać w jego piórze pośpiech i zdenerwowanie, mimo nie dających się zaprzeczyć zdolności, wrodzonej werwy i swady pisarskiej. Jest to zdaje się jego pierwsza obszerniejsza praca. Dotychczas na terenie Poznania znany był z bardzo dobrych nowel wojskowych.

Braki literackie są i to liczne. Niemniej jednak dzięki zaletom rzeczowym *W marszu i w bitwie* stanowi ładną i wartościową pozycję wśród literatury wojskowej.

Na szczególną uwagę zasługuje obiektywizm Autora, który nie ulega nastrojom i przedstawia fakty z całą ich prawdą. Niemców traktuje bez niechęci i nienawiści. Są wśród nich ludzie uczciwi jak mjr. Brandt, są też kanalie w rodzaju owego Steineke'go.

Co zaś najważniejsze, nie ma tu samochwalstwa, nie ma przekreślania cudzych zasług i wynoszenia tylko swoich — są fakty, fakty i naga prawda, która nie potrzebuje komentarzy.

Bardzo ciekawa jest graficzna strona książki, ujęta w osobną całość *Od Zbąszynia do Kijowa*. Prauziński znany batalista i portrecista koni daje szkice tych momentów, które jako były kanonier 4 baterii 1 wielkopolskiego pułku oglądał i przeżywał. Obok charakterystycznych postaci utrwalił szereg scen groźnych i smutnych, nieraz i komicznych.

Do sumy uwag o książce *W marszu i w bitwie* trzeba i to jeszcze dodać, że autorami jej nie są literaci, fantaści, ale żołnierze!

Wacław Małewski.

Ks. dr A. Marchewka, Ks. dr K. Wilk, dr. C. Wilczyński: *Gwiazdy katolickiej Polski. Żyoty wielkich sług Bożych*. Nakład K. Miarki, Mikołów, 1938. 2 tomy. 1 str. VIII + 576, II t., str. 569. Cena opr. 45 zł.

Ubiegły rok, świadek wspaniałych uroczystości ku czci nowego Polski Patrona, św. Andrzeja Boboli, uświadomił rzeszom wiernych potężną wymową żywiołowych manifestacyj jak doniosłą rolę w narodzie odgrywają święci.

Jakby dla upamiętnienia tych wielkich dni i gorącej zachęty, by podobnej chwały dostąpili inni nasi świątobliwi rodacy, ukazało się dwutomowe dzieło o monumentalnych wprost rozmiarach i nieprzemijającej wartości. *Gwiazdy katolickiej Polski* to ilustrowane sylwetkami prawdziwych bohaterów życia dzieje naszej ojczyzny od zamierzchłych czasów aż do ostatnich niemal dni. Każda z tych przeszło stu silnie uwydatniających się postaci znanymi swymi pisała wiekopomne karty naszej historii. A wielu z nich dzięki niezwyklej, heroicznej nieraz cnocie i poświęceniu bez granic uzyskało aureolę nieśmiertelnej chwały. Dziś czcimy ich na ołtarzach naszych świątyn; mamy w nich wzór dla naszego życia, a pomoc i opiekę w potrzebach; świecą nam na polskim nieboskłonie jako gwiazdy przewodnie.

Nie brakło tych promiennych gwiazd w żadnym, choćby najmroczniejszym okresie naszych dziejów. A im bardziej pewne chwile były ciemniejsze, tym jaśniej występują na ich tle te wzniosłe postacie, wprost odbijają kontrastem całkowitego poświęcenia od prywaty; samozaparciem, posunięciem do ostatnich granic, od rozluźnienia obyczajów ówczesnych. Odtworzeni żywo i barwnie na podstawie źródłowych monografij czy pomniejszych opracowań danej epoki snują się przed oczyma naszymi ci wybrańcy narodu, prawdziwe *Gwiazdy katolickiej Polski*, którzy z polskich pochodzili rodzin, pod polskim niebem kształcili się i urabiali swe serca na miarę bohaterskich czynów, w polskich kościołach i zaciszach domowych potężniała i dojrzewała ich świętość.

By nawiązać ciepły, serdeczny, prawdziwie rodzinny kontakt z „tymi naszymi starszymi braćmi” — jak nazwał ks. P. Skarga świętych polskich — trzeba poznać ich życie, jakże często niewiele odbiegające od warunków, w jakich nas P. Bóg postawił. Z poznaniem i zaznajomieniem się z żywotami naszych bohaterów wiary przyjdzie cześć dla nich głęboka, ufność w przemożną ich przyczynę i chęć naśladowania. Znakomicie służyć może temu

celowi omawiane dzieło, którego Autorzy — zdaniem naszym — wielką sobie zaskarbili wdzięczność w polskim społeczeństwie. Dali nam bowiem w tym wspaniałym i efektownie się przedstawiającym wydawnictwie zbiór najpiękniejszych postaci naszej historii, opracowanych krytycznie lecz bez balastu naukowych odsyłaczy i dopisków, językiem świeżym; potoczystym. Gruntowości i namaszczeniu opracowania harmonijnie odpowiada znakomity dobór wielkiej ilości cennych ilustracji. Niektóre z nich o nieprzeciętnej wartości artystycznej (po raz pierwszy nawet publikowane) podnoszą w oczach czytelnika wartość dzieła, którego cena jest umiarkowana. Obok starych, a po wielokroć wydawanych 4-tomowych *Żywotów świętych* ks. P. Skargi znaleźć się winny w każdej bibliotece parafialnej, czy w bibliotekach stowarzyszeń katolickich *Gwiazdy katolickiej Polski*, jako uzupełnienie tamtego dzieła.

Obiektywny sąd każe zwrócić uwagę i na braki, jakie uważny czytelnik napotka w tym bezsprzecznie wartościowym dziele. Liczne przeoczenia, zniekształcające często sens zdań, zostały przez Autorów starannie wyszczególnione w rubryce: „Poprawki i uzupełnienia” na końcu każdego tomu. I na to czytelnik winien zwrócić uwagę, by nie posądzać pohopnie Autorów o nieścisłość historyczną. W galerii tych promiennych postaci, jakie nam ukazuje to dzieło, chcielibyśmy dostrzec także bohaterską postać bojownika o wolność Polski w powstaniu styczniowym Romualda Traugutta, którego pełne zaparcia „duchowe oblicze” odsłonił biograf ks. Józef Jastrzębski, marianin, na łamach *Przeglądu Powsz.* (t. 211, 1936 r.). Zdaje się nam również, że asceci tej miary co Ks. Kasper Drużbicki, albo ks. Mikołaj Łęczycki, znani chlubnie za granicą nie tylko z wielu ascetycznych książek, ale i z wielkiej świętobliwości życia, zasługiwaliby może więcej na uwzględnienie w tym monumentalnym dziele hagiograficznym niż kilku im współczesnych, a zaszczyconych mianem świętanych „gwiazd” Polski.

Ale to są niedociągnięcia, które nie umniejszają bynajmniej wartości tego cennego dzieła, jakim obdarzyli katolickie społeczeństwo sumienni badacze naszej chwalebnej przeszłości. Z uznaniem dla ich zasług poprzeć należy ten śmiały czyn wydawniczy, jednając mu jak najliczniejszych nabywców.

Ks. Czesław Sejbuk T. J.

Listy Platona. Przełożyła i wstępem poprzedziła Maria Maykowska. Warszawa, 1938. Kasa im. Mianowskiego. Str. 6 nlb. + 152.

Platon należał do tych nielicznych filozofów, którzy wznosząc się myślą wysoko ponad życie nie zrywali z rzeczywistością życia i jego konkretnymi zagadnieniami. Twórca Akademii interesował się stale problemami otaczającego go świata ludzi,

wnikał w nie i na swój sposób usiłował je rozwiązać. Jednym z kapitalnych zagadnień, które mu nie dawały spokoju, był problem: w jaki sposób zorganizować ustrój państwowy, by służył dobru i szczęściu ludzi?

Ale nie tylko teoretycznie rozwiązywał to zagadnienie w swej skrajnie potraktowanej *Rzeczypospolitej* i łagodniej ujętych *Prawach*, trzykrotnie wyjeżdżał do Syrakuz, by próbować swoje marzenia zrealizować w formach bytu rzeczywistego. Przekonał się, że nie jest to rzeczą tak łatwą, osadzić lub nawet spotkać filozofów u władzy; okupił swe pragnienia i próby cierpieniami moralnymi i fizycznymi; rzeczywistość nauczyła go zwątpienia i niewiary w ludzi a nawet ...we własne marzenia!

Trzydzieści listów Platona wyrosło niejako z gleby życia, a treścią ich jest: polityka, filozofia i obrona własnego postępowania. Są między nimi listy rzeczywiste i listy-orędzia pisane do grup ludzi; do nich zaliczyć należy przede wszystkim bardzo obszerny list siódmy, który stanowi niejako autobiografię polityczną Platona i list ósmy, napisany do krewnych i przyjaciół zamordowanego przyjaciela Diona.

Listy te w starożytności uchodziły za autentyczne i za takie uważano je w zasadzie aż do wieku XVIII, kiedy to zaczęto powątpiewać w ich oryginalność. Dzisiaj większość uczonych jest za autentycznością listów Platona — prócz może listu pierwszego. Zresztą, gdyby były jakoś podrobione, to jednak zawierają tyle znamion pióra i myśli platońskiej, że nawet w tym wypadku należałoby je nazwać, „Platońskimi”; napisane są przecież w duchu platońskim! Stanowią one wspaniałe uzupełnienie do jego *Rzeczypospolitej* i *Praw*, w których zamknął swe głębokie i oryginalne koncepcje polityczne.

Tłumaczenie listów pióra Maykowskiej jest wierne i piękne a przy tym — o ile wiem — jedyne w naszej literaturze. Przekład poprzedzony jest dość wyczerpującym wstępem, który pełni rolę komentarza. Pożyteczny dodatek stanowi wyjaśniający, zwięzły indeks imion własnych, zamieszczony na końcu książki. Tłumaczenie tych zawsze aktualnych listów Platona może być świetnym uzupełnieniem do pięknych przekładów dialogów platońskich pióra profesora Wład. Witwickiego.

Dr Stan. Seliga.

Prof. Karol Serini: Symbol w wolnomularstwie. Warszawa.

Skład główny: „Dom Książki Polskiej”. Str. 50.

Wolnomularstwo w świetle encyklopedyj. Wypisy. Warszawa. Skład główny: „Dom Książki Polskiej”. Str. IV i 358.

Przy pewnej zręczności taktycznej można nawet akcję przeciwników dla własnej propagandy wyzyskać. Na tej zręczności — przyznać musimy — nie zbywa anonimowym wydawcom obydwu publikacyj, skoro nawet z ustępu podręcznika ks. Archutowskiego

snuli pełen zadowolenia wniossek, że „zagadnienie wolnomularstwa zostało uwzględnione w programie szkoły średniej”. Stąd tylko krok do twierdzenia, że „wiadomości o wolnomularstwie obowiązują każdego inteligentnego człowieka”. Tak więc ta katolicka staje się odskocznią propagandy wolnomularskiej, a której najprawdopodobniej służą obydwie publikacje, mimo wszelkich pozorów bezstronności.

Praca prof. Seriniego, wydana po śmierci autora przez „ono przyjaciół i uczniów”, pomyślana została jako referat, „opawiający kolejno logikę symbolu, metafizykę symbolu, symbol w wolnomularstwie oraz symbol w wolnomularstwie polskim. Całość, zatytułowana nieco pretensjonalnie jako „filozofia symbolu”, przedstawia dość chaotyczny oraz pełen myślowych przeskoków niesprawdzonych przesłanek wywód o konieczności poznania i symbolicznego i o zastosowaniu symbolu w wolnomularstwie. Można w zupełności zgodzić się na to, że symbol „odkrywa” istotną treść rzeczywistości tylko tym, którzy umieją odczytać planego symbolu jego sens, w przeciwnym razie symbol rzuca złudną na zawarte w nim objawienie i ukrywa je przed oczyma „niepowołanych”. Wiemy, że międzynarodowa mafia wolnomularska dosyć posiada rzeczy, które rada by ukryć „przed oczyma niepowołanych”. Dlatego okrywa się konspiracją i tajemniczością symbolów. Ale to jeszcze nie racja, by głosić możliwość przedmiotowego poznania całej w ogóle rzeczywistości oraz niepodominowanie przewyciężenia sceptycyzmu bez uciekania się do symbolów. Zupełnie też płytkie i nieuzasadnione wydaje się rzucanie tego rodzaju frazesów, jak: *Via causalitatis* lub *analogia causalitatis* muszą z konieczności zawieść, pozostaje więc tylko *via rationis*, prowadząca do stwierdzenia, że ów świat boski jest zasadniczo odmienny od naszej rzeczywistości immanentnej. Autor zaje się nic nie wiedzieć o rozwijającym się dzisiaj w filozofii zwróceniu ku realizmowi. A może zajęte przez niego stanowisko historyczne w stosunku do rzeczywistości było mu po prostu niezbędne do przyozdobienia konspiracyjnych metod wolnomularstwa metafizyczną nadbudówką „filozofii symbolu”.

Znacznie ciekawsza od wywodów filozoficznych jest hipoteza prof. Seriniego na temat związku wolnomularstwa z wschodnimi misteriami Izdy i Mitry, które poprzez manicheizm i sektę nigensów mogły się przedostać do średniowiecznych łóż kamiennych, a stąd rzekomo i do wolnomularstwa. Niezależnie od historycznego uzasadnienia tej hipotezy na zastanowienie zasługująca rzucana mimochodem przez autora refleksja: „Czy wolnomularstwo obecne nie przypomina pod niejednym względem tych misterii, będących ratunkiem dla dusz schorzałych, a jednocześnie zwiastunami zbliżającej się katastrofy?” Istotnie analogia pomiędzy schyłkowym okresem rozkwitu misterii helenistycznych a dekadentyzmem środowisk wolnomularskich, pogrążonych

w agnostycyzmie oraz przeróżnych praktykach okultystycznych, jest uderzająca. Tylko że nie wieści ona zagłady świata chrześcijańskiego, lecz tylko wskazuje na destrukcyjną rolę wolnomularstwa oraz na konieczność uwolnienia się od jego wpływów. Wyzwalanie to zauważamy dzisiaj u wszystkich narodów psychicznie i fizjologicznie zdrowych. Dlatego różowe perspektywy autora na przyszłość masonerii w Polsce są całkowitą pomyłką. Przykład „twórczej” pracy wolnomularstwa oglądaliśmy przez lat dwadzieścia własnymi oczyma w Czechosłowacji: pp. Masaryków i Beneszów. Uwolniona od przemożnego wpływu pp. Kipów i Askenazyh historia wykaże nam kiedyś właściwą rolę masonerii w naszych walkach wyzwoleniczych, którą tak bardzo się chlubią prof. Serini i jego anonimowi wydawcy, a która dość podejrzanie wygląda, gdy się sięgnie choćby do ówczesnych polemik prasowych. Wówczas może poznamy, dla ilu to zasłużonych patriotów przynależność do wolnomularstwa była nie tyle źródłem patriotyzmu, ile raczej tragiczną pomyłką pragnących zbawiać Polskę „choćby i mimo Boga”. Zresztą, gdy chodzi o zestawienie nazwisk zasłużonych masonów, nie należy zbyt dowierzać katalogom wolnomularskim, które obok Pułaskiego i Kościuszki umieją wymienić także Piusa IX (cfr. s. 49 *Wolnomularstwo w świetle encyklopedyj*). Powtarzamy, katalogom wolnomularskim, gdyż olbrzymia większość przetłumaczonych artykułów z encyklopedyj zagranicznych zdaje się być pisana pod inspiracją wolnomularską, zwraca też uwagę brak przekładów z zagranicznych encyklopedyj katolickich, jak *Lexikon für Theologie und Kirche*, *Dictionnaire de théologie catholique*, *The catholic encyclopedia* (art. znakomitego znawcy wolnomularstwa, o. Grubera T. J.) i innych. Z punktu widzenia propagandy wolnomularstwa obydwie publikacje należy uznać za bardzo sprytnie pomyślane, jakkolwiek można zakwestionować celowość rozsyłania spóźnionych egzemplarzy recenzyjnych do czasopism katolickich.

Ks. Wacław Zajączkowski T. J.

Księga wsi polskiej. Źródła, dzieje i kierunek jej kultury, wydana jako Księga pamiątkowa na 75-lecie *Gazety Rolniczej*, staraniem dra Jana Lutosławskiego. Warszawa 1938. Wydawnictwo Zakł. Nar. im. Ossolińskich we Lwowie. Dwa tomy.

Tysiąc stron in folio, pełnych ilustracji, pełnych pracowicie a umiejętnie zebranych przyczynków, służących do ilustracji życia i pracy ziemian — oto z czym *Gazeta Rolnicza* wystąpiła przed społeczeństwem polskim na swój czcigodny jubileusz. Trzeba powiedzieć krótko, że jest to wydawnictwo wspaniałe. O bogactwie jego treści trudno dać nawet przybliżone pojęcie. Rozprawy historyczne czy literackie z dziejów i charakterystyki ziemianstwa przez autorów takich jak A. Brückner, I. Chrzanowski, St. Kot, K. M. Morawski, poezje wiejskie czy to dawne

czy współczesne, nowelki lub obrazki Kossak-Szczuckiej lub L. H. Morstina i wielu innych, sprawozdania z różnych działów i wyników pracy rolniczej, historie gospodarstw i całych gałęzi przemysłu rolniczego, statystyki, wykresy, najściślej fachowe opracowania — to wszystko tłoczy się formalnie na ogromnych stronicach, bardzo starannie zadrukowanych i estetycznie wyglądających na ślicznym papierze. Można powiedzieć, że jest to dzieło, które zostanie istną kopalnią wiadomości o wsi ziemiańskiej. Ale prócz pouczenia i zadowolenia, nie może ta książka w myślącym a kochającym wieś czytelniku nie rodzić innego jeszcze uczucia. Oto widzi się w niej z radością podstawę do zdrowego optymizmu co do naszego ziemianstwa, bo widzi się ogrom umiejętnej pracy i ustawiczny w tej pracy postęp. Cyfry i ilustracje pokazują naocznie, co dotąd osiągnięto w bardzo trudnych i wielokrotnie zmieniających się warunkach; dodaje ten widok otuchy, że da się na przyszłość osiągnąć jeszcze dużo więcej, byleby nie łamano tych ślicznych warsztatów, z których wychodzi dobrobyt całego kraju. Można p. Lutosławskiemu być szczerze wdzięcznym za to dzieło, które on olbrzymim nakładem pracy stworzył i do takiej doskonałości doprowadził. — Można wyrazić żal tylko w dwóch kierunkach. Najpierw, że nie dość uwzględniono wysiłki i zasługi ziemianstwa koło Kościoła i koło społecznej kwestii na wsi. Byłyby i w tej mierze śliczne karty do zapisania. Po wtóre z czysto technicznej strony, przydałby się był bardzo dokładny rzeczowy i imienny spis rzeczy. — Nie ma wątpliwości, że jeśli ktoś kiedyś — nie Świętochowski — napisze historię polskiego ziemianstwa, to *Księga wsi polskiej* będzie mu nieocenionym a pewnym źródłem wiadomości.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Concilium Tridentinum m. Diariorum, Actorum, Epistularum, Tractatum nova collectio. Edidit Societas Goerresiana. Tomus XI. Epistularum pars secunda, Friburgi Brisg. 1937, in 40, str. XLIV i 1058, Tomus XIII, Tractatum pars altera, volum. 1, Friburgi Brisg. 1938, in 4^o, str. XII i 735.

O monumentalnym wydawnictwie dokumentów, dotyczących Soboru Trydenckiego, była mowa w *Przeglądzie Powsz.* przed 7 laty (r. 1932, t. 194, str. 221 — 223). Od tego czasu ukazały się tylko dwa nowe tomy, wymienione w nagłówku.

Tom XI, podobnie jak t. X, który wyszedł już w r. 1916, zawiera listy, pisane bądź przez uczestników Soboru, bądź przez innych, ale o rzeczach dotyczących Soboru. Oprócz uzupełnień do listów wydanych w t. X, z okresu od 5 marca 1545 do 11 marca 1547, tj. do przeniesienia Soboru z Trydentu do Bolonii, wydał Buschbell w tomie XI listy napisane od 13 marca 1547 do zawieszenia Soboru w r. 1552. Uzupełnienia do tomu X, obejmują listy z archiwów hiszpańskich, zwł. z archiwum w Si-

mancas, przedtem niedostępnych dla Buschbella. Listy zaś z lat 1547 — 1552, które stanowią główną treść tomu XI, zebrane są częścią z archiwów, częścią z dawniejszych publikacji. Archiwa (włoskie, hiszpańskie, niemieckie, francuskie), z których B. korzystał, omówione są we wstępie (str. XIV — XXX). Z dawniejszych publikacji włączył B. listy dyplomaty hiszpańskiego Franciszka Varga z lat 1551 — 1552, wydane przez Le Vassor'a w r. 1699, oraz listy różnych osobistości, wydane przez Wawrzyńca Villanueva w dodatku do autobiografii tegoż. Listy te jednak umieścił B. we wstępie (str. XXXV — XXXIX), gdyż znalazł je za późno. Także we wstępie (str. XXXIX — XLIV) umieścił tajną instrukcję cesarza Karola V do kard. Madrucjusza, gdyż szyfru, którym ta instrukcja była napisana, nie udało się na czas rozwiązać i odczytać.

Dokumenty w tym tomie zawarte mają znaczenie głównie dla zewnętrznej historii Soboru Trydenckiego, jako też dla historii Kościoła w ogóle oraz w poszczególnych państwach Europy zachodniej.

Natomiast dla teologii większe znaczenie ma tom XIII, którego pierwsza część została wydana pod koniec ubiegłego roku. Zawiera on dalszy ciąg traktatów i rozpraw, których część wydano już w t. XII. Zawierają się tam rozprawy z okresu przed-soborowego oraz z pierwszych siedmiu sesji Soboru, wydane przez W. Schweitzera. W tomie zaś XIII, wzgl. w pierwszej jego części kontynuator pracy Schweitzera, przedwcześnie zmarłego, H. Jedin wydał, jako uzupełnienie do tomu poprzedniego, traktaty z okresu przeniesienia Soboru do Bolonii oraz traktaty z dalszych sesji do 22 włącznie; reszta znajduje się w drugiej części tegoż tomu. Dla teologii najważniejsze znaczenie mają tu traktaty o prawdziwej obecności Pana Jezusa w Eucharystii (nr 25 i 26) oraz o Mszy św. jako Ofierze Nowego Zakonu i o jej stosunku do Ofiary krzyżowej Chrystusa (nr 27, 108, 111 i 112); ale na 112 wszystkich rozpraw stanowią one znikomą liczbę. Oprócz kilku innych jeszcze rozpraw o charakterze doktrynalnym, jak o odpustach, o małżeństwie, o pokucie, większość odnosi się do reformy życia kościelnego. Widać, że ta sprawa, mimo doniosłości zagadnień dogmatycznych w tym okresie poruszanych, głównie jednak zaprzętała umysły ojców Soboru.

Udziału Polski w Soborze dotyczą dwa dokumenty: 1) Traktat nr 68 o sprawach, nad którymi na najbliższym synodzie należałoby się zastanowić; autorem tego traktatu, jak wykazuje H. Jedin (str. 424, przypis. 2), jest Stanisław Hozjusz. 2) Traktat nr 86: Czy opat z Polski (Faleński, opat sulejowski), mający delegację szesnastu innych polskich opatów, może być dopuszczony do oddania głosu także w ich imieniu; rozprawę tę napisał na żądanie kardynałów legatów na Soborze wybitny kanonista Jan

Castagna, arcyb. z Rossano, późniejszy papież Urban VII (pontyfikat 13-dniowy: 14 — 27 września 1590).

Zbyteczną jest rzeczą podnosić zalety naukowe tych tomów. Pod względem staranności i gruntowności tak w krytycznym opracowaniu dokumentów, czerpanych zawsze z możliwie najlepszych źródeł, jak i w przypisach, ułatwiających zrozumienie wydanych dokumentów, oba te tomy w niczym nie ustępują tomom poprzednio wydany.

Ze względu na rodzaj dokumentów w tych tomach publikowanych (listy, traktaty), porozrzucanych nieraz po różnych archiwach i bibliotekach, oba te tomy nie mogą oczywiście zawierać materiału całkowicie kompletnego. Jeszcze niejeden dokument zapewne zostanie odkryty, który powinien być znaleźć się w tych tomach, podobnie jak i one zawierają uzupełnienia do obu poprzednich tomów z listami i traktatami. To też tom XIV, który ma zawierać uzupełnienia do całego wydawnictwa, przyniesie zapewne jeszcze wiele uzupełnień, należących do tych właśnie tomów.

Na koniec warto zaznaczyć, że tom XIII, choć wyszedł, jak poprzednie, w firmie Herdera, drukowany był jednak czcionkami drukarni watykańskiej, a kosztą druku pokrył sędziwy i czcigodny opiekun nauki Ojciec św. Pius XI, któremu też towarzystwo Goerresa dedykowało ten tom.

Ks. B. Waczyński T. J.

Irma Lubieniecka: *Wianek Mariański*. Potulice 1939, str. 94.

Są to piękne liturgiczne i ascetyczne rozważania na każdy miesiąc, osnute na tle świąt i życia Matki Najświętszej. Rzeczą napisaną ciepło a przystępnie odda wielkie usługi wszystkim czcicielom Maryi, zwłaszcza w Sodalicjach i innych stowarzyszeniach poświęconych czci Królowej nieba.

J. R.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem „Biblioteki Polskiej” w Warszawie, 1939:

Roman Fajans: *Sylwetki i rozmowy*. Tow. Wydawnicze Z. Kozierkiewicz. Skład gł. „Bibl. Polska”. Str. 176.

Renaud Cte Przeczdzicki: *Wilno*. (w języku francuskim) Str. 237.

Jerzy Walldorf: *Sztuka pod dyktandem*. Str. 140.

Nakładem Książnicy-Atlas, Lwów-Warszawa, 1939:

Gabriele d'Annunzio: *Giovanni Episcopo*. Powieść. Str. 119.

Massimo Bontempelli: *Adria*. Dzieje pięknej kobiety. Str. 241.

H. Bauchet: *Skauting i indywidualność*. Str. 251.

Paul Brunton: *Ścieżkami Jogów*. Str. 422.

M. W. Fodor: *Na południe od Hitlera*. Z cyklu „Przemiany”. Str. 480.

- Jolán Földes: Orzeł czy reszka. Str. 378.
 A. Majocchi: Żywot chirurga. Powieść. Str. 360.
 Zofia Natkowska: Niecierpliwi. Powieść. Str. 343.
 Alfredo Panzini: Ksantypa. Str. 159.
 Tenże: Lafarka Diogenesa. Str. 219.
 Kazimierz Wierzyński: W garderobie duchów. Wrażenia teatralne. Str. 311.
 Jan Wiktor: Błogosławiony chleb ziemi czarnej. Z cyklu „Przemiany”. Str. 447.

Nakładem Księgarni Wł. Michalaka i S-ki, Warszawa 1939:

- Romuald Balawelder: Polska ma dostęp do morza. Powieść podróżnicza. Str. 182.
 Tenże: Wielka Brytania oblana jest morzem. Powieść podróżnicza. Str. 256.

Nakładem Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk:

- Zygmunt Krasiński: Listy do Delfiny Potockiej. 1846—1848. Przeprosił do druku Adam Żółtowski. Poznań 1938, str. 706.
 Kazimierz Mężyński: Rosja w wykładach paryskich Mickiewicza. Poznań 1938, str. 376.
 Henryk Ułaszyn: Przyczynki leksykalne. 2. Trzy gwary uczniowskie: wielkopolska, królewicka i galicyjska. Poznań 1938, str. 46.

Nakładem „Raju”, Warszawa, 1939:

- E. N. Da C. Andrade, Julian Huxley: Prosta wiedza. Str. 535.
 Arkady Fiedler: Jutro na Madagaskar. Str. 277.
 Ferdynand Goetel: Pod znakiem faszyzmu. Str. 213.
 Witold Hulewicz: Przybłęda Boży. Beethoven: Czyn i Człowiek. Wyd. II. Str. 373.
 Adolf Nowaczyński: Młodość Chopina. Str. 231.
 Władysław Tomkiewicz: Więzień kardynała. Str. 243.
 Tadeusz Żeleński-Boy: Murzyn zrobił... (Wrażeń teatralnych seria siedemnasta). Str. 283.

Nakładem Seminarium Zagranicznego, Potulice 1939:

- Ks. dr Kazimierz Karłowski: Podróż do Ziemi świętej. Fakty — przeżycia — refleksje. Str. 322.
 Irma Lubieniecka: Wianek Mariański. Str. 92.
 Mariali: Kryśia Rudzka. Krótki żywot, długie cierpienie i święta śmierć polskiego dziecka. Str. 116.

Nakładem różnych:

- Antoni Artymiak: Lwowianin Henryk Schmitt. W serii. Życiorysy Zasłużonych Polaków w XVIII i XIX w. Nakładem autora. Jędrzejów 1939, str. 134.
 Józef Chałasiński: Młode pokolenie chłopów: Procesy i zagadnienia kształtowania się warstwy chłopskiej w Polsce. T. I. Społeczne podłoże ruchów młodzieży wiejskiej w Polsce. Str. 326. T. II. Świat życia, pracy i dążeń Kół młodzieży wiejskiej. Str. 553. T. III. Rola Kół młodzieży wiejskiej w społeczno-kulturalnych przeobrażeniach wsi. Str. 601. T. IV. O chłopską szkołę. Str. 556. Nakładem Państwowego Instytutu Kultury Wsi. Warszawa 1938. Skład główny: Spółdzielnia Wydawnicza „Pomoc Oświatowa”, Warszawa.
 Francois Charmot S. I.: La doctrine spirituelle des hommes d'action. Editions Spes. Paris 1938, str. 349.
 Ks. Ludomir Nikodem Cieszyński: Roczniki Katolickie na Rok Pański 1939. T. XVI, str. 378. Nakładem autora. Poznań 1939.

- Stanisław Czaputowicz: *Naturalizm*. T. I. Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha. Warszawa, 1939. Str. 216.
- Ks. dr Gołębiewski O. C. SS. R.: *Problem powołania do kontemplacji u św. Alfonsa Liguorego*. Włocławek 1938, str. 35.
- Ks. dr prof. Michał Hellon: *Podręcznik języka rumuńskiego dla Polaków*. Nakładem Wojsk. Instyt. Nauk.-Oświat. Warszawa 1938, str. 361.
- Roman Iszkowski: *O motywach walki orężnej w literaturze*. Skład główny: w Księgarni M. Arcta, Warszawa, 1939, str. 62.
- Ks. dr Emil Jelinek: *Świecki pisarz o teologii Kalwina. Kilka uwag o książce Cz. Lechickiego i jej krytyce w „Przeglądzie Ewangelickim”*. Warszawa 1939, str. 47.
- J. I. Kraszewski: *Przygody Marka Hińczy. Rzecz ze staroszlacheckiego życia z końca XVIII stulecia*. Nakładem Pół. Czerwonego Krzyża. Warszawa 1939, str. 80.
- Emil Kuroński: *Polacy w Niemczech w urzędowych spisach ludności*. Nakładem Instyt. Badań Spraw Narodowościowych. Warszawa 1939, str. 47.
- Obozy pracy wojskowo-społecznej*. Biblioteka Legii Akademickiej nr 1. Nakładem Naczelnej Komendy L. A. Lipiec 1938, str. 82.
- Nauka Polska: jej potrzeby, organizacja i rozwój*. T. XXIV. 587. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego. Warszawa 1939.
- Roman Dmowski: *Pisma*. T. II. Niemcy, Rosja i kwestia polska. Str. 253. T. III. Dziesięć lat walki. Str. 405. IV. Upadek myśli konserwatywnej w Polsce. Str. 268. Antoni Gmachowski i S-ka. Częstochowa 1938.
- Robert Sir Gower: *Mniejszość węgierska w państwach sukcesyjnych*. Polsko-Amerykańska Sp. Akc. „Southern Trade”, Warszawa 1939, str. 144.
- Ks. prof. Jan Stepa: *Kościół a współczesny kryzys wolności*. Nakł. Instyt. Wyższej Kultury Relig. we Lwowie, 1939, str. 26.
- Ks. Henryk Weryński: *Niedzielną siejba*. Wydanie II. Nakładem SS. Służebnic Najśw. Serca Jez., Kielce 1939, str. 422.
- Antoni Zawadzki: *Polska przedrozbiorowa a Żydzi*. Skład gł.: A. Prabucki, Warszawa, 1939, str. 156.
- S. Barbara Żulińska: *Matka-obywatelka. Pogadanki o wychowaniu dzieci*. Nakładem Tow. „Biblioteka Religijna”. Lwów 1938, str. 157.
- Waczyński B. S. I. *Nachklänge der Florentiner Union in der polemischen Literatur zur Zeit der Wiedervereinigung der Ruthenen*. Nakładem Pont. Inst. Orientalium Studiorum, Roma, 1838, str. 31.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Na marginesie kanclerskiej mowy A. Hitlera.

...Wobec całego narodu niemieckiego składam uroczyste oświadczenie, iż w Niemczech nikt nie był i nie będzie prześladowany z powodu przekonań religijnych...

Słowa te miał odwagę wygłosić kanclerz Hitler w dniu 30 stycznia br. w swej mowie w *Reichstag*u. Stanowiły one wbrew wszelkim przewidywaniom dziennikarzy oraz polityków, czekających na polemiczne wypady i międzynarodowe posunięcia *Führer*a, najbardziej niesamowitą sensację tego mniej niż zwykle „dynamicznego” występu. Istotnie „uroczyste oświadczenie” dyktatora Rzeszy, obliczone chyba na bezgraniczną naiwność i totalne zaślepienie brunatnej partii, zostało przyjęte w większości narodu niemieckiego z bezsilnym buntem niemego protestu, ale poza granicami Niemiec odbiło się potężnym echem oburzenia we wszystkich chrześcijańskich krajach. Niespaczone brutalnym totalizmem sumienia ludzkie musiały samorzutnie zareagować wobec tak niesłychanego wyzwania. Powojenne lata przyzwyczyły wprawdzie ludzkość do orgij gwałtu, okrucieństwa, kłamstwa i cynizmu, ale nawet to współczesne stępienie poczucia sprawiedliwości ma swoje granice.

„Nikt w Niemczech nie był prześladowany z powodu swych przekonań religijnych”... oświadcza kanclerz Hitler wobec całego narodu. Tak istotnie, nie było dotychczas za panowania brunatnego reżimu masowych mordów, palenia kościołów, okrutnego znęcania się nad wyznawcami chrześcijaństwa. Trzecia Rzesza nie poszła śladami czerwonej Hiszpanii czy meksykańskiego terroru, to prawda. Ale prawdą jest również, iż nigdzie w Europie, poza sowiecką Rosją,

chrystianizm, a już specjalnie katolicyzm, nie jest wystawiony na tyle systematycznych, stałych a perfidnych ataków i gwałtów co w hitlerowskich Niemczech.

W okresie kilku lat zamknięto mnóstwo katolickich szkół; zniszczono planowo na terenie całej Rzeszy wyznaniowe a jakże przedtem kwitnące szkolnictwo. Organizacyjną presją, zmuszono ostatnio, w związku z paryskim zamachem, nauczycieli świeckich, udzielających nauki religii do złożenia misji kanonicznej. W następstwie tej demonstracji tysiące szkół powszechnych pozostało w ogóle bez nauki religii. Naukę tę ogłoszono zresztą za przedmiot nadobowiązkowy, a wszelki przymus religijnych praktyk w całym zakresie szkolnictwa zniesiono. Rozwiązano wszystkie organizacje katolickie niemieckiej młodzieży a równocześnie zastosowano wobec niej moralny przymus, by wstępowała w szeregi neopogańskiej organizacji *Hitler Jugend*. Katolicy nie należący do tej organizacji mają praktycznie zamkniętą drogę do jakiegokolwiek kariery, zależnej od państwa. Zlikwidowano setki katolickich zakładów opiekuńczych, wychowawczych i naukowych. W tej liczbie znany w całym katolickim świecie fakultet teologiczny w Innsbrucku; ostatnio zamknięto drugi, analogiczny fakultet w Monachium.

Tak więc w dziedzinie szkolnictwa, wbrew wyraźnym zobowiązaniom konkordatu, dokonano już w szerokim zakresie zniszczenia. Zasadą na terenie całych Niemiec staje się coraz wyłącznie nie tylko w teorii, ale i w praktyce „narodowo-socjalistyczna szkoła wyznaniowa“, która naukę wszystkich przedmiotów i cały plan wychowania prowadzi w duchu założeń narodowego socjalizmu, by przerobić młode pokolenie na „wyznawców idei Adolfa Hitlera“. Moloch totalizmu sięgnął po dusze młodzieży, by od najmłodszych lat wychować je w kulcie dla nowego bożyszcza, by wydrzeć z nich wiarę w Chrystusa, wytepić wszelką wyznaniowość, jako szkodliwą spuściznę starotestamentarnego judaizmu. Program ten realizuje niezmordowanie cały sztab hitlerowskiego szkolnictwa; areligijność i niemoralność czynią wśród niemieckiej młodzieży zastraszające postępy, a równocześnie Hitler staje na trybunie parlamentu i „wobec całego narodu niemieckiego stwierdza, iż w Niemczech nikt nie był przesładowany z powodu swych religijnych przekonań“.

Jako dowód prawdy swojego twierdzenia przytacza dwa fakty: jeden, iż państwo narodowo-socjalistyczne udziela pomocy finansowej wszystkim Kościołom chrześcijańskim i to w stopniu wydatniejszym niż poprzednio, fakt drugi, iż „narodowo-socjalistyczne państwo nie zamknęło ani jednego kościoła“. Fakt natomiast, iż dusze setek tysięcy młodzieży zdeprawowano materialistyczną doktryną narodowego ra-

sizmu, iż zamiast ideału Chrystusa zaszczerpiono w nich pod moralną presją mit rasy i krwi a katolicyzm zastąpiono „zgermanizowanym chrystianizmem”, w myśl bluźnierczych zleceń Rosenberga, fakt ten nie uwłacza, zdaniem Hitlera, w niczym wolności wyznań religijnych!

Tymczasem już przed dwoma laty papież Pius XI w swej encyklice: *Mit brennender Sorge* zamieścił te pa-miętne słowa:

...Kościół katolicki nie może dopiero wówczas zacząć smu-cić się i biadać, gdy ołtarze zostaną zniszczone i gdy święto-kradzkie ręce zamieniają kościoły w dym i płomień. Jeśli się usi-łuje tabernakulum duszy dziecięcej... zbezcześcić przez wrogie Chrystusowi wychowanie, jeżeli z tej żywej świątyni Bożej wy-rzuci się wieczną lampkę Chrystusowej wiary, by na jej miejscu zapalić błędne ogniki namiastki wiary... to bliskim już jest du-chowe sprofanowanie świątyni.

Hitleryzm nie chce zamykać przemocą świątyni, wszelkimi za to środkami pragnie opróżnić je z wierzących wyznawców.

W tym, a nie w innym celu, aranżowano orgie proces-ów o niemoralność niemieckiego duchowieństwa, procesów ociekających perfidią, gwałtem i niesprawiedliwością. Usiło-wano zhańbić w oczach katolików kler świecki oraz za-konny. Procesy zawiodły; wynik dochodzeń i wyroków był znikomy. Sam wódz naczelny niemieckiego neo-poganizmu, Rosenberg oświadczył, w dość nieostrożnie udzielonym przez siebie wywiadzie, iż

...Co dotyczy procesów obyczajowych sądę, że nie przy-niosły one w Niemczech większych rezultatów... Trzeba być bar-dzo roztropnym w tych rzeczach i nie przyjmować za pewny fakt niesprawdzonych denuncjacji...

Procesy zawiodły; ale ile moralnych tortur, ile ponie-wierki i krzywdy spadło na podsądnych! Dla Adolfa Hitlera jednak nie jest to żadnym prześladowaniem.

Znęcając się nad niewinnymi, bezczeszcząc ich potwor-nymi oskarżeniami, odmówiono im równocześnie środków obrony na publicznym forum. Wszelkie zarzuty przeciw hie-rarchii katolickiej, wszelkie najbrutalniejsze nawet napady na Papieża, najbardziej raniące serca katolików bluźnier-stwa i szyderstwa, były i są publikowane w narodowo-socja-listycznej prasie. Równocześnie zaś niezależną prasę kato-licką zniszczono doszczętnie. Zlikwidowano nie tylko wiel-kie dzienniki jak *Germania*, ale sięgnięto nawet do całkowicie apolitycznych pism organizacji katolickich, by je konse-kwentnymi szykanami zniszczyć. W ostatnich miesiącach zawieszono w ten sposób cały szereg pism, między innymi

stary i zasłużony organ Sodalicyj Mariańskich: *Fahne Mariens*. Katolicy w Trzeciej Rzeszy mają dziś usta całkowicie skneblowane, nie posiadają żadnej prasy niezależnej, nie mogą więc publicznie odeprzeć żadnych, nawet najbardziej oszczerczych zarzutów, które na nich miota hitlerowski reżim; nawet listy pasterskie biskupów, oświetlające stosunek władz do Kościoła, z reguły są konfiskowane, a śmiało występy na ambonie niektórych biskupów spotkały się z brutalnymi represjami brunatnych szturmówek, urządzających bandyckie, a bezkarne napady na biskupie pałace. — Dla A. Hitlera wszystko to nie jest prześladowaniem! Z trybuny *Reichstag*'u może bezpiecznie składać „uroczyste oświadczenie”... bo wie, iż nikt w Niemczech nie może polemizować z jego twierdzeniami. Nietzscheańskie: *Also sprach Zarathustra*... zamieniło się dziś w niemniej kategorię i ślepego domagające się posłuchu: *Also sprach der Führer*...

Dlatego też kanclerz nie uznał za potrzebne wyjaśnić, jak w rzeczywistości wygląda to uposażenie kościołów, którym szermuje zwycięsko. Nie wspomniał ani jednym słowem o konfiskatach kościelnego majątku, o zamykaniu klasztorów, o wyrzucaniu niemal na bruk sióstr zakonnych, których wielowiekowa praca w sierocińcach, szpitalach i wychowawczych zakładach stanowi najchlubniejszą kartę w dziejach niemieckiego humanitaryzmu.

A czy dyktator Rzeszy nie zna słów swego wszechpotężnego ministra A. Rosenberga:

...Program naszych szkół jest pomyślany w duchu antychrześcijańskim i w duchu antyżydowskim... Mamy zresztą niezawodny środek nacisku, natury finansowej. Będziemy postępować z ostrożnością, ale w sposób systematyczny, odbierając środki do życia opornemu duchowieństwu...

„Wszystkowiedzący” kanclerz zna chyba również szczegółowo obmyślony plan podkopania materialnych podstaw Kościoła katolickiego i jego instytucyj w Niemczech, by w ten sposób złamać opór, którego nie może osłabić teologia hitleryzmu. Czyż nie w tym kierunku idą świeżo ogłoszone rozstrzygnięcia najwyższej Izby Finansowej (*Reichsfinanzhof*) dotyczące drakońskiego opodatkowania wszelkich darowizn na rzecz Kościoła, legatów, a nawet posagów i opłat pieniężnych, składanych dobrowolnie przez wstępujących do katolickich zakonów. — Zapomogi rządowe, którymi chlubi się publicznie Hitler, mają, w świetle tych i innych faktów oraz planów służyć za judaszowe srebrniki, którymi pragnąby reżim kupić duszę kleru.

A jakież sumy poświęcono w Rzeszy na sztuczne montowanie międzywyznaniowej, czysto germańskiej i z juda-

izmu oczyszczonej organizacji: *Deutsche Christen*? Za jaką cenę kupiono duszę apostaty *Reichsvikar*a D. Engelke i jemu podobnych, dla których: „Chrystus nie jest Synem Bożym w grubym biblijnym sensie”, gdyż „Bóg objawił mu się w podobny sposób jak A. Hitlerowi...” Czy może i te wszystkie, gadzinowe fundusze wchodzi w bilans hojnych dotacji, których „państwo narodowo-socjalistyczne udziela wszystkim kościołom chrześcijańskim”, jak ogłosił z emfazą w *Reichstag*’u suwerenny Kanclerz?

Byłoby rzeczą zbyt długą przedłużanie tej „listy zażaleń”, którą wytacza niemiecki katolicyzm na łamach prasy zagranicznej. Tysiące szczegółów zastąpi wstrząsający do głębi okrzyk niemieckiego episkopatu, skierowany do rządu a zamieszczony w zbiorowym liście pasterskim do wiernych: „W obliczu opinii całego świata domagamy się zaprzestania walki z chrześcijaństwem”. Hitler złożył swe wyzywające oświadczenie wobec całego narodu niemieckiego; episkopat niemiecki apeluje do opinii całego świata!

I by poskromić tego rodzaju „wybryki” kościelnej hierarchii zjawiły się w mowie Kanclerza charakterystyczne dla całego reżimu pogroźki:

...Jeżeli jednak kościoły niemieckie uważają położenie, w którym się obecnie znajdują za nie do zniesienia, to jesteśmy gotowi przeprowadzić zdecydowany rozdział Kościoła od państwa...

...Działalność osób duchownych przeciwko państwu będzie ścigana tak jak i przestępcza działalność każdego innego wroga Rzeszy.

W związku z tą pogroźką Kanclerza, mnożą się już na szpaltach ujednoliconej prasy niemieckiej zapowiedzi zaostrzenia walki z chrześcijaństwem. Mówi się o nowych ustawach mających ograniczyć zwłaszcza prawa katolicyzmu, a zniszczyć całkowicie „katolicyzm polityczny”, grozi się następstwami rzekomo popełnianych wobec Rzeszy zrad, a osławiony swą antykatolicką kampanią *der Stürmer* zapowiada ostatnio, że cała korespondencja episkopatu ze Stolicą Apostolską musi być w przyszłości całkowicie jawna i odbywać się będzie wyłącznie za pośrednictwem ministerstwa spraw zagranicznych. Ma to być koniecznym środkiem samoobrony narodu przed wrogą kampanią episkopatu. Do tego rodzaju brutalnych ataków zachęcają zresztą publiczne występy czołowych mężów reżimu. Wszak nie kto inny, tylko apostata, min. Goebbels z maniackim uporem raz po raz ogłasza, iż międzynarodowy marksizm, żydostwo oraz katolicyzm są największymi wrogami Trzeciej Rzeszy. Zaś wódz niemieckiego pogaństwa Rosenberg z rozbrajającą szczerością wyznał:

...Jest dla mnie rzeczą bezwzględnie pewną — a wierzę, iż jestem w tym względzie w zgodzie z *Führer*'em — że Kościół katolicki, taki jak się ukonstytuował obecnie, powinien zniknąć z życia naszego narodu, a razem z nim także kościół protestancki zniknąć musi...

Były protestant a obecnie poganin Rosenberg nie wierzy oczywiście w nieśmiertelność Kościoła; w swej nienawistnej bucie szydzi z zapowiedzi Chrystusa, iż „bramy piekielne nie przemożą go“, tę rolę „bram piekielnych“ podjął i jest przekonany, iż metodami gwałtu oraz zaszczepieniem rozkładu od wewnątrz potrafi zniszczyć chrystianizm w Niemczech.

I trudno zaprzeczyć, iż narodowa religia: protestantyzm rozkłada się w szybkim tempie pod obuchem hitleryzmu. Analogia losów rosyjskiej schyzmy i niemieckiego protestantyzmu w starciu z ateizmem jest uderzająca. Cesaropapizm tych oderwanych od jedności z Rzymem gałęzi chrystianizmu mści się dziś na nich okrutnie. Tragedia protestantyzmu jest niewątpliwie jeszcze bardziej wstrząsająca. Wiadomo, iż w ciągu całego ubiegłego wieku protestantyzm niemiecki ulegał coraz silniej wewnętrznemu rozkładowi, pod wpływem racjonalizmu. Protestantcka teologia i egzegeza doszły do smutnego eklektycyzmu, w którym rozplynęła się nawet wiara w Bóstwo Jezusa Chrystusa. Oczywiście odrzucenie tego fundamentalnego dogmatu, łącznie z dawnymi a istotnymi błędami protestantyzmu, jak nieuznawanie Eucharystii, spowiedzi, nierozzerwalności małżeństwa itd., poderwało w liberalnych kołach protestanckich najistotniejszy sens N. Testamentu. Miejsce Ewangelii i jej pełni życia chrześcijańskiego zajął jakiś szeroko pojmowany deizm, oparty na starotestamentarnej Biblii. Tymczasem od czasów przyjścia Chrystusa na ziemię Biblia wystarczyć nie może, bo cały jej sens tkwił w przygotowaniu przyjścia Mesjasza. Wysuwanie Biblii, przy równoczesnym obcinaniu Ewangelii i jej dogmatycznej treści, musiało prowadzić do wewnętrznej judaizacji protestantyzmu. Na tym tylko fle mogły się w łonie protestanckiego kościoła zrodzić takie sekty jak mormonów, sabatystów, badaczy Pisma św. itp. Tymczasem Narodowo-socjalistyczny rasizm, wystąpił z dynamiczną nienawiścią do walki z żydostwem i jego wpływami. Wpływów tych dopatrzył się wnet i w chrystianizmie. To też dla swych czysto politycznych celów rzucił popularne hasło walki z judaizacją chrześcijańskiej religii i kultury. Hasło to, jeśli chodzi o katolicyzm, oparte jest na niesłuchanie płytkich a przy tym fałszywych przesłankach, to też w starciu z katolickim dogmatem, opartym na Ewangelii,

musiało się załamać na całej linii. Szermujący gwałtem, to znowu perfidią hitleryzm może wprowadzić oderwać od Kościoła całe grupy ludzi chwiejnych, katolików z imienia, wobec jednak dogmatu i struktury katolicyzmu hitlerowski *Kulturkampf* załamać się musi.

Stąd też, jak widzimy, brunatny reżim stosuje wobec katolicyzmu metody materialnego ucisku, szykan oraz oszczerstw, wobec katolickiej jednak dogmatyki i etyki jest całkowicie bezsilny. Natomiast protestantyzmowi narzuca od wewnątrz swoistą teologię. W oparciu o popularne hasło, iż życie narodu niemieckiego ma się stać wyłącznie aryjskim i wyzyskując umiejętnie fakt naszkicowanej wyżej judaizacji protestantyzmu, usiłuje obalić jego teologiczne zasady, oczyszczając go gruntownie z judaistycznych wierzeń i poglądów. Bez żadnych skrupułów poddaje rewizji Biblię i N. Testament, by usunąć wszystkie judaistyczne zniekształcenia oraz fałsze. Całej zaś tej rewizji dokonuje się rzekomo dla duchowego renesansu religii protestanckiej. Nie trudno przewidzieć kres tej hitlerowskiej reformacji, dokonującej się pod presją hitleryzmu a przy czynnej niestety współpracy licznych apostatów protestanckich. Ale jak z jednej strony dalszy rozkład liberalnego i racjonalizmem zżartego protestantyzmu postępuje w szybkim tempie, tak z drugiej strony w obozie protestantów prawowiernych budzi się coraz silniej duch zdecydowanej samoobrony. Przykład nie dającego się złamać prześladowaniem katolicyzmu wywiera niewątpliwie swój wpływ, budzi sympatie i głębsze refleksje. To też nasuwa się myśl, czy w rękach Opatrzności Bożej twarda szkoła hitleryzmu nie przygotowuje powoli duchowego odrodzenia religijnego w Niemczech, którego wyrazem stanie się powrót zbłąkanych do jedności z Opoką Piotrową.

Protestanci niemieccy, jak cały zresztą świat, nie mogą nie zauważyć historycznego faktu, iż w wielkiej rozgrywce z hitlerowskim totalizmem, przepojonym do głębi materialistyczną doktryną rasizmu, papieństwo odgrywa czołową rolę, nie formowaniem politycznych bloków ale obroną praw sumienia i praw godności ludzkiej jednostki. Hitleryzm, zdaje sobie doskonale sprawę z moralnej potęgi katolicyzmu i z suwerennej w dziedzinie ducha roli rzymskiego papieża. To też w bezsilnej nienawiści umie się zdobyć jedynie na plugawe obelgi i najwstrętniejsze oszczerstwa, miotane przez brukowe organy brunatnej soldateski, które tonem swej napaści i poziomem artykułów świadczą aż nazbyt wymownie, jak szybko w kleszczach bezbożnego totalizmu upada duchowa kultura Niemiec i jak militarny imperializm, budząc w masach pierwotne instynkty, ruguje

z dusz prawdziwą cywilizację ducha. Czy w takich warunkach ambicje dawnych *Kulturträger*ów nie staną się wnet tylko wspomnieniem minionej przeszłości?

Faktem jest niewątpliwym, iż jedyną ostoją prawdziwej kultury ducha jest dziś w Niemczech katolicyzm. I dlatego oparty na materializmie narodowy socjalizm, szermujący mitem krwi i rasy, w katolicyzmie widzi swego największego wroga.

Wroga tego, pomimo „uroczystych oświadczeń” kanclerza Hitlera, wszelkimi środkami nadal zwalczać będzie, wystawiając niemieckich katolików na ogniową próbę heroicznych ofiar. W dniach tej bolesnej próby stać jednak przy nich będzie solidarnie katolicyzm świata a w obronie najwyższych wartości przewodnikiem będzie Namiestnik Chrystusa na ziemi.

Po śmierci nieustraszonego szermierza Chrystusowej prawdy, Piusa XI, Hitler, przed którym zamknięto progi Watykanu, wyraził gotowość złożenia wieńca na trumnie swego ideowego pogromcy. Na urzędowych gmachach Trzeciej Rzeszy opuszczono flagi do połowy masztu, a ambasador Niemiec von Bergen, składając, w imieniu dyplomatycznego korpusu, wyrazy współczucia św. Kolegium Kardynałów, nie wahał się wspomnieć o Piusie XI jako o „wiernym stróżu prawa i tradycji, wyznawcy pokoju i zgody między narodami...”

Pius XI, ukochał naród niemiecki gorącym, ojcowskim sercem. Ale też w imię tej miłości podjął nieustraszenie walkę z tymi, w których, wbrew świętnym pozorom chwili, dojrzał grabarzy prawdziwej wielkości oraz prawdziwej potęgi narodu. Pius XI, nazwany niedawno przez szefa francuskich radykałów, Herriota „najczystszy przedstawicielem tej niezłomnej mocy, jaką jest sumienie”, piętnował niejednokrotnie, do ostatniej chwili swego życia cyniczne zakłamanie i bezprzykładną obłudę polityków Trzeciej Rzeszy, którzy, głosząc wolność religijnych wyznań, równocześnie wszelkimi środkami dążą do zniszczenia katolickiej wiary.

Pius XI odszedł z placu boju; ideowi wodzowie neopoganizmu pozostają nadal u steru przyszłości nowożytnych Niemiec. Ale do sumień ich dochodzić będzie zza grobu wołanie: *Mit brennender Sorge...*

Głos ten podejmie niebawem i na ziemi następca Piusa XI, jego długoletni i najbliższy współpracownik, były nuncjusz w Monachium i w Berlinie, sekretarz stanu E. Pacelli a obecnie nowy papież Pius XII.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Walka o Hiszpanię. — Rzym i Moskwa. — Anglo-niemiecki podkop pod Małopolskę. — Wiry dyplomatyczne dookoła Warszawy. — Demokracje apelują do Sowietów.

Międzynarodowy układ sił od dawna już wykazuje tylko dwie cechy trwałe — naprężenie i zmienność. Walka mocarstw terytorialnie i surowcowo wygłodzonych z przesyconymi nieustannie odwraca kierunek swoich ofensyw i kontrofensyw. Ich przypływ i odpływ na zachód i na wschód następują z miesiąca na miesiąc, z regularnością niewiele ustępującą ruchowi fal oceanu w ciągu doby. Skoro więc w lutym mówiliśmy o ciężkim zagrożeniu ententy anglo-francuskiej przez oś rzymsko-berlińską, to z kolei obecnie stwierdzić wypada częściowy odwrót, niemieckiej zwłaszcza fali ofensywnej ku wschodowi. Jest to doraźne następstwo odporu, jaki jej, mimo wszystko, zdołano jeszcze przeciwstawić na zachodzie. Odpływ ten jednak z miejsca uderza o rafy, ściera się z prądami współzawodniczącymi i wytwarza wiry, które mogą zahamować go a nawet ponownie odwrócić.

W końcu stycznia i na początku lutego mocarstwa zachodnie ogarnięte były paniką z powodu upadku Barcelony. Francuzi zwłaszcza doznawali już przedwczesnej wizji zmotoryzowanego korpusu włoskiego obsadzającego granicę pirenejską, czym prędzej więc wystawili podobnej siły korpus własny po swojej stronie. Niemniej zaniepokojoną była Anglia na skutek poberchtesgadeńskiej postawy Niemiec, zamachów irlandzkich i troski o niepodległość Holandii. To też wygłoszone w tym czasie mowy Bonnetta i Chamberlaina miały ton defensywny, sięgający aż tak daleko, że zdradzał wyraźną rysę w solidarności ententy. Bonnet był twardy wobec atakujących Francję Włoch, ale pojednawczy wobec Niemiec i Polski, którą po Berchtesgaden ostentacyjnie rewizytował min. v. Ribbentrop. Na odwrót Chamberlain, którego Irlandia z Holandią trwożyły więcej niżli Pireneje i Tunis, zajął wobec Niemiec postawę melancholijnie pacyfistyczną; żywo za to podnosząc doniosłość anglo-włoskiego układu, oraz najlepszą ze strony Anglii wolę zgody i współdziałania z Italią. Ponieważ z duchem ententy nie bardzo to było zgodne, osłodził więc premier te dość przykre dla Francuzów słowa frazesem o tak wielkim, wzajemnym anglo-francuskim zaufaniu, że może ono sobie pozwolić na podobne *extra-four'y*. Równocześnie prasa londyńska i paryska lansowała projekt międzynarodowej konferencji kolonialnej, która by się miała zająć zaspokojeniem niemieckich dążeń kosztem zamorskich posiadłości Holandii, Belgii i Portugalii.

Nastąpił szereg dni niespokojnego oczekiwania co na to odpowie Hitler w zapowiedzianej mowie w Reichstagu. Hitler zaś

widocznie uważał obu przeciwników osi rzymsko-berlińskiej za przyciśniętych do muru. Biorąc więc pod uwagę stan gospodarczy Niemiec zaznaczony dymisją Schachta, oraz płynące stąd dla Niemiec ryzyko tak wojny jak i wyścigu zbrojeń, próbował czy nie uda mu się zdobyć kolonii równie tanio, jak się to powiodło z Austrią i Sudekami. Taktycznie zdaje się zbłądził nadając mowie swojej ton wyraźnie pokojowy, zmierzający do układów, gdyż przeciwnicy obawiali się tylko wojny i tylko jej obawą, można było osiągnąć od nich poważniejsze ustępstwa. Także wyjątkowa otwartość z jaką *Führer* określił trudne położenie i konieczności życiowe Niemiec nie wywołała w „pacyfistycznym” Londynie wrażenia, którego oczekiwał mówca. Przeciwnie, wywarła wprawdzie wrażenie ulgi ale dlatego właśnie, że ją tam zrozumiano jako objaw słabości niemieckiej. Jedyne mocniejszy akcent w mowie Hitlera dotyczył solidarności i zbrojnego poparcia dla Włoch. Skierowany on był raczej przeciwko Francji, nie wpłynął więc na reakcję ze strony Anglii, której Hitler obiecał wyraźnie oszczędzać jej kolonialne imperium.

Odpowiedź, jakiej prawie natychmiast w izbie gmin udzielił Chamberlain Hitlerowi, ujawniła wobec tego uderzającą zmianę tonu. Była ostra, mentorska, prawie strofująca. Podnosiła, że umownego rozwiązania najtrudniejszych nawet komplikacji zawsze z dobrym skutkiem poszukiwać można, jednak tylko pod warunkiem, iż żadna ze stron nie będzie na drugą wywierała presji groźbą wojny. Zaproponował więc premier Niemcom, ażeby układy o kolonie, surowce i rynki dla niemieckiego eksportu rozpocząć od umowy o zawieszeniu zbrojeń. Był to warunek dla Niemiec bardzo niebezpieczny, zarówno ze względów technicznych w lotnictwie, jak społecznych (bo zawieszenie zbrojeń unieruchomiłoby przemysł niemiecki i spowodowało powrotne bezrobocie), jak wreszcie i ze względów politycznych, gdyż mocarstwa zachodnie, uwolniwszy się od nacisku, niewątpliwie przestałyby być skłonne do kosztownych dla nich ustępstw.

Premierowi W. Brytanii zasekundował wkrótce francuski minister spr. zagr., który wprawdzie nie przestał mieć na oku głównie Italii, ale na hitlerowską deklarację zbrojnej z nimi solidarności odpowiedział zaofiarowaniem wszystkich sił zbrojnych francuskich do dyspozycji angielskiej, gdyby ktokolwiek i gdziekolwiek podjął zamach przeciwko żywotnym interesom brytyjskiego imperium. To była reakcja wobec ostrzejszego momentu mowy Hitlera. Jej zaś ogólny, przeważająco „układowy” ton zmobilizował mocarstwom zachodnim innego jeszcze, cennego sekundanta zza oceanu.

Prezydent Roosevelt uznał, że jeśli Hitler zdradza nastroj pokojowy tak dalece, że Anglia mogła ostro się wobec Niemiec postawić, to nastroj niemiecki jeszcze bardziej się utrwali, jeżeli Ameryka wystąpi z poparciem mocarstw zachodnich tak w wy-

ścigu zbrojeń, jak na wypadek wojny. Ponownie więc, jak przedtem na jesieni, zapowiedział prezydent Stanów Zjednoczonych, iż w razie wojny europejskiej nie przyjmą one w niej udziału zbrojnego, ale wspierać będą dostawami materiału wojennego mocarstwa zachodnie w granicach ich wypłacalności. Była to oferta raczej skromna w porównaniu choćby tylko z gospodarczym udziałem Ameryki w poprzedniej wielkiej wojnie, który potem legł na barki amerykańskie olbrzymim ciężarem niespłacalnych długów międzysojuszniczych. Jednak w obecnych warunkach, chodzi na razie przede wszystkim o wyścig zbrojeń. W wypadku zaś wojny podtrzymanie mocarstw zachodnich choćby tylko wobec pierwszego, najsilniejszego uderzenia dyktatur też mogłoby decydująco zaważyć na szali, gdyż Niemcy i Włochy do długotrwałego wojennego wysiłku są obecnie mniej zdolne niżli przed 25 laty. Chociaż więc deklaracja Roosevelta była raczej skromna, a jego pozycja wewnętrzno-polityczna silnie atakowana przez opozycję i zagrożona wyborami w terminie rocznym, jednak wywarła ona wpływ poważny w europejskiej grze sił.

W Berlinie a zwłaszcza w Rzymie wywołała niebywałą furię dziennikarską, ponieważ utracąca do reszty nadzieję wymuszenia na mocarstwach zachodnich znaczniejszych ustępstw drogą presji pokojowej, która osiąga swój cel przez groźbę wojny, ale właśnie dzięki niej — bez wojny. Na łamach pism włoskich zarzucano Rooseveltowi, że działa w „zaćmieniu umysłowym“, że wojnę wręcz prowokuje. Interwencja prezydenta mogła rzeczywiście wydawać się tym bardziej drastyczną i ryzykowną, że już raz, we wrześniu ub. roku wtargnął on do europejskiego zatargu o Czechosłowację jak przysłowiowy słoń do składu porcelany: naprzód „niechący“ poparł Niemców swą zbędną deklaracją neutralności, potem zaś ratował pokój, gubiąc Czechy, na drodze do Monachium.¹⁾

Tym razem następstwa amerykańskiej interwencji okazały się o tyle odmienne, że dzięki niej mocarstwa zachodnie mogły utrzymać pokój na podstawie *status quo*. Usuwając doraźną konieczność kolonialnego okupu demokracji na rzecz mocarstw centralnych, interwencja amerykańska podtrzymała jednak w Niemczech w całej pełni niebezpieczne napięcie ich niezaspokojonych dążeń ekspansyjnych, nie tylko zamorskich. Naprężenie w Europie, o ile to było możliwe, wzmoгло się jeszcze bardziej, gdy ośmielona amerykańską odsieczą, Wielka Brytania odważyła się odważemnić Francji oświadczeniem Chamberlaina w izbie gmin, że wszystkie siły zbrojne angielskie stoją do dyspozycji rządu paryskiego, gdyby ktokolwiek, gdziekolwiek podjął zamach przeciwko żywotnym interesom francuskim. W ten sposób, świeżo umocnionej deklaracją sojuszniczą Hitlera osi rzym-

¹⁾ Patrz „Sprawy Państwa“ w zeszycie październikowym ub. roku. Przegl. Dow. t. 221.

sko-berlińskiej przeciwstawiona została sojusznicza deklaracja osi parysko-londyńskiej.

Same deklaracje nie mogły jednak żadnej ze stron zapewnić przewagi w grze sił. Wznowiła się więc zacięta walka między obu „osiąmi” o poszczególne momenty tej przewagi, przede wszystkim i najniespodziewaniej o — Hiszpanię. Z natury rzeczy czynniejszy w tej walce udział przyjąć musiały Włochy i Francja niżli Niemcy i W. Brytania. Na proklamację sojuszu anglo-francuskiego odpowiedział naprzód Mussolini powołną mobilizacją wojsk lądowych, pogotowiem 80 tysięcznej armii dla desantu, oraz koncentracją floty wojennej w zachodnich portach Italii. Zarządzenia były pozorowane wzmocnieniem wojsk francuskich w Tunisie, bezpośrednio jednak zdawały się mieć na celu okupację Minorki, jeszcze zajętej przez czerwony garnizon hiszpański. Ponieważ Majorkę Włosi dawno już, jako sprzymierzeńcy gen. Franco, opanowali, mogli zaś obawiać się usadowienia się Francuzów na Minorce, przeto ze stanowiska strategii włoskiej rozszerzenie okupacji Balearów nasuwało się jako konieczność, zwłaszcza na wypadek wojny z Francją o Tunis. Włoska bowiem ekspansja do Tunisu miałaby w połowie tyły zabezpieczone, gdyby na linii komunikacyjnej z Francji do Afryki wyrosła tak poważna przeszkoda jak Baleary w ręku Italii.

Nie próżnował jednak również Paryż jak i Londyn. Ochławszy z paniki wywołanej podbojem Katalonii przez Franca i Włochów, ententa podjęła kontrofensywną próbę przeciągnięcia Franca na swoją stronę. Zachęta wyszła faktycznie od samego Franca, który nie dopuścił wojsk włoskich do granicy pirenejskiej i zajął wobec Francji postawę uprzejmą. Ze specjalną przeto misją z Paryża do Burgos delegowany został senator Bérard. Mógł zaofiarować rządowi powstańczemu uznanie *de iure*, protekcję anglo-francuską przeciwko zależności od Włoch, (zwolnienie zatem od uciążliwych obowiązków sojuszniczego wobec nich rewanżu), wreszcie zaś i co najważniejsza — oprócz pokoju — także pomoc gospodarczą. Żądała Francja w zamian od Franca łagodnych warunków kapitulacyjnych dla Miaji na niepodbitym jeszcze obszarze walenckim, oraz reakcji ustrojowej demoliberalnej pod osłoną monarchii. Ze strony angielskiej współdziałał z Bérardem Hodson. Anglia zabrała się do rzeczy na węższym odcinku, ale praktyczniej. Zorganizowała zapobiegawczą przeciwko zamiarom włoskim okupację Minorki na rzecz gen. Franco.

Przez jakiś czas anglo-francuskie zabiegi w Hiszpanii zdawały się rozwijać pomyślnie ku największemu niezadowoleniu Italii i Niemiec. Hiszpania wydawała się dotąd tak ważnym atutem w ręku osi rzymsko-berlińskiej przeciwko mocarstwom zachodnim, że gdyby ją one dla siebie pozyskać zdołały, to klęska włosko-niemiecka byłaby pierwszorzędna. Ententa mogła kusić

Hiszpanię tym skuteczniej, że miała za sobą plecy Ameryki. Przechodząc z kolei do defensywy, Rzym, na razie w dobrym jeszcze porozumieniu z Berlinem, począł poszukiwać nowej przeciwwagi wobec odsieczy zza oceanu, jaką otrzymała ententa. Zawarty więc został i pośpiesznie ogłoszony układ handlowy włosko-sowiecki. Oznaczał on przede wszystkim apel do surowców sowieckich dla mocarstw centralnych na wypadek wojny z mocarstwami zachodnimi. Posiadał jednak również rozległą perspektywę możliwości politycznych niepokojących dla Zachodu.

Gdyby oś rzymsko-berlińska zdecydowała się wznowić „neorapallitański” kurs współdziałania z Moskwą, proponowany przez tę ostatnią na wiosnę 1937 r.¹⁾ i solidarniej niżli wtedy wcielić go w czyn, to mogłaby spotęgować do *maximum* szanse zagrożenia Anglii i Francji na Bliskim Wschodzie: *vla* Turcja na Irak, Syrię, Palestynę i rejon kanału Suezkiego. Liczył się z tą ewentualnością, jak i z drażliwościami odnowionego kontaktu polsko-sowieckiego Hitler, powstrzymując się w ostatniej swej mowie od jakiegokolwiek zaczepki pod adresem Sowietów. Mussolini jednak wyprzedził Hitlera inicjatywą, a wkrótce nawet poważnie się z nim rozszedł. Zaznaczywszy przez układ handlowy zbliżenie Rzymu z Moskwą, mógł je Mussolini doraźnie zużytkować przede wszystkim dla utrzymania w posłuszeństwie gen. Franco, zdradzającego skłonność do oparcia się o Zachód. Wciągając w rachubę po swej stronie Rosję mógł *Il Duce* zagrozić Francowi, że nie tylko wycofa z Hiszpanii korpus włoski, lecz „przestanie się sprzeciwiać” ewentualnemu wznowieniu przez Komintern dostaw materiału wojennego do czerwonej Walencji. Aczkolwiek po upadku Barcelony i wbrew Francji byłoby to utrudnione, jednak zdaje się, że Franco wołał na razie nie ryzykować dalszej wojny domowej z Miją bez poparcia włoskiego, a z poparciem sowieckim dla przeciwnika. Zajął więc wobec Anglii i Francji postawę bardziej powściągliwą, którą prasa włoska pragnęłaby umocnić przez zjazd trzech dyktatorów, Franca z Mussolinim i Hitlerem w Mediolanie.

Ten włoski balon próbny starał się zapobiec podwójnemu niebezpieczeństwu: 1^o przejściu Hiszpanii do obozu mocarstw zachodnich, które znów może się stać aktualnym po pogromie Walencji, 2^o ponownemu odwrotowi niemieckiej ofensywy ekspansyjnej od Zachodu i kolonii, przeciwko Wschodowi i Moskwie, o co sprytnie i energicznie, na własną rękę, zabiegać zaczęła Anglia.

Biorąc rewanż za polskie Berchtesgaden, które zwróciło Niemcy wprost na Holandię, Wielką Brytanię, po mowie Hitlera i profrancuskiej, a więc antywłoskiej deklaracji sojuszniczej Cham-

¹⁾ Patrz „Sprawy Państwa” w zeszytach czerwcowym i lipcowym z 1937 roku.

berlainska, wysłała na zwiady do Europy środkowej byłego ministra kolonii Wedgwooda. Ściślejszy teren tego dyplomatycznego rekonesansu stanowiła Ruś Zakarpacka i Małopolska Wschodnia. Wedgwood konferował w Huszt z germano-ukraino-filskim premierem Wołoszynowem oraz ministrem Rewajem, a we Lwowie z metropolitą Szeptyckim i wicemarszałkiem Mudrym. Nawiasowo przypomnieć warto, że brytyjskie zainteresowanie Małopolską Wschodnią nie jest pozbawione pewnej tradycji. W pierwszych latach naszej wznowionej niepodległości Lloyd George niemniej zawzięcie, choć mniej skutecznie walczył o wydarcie nam ziemi Czerwieńskiej, jak Mazurów Pruskich i Śląska. Przeworsował nawet pewne akty międzynarodowe ograniczające nasze prawa wschodnio-małopolskie do 25 letniego mandatu Ligi Narodów i przy obowiązku autonomii. Zostały one anulowane dopiero przez pokój Ryski i uznanie wykreślonych przezeń polskich granic wschodnich przez mocarstwa zachodnie w r. 1923.

W chwili obecnej misja Wedgwooda mogła zmierzać do wznowienia tej Lloyd George'owskiej tradycji z konkretnym celem ponownego odwrótu niemieckich dążeń ekspansyjnych od granic Holandii ku granicom Rusi Zakarpackiej i Litwy. Zdaje się, że nasze MSZ liczyło się z możliwością tego rodzaju odwetu brytyjskiego za Berchtesgaden i że wcześniej otrzymaliśmy wiadomości, iż się ona wykluwa. Zanim jeszcze prasa doniosła o podróży i konferencjach Wedgwooda ujawnił się pewien pozornie niewytłumaczalny ruch w naszym MSWewn. w postaci konferencji rządu i wojewodów małopolskich, oraz poparcia polskiego ruchu konsolidacyjnego na Rusi Czerwonej.

Międzynarodowy wynik tej dyplomatycznej kontrofensywy angielskiej ujawnił się we wspomnianym na początku, a sprzecznym z berchtesgadenską deklaracją Hitlera wobec Becka, odpływie fali ofensywnej niemieckiej z zachodu ku wschodowi. Wobec oporu anglo-franko-amerykańskiego oraz zagrożenia pozycji rzymsko-berlińskiej w Hiszpanii, Niemcy nie pozostały głuche na brytyjską sugestię w kierunku Ukrainy względnie Litwy. Wszak Londyn najwidoczniej ofiarowywał Niemcom wolną rękę na wschodzie Europy, w zamian za poniesienie nacisku południowo-wschodniego i żądań kolonialnych. Kierunek wschodni zwracał Niemcy ponownie przeciwko Polsce i Rosji, osłaniał więc nie tylko Holandję przed Niemcami, lecz przez odwrócony *Drang* niemiecki także Syrię i Mezopotamię przed Rosją i Turcją. Kierunek ten prowadził przy tym do zamaskowanego na razie rozdźwięku w osi rzymsko-berlińskiej, gdyż wchodził w drogę bojowej postawie Włoch wobec Zachodu. Tym lepiej z londyńskiego punktu widzenia.

Wpływ tego posunięcia W. Brytanii wyraził się przede wszystkim w polityce Niemiec wobec Czechosłowacji. Wspominaliśmy w końcu poprzedniego sprawozdania, że Chwałkovsky

spróbował postawić się okoniem wobec Niemiec w oparciu o odnowiony pakt polsko-rosyjski i włoską antypatię do Rusi Zakarpackiej. Wysłano więc z Pragi do Huszt generała Prchale, który miał zasiąść jako minister w rządzie Wołoszyna i podporządkować go wraz z całym krajem rzeczywistemu zwierzchnictwu Czech. Prchala istotnie objął komendę nad czeskimi garnizonami na Rusi i rozbroił bojówki ukraińskie. Celem tej polityki było zachować Ruś we władzy Czech, nie jako „Piemont” wielko-ukraiński na służbie Niemiec, lecz po dawnemu, jako czeski korytarz w kierunku Rosji.

To posunięcie Pragi obliczone było na przychyłność Moskwy tym bardziej, że niedawno jeszcze po Berchtesgaden oraz niefortunnej rzymskiej wizycie Chamberlaina i Halifaxa, gdy oś rzymsko-berlińska próbowała montować niemiecki „franzytowy” *Drang nach Süd-Osten* do Turcji, celem zagrożenia ententy na Lewancie — Węgry zostały wciągnięte do paktu przeciwkomunistycznego, Sowiety zareagowały wówczas zerwaniem stosunków dyplomatycznych i konsularnych z Budapesztem. Obawiając się, żeby Niemcy nie wciągnęły do tego faszystowskiego paktu również Rumunii, Sowiety wysunęły pod jej adresem dyskretną ofertę uznania granicy Besarabskiej. W tych okolicznościach Chwalkovsky liczył więc na pewno na sowieckie poparcie jego poczynań karpato-ruskich, oraz na polską neutralność.

Niemcy wszakże, przyjmując znów w rachubę postawę Anglii, podjęły z Czechami walkę na ich własnym terenie wewnętrznym i osiągnęły w niej przewagę. Zdołały steroryzować Pragę ruchem germanofilskim i niepodległościowym na Słowaczynie, na Rusi zaś doprowadziły wbrew Pradze i Prchali do komedii wyborów parlamentarnych w duchu ukraińsko-filskim Wołoszyna. Niemcy więc wbrew duchowi deklaracji z Berchtesgaden znów mocno opanowały czechosłowacki korytarz do Małopolski, Bukowiny i Ukrainy sowieckiej.

Na północy nadbałtyckiej zaznaczył się także niepokój płynący z tego samego międzynarodowego źródła, chociaż słabszy. Dały mu wyraz gdańskie i kłajpedzkie przeglądy miejscowych „policyjnych” sił zbrojnych niemieckich. Z Litwy nadeszły wiadomości o przygotowaniach do budowy „litewskiej Gdyni” przy ujściu rzeki Świętej, na wypadek zaboru Kłajpedy przez Niemcy.

Na Bałkanie sytuacja układała się mniej przejrzysto, bo tutaj dążenia niemieckie i angielskie nie weszły na tor chwilowej nawet równoległości, lecz zarysowało się raczej współzawodnictwo wobec Niemiec ze strony Anglii i Francji. Szczególnie ostro zaznaczyło się ono na gruncie Rumunii, która na tym współzawodnictwie wyszła dobrze pod względem ekonomicznym i zbrojeniowym. W myśl zasady równoważenia wpływów niemieckich przez angielskie i francuskie, osiągnęła Rumunia ko-

rzystne na wielką skalę umowy handlowo-finansowe z Berlinem, Londynem i Paryżem.

Na pierwszy jednak plan polityki bałkańskiej w związku z aktualną sytuacją ogólną wysunęła się systematyczna akcja włoska. Odwiedziny min. Ciano w Białogrodzie po pewnym czasie poczęły przynosić godne uwagi owoce. W Białogrodzie zastał Ciano grunt już przygotowany przez poprzedni kontakt osobisty monarchów Rumunii i Jugosławii, dalszą zaś tego gruntu uprawę podjął w Białogrodzie nowy rumuński min. spr. zagr. Gafencu. Wkrótce po „polowaniu”, na które Ciano przyjechał do Stojadinowicza, ogłoszono znamienny politycznie projekt budowy autostrady z Triestu (Włochy) przez Zagrzeb (Chorwacja), Białogród (Serbia) do Konstanzy (Rumunia). Ta nowa linia komunikacyjna łączyłaby więc Adriatyk z Morzem Czarnym w poprzek Bałkanu, oraz projektowanej autostrady niemieckiej z Wiednia przez Budapeszt, Białogród i Sofię do Konstantynopola. Podobne skrzyżowania zamierzeń komunikacyjnych odegrały w swoim czasie na tymże Bałkanie znamienną rolę polityczną przed wielką wojną.

Wkrótce po ogłoszeniu projektu autostrady wybuchło w Jugosławii przesilenie rządowe o podłożu wewnętrznym, bo dotyczącym sprawy autonomii dla Chorwacji, oraz zewnętrznym, gdyż Stojadinowicz nazbyt ściśle się związał z polityką niemiecką. Autonomia dla Chorwacji mogłaby wzmocnić Jugosławię i poprawić jej stosunek do Węgrów, a zmniejszyć polityczną zależność od Niemiec. Zawarto też z Włochami układ handlowy konkurencyjny wobec dotychczasowej niemieckiej gospodarczej nad Jugosławią przewagi. Wreszcie do Bukaresztu zwołano zjazd ententy bałkańskiej celem narad nad uregulowaniem stosunku do Bułgarii. Jest to problemat nie mniej trudny od węgierskiego, jednak mógłby być załagodzony za pomocą ustępstw terytorialnych podobnej miary, jakie otrzymały i do jakich jeszcze aspirują Węgry (granica z Polską). Wtedy solidarny 60 milionowy blok bałkańskoturecki mógłby sam przez się przeciwstawić znaczną siłę oporu wobec *Drang nach Süd-Osten*.

Tę właśnie myśl popierają obecnie Włochy. Odstępują zatem od swej postawy z poprzedniego miesiąca, gdy zdawały się skłaniać do wpuszczenia Niemiec do Turcji, ażeby stamtąd z ich pomocą wyrzucić nacisk przeciwko Zachodowi w Syrii, Mezopotamii i na obszarze Suezkim. Co wpłynęło na tę zmianę stanowiska? Niewątpliwie układ handlowy z Rosją, oraz myśl użycia Rosji jako protektorki Turcji przeciwko Anglii i Francji na tymże terenie i w analogiczny sposób, w jaki by to mogły uczynić Niemcy, ale z niebezpieczeństwem wchłonięcia „po drodze” Bałkanu oraz wasalizacji Włoch.

Tutaj więc, chwilowo może, ale radykalnie rozeszły się linie dążeń obu mocarstw osi rzymsko-berlińskiej. Gdy Niemcy, ule-

gając sugestiom angielskim, poczęły się odwracać z zachodu na wschód, a więc przeciwko Polsce i Rosji, to Italia, zagrożona opuszczeniem przez sprzymierzeńca wobec mocarstw zachodnich, poszukuje zastępstwa i korektury dla swego zawodnego sojuszu z Berlinem — w Moskwie.

Gdyby znalazła tam oddźwięk głębszy od wstępnego układu handlowego, to mogłaby wespół z Moskwą zmusić Niemcy raz jeszcze do ponownego odwrótu ze wschodu przeciwko zachodowi. Zbliżenie bowiem włosko-rosyjskie, łącznie ze zbliżeniem polsko-rosyjskim oraz ententą bałkańską ujmowałoby jak w kleszcze opanowany przez Niemcy korytarz czesko-słowacki i prostą drogą wiodłoby do wznowienia wielkiego bloku wschodniego z r. 1933, w rozszerzonym przez udział Włoch wydaniu. Byłaby to potęga zupełnie wystarczająca dla zrównoważenia wolnej ręki ofiarowanej Niemcom na wschodzie przez Anglię. Niemcom wtedy nie pozostawałoby nic innego, jak dopuścić do granicy polsko-węgierskiej, ewakuować politycznie Słowaczną, inkorporować *de facto* Czechy właściwe, przejść na kurs nie-rapallitański i zwrócić się ponownie ku ofensywie kolonialnej przeciwko Zachodowi, powierając atak na froncie Bliskiego Wschodu Włochom i Turcji — w oparciu o Moskwę.

Z mocy geopolityki miejscowa decyzja w tej światowej grze sił w bardzo wielkiej mierze przypada Polsce. Wysłunięto przeto pod adresem naszego MSZ z dwu zwalczających się stron dwie oferty, które miały być bliżej omówione podczas dwu doniosłych wizyt dyplomatycznych: ministra Ciano w Warszawie, oraz ministra Becka, zaproszonego na marzec do Londynu. Wnosząc nie tyle z prasowych niedyskrecyj co z zaznaczonej ostatnimi czasy linii polityki anglo-niemieckiej, przyjąć można, iż oferta londyńska zmierzała do wyzyskania bałtycko-północnych skłonności polityki polskiej. W zamian za unię z Litwą, oraz być może Kłajpedę dla Litwy, a poprawę sytuacji gdańskiej na korzyść Polski, mielibyśmy według tej koncepcji zgodzić się na „autonomię” Małopolski Wschodniej oraz „tranzyt” militarny przez nią dla Niemiec z Rusi Zakarpackiej na Ukrainę. Gdyby nawet Niemcy ofiarowali nam, oprócz Litwy, Mazury Pruskie i Śląsk Opolski to nieuchronną byłaby w tej linii faktyczna utrata Lwowa, odcięcie od Rumunii i Włoch oraz izolacja nad Bałtykiem w towarzystwie tamtejszych państweczek, łącznie słabszych od Czechosłowacji. Trudno przypuszczać ażeby w Londynie zdołano pana min. Becka pozyskać dla takiego przewrotu. Niemniej niechętny jest płk Beck również otwarciu przed Niemcami dostępu do Rosji nad Bałtykiem, co wymagałoby podziału Litwy, choć mogłoby przynieść granicę polsko-węgierską.

Większe natomiast szanse posiada min. Ciano, który odwiedził Warszawę w końcu lutego, z córką Mussoliniego a swoją małżonką. Granica polsko-węgierska wraz ze Słowaczną,

choćby przy ostatecznym rozbiórze Czechosłowacji, ale i przy swobodzie unii z Litwą, odwrócie Niemiec na zachód i zapewnieniu Moskwie wolnej ręki na Bliskim Wschodzie — na to prędzej Polska pójść może. Swoją w tym kierunku skłonność zmanifestowała zawierając śladem Włoch układ handlowy z Moskwą. Ten skromny na pozór fakt (łącznie być może z jakimiś poufnymi informacjami o stanowisku naszego MSZ), wywarł w Paryżu i Londynie wrażenie tak wstrząsające, że wręcz niepamiętne od czasu wielkiej wojny. Dzienniki i wybitni parlamentarzyści francuscy zatroszczyli się nagle gorąco o polski dostęp do francuskich surowców kolonialnych i o terytoria emigracyjne dla polskiego żydostwa. W Londynie zdawano sobie sprawę z wielkiej dla Anglii drastyczności Karpać-ruskiego posunięcia przeciwko Moskwie, już więc nieco wcześniej podjęto pewne kroki asekuracyjne. Po układzie handlowym polsko-rosyjskim zapalano jednak tak gwałtownie chęcią nawiązania z Moskwą bliższych stosunków gospodarczych i politycznych, że nie tylko misja handlowa Hudsona ma objechać Berlin, Pragę, Warszawę i Moskwę, lecz do Moskwy zapowiedział swój wyjazd sam premier staruszek Chamberlain.

Czy istotnie mocarstwa zachodnie nie mają środka przeciw możliwemu atakowi sprzymierzonej z faszystami Moskwy, na Bliskim Wschodzie? Owszem, ale środkiem takim mogłoby się stać właśnie tylko zbliżenie z Moskwą. Anglia i Ameryka próbują je więc osiągnąć za stosunkowo tanią cenę polityczną poparcia Moskwy w „rybnym” i chińskim zatargu z Japonią. To zapewne nie wystarczy i wypadnie albo zawikłać Moskwę w wojnę z cesarstwem wschodzącego słońca, albo zakupić jej przychyłność za wysoką cenę gospodarczą.

W ogóle na Dalekim Wschodzie rozgrywają się wypadki ważne a z położeniem światowym związane. Gdy mocarstwa zachodnie uległy poprzedniej fali paniki barcelońsko-kolonialnej, Japonia zajęła wyspę Hainan, ażeby stamtąd trzymać w szachu Tonkin francuski, którędy okrężną drogą dochodziły jeszcze angielskie dostawy materiału wojennego dla Chin, wysadzonych z Hankou i Kantonu. Nazbierało się w ciągu półrocza tego materiału dosyć, by dostawcy mogli poruszyć Czang-kai-szeka do nagłego natarcia i odebrania Japończykom Hankou — w odwet za Hainan. Równolegle i bodaj że nie bez rachuby na współdziałanie z antyrosyjską polityką Anglii i Niemiec, Japonia weszła w nowy zatarg rybołówczy z Moskwą. Zdaje się jednak, że ją ta rachuba zawiedzie i może w cięższe jeszcze położenie zapędzi, bo w chwili gdy to sprawozdanie kończę, w Londynie, Paryżu i Waszyngtonie zapanowały nastroje przechodnie od paniki do furii, a żywiołowo sowietofilskie.

Andrzej Prawdźic.

Ze świata filmu.

Zwycięstwo opinii publicznej. — O dobry film polski. — Szkolnictwo filmowe. — Przegląd repertuaru.

Poruszona w poprzednim zeszycie *Przeglądu Powszechnego* sprawa filmu krajowej produkcji *Za winy niepopelnione*, opartego na powieści M. Bałuckiego pod tym samym tytułem, wywołała jednogłośnie protest niezależnej opinii katolickiej i narodowej przeciw metodzie „filmowego chrztu”. Jak wiadomo, polega ona na takim trawestowaniu oryginału powieściowego, że typy przestępcze otrzymują w filmie pozory polskości, wskutek używania nazwisk zakończonych na „ski” i odpowiedniego doboru aktorów. Pierwsza spośród dzienników odezwała się *Polska Zbrojna*, która powołując się obszernie na *Przegląd Powszechny* wystąpiła ze stanowczym żądaniem ukrócenia tego rodzaju wybryków. W ślad za tym liczne pisma w całej Polsce przyłączyły się do głosu *Przeglądu*.

Skutek nie kazał na siebie czekać. W dn. 24 lutego odbyło się w Min. Spraw Wewnętrznych zebranie, zwołane przez naczelnika Relidzyńskiego z udziałem przedstawicieli zainteresowanych ministerstw, tj. M. S. Wojsk., Min. Spr. Zagr., oraz Min. W. R. i O. P. Ze strony świata filmowego uczestniczyły w zebraniu zarządy organizacyj, specjalnie delegowani członkowie, liczni reżyserzy, scenarzyści i scenopisarze. Na konferencję zaproszony był również Związek Dziennikarzy i Publicystów Filmowych. Jak oświadczył naczelnik Relidzyński, bezpośrednim powodem zwołania zebrania stała się sprawa dwóch filmów: *Sfrachy* i *Za winy niepopelnione*. Ministerstwo, zgodnie z apelem opinii publicznej, zdecydowało zakazać wyświetlania obu tych filmów w całej Polsce, oczywiście równocześnie zakazując także ich eksportu. Na przyszłość, przy zgłaszaniu filmu do cenzury, będzie obowiązkowe przedstawianie również oryginału powieści, bądź sztuki teatralnej, jeżeli film powstał drogą przeróbki dzieła literackiego, oraz zaświadczenia autora, bądź też spadkobierców praw autorskich, iż zgadzają się nie tylko na sam fakt przeróbki, ale i na przeprowadzony w niej sposób ujęcia, zmianę nazwisk itp.

Miarę reakcji oburzonej opinii naczelnik Relidzyński określił dosłownie: „cała Polska rozbrzmiewa dziś protestami”. Istotnie — protestowała nie tylko ta prasa, której wody w usta nie wlewają ogłoszenia żydowskich producentów, ale, jak np. w Krakowie, dochodziło do bezpośredniej reakcji społeczeństwa, domagającego się, aby jedno z krakowskich kin usunęło niezwłocznie z programu wspomniany film.

Można zatem powiedzieć, że wbrew przesadnemu, tchórzliwemu i wygodnickiemu zdaniu o niemożliwości uprawiania niezależnej krytyki filmowej i o potędze wpływów finansowych pro-

dukcji filmowej, właśnie niezależna krytyka doprowadziła do pozytywnego załatwienia kwestii. Gdyby rolę tej krytyki doznała produkcja, zapewne kolej rzeczy byłaby inna — dłuższe oddziaływanie opinii krytyka na producentów doprowadziłoby już od dawna do usunięcia istniejących w filmie nieporozumień. W obecnym zaś stanie rzeczy, z uwag krytyka korzystają władze, a wówczas, oczywiście, jest już za późno na naprawianie błędów, wówczas może już przyjść jedynie — kara. Produkcja sugeruje się najzupełniej błędnie, że reklama zdoła zastąpić swobodną ocenę filmu. Ostatnie wypadki dały jaskrawy dowód, iż publiczność interesuje się głosem krytyki i w razie potrzeby — gotowa jest poprzeć ją czynnie.

Los podobny do losu dwóch filmów krajowych spotkał także film francuski *Purytanin*. Wskutek wystąpienia Katolickiej Agencji Prasowej film musiano usunąć z ekranu kina *Atlantic* w Warszawie i nie przypuszczamy, aby mógł się on pojawić jeszcze gdziekolwiek indziej. Wszystko to razem wskazuje, iż wychodzimy nareszcie z biernego stosunku do tak wpływowego środka oddziaływania na społeczeństwo, jak film, i że akcja nie ogranicza się do słów. Za słowami idą konkretne rezultaty i wolno dziś śmiało powiedzieć, że na przyszłość żaden producent nie ośmieli się równie lekkomyślnie potraktować sprawy zmiany nazwiska jak to było w stosunku do powieści Ukniewskiej i Bałuckiego. To zło wydaje się ukrócone, natomiast pozostaje jeszcze sprawa importu filmów zagranicznych, odbywającego się bez należytej kontroli opinii publicznej. Pojedynczy wypadek usunięcia *Purytanina* nie rozwiązuje zagadnienia ujemnego wpływu całej kolekcji filmów francuskich, z których znaczna część dziwnie lubuje się w przedstawianiu apaszwowskiego środowiska i rozgrzeszaniu aktów zbrodni.

Oczywiście akcja przeciw filmom złym i szkodliwym nie stworzy dobrego filmu. Dzięki niej może zniknąć najgorsze zło, daleko jednak do dodatniego oddziaływania filmu i do jego rozwoju artystycznego.

Był i ten problem poruszany na konferencji w Min. Spraw Wewn. I naczelnik Relidzyński i przedstawiciele poszczególnych ministerstw podkreślali, że film krajowy, nawet ten, który uchodzi za poprawny i wobec którego cenzura nie ma formalnych podstaw dla nieudzielenia zezwoleń na wyświetlanie, jest filmem — mówiąc łagodnie — co najmniej marnotrawnym. Tematyka jego — to romans albo brukowy, albo pseudoarystokratyczny. Oddalony od rzeczywistości polskiego życia, wręcz jej nie dostrzegający, obojętny na najlepszą aktualność, na odzyskanie Zaolzia, na C. O. P., na pracę polską na kresach, film ten żyje tanim sentymentalizmem i niewybrednym humorem. Nie jest ani użyteczny, ani artystyczny. Nie wyczuwa środowiska, dla jakiego jest przeznaczony: bohaterowie filmu krajowego — to

ludzie znikąd, ludzie bez ojczyzny, kukły poubierane w modne garnitury i poruszające się w luksusowych wnętrzach i tylko w ten sposób rzekomo współcześni.

Co zwłaszcza jest charakterystyczne — akcentował to nacz. Relidziński — że równocześnie z filmem w języku polskim, realizowane przez tych samych producentów ukazują się filmy żargonowe. Atmosfera filmu żydowskiego jest zupełnie odmienna. Film został nasycony realizmem, rozświetla go uczucie, światło życia rodzinnego i ludzkiej solidarności. Za granicą film żargonowy, nakręcany w Polsce, cieszy się powodzeniem i przynosi żydostwu pożytek. Czemuż w takim razie my Polacy skazani jesteśmy na film fałszywie i ujemnie oświetlający życie polskie? Ośmiomilionowa masa polskiej emigracji łaknie polskiego filmu, a otrzymuje płaskie dramaty, nie znajduje ducha polskości, wizji dalekiej ojczyzny.

Znamienne były głosy przedstawicieli produkcji. Wyjaśniano, że rozpoczęto już kontrolę scenariuszy i że przyszły sezon przyniesie filmy bardziej odpowiadające potrzebom polskiego społeczeństwa. W momencie podjęcia pewnych reform w ramach organizacji producentów, film *Za winy niepopelnione* był już w realizacji i nie można już było go zmieniać. Jak zatem widzimy, zdecydował wzgląd merkantylny. Ten sam wzgląd, na jaki powołuje się z nieświadomym cynizmem żydowski dziennik *Nasz Przegląd*, starając się wytłumaczyć i usprawiedliwić osławioną przeróbkę powieści Bałuckiego. Czyli mówiąc krótko: lepsze pieniądze, niż przyzwoitość; lepiej zarobić, niż być w porządku wobec społeczeństwa. Zdaje się jednak, że rachunek zawiodł. Większą chyba szkodę przyniosła przemysłowi filmowemu w Polsce kompromitacja wywołana filmem *Za winy niepopelnione*, niżby wyniosły koszty dokonania pewnych przeróbek, przed wypuszczeniem filmu na ekrany.

Czysto handlowy stosunek do sprawy, ujęcie zagadnienia w sposób: „uderzają nas po kieszeni, no, to postaramy się być szlachetniejsi, żeby lepiej zarabiać” — świadczy dobitnie, że sytuację naprawi tylko i jedynie zmiana ducha krajowego filmu. Film, mimo swych związków z przemysłem, jest jednak sztuką, a sztuka nie umie (według wielu: niestety!) kłamać. W praktyce zasada ta wyraża się pewnikiem: człowiek obcy polskiej kulturze, polskim aspiracjom państwowym i narodowym, nie stworzy nigdy dobrego polskiego filmu. Będzie szukał recepty na patriotyczny business, będzie szukał recepty na polskość, a więc na coś, co leży w sferze intuicji. Polakiem trzeba się albo urodzić, albo zostać nim, wskutek głębokiej przemiany wewnętrznej. Nie ma zaś takiego zabiegu, takiej operacji, która by z nie-Polaka zrobiła szczerego polskiego patriotę.

Wniosek ostateczny nasuwa się sam przez się. Zmiana oblicza naszego krajowego filmu, to zmiana jego ducha, a zmiana

ducha — to zmiana ludzi, zwerbowanie do filmu polskiego świata artystycznego. Potrzeba nam zatem polskich filmowców, a zagadnieniem, które życie w dziedzinie filmu w Polsce wysuwa na pierwszy plan, jest sprawa szkolnictwa filmowego.

Zajmiemy się nią w najbliższej przyszłości, na razie zaś zanotujmy fakt pozytywny, co dla wielu osób może stać się poszukiwaną informacją.

W dniu 26 lutego, pod protektoratem Towarzystwa Rozwoju Filmu Polskiego, dyr W. Adamiecki i T. Dołęga-Mostowicz inaugurowali Kurs Wiedzy Filmowej, zorganizowany przez Biuro Filmowe przy *Confédération Internationale des Etudiants*.

Od lat trzech Biuro prowadzone jest przez studentów polskich, którzy tworzą przy P. A. Z. M. „Liga” — osobny klub filmowy. Wykłady Kursu Wiedzy Filmowej odbywają się w godzinach wieczornych, dwa razy na tydzień w gmachu Y. M. C. A. przy ul. Konopnickiej 6. Opłata za całość kursu, składającą się z 87 wykładów, wynosi 25 złotych. Zapisy i informacje codziennie w sekretariacie kursów od godz. 18 do 20.

Program wykładów obejmuje następujące cykle: 1) Zagadnienia ogólne, 2) Realizacja filmu, 3) Optyka, 4) Materiały światłoczułe, 5) Kinematografia, 6) Strona dźwiękowa i laboratoryjna filmu, 7) Film wąskotaśmowy. Wykładają na kursie specjaliści, wyłącznie Polacy. W obecnej chwili jest to jedyna na szerszą skalę zakrojona próba dania słuchaczom propedeutyki wiedzy o filmie. Powinien z niej skorzystać każdy Polak, interesujący się problemami X Muzy.

Repertuar ubiegłego okresu sprawozdawczego nie przyniósł filmów wybitnych, obfituje jednak w różnorodne pozycje, które postaramy się zgrupować według tematyki obrazów, lub też ich pochodzenia. Tak więc wśród coraz częstszego filmu biograficznego trzeba zanotować film kolorowy anglo-amerykański *Królowa Wiktoria* (prod. RKO) z Anną Neagle w roli tytułowej. Przedmiot pociągający, ale i trudny — zrealizowany bez polotu, lecz poprawnie. Niemością nastroju, unikaniem tradycyjnego filmowego romansu odbijający korzystnie od *Marii Antoniny* i od świeższego od niej *Suezu* (prod. Fox). Ten ostatni, obrazujący dzieje powstania Kanału Suezkiego, ma dużo rozmachu, kilka świetnych scen, doborowy zespół gwiazd (Annabella, Loretta Young, Tyrone Power), daleki jest jednak od autentycznej historii Lessepsa. Interesuje jednak przez wskazanie na wysiłek każdego człowieka, który chce stworzyć wielkie dzieło. W nawiasie uwaga — zdjęcia z kąpieli Annabelli mają podejrzaną tendencję, przydałoby się je przyciąć.

Filmy wojenne i lotnicze reprezentują trzy obrazy. Doskonały w zdjęciach, reżyserii i grze *Patrol bohaterów* z Errolem Flynnem, przeciętny film Forda — *Zaloga nieusfraszonych*

i nudnawy obraz *Zwycięzcy żywiołów*, mający streszczać historię postępów lotnictwa. Pod adresem *Patrolu bohaterów*, silnie impresjonującego brawurą, odwagą i poświęceniem lotnika-żołnierza trzeba zaznaczyć, że ani śladu modlitwy w tym filmie tak często mówiącym o śmierci. Umierać bohatersko, to jeszcze nie znaczy umierać wesolutko, jakby śmierć nie była najważniejszym wydarzeniem życia człowieka.

Filmy francuskie reprezentowane są przez trzy dramaty psychologiczne: *Purytanin*, *Hôtel du Nord*, *Ich błąd* oraz dość trywialną komedię z Fernandem pt. *Kibic* (tyt. oryg. *Barnabé*). Żadnego z tych czterech obrazów nie można polecić. Dwa ostatnie odpadają ze względów artystycznych, *Hôtel du Nord* jest nieinteresującym powtórzeniem świetnej zresztą recepty formalnej *Ludzi za mgłą*. Tym razem jednak Marcel Carné nie wypełnił formy wartościową treścią, środowisko zaś kobiet lekkich obyczajów, sutenerów, złodziei, wraz z naczelnym motywem samobójstwa, przesądza ujemny sąd o tym filmie, zrealizowanym zresztą bardzo starannie i dbającym o dyskrecję wobec jaskrawości wydarzeń. *Purytanin*, jak już pisaliśmy — przerwany wskutek protestu opinii, ma niepospolitą grę głównego wykonawcy (Jean Louis Barrault) i reżysersko oraz fotograficznie jest filmem wysokiej klasy. Nieprzyjemne natomiast jest tło: spelunki nocne a wręcz szkodliwą głębszą treść filmu, z której widz gotów wysnuć wniosek, że wszelka akcja przeciw niemoralności życia jest donkiszoterią. Słusznie więc film spotkał się z potępieniem.

Do filmów rozrywkowych należy niezbyt udana komedia amerykańska (słaba akcja, naiwna tendencja) *Cowboy i lady*, która zawodzi mimo obsadzenia głównej roli popularnym Gary Cooperem. Słabo również wypadł nowy amerykański film ulubionej niegdyś przez publiczność warszawską Franciszki Gaal, pt. *Miodowy miesiąc*. Znaną śpiewaczkę, Grace Moore, widzimy w prefensjonalnej historii *W sidłach miłości*, a świetną aktorkę niemiecką Ernę Sack, o bardzo miłym sopranie koloraturowym, w na ogół udanej operetce produkcji niemieckiej: *Nanon*.

Osobne miejsce należy się filmowi amerykańskiemu *Żona-Lalka*, według sztuki *Mademoiselle Frou-frou*. Jest to obraz w całości raczej tylko poprawny, ale gra Luise Rainer stoi na wyżynach sztuki filmowej. Odtwórczyni roli tytułowej należy dziś niewątpliwie do najwybitniejszych artystek ekranu, stając obok Greta Garbo, Bette Davies, Claudette Colbert, Elżbiety Bergner.

Streszczając zatem, można zachęcić do obejrzenia *Królowej Wiktorii* i *Suezu* (z zastrzeżeniami), *Patrolu bohaterów*, *Żony-lalki*. Chętnie bym, ze względu na Ernę Sack, dodał do tej listy i operetkę *Nanon*, ale posiada ona nieco specyficzny klimat moralny... operetek i obyczajowość dworu Ludwika XIV.

Zdzisław Broncel.

Mieszaniny naukowo-literackie.

Niedawnymi jeszcze czasy jakieś niepisane prawo, czy raczej przesąd lub ludzka trwożliwość, narzucały badaczom i recenzentom twórczości naukowej i literackiej bezwzględną zasadę: pomijania czy przemilczania dzieł mających treść religijną, zwłaszcza zaś dzieł mających za fundament teologię. Bywało, że zasadę tę wypowiadano nawet głośno w tej czy innej formie, odsądzając od przynależności do literatury czy nauki takie dzieła, których walorom literackim czy myślowym niczego zarzucić nie podobna, a które wszakże dla wspomnianej swej treści czy ideologii nie mogły się doczekać takiego nawet oszacowania czy uznania, jakie spotykało inne dzieła, pod względem literackim czy naukowym znacznie od nich słabsze.

Dziś, choć wiele pod tym względem na korzyść się zmieniło, wciąż jeszcze daleko do zupełnej sprawiedliwości. W ukazujących się zarysach nowszej literatury polskiej brak ów nadal jest widoczny. Znaleźć tam można snadnie nazwiska różnych, nawet i trzeciorzędnych grafomanów, natomiast próżno szukać nazwisk naszych wielkich pisarzy religijnych, których tak pokazać mamy liczbę w czasach ostatnich. A przecież powiedzieć o nich możemy, że są to pisarze niepospolici nie tylko wiedzą i umysłem, ale także i zaletami stylu, wspaniałością literackiej polszczyzny.

I tylko czasem zdarzy się, że jakiś fakt zewnętrzny, zazwyczaj zaś dopiero zgon któregoś z tych pisarzy rozerwie na chwilę to sprzysiężenie milczenia, jakie panowało w kołach oficjalnych krytyków, czy tych, które za oficjalne chcą uchodzić.

Takie to pośmiertne uznanie z owej strony przypadło literackim i naukowym zasługom zgasłego niedawno ks. arcybiskupa Józefa Teodorowicza. Postawiono go w Panteonie literatury polskiej obok złotoustego Skargi, jako wielkiego artystę i mocarza polskiej prozy. Obaczono w nim nie tylko kryształowego człowieka i wielkiego patriotę, ale i bystrego myśliciela.

Naszą rzeczą czy zadaniem będzie uzupełnić po krótko, choćby jednym rysem, ten obraz. Śp. arcybiskup Teodorowicz położył zasługi wielkie także i na polu nauki, i to w dziedzinach, które nie mogą być obce badaczowi literatury.

Żeby być zwięzłym i nie wykraczać zanaadto poza granice obowiązującej mnie aktualności bibliograficznej, poprzestanę na wspomnieniu dwóch tylko ostatnich książek zmarłego. Obie one (wyd. Księg. świętego Wojciecha) stanowią skrajne ogniwa wielkiej trylogii, której ogniwem środkowym była wydana dawniej książka *Od Betleem do Nazaretu*. Całość trylogii wiąże się z sobą jedną postacią najważniejszą w dziejach ludzkości: postacią Mesjasza. *Od Jahwy do Mesjasza* zwie się księga pierwsza, a trzecia ma tytuł: *Herold Chrystusa na flety epoki*.

Sprawy poruszane w tych księgach są z natury rzeczy ogólnoludzkie. Ujęcie tych spraw, historyczne i krytyczne, przeprowadzone *lege artis*, z maestrią zarówno dialektyczną, jak filologiczną, będzie powodem refleksji i zaciekawienia w szerokich kołach wykształconej inteligencji. Ale są też w tych księgach okoliczności, szczegóły i wskaźniki, które w mierze znaczniejszej winny zwrócić na siebie uwagę właśnie polskich czytelników, a wśród nich także i badaczy polskiej literatury.

Tyczy się to zwłaszcza tych badaczy, którzy (jak piszący te słowa) boleli nad tym, że śp. prof. Ujejski nie doprowadził do końca swych *Dziejów polskiego mesjanizmu*. Oto w obu książkach arch. Teodorowicza raz po raz spotykamy takie spostrzeżenia i uwagi, które owe dalsze dzieje mesjanizmu polskiego znakomicie wyświetlają i tłumaczą, przez ciągłą paralelę tegoż mesjanizmu z mesjanizmem żydowskim (głównie w *Heroldzie Chrystusa*, od str. 124 począwszy). Kto więc w danym względzie podejmie badania nad twórczością trzech wieszczów romantycznych, ten nieodzwrotnie musi się zapoznać i z tymi książkami.

Nie tylko z prof. Ujejskim spotkał się autor *Herolda* w temacie swych badań. Oto cała książka *Od Jahwy do Mesjasza* jest czymś w rodzaju polemiki ze słynną pracą prof. Tadeusza Zielińskiego, noszącą tytuł *Hellenizm i judaizm*. Polemika ta, przy całej swej stanowczości i sile argumentacji, jest wzorem delikatności i kurtuazji, prawdziwie w wysokim stylu. Autor zadziwia tu swym nie tylko wykształceniem biblistycznym, ale i znajomością wszelkich literatur świata. Z równą łatwością cytuje Homera i Arystofanesa, jak Goethego i Chateaubrianda, a nawet najnowszych, współczesnych nam poetów francuskich i belgijskich.

Polemika toczy się o tezę prof. Zielińskiego, jakoby właściwym Starym Testamentem chrześcijaństwa były nie księgi żydowskie starozakonne, lecz wierzenia religijne greckie. Tezę tę podważył arch. Teodorowicz głównie wykazaniem, iż jej autor przenosił niekiedy mylnie na księgi Starego Testamentu rysy zaczerpnięte z żydowskich ksiąg talmudycznych. Po gruntownej analizie zarówno rzeczonych ksiąg (dwojakiego typu), jako też po pewnych krytycznych zastrzeżeniach pod adresem wierzeń religijnych greckich, polemista poświęcił też sporo uwagi pięknemu literackiemu Staremu Testamentu, które zdaniem jego, nie ustępowało pięknemu literatury greckiej, owszem, było mu równorzędne.

Do spraw tych wypadnie nam jeszcze może powrócić, gdy będziemy omawiać finalne tomy ogromnego, wciąż jeszcze naprzód posuwającego się dzieła prof. Zielińskiego o dziejach religii w starożytności. Teraz zaś wspomnimy inne dzieło tegoż uczonego, które z wielu względów może i zachwycić i wzruszać czytelnika: dzieło o *Cesarstwie rzymskim* (wyd. Mortkowicz, Warszawa). Należy ono do cyklu *Świat antyczny*, który w myśl Autora ma stanowić raczej lekturę popularną niż naukową; to też istotnie Autor

zatarł wszelkie nawet pozory naukowego „balastu”, unikając wszelkich przypisów oraz posługując się w tekście stylem lekkiej beletrystycznej narracji. Mimo tego wszystkiego, oraz mimo iż Autor dopuszcza niejednokrotnie do głosu, prócz krytyki historycznej, także historyczną legendę, jest to jednak dzieło o charakterze naukowym, co więcej, dzieło, w którym Autor rozwija własne tezy naukowe, zarówno dawne (poruszane w dziele o religiach starożytnych, oraz w niedawnej zwięzłej *Historii literatury greckiej*, a także w świeżo ogłoszonej rozprawie *Horace et la société romaine*, (Paris, *Les belles lettres*), jak też i nowe, które w ten przystępny sposób rzuca pod publiczną dyskusję.

Jeżeli wspominamy tę książkę tuż po książkach ks. arch. Teodorowicza, to dlatego, że ona wieloma węzłami łączy się z twórczością naukową zmarłego antagonisty. Co więcej węzły te, przypadkiem czy z autorskiego rozmysłu, stanowić będą tutaj jednocześnie najważniejsze ogniwa samej konstrukcji myślowej.

Oto jednocześnie z historią świeckiego imperium Romanum, jako stały motyw towarzyszący, prof. Zieliński wprowadza i snuje historię tworzącego się Królestwa nie z tego świata, historię chrześcijaństwa. Książka cała otwiera się rozdziałem „Mesjasz”, w którym rola Augusta i rola tajemnicy galilejskiej ukazane są twarzą w twarz naprzeciw siebie: jako kontrast? Nie, jako uzupełnienie wzajemne. I tak dalej, równolegle z opowieścią o ruchu umysłowym rzymskiego imperium iść będzie relacja o zasługach apostołów, zwycięskie czyny legionów rzymskich będą spólcześnie z równie zwycięskimi, choć na innym polu, czynami Chrystusowych wojowników, mężnie kładących swe życie w obronie i na świadectwo wyznawanej przez nich idei. Aż w zakończeniu książki znów Zieliński zbiega się z tematami dobrze znanymi ks. Teodorowiczowi i przezeń niegdyś opracowanymi: mówi o zwycięstwie Konstantyna, o Julianie Apostacie, Teodozjuszu, o rozkwitłej naówczas wielkiej literaturze chrześcijańskiej, której blask przypadł spólcześnie z zachodzącym słońcem pogańskiej kultury antycznej.

„Na progu przekształcenia się starożytnego Rzymu w Rzym średniowieczny — powiada prof. Zieliński w epilogu — stoi chrystianizacja i jako jej skutek: powstanie rzymsko-katolickiego wyznania wiary Chrystusowej. Ten ważny fakt dziejowy — może najważniejszy ze wszystkich — wymagał szerszego uwzględnienia, niż mu się zazwyczaj udziela w „świeckich” historiach antyku”.

Postulat ten — mimo wszelkich dyskusyj, jakie można by jeszcze co do pewnych punktów prowadzić — został przez prof. Zielińskiego spełniony nie tylko z niezmierną delikatnością (o jaką celowo zabiegał), ale też z wielką sumiennością erudycyjną w sprawach teologicznych, której ani prof. Zieliński sobie samemu, ani nikt jemu, wbrew niedawnym przesądom krytyków, za ujęcie dziś nie poczyta...

Teza prof. Zielińskiego o rodowodzie chrześcijaństwa z religii greckiej musi budzić wielorakie sprzeciwy i zastrzeżenia. Natomiast bezsporne są niewątpliwie obserwacje, pośrednio z tą tezą się łączące, a świadczące o wielkich powinowactwach kultury greckiej z kulturą chrześcijańską. Powinowactwa te dotyczą w wielkiej mierze także i literatury. Dość wziąć w rękę którykolwiek z tomów *Pism Ojców Kościoła*, wydawanych w Poznaniu pod redakcją prof. Jana Sajdaka, żeby się o tym przekonać. (W roku ubiegłym zbiór ten powiększył się o tom pism św. Cypriana, w przekładzie i opracowaniu ks. dr Czuja). Myśl wielkich pisarzy chrześcijańskich, zamykających erę starożytności i otwierających nową erę średniowiecza, miała za podwalinę Pismo święte, zarówno Starego, jak Nowego Przymierza, atoli zarówno w swej ornamentyce jak i w sposobach argumentacji nie gardziła wzorami przekazanymi przez wielkich mistrzów greckich, tudzież ich uczniów, jakimi byli klasyczni pisarze łacińscy. W tym właśnie sensie dzieła wielkich ojców kościelnych, zarówno greckich jak łacińskich, można i należy uważać za pierwszy prawdziwy „renesans“, piewsze istotne odrodzenie dawnego klasycznego piękna, dawnej klasycznej wielkości myśli; zasługę tę przypisać należy nie Julianowi Odstępcy, który chciał „przeżyte kształty wrócić do istnienia“, ale na odwrót, jego stanowczym przeciwnikom, św. Janowi Chryzostomowi, Bazylemu i Grzegorzowi z Nazjanzu, oraz na Zachodzie św. Augustynowi, tym geniuszom, co zawdzięczając wiele przeszłości antycznej, nie cofali wszakże „życia fał“, owszem szli dalej naprzód z żywym duchem epoki i wiedli ludzkość ku epokom następnym i ku nowym celom, rozpalając nowe myśli ogniska, które miały płonąć jeszcze przez całe wieki.

Te wieki, które od tego ogniska brały swe światło, ocaliwszy płomień od zagaśnięcia wśród najstraszliwszych burz i nawałnic doniosły go do szczęśliwszych, bo przezeń ogrzanych, pokoleń, zwykliśmy nazywać wiekami średnimi.

Do niedawna źle się tym wiekom odpłacano za ową wielką kulturalną zasługę. Uważano je za okres ciemnoty, barbarzyństwa, upadku kultury, zacofania, tak iż sam wyraz „średniowiecze“ był straszakiem czy obelgą — którą to bronią zwykli byli walić na oślep swych przeciwników ludzie zbyt zadufani w sobie, zbyt pewni swojej umysłowej wyższości. Dziś, jeżeli kto hołduje podobnie jednostronnym i wzdurliwym zapatrywaniom na średniowiecze, to chyba wyłącznie ci ludzie, którym zgola są obce najnowsze i gruntowne badania, odsłaniające na koniec istotne oblicze owej wielkiej epoki ludzkości. Wszelako, choć już tyle odsłonięto, ogromny zrąb średnich wieków jeszcze jest niezupełnie znany nie tylko szerokiemu ogółowi, ale i specjalistom. Dość wspomnieć, że sama np. literatura bizantyńska, o której do niedawna wydawano mylne sądy li tylko na podstawie jej żałosnego

upadku w czasie wojen krzyżowych, a która miewała okresy wspaniałego rozkwitu, jest zbadana dotychczas ledwie w części! A takich dziedzin jest więcej. Gdy się im przyjrzeć, okaże się, że średniowiecze stworzyło np. lirykę łacińską najwspanialszą, jaka była kiedykolwiek w świecie od czasów Horacego, a grecką poezję najwykwintniejszą, jaka była kiedykolwiek w świecie od śmierci Eurypidesa... Gdy zaś do tego dodamy przebogatą poezję celtycką wieków średnich, wspaniałą literaturę niemiecką z *Nibelungami*, *Parcifalem* i Walterem v. der Vogelweide, włoskie *Fioretti* i *Boską komedię*, oraz myślicieli takich jak św. Tomasz z Akwinu czy św. Bonawentura, to rzec się godzi, że plon ten w samej tylko literaturze jest tak imponujący, iż porównanie znaleźć możemy tylko ze starożytną literaturą grecką; nie zbluźnię bowiem umiłowanym przeze mnie Wirgilemu i Horacemu, gdy pierwszego z nich postawię niżej *Nibelungów* i *Boskiej komedii*, zaś w dorobku lirycznym drugiego nie znajdę utworu, który by natchnieniem dorównywał pieśniom Romanosa, albo wstrząsającemu *Dies irae*, albo słonecznemu hymnowi św. Franciszka.

Wzgardliwe traktowanie średniowiecza zapoczątkowali niegdyś scholarze humanistyczni, mający się za prawych, bezpośrednich i jedynych dziedziców starożytności, a przemilczający lub gruzem zasypujący ową skarbnicę, która im dziedzictwo owo przekazała, częstokroć znacznie nawet pomnożyła. Oni też, niewolniczo i bezdusznie kopiując zamarłe wzory sprzed kilku stuleci, tamowali częstokroć naturalny bieg i prawdziwy postęp myśli i kultury, co gorsza, świadomie i złośliwie niszczyli dorobek poprzednich pokoleń. Tak więc tzw. Wielkie Odrodzenie było pod wieloma względami znacznym krokiem wstecz, powrotem do tego, z czego już się ludzkość była wyzwoliła, lub z czego już wyrosła. Ogromne zasługi i doniosła rola Wielkiego Odrodzenia¹⁾ leżą nie w żalosnych wyczynach tych ciasnych fanatyków, którzy negowali i przekreślali wielkie dzieła średniowiecza, ale w pracy tych, którzy do tamtych dzieł nawiązując, starali się je pomnożyć i harmonijnie uzupełnić tak własnymi odkryciami, jak i przypominanymi naówczas (ale nigdy w średniowieczu nie zapomnianymi doszczętnie!) myślami i zdobyczami wieków starożytnych. Gdyby Szekspir i Ariosto czy Cervantes wyparli się swych związków ze średniowieczem, byłiby, być może, wzorowymi humanistami, ale literatura nie zyskałaby na tym nic, a przynajmniej niewiele.

Nad zagadnieniem istoty średniowiecza, a zwłaszcza nad zagadnieniem jego stosunku do starożytności z jednej, do odrodzenia zaś z drugiej strony, zastanawiano się u nas niejednokrotnie ostatnimi czasy. Prof. Zieliński należał do tych, którzy

¹⁾ Umyślnie wprowadzam tę nazwę na oznaczenie renesansu XV i XVI wieku, gdyż „odrodzeń” było w średniowieczu kilka (odrodzenie karolińskie, focjańskie itd.). Słusznie akcentuje to prof. Zieliński.

o zagadnienie to potrącali, nie zajął się nim jednak nigdy wyłącznie. Nie poświęcił się też tej kwestii całkowicie i dogłębnie niespokojny umysł prof. R. Ganszyńca, który tylokrotnie i od tytułu różnych stron wdzierał się w rozległe ostępy piśmiennictwa mediewistycznego (zwłaszcza łacińskiego), dokonywując nieraz śmiałych a niezwykłych odkryć na tym polu lub budząc swymi poglądami ostrą niekiedy dyskusję. Nie wypowiedział się też jeszcze w zupełności co do spraw owych badacz spokojny, a przecież zawsze dotrzymujący kroku najnowszym badaniom zagranicznym, przy tym z racji swych własnych studiów bliżej zainteresowany przełomem średniowieczno-renańsowym: wybitny romanista, prof. W. Folkierski. O ile pamiętam, był on pierwszym, który zapoznał świat polski z opiniami Nordströma o kulturalnej roli średniowiecza. Pionierskie znaczenie miała też jego szkicowa rozprawka (w księdze pamiątkowej ku czci prof. Chrzanowskiego): *Na lotnych piaskach terminologii historycznej*, gdzie wskazał łączność między średniowieczem a epokami: tzw. baroku (*seicento*) tudzież późniejszego romantyzmu.

Ze szkicem prof. Folkierskiego wiąże się pewnymi niemi pierwsza rozprawa zawarta w zbiorze studiów prof. Juliana Krzyżanowskiego: *Od średniowiecza do baroku* (Warszawa, Tow. Wyd. „Rój”). Stawia ona, czy raczej (wedle wyznania samego autora) wznawia tezę o „dwuprądowości zjawisk znanych z dziejów literatury europejskiej”, rozwija ją wszakże dalej, do zupełnej niemal krańcowości, której ilustracją są załączone w tekście diagramy, świadczące, iż cztery, uznane jako zasadnicze, elementy romantyczności, a więc satanizm, mistycyzm, folklor i makabryzm, jawią się „ze zdumiewającą konsekwencją” w czterech epokach, nazwanych przez autora „romantycznymi”, tj. w „średniowieczu”, „baroku”, „romantyzmie” i „neoromantyzmie”.

Teza ta w zasadzie zawiera sporo słuszności, szkoda tylko, że trąci nadmiernym schematyzmem, do którego przyczynia się po trosze i to, iż autor czasami, na wzór Prokrusta, przykrawa do tezy — same wspomniane epoki, oraz ich przedstawicieli. Myślę, że dowodzenie całe przedstawiałoby się o wiele wyraziściej i byłoby bardziej przekonujące, gdyby Autor nie mieszał czasami (bez wątpienia tylko mimowolnie) dwóch pojęć i terminów: prądu i epoki. Nie są to pojęcia identyczne. Wszak pierwsze z nich określa kierunek (w pewnej mierze i jakość) danych zjawisk, drugie zaś oznacza odcinek czasu, w którym te czy inne zjawiska dzieć się mogą; jak w dziale fizyki, zwanym kinetyką, tak i w badaniach nad umysłowymi ruchami ludzkich społeczeństw, należy się dwojgu tych pojęć znakowanie odmienne i odmienna rachuba. Dlatego ze stanowiska terminologicznego jest już błąd w samym tytule książki; wszak „średniowiecze” jest to konwencjonalna nazwa pewnego okresu czasu, a „barok” to nazwa pewnego stylu w sztuce. Więc, żeby można wykonywać działania

skutecznie, należałoby wprowadzić czynniki jednoimienne: „od gotyku do baroku” lub „od końca średniowiecza do *seicenta*”.

Albowiem i termin „średniowiecze” z czysto chronologicznego stanowiska został w tej książce użyty niedokładnie i dowolnie. Prawda, że Autor tłumaczy się, mówiąc, że okres to „w dziejach kultury literackiej niezwykle zagadkowy i dotychczas nie zdefiniowany”; stwierdza też, że średniowiecze „tylko laikowi może wydawać się okresem jednolitym”... gdyż składa się ono „z całej serii odrębnych podokresów, różniących się mnóstwem czynników”. Jednakże tłumaczenie to nie uzasadnia wcale powodu, dla którego „średniowieczem” nazwano tu tylko ostatnie stulecie owego okresu.

To uproszczone, dość nietrafne, znaczenie „średniowiecza” stosuje prof. Krzyżanowski także w ważnym szkicu: *Średniowiecze i renesans w poezji polskiej w. XVI*. Ponieważ jednak sam tytuł już pozwala wnosić, że mowa będzie o ważących się czy ścierających z sobą kierunkach czy gustach kulturalnych, więc na mylącą terminologię nie będziemy się skarżyć powtórnie. Wolimy stwierdzić, że treść tej rozprawy (jak i poprzedniej) podaje pod rozwagę badaczom literatury zagadnienie godne dłuższej jeszcze dyskusji.

To, że konwencjonalna data r. 1543, podawana w podręcznikach, nie jest jakimś słupem granicznym między polską literaturą średniowieczną a renesansową, nie od dzisiaj wiadomo. Debiutanta z roku wspomnianego, Mikołaja Reja, dawno już określił Brückner w swej znakomitej monografii jako człowieka typowo średniowiecznego, a nikt też nie przeczył, że zmarły we wspomnianym roku Janicius był świetnym naszym poetą humanistycznym. Chodziło tylko o dokładne ustalenie, czy umówienie się, co w literaturze polskiej XVI wieku, jakie jej elementy i czynniki, uznać za „średniowieczne” czy też za „renesansowe”. Sprawa rozgraniczenia nie jest łatwa i można ją traktować rozmaicie. Prof. Krzyżanowski wskazuje szereg takich elementów, które mogą być uznane za przedłużenie stanu rzeczy z czasów przedrenesansowych i nadaje im dość ryczałtową nazwę: średniowiecznych. Niektóre z nich (np. stosunek do kobiet, alegoryzm) mogą być istotnie uznane za typowo średniowieczne w całej rozciągłości tego pojęcia, nadanej mu przez Autora rozprawy; co do niektórych jednak pozwolę sobie na pewne sprostowania. Tyczyć się one będą przede wszystkim wersyfikacji średniowiecznej, w znajomości której prof. Krzyżanowski miejscami utyka; nie dość bowiem, że mylnie za „asonanse” uważa takie homoioteleuta, jak słuchać i pytać (do asonansu konieczna jest zgodność samogłosek, począwszy od akcentowanej), ale też niepotrzebnie za „renesansową” jakoby cechą uważa dbałość o rym, u takiego np. Kochanowskiego. Historia rymu przeczy podobnym poglądom. Wirtuozeria rymowania (szukanie rymów niezwykłych) dosięgła wszak swego zenitu przesilenia w wieku XIV (Filip de Grevia), natomiast

przez szereg wieków następnych, aż do XVII włącznie, widzimy w całej literaturze europejskiej na tym polu całkiem świadome „zaniedbanie”, a więc najpierw operowanie rymem niedokładnym, po tym zaś niemal wyłącznie gramatycznym (w czym Kochanowski daje przykład najlepszy), jednocześnie zaś jawią się i tendencje stosowania wiersza białego (Kochanowski też daje przykład).

Że prof. Krzyżanowski stara się znaleźć cechy, na których podstawie można by dać mniej więcej precyzyjną definicję średniowiecza, widać i z innych jego rozpraw w tej książce. Że prostuje sądy tych, którzy w średniowieczu widzieli samą tylko ascezę i teologię, to też akcja, jak na polskie stosunki, trafna, tylko szkoda, że podjęta egemplarycznie, na doraźnym, niezbyt przyzwoitym wierszu, zapisanym przez Mikołaja z Koźła (jest-że to ten sam Mikołaj, którego w innym zgoła świetle ukazuje ks. Kantak na kartach 330—331 swej monografii o Franciszkanach?). Ale nie dla jednego badacza literatury średniowiecze na długo jeszcze pozostanie morzem, którego brzegi „rybak tylko po wierzchu nawiedza”.

Za to w epoce seicenta polskiego prof. Krzyżanowski czuje się swojsko i to od lat wielu. Mówiąc dokładnie: co najmniej od lat dwudziestu pięciu, bo zasłużony ten badacz właśnie święci ćwierćwiecze swej pracy naukowej (studia o *Jerozolimie wyzwolonej*, Bibl. Warszawska 1914). Przypomniat nam lata swych tak szczęśliwych i obiecujących debiutów młodzieńczych, ogłaszając w swej książce piękną i subtelną rozprawkę o Sarbiewskim, napisaną daleko od Polski, na odludziu syberyjskim. Inne seicentowe studia, o Łukaszu Opalińskim, o *Peregrynacji Maćkowej*, itd., czyta się z zajęciem i uznaniem, ale rzecz o Sarbiewskim to naprawdę cacko essaistyczne.

W swym roku jubileuszowym prof. Krzyżanowski obdarzył nas wieloma innymi jeszcze książkami, a obiecuje nadal wiele. Tę resztę już odkładam do następnego artykułu. Teraz tylko chciałbym choć przelotnie wspomnieć rzecz innego badacza, który od szeregu lat uwagę swą poświęcił głównie mediewistyce. Mam na myśli dyr. Stefana Wierczyńskiego, którego wzorowe wydanie średniowiecznej *Legendy o św. Aleksym* (Poznań, Towarzystwo Naukowe Poznańskie) miałem sposobność sławić obszerniej na innym miejscu. Zaciekawiające jest, dodane do tego wydania, studium porównawcze o legendzie św. Aleksego w literaturach słowiańskich, a zwłaszcza ujęcie tego samego tematu przez Kazi-
mierę Włakowiczównę.

Prof. Józef Birkenmajer.

Wisconsin, Am. Półn.

NACZELNY REDAKTOR: KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.

Druk ukończono dnia 4 marca 1939 r.

Spis rzeczy tomu 221.

Artykuły:

	Str.
Ks. Jan Urban T. J.: Jagiellonowie wobec prawosławia i unii	3
Ks. R. Wierzejski Z. M.: Upadłość teorii transformizmu	17
Prof. dr L. Halban: Małżeństwo niemieckie	37, 195
Dr F. Bitnicki: Kemalizm	53
Antoni Opęchowski: Znamienny jubileusz w Czechach .	65
Dr Otto Forst Battaglia: Francis Jammes	71
Ks. J. Pawelski T. J.: Podzwonne i hejnały ostatniej rocz-	
nicy	129
Ks. J. Urban T. J.: Unia Brzeska a polska racja stanu . .	139
Roman Piotrowicz: Nowe drogi europejskiej polityki	
Włoch	159
Ks. A. Kisiel T. J.: Nieznany logik polski XVII stulecia .	171
Dr F. Walczyński: Z nowoczesnej wiedzy genealogicznej .	210
Ks. Jan Pawelski T. J.: Ostatni z dynastii więźniów waty-	
kańskich	273
J. Skaliński: Najnowsza „ewangelia” bolszewizmu . . .	289
O. J. Woroniecki O. P.: Proroctwo św. Andrzeja Boboli .	311
Dr Andrzej Niesiołowski: Struktura wewnętrzna ka-	
tolickiej ideologii wychowawczej	328
Dr F. Bitnicki: Przyszłość ujścia Renu	352
Prof. dr Stefan Glaser: Duchowny jako świadek	
w sądzie	367

Przegląd piśmiennictwa.

Leopold Caro: Polityka i przewrót gospodarczy w III Rzeszy. —	
Antoni Żabko Potopowicz: Rolnictwo w III Rzeszy (H. J. Kory-	
but-Woroniecki)	77
Henryk Lepucki: Działalność kolonizacyjna Marii Terezy i Jó-	
zefa II w Galicji (Dr M. Tyrowicz)	80
Erazm Kostołowski: Studia nad kwestią włościańską w latach	
1846 — 1864 (Dr M. Tyrowicz)	81

	Str.
Karol Lewicki: Uniwersytet Lwowski a Powstanie Listopadowe (Dr M. Tyrówicz)	82
Rybicki Paweł: Problem uspołecznienia (Dr Z. K. Ciechanowska)	83
Miłość Chrystusowa przynagla nas. — Ks. J. Patrzyk: Kazania świąteczne. — Ks. F. Bodzianowski: Ludzkość na rozdrożach. — Ks. dr Szczepan Sobalkowski: Krew, która woła... (Ks. Cz. Sejbuk T. J.)	85
Estreicher Karol: Kraków (Ks. St. Bednarski T. J.)	87
Sickenberger Joseph: Erinnerungen an Otto Bardenhewer (Ks. J. Majkowski T. J.)	87
I. M. Bocheński O. P.: Z historii logiki zdań modalnych (Ks. A. Kisiel T. J.)	89
Jan Harabaszwski: Jędrzej Śniadecki nauczyciel chemii i pisarz rzeczy chemicznych (Ks. K. Sawicki T. J.)	90
Stefan Truchim: Święty Augustyn a nauki i szkolnictwo starożytne (Ks. K. Drzymała T. J.)	90
Ks. dr Antoni Pawłowski i dr K. M. Morawski: Konferencje Misyjne (Ks. W. Wantuchowski T. J.)	91
Jerzy Andrzejewski: Ład serca. — Amelia Łaczyńska: Życie nie ustaje. — Józef Bieniasz: Leśne wygi (Mgr Hanna Wierzbicka)	226
Ks. dr Brunon Świtalski C. SS. R.: Neoplatonizm a etyka św. Augustyna (Dr Henryk Piętko)	230
Psalterz Floriański Łacińsko-Polsko-Niemiecki (Ks. Wł. Rejowicz T. J.)	234
Chrześcijańska Warszawa (A. K.)	236
M. Tarnawski: Un Evêque polonais Msr Joseph Bilczewski (Cz. S.)	237
Górski Konrad: Literatura polska dla I kl. liceów ogólnokształcących (Wacław Malewski)	374
Eliza Orzeszkowa: Listy (Dr Z. Ciechanowska)	376
Prauziński L. — Ulrich A.: W marszu i w bitwie (Wacław Malewski)	379
Ks. dr A. Marchewka, Ks. dr K. Wilk, Dr C. Wilczyński: Gwiazdy katolickiej Polski (Ks. Czesław Sejbuk T. J.)	381
Listy Platona. Przełożyła i wstępem poprzedziła Maria Maykowska. (Dr Stanisław Seliga)	382
Prof. Karol Serint: Symbol w wolnomularstwie. — Wolnomularstwo w świetle encyklopedyj (Ks. W. Zajączkowski T. J.)	383
Księga wsi polskiej. Źródła, dzieje i kierunek jej kultury, wydana jako Księga pamiątkowa na 75-lecie <i>Gazety Rolniczej</i> (Ks. Jan Rostworowski T. J.)	385
Concilium Tridentinum, Diariorum, Actorum, Epistularum Tractatum nova collectio (Ks. B. Waczyński T. J.)	386
Irma Lubieniecka: Wianek Mariński (J. R.)	388
Notatki bibliograficzne	92, 237, 388

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Styczeń: Polskie paradoksy. — Lekcja wyborów. — Na lewo, czy na prawo? (Ks. Edward Kosibowicz T. J.)	95
Luty: O zmianę ordynacji wyborczej (Ks. Edward Kosibowicz T. J.)	239
Marzec: Na marginesie kanclerskiej mowy A. Hitlera (Ks. Edward Kosibowicz T. J.)	391

Sprawy Państwa:

Styczeń: Niemiecka ofensywa na Ukrainę i Litwę. — Włoski atak na Tunis. — Przeciwnatarcie polsko-sowieckie. — Równoległa reakcja na Zachodzie. — Trzy drogi Europy a Polska (Andrzej Prawdź)	100
Luty: Wojna w Hiszpanii. — Polski skok z Riwieri do Berchtesgaden. — Odwrót Niemiec od granic polskich. — Ciężko zagrożone mocarstwa zachodnie (Andrzej Prawdź)	246
Marzec: Walka o Hiszpanię. — Rzym i Moskwa. — Anglo-niemiecki podkop pod Małopolskę. — Wiry dyplomatyczne dookoła Warszawy. — Demokracje apelują do Sowietów	399
Ze świata filmu (Zdzisław Broncel)	110, 255, 409
Z ideologii i historii Międzynarodówek (Ks. M. Opoka T. J.)	118
Mieszaniny naukowo-literackie (Prof. Józef Birkenmajer)	266, 414